

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH
HOFMANOWÉJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcją

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIEŃ.

TOM X.

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-030 Warszawa
Tel. 26-68-53, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY:

GEBETHNER I WOLFF.
MICHAŁ GLÜCKSBURG.

MAURZYCY ORGELBRAND.
G. SENNEWALD.

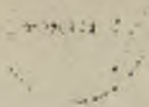
EDWARD WENDE.

1876.



Дозволено Цензурою
Варшава, 3 Декабря 1875 г.

1085



KAROLINA.

WILSON

DO CZYTELNIKA.

Zadziwi to może dawnych i łaskawych czytelników moich, iż będąc zawsze przeciwną romansom, dziś z romansem występuję? Bo téż **Karolina** nie romans: jest to sobie powieść kobięca, domowa, drobiazgowa, gdzie fantazyi i imaginacyi wcale niéma, intryga prawie żadna i nie nowa, morałów ile się zmieściło, i wiele gadaniny: jest to powieść, której—i proszę o tém pamiętać—nie pisałam ani dla dzieci, ani dla panien w wieku zamężcia, słowem, dla kobiet dojrzałych.

Ale jakkolwiek moja **Karolina** kobietom jest przeznaczona, zgaduję wczesnie że wielu się nie podoba! Te zwłaszcza, co już nawykły do zadziwiających wypadków, do śmiałych zdań i widoków, do nadzwyczajnych charakterów dzisiejszych francuzkich romansów, te co się oswoiły z czarowném i gorącym piórem autorki *Indyany*: te mówię, uznają w niej powieść staroświecką, blade napisaną, a przebiegły ją z niechcenia, ziewną i rzucają.

Z przeproszeniem tych pań, taka recenzya, taki los mojej pracy z ich ust i ręki, ani mnie zdziwi, ani zasmuci. Czołem bijąc przed świetnością talentu, dowcipu, imaginacyi, Balzaków, Sulierów i im podobnych; podziwiając

mężki geniusz pani Sand, nie poważam się, a nawet nie pragnę mierzyć się z niemi, ani im sprostać. Moje chęci są bardzo skromne. Do małej liczby dzisiejszych książek towarzyskich polskich, chciałam dorzucić jedną; chciałam rozerwać się sama w tęsknych nieraz chwilach; chciałam, i to był podobno główny cel mój, zasady i zdania, które już od dwudziestu lat głoszę, ubrać w krój odmienny, dla mnie nowy, puścić je tak w świat, i obaczyć czy nie przystaną lepiej?

Wiem ja dobrze, iż co do barwy, toku, stylu tej powieści byłoby wiele do powiedzenia; wiem, że jej brak bardzo wiele: ale wiem i to, że jest w tém wszystkiém moja i nie moja wina... Może dalsze, da Bóg, lepsze będą.

KAROLINA.

ROZDZIAŁ I.

Dzień i wieczór ślubny.

Jeden z najświeższych dni wiosny, dwudziesty Maja, tysiąc ósmset czwartego roku, wybrany na ślub pięknej Karoliny z młodym hrabią Leonem*** już zawitał. Już też wszystko było przygotowane do tego uroczystego obrzędu, który na wyraźne żądanie kawalera odbyć się miał w pokoju, w domu rodziców panny młodej, na Długiej ulicy, w Warszawie. Salon czyli jak wówczas mówiono, pokój bawialny, nie tyle elegancko, ile uczciwie i wygodnie umeblowany, napełniony był krewnymi i przyjaciółmi państwa młodych. Wszyscy mieli stroje godowe i weselny uśmiech na twarzach; wszyscy chwalili związek zawrzeć się mający i wróżyli mu pomyślność, chociaż może wielu inaczej myślało.

Ojciec panny młodej, pan Marcin Dyblewicz, niegdyś syn Berdyczewskiego kupca, później pisarczyk przy komisarzu wielkiego pana na Ukrainie, dalej sam komisarz, plenipotent i prawa ręka kilku znacznych magnatów, a nareszcie przy protekcyi i pieniądzach, szlachcic, cześnik i kawaler św. Stanisława, uzbierał był sobie pracując lat przeszło czterdzieści, nie bez mozołu i szczęścia, ale bez skazy na hono-

rze, bardzo znaczny majątek. Nosił się po polsku, a dziś w nowym amarantowym żupanie i w perłowym kontuszku, na którym jaśniała gwiazda, w złocistym pasie, z białą czapką pod pachą, szastał się wesoło po całym pokoju, zakręcał siwego wąsa, głaskał rzadką już czuprynę, kłaniał się nisko gościom, ścisnął niektórych za kolana, dodawał to świec jarzących, to kwiatów do przyrządzonego ołtarza, przestawiał krzesła; zgoła, widać było z każdego jego ruchu i słowa, iż obrządek nastąpić mający spełniał dawne i serdeczne jego życzenia; jakoż, nadawał córce jedynacze, pannie kilkomilionowej, to jedno, czego cała miłość rodzicielska i największe nakłady zapewnić jej inaczej nie mogły: imię znakomite w kraju od wieków, tytuł hrabiny i wojewodzicowej, i miejsce w najpiérwszém towarzystwie.

Obejście się pani Cześniówej, również stosownie i su- to ubraniej, zdradzało mniej swobodną radość; łzę było widać w jej oku, wtedy nawet kiedy odpowiadała z wdzięcznym uśmiechem na komplementa zebranych gości. Lubo dzisiejsze postanowienie córki było także od lat kilku, szczerem jej pragnieniem; przecież, zdawało się jakoby w tej stanowczej chwili myślała o tém szczególniej: że utraci na- zawsze jedynaczkę, że ją oddaje hrabiemu, wprawdzie pa- nu z panów, ale młodzieńcowi którego zna mało, i o któ- rym pewną nie jest, czy godzien tego skarbu?

Wszyscy już się zebrali, prócz państwa młodych. Oj- ciec kawalera, pan wojewoda ***, który zdawał się niemal równie szczęśliwy jak ojciec panny, lubo wyszła i blada twarz jego nie odbijała tak szczerze wesela jak pełne i ru- miane lica Cześnika, już był od godziny przyjechał, a Leo- na jeszcze nie było. Dziwili się temu obecni, ukrywając jednak starannie zadziwienie swoje. Ktoś powiedział, że jadąc widział sześciokonną karęę wojewodzica przed bramą jego pałacu, na Krakowskiém przedmieściu, i że niebawem przyjedzie. Dama niezupełnie już młoda i świeża, lecz

najwykwintniej ubrana i najgłośniej mówiąca, szambelanowa R., wyrzekła z pewnym uśmiechem, iż przed godziną w dalekiej części miasta około Ujazdowa, jej służący spotkał jego angielską karyolkę. „Zapewne jeździł sam po bukiet do Łazienkowskiej oranżeryi“ dodała z pośpiechem, obaczywszy surowe wejrzenie Wojewody, którego miała zaszczyt być daleką kuzyną. Jakkolwiekby to spóźnienie zaczynało się wydawać wszystkim wcale niezwykajne, a obaj ojcowie, zwłaszcza Wojewoda, widocznie się niepokoili. Skoro zdaleka turkot powozu jakiego słyszeć się dawał, wychylali głowę przez otwarte szybki; ale napróżno: nie był to Leon.

Rozmowa ogólna zaczęła ustawać. Już jej nie podsycał jak z początku Cześnik, szérokiem opowiadaniem o zaletach i talentach córki. Wojewoda mimo całej znajomości świata i słynnego zdawna salonowego dowcipu, nic nie mógł wynaléć do powiedzenia. Było tam pań kilka młodych i nie młodych z najpiérwszej elegancyi, prócz wspomnianej Szambelanowej; było i kilku paniczów z lorynetką przy oku i brelokami u zegarka, którzy, jak się zdawało byliby mieli z czém się odezwać; lecz ci szeptali między sobą i to półgębkiem i bardzo ostrożnie: dosyć, że nastalo wkrótce zupełne milczenie, przerywane tylko kiedy niekiedy jakim czczém słówkiem obmyślónym z trudnością, i na które zwykle dwie osoby odrazu się zdobywały, jak to się zdarza powszechnie, tam gdzie rozmowa nie idzie. Gospodyni domu, choć zawsze przyzwoita i na swoim miejscu, nie była téz bynajmnie w stanie zabawienia kompanii; cierpiała srogie męki: to blada, to czerwona, wychodziła nawet często z pokoju; piła wodę, wachała ocet, żeby płaczu serdecznego nie dostać.

Nareszcie, usłyszano jadący pędem powóz; zatrzymała się angielska karyolka przed domem, i wnet Leon wszedł do pokoju blady i prawie bez tchu; a chociaż moment po-

dobny, byłby zapewne dla każdego przykry i żenujący, przecież pomieszczenie jego jeszcze większe się zdawało.

Hrabia Leon, młodzieniec dwudziestopięcioletni, był bardzo dorodny i co się zowie dobrego tonu. Oczu czarnych, pełnych ognia i uczucia, włosów ciemnych, czoła pięknego, poci bladej, wysoki i szczupły w miarę, zawsze modnie, lecz bez przesady ubrany, zwracał w każdym towarzystwie powszechną uwagę, nie tyle jeszcze regularnym składem twarzy, męzkim i udatnym kształtem, ile szlachetnością wyrazu i postawy, wdziękiem całego układu. Miał coś tak ujmującego i wyższego w spojrzeniu, w uśmiechu, w ukłonie, w mowie, że obojętne nawet lub źle uprzedzone osoby, łatwo rozbroił i zniewolił, skoro się do nich zbliżyć i przemówić raczył. Lecz w tym razie takie było jego pomieszczenie, iż zdawało się, że brak mu nie na woli, ale na sile użycia tych korzyści; wyrzekłszy słów kilka bez ładu i głosu, spuścił oczy, stanął około okna i stał zamyślony.

— Wojewodzie, widać, roztropny choć młody, pobożny choć z zagranicy wraca—powiedziała cicho poczciwa jakaś starościna do drżącej zawsze Cześnikowej—małżeństwo uważa jako rzecz ważną, jako sakrament i związek dożgonny. Nie tak jak prawie cała dzisiejsza młodzież, co ze śmiechem do ołtarza idzie, bo w duchu o rozwodzie myśli. I świętej pamięci mąż mój bardzo był pomieszany jadąc do ślubu; trzydzieści też lat z górą przeżyliśmy w zgodzie.

Biędna matka ledwie dosłyszała tych słów: jój dusza, jój oczy wlepione były w drzwi, któremi wnijsć miała córka. Już ojciec poszedł po nią. Jakoż otworzyły się wnet podwoje i weszli.

Karolina skończyła lat ośmnaście. Dorodnego i ślicznie rozwiniętego wzrostu i kształtu, szczupła w stanie, szeroka w ramionach, szyi łabędziej, rysów twarzy delikatnych i nadobnych, włosów długich i jasnych, nadzwyczaj

biała, gładka, świeża, w całym układzie, w każdym ruszeniu, miała coś zupełnie niewieściego; a w błękitnych oczach czarnemi rzęsami ocienionych, w uśmiechu i w głosie, wyraz i dźwięk prawie dziecinny, a raczej anielski. Kto spojrział na pogodę jej czoła, na płci zdrowie i przezroczystość, kto ogarnął okiem kibić jej udatną a niewymuszoną, temu przypominała dziecię kwitnące, albo pierwszą niewiastę, kiedy ją Stwórca stawiał przed Adamem w całej chwale i wdzięku kobiecej młodości; kto wejrzenie jej spotkał, kto głosu dosłyszał, do kogo się uśmiechnęła, temu anioł przez myśl przelatywał. I w tej chwili gdy weszła do pokoju lekkim a poważnym krokiem, sama jedna w długiej szacie białej i w zielonych liściach, wśród tylu kobiet strojnych w jaskrawe barwy i upięcia, wydała [się jak gość z górnych krain, i mimowolne uszanowanie ogarnęło wszystkich choć na chwilę.

Przystąpiono do ślubnego obrządku. Panna młoda przejęta głęboko uroczystością owęj najważniejszej chwili w życiu kobiety, była zupełnie przytomna, z namysłem i dobrowolnie czyniąca; widać było oczywiście, że nie tylko ludzi ale Boga i Świętych Jego ma świadkami. Pan młody drżał jak liść, zdawało się, że ledwie wie co robi, jakby z musu i prawie zapomina, że ktokolwiekby na niego patrzy. Ksiądz, nie żaden dygnitarz, jakby może znakomitość zebranych osób wymagała, ale prosty Kapucyn z długą brodą, niewiadomo czy z litości dla obecnych, czy z własnego wzruszenia, skrócił przemowę do jakiej się był przygotował, i złagodził niektóre surowsze jej wyrazy, tak, że wiele co do wymowy straciła. Gdy przyszło do wyrzeczenia sakramentalnych odpowiedzi, i do złożenia świętej i niezłomnej przysięgi, Karolina mówiła dobitnie i skoro; jak najwyraźniej ślubowała miłość, wiarę i posłuszeństwo małżeńskie, i przysięgła „nie opuścić wybranego dobrą wolą małżonka, aż do śmierci.“ Leon powtarzał słowa kapłana le-

niwo i tak cicho, że ojciec stojący za nim, musiał mu podpowiadać prawie każdy wyraz. Ale jakkolwiekbydź odprawił się ów akt ślubny, spełnił się przecież. Ksiądz Onufry zamienił złote obrączki, wezwał obecnych za świadków: „jako małżeństwo niniejsze przystojnie zostało zawarte i od kościoła potwierdzone;“ związał ręce państwa młodych stulą, pobłogosławił, i złączone zostały na całe życie dwie osoby, które niezobopólnie jak się zdaje, tego związku pragnęły.

Po ślubie nastąpiły zwykłe uściskania, powinszowania, komplementa, a tymczasem sześciokonna karetka wiedeńska z herbami i sutą liberyą, zajechała z trzaskiem przed dom. Mało jeszcze używanym wtedy obyczajem, a świeżo przeniesionym z Anglii do Polski, wraz z siodłami damskimi, żokejami i herbami, niektórzy panowie z najwyższej elegancyi nie obchodzili już wesel po staropolsku, w kilkudniowych familijnych ucztach, ale natychmiast po ślubie, pędzili pocztą we dwoje na wieś, przeżyć w samotności pierwsze miodowe tygodnie. Hrabia Leon równie jak do ślubu w domu za indultem i bez zapowiedzi, tak i tój przejażdżki żądał był wyraźnie. Bardzo się nie podobało w duchu, i jedno i drugie Cześnikowi i jego żonie; oddawna marzyli sobie jak córka ich i pan wojewodzie „spadać będą z ambony“ we dwóch przynajmniej parafiach, przez trzy następne niedziele; jaki będzie zjazd i cizba na ślubie u Fary, w kaplicy Pana Jezusa; jakie huczne wesele, jaka wspaniała wieczerza: przecież jak na wiele innych niesmacznych w tym związku rzeczy, tak i na to pomruczawszy przystali.

Karolina ledwie usłyszała turkot karety, odgłos bicza i trąbki pocztarskiej, nie mogła wstrzymać dłużej łez obfitych, co już cisnęły się do jęj oczu od chwili ukończenia obrzędu. Rzuciła się w objęcia matki; lecz tym razem nie utulił się płacz na tém ukochaném łonie, owszem głośne łkania wydała. Ziękniony i nieco rozgniewany ojciec, rozłączył prawie gwałtem żonę i córkę.

— Jaśnie wielmożna hrabino i wojewodzcowo!—zawołał napół żartem, napół poważnie, — racz się upamiętać! Wszak nie do Ameryki jedziesz, i nie żaden korsarz morski cię porywa; lecz zacny i znakomity małżonek do dóbr dziedzicznych o mil dwanaście cię wiezie.

A pomagając jęj do owinięcia się w wielki szal biały turecki, podarek pana młodego, i do włożenia łyżkowego kapelusza z tiulowym welonem, wziął pod ramię jęj rękę, sprowadził spiesznie na dół, wsadził do karety, do której wskoczył Leon, i wnet znikli oboje z oczu żegnających ich we drzwiach i w oknach gości i błogosławiącego ich już na ulicy Kapucyna, który dążył spiesznie do swego klasztoru.

— Modny to może i romansowy, ale niekoniecznie wesoły i grzeczny obyczaj—mówiły po polsku panie podszłego wieku patrząc za znikającą karetą. Córki ich zaś i wnuczki, a między niemi szambelanowa, chwaliły z uniesieniem tę nową modę, jako zupełnie zgodną z najdelikatniejszymi sentymentami, z kwiatem wstydu i tklivości; wyrażały zdania swoje w języku francuzkim, a wtorowali im ochoczo i trochę wolno, młodzi mężczyźni, na których czele jaśniał ubiorem i tonem, kasztelanic Ludwik T. Cześnik przerwał te spory otwierając podwoje od jadalnej sali, gdzie paradne śniadanie było zastawione. Spożywszy je więcćj smaczno niż wesoło, spełniwszy starym węgrzynem kilka wiwatów, wszyscy się rozjechali, zostawując rodziców samych; a w powozach i w domach, wynagrodzili sobie sownicie kilkugodzinną wstrzymałość obmownych i złośliwych języków.

Cześnik wyrzekłszy swoje ostatnie a zapewne w tym poranku dwusetne: „Upadam do nóg! całuję nóżki“; usiadł zdyszany na kanapę, jak gdyby miłą ubiegł.

— Ten nowy żupan mnie ściska—powiedział po chwili pas odwiązując—ledwo żyję; pójdę się rozebrać i włożę co-

dzienną kapotę. Rozbierz się i ty kochanko—dodał obracając się ku żonie płaczącej w oknie—obaczysz, zaraz ci się lżej zrobi.

— Jużcié Bogiem a prawdą—mówił dalej wyjmując iskrzącą dyamentową spinkę z pod szyi i przyglądając ję się z upodobaniem—trudnoć nie westchnąć, kiedyśmy już naszego oczka, naszego klejnotu z domu pozbyli; ale zawsze taki koniec bywa z dziewczętami: czesz, strzeż, potém zapłać komu żeby ją wziął z domu. Czemuż mi jejmość nie powiła syna, albo więcéj dzieatek—przydał patrząc krotofilnie na żonę, jak gdyby chciał ją zmusić do uśniechu. Ale żarty na stronę; żeśmy ją paradnie zamaż wydali i że nam ludzie zazdroszczą, to nie sekret.

— Gdyby tylko Bóg dać raczył, żeby szczęśliwą była!—wyrzekła matka.

— Szczęśliwą!—zawołał Cześnik—nie bluźnij tęż jejmość takiém powątpiewaniem. A gdzieżby już u licha tego szczęścia szukać, gdyby naszą Karusię minęło; piękna i dobra jak żywy anioł, edukowana jak księżniczka, dwa miliony złotych polskich brzęczących w posagu, a dziś jedna z pierwszych pań w całej Koronie i Litwie. Marysiu! Marysiu! czegoż się to jeszcze jejmości chciało dla naszój dziewczyny? chyba udzielnego księcia, albo szalenie rozkochanego amanta jak w książce. Trochę się spóźnił pan młody na ślub, bo to już u nich taka moda: „Nie w dobrym tonie przyjeżdżać zawczasu.“ A co do alteracyi jego, nie dziwię się tak dalece: każdy ptaszek, a zwłaszcza taki co bujał daleko, boi się klatki. Radbym jednak kochanko, żebyś go widziała jutro rano, jaki będzie kontent i szarmancki.....

Rozśmiała się matka wśród łez, pocałowa męża w rękę, dopomogła mu do złożenia kosztownych sukni i poszła zdjąć także ubiór weselny. Nie potrafiła wprawdzie zdjąć zupełnie ciężaru z serca, ale znacznie uspokojona, zapomniała o nim na chwilę, krzątając się około przywrócenia

domu do zwykłego porządku, i około zebrania tego, co córce dać jeszcze było można.

Tymczasem państwo młodzi pędzili co koń wyskoczy. Przy każdym przeprzęgu, kamerdyner francuz na koźle siedzący, zeskakiwał i podawał im do powozu różne chłodniki i przysmaki. Karolina ledwie pomarańczę i szklankę wody przyjęła; i jej bardzo ciężko było na sercu, a wymuszona i skąpa rozmowa Leona, grzeczne lecz zimne i dziwne obejście się jego, przytłaczały jeszcze ten ciężar. W odmęcie różnych myśli i odmiennych uczuć, nie była w stanie ani myśleć o czém wyraźnie, ani téż wyboru uczynić między smutkiem i radością. Ten nieład wewnętrzny, przypisując pośpiechowi jazdy, owęj nieustannęj zmianie przedmiotów, zanim rozpoznać je mogła, wzdychała za końcem podróży i miała przekonanie, że lepiej im będzie obojgu, skoro na miejsce zajadą.

Modrogóra, piękna wieś nad Wisłą, do której dążyli, własnością była wojewodzica, i już od trzech wieków w jego rodzie. Stary pałac świeżo co przerobiony, ale niedokończony, gdyż dwa nowe skrzydła ledwie do połowy doprowadzono, urządzony i umeblowany został według zagranicznój i ostatniój mody, gustem Leona i pod jego dozorem. Temi zachodami przynajmniej, wymawiał go zawsze ojciec przed rodzicami Karoliny, iż rzadko u nich bywa i przy narzeczonej jak należy nie dosiadauje.

Gdy zajechali, już zmierzchać się zaczynało; zastali przecież licznych dworskich w przysionku i przywitano ich radosnym okrzykiem. Jeden z najstarszych, w polskim ubiorze, zbliżył się do Leona, uściskał go jakby przyjaciela, a ująwszy rękę Karoliny, wyrzekł z rozrzewnieniem: „Niech was Bóg błogosławi! paniątka moje! Chwała Jemu, że mi pozwolił doczekać tego dnia.“ Leon ucałował poczciwego sługę, dziękował uprzejmie innym, a Karolina pomyślała z radością: „Jaki on dobry!“ Podał jej rękę i wprowadził do ślicznój sali oświeconej naprędce; lecz tam, zamiast ją

powitać panią wszystkiego tego co ich otaczało, skoro wyszli służący, zostawił ją na środku, a sam rzucił się na krzesło w najciemniejszym kącie stojące, nie wyrzekłszy i słowa.

Karolina długo stała jak wryta; nareszcie usiadła na sofce przy oknie. Jeszcze się nie ściemniło zupełnie na dworzę; świece palące się w pokoju słabo jaśniały, z okien wychodzących na obszerny ogród, ludzi wcale nie było widać. To półświatło, to milezenie przejęły ją trwogą tajemną i gorzkiem uczuciem. Dawniej, wczoraj wieczór jeszcze, tak odmiennie sobie wystawiała przyjazd do Modrogóry.... Już rozplakać się miała, kiedy przyszło jej na myśl, że to męża rozgniewałoby mogło i dać mu złą opinią o jej wychowaniu; wstała przeto, zaczęła chodzić, a zbliżywszy się jakby z niechcenia do Leona, zapytała go nieśmiałym głosem:

— Czy głowa boli?

Zadrzał na to proste i słodkie pytanie; a jakby ze snu ockniony zerwał się z krzesła i powiedział:

— Tak, nie wiem, czy z drogi, czy z czego, głowa okrutnie mię boli.

Karolina przejęta a zarazem szczęśliwa myślą, iż chwilowe cierpienie jedyną jest przyczyną szczególnego postępowania Leona, uśmiechnęła się do niego litościwie i uprzejmie, i za rękę wziąć go chciała; lecz on wyrwał się jej i odskoczył o parę kroków.

— Chory nie jestem—rzekł z żywością—gorączki nie mam. Ale może chcesz obejrzeć pałac?—dodał.

I podawszy jedną rękę zmieszanej na nowo Karolinie, w drugą wziął świecznik z komina, i zaczął ją oprowadzać po pałacowych pokojach.

Piękne były, łączyły w sobie gust francuzki i włoski, ale zalecały się raczej zbytkiem niż wygodą i trwałością. Półokrągła, dwupiętrowa sala mozaikowana biało, do której

wysiadając z powozu byli weszli, zajmowała środek domu; po bokach były dwie długie szklane galerye z kamienną posadzką; w jednej biblioteka i portrety zacnych prabab i pradziadów, w nowych złotych ramach, w drugiej rzadkie rośliny i kwiaty w wazonach, obrazy, posągi: w obydwóch sofy, sofeczki białe, kolumny i stoły marmurowe. Piérwsza galerya prowadziła do pokojów pana, druga do pokojów pani; na końcu téj drugiej Leon otworzywszy drzwi środkowe, pokazał z kolei Karolinie ładny i obszerny pokój bawialny, malowany w arabeski, gabinet gotowalniany z łazienką i śliczny pokoik, zwany wówczas *boudoir'em*, gdzie stała sofka kątowa, jeden stolik do pisania, drugi do rysunku, biblioteczka z książkami jednostajnej ponsowej oprawy i kłęb z kwiatów; a tak je pokazując powiedział, że to jest jój własny apartament.

Mniej ujęta wytwornością tyłu przedmiotów, jak trokliwością, która kierowała ich doborem, Karolina pomyślała znowu mile: „Jak on téż o wszystkim pamiętał!“ i mimowolnie ścisnęła lekko ramię Leona. Puścił natychmiast jój rękę i byłby może uciekł do siebie, gdyby w téj chwili nie wszedł wypończoszowany z serwetą marszałek i nie wyrzekł po francuzku: „*Madame et Monsieur le Comte sont servis.*“

Poszli oboje do obszernej sali jadalnej, z drugiej strony domu będącej. Jedzenie było obfite i wyborne. Leon częstował wszystkich jak najgrzeczniej, ale mało jedli a mówili jeszcze mniej; pan młody tylko jakby przez roztargnienie popijał za dwoje. Po skończonej wieczerzy wziął znowu żonę za rękę, a przeszedłszy spieszenie przez salę, przez galeryę kwiecistą i salonik, wprowadził ją do pokoju gdzie dotąd nie byli. Tam ją wpuściwszy, sam stanął w progu, chciał coś przemówić, lecz słowa więzły mu w ustach; zamknął tedy drzwi z trzaskiem, i słyhać było jak odszedł szybkim krokiem i kilka podwoi zawarł za sobą.

Karolina zostawszy sama obejrzała się w około, gdyż dotąd nie wiedziała dokąd weszła. Był to jaknajpiękniejszy pokój sypialny, lampą alabastrową łagodnie oświetlony; łóżko niskie i rzerokie, w guście rzymskim, o lwich brązowych łapach, stało wyniesione na mahoniowym gradusie; lekka i przezroczysta draperya przez łuk u sufitu przerzucona, rozpostarta u krawędzi na złotych strzałach, osłaniała z niechcenia blado-różowe i suto haftowane posłanie; gotowalnia srebrem i kryształami zastawiona, poleżek, klęcznik z obrazem Matki Boskiej z Rafaela, biurko maleńkie i mnóstwo gracików nie tyle potrzebnych ile ładnych, napełniały go bez natłoku. Ale te wszystkie piękności nie zwróciły uwagi Karoliny. Jeden widok, jedna myśl, wszystko inne oddaliła, napełniając ją nową i nieznaną trwogą. Czysta jak anioł, niewinna jak dziecię, miarkowała przecież, że coś nadzwyczajnego, coś przykrego ją czeka w takim właśnie miejscu. Matka tego samego poranku wracając z nią od spowiedzi, mówiła do niej pierwszy raz w życiu jakieś szczególne i niezrozumiałe słowa; zalecała jęj uległość, posłuszeństwo mężowi, wspominała o wielkiej ofierze, którą miłość osłodzić miała, a nadewszystko to przekonanie, że takie jest rozrządzenie Boskie i że tak od początku świata bywało. Wszystko to razem na pamięć jęj przyszło i prawie dech odjęło; nogi pod nią zdrząły, dreszcz zimny przeszedł ją wskrós, i gdyby się nie była oparła o gotowalnię, upadłaby niezawodnie.

Wtém otworzyły się drzwiczki ukryte w ścianie przy łóżku, Karolina zasłoniła sobie oczy i nie odwróciła głowy. Lecz nie był to Leon. Głos kobięcy odezwał się nieco krotofilnie:

— Czy już jaśnie pani chce się położyć?

Spojrzała i obaczyła pannę swoję wyprawną, osobę nie pierwszję młodości, którą Cześnikowa ugodziła za znaczne

pieniądze, a to najwięcej dla tego, że obok uczciwości i wierności nieposzlakowanej, miała świadectwa służby z najpiérwszych domów w kraju; wiedziała zatem doskonale jak dzisiejszój wielkiój pani przystoi ubierać się i postępować w potocznych i małych rzeczach. Nazywała się Wroczyńska. Dopiero od tygodnia w domu cześnikostwa, ledwie zdążyła odebrać pod rejestrem wspaniałą wyprawę Karoliny, upakować ją w kufry i pudła, przywieźć i ułożyć w Modrogórskim pałacu. Klucznica, panna Zaperkowska, stary Jacenty, który grał rolę jakby murgrabiego, przyjęli ją byli uprzejmie; pokój miała obszerny i jasny, łóżko żelazne z frankami, osobną garderobę na suknie i futra, szaf i komód bez liku; dawano jój wybornój kawy rano i po obiedzie, na piérwszém miejscu u marszałkowskiego stołu; oddano pod jój zarząd dwie garderobiany, dwie praczki i dziewczyn trzy: dosyć, że przejęta była znaczeniem i szczęściem własném i pani swojój.

— Jak téż tu wszystko pięknie i co się nazywa po pańsku—powiedziała zabierając się do rozebrania Karoliny. Dalipan, nie jak u hrabiów, ale jak u książąt. Już tam ani w Jabłonny, ani w Puławach, ani w Białymstoku wspaniałój nie jest. Jak téż jaśnie pani szczęśliwa! Na psa urok, Panie Boże przeżegnaj!—dodała spluwając. A spostrzegłszy drżenie Karoliny:—Niechże się jaśnie pani nie boi; nasz pan hrabia przecież nie straszny: nie wielkie nieszczęście sam na sam z nim zostać. Skarz mię Boże, ale tak pięknego pana jeszcze nie widziała; niech się i książkę Józef schowa. A jak go tu wszyscy kochają, żeby jaśnie pani wiedziała! Pan Jacenty na własnych rękach go wypiautował, bo on jeszcze służył u babki pańskiej, u matki pana wojewody, która z królewskiego była domu. Pokazywano mi jój portret, wisi w galeryi, w gronostajach. Pocziwy téż to starowina ten pan Jacenty! a jak o naszym panu gadać zacznie, zaraz płacze. W tych dobrach, w tym oto

pokoju rodził się pan hrabia; tylko wówczas miał być ten pokój całe inny, adamaszkiem zielonym wybity i takie były firanki i kotary u podwójnych łóżek. Tu w Modrogorze nasz pan wiek dziecinny spędził, pod okiem pana Jacentego i stariej piastunki, co tej zimy umarła; gdyż pan Wojewoda z nieboszką panią najczęściej za granicą bawili. Miał lat dwanaście, kiedy jakiś Francuz włóczęga się nawinął; wywieziono panicza najprzód na pensję do Warszawy, później do obcych krajów. Aleć jaśnie pani musi to wszystko lepiej wiedzieć odemnie? Czy ubierzemy się jak do łóżka, czy też zarzucimy tę przesliczną dezabilkę muślinową z tiulem francuzkin?

— Jak chcesz, moja Wroczyńsiu—odpowiedziała cichym głosem Karolina, która słuchając szczegółów o Leonie, znowu zapomniała o wszystkiém, i dała zdjąć z siebie cały ubiór ślubny, arcydzieło gustu sławniej wtedy Lazarowiczowej.

— Niech jaśnie pani ją włoży—mówiła dalej Wroczyńska—moja cioteczna siostra, co jest pod *Blachą* u pani Stasiowej Potockiej, opowiadała mi niedawno, że hrabianka Tyszkiewiczówna w takiej samej dezabilce na pana Aleksandra Potockiego czekała. A to ma być młoda pani, pełna gustu.

I to mówiąc, na batystową haftowaną koszulę, na spódnice i kaftanik wygarnirowany, włożyła Karolinie jakby podwłóśnik z białego ostyndyjskiego muślinu, podszyty różową taftą.

— U prostej szlachty—mówiła dalej, widząc że młoda pani gadać jej pozwala—i niedawno u pierwszych panów, matki i poważne matrony prowadziły pannę młodą do łożnicy, a gdy ją rozebrały, położyły i pobłogosławiły, zapraszano pana młodego. Ale dziś, inna jak mówią, angielska moda nastąpiła. I pan ordynat Zymoyski, natychmiast po ślubie wywiół starościankę Granowską do swego Klemensowa. A z włosami co zrobimy?—spytała się biorąc za mirtowe gałązki

zdobiące głowę Karoliny, wśród których staropolskim zwyczajem, cześnikowa wianek rozmarynowy ukryła.

— Zostaw je tak, proszę—zawołała żywo pani młoda chwytając Wroczyńską za rękę—zdejmę je później sama.

— Dobrze i tak—odpowiedziała z uśmiechem—niech zręczniejsza ręka od mojej wianeczek odepnie.. Oto czepek nocny paryzki, istne pieścidełko; kładę go na gotowalni: jak jaśnie pani zechce, to go włoży. Jest tu i woda kolońska i proszek od alteracyi; starsza pani po kilka razy mi zalecała, żeby jaśnie pani miała to wszystko pierwszego wieczora przy łóżku, i zażyła ten proszek spać idąc. Teraz podobno odejść wypada życząc dobrej nocy. Gdybym była potrzebna, jest dzwonek w głowach łóżka; jaśnie pani pociągnie za taśmę, przybiegnę natychmiast, inaczej przyjsię się nie poważę.

A coś jeszcze szepeząc misternie i z uśmiechem, wyszła prędko, ile że jęj się zdawało, jakoby słyszała nadchodzące kroki.

Jakoż nie myliła się; po niejakięj chwili otworzyły się drzwi główne: Leon blady, ze świecą w ręku, tak samo ubrany jak kiedy przyjechał, włosy mając w nieładzie, wszedł. Najprzód zasunął z pośpiechem skryte drzwiczki przy łóżku będące, potem zbliżywszy się do Karoliny opartęj o klęcznik (gdyż właśnie do wieczornej modlitwy zabrać się chciała) stanął przed nią, i te wyrzekł słowa:

— Może lepiej było dawniej prawdę, albo teraz ustnie wszystko powiedzieć; ale nie miałem odwagi i nie mam jęj... list niech mówi za mnie.

A oddawszy jęj papier złożony, zwrócił się zwolna ku drzwiom. Gdy już brał za klamkę, zatrzymał się i dodał stłumionym głosem:

— Jak przeczytasz, jeżeli możesz, przebacz mi, Karolino! I odszedł.

Karolina zdumiona, stała kilka minut na tém samém

miejscu, w tój samėj postawie. Nareszcie drżącą ręką rozłożyła papier i wyczytała co następuje:

„To pismo więcéj może cię obrazi niż zadziwi, gdyż nie sposób abyś wcale nie wiedziała, jakiego rodzaju jest nasze małżeństwo. Jest-to po prostu układ fanilijny, interes, w którym uważani byliśmy oboje, jako przedmiot targu. Twój ojciec chciał dla córki tytułów, imienia, i kupił jedrogo, na nie więcéj nie zważając; mój, niestety! potrzebował pieniędzy i sprzedał mnie. Gorzkie jest podobno wyznanie, okropna czynić je tak późno; ale honor mego ojca wymagał naszego połączenia, a mój honor wymaga dziś po mnie całej otwartości. Pod zagrożeniem odebrania sobie życia, ten, któremu winienem życie, wymógł na mnie ślepe posłuszeństwo; lecz wymógłszy rękę, serca przymusić nie potrafił. Wreszcie ja tylko jedno mam serce i jedno słowo; a wszystko co we mnie kocha i czuje, wszystko to oddałem na zawsze innéj, i przysiągłem jój miłość i wieczną stałość, nie przed ołtarzem wprawdzie, nie z musu, nie w dyktowanych wyrazach ani w obecności uproszonych świadków, ale na łonie natury, dobrowolnie, bez słów, w obliczu tój Istności Najwyższéj, co przed wiekami jój duszę i moję, jedną dla drugiejj przeznaczyła. Przysiągłem nie raz, ale tysiąc razy; żadna władza ludzka do zgwałcenia tój przysięgi mię nie zniewoli, i dopiéro gdybym ją w czémkolwiek złamał, straciłbym szacunek samego siebie... Tak jest: co dziś czynię, czynem jest honorowym, czynem enotliwym, i prawdziwie nie wiem, dlaczego dręczy mię jakby wymówka... Ale nie; cóż ja mam wymawiać sobie? Prawda, że ciebie nazwano moją żoną, a mnie twoim mężem; lecz czyż cię oszukiwałem choć przez jedną chwilę? czyż prócz dziecinnych i braterskich niegdyś stosunków, od czasu powrotu mego z za granicy, słyszałaś z ust moich jakie słowo miłosne? Czym cię nie unikał? Czyż kobiéta zdolna do kochania, nie powinna była odrzucić sto razy ręki, garnącój się tak

niechętnie? Czyż imię najznakomitsze, przystęp do pierwszego towarzystwa, może zastąpić serce dla tój, co ma serce?

Wybacz tym wyrzutom, Karolino; kto wie, czy nie są zbyt ostre? Niewinność twoja, wychowanie, nieznajomość świata, mogły ci ukazać wiele rzeczy w inném świetle; ale w tym znowu razie pokazuje się, że pod nadobną powierzchownością ukrywasz duszę zimną, że miłości nie znasz i nie poznasz nigdy; a do szczęścia wystarczy ci na zawsze życie okazałe, czcze, obojętne, pomyślne na oko życie, któregoś żądała, i które jestem w stanie ci ofiarować. Żyjmyż więc tём życiem; żyjmy przed rodzicami i przed światem jakby złączeni węzłem małżeńskim, a w istocie żyjmy osobno, żyjmy jak brat z siostrą. Dogodzi się tak i mnie i tobie. Będiesz używała tego, czego rodzice twoi wraz z tobą w tym związku szukali. Dochodów, jakie ojciec ci przeznaczył ani się dotknę; już dosyć: nadto zapłacony jestem..... będziesz zupełną panią czynności swoich, będziesz wielką damą... Praw mężowskich, owego posłuszeństwa coś mi dziś ślubowała, wzywam w tój chwili po raz pierwszy i ostatni, a moja niezmienna wola jest taka: Jak się skończy nareszcie ten dzień wieczysty, niech nigdy a nigdy najmniejszej mowy ani wzmianki nie będzie między nami o tём, co teraz piszę, i co postanowimy między sobą; niech tego nikt z ludzi żyjących nie wie ani się domyśla. To jeden jest dowód przyjaźni, który dać mi możesz, jeden, którego się domagam. Gdybyś jednak nie chciała zezwolić na te warunki, napisz słowo; żądaj separacyi a nawet rozvodu: pogadają o nas trzy dni, a potём zapomną; wrócisz do rodziców z imieniem, z tytułem, a za rok zamienisz je może na równie znakomite. Pomyśl nad tём wszystkiém, Karolino; a jakkolwiek się namyślisz, odpisz mi jak można będzie najprędzej. Niezadługo uciszy się wszystko w pałacu; sala i galerie przegradzają nasze pokoje; zostawię świecę w sali: połóż odpowiedź na stole. Nim się zobaczymy, trzeba



koniecznie, żeby wszystko ostatecznie ułożone było między nami.“

Nie łatwą byłoby rzeczą opisać dokładnie co się działo z biedną Karoliną, gdy ten list czytała. Zrazu nie chciała wierzyć własnym oczom; przebiegłszy go do końca, szukała jeszcze to u podpisu, to z boku słowa jednego, coby jęj wytłómaczyło tę niepojętą zagadkę, i obracała papier na wszystkie strony, nie wątpiąc, że je gdzieś znajdzie. Potém, nie ufając swojej biegłości w obcej mowie (boć każdy już zgadł, że po francuzku był ów list napisany) zaczęła go czytać drugi raz. Ale gdy za tym drugim razem jeszcze dobitniej się przedstawiła, szczególna, gorzka i upokarzająca treść jego, krew zawrzała w niej silnie; rumiana ze wstydu, z oczyma iskrzącemi się pierwszym w życiu gniewem, z uśmiechem wzgardy porwała się, a wzięwszy pióro leżące na biurku, na tym samym liście napisać chciała z pewnym nawet rodzajem radości, te słów kilka:

„Niepoznana, zawiedziona, chcę natychmiast separacyi: chcę wrócić do rodziców.“

Ale kiedy już nakreśliła pierwsze dwa wyrazy, ujrzała nagle jednym rzutem myśli, coby to za stek nieszczęść, zamieszania, wypadków, ten krok ściągnął... Stanął jęj w oczach gniew, żal, może zgon nagły sędziwego ojca; zobaczyła rozpacz matki, usłyszała gadanie służących, obmowy ludzkie, imię jęj spotwarzone, rozgłoszone: cała przyszłość skończona, cały świat zamknięty. Bo według jęj sposobu myślenia, rozwodu nie było i być nie mogło; a od przysięgi, którą godzin temu kilkanaście z namysłem, dobrowolnie, uroczystie przed Bogiem złożyła; od Sakramentu, do którego sposobila się przez czasów tyle, który z taką wiarą i skruchą przyjęła, nikt uwolnić jęj nie był mocen, nikt zdjąć z niej tego świętego piętna, nikt odebrać ślubnej obrączki, owego zakładu wiary małżeńskieję, owęję tarczy niebieskieję obrony.

Upadając pod ciężarem i nawałem tych wyobrażeń

i uczuć, zsunęła się jakby w omdleniu na stojące koło biurka krzesło; pióro wypadło jęj z ręki, a wnet łyzy obfite zalewające twarz jęj zbladła, zgasiły gniew i ulżyły cokolwiek sercu. Wstała, spojrziała w górę, spojrziała na obraz Matki Najświętszjęj, a jakby w nadzwyczajną moc odziana, wyrzekła na głos:

— Nie, ani tego napiszę ani zrobię. To był szal chwilowy. Już ja do siebie nie należę. Jestem żoną. Jestem złączona na zawsze z drugim, z wyższym mną. Jest nas dwoje w jedném. Jeszcze mi brzmią w uszach te święte słowa: „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci. Co Bóg związał, człowiek rozwiązać nie może.“ Bóg różnie ludzi do czasu probuje. Jam dotąd nie znała wcale co to cierpienie. Ale niech ja sama jedna cierpię, dodała zasłaniając sobie oczy, do których nowe łyzy się cisnęły; płaczu matki, gwałtownego stanu ojca, narzekań ich na Leona, tegobym nie zniosła... Na Leona, powtórzyła słabszym głosem, na Leona.

Tu nowy natłok uczuć odjął jęj mowę i siły; zamilkła i stanęła na chwilę; oczy jęj oschły i jakby słupem stanęły; nareszcie zawoławszy z przeraźliwym jękiem: „On występny!“ chodząc zaczęła szybkim krokiem po pokoju, i naprzemiany to głowę, to serce obiema rękami przyciskała, jakby w obawie, żeby od żalu nie pękły. O nie! przemówiła po chwili ciężko oddychając, on nie występny, on obłąkany... Największym świętym trafiało się zbłądzić. On przejrzy, on wróci. Bóg taki miłosierny! To nie jego wina, nie znał matki, za granicą, sam, w wieku tych okropnych namiętności, wśród złych przykładów; inaczej być nie mogło. O! biedny on! biedny! stokroć biedniejszy odemnie. Nie myślę powiększać jego niedoli. Broń mię Boże! Będę mu posłuszną, posłuszną bez granic, jak prosi i jak przysięgłam. Mnie Bóg wybrał, żebym pomocą mu była; jego szczęście powinnością jest moją, bądź co bądź. Tak mówił tyle razy ksiądz Onufry i matka... Niech nawet nie wie ile mnie to kosztuje,

niech myśli o mnie co chce, byłem mu nie ciężyła jak zgryzota... Kiedyś, kiedyś, może choć wtedy gdy umierać będę, pozna mię i dowie się o tém, co dziś we mnie się dzieje.

I tu obfite ale mniéj gorzkic łzy zalaly twarz Karoliny; nadzieja rychléj śmierci, która dla młodéj i pobożnéj duszy tyle ma czasami uroku; przekonanie, iż świętéj powinności dopełnia, przejęły ją razem uniesieniem i męztwem. Klękła, a po krótkiéj modlitwie napisała po polsku te kilka wierszy:

„Nie pojmuję cię, Leonie; ale przebaczam z duszy i to coś zrobił, i to co myślisz o mnie. Uczynię wszystko jak chcesz. Będę ci siostrą, a przytém posłuszną i wierną jak żona. Nie usłyszysz słowa wymówki z ust moich, nie zobaczysz łzy w oku. Nikt z ludzi, nawet matka, wiedzieć nie będzie o tém, co jest między nami. Bóg wesprzeć mię raczy i pomagać do końca.“

Napisawszy odrazu, już nie odczytała słów swoich, tylko złożywszy papier coprędzój, przebiegła kwiecistą galerią, położyła list na stole, a wróciwszy pędem strzały, zamknęła z trzaskiem drzwi swego pokoju na klucz, rzuciła się na ziemię, głowę zasłonią rękami wsparła o klęcznik, a z wznowioną siłą i goryczą płakać zaczęła.

Kiedy Karolina w taki sposób pędzi chwile ślubnego wieczora, my spojrzjmy wstecz, i wyjaśnijmy wypadki dnia tego, dając poznać bliżéj przedstawione w nim główne osoby.

ROZDZIAŁ II.

Obaj ojcowie, syn, i jeszcze ktoś czwarty.

Wojewoda*** ojciec hrabiego Leona (bo jak wiadomo, u nas od lat kilkudziesiąt, każdy pan jeżeli nie księżę, to hrabia) Wojewoda, mówię, jedyna już gałąź szczepu oddawna znakomitego w ojczyźnie, wielki majątek odziedziczył niegdyś po rodzicach, i podwoił go bogatém ożenieniem się. Ale jak to aż nadto często się trafia, zbytki, podróże zagranicę, a przytém niedbalstwo i nierząd w domu, strawiły w kilkunastu léciech fortunę gromadzoną przez wieki, i która była poczęści nagrodą, od wdzięcznej a hojnej Rzeczypospolitej, zasług ojców i naddziadów. Zostały się dostojne tytuły, imię świetne, które utrzymywać wypadało; dobra obdłużone, jakich wstyd i żal byłby się pozbywać i gusta i nałogi, drugi takiż majątek spożyć gotowe, ale do przyrobienia lub zachowania grosza bynajmniej nie zdolne.

Wojewodzina, jak niemał wszystkie polskie damy dobrego tonu za Stanisława Augusta, zabaw i świata chciwa, strojnica, kokietka, może i zalotna, dołożyła się dzielnie do zmarnowania mężowskiego mienia, i pewno więcej mu straciła, aniżeli wniosła. Gdy jeszcze wraz z młodością

zdrowie jęj niknąć poczęło, gdy zamiast siedzieć u siebie, zarządzać własnej i kraju ruinie, trzeba było ją wozić po Wiedniach, Berlinach, wodach modnych i Włoszech; gdy nareszcie na obcej ziemi rychlęj może niż na własnej umierać jęj przyszło: Wojewoda za powrotem po kilkoletniej niebytności do Polski, ujrzał się zniszczony do szczętu; a ści-gany od wierzycieli krajowych i zagranicznych, dęczony od dzierzawców, pozywany od własnego komisarza, nie wiedział wcale jak sobie radzić, z czego żyć, z czego edukacją dać i los odpowiedni zapewnić jedynemu synowi, ostatniemu dzie-dzicowi tyłu niegdyś imion i włości, co rósł w przekonaniu spólném wielu paniczom: iż należy do małej garstki ludzi nad ludzi, którzy pracować i starać się o nic nie powinni, gdyż Pan Bóg dla nich wyłącznie świat stworzył.

W tym smutnym i ciężkim razie, pogorszonym jeszcze publiczną niedolą, jeden z dawnych przyjaciół Wojewody, nastęrczył mu jako zbawcę, cześnika Dyblewicza; który jak to już wiemy: uczciwą skrętnością, szczęśliwemi zabiegami zbierał był ogromną fortunę, i przymnażał jęj codziennie ratując i urządzając majątki zadłużonych magnatów, w sposób dosyć rzadki na tym świecie, a który dobrze jest wy-rażony znaném przysłowiem: „I wilk syty, i owca cała.“

Ale bo pan cześnik Dyblewicz wtedy blisko sześćdzie-siątletni, nie był wcale pospolitym człowiekiem. Był on, że tak powiedzić można, uosobnioném zdrowiem, i co do cia-ła i co do umysłu. Prawda, że mu na znanych antenatach brakowało, boć nieznanym miał niezawodnie, jak każdy z ludzi. Ojciec jego wbrew konstytucyom staropolskim, wa-żył się handle i *opificia mechanica* traktować, mierzył to-wary łokciem w Berdyczewskim sklepie, a on podczas tęg ojcowskiej zabawy się urodził; choćby tedy był nawet klej-not szlachecki w jego rodzie, już byłby go utracił. Lecz co lepsza jest dla chleba od herbu, Marcin Dyblewicz chociaż bez wielkiej edukacji, bo tylko to umiał czego się darmo

u księży Bazylianów w Lubarzu nauczył, t. j. czytać, pisać, rachować, trochę łaciny i katechizmu, miał z młodu rozsądek nadzwyczajny, bystrość pojęcia wielką, i chęć niezmyśloną wyjścia na człowieka. Dworska służba, jakiej zrazu się chwycił, przez niskie nawet przechodząc stopnie, była dla niego pierwszym szczeblem fortuny. Uzbierawszy nieco grosza, a więcej jeszcze doświadczenia, ożenił się dobrze, bo roztropnie i według serca, i na własny karb żyć zaczął.

Wnet szczęśliwym obrotem kilku zawitych a gł osnych interesów, pozyskał ufność największych panów i szlachty, którzy wabili go do siebie, albo zjeżdżali do niego. Zawołana jego biegłość jako prawnika, najwięcej ich przyciągała; bo wiemy, niestety, że taki jest zdawna duch pieniaczy wielu naszych obywateli ziemskich, iż mało który żyć może bez procesu: pan Dyblewicz zaś raczej własnym rozsądkiem niż głęboką nauką nasze prawa wówczas niedokładne, ciemne i wątpliwe, objąć i zrozumieć potrafił, i przy okazji na korzyść swego klienta wytłómaczyć umiał. Widząc to, wielu żałowało, iż formalnym jurystą nie był; dawni palestranci mówili podziwiając jego dowcip: „Coby to było, gdyby się uczył w Lublinie!“ Może się mylili. Są ludzie, a w naszej Polsce, więcej ich jest podobno niż gdziekolwiek, tyle od natury obdarzeni, iż umiejętność przez drugich wlewana, bałamuci ich; wreszcie pan Dyblewicz zyskiwał więcej na mniemanój nieuczoności, niż drugi na erudycyi: prawnicy z partesu nie tyle się go wystrzegali, a on tymczasem, prostym, praktycznym rozsądkiem, łapał ich jak muchy na lep. Kiedy zwłaszcza jaki patron pół-mędrak z niemieckiej szkoły, zjawił się w jego okolicy, i zaimponować mu chciał, wywodził go zupełnie w pole, ile że niecierpiał wszelkiej niemczyzny. Opowiadając potem tę okoliczność żonie, aż za boki trzymać się musiał, tak śmiał się szczerze, z owych młodziaków, co to w Dubnie albo w Wilnie chcą interes prowadzić, jak nauczał professor filozof na katedrze w Getyn-

dze lub w Halli, który jak żyje, Statutu Litewskiego nie widział.

Ale jeżeli pan Dyblewicz zgrzeszył czasami fortelikiem lub podejściem (co podobno ani prawnie ani wojennie grzechem nie jest, skoro wygraną zapewnia) wynagradzał to stokrotnie ukończeniem pomyślném nie jednych, odwiecznych, a ważnych i często familijnych sporów. Tam, gdzie on na radę i sąd polubowny był wezwany, tam prawie zawsze następowała zgoda. Nie zapominał on wprawdzie o sobie w takich razach, ani się też spuszczał na wspaniałość klientów; owszem tak umiał jasno wyłożyć stronom skutki i koszta dalszego lub nowego procesu, że kiedy wchodząc w układy, odstępowali mu jak żądał połowy tego, co byliby wydali, i on miał dosyć i oni nie szkodowali.

Kilku z podobnie ocalonych klientów, wdzięcznych Dyblewiczowi, dopomogli mu już na schyłku panowania Poniatowskiego do otrzymania z kolei, szlachectwa, tytułu Cześnika, i orderu Ś. Stanisława. W tymże czasie sprowadził się on do Warszawy, gdzie wnet wielkie zmiany polityczne, bankructwa Blanka, Teppera i innych, obcy i spekulacyjny rząd, otworzyły nowe i obszerne pole do zysków, ludziom zabiegłym a pieniężnym.

Ojciec Leona, po krótkiej z Cześnikiem znajomości, uznał równie jak wszyscy, biegłość jego niepospolitą w interesach, i wynurzył mu się zupełnie. Nie tał mu zwłaszcza największego swego udręczenia, owój myśli nieznośnej, ściągającej go dzień i noc: że syn jego, potomek ostatni takiego domu, przyjdzie do nędzy i będzie miał prawo złorzczenia ojcu. Wojewoda zaś jakkolwiek nie wielu rzeczy na świecie świętość i wagę uznawał, i przesiąkł ze złej strony filozofią XVIII-tego wieku, przecież ulegając choć w jednym względzie staropolskim zdaniom, pragnął mieć szacunek własnego syna i widzieć go według siebie szczęśliwym. Trafiło się też nieraz, że wychodząc dla jedynaka z zapory

w jaką egoizm ścisnął jego duszę, mówił szczerze: „Gdybym wiedział sposób pewny ocalenia dla Leona, choć jednych dóbr dziedzicznych, owój Modrogóry osobliwie, zamknąłbym się chętnie na lat dziesięć w jakiej nieznannej pustyni i pracowałbym z potem czoła o chlebie i o wodzie. Największą ofiarę miałbym sobie za nic, byle syn mógł jeszcze pokazać się w świecie, jak na urodzenie jego przystoi, byle mną nie gardził.“

Takowych zwierzań Wojewody, Cześnik słuchał z upodobaniem, a razem misternie; widać było oczywiście, że i dla tego klienta upatruje deskę zbawienia, nie bez pewnej dla siebie korzyści, ale wyjawiać swojej myśli nie śmie. Nakoniec jednego dnia ośmielił się:

—Jaśnie Wielmożny Wojewodo—powiedział siedząc z nim koło wielkiego stołu, na którym leżały stopy aktów, rewersów, pozwów, wyroków i t. d.—cała ta ogromna niegdyś i śliczna fortuna z dymem pójdzie. Za rok nie będzie po co się schylić, i nie znajdziemy na ten Święty Jan, ni katolika, ni żyda, któryby sto tysięcy na dwadzieścia od sta pożyczył; a tuby milionem w gotówce ledwie zaradzić można. Ale gdybym wiedział, że Jaśnie Wielmożnego Pana nie obrażę—i tu wzmógł się w odwagę pokręcając zawieszistego wąsa, — podałbym mu na tę ruinę ratunek pewny. Mam córkę jedynaczkę, Karusię; dziesięciu lat dobiega, i dalipan, na śliczną dzieweczkę jój się zanosi. Mogę dać za nią w dzień zaręczyn milionik jeden, a po ślubie da Bóg doczekać, kto wie, czyby się nie znalazł i drugi. O pańskim synalku słyszę, że pięknych zalet kawaler; na siedmnasty rok mu się obraca: z jakie sześć lat może bezpiecznie poczekać na żonę. Cóż Jaśnie Wielmożny Pan na to?—rzekł jeszcze śmieliej zachęcony milczeniem klienta—już jabym bez żadnej pretensyi prowadził interesa, a prowadziłbym je z kredką i z główką.

Wojewoda za pierwszym słowem pana Cześnika zgadł był o co rzecz idzie, i cała дума nieskażonego dotąd

szczepu, żadnym niestosownym związkiem, bijąc mu silnie do głowy, krwią okryła blade zwykle lica. „Panna Dyblewiczówna! córka berdyczewskiego kupcyka! obok Lubomirskich, Potockich, Opalińskich, Radziwiłłów, Zamoyskich, z którymi to domami był spowinowacony! Panna Dyblewiczówna!“ To imię zaszumiało mu przykro w uszach, jak gdyby mu je kilka znajomych głosów gwiznęło przeraźliwie. Lecz z drugiej strony: gdzie szukać, gdzie wynaleźć podobnie łatwy i skuteczny środek ocalenia majątku dla syna, zabezpieczenia sobie spokojnej starości, i sposobu przejechania się choć raz jeszcze za granicę? Właśnie tego poranku, kiedy wchodził do kancelaryi Cześnika, przebiegła była przez salę jadalną, śliczna jak amerek dziewczynka, i dygnęła mu składnie: zapewne to owa jedynaczka. Piękną kobiecie wiele rzeczy świat wybacza. Jeszcze też był czas dać jej edukacyą przyzwoitą, jeszcze może mówić po francuzku bez akcentu, kłaniać się i tańcować z gracyą; a jak raz zostanie jego synową, jak się odzieje tyłą herbów, tytułów, tak świetną parentelą po mężu, cóż znaczyć będzie panięskie nazwisko? Wreszcie wysztychuje się po prostu na jej biletach, jak to jest moda za granicą: *La Comtesse Karoline****, i połowa świata zapomni, druga wiedzieć nie będzie o Dyblewiczównie. Te wszystkie uwagi i inne tego rodzaju, które lotniej stawiały się w umyśle Wojewody niż wypisać je można, uspokoiły wzburzoną dumę polskiego magnata; wrócił do zwykłej cery, wyciągnął rękę ku Cześnikowi, uśmiechnął się nawet i rzekł pomału:

— Podobna propozycja wcale nie jest do odrzucenia, przecież potrzebuję namysłu; a zwłaszcza radbym żeby się nasze dzieci poznały, nie wiedząc bynajmniej o ojcowskich projektach. My starzy i doświadczeni zmiarkujemy zaraz czy sobie przypadną?

— Nieinaczéj, nieinaczéj — przerwał żywo Cześnik—jabył mojej Karusi za królewicza nie dał wbrew jej woli.

Bo lękając się, by odpowiedź Wojewody nie była grzecznym tylko wybiegiem, chciał i dla siebie w takowym razie zostawić przyzwoitą fórtkę do wycofania się.

I stańło tak między dwoma ojcami: dnia następującego który właśnie był Niedzielą, Wojewoda miał zawitać na obiad do Cześnikowstwa i przywieźć z sobą syna. Jakoż stawił się na godzinę piérwszą, i przywiózł jedynaka. Było to w lecie, państwo Dyblewiczowie mieli piękny dom z obszernym ogrodem, a dla niepoznaki zaprosili kilka małych panienek z sąsiedztwa i dwóch czy trzech studentów. Z początku Leon, może dziecinny na swój wiek, przecież w rzeczy szesnastoletni młodzieniec, chciał należeć do starszych i na dzieci patrzył z góry; ale po obiedzie gdy owi starsi, z bursztynem w ustach, z gazetami w ręku, ciągnąc zwolna z długich cybuchów czysty dym tureckiego tytoniu, zatopili się w kombinacye smutnej polityki, a dzieci biegały wesoło po ogrodzie, dołączył się do dzieci. Jako najstarszy, wnet zaczął rej wodzić i ubawił się przedziwnie. Karolina dosyć już na lata swoje wyrosła i ułożona, a przytem ładna, ustępująca, roztropna, bardzo mu się podobała. On był królem wszystkich zabaw a ona królową; jakoś odrazu tak się ułożyło, a jak to między dziećmi bywa, zaraz tego pierwszego dnia zabrali z sobą zupełną znajomość: ona go zwała Leonem, on ją Karoliną, i owa poufałość została im na zawsze.

Ojcowie postrzegłszy tę dobrą i nagłą harmonią, jakiej w duszy życzyli oba, spojrzeli na siebie z radością, a nazajutrz zawarli formalny układ z podpisem prywatnym, przy dwóch zaufanych świadkach, mocą którego Cześnik w oczach świata, plenipotent Wojewody, zobowiązał się płacić mu roczną pensyą, oczyszczać jego długi majątkiem własnym, w sposób jaki uzna za najlepszy, a to, dla ocalenia fortuny przysłemu zięciowi, ową przedwczesną wypłatą znacznej części posagu córki. Bezpieczeństwo téjże wypłaty

obwarowano jak najmocniej. W przypadku zerwania ułożonego małżeństwa ze strony pana młodego, lub śmierci jednego z oblubieńców, dobra stawały się własnością Cześnika, pod obowiązkiem bardzo szeszupłego wynagrodzenia Wojewodzie.

Atoli ta cała okoliczność została tajemnicą między rodzicami i świadkami; przekonawszy się, że wrodzona skłonność związała Leona z Karoliną, na usilne prośby samój Cześnikowój, nic im o tém nie powiedziano, żeby nie bałamucić młodych ich umysłów niepotrzebnymi myślami. Przez dwa lata, w ciągu których Cześnik z całym swoim dowcipem i skrzętnością, dźwigał i urządzał pomyślnie majątek Wojewody, i kilkanaście procesów wykierował jak najszcześliwiej, widywali się przyszli małżonkowie niemal w każdą Niedzielę. Pan Wojewodzie na pensyi u pana Rousseau będący, gdzie pierwsza młodzież się edukowała (z zaniedbaniem przez wielu konwiktu księży Pijarów), rad był bardzo téj rekreacyi, wraz ze swoim guwernerem Francuzem; ile że Cześnikowstwo przyjmowali ich zawsze dobrym obiadem i wysmienitým winem. Z wielką przyjemnością widywał Karolinę, lubił ją coraz więcej, kto wie, może i trochę w nią się kochał: lubo kawalerowie niedorośli wolą zwykle dojrzale panny od dorastających, interesował się do jój lekcyi, znosił jój kwiatki, motyle; ona znowu uczyła go wygrywać na klawikordzie różne mazurki i piosnki, robiła mu woreczki, pugilaresy: zgoła, byli z sobą bardzo dobrze.

Ale hrabia Leon na pensyi warszawskiej i nauce w Polsce nie mógł skończyć edukacyi; trzeba było koniecznie zagranicy. Nie dla tego, żeby Wojewoda widząc położenie ojczyzny i wady narodowe, pragnął aby syn uczył się rządu od obcych, którzy niepodległemi być nie przestali, i bądź w sztuce wojennej, bądź w administracyjnój, bądź w gospodarskiej, kształcił się na użytecznego obywatela; nie: wówczas polskim panom, rzadko kiedy w wychowaniu dzieci, myśl obywatelska przewodziła. Rozważając ówczesną

edukacją pierwszją w kraju młodzieży, prócz kilku chlubybnych wyjątków, zdawać się mogło (i daj Boże, aby temu dziś nikt nie dał wiary), iż całym światem polskiego panicza będzie salon paryzki, a całym jego przeznaczeniem i powołaniem, uchodzić wszędzie u swoich i u obcych, za młodzieńca dobrego tonu. Jakoż ukłonić się i tańcować zgrabnie, ubrać się według ostatniej mody, jeździć konno z angielska, a przedewszystkiäm mówić doskonale i zawsze po francuzku, decydując o każdej rzeczy śmiało, czy się ją zna czy nie—to był szczyt mądrości i ukształcenia wielu synów najznamienitszych domów, których pradziadom niegdys mała kto wyrównał w umiejętności i w rzetelnym polorze, na pierwszych europejskich dworach, gdy tam potężny swój naród reprezentowali. Dojsć do owego szczytu nie było podobna w Warszawie. Mimo tedy żwawego oporu Cześnika, który stawiał bardzo zacne przykłady ludzi dorzecznych, wychowanych w kraju, podróż zagranicę na lat pięć pana wojewodzica z guwernerem Francuzem, ułożona została. Ów guwerner *Monsieur Duval*, był sobie w Paryżu, fryzyerem czy kamerdynerem, a najpewniej komedyantem niższego rzędu; ale w dobrodusznją Polsce wyszedł na ochmistrza, odejmując los Polakowi uzdatnionemu: bo mówił z paryzkim akcentem, nie źle deklamował wiersze i docwipnie nucił wodewile.

Pod dozerem takiego mentora, Leon miał spędzić lat kilka w Wiedniu i w Berlinie, bywać w pierwszych domach i uczyć się tańca, fęchtowania, muzyki, rysunku, i t. p. Wiedeń i Berlin w końcu XVIII-go wieku i na samym początku XIX-go, więcj miały wziętości u polskich nie mściwych hrabiów i hrabin, od zawołanego nawet Paryża. Paryż dopięro co wstrząsniony olbrzymią rewolucją, gdzie niedawno i cudzoziemek głowy spadały, skoro je mitra zdobila; Paryż, gdzie kościoły zniszczone, powstawały dopięro na głos fortunnego żołnierza, nie wabił tyle co dawniej, co dzisiaj.

Jednak młody nasz hrabia spędziwszy czas wyznaczony w Wiedniu i w Berlinie, miał tam pojechać, i choć krótko zabawić, a potem zwiedziwszy Anglią, Szwajcaryą i Włochy wrócić do Polski. Tu obeznany cokolwiek z interesami pod okiem Cześnika, miał niebawem ożenić się z Karoliną, objąć cały majątek; ojcu zaś swojemu płacić dość znaczną dożywotnią sumę.

Plan takowy nie zawierał w sobie nic tak nadzwyczajnego, coby mu do udania się mogło stawić przeszkodę. W zupełnej tedy pewności i w zaufaniu, że Bóg uchwali im jedynaków, oba ojcowie wypełniali go z kolei; a przed wyjazdem Leona za granicę, osądzili za rzecz przyzwoitą, powiadzić jemu i Karolinie, iż sobie przezuaczeni byli.

W wigilią tedy wyjazdu, Wojewoda nie bez zająknienia się i po całej nocy niespanej, odkrył ów układ synowi, który przyjął to wyznanie dosyć obojętnie. Młodzieńcowi w dziewiętnastym roku, co na pięć lat, na pożądaną i daleką podróż wyjeżdża, żona, dom, zdają się być rzeczy konieczne, w podobieństwie jak starość i śmierć, ale oraz tak dalekie, że zajmować się nimi nie widzi najmniejszej potrzeby. Leon odpowiedział przeto ojcu: „iż niema nic tak dalece przeciw samej Karolinie, lubo w Okolskim, ani w Paprockim, a nawet podobno w Niesieckim, Dyblewiczów nie widział“ (bo napomknąć tu nie zawadzi, iż jak wielu paniczków polskich, pan wojewodzie z całego piśmiennictwa krajowego znał tylko herbarze). Gdy zaś Wojewoda przemówił dosyć żywo o wdzięczności dla Cześnika, o której już nieraz wspominał synowi nawiasem, on tak się odezwał: „Niech tam wreszcie papa układa rzeczy jak zechce; czasu jest dosyć; mnie to zupełnie jedno: jeszcze mi się i nie śniło o żonie i o interesach.“

Wojewoda zaspokojony temi słowy, w dalszą rozmowę nie wchodził; nie miał też żadnej ochoty wyjaśnienia synowi, jakim sposobem, z jakich powodów i jak niezmiennie to mał-

zeństwo ułożyło się, a raczej zawarło. Wymógł tylko, aby Leon, żegnając się nazajutrz z Karoliną, dał jej pierścionek na zakład i żądał od niej wzajemnego upominku; Cześnika zaś i jego żonę, ażeby prosił o błogosławieństwo rodzicielskie.

Wszystko to nastąpiło. Zaręczyny choć nagle, bo odbyte przy samém pożegnaniu, były tkliwie a nawet uroczyste. Rodzice trzymając ręce [nad klęczącą u nóg ich jedynaczką i przyszłym zięciem, wzywając Boskiego Imienia, rozrzewnili się mocno. I Leonowi łzy zakreśliły się w oczach, kiedy Karolina zapłakana, z minką skromną i poważną, przyjęła od niego pierścionek, włożyła mu swój własny z niezapominajką na koniec małego palca, a z rozkazu rodziców, podała rumianą twarzyczkę do pocałowania, którą on tak zwinnie i zręcznie podszedł, że w same usta z zapalem pocałował. Ale jeszcze młody panicz do granicy nie dojechał, kiedy już znikło zupełnie to całe wrażenie; pierścionek dziewczynki zaciasny do noszenia, schowanym został w kryjówkę podróżnej szkatułki, a jej pamięć i obraz niewinny utkwily może na dnie serca; lecz tak cichutko i spokojnie tam siedziały, iż przewidzieć było można z jaką łatwością pierwsze mocniejsze uczucie zasłoni je i przytłoczy. Jakoż tak się stało, ale dopiero w ciągu piątego roku po wyjeździe z Warszawy.

Pobył w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, nawet i w Londynie przeszedł był pomyślnie, a raczej bez burzy. Leon prawie bez zatrudnienia, bawiący się raczej o pewnych godzinach muzyką, rysunkiem, lekką francuzką literaturą, w stolicy Francyi zajęty jej ruchem, szczęściem i wielkością pierwszego i już wtedy dożywotniego Konsula, trawiąc czas na rewiach, spacerach, teatrach, wreszcie na ulicy, mało szukał salonów paryzkich; i jeźli widywał kobiety, to nie takie któreby pamięci Karoliny bardzo zaszkodzić mogły. Jego mentor nie był zapewne człowiekiem uczonym i prawdzi-

wie moralnym, ale był roztropnym; a przez wyrachowanie, żył sam ile możności porządnie, i pilnował wychowanka ile umiał i rozumiał. Ugoda jego z Wojewodą była na czas pobytu w czterech stolicach, a nagroda zastosowana do rozsądnego postępowania Leona, co do ostrożności w związkach wszelkiego rodzaju, i co do ograniczenia wydatków. Skoro ten czas pomyślnie upłynął, Francuz, mając wtedy los zapewniony na całe życie, obowiązany był tylko odwiedzić młodzieńca do Genewy, gdzie Wojewoda zachował był przyjaciół u wysokiej części miasta. Za tych przewodem i radą, albo téż sam, Leon miał dokończyć podróży swoich; do Berlina zaś ojciec zjechać naprzeciw niego zamierzał, bo prezentować go chciał sam u dworu, ożywionego wtedy wdziękami i elegancją pięknej królowej pruskiej.

Gdy tedy Leon zjechał do Genewy, w Czerwcu, 1804 roku, Wojewoda z własnego popędu nakazał kompletne usamowolnienie syna. Cztery lata spędzone w czterech niebezpiecznych stolicach, bez żadnej awantury, zadłużenia się lub skompromitowania, a to w epoce tak drażliwej, zdawały mu się dostateczną gwarancją rozsądku jego i statku. On niegdyś *seduktor* dworu Stanisława Augusta, dobrze widziany na Wersalskim dworze, uczestnik zabaw i intryg, płochy wówczas, później tak nieszczęśliwej królowej, przypominał sobie, jakie było zamłodu jego postępowanie; jak szalał, jak grał w karty, jak długi robił, jak, w kim, i wiele razy się kochał, w co się wdawał.. i dosyć wychwalić nie mógł nadzwyczajnej cnoty i przezorności syna, dosyć mu zaufać. Leon więc po rozłączeniu się z panem *Duval* został sam, niepodległy, z jednym tylko kamerdynerem Francuzem. Dawny jego guwerner, który te pięć rzeczy na świecie szacował: pieniądze, opinią, spokojność, zdrowie i francuzkie wiersze, tę mu ostatnią naukę dał na pożegnanie:

— Zostajesz sam, panem siebie, a masz dopiero lat dwadzieścia trzy; lecz póki worka nie wypróznisz, póki cię

w towarzystwie dobrze widzieć nie przestaną, póki z polityką i apteką nie będziesz miał do czynienia, a w sztambuchu, codzień wierszyk francuzki zapiszesz; póty bądź z siebie kontent, bezpieczny, mów sobie: postępuję jak należy i ojciec mnie pochwali.

Zalecania mu zaś, aby podróżował po owych tyle znaczących wtedy krajach, w widoku ich korzyści dla ojczyzny, albo żeby pamiętał o narzeczonej, żadnej nie widział potrzeby. Polska nie wchodziła bynajmniej w dane mu instrukcyje; nie mówili o niej nigdy, chyba wtedy kiedy list z wekslem się spóźnił, albo kiedy śnieg zobaczyli; co do Karoliny, wiedział, że parę milionów posagu przysłanemu mężowi przyniesie; gdzieżby więc postać mogła w głowie dorabiającego się Francuza, myśl szalona, iż Leon o takim związku na dobre zapomni.

Ale jakże to niedosyć dla młodego, dla każdego człowieka, mieć tylko powierzchowną, światową, i że tak powiem z pod krédki moralność! Jakże łatwo obłąkać umysł, zepsuć serce młodzieńca, który ani w tém życiu, ani za tém życiem, mety szlachetnej nie widzi; który nie ma głęboko wpojonych zasad Wiary, pracy i powinności; który nigdzie bytu narodowego nie dzieli; ale jedynym jego celem: zabawa, używanie świata, pędzenie czasu aby weselój i dalej, a cała wartość: w pochwałach młodych kobiet, w skorém wyzywaniu na pojedynek, w zapłacie kartowego długu, lub w wypróżnieniu bez zawrotu głowy kilku butelek wina. Jak mało rachować można na tego, co niby postępuje przyzwoicie i honorowo, ale nie dla sumienia i wewnętrznego szacunku, tylko dla głosu ludzkiego, a często przez niemożność robienia inaczej, lub przez lenistwo.

Runął téż wnet słaby budynek tak zwanój przez Wojewodę *perfekcyi* Leona; runął tém łatwiej, że on prawie nie postrzegł swego upadku: bo obłąkanie jego było salonowe i dobrego tonu. Jeżeli tracił czas i pieniądze, to na

surprizy i fety; jeśli bladł, chudł i mienił się, to jedynie z sentymentu dla elegantki! z policyą, z polityką, mniej jak kiedy miał stosunków, gdyż czasem i gazet czytać zapomniał; a do sztambucha nietylko cudze i francuzkie wiersze, lecz własne i włoskie codzień przybywały.

Leon zakochał się szalenie i zakochał w mężatce.

Przebiegając Szwajcaryą, gdzie już tlał ogień wojny domowej, i gdzie może mimo przestróg eksmentora, byłby się wdał w które stronnictwo, na brzegach czarującego Lemanu, w tych samych okolicach, gdzie Jan Jakób Rousseau kochanków swoich osadził, poznał księżną Julią P., która także podróżowała z damą *de société*. Mąż księżnej pojechał był do Litwy, odwiedzić sędziwą matkę, młodocianych syna i córkę, a na jesień zjechać się mieli w Neapolu, jeźli-by okoliczności wojenne, tak w owych latach nagłe i ważne, tego zjazdu dozwoliły.

Jest między dziećmi jednej ziemi, choćby one o tę ziemię mało dbały, jakiś pociąg i braterstwo, które zwłaszcza w obcym kraju silnie się odzywa i wiąże. Leon przeto jakby mimowolnie wszędzie się spotykał z księżną P. i nierównie piękniejsze mu się zdawały szwajcarskie widoki, kiedy z nią na nie patrzył; a lubo w ich rozmowach ani słowa jednego po polsku i o biédnej Polsce nie było, przecież wnet do tego przyszło, iż zupełnym towarzyszem jój został, do Włoch z nią pojechał a przydomek rodaka zasłonił wszystkim oczom nieprzyzwoitość téj spółki.

Księżna Julia P., głośna w kraju i za granicą z doskonałej i regularnej piękności i z elegancyi, dochodziła właśnie do owego wieku niebezpiecznego, jak mówią, dla wszystkich kobiet, a mianowicie dla Polek. Bo chociaż powtarzała często, że dzieckiem będąc poszła zamąż, i dopiero od lat kilku dźwigała okowy małżeńskie; przecież nie było tajno nikomu, że już dobrze skończyła rok trzydziesty. Wprawny a obojętny znawca, dostrzegał nawet śladu tych

lat w ściemniałem nieco otoczeniu czarnych oczu, w lek-
kich zmarszczkach na białem czole, i w cokolwiek może
zbytecznej tuszy. Ale dla niedoświadczonego mężczyzny
ileż miała wdzięków, ile sposobów podbicia serca wygląda-
jącego miłości, i zawrócenia młodej głowy, co sama tego
zawrotu pragnęła oddawna.

Bo gdzie jest młodzieniec, zwłaszcza taki co o chle-
bie myśleć nie ma potrzeby, co niczém użyteczném, szla-
chetném zajęty nie jest, i nic prawie nie czyta prócz ro-
mansów i poezyi, któregoby nie ściagał we snach i na jawie,
ideał kobiety pełnej wdzięków i skromności, talentów i do-
wcipu, zapału i cnoty; kobiety, jedném słowem, czarującej,
doskonałej i w nim zakochanej? Ten ideał zazwyczaj błą-
ka, a często gubi nazawsze młodych mężczyzn; najprzód dla
tego: że mało pociechy kraj i ludzkość mieć może z mło-
dzieńca, co w sile wieku będąc, nie pracuje, i mniej marzy
o sławie niżli o miłości; powtóre, że on sam nie wiedząc
o tém, żony w owym utworze nie widzi. Tak było i z Le-
onem: gdy samemu sobie oddany został, czas jakiś jeszcze
w odległej przyszłości może się widział mężem Karoliny;
ale nigdy owa dziewczynka szczupła, wątła, dziecinna, ba-
wiąca się z nim w piłkę, albo ślęcząca nad wokabułami
francuzkiemi, zamknęta w mieście i to w Warszawie, nie
była dla niego ideałem kobiety; a ponieważ marzenia mło-
dości dosyć są podobne do snów, gdzie najniezgodniejsze
rzeczy w parze z sobą chodzą, obie, urojona i żyjąca, mie-
ściły się w jego umyśle: ale urojona piérwój zjawić się mia-
ła, i nierównie większą grać rolę. Długo to zjawienie się
nie następowało, nareszcie przypadło na Julię je spełnić.

Zapewne w marzeniach Leona, równie jak w marze-
niach każdego młodzieńca, owa idealna kobieta była w kwie-
cie wiosny, ulotna, przejrzysta, dziewiczej czystości, nie zna-
jąca dotąd co to jest miłość; zgoła, bynajmniej niepodobna
do trzydziesto-letniej księżnej P., matki dzieciom. Ale i su-

mienie, i rozum młodego człowieka bardzo są łatwe do układów, zwłaszcza wtedy, kiedy z przeciwnej strony stają wdzięki, uczucie i zręczność. Leon wnet ani pomyślał o wieku i o położeniu Julii; wiedział tylko że ją ubóstwia, i że dotąd nic podobnego do niej nie widział.

Julia w sztuce wabności, a wyraźniej mówiąc, w sztuce kokieteryi, już zdawna biegłą była; w zawołanej téż ćwiczyła się szkole, bo wśród *szarmantek* Warszawskich. Jedynym celem tych co się trudnili jej wychowaniem, stało się: żeby będąc wysokiego rodu, nadzwyczaj piękną, a nie bardzo posażną, zrobić mogła tak zwaną w wielkim świecie dobrą partya. Zapomniawszy tedy zupełnie o duszy, o sercu, o prawdziwem przeznaczeniu kobiety, rozwijano w niej jedynie wszelkiemi sposobami—próżność.

Julia wzrosła w inniemaniu, że kobieta stworzona jest do zabaw, do uciech, i do podobania się mężczyznom; i że dla téj co rodząc się, dawne imie i wielką urodę z sobą przyniosła, już połowa roboty spełniona; zostaje tylko starać się o podwyższenie téj urody, o korzystanie z niej, o pozór przymiotów jakie obiecuje, i nie o pokonanie ale o ukrycie wad przyrodzonych i narzuconych. Co tylko mężczyzn przyciągnąć i oczarować może: eleganckie ułożenie, taniec powabny, śpiew tkliwy, rozmowa ciągła i żywa o niczem; wszystkiego tego uczono ją z jak największém staraniem, zwracając zawsze wszystko do świata. Wszystko téż w Julii na powierzchowności się kończyło: religia na czczych obrządkach i przesądach, słodycz na uśmiechu, czułość na westchnieniu, skromność na spuszczeniu oczu, moralność na pięknych słowach. I wnet sami mężczyźni oddali hold téj edukacyi i dokończyli jej. Któż nie wie jak najrozsądniejsi i najmoralniejsi nie zgadzają się z zasadami swemi, w obliczu pięknej kobiety. Wszystko inne znika im wtedy z pamięci; i nie jeden poważny ojciec familii, który w domu potępiał w żonie lub w córce próżność i wynosił

cnotę, skromność, kosztem wdzięków; w towarzystwie, dank im przyznaje, i daleko jest uprzejmiejszy dla ładnej kobiety, co się do niego mile uśmiechnie i słodkie oczy zrobi, niż dla najzacniejszej, ale spokojnej i mniej urodziwej.

Żadna szesnastoletnia panna gruntownie i cnotliwie wychowana, choć nawet równiej urody, nie zrobiła tyle hałasu, ukazawszy się w pierwszym świecie Warszawy z początkiem konstytucyjnego sejmku, ile piękna Julia; żadna nie ściągnęła takiego tłumu wielbicieli, nie wzbudziła takich pasji. Prawda! że kawaler na męża, ów towar rzadki, zwłaszcza kiedy kto chce go mieć wykwintnym, opóźnił się lat parę, bo posag nie był wielki: lecz nareszcie trafił się. Książę P., nie osobliwego jako człowiek, ni rozumny, ni piękny, ni młody, ale bogaty i znakomitego imienia, był co się nazywa dobrą partją; podobno też, wprzód nim rozeznał własne uczucia i chęci, i dał je poznać, już odgadniony i złowiony został. Julia zakochała się w nim szalenie; wyznała mu to przynajmniej sama z prześliczną naiwnością; i wnet księżę oczarowany, wbrew woli szanownej matki swojej, serce i rękę jej oddał. Od tej chwili dziesięć lat z górą minęło, a urok trwał jeszcze. Piękna księżna robiła z zakochanym mężem co tylko chciała. Jakiś czas po zamężciu przemieszkała z nim w kraju, w głębokiej Litwie, przebłągała świekrę, powiła syna i córkę, i uzyskała imię dobrze się prowadzącej kobiety. Lecz życie domowe, Warszawa i Wilno, bez dworu i zabaw, nie mogły mieć powabu dla tej, co jaśnieć pięknoscią i bawić się nawykła, i co jedynie w tym celu poszła zamaż, żeby później czy prędzej użyć świata. Oddawszy więc dwuletnią daninę przyzwoitości, zaczęła chorować na spazmy i na melancholię, i wnet namówiła męża do zwiedzenia obcych krajów. Urodą, imieniem, talentami, a podobno najwięcej zręczną wabnością, zyskała niezmierną wziętość w wielkim świecie znaczniejszych stolic i na kilku dworach, zwłaszcza na Wiedeńskim.

Kochali się w ślicznej Polce książęta udzielni i bogaci panowie różnych narodów, tracili dla niej krocie; artyści najznamienitsi odtwarzali jęj cudne kształty i rysy dłutem i pendzlem; poeci i nie poeci pisali ogniste wiersze— a mąż był zawsze zadowolony. Dotąd co parę lat przejeżdżali się oboje do kraju, żeby urządzić interesa: to jest zbierać jak najwięcej gotówki; wioski puścić na wyższą dzierżawę, z chłopków wymusić choćby chłostą zaległą daninę, żydom na karczmach podnieść arendę, wreszcie pareset dusz sprzedać a przytém odwiedzić sędziwą matkę i chowające się przy niej dwoje dzieci; lecz właśnie tego roku, księżę P. pojechał sam, a żonę dla zdrowia zostawił zagranicą.

Do tęg pory światowi moralisci, dla których w małżeńskim pożyciu trzeba jawnego zgorzienia żeby je ganili, nie tak bardzo zdrożnego nie widzieli w postępowaniu Julii; niejedna kobięta patrząc na nią z zazdrością, mówiła: „Jakie ma szczęście!“ i ona sama może się nie uznawała bardzo godną nagany. Ale już zaczynała doświadczać czczości takowego życia; już, co więcej, zaczynała truchleć czy jęj się nie wysunie wkrótce, owo tak wątłe, a przecież tak potęgne i urocze berło piękności? Te nieszczęśliwe lat trzydzieści skończonych (lubo w jęj przekonaniu nikt o nich nie wiedział) ciężyły jęj okrutnie; a kiedy na potwierdzenie owęj smutnęg prawdy, dostrzegła włos biały w kruczych pierścieniach, skazy na perłowych zębach, albo fałdkę na śnieżnęg szyi, przejmował ją przestach i smutek gorszy prawie, niż gdyby śmierć w oczy jęj zajrzała. Już tęg i zataić tego nie mogła sama przed sobą: nie wzbudzała tak powszechnego jak niegdyś zapału; już wszędzie ją znano; już były inne męzatki, które ona dziećmi pamiętała, co zbierały hołdy dawnięj u jęj nóg składane. Te wszystkie uczucia tyle gorzkie dla podobnęg kobiety, zaczęły wywierać wpływ szkodliwy na zdrowie dotąd silne do zbytku i na umysł wesoły, bo lekki. Doktorowie zowiąc tęg chorobę

osłabieniem nerwów, nakazali dla wzmocnienia i rozrywki szwajcarską podróż. I tam w takim stanie i usposobieniu wewnętrzném Julia poznała Leona.

Od pierwszego wejrzenia podobał ję się niezmiernie; wiemy jak był dorodny, a w tęg porze, pięknosc jego niedawno co męzką barwą odziana, była w całej sile. Do tego, pierwsze ich spotkanie miało coś romansowego: zeszed przy zachodzie słońca, na owych skałach *de la Meilleraye*, zkąd *Saint-Preux* gorejące listy pisał, a pisał do Julii. Odrazu tedy własne wrażenie i silniejsze jeszcze, jakie uczyniła na Leonie, nietylko że pochlebilo ję próżności, ale zajęło mocno imaginacyą; a komuż tajno jak te dwa bodźce porużyć umieją i uwiesć najzimniejsze serce niewieście? Z zupełną tedy łatwością i w niedługim czasie Julia uwierzyła, że owa czcność jakieg doznaje, owe smutki ją napadające, są głosem serca, co długo zaniedbane i zagłuszone budzi się i dopomina koniecznego swego żywiołu kochania, i że zaspokoić je trzeba miłością, dopóki czas.

Nie przyszło ję do głowy i może przyjść nie mogło po takim wychowaniu i życiu, że miłość jest tylko jedynym rodzajem, jedną cząstką kochania, i że dla kobiety, choćby długo i zupełnie oddanej próżności, skoro serce się odezwie, są prócz miłości pewniejsze środki napelnienia go i zaspokojenia w uczuciach córki, żony, matki, obywatelki, siostry, przyjaciółki. Lecz owe uczucia tyle święte i zajmujące, nietylko że nie były obecne, i że tak powiem pod ręką Julii, ale jeszcze nie miały dla nię wiele powabu. Uległa więc po raz pierwszy zapalanej miłości, uległa ję tém gwałtowniej, że tłumila tak długo w sobie, przyrodzony a silny ku tęg namiętności popęd. Wierna jednak zasadam wpojonym z młodu, postanowiła szanować pozory więcej niż kiedybądź; ku temu, sposobem najskuteczniejszym było utrzymywanie ciągle Leona w mniemaniu, że ona jest bóstwem i doskonałością. I udało ję się, mimo

zupełnej dla niego uległości, jak się udawać zwykło wiele niepojętych rzeczy, zręcznym a pięknym damom.

Młody i zupełnie podobnych kobiet nieznający Leon, zachwycony odrazu tylu wdziękami i dowcipem, i upatrując w niej swój ideał, przystąpił jednak z całą nieśmiałością i uwielbieniem, jakie wzbudza w niedoświadczonym młodzieńcu, niewiasta zupełna, skończona, znakomita rodem, pięknoscią, majątkiem, znaczeniem w świecie, talentami i rozumem. Bo nie zbywało Julii i na tych dwóch ostatnich darach; i w tém prześcignęła granice swojej edukacji. Żywa, dowcipna, lubo nie gruntownie uczona, widziała i słyszała wiele, i mówić o tém umiała gładko w trzech obcych językach; tańczyła jak bogini; głos jój był silny, czysty i miły razem, a tak giętki i wyrobiony, że wydać nim potrafiła najgwałtowniejsze i najśłodsze uczucia; prócz tego wielbicielka prawdziwej i oryginalnej muzyki, każdego ludu (wyjąwszy Polski oczywiście) umiała właściwe pieśni; *romanse* francuzkie, *bollera* hiszpańskie, *barkarole* weneckie, *ranze* pasterzy szwajcarskich, *trele* tyrolskich górali, powtarzała z wielkim wdziękiem; wierną mając pamięć, najtkliwsze płody poetów i romansistów francuzkich, angielskich i włoskich, były u niej na rozkazy; przytaczała ich wiersze i zdania z takim wyrazem i tak trafnie, iż wzięść je było można za jój własne: nareszcie, posiadała dar ubierania się inaczéj jak wszyscy, przecieź modnie i gustownie a nadewszystko do twarzy i do figury.

Sideł podobnie obdarzonej j rozkochanej kobiety jak mógł ujść Leon? Przecieź długi czas upłynął, zanim przyznał sam sobie i kochance wzbudzoną namiętność. Julia miała więcéj pracy w ośmieleniu go do siebie, w przekonaniu o wzajemności, niżeli w zupełném z duszą i z ciałem podbiciu. Nieświadomemu, nigdy nie kochanemu podobnie młodzieńcowi, zbyt wielkiém, niepojętém szczęściem się zdawała miłość bez granic, tak doskonałej kobiety; w jego

bowiem romansowém uniesieniu, samo zapomnienie Julii o powinności żony dla niego pierwszego (jak był przekonany, i jak było w rzeczy, choć nie w myśli) stawało się nowym powodem do uwielbienia jój i do wdzięczności.— Nowy téż świat, świat urojeń, świat zapału i rozkoszy otworzył się przed Leonem; całe przeszłe życie wydało mu się niczém: w przyszłość nie sięgał wcale. Jak niegdyś piękny Rynald w zaczarowanych ogrodach Armidy, tak on pod czystém Włoch niebem, owiany ową lubą nieczynnością, która tam często najdzielniejsze dusze usypia; wśród całego uroku natury i miłości, pobudzany jedynie staraniem osłaniania przed światem i przed mężem Julii, ścisłych z nią związków, tak był zajęty i opanowany, że nie mógł a raczój nie chciał nic wiedzieć prócz obecnej chwili.

Bo nie było i jego sumienie bez głosu. Nieraz w godzinach bezsnu lub samotności, czuł jakiś nieznośny ciężar na sercu, jakiś przykry zamęt w głowie; nieraz spojrzawszy znagła w zwierciadło, albo na schudzone ręce, mimowolny dreszcz go przenikał. Częściej jeszcze nawet obok kochanki, bądź czytając o znakomitych ludziach dawnych, bądź co wymowniejszém bywa, słysząc o współczesnych tak obcych jak swoich, o tylu czynach bohatérskich, wojennych, śmiałych, na jakich nie zbywało owym latom, wstyd farbował zbladłe jego jagody, i coś w nim samym upokarzało go. Ale on oddalał te chwilowe przestrogi, i powtarzał przed sobą i przed drugimi, że jest najszczęśliwszy z ludzi. Szczęście zaś jego naprzykrzyć mu się nie mogło, tak jak inne szczęścia tego rodzaju; gdyż nietylko że okryte było tajemnicą, ale nawet przerywane niekiedy okolicznościami, co wtenczas pobyt we Włoszech i niemal w całej Europie niestałym czyniły.

Blizko tedy dwa lata przebył tak Leon, i byłby może wiele innych podobnie przemarnował, gdyby list Cześnika

donoszący mu o bardzo niebezpiecznej chorobie pana Wojewody, nie stał mu się powodem do nagłego dniem i nocą powrotu do kraju, w końcu Stycznia 1804 roku.

Na wieść niebezpieczeństwa ojca, na obawę nieujrzenia go już nigdy, wszelkie inne uczucie zamilkło na chwilę w duszy młodzieńca, a obudziło się przywiązanie i wdzięczność synowska. Leon miarkował to dobrze, iż ojciec na całej ziemi nie kocha, tylko jego i siebie, musiał więc wypłacać mu się wzajemnością; prócz tego pełen pobłażania Wojewoda, właśnie w ostatnim liście przedłużył był o rok cały pobyt syna za granicą, a pod pozorem potrzeby zakupienia kilku próbek sztuk pięknych, przysłał mu dosyć znaczne pieniądze; przyjaźń zaś z księżną Julią P., o jakiej z boku się dowiedział, chwalił nawet, jako z damą dobrego tonu, wszędzie dobrze widzianą, która mogła dokończyć pomyślenie jego edukacji i dopomódz mu z czasem do otrzymania jakiego dworskiego urzędu w Wiedniu albo w Berlinie. Stary i doświadczony światowiec wiedział doskonale, że w podobnych obłąkaniach czas jest lekarzem najlepszym, i że kiedy namiętność gwałtowna ogarnie młodzieńca, wszelkie sprzeciwianie się jest jak woda rzucona po kropli na płomień: podsyca go jeszcze. Wygodne mając zasady moralności, rad był nawet temu, że syn pokochał się w męzkatce; gdyż sądząc po sobie, miał przekonanie iż tego rodzaju miłośćka nigdy nie stanie się przeszkodą do małżeństwa z Karoliną, i do przyzwoitego z nią pożycia. Wtedy pospolicie tak mało wymagano w eleganckim świecie od mężów a nawet od żon; małżeństwo w oczach wielu przestało być Sakramentem: był-to kontrakt, interes dobry lub zły, według tego jak się udało; podejść w intercyzie, albo być złapanym: był-to sposób przyjęty przechowania imienia, zachowania sukcesyi familijnych; łatwość unieważnienia go sprawiała, że niejedna i niejedyn myśleli dłużej nad wyborem

szalu albo konia, jak nad wyborem owego drugiego siebie, owego dozgonnego przyjaciela.

Lecz Wojewoda mierząc syna na swoją stopę, omylił się przecież. Wszystkie wady Leona były wadami wychowania i edukacji; miał on w duszy od początku wszelkiego dobra zarody: migwały się po niej dotąd te drogie światełka, czekając tylko, żeby je ktoś zebrał i dobrze skierował! Nie rozwijany jak trzeba w piérwszém dzieciństwie, bo rodzice zabawami żyli, a Jacenty ze starą piastunką o zdrowiu tylko i o swobodzie panicza myślał; później w cudzoziemskie i niezdatne ręce oddany, serce jego się spaczyło, zdania się zwichnęły. Miał naprzykład z natury pewną tęgość w charakterze; dobrze prowadzona byłaby się zamieniła w dzielność i stałość, tyle rzadkie u nas przymioty: tak, stała się raczej uporem. Był dumny, tę dumę można było skierować do chęci sławy godziwój, do pragnienia przejścia w zasługach zacnych przodków; tak, została mu tylko duma urodzenia, duma rasowa, a ztąd wstręt do pracy i lekceważenie niższych. Leon był szlachetny, bezinteresowny; pieniędzmi prawie pogardzał, dotknąć ich się nie lubił; piękny ten przymiot kiedy dobrze zrozumiany, jemu na to jedynie posłużył, że nie umiał wcale obchodzić się z pieniędzmi: nigdy nie wiedział co ma, co wydać może lub nie może, i zawsze zależał od swego kassyera, bez którego obejść się ani potrafił, a którym był naprzód pan Duval, potem Baptyst kamerdyner. Ztąd także poszło, że od czasu jak zakochał się w Julii, nietylko zubojeźniał dla Karoliny, co bardzo naturalném było, ale zaczął nią pogardzać, jak gdyby bryłą złotą, i postanowił sobie nie żenić się z nią wcale. To postanowienie nie pochodziło z bojaźni, iż dopełnić godnie nie potrafi świętych powinności męża, ani téż z litości nad losem niewinnój ofiary; ale w tém małżeństwie było podejście, że niepowieć podłość, które oburzało szlachetność jego wrodzoną: była

nadewszystko obraza Julii i miłości, a w téj chwili Julia była mu Bogiem, stałość dla niej, religią.

Jednak kiedy Wojewoda wstawszy piérwszy raz z łózka po ciężkiej i śmiertelnéj chorobie, zażądał koniecznie od syna spełnienia ułożonego związku; kiedy opierającemu się Leonowi wykrył z boleścią honorowe stosunki z Cześnikiem, dane słowo, wybrane już ogromne summy, a błady, drżący, jeszcze jedną stopą w grobie, mówił, że nie przeżyje straty honoru i umrze przeklinając syna: Leon do głębi duszy przejęty, znowu w téj chwili zapomniał o wszystkiém i przyrzekł zaślubić Karolinę. Zręczny ojciec pochwycawszy jego słowo, wziął się do zawarcia jaknajspieszniej małżeństwa. Dotychczas choroba jego, troskliwość synowska Leona, były pozorem rzadkiego bywania u Cześnikowstwa; teraz przymusiwszy go do nowych i uroczystych zaręczyn, do podpisania intercyzy, zachodami koło urządzenia pałacu w Modrogórze, tłómaczył jak wspomnieliśmy, nie częste odwiedziny syna, a różne atencye w używaniu u nas, po tak zwanéj deklaracyi, wziął na siebie. Pod imieniem syna przysyłał codzień Karolinie bukiety, owoce, cukry; sypał pieniądze służącym; w obecności jego mówił rodzicom i panie czułe i dwuznaczne słowa, których Leon albo nie uważał, albo przez uszanowanie zaprzeczyć nie śmiał; w jego zaś nieprzytomności opowiadał rzeczy, powtarzał wyrazy, o jakich synowi ani się śniło, ale które popychały do kresu trudną a już konieczną dla Wojewody robotę.

I kto wie, może ta ciągła komedya byłaby zwolna zamieniła się w prawdę. Leon, jak prawie wszyscy ludzie dobrzy z natury, a z edukacyi leniwi i niepewni, sam niewiedząc, dawał się wciągać i okolicznościom i ludziom, zwłaszcza, kiedy mu o tém nie mówiono, i kiedy z przeciwnéj strony nikt go nie podzegał. Julia zaś, bądź z niemożności, bądź z ostrożności, gdyż tedy trudną była i prze-

glądana wszelka korespondencya, wcale do niego nie pisywała. Właśnie tedy na tydzień przed ślubem, Wojewoda uważał z nieco ironicznym uśmiechem, że już mniej potrzebuje wyręczać syna. Raz nawet Leon zapomniał się zupełnie w rozmowie z Karoliną i oczy w nią zatopił; z własnego popędu przysłał jej jednego poranku bukiet przepyszny; lecz niestety! tego samego dnia, Julia, z coraz większą siłą ulegająca miłości, żyć dłużej nie mogąc bez kochanka, zduszwszy dobrodusznego męża nagłą tęsknotą za krajem i za dziećmi, zostawiła go u wód nad Renem, a sama zamiast do Litwy, przyjechała potajemnie do Warszawy z dwojgiem zaufanych służących, stanęła w nieznanym domku około Ujazdowa, i za pierwszym widzeniem się z Leonem, odzyskała zupełną nad nim władzę. Z gniewem najprzód, potem z rozpaczą usłyszała z ust jego o rychłym ślubie z Karoliną; do ostatniego dnia, do ostatniej godziny żądała zerwania wszystkiego; i nareszcie włączając się u jej nóg już w dzień, już w godzinę ślubu, nie dała ostatecznego pozwolenia, dopóki jej nie przysiągł na wszystko co między nimi święte było: że postąpi z zimną, z ambitną, z skrytą, bez żadnej delikatności Karoliną (bo w tych kolorach wystawiła ją Leonowi) tak jak widzieliśmy, i że jej odda list, którego wszystkie przykrzejsze wyrazy ona sama podyktowała.

Ależ owa Karolina, której jak się spodziewam, żadna z czytelniczek nie wystawia sobie taką, jaką ją Julia mieć chciała; owa Karolina, jakimże sposobem do tego stopnia łatwowierną być mogła? Pojmie to każdy, ktokolwiek następujący rozdział przeczyta.

ROZDZIAŁ III.

Matka i córka.

Pan cześnik Dyblewicz, już nam cokolwiek znany, mimo zawołanego rozsądku, owego zdrowia umysłu, z wiekiem nie uszedł słabości dorobkowych bogaczy: mając pieniędzy nad potrzeby, zapragnął zaszczytów. Już dla siebie i dla żony miał co tylko mieć było można w ich położeniu i w krajowém, miał herb, tytuł i gwiazdę; ale zostawało wnieść się parentelą, i córkę jedyną jakby cudem mu daną, bo po ośmiu leciech niepłodnego małżeńskiego pożycia, wykierować na wielką panią.

„Marysiu, mawiał nieraz do żony w parę lat po sprowadzeniu się do Warszawy, ja nie śmiem jakoś mieć ni karety z herbami, ni galonowanój liberyi, ni marszałka za stołem, ni hajduka za stołkiem, choćbym mógł zjeść w kaszy nie jednego panka co tego wszystkiego używa; ale dailipan, nasza Karusia musi mieć to wszystko, a my patrząc na jęj ostentacyą, będziemy się nią cieszyć więcej niżby własną. Już tam Jejmość niech sobie wybije z głowy, owe familijue projekta; Bóg wie czy Tadeuszek powróci i jak: może bez nogi, bez ręki. (A Tadeuszek był to bratanek

Cześnikowój, który w dalekich krajach dobijał się sławy). Trzeba tylko dać naszej dzieweczce taką edukacją, ażeby w razie i dla senatora się godziła, bo, skarż mię Boże, mieć go ma wielkie prawo.“

Cześnikowa o lat dwadzieścia młodsza od męża, która bardzo szczupły posag mu wniosła, i wiedziała, że on głową ogromny majątek zrobił i ludzki szacunek zyskał, wierzyła zaraz po Ewangielii, rozumowi jego i słowom. Bóg u niej był przed wszystkiém, ale mąż zaraz na drugiem miejscu, i miała to przekonanie, że inaczej nie dojdzie do Boga, tylko przez posłuszeństwo mężowi: zdanie jego w jój oczach było nieomyślne, a woła prawem. Nie pochodziło to jednak z tego, żeby i ona własnego zdania nie miała, albo téż ograniczoną była; nie, Cześnikowa należała do liczby nieocenionój owych dawnych kobiet, których rodzaj, niestety! znika prawie zupełnie; co to bez salonowój edukacji są przyzwoite, bez wielkich nauk roztropne, a bez romansów czułe i cnotliwe. W prostocie i uczciwości do lat osmnastu przez pobożnych rodziców na wiosce szlacheckiej wychowana, później na respekcie u zacnej i znakomitej pani, i przez nią wydana za mąż, z serca nabyła grzeczności, z ludzi nauczyła się życia, cnoty z katechizmu. Żadna skarga na los kobiet, żadna myśl o jakiémsi ich poniżeniu, żadna chęć przewrócenia ustaw społeczeństwa, a tymczasem złorzeczenia i szkodenia ludziom, nie powstała jój nigdy w głowie. Równie naturalném jój się zdawało, że urodziwszy się kobietą, nie może być mężczyzną i rządzić światem, jak to: że urodziwszy się w Polsce, jest polką, a nie angielską lub francuzką; a jedno i drugie jako dary z ręki Boga uważając, raczej chlubiła się niemi, niżeli martwiła.

W téj prostocie, na jakąś niejedną z wykwintnych dam dzisiejszych, ruszy ramionami i uśmiechnie się z litością, Cześnikowa była jedną z najzacniejszych i najszczęśliwszych niewiast. Mąż kochał ją i cenił nad wszystkie kobiety, ufność

bez granic w nięj pokładając; domowi matkę w nięj widzieli, przyjaciół miała kilku szczerých; ktokolwiek ją poznał, szacował ją, bywać u nięj, rozmawiać z nią lubił; a ona zawsze dobręj myśli, uprzejma, gościnna, użytecznie zajęta, w zgodzie z sobą i z drugimi, pełna życzliwości dla wszystkich ludzi, blizkich sobie kochającą serdecznie, miłosierna dla ubóstwa, trafna w obejściu się z każdym, a przytem zdrowa, czerstwa, żwawa, czynna, prawdziwym była matrony staropolskięj wizerunkiem.

Przecież i owa kobięta tyle rozsądna i szczęśliwa, równie przez poszanowanie zdania i woli męża, jako i własnej ulegając skłonności, nie wychowała tak córki jak sama była chowana; odeszła z łatwością, od dawnęj ulubionęj myśli wydania jęj za syna ukochanego brata, i mawiała głośno: że pragnie widzięć Karolinę daleko uczeńszą i szczęśliwszą od siebie. Może tęż okoliczności i sam postęp wieku wymagały tęj różnicy.

Najprzód, Cześnikowa wzrosłszy na wsi w prostym szlacheckim domu, nie mówiła żadnym obcym językiem; mając samych braci, z których starszy był gospodarzem, drugi żołnierzem, a najmłodszy księdzem, więcęj znała łaciny niżli francuzczyzny; powtóre, talentów miała tylko dwa i to zupełnie wrodzone: głos czysty i miły, którym nuciła naprzemiany, to pieśni pobożne, to śpiewki bojowe, i dar opowiadania. Od bajki o trzech braciach mądrych a jednym głupim, do anegdot o dworach, sejmikach, konfederacyach, elekcyach i koronacyach, wszystko gładko, wiernie, a zabawnie oddać ustnie potrafiła. Ale jakkolwiek wybornie jęj było na świecie z tą szczupłą umiejętnością, czuła, że Karolina chowając się w mieście i przeznaczoną będąc na wielką panią, czegóż więcęj potrzebuje, i że bez *parler franęais* i *toucher du piano* się nie obejdzie.

Wkrótce tedy po sprowadzeniu się do Warszawy, skoro dziewczynka miała lat siedm skończonych, zaczęto ją

uczyć po francuzku i grać na klawikordzie; a gdy zameęście z Leonem potajemnie ułożone zostało, Wojewoda nie mogąc otrzymać od Cześnikowstwa, aby jedynaczkę oddali na sławną wówczas pensją pani Peter, gdzie chowało się wiele córek najpierwszych domów, postarał się przynajmniej o rodowitą francuzkę na guwernantkę.

Baronowa *de Liancourt* przyjechała do Polski z Burbonami, z których najstarszy, mimo niedoszłej korony i tułactwa, Ludwikiem XVIII-tym się mianował, i między swemi króla imię nosił, i królewskie odbierał honory. Jakkolwiek ten upór wyśmiewany od wielu, na prawdę później się odmienił, rzeczą było pewną, iż wówczas w Warszawie, przyszły monarcha Francyi i następcą Wielkiego Napoleona, chleb i mięso brał na kredyt i nie mógł wyżywić i utrzymać kilkunastu dworzan. Przeto Baronowa, podobnie jak wiele jój towarzyszek emigrantek, zmuszona potrzebą, wejść musiała w obowiązki, a z namowy Wojewody, który przepadając za francuzami, znał wszystkich co wtedy przebywali w Warszawie, przyjęła miejsce w domu Cześnikowstwa.

Szczęściem, była to osoba dorzeczy, jak niemal wszystkie te francuzki, które wówczas do edukacji panien polskich się wzięły, i utorowały tém samém, łatwy przystęp licznym a często niegodnym następczyniom. W gruncie (czemuby nikt nie dał wiary) nie posiadała ona nic więcej nauki od Cześnikowój; tak znała Francuzą i język francuzki jak Cześnikowa język polski i Polskę; ale równie dobrego wychowania jak dawnego rodu, wierzyła w Boga i znała położenie i powinności swoje. Nie była wprawdzie wolna od przesądów wyższej klasy, lecz zachowywała przy nich pewną szlachetność, i co na Karoliny dalszy los i omamienie nie mały wpływ wywarło, tytuły i herby poważała daleko więcej od pieniędzy, i mówiła nieraz do koleżanek: „Gdyby mi nie powiedziano że chować mam przyszłą hrabinę, nigdybym w domu nowych panków za góry złota nie przy-

jęła miejsca.“ Atoli u tych nowych panków szczęśliwszą była niżli u wielu odwiecznych magnatów; płacono jęj dobrze i regularnie, i nikt słowa powiedzieć jęj nie śmiał. Już w wieku i słabowita, prawie nie wychodziła ze swoich pokojów, i nawet jadła u siebie. Cześnikowa, której przewyborny rozsądek wskazywał jak jest rzeczą niebezpieczną i bolesną dla matki, kogokolwiek trzeciego, choćby i baronową z Paryża, postawić między sobą i córką, uchwyciła pozór zdrowia i wieku francuzki, ażeby jęj nie oddać zupełnie Karoliny. Sypiała więc jak dawniej dziewczynka w gabinecie obok pokoju rodziców, a do *Madame* chodziła dwa razy dniem na parę godzin, na lekcyę i na rozmowę. Nauczyła się dobrej francuzczyzny, a nie nawykła pogardzać, tém co ojczyście. Baronowa bowiem siedząc prawie zawsze u siebie, mając do woli rumianego rosółu, kapłonów, sałaty, bułek pszennych i drewek suchych na komin, nie wymyślała na Polskę i jęj obyczaje. Nieprzyjaciółka zacięta ówczesnej Francyi i wszelkiej nowości, nie zachęcała uczeniicy do odwiedzania Paryża, ani téż nowszych pisarzy; nawet pani *de Genlis*, jako przyjaciółki Orleanów, nie pozwalała jęj czytać. Karolina poznała jedynie stare dzieła pani *de Beaumont*, Rollina, Fenelona, listy pani *de Sevigné*, a z poetów, Kornela, Rasyna i Lafontena. Jęj część lubo szczupła złą nie była, i do dziś dnia mogłyby bezpiecznie panienki nasze ograniczyć się w edukacyi, na tych ksążkach francuzkich; aleby trzeba, żeby tak jak Karolina lepszych polskich pisarzy z matkami czytały.

Czytanie największą było Cześnikowej rozrywką i uciechą; im mniej przy zatrudnieniach gospodarskich czasu do niego miała, tém je więcej lubiła. Biblioteka jęj była uboga co do liczby, ale bogata w rzecz i w wymowę. Kroniki Bielskich, Reja Żywot człowieka poczciwego, Górnickiego Dworzanin, Kochanowskich i Szymonowicza poezye, kazania i żywoty Skargi: to były ksążki, które po rodzicach jęj się

śostały, i te, czytała i odczytywała naprzód sama, potem z córką. Do tych zacnych starców, co tak dobrze dawną Polskę reprezentują, dołączyła wnet młodszego pisarza, godnego stanąć obok nich: był to Krasicki; upodobała sobie w nim szczególnie pana Podstolego, umiała go prawie na pamięć i często mawiała:

„Nie wiem czém się to dzieje, ale rozumiem go jeszcze lepiej od tamtych, i jakoś przystaje do mnie łatwiej; może to dla tego, że tamci są niemieckim, a ten polskim drukiem.“

Wrodzonym sobie smakiem i jakby przecuciem, rzeczy tłómaczonych lub naśladowanych z francuzkiego, jakimi wtedy piśmiennictwo nasze było zarzucone, nie lubiła wcale. Kiedy jéj kto takowe dzieło pożyczył, przeczytawszy parę kartek oddawała: „Ja w tém nie smakuję — mówiła z pokorną szczerotą—musi to być dla tego, że nie umiejac po francuzku, wielu rzeczy wcale nie rozumiem. Córce ich téż dać nie chcę, bo nie widzę na coby jéj się przydały“ Wolała przeto czytać z nią dawnych przyjaciół, albo téż siedząc przy robocie, opowiadać jéj różne domowe i publiczne rzeczy, uczyć ją sielanek i piosnek Karpińskiego, dumy o Żółkiewskim Niemcewicza, i innych wierszy tego ulubionego poety, które wówczas jako z daleka przybywające, usta ustom podawały, i uwieczniały się tym dawnym a najlepszym sposobem.

Tak dobrze i mile w języku ojczystym uczona Karolina wprawiała się przy ojcu w pisanie listów, nie zmyśloń lub sentymentalńej treści, ale rzeczywistych, choć nieraz nudnych i suchych. Zasadzał ją do téj roboty przezorny ojciec, już od czternastego roku. „WMCPanna—mówił jéj raz—będziesz, da Bóg, Jaśnie Wielmożną, i panią dóbr wielu; trzeba mieć pomódz mężowi w potrzebie, a wreszcie go i zastąpić. Znać się na interesach, nie być obcą terminom prawnym, wiedzieć jak do kogo pisać przyzwoicie, jak go tytułować, to jeszcze potrzebniejsze dla zacńej damy, niżli

parler français, grać na szpincie, włoskie trele śpiewać, mazać oczy i nosy, a w skokach rańtuchem się owinąć albo bić w bębenek.“

Jednak i na te wszystkie pomniejsze nauki i talenta, pan Cześnik, lubo miał zwyczaj obejrzeć grosz dwa razy nim go wydał, bynajmniej nie żałował; a do córki najpierwsi metrowie warszawscy chodzili. Uczył ją muzyki Żywny, który tylu dobrych uczniów wystawił; udzielał ję włoskiej metody biegły w śpiewie de Santis; młody i pełen talentu Ludwik Simon przewodniczył w sztuce rysunku; stary już Kurczyński ale jeszcze mistrz wielki, w układaniu nóg i figury, palcami na tabakierce pokazywał ję doskonale kroki rozmaite, nadewszystko menueta; a nieruszając się z krzesła, więć ję nadawał szlachetności, gracji i lekkości przyzwoitęj, od wielu skoczków dzisiejszych.

Tak wszystko w pomyślnym składzie wychowania i edukacji Karoliny, łączyło się, aby z nię zrobić kiedyś miłą, lubą, wdzięczną Bogu i ludziom, i prawdziwą kobietę; boć wiemy wszyscy że wychowanie i edukacja są tylko przedmową do życia.

W tém wszystkiem jednak najwięć była winna matce. Chociaż Cześnikowa nigdy nie zebrała w głębokie zdania, nie ustroiła w wymowne słowa, przeznaczenia i powinności niewiasty, ani tęż nie czytała dzieł o edukacji (gdyż to wszystko jest dopiero własnością dzisiejszych czasów), przecieź, wybornie uczyła córkę tych ważnych rzeczy codziennym przykładem, i dobrze ją prowadziła nie domyślając się tego; w podobieństwie do owych dawnych ludzi, co to mówili i pisali jak Bóg dał: nie przewidując wcale, że z naturalnych obrotów ich języka i pióra, prawidła języka doskonalone będą.

Pierwszą cnotą, a podobno najważniejszą dla kobiety po pobożności, jaką wpoila Cześnikowa w córkę, było posłuszeństwo. Nie potrzebowała ona czytać i zastanawiać się

wiele, żeby wiedzieć: iż kobiéta zawsze kogoś słuchać musi. Sama, niegdyś słuchała rodziców; dalej, owój pani, na której dworze bawiła: nareszcie męża. Słuszną więc bardzo zda-
wało jój się rzeczą, żeby córka jój słuchała. Przy najwię-
kszej tedy macierzyńskiej miłości, nigdy nie dozwoliła nie-
posłuszeństwa Karolinie, nigdy sobie ubliżyć nie dała; harde
odpowiedzi do jakich wszystkie dziewczynki mają skłonność,
od pierwszego dzieciństwa surowo karcone, łatwo wykorze-
nione zostały: poufałość zbyt wczesnie usunięta. Karo-
lina przecież kochała matkę, jak dziś mało która córka
kocha, bo widziała w niej razem obraz Boga i najserdec-
niejszą przyjaciółkę; przejęta ku niej świętą bojaźnią, je-
dno jój słowo, jedno spojrzenie, było karą lub skazówką;
a przytem zaufanie tak miała zupełne, że myśli żadnej nie
zataiła, i nawzajem każde jój życzenie zgadła, każdą zgry-
zotę osłodziła, i najlepiej z nią lubiła przestawać i rozmawiać.
Wyższość nawet udzielanej sobie edukacyi, owe jój
umiejętności i talenta których matka nie posiadała, w ni-
czem nie zmniejszały jój uszanowania, jak to u dziewcząt
źle prowadzonych się zdarza; owszem, powiększały jój przy-
wiązanie: ozdabiała się niemi z podobnym uczuciem wdzię-
czności, z jakim stroiła się w kosztowne i modne suknie,
które matka dla niej skupowała, chociaż sama takich nie
nosiła ani dawniej, ani teraz.

Charakter męża, okoliczności, dopomogły Cześnikowej
do wprawiania córki w zamiłowanie, i w uznanie potrzeby
innych ważnych cnót niewieścich. Przychodziło to wszystko
bez planu i zamiarów, samo z siebie; bo jak w edukacyi,
tak w życiu, najprostsza a razem największa sztuka, jest
korzystać bez wielkich namysłów a trafnie, z tego, co ma-
my pod ręką. Cześnik był w całym znaczeniu tego wyrazu,
pan w domu; a przytem skłonny do gniewu, porywczy, po-
sądzający, i kiedy nie szło o pokazanie się, oszczędny, pra-
wie do skąpstwa. Łatwo zgadnąć, ile podobny charakter

wymagał od żony cierpliwości, słodyczy, i rządu. Cześnikowa wykonywając ciągle te cnoty, wdroszyła w nie córkę, a oraz odkryła jęj jakby od niechcienia tę piękną tajemnicę przeznaczenia kobiet, że na to żyją, aby szerzyły ile możności około siebie, panowanie dobrego, osłaniały złe spełnione, zapobiegały mającemu się spełnić. Karolina jeszcze nie dorosła, kiedy już w tych staraniach zaczęła pomagać matce; ona lubą wesołością najspnadnięj wywabiała troski, uśmierzała gniew ojca; ona broniła przed nim domowych, tłumacząc ich przewinienia; a potęm przykładem, słowem, lub żarcikiem trafnym, umiała ich zachęcić do uniknienia na przyszłość odwróconęj dziś burzy. W podobnych ćwiczeniach nauczyła się także trudnęj a wielce przydatnęj sztuki: nauczyła się milczeć w potrzebie. Obok religijnego zamiłowania prawdy, matka wpoila w nią to przekonanie, że są rzeczy które zataić trzeba; i że jeżeli nigdy mówić nie należy tego co nie myślimy i nie wiemy, można czasem nie powiedzieć tego co myślimy i wiemy. Do tych wpojonych przymiotów, Karolina miała jeden sobie właściwy: uczucie własnęj godności. Jeszcze małą będąc bawiła nieraz rodziców, tęm, że nigdy nikomu nie dała ubliżyć sobie, a jeżeli się to już stało, umiała pokryć zręcznie doznane ubliżenie. Bądź, że uważana od pieluch za dziecię wybrane i uproszone od Boga na pociechę sędziwego ojca i pragnącęj potomstwa matki, chciała odpowiedzieć tęj łasce; bądź, że późnięj wzrosłszy w nadziei świetnego losu, nauczyła się uważać za wyższą istotę, to było pewne: iż na wielkim szacunku samęj siebie jęj nie zbywało; polegała na sobie: pewną była drugich dobręj opinii, i zgadzało się to z jęj charakterem, wzięść raczęj na siebie winę osoby, którą poważać była powinna, jak wyjawić bład jęj przed światem i skarżyć się na nią. Nie zgadywała nieboga, że trafia na obszerną sposobność, do wykonania tęj, czy cnoty czy słałości.

A miłość, owa wielka, urocza i nieraz prawie nietknięta strona niewieściego serca, jakąż była, a raczej jaką być obiecywała w sercu Karoliny? Oto jak woda rzek niektórych, czysta, powolna, przejrzysta, i razem głęboka, poważna, siłna i trwała. A i w tym ważnym punkcie całą zależytą matce była winna.

Cześnikowa w bogobojnej prostocie tę jedyną miała co do miłości maksymę: „Kobięta w całym życiu jednego tylko mężczyznę miłować ma, a tym mężczyzną winien być mąż.“ To zdanie na które może się oburzy niejedna i niejeden, wpoila głęboko w córkę, a okoliczności ułatwiły ściśle i rychłe jego wykonanie.

Miłość w Karolinie wzrosła tedy z nią razem, i wzięła natychmiast szanowne imię cnoty. Rozdzielona z narzeczoną, żadnych nie czytając romansów, nie mając innej przyjaciółki prócz matki, nie znała ani w rzeczy, ani w myśli lubych, czarownych, namiętnych, ale prawie zawsze nagannych, nieprzyzwoitych i niebezpiecznych stosunków kochanki z kochankiem. Od dwunastego roku, od chwili kiedy Leon wyjeżdżając zagranicę dał jej pierścionek, i złożył pocałowanie na jej ustach, od tej chwili już był dla niej mężem, i matka nie tylko pozwoliła ale przykazała tak go uważać. On, wówczas kilkudziesiąt mil nie ujechał, kiedy znikło w nim tych niewinnych zaręczyn wrażenie; ale w jej tkliwym i dziewiczym sercu, ten moment wyrzył się na zawsze. Odtąd, już była Leona duszą i ciałem; już całą przeszłość od niego zawisłą widziała: już w nim złożyła cały zapas myśli i uczuć miłosnych. Nigdy żaden inny mężczyzna nie tylko serca jej nie poruszył, ale nawet chwili zamyślenia się, rumieńca nie był przyczyną. Wszyscy inni byli jej zupełnie obojętni; byli to bliźni, bracia, a raczej kobiety w odmiennym stroju: mężczyzną był jeden Leon. Wreszcie nie widywała ich też wielu; rodzice staropolskim obyczajem, uważali próżnych adoratorów za rzecz zupełnie dla

panny niepotrzebną, a nawet nieprzyzwoitą; a nie chcąc nikogo ludzi nadziejami, których spełnić ani mogli ani chcieli, prawie nigdzie z nią nie bywali, i tylko poważnych i doświadczonych przyjaciół przyjmowali u siebie.

Gdy jednak Karolina wyrosła tak pięknie, a do tego tajne nie były miliony w posagu, zaczęli się zwabiać zewsząd wielbiciele i konkurenci. Śmiech pusty wzbudzali w dziewczęciu, kiedy ojciec i matka, dumni z takiej natarczywości, mówili jój o tych pretensjach; albo kiedy je sama dostrzegła, to w kościele, to na przechadzce, to wreszcie w domu; bo jój nie szczędzono bukietów, serenad, przejeżdżania na koniu pod oknami, i innych t. p. atencji; a gdy się jeszcze zdarzyło oświadczenie formalne, całą jój odpowiedzią bywały te słowa, z prostotą wyrzeczone: „Oni chyba nie wiedzą żem ja Leonowi poślubiona.“

Karolina z tą myślą kładła się i wstawiała, co więcéj, myśl ta nabrała w jój duszy świętości uroczystej i nieodwołalnej. Cześnikowa widziała w małżeństwie stan szanowny, Sakrament, który kiedy się nie objawiło pragnienie wyższej doskonałości, należał się kobiecie, był jój przeznaczeniem i zaszczytem; ale do przyjęcia którego i do zadośćuczynienia trudnym powinnościom jakie wkładał, wczesnie sposobić się było potrzeba, i wzywać gorąco łaski Boga. Jak tedy Karolinę do pierwszej spowiedzi i komunii wujaszek ksiądz Onufry, który był Kapucynem w Warszawie, uczył i przysposabiał; tak gdy Leon z zagranicy wrócił i już zbliżała się pora małżeństwa, przekładał jój obszernie i poważnie powinności żony, gospodyni, matki; opowiadał jój o świętych niewiastach ze Starego i z Nowego zakonu, które w tym stanie korony wieczystej i czci kościoła się dokupiły; powtarzał: że kobiéta stworzoną została jako pomoc mężowi, że jego nad wszystkich ludzi kochać, szanować i słuchać ma: sporządzać jego szczęście tegoczesne i wieczne, choćby z największém samój siebie poświęceniem. Ka

rolina przyjmowała te przykłady i nauki w duszę swoją; a w kilku miesiącach ślub jój poprzedzających, zamiast być zajęta jak wiele panien w tym razie, wyprawą, zabawami, poważniejsze jeszcze i użyteczniejsze niż dotąd dni pędziła, i zagrzewała się do wysokich cnót i do czystej miłości.

Również do nabywania nauk i talentów, myśl przyszęłego losu silnym bodźcem jój była. Leon o lat sześć od niej starszy, i jeszcze na pensyi, dzięki francuzczyźnie i wrodzonej objętości rozumu, uchodzący za mądrego, zostawił jój był wielką opinią o wyższości swojej, pragnęła zatem wyrównać mu ile możności. Pamiętała każde jego słówko, każdą radę. Tak raz, może na miesiąc przed wyjazdem za granicę, zobaczywszy jój pismo kreślone na własny domysł, jak było wówczas w zwyczaju w instrukcyi wielu panienek, wyśmiewać się zaczął, udawać jój sposób niezgrabny trzymania pióra, pokazywał jak pisać należy, nakreślił jój sam wzory. Odtąd Karolina powtórzywszy je może sto razy, tak się wprawiła w ich naśladowanie, że jój charakter niepospolitej stał się piękności, a tak podobny do pisma Leona, iż sam Wojewoda, który, jak łatwo zgadnąć częstym był gościem przez te wszystkie lata w domu Cześnikowstwa, i cuda o doskonałościach syna im prawił, wydziwić się nie mógł temu podobieństwu, i upatrywał w tém samém, dowód jasny jako dla siebie przeznaczeni byli.

O! jakże takie uwagi, takie zatrudnienia miłe były Karolinie! Z jakąż radością myślała o chwili powrotu Leona, o jego zdziwieniu, kiedy żonę swoją (bo tak ją zawsze zwał Wojewoda w imieniu syna) znajdzie słuszną panną, a dzięki dobrym rodzicom tyle umiejącą. Gdy wyjeżdżał, ledwie rozumiała język francuzki, a dziś płynnie i mówi i pisze; na klawikordzie brzdąkała kilka mazurków i allemandów, teraz sonaty Klementego, waryacye Gelinka nakrzyż, Steibelta koncerta, gra bez omyłki; a słowiczym głosem śpiewa,

przygrywając sobie sama, nie tylko polskich piosnek nieprzeliczone mnóstwo, ale *Nel cor piu non mi sento* i *Mon coeur soupire*. Toż i w tańcu; to i w rysunku. A pismo jój! pismo! jakże go ucieszy kiedy piérwszy raz okiem nań rzucił. Nie znał go zaś wcale, gdyż przez całą niebytność Leona nie korrespondowali z sobą. Z początku, cóżby mogła była pisać dwunastoletnia dziewczynka? później, do rozpoczęcia listowania przystąpić nie wypadało, skoro kawaler nie robił piérwszego kroku. Wreszcie, w owym czasie, mianowicie w ucziwych szlacheckich domach, korrespondencye przedślubne nie były wcale w używaniu; list panny do kawalera uważano za rzecz tak nieprzyzwoitą, że trafiali się kontuszowi ojcowie, co umyślnie bronili córkom uczyć się pisać, ażeby im ochota kiedyś nie przyszła do kręślenia takowych. Wprawdzie kroniki światowe wspominają, jak próżną się okazywała nieraz ta zbytuczna przezorność, ale przecież grunt jój był w obyczajach, i Karolinie ani przeszło przez głowę, żeby mogła korrespondować z Leonem. W jój myśli nawet, wszelkie owe zdziwienia, odkrycia, uciechy, rozmowy o jakich marzyła, dopiéro po ślubie nastąpić miały; bo wtedy już żoną będzie Leona, będzie z nim zawsze, będzie poufałą jak matka jest z ojcem. O nieśmiałości panieńskiej, o skromności dziewiczej, o dumie niewieściej tyle się nasłuchiwała, wreszcie tak je miała głęboko wpojone, że z pewną nawet bojaźnią myślała o czasie, jaki miał spłynąć między przyjazdem Leona i ich ślubem. Nie wiedziała wcale jak ów czas układać, nieśmiała zastanawiać się nad nim, przeskakiwała go więc myślą; i najmiliej jój było widzieć się mężatką, kochającą i kochaną, skutkiem najświętszych przysiąg i węzłów, na wsi, w owój pięknej i starożytniej Modrogórze, w której upatrywała przedwcześnie siedlisko miłości i szczęścia: tam otwierała dopiéro rozległe pole owemu pragnieniu i usposobieniu do doskonałości, jakie czuła w sobie i spodziewała się znaleźć w drugich.

I dla tego to wszystkiego, mimo najwyższej delikatności, niepospolitego rozsądku i wielkiego daru uważania i postrzegania, tak mało się wydała wymagającą, tak łatwo złudzoną od samego przyjazdu Leona, aż do ślubnego wieczora. Najprzód, choroba niebezpieczna Wojewody, śpieszne przybycie syna, uprzedziły dobrze ku niemu, już i tak uprzedzone i roztkliwione serce. Kiedy go zobaczyła piérwszy raz pięknym, wyrosłym, zmężniałym, ale bladym i zmienionym, przypisała jedynie tę zmianę niewygodom podróży i nocom bezsennym spędzonym przy ojcu. Zamiast tego pocałowania, które on złożył na jój białej rączce, byłaby rada jego rękę ucałować z uszanowaniem, gdyż widziała w nim wzór synowskiéj tkliwości. Obojętność z jaką patrzył na nią, rozmowa przerywana, krótkie odwiedziny, wszystko to owéj szlachetnéj przyczynie przysądzała; a miłość jój rosła szacunkiem. Matka również w tym razie do omamienia gotowa i nie znająca bynajmniej modnego świata, wzmagala jój uczucia potakując im zupełnie; często nawet mawiała:

— Wiesz, mnie to cieszy, że on więcéj zajęty ojcem niż tobą; dobry syn zawsze bywa dobrym mężem; a wreszcie, nic warte przedślubne miłości: jak się pobierzecie, dosyć będzie czasu.

Takie i podobne słowa gładziły jakby balsamem serce Karoliny i żadnéj nie dopuszczały obawy.

Cóż dopiéro, kiedy wyzdrowiały Wojewoda, człowiek tyle rozumny i zręczny, tak świat i kobiety znający, użył jak widzieliśmy wszelkich sił i obrotów, na osłonięcie tego, co w postępowaniu syna dziwném wydać się mogło. Złudził nietylko [Cześnikową i jój córkę, ale złudził samego Cześnika, owego szczwanego lisa w interesach, lecz zupełnego nieuka w sztuce podejść salonowych. Najzręczniejszy spekulant, lichwiarz Izraelita, nie byłby zarwał na trzy grosze starego Sarmatę; ale pan Wojewoda jedwabnemi sło-

wy złowił mu skarb najdroższy: córkę i jój szczęście; bo z tamtych przebiegami był obznajmiony i miał się z niemi na ostrożności; tego podstępów ani przypuszczał, ani wystawiał sobie.

Karoliny omamienia dopełniły jeszcze wzmiankowane wyżej dni przedślubne.

Już kilka miesięcy było minęło zręcznych Wojewody konkurów. Ile okazywał dowcipu i sztuki w obchodzeniu się w domu Cześnikowstwa, tyleż dowodził biegłości w obejściu się z synem. Znając jego charakter, nie naglił na niego, nie przechwalał Karoliny, ale jakby od niechcienia umiał wystawić w jak najlepszym świetle jój wdzięki, rozsądek, zupełną niewinność, i przyzwoite na przyszłą hrabinę sentymenta i manieri. Ona sama trochę śmielsza do Leona, im więcej się zbliżał dzień ślubu, zaczynała podnosić na niego spuszczone dotąd oczy, i nie kryć przed nim miłego ich światła i anielskiego wyrazu. Już czasami przemawiała cokolwiek, a jednego wieczora kiedy siedzieli oboje w ogrodzie, na téj samej ławce, gdzie siedli byli lat temu ośm, po piérszém poznaniu, zajęła go przypominaniem tych dawnych czasów, i tkliwém opowiadaniem o zacnej baronowej, która ją po francuzku dobrze wyuczyła i tak dobrą była dla niéj, a przed pół rokiem odjechawszy za Burbonami, umarła w Mitawie. Czy to żywość mowy i czucia, czy miłe światło zachodzącego słońca, czyli téż urok wiosenny, albo lat ubiegłych pamięć? tego wiedziéć trudno; coś jednak sprawiło, iż Leon postrzegł i uznał że Karolina jest śliczna; ona zaś spotkawszy jego oczy w nią wlepione i to mówiące, zmieszła się jak jeszcze nigdy w życiu, a ojciec piérszszy raz musiał zawołać na syna: „Już czas w drogę,“ właśnie bowiem tego wieczora jechali oba na całą noc do Modrogóry ostatecznie wszystko urządzić.

Za powrotem Leon przysłał narzeczonej ów piękny bu-

kiet, lecz ani dnia tego ani następnych już jój nie widział, a przynajmniej nie temi oczyma, gdyż jak wiemy przyjechała Julia, i zburzyła, przeistoczyła, opanowała na nowo, całe jego jestestwo.

Teraz, kiedy już znamy poprzednie okoliczności owego dziwnego związku, i osoby głównie należące do niniejszej powieści, wróćmy do Modrogóry, a w dalszym obrazie duszy Karoliny, szukajmy wynagrodzenia smutnego jój losu, i nadziei, że kiedyś się zmieni.

ROZDZIAŁ IV.

Piérwsze dwa tygodnie.

Zorza wczesnie w dniach majowych świtająca, zastała Karolinę na tém samém miejscu i jeszcze płaczącą. I zapewne nie zadziwi to nikogo. Bo czyż dosyć było kilku godzin na wydumanie i pojęcie tylu zniszczonych odrazu snów i marzeń? na opłakanie szczęścia, które im doskonałsze być miało, tém strata jego była dotkliwsza; na wyrozumienie gorzkiego zawodu, owego powitania, jakiém los zwykle przyjmuje nieświadomą młodość na jój wstępie w świat.

Rozum, serce, oczy Karoliny, wystarczyć nie mogły cisnącym się myślom, uczuciom i łzom; i byłyby zapewne długi czas jeszcze dumiała i płakała, gdyby brzask piérwszego promienia słońca nie był się przecisnął do jój pokoju przez przezroczyście franki, i nie wstrząsnął całej istoty. Owo prawdziwe spojrzenie nieba, to światło jasne i wspańiałe, przypomniały jój razem obecność i opatrność Boga i konieczność życia na świecie, a piérwsze przypomnienie złagodziło gorycz drugiego. Karolina wychowaną była w rzetelnój pobożności; wiedziała, że owa wysoka cnota zasadza się najwięcej na poznaniu i na dopełnieniu powinności, na

otaczaniu szczęściem tych, z którymi żyjemy, na zupełnej zgodzie z Bogiem i z sobą. Wiedziała także nie z własnego jeszcze doświadczenia, ale z nauk starszych, że zgadzanie się z wolą Stwórcy, stosowanie się do okoliczności najprzeciwniejszych, było jednym z najzbawienniejszych dowodów pobożności. Nieraz mówił jój szanowny ksiądz Onufry, a wierzyć mu było można, gdyż sam przez różne koleje przeszedł: „Dobrze, dziecię moje, żeś pobożna, że się modlisz; ale wierzaj mi, wtedy dopiero będziesz mogła zaufać pobożności twojej, kiedy ją zachowasz wśród zepsutego świata i kiedy los przeciwny zniesiesz z mężstwem i z pokorą. Dopóki wszystko jak dotąd po myśli ci idzie, dopóki matka za rękę cię prowadzi i proch z przed nóg twoich zdmuchuje, dopóty łatwemi ci są życie i pobożność; ale téż dopóty mało masz zasług. Wieniec chwały naszej prawdziwej i naśladowanie Pana i Mistrza naszego, wtedy dopiero się zaczyna, kiedy cierpiąc milczymy i błogosławimy. Małżeństwo, które dziś jako szczęście doskonałe ci się przedstawia, Bóg jeden wiedzieć może co ci przyniesie, a znieść wszystko będzie potrzeba.“

Takie słowa, jakich Karolina słuchała niegdyś z uwielbieniem, a może i z chęcią zastosowania ich kiedyś do siebie (bo młodość chciwa jest i ciekawa wszystkiego, nawet cierpienia), takie słowa, mówię, odezwały się wtedy silnie w jój duszy, i uczuła iż przyszedł na nią czas ich wykonania. Wstała, otworzyła okno, by lepiej jeszcze wschodzące słońce zobaczyć i jakby zbliżyć się do Boga. Ten widok wspaniały, ożywe i miłe majowe powietrze, świeżość drzew i trawników, bzów zapach, śpiew ptasząt, a przytém milczenie śpiących jeszcze ludzi, wszystko to razem obwiała ją jakimś uroczystym i błogiém tchnieniem; uczuła dzielność w całej sobie, a oraz, jakby uśmiechnęło jój się coś w duszy:

— Kiedyś, kiedyś — szepnęła — on wróci, i znajdę mego Leona.

A postawszy czas jakiś w oknie, przejmując się coraz bardziej tą myślą, że nie może być zupełnego nieszczęścia kiedy tak pięknie na świecie, zamknęła szybko okno, spuściła firanki, i prawie z wesołością skoczyła do gotowalni.

— Trzeba teraz moją Wroczyńsię wywieść w pole — powiedziała śmiejąc się, a odpiąwszy mirtowe gałązki i romarynowy wianek, schowała je starannie wraz z dukatem, chlebem i solą, które także miała przy sobie do ślubu; zrzuciła dezabilkę, czepek pieścidełko włożyła na głowę i rzuciła się na łóżko.

Poleżę tak z godzinę — pomyślała — to i dosyć będzie na oszukanie Wroczyńskiej, bo spać pewno nie potrafię.

Nie wyszło jednak pięciu minut, kiedy usnęła głęboko: młodość, zmęczenia i wzruszenia tyle, wywołały wnet sen tak potrzebny w zmartwieniu.

Dziewiąta biła na zegarze w sali, kiedy się obudziła, czując natychmiast ów ciężar na sercu, tak dobrze znany nieszczęśliwym, co to już tłoczy ich duszę, nim przypomnieć sobie zdołają dlaczego? Przecież kilka godzin snu uspokoiły ją znacznie i zatarły wszelkie ślady łez. Spojrzawszy w zwierciadło, aż zła była na siebie że tak świeżo i zdrowo wygląda. Zadzwoiła, przysła Wroczyńska z niemłą ochotą do gadania, dziwienia się i wypytywania. Lecz Karolina z owym instynktem kobietom właściwym, zręcznie i z przyzwoitą powagą odwróciła wszelkie niepotrzebne dyskursy, a obaczywszy Leona już chodzącego po ogrodzie, kazała jęj spieszyć się z ubieraniem, i wnet wybiegła do sali, gdzie wszystko było przygotowane do kawy, a stary Jacenty czekał tylko na jęj ukazanie się.

— O! dobrze, co jaśnie pani przysła—powiedział—bo nasz pan młody skoro wstanie, jeść lubi. Jak małym był chłopcem, bywało, wstać z łóżka nie chciał, dopóki nie zobaczył śniadania. Biegnę dać mu znać i wnet gorącą kawę przyniosę.

Teraz trzeba całą zebrać odwagę — pomyślała Karolina, — pierwszy raz najgorszy. Ale i on biędny! jemu to dopiéro przykro być musi!

A tak więcj rozrzewniona nad nieczulego męża cierpieniem nizeli nad własném, gdy w téj chwili ukazał się we drzwiach od ogrodu i jakby nie śmiał isć daléj, postąpiła ku niemu i wyciągnęła rękę. On ją wziął, ścisnął, pocałował, lecz nie miał odwagi spojrzeć żonie w oczy; a szkoda! bo te oczy wymowne i śliczne z natury, w téj chwili tak lubym smutkiem, tak czystą łzą się ozdobiły, iż trudno było nie pokochać duszy, która się w nich malowała.

Tłumiąc głębokie własne rozczulenie, i chcąc uspokoić widoczne pomieszanie męża, Karolina nalewając kawę, mówić zaczęła dosyć naturalnie, o pogodzie, o bzach rozkwitłych, o słowikach i t. p. rzeczach; a kiedy duże dwa psy angielskie, ulubione pana, weszły do pokoju, jęła pieścić się z niemi, gadać do nich, karmić je, a wreszcie śmiać się szczerze z ich skoków i dowcipu. Leon usłyszawszy śmiech, podniósł oczy i spojrział z zadziwieniem. I ona wejrzenie jego spotkała, a w mgnieniu oka wyrazi: „zimna, ambitna!“ w liście wczorajszym umieszczone, stanęły jéj w myśli; zasmuciła się i umilkła. Ale już Leon nie spojrział na nią drugi raz. Wypiwszy kawę, wstał, poszedł do okna, a patrząc w ogród, powiedział:

— Wysyłam do Warszawy, może napiszesz parę słów do rodziców, donosząc im o szczęśliwéj podróży...—Tu zmieształ się i zatrzymał; wnet jednak dodał: — Jak list będzie gotów, przejedziemy się trochę; czas piękny, i trzeba żebyś poznała majątność swoję.

Karolina skłoniła głową i poszła do swoich pokojów.

Tu znowu przedstawiła jéj się żywo cała gorycz, cała okropność jéj dziwnego położenia. Siadła przed biurkiem, i długo dumiała nim wynaleźć i ułożyć potrafiła słów kilka, coby nie wydały jéj tajemnicy i nie zatrwożyły rodziców.

Pierwszy też raz w życiu przychodziło jój pisać do ojca i do matki razem, gdyż dotąd nie była nigdy bez jednego z nich. Na przykrość i nowość tego rozłączenia, złożyła też wszystko co mogło być smutnego i dziwnego w jój liście, a chcąc się sama utwierdzić w przekonaniu że jest żoną Leona, że jest nią na zawsze, bądź co bądź, i że on już teraz pierwsze miejsce u niej mieć powinien, przytoczyła z ręcznie słowa z Pisma Świętego, które jój ksiądz Onufry w książce do nabożeństwa napisał: „Opuścisz ojca swego i matkę swoją, a przyłączysz się ku mężowi,“ a narreszcie podpisała wielkimi literami przybrane wczoraj nazwisko i tytuły.

Szczęśliwa z dokonania tak trudnego dzieła, szczęśliwa z radością jaką jój pismo rodzicom sprawi, skoczyła po dziecinnemu klaszcząc w dłonie; właśnie wszedł na to Leon o list się pytając: obaczył skok wesoły, dojrzał szumnego podpisu. Zmieszana, złożyła list naprędce i oddała mu go; a nie wiedząc co powiedzieć, prosiła żeby przyłożył pieczętkę na kopercie. Spojrzawszy jój dziwnie w oczy, Leon odjął natychmiast pieczętkę herbową, ślicznie oprawną i rzniętą, którą miał u zegarka, i ofiarował jój. Wziąwszy ją do ręki, Karolina bez żadnej myśli zawołała:

— Jak piękna! dziękuję!

— Zbyt drogo zapłacona,— powiedział Leon z przyციśkiem i odszedł.

O! jakże boleśnie ścisnęło się serce Karolinie. Już tego dostrzegła; nietylko taić, kryć się ze wszystkiem jój trzeba, ale jeszcze każde jój słowo, każde ruszenie na złe tłómaczone będzie. I ona wpadła w to nieznośne położenie, ona, która dotąd przy ubóstwiających ją rodzicach, w tém wszystkiem co się jój samój tyczyło, myślała głośno, serce miała na dłoni, była zawsze taką jaką była, z tém głębokim przekonaniem, że jest dobrze i że wszyscy dobrze ją widzą. Gorzkie i gorące łzy zalały twarz biédnej, i gdy

dano znać iż zajechała karyolka, a pan hrabia czeka na dziedzicu; mimo głębokiego kapelusza i zasłony haftowanej, łatwo było dostrzedz ślady płaczu na jej licach. Lecz nikt na nią nie spoglądał troskliwemi oczyma; dworscy przed sienią stojący, na ekwipaż angielski patrzyli, a Leon zajęty powożeniem i utrzymaniem dwóch bystrych koni, mało zważał na żonę; mówił tylko do niej konieczne przyzwoitością nakazane słowa, wreszcie potrzebą nazywania jej miejsc i wiosek, jakie objeżdżali.

Karolina bała się trochę koni; mało jeździła w życiu, a matka jej, równie jak wiele matron naszych, chorowała zupełnie na tę trwogę, i zwykle jadąc w powozie, krzyczała i wzywała wszystkich świętych pomocy; z początku przeto, widząc się poraz pierwszy tak blisko dzielnych rumaków, prawie w galop pędzących, i na odpowiedzialności woźnicy amatora, nie mogła wstrzymać kiedy niekiedy wyrazów bojaźni. Ale pan Leon, któremu tkwiła w pamięci odwaga, w podobnych i trudniejszych razach inną kobietę, spoglądał na nią za każdym krzykiem z taką pogardliwą litością, że Karolina ścinając zęby, postanowiła w duszy już niczem trwogi nie wydać. Płonęła tedy i bladła naprzemiany, ale milczała, a Leon wziął jej poprzednie krzyki za kobiece udawanie, obecne milczenie za radość zdumioną nad pięknemi włościami, które jej pokazywał, i nad oznakami uszanowania, jakie im po drodze oficjaliści i wieśniacy oddawali.

Za powrotem ledwie Karolina nieco ochłodziła i ubiór zmienić zdążyła, a podległa zupełnie w tej wielkiej sprawie radom Wroczyńskiej, włożyła pierwszy raz w życiu elegancki czepeczek z kwiatkiem: zaproszono ją do stołu. Jeszcze nie było Leona w sali, pochodziwszy więc trochę, zatrzymała się przed wielkiem zwierciadłem; i tak jej było ładnie w tym stroju mężatki, że musiała uśmiechnąć się mile do samej siebie. Złośliwe języki mówią o kobietach, jakoby każda wiedziała doskonale pierwszego dnia żaloby, czy jej

ładnie czy brzydtko w czarnym ubiorze? jakżeby Karolinie, jakkolwiek zmartwionej nie wolno było się przypatrzeć, czy jej dobrze w strojnym czepeczku? Przecież panu Leonowi i to dziwnem się wydało; wszedłszy na te przeglądziny i na ten uśmiech, spojrzął na żonę z szyderskim nieco wyrazem, ruszył ramionami, a nic nie mówiąc, podał jej rękę i zaprowadził do stołu.

Mało co miliej i rozmowniej zaczął się ów obiad od wieczery wczorajszej, a Karolina postrzegłszy smutne zadziwienie w oczach starego Jacentego, który dawnym obyczajem stał za stołkiem pana, zagadała po francuzku. Nie wiele jej szło o kilku z liberyi cudzoziemców, ale pragnęła, żeby wierny sługa, a raczej przyjaciel nie zmiarkował dziwnej obojętności jednodniowych małżonków. Ten wybieg niewinny powiódł jej się lepiej niż myślała. Leon, jak się to zdarza i dziś tak zwaną eleganckiej młodzieży, daleko był bieglejszy w obcym języku niżeli we własnym; odpowiedział jej tedy po francuzku: odtąd mówił cokolwiek częściej i dłużej, i zeszła nie źle godzina obiadu.

Po stole pan młody oświadczył żonie, że ma różne rachunki do przejrzenia, które go zapewne do samego wieczora zajmą.

— Gdybyś jednak potrzebowała mnie lub nudziła się, jestem zawsze na rozkazy — dodał po francuzku i z francuzką grzecznością.

Nie odpowiedziała nic Karolina; jakkolwiek niewprawa, poznała się przecież na tej światowej monecie, a gdy została samą, pochodziwszy smutnie po sali, rzekła do siebie:

— Czyż dla tego, że mi nic według myśli nie poszło, mam opuścić ręce i próżnować? mamże być ciężarem i jemu i sobie? Sąż dni jakie w życiu, z których Bóg nie będzie żądał rachunku? któreby przemarnować można? Nie. Takich dni niema. Wszystkie nasze chwile są policzone, a w każdym położeniu są powinności, prace, zatrudnienia, jakich dopełnić trzeba i można.

Tak piękny sobie powiedziawszy morał, przebiegła w myśli to wszystko, coby w położeniu obecném miała do wypełnienia? Przedstawiły jój się powinności pani domu, o jakich tak często rozmawiała z matką; przypomniała sobie jak już więcej niż od roku, myślą jój było, skoro pójdzie zamąż, objąć natychmiast kierunek całego domu, czuwać nad dworskimi, nad służbą, prowadzić ich, oświecać, w najmniejsze wchodzić szczegóły, jak tego miała z dzieciństwa przykład. Ale któż to miał być jój przewodnikiem i zachętą w tych trudach? zapytała sama siebie z goryczą, załamując ręce. W dzisiejszym stanie rzeczy pewnoby jój za złe poczytano takową ochotę. Leon przyrzekł w liście nie tknąć się dochodów wyznaczonych jój przez ojca, lecz do rządu domu nie wezwał jój wcale... Mogłaby wprawdzie zająć się kobietami, i jak to u nas mówią, panować w garderobie; ale to zajęcie się zbliżyłoby ją więcej jeszcze do Wroczyńskiej, którą i tak nie wiedziała jak dłużej mamieć; zgadywała zaś wrodzonym sobie taktem, że jeżeli żaden mężczyzna wielkim człowiekiem nie jest w oczach kamerdynera, żadna kobieta nie utai długo tajemnicy przed pokojówką, chyba że ile możności milczeć i mało przestawać z nią będzie.

Na czémże się skończył dla Karoliny ów smutny przegląd, do któregoby zapewne żadna dama wykwintnie czuła ani się zniżyła? każda bowiem wolałaby położywszy się z gracyą na kanapie, spazmować, płakać, wzdychać, wziąć do ręki francuzki romans, ubolewać nad przeznaczeniem kobiet, zlorzeczyć mężczyznom i dumać: jakby się to można obejść na świecie bez tego niegodziwego rodzaju? każda — powtarzam—takby zrobić wolała, niżli do tyle poziomój rzeczy zastosować rozsądek i pobożność. Ale nasza Karolina o tém wszystkiém nic nie wiedziała, i w jój prostocie ten przegląd skończył się na zbawienném postanowieniu.

Po długich namysłach uznała, że kiedy dawne jój ma-

rzenia znikły, nic jój nie zostawało, tylko posilać się nadzieją i ufnością w Bogu; prosić Go o cierpliwość, roztropność i prowadzić dalej życie panięskie; dzielić czas między książki, talenta, robótki, nie tracić i jednej chwili; starać się być dwa razy miłszą, lepszą niż dotąd była; śledzić, wypatrywać gusta męża, stosować się do nich, zwyciężać jego uprzedzenie przeciw njej, wkradać mu się do serca, nie zrażając się niczem. „Boć kiedy tu jestem — mówiła z głębokim przekonaniem, stanąwszy na środku sali—to znać, że Bóg sam chciał mnie tu mieć; a chciał dla tego, żebym szczęście męża zrządziła, i w jego szczęściu doczesném i wieczném, własne znalazła.“ A zagrzewając się coraz więcej tą cnotliwą myślą, wyobrażając sobie piękne i wysokie powołanie kobiety, która młoda jeszcze i bez żadnych zasług, może wyższą nad siebie istotę na drogę cnoty wprowadzić, z owém uniesieniem młodości właściwém, klękała, i dziękowała Bogu że jój tak wysokie przeznaczenie wydzielił; a w tój chwili używała zapewne szczęścia czystego, szczęścia nadziemskiego, które pojąć nie każdemu jest dano.

Ale Karolinie innych romansów nie znającój prócz Doświadczyńskiego i Telemaka, wychowanój przez roztropną matkę do czynnego życia, nie do kontemplacyi, nie było dosyć na myślach i zamiarach cnotliwych: wykonać je chciała i to natychmiast. Przeto nie czekając dłużej, wzięła się do przypatrzenia się swoim pokojom, owemu państwu swemu, i do przejrzenia przywiezionych z Warszawy dawnych jój sprzętów, gracików, książek, i tych co w Modrogórze zastała.

Znalazła wszystko nadspodziewanie, i ciągle, to nad troskliwością matki się rozczulała, to dziwiła się pamięci Leona. „Jaki on dobry być musi, dla tych co kocha, myślała sobie, kiedy tych co nie lubi, którzy mu są zawadą, przecież ująć umie.“ Nie zgadywała nieboga, a raczej od-

suwała ten domysł: iż cała owa pamięć była dziełem Wojewody.

Jakkolwiekby, urządziła sobie wszystko; a miała ten dar tyle kobietom potrzebny i miły, urządzenia dobrze i ładnie wszystkiego około siebie. Gabinet przeznaczyła naukom i talentom, salę robocie w krosnach, pokój sypialny modlitwie i pisaniu listów; postanowiła codziennie każdemu z tych zatrudnień poświęcić czas przyzwoity, nie wydzielając im przecież koniecznych godzin; bo wiedziała z domowego przykładu, że każde, na pierwsze zawołanie męża rzucić była powinna; dla tego téż, postanowiła nie zamykać nigdy drzwi gabinetu, żeby Leon nie myślał, iż ona od niego stroni, i żeby skoro zechce mógł przyjść do niej.

Otwierając szkatułki, teczki, nuty, spoglądając na różne wypisy westchnęła nieraz głęboko. Kiedy niedawno układała je i pakowała, myślała sobie niemal za każdym: „Co on téż na to powie? czy się to jemu podoba?” A teraz ani nadziei, aby ów *on* rzucił okiem na ten cały zapas, od lat tylu dla niego zbierany; aby przewodniczył jój dalszym naukom i czytaniom; gdyż wiedziała dobrze, iż wiele jój jeszcze do poznania zostaje; ale mąż miał być jój przewodnikiem; miał własnem, a tak wielkiem w jój opinii światłem, uzupełnić to, czego jój brakowało.

Przy tych myślach i zatrudnieniach zszedł ją Leon, a widząc już wszystkie półki i szafki zajęte, nowe graciki porozstawiane, powinszował że tak rychło i dobrze się rozgościła i urządziła. Wieczór w téj porze krótki a piękny, spędzili na przechadzce po obszernym ogrodzie przerobionym zupełnie po angielsku; lecz na wzór niezbyt odległych Puław, z poszanowaniem starych drzew i szpalerów, co pewnie króla Jana pamiętały. Lubo pora i godzina sprzyjała czułym i sam na sam rozmowom, Leon mówił jedynie o plantach, i najtroskliwiej trzymał się ulic i ścieżek otwartych

i szerokich, gdzie oboje wygodnie iść mogli, nie dotykając się siebie.

Dwa tygodnie spłynęły podobnie; pogoda trwała jak najpiękniejsza; przejażdżki i przechadzki były codzienne; rachunki i interesa Leona bez końca; gońce do Warszawy i z Warszawy bardzo częste, a wyznaczone zatrudnienia Karoliny, aż nadto wolnym czasem dopełniane. Lecz co dziwnego a może i nie dziwnego, biedaczka, pomimo całej pracy nad sobą, pomimo że ani na moment nie żałowała tego co zrobiła, i nie żądała być gdzieindziej, codziennie była smutniejsza, więcej milcząca, codziennie mniej śmiała z Leonem, lubo codziennie więcej lubiła i pragnęła być z nim, słyszeć go mówiącym, siedzieć koło niego. Nieboga, ulegała podobno teraz silnie i na prawdę uczuciu, które dawniej jakby tylko śniła; a miłość, co nieraz dogania i zwycięża stroniących i opierających się, ją, która ani uciekała ani się broniła, snadno schwyciła i pokonała.

Leon nie tylko był młody i piękny, ale co więcej składowy, zręczny, dzielny w tém wszystkim co począł; czy na koniu siedział, czy powoził, czy otoczony ofycyalistami albo gromadą rozkazy dawał, lub prośb słuchał, zawsze był dobrze, i tak jak lubią kobiety, z pewnem niechceniem i przyzwyczajoną dumą. Mając przykład ojca dziwnie uprzejmego dla dam, który (jak się to działo zwykle w wieku w jakim żył) cały szacunek dla płci słabszej okazywał w nadskakiwaniach i komplementach, nabył sam nie wiedząc o tém, względności dla wszystkich kobiet; i kiedy się znajdował czy ze starą czy z młodą, a nie był tak mocno wzruszony jak w dzień ślubu, był dla niej z pewną grzecznością. Karolina nie nawykła do takowego obejścia się młodego mężczyzny, była niem mocno ujeta; myliła się często na prawdziwem znaczeniu tych atencji, a choć omyłki dostrzegła, niechętnie ją uznawała. Prócz tego, Leon wiele rzeczy umiał a raczej wiedział, bo więcej widział niż się uczył; nie

skory do mówienia, kiedy raz zaczął, dobrze rozpowiadał, rozumie się po francuzku; wiadomość zaś jego była daleko więcej kobieca niż męzka; nie obejmowała bynajmniej polityki, prawa, filozofii, historii, statystyki i innych wysokich nauk; łaciny nie przytaczał nigdy, bo łacina wyszła z mody, i nie wiele jej umiał; ale mówił przyjemnie o obcych stolicach, o teatrach, o lekkiej literaturze, o ludziach sławnych jakich widział, a zwłaszcza o Napoleonie, którego napatrzył się w Paryżu, a który w tej chwili już Cesarz, wszystkie zajmował umysły.

Karolina rozumiała wszystko co on mówił, słuchała go z rozkoszą a nawet z wdzięcznością; gdyż wcale do innych rozmów męzkich przyzwyczajona, myślała często, że on z dobroci dla niej tak łatwych przedmiotów dobiera; słuchała, mówiąc sama bardzo mało i nie wydając wcale tego co czuła.—Młode Polki w ogólności—mówię o prawdziwych, to jest o tych co krajowe i domowe odebrały wychowanie, póki ich świat nie okrzese, powodzenie nie ośmieli, są ciche, naturalne, słowem, nie wydatne; nie mają żywości i przytomności Francuzek, decydującego tonu Angielek, ani też Niemek sentymentalności i przesady. Niejedna wiele umiejąca i dowcipna, której poufała rozmowa pełna jest wdzięku, uwaga bystra, zdanie trafne, przed obcemi nie wyjawia skarbów swego rozumu; niejedna prawdziwie czuła i kochająca nie umie wystawić uczucia; długo też tylko bliscy znają je takimi jakimi są w istocie: Karolina wtedy była taką, znali ją tylko dobrze rodzice, a nowe i dziwne jej położenie nie mogło prędko zmienić tego układu. Ona dotąd tak niewinna, czysta i spokojna, z podwojonym wstydem i staraniem ukrywała wzruszenie wewnętrzne, a zamiast popisywać się z pięknnością ciała, z wdziękami duszy tuliła je w sobie, jak owa roślina, *czulkiem* nazwana, co za obcym dotknięciem, skula się i zanyka.

Leon przeto powziął o niej najmylniejszą opinią i zaspakajał tём do reszty własne sumienie. Uznał w niej oziębłość i ambycyą, o jakie obwiniała ją Julia, ale przypisał je do broduszości, a po prostu mówiąc, głupstwu; gdyż to jest zwyczajny i najkrótszy światowy sposób, ocenienia skrzywdzonej lub niepoznanej kobiety:

„Dobre i ładne dziecko, ale głupiuchne, zawyrokował sam w sobie; wszystko z tём zrobić można, lada czём zaspokoić. Ani to myśli, ani czuje; zwyczajnie, lalka: chciało jój się być panią, jest nią i kontenta. Cóż to za porównanie do Julii: w niej dusza, czucie, rozum; w niej wszystko co porywa, co zachwyca, co żyć każe: ona to kocha!‘ A w listach do niej, gdyż jak łatwo zgadnąć na pisanie i odbieranie miłosnych listów tak wiecznie zamykał się u siebie, ubolewał szczerze: „iż nie na większą próbę stałość jego jest wystawiona, i że bóstwo jego nie ma za rywalkę, przynajmniej, kobiety.“

Nie było więc żadnej harmonii między młodą parą w istocie, ale napozór skutkiem obojętnej grzeczności z jednej strony, uległości z drugiej, potoczne stosunki obojga, w tych kilku godzinach co razem pędzili, stały się cokolwiek naturalniejsze i żywsze; a Leon, taki jaki był, zimny, smutny, w innéj zakochany, wydał się Karolinie doskonałą, tylko obłąkaną na chwilę istotą; coraz wzmagala się w niej zaczęta miłość, oraz trudniejszym się zdawało życie czynne, życie dawne, do jakiego tak gorliwie się zabrała w zupełném przekonaniu, że tak jój będzie szło wszystko gładko i łatwo jak niegdyś u rodziców. Nieraz wśród książek, muzyki lub rysunków, przerwała nagle robotę, wsparła głowę na ręce, i tak długie chwile dumala. Nieraz obudziła się w nocy, i co jój się dotąd nigdy nie zdarzało, przez parę godzin usnąć nie mogła; nieraz Wroczyńskiej, lub innym służącym pytającym się jój o co kilkakrotnie, nie odpowiedziała wcale, albo odpowiedziała przeciwnie: sło-

wem, kochała całą mocą pierwszej, prześladowanej i cnotliwej miłości. I nie wyda się to dziwném, tym co znają serce kobiéce, i co sobie przypomnieć zechcą jakie były same, w latach pierwszej młodości. Wtedy jest nietylko potrzeba, ale dopełnienie kochania; za najmniejszym powodem ta siła wychodzi na jaw; mało nawet znaczy przedmiot, więcej nierównie uczucie: tak bluszcz młody czepia się lada czego, byle wznieść się wyżej; tak słowik śpiewa, nie pytając czy go kto słuha, byle się wyśpiewał; i kto wie, czy twórcy naszej logicznej mowy nie chcieli oznaczyć tego rodzaju młodego kochania, owém prostém słówkiem: *kochać się*.

Szczęściem lub nieszczęściem dla Karoliny, bo jednak Leon coraz dłużej i chętniej z nią przebywał, jednego poranku kiedy jój pomagał uprzejmie do nałożenia nowych krosien, goniec z Warszawy przywiózł pakę listów. Leon wzięwszy swoje wyszedł spiesznie do siebie, a gdy przyszedł na obiad, twarz jego była zupełnie zmieniona i smutek ponury. Zdziwiona Karolina nie śmiała przecież spytać go co mu się stało; tém bardziej, że odebrawszy list od rodziców, wiedziała, iż nie z ich domu było nieszczęście. Po obiedzie powiedział jój drżącym głosem: „Mój ojciec dziś jeszcze ma tu przyjechać, i pisze mi, że wkrótce cała moja familia i prawie wszyscy obecni ceremonii ślubu tu nas odwiedzają.“ To powiedziawszy, nie podnosząc oczu, chodząc zaczął spiesznym krokiem po sali, i widać w nim było wielkie wzruszenie.

Karolina nie mogąc zgadnąć, że list piorunujący zazdrosnej Julii, był jedyną przyczyną pomieszaną Leona, osądziła iż zapewne pochodzi z obawy, aby ona nie zdradziła ich tajemnicy przed ojcem i przed gośćmi. Gotowa ofiarą całego życia okupić jedną chwilę cierpienia męża, rada była jakim sposobem upewnić go o niezłomném milczeniu. Chcąc tedy wszcząć rozmowę, w chwili kiedy zatrzymał się niedaleko, zapytała głosem nieśmiałym:

O której godzinie ma przyjechać pan Wojewoda?

— Zapewne na kolacyą zjedzie — odpowiedział; a spojrzawszy na nią i widząc w jęj wymownej twarzy, jakąś chęć powiedzenia czegoś jeszcze, jakieś życzenie, dodał: możebyś pragnęła rodziców swoich tu widzieć, zaprosz ich mo-jém imieniem: bardzo rad im będę.

Karolina przejęta tém mocniej męża dobrocią, a widząc że ciągle w gwałtownym jest stanie, nie mogła wytrzymać; zbliżywszy się do niego, złożyła ręce i z anielskim uśmiechem wyrzekła:

— Bądź spokojny, Leonie; zaufać mi możesz: będę milczeć jak obiecałam.

Niestety! te słowa tak proste i na jakie ona z najczystsze- go uczucia się zdobyła, zupełnie inny zrobiły skutek niż się spodziewała. Leon był niezmiernie rozdrażniony; gwałtowność wyrazów listu Julii, niesłuszność jęj posądzeń, podobno pierwszy raz go ubodły; dobroć, niewinność i piękność Karoliny zaczynały też wywierać wpływ lekki; już powstawał w jego sercu jakiś cień litości; już było w duszy jego coś nakształt obawy, jakowéjs winy względem nięj; a ponieważ najskorsi jesteśmy do gniewania się na drugich, kiedy mamy przyczynę gniewania się na samych siebie, Leon spojrział z gniewem na żonę, wyszedł natychmiast z pokoju, i nie pokazał się, aż gdy kozak wysłany naprzód, dał znać że pan Wojewoda jedzie.

ROZDZIAŁ V.

Rodzice u dzieci.

Państwo młodzi wyszli oboje przed pałac i przyjmowali ojca z winném uszanowaniem.

Może inna w miejscu Karoliny miałaby żal do Wojewody, ale jój to nawet na myśl nie przyszło. Najprzód, była przekonana, iż małżeństwo jój w niebie zapisane, ludziom więc go nie przypisywała; powtóre, mocną miłością przejęta, i lubą niekiedy ożywiana nadzieją, gniewać się nie mogła na tych, co ten związek przyśpieszyli, co taki przedmiot podali jój sercu. Wreszcie, owego wieczora srogie Leona spojrzenie miała jedynie w pamięci; oplakawszy gorzko wyrzeczone słowa, to niejake złamanie obietnicy zupełnego milczenia, postanowiła odpokutować mimowolne przewinienie, względami dla Wojewody, i jak najlepszém udawaniem, na jakie tylko zdobyć się potrafi: a choć ją to bardzo wiele kosztowało, i może dla tego że kosztowało, tak była uprzejma dla teścia, tak nawet wymowna, iż kiedy według dawnego zwyczaju, w wieczór przy drzwiach zamkniętych, zastaowała się nad dniem upłynionym, dziwiła się sama sobie a nawet zadrżała.

„Gdybym tego wszystkiego nie robiła w świętym celu — zawołała — gdyby mi to udawanie tyle przykrém nie było, jakżebym sobie wymawiała tyle nieszczerości. Ale przynajmniej Leon już nie patrzył na mnie z gniewem i zdawał się swobodniejszy.“

Postawiwszy się pierwszego wieczora na podobnej stopie z ojcem męzowskim, już nazajutrz i dni następnych zejść z niej nie mogła. Prócz tego w obecności zręcznego i przebiegłego Wojewody, wszelkie wybiegi łatwemi się stawały: mistrz w sztuce musiał być wybornym pomocnikiem.

Z przenikliwością sobie właściwą Wojewoda odgadł był odrazu wszystko, to jest wszystko co mógł pojąć: wypadki ale nie powody. I tak, w postępowaniu syna obaczył tylko śmieszny i niepotrzebny upór.

„Otóż dzisiejsza romansowa szkoła — rzekł sam do siebie ruszając ramionami — *Malek-Adhel* zajechał mu w głowę. *Richelieu*, *Lauzma* i ja, pewnobyśmy inaczéj sobie poradzili. Obiedwie byłyby kontente.“

W obejściu synowej widział zręczność, dowcip, dumę niewieścią, i zastosowanie wiele obiecujące, owéj światowéj maksymy: „Poco być, dosyć wydawać się szczęśliwym, cnotliwym i t. d.“ A w duszy, rad pomyślniejszemu obrotowi rzeczy, niżli sam spodziewać się mógł, i temu, że wszystko cicho i on skarg żadnych i wymówek nie słyszy, głąskał i spokoił sumienie temi słowy:

„Nie znowu tak strasznie złego nie zrobiłem; człowiek to czasem jeszcze głupi z temi skrupułami. Ona kontenta się zdaje; on nie narzeka i o swojej księżnie nie mówi, a nie sposób żeby tak zostało między niemi na zawsze... ów romans wyszukany skończy się lada dzień... Wreszcie jam staremu za wnuków nie ręczył. Córka jest hrabiną, wojewodzicową, i to dosyć: uiściłem się na słowie.“

Ale trudniejsza rozprawa, dotkliwsza próba, czekała biédną Karolinę.

Rodzice jój jakkolwiek niezupełnie kontenci, że pan zięć nie raczył się ani razu do listów córki przypisać, i przez nią tylko do Modrogóry ich zaprosił, przecież oprzeć się nie mogli chęci uściskania jedynaczki, i powitania jój w jój dobrach, w jój pałacu, wśród jój dworu. Odpisawszy tedy uprzejmie na list ostatni, zapowiedzieli bytność swoją za dni trzy, i zjechali w sobotę, w wieczór.

Karolina obaczywszy rodziców po blisko trzytygodniowym a pierwszym rozłączeniu się, zapomniała o wszystkiem, żeby oddać się cała najżywszej, najczystszej radości. Nie zważając na obecność Wojewody, na Leona, na licznych dworskich przed sienią pałacową zgromadzonych, rzuciła im się do nóg, i ścisła ich kolana z uczuciem prawdziwej staropolskiej córki.

Cześć dla rodziców, widzenie w nich zastępców Boga, były jeszcze wówczas jakby wrodzone w naszej Polsce, u tych wszystkich, co nie przejęli obcych obyczajów. Syn nie śmiał usiąść w obecności ojca bez jego przyzwolenia, mówić jeżeli przez niego ośmielonym nie był; pieśczoć i oznaki miłości tak były rzadkie ze strony rodziców dla dorosłych już dzieci, że poczytywały je za najwyższe szczęście. Cześnikowa opowiadała o sobie (a zdarzenie to było zupełnie prawdziwe), że kiedy ojciec przyjechał w jój dom, pierwszy raz po ślubie, i pocałował ją, zemdlła z radości i ze wzruszenia. Karolina nie zemdlła witając rodziców, bo nie była skłonna do mdłości, ale zapewne w tej chwili uczucia jój nie mniej były silne i czyste. Okazywanie ich szczere, ujęło samego Leona, i może pierwszy raz uchyliła się nieco dla niego zasłona tej pięknej duszy. Przyznał nawet mimowolnie Cześnikowstwu pewne zalety, skoro umieli wzbudzić takie przywiązanie w nieczulej córce; a tak dobrze dla nich uprzedzony przyjmował ich jakby zięć życzliwy.

Karolina ze swojej strony przysięgłszy sobie i obiecawszy Leonowi, nikomu, nawet matce, nie wyjawić ich ta-

jemnicy, przez całe trzy dni od owego zapowiedzianego przyjazdu, siliła się na zebranie wszystkiego coby jęj rodzicom podobać się mogło, i ukryć przed niemi rzetelny stan rzeczy. Domowi, a przed wszystkimi stary Jacenty, ujęci pięknoscią i dobrocią młodęj pani, pomagali jęj na wyścigi. Wnet pokoje przeznaczone dla Cześnikowstwa zapęlnily się tęp wszystkiem co do ich wygody i przyjemności było potrzebne, a coby im dało zarazem wysokie wyobrazenie o zamożności i guście domu. Kuchmistrz choć francuz, dostał sekretny rozkaz sporządzenia na wieczereję kilku potraw czysto polskich. Marszałek z natchnienia Jacentego wystąpił z bogatą zastawą stołu. Piwniczny dobył parę butelek opleśniałych węgryzna, służba przywdziała galonowaną liberyą: dosyć, że piérwszy wieczór zszedł z całą satysfakcyą obojga Cześnikowstwa, a kiedy Karolina odprowadziwszy ich wraz z Leonem do gościnnych pokojów, odeszła wnet pod pozorem że potrzebują wypoczynku po drodze, poczciwi małżonkowie w paradnych łózkach, pod adamaszkowemi pawilonami, rozmawiali dłużej niż do północy o znpelném szczęściu jedynaczki, i obudzili się ze świtem, żeby znowu o niem mówić.

— Ale ona jednak pobladła i oczy ma zmęczone—powtarzała parę razy Cześnikowa; lecz Cześnik śmiechem i konceptami zamykał jęj usta, i żartował sobie z tęp zbytecznej troskliwości.

Nazajutrz była Niedziela, dzień tyle uroczysty na wsi. Kawa, ubieranie się, nabożeństwo, zajęły cały poranek. W kościele, cześć wyrządzona nowęj kollatorce, święcona woda, piérwsza i wysłana ławka, świeca, patyna, wreszcie zjazd sąsiadów, dzierzawców, ekonomów z żonami, ciekawość ich widzenia pani młodęj, która dopiéro trzeci raz pokazywała się w kościele; mimowolne wykrzykniki nad jęj urodą i strojem, liczne pokłony do nóg i powszechne czapkowanie, oczarowały do reszty Cześnika i jego żonę; i za-

pewne w czasie Summy, którą całą przeklęczeli oboje, przejęci byli uczuciem podobnym do owego, co to natchnęło pewnemu senatorowi, ów głośny pod obrazem napis:

Uniżam się przed Tobą, Panie, z publikanem;
Chociaż jestem Sochaczewskim kasztelanem.

Po nabożeństwie, sam Leon oprzeć się nie mogąc urokowi jaki wzniecać umie państwo, znaczenie, i owo że tak powiedzieć można, królowanie pana z panów na wsi dziedzicznej; wreszcie, w lepszą myśl wprowadzony lubemi wspomnieniami dziecinnego wieku, sam Leon, mówię, okazał się nieco weselszy i bardzo uprzejmy. Wychodząc z kościoła zaprosił osobiście sąsiadów, proboszcza i dzierżawców do pałacu: Jacentemu dał zlecenie wezwania do stołu marszałkowskiego oficyalistów, a komisarzowi rozkazał, żeby gromadę suto w karczmie uraczono.

Są uczucia, których podobno żadna siła nie wytepi z serc, w których jedna kropla jest krwi polskiej; choćby uśpione się zdały, obudzą się za pierwszą sposobnością: mimo tedy lat kilku za granicą przebytych, mimo cudzoziemskiej edukacji, mimo żywej i występnej namiętności co wszystko dobre w duszy jego na złe obracała, Leon, w gościnności wrodzonej znalazł dosyć talentu i siły do podjęcia i bawienia licznego, a niekoniecznie dobranego zjazdu. Pomagali mu też dzielnie oba ojcowie i matka, lubo każde w innym sposobie; pomagała i młoda żona, która pełna chęci ujęcia sobie wszystkich, podobania się mężowi, ucieszenia rodziców, wybornie się znajdowała na miejscu tak nowym dla niej, a to najpewniej dla tego, że zajęta drugimi zapominała o sobie.

Lecz owa błogosławiona Niedziela trwać zawsze nie mogła, przyszedł Poniedziałek, nabożeństwa i zjazdu nie było. Leon, jak to zwykle następować po mocnym i mi-

mowolném zapomnieniu się, (ile że wina, do którego miał także skłonność staropolską, pił wczoraj do zbytku) ponury był i milczący. Widząc to Wójewoda zajął się od rana Cześniakiem; jeszcze przed kawą i po kawie oprowadzał go i obwoził po gospodarstwie, pytając wszędzie o zdanie jego i radę, tłómacząc jak umiał najlepiej zbytkowe wydatki, modne nowości, i porozpoczynane fabryki. Około dziewiątej Karolina została sama z matką w swoim sypialnym pokoju, i już nie było sposobu wywinąć się od serdecznej i poufałej rozmowy, od owych wypytywań i żarcików, co koniecznie spotkać muszą nową mężatkę, nie tylko od matki, ale od każdej przyjaciółki zamężnej.

Karolina zgadywała instynktem ową okoliczność, i nie pojmowała wcale jak z niej wybrnie, a nadewszystko jak przed matką piérwszy raz w życiu duszę zamknąć potrafi. Wiemy że do godziny ślubu, jednéj myśli, jednego kroku przed nią nie tała. Kiedy bywało, iż w ciągu dnia nie mogła jój powtórzyć, co jój nowego przez głowę przeszło, co jój kto powiedział, lub téż wyznać błąd popełniony, sen uciekał od jój powiek, i nieraz już o północy skradała się do pokoju rodziców, bosą, w koszuli; przekonawszy się że ojciec śpi, przychodziła do matki, a całując jój nogi i ręce, wyznania swoje czyniła, i dopiero potém zasypiała spokojnie do rana.

Ale taż sama matka rozmawiając z nią często o powinnościach żony, powtarzała jój nieraz:

— Jedną z najpiérwszych jest wstrzamałość, dyskrecya: ta jedynie zjednać może kobiecie ufność męża. Kiedy się później trafi, że ci Leon co powierzy i sekret przykaże, jak w studnią wpaść jego słowa powinny; nietylko wydać go niemasz, ale niczém i nikomu nie pokazać że ci sekret zwierzył, że jest sekret jaki...

— Nikomu?—pytała ze smutkiem Karolina — nikomu? nawet mamie?

— Nawet mnie, dziecię moje—odpowiadała Cześnikowa—i wierzyć mi możesz, boć tu mówię przeciw sobie. Tak, mój aniołku, jak pójdziesz za męża, rodzice drugie miejsce w sercu twojem zająć muszą: mąż przed wszystkiem. Pan Bóg tak przykazał. I przytaczała jęj także wyrok Pisma Ś., który widzieliśmy jak już zastosowała Karolina. I teraz te wszystkie nauki i rozmowy, przychodziły jęj na pamięć; z umysłu nawet przypominała je sobie, żeby się zdobyć w moc, i wynaleźć powód cnotliwy do trwania w milczeniu i w tak przykręj nieufności.

Kiedyś, kiedyś—mówiła znowu do siebie — da to Bóg miłosierny, wszystkie sekreta znikną. Wtedy mama mi wybaczy, pochwali nawet; a cóż to będzie za szczęście!

A tak sobie myśląc i przyrzadzając zwijadełko dla Cześnikowej, która nigdy próżnować nie umiała, milczała, czekając rychło matka przemówi sama. Matka zaś chodziła po pokoju, tabakierkę obracając w rękę i pukając w nią palcami; co było u nięj niezawodnym znakiem, że coś powiedzieć chce, a nie wie jak zacząć. Nareszcie zbliżywszy się do córki siedzącej właśnie w tęg chwili, i bardzo pilnie zajętej rozplątaniem motka jedwabiu, pogłaskała ją po jasnych i skłniących się włosach, pocałowała w głowę i rzekła z półuśmiechem:

— I cóż? po tylu wypadkach i odmianach, nic niemasz mi do powiedzenia, aniołku mój? Jakże tobie jest?

— Mama widzi, że dobrze; bardzo dobrze — odpowiedziała prędko Karolina, spoglądając około siebie, na cały otaczający ją przepych.

— O! ja wiem, iż na państwie i dostatkach ci nie zbywa; ale mąż... jakże jest... jakże to było w pierwszych momentach, nic nie wiem... twoje listy takie były krótkie; prawie ani słowa o Leonie, o...

— Takich rzeczy pisać trudno, a może trudniej jeszcze mówić — przerwała Karolina rumieniąc się—ale wszak ko-

chani państwo przypatrzeć się mogli od samego przyjazdu, jaki on dobry, jak uprzejmy, jak gościnny... Takiego drugiego nie ma na świecie!

A te słowa, rozkochana Karolina wyrzekła z takim zapalem, iż wątpić o ich szczerości nie było podobna.

— Bo mi się jakoś zdawało—mówiła dalej matka—że coś dziwnie jesteście z sobą; wcale nie tak jak na kochające się małżeństwo przystało. Wszak się nie mylę, macie pokoje osobne. Spodziewam się że to nie twój w tém kaprys. Inaczéj widziałaś w domu.

Karolinie już nietylko twarz, ale czoło, szyja, krwią się oblały na to zapytanie; milczała chwilę, nareszcie nie podnosząc oczu z motka jedwabiu i płacząc go wielitościwie, powiedziała:

— Mama wie dobrze, jak to wielcy panowie dzisiejsi, zwłaszcza ci co za granicą gościli długo... Taka moda, taki zwyczaj.

— Bardzo szczególny i nie do rzeczy... To więc ty zawsze sama, biedaczko moja?..

— O! nie, mamó, Leon przychodzi do moich pokojów; czytamy z sobą, chodzimy, jeździmy; a jak miło z nim być! jaka przyjemna, jaka ucząca jego rozmowa: żadnej takiej książki nie czytałam nigdy. Nasłuchać się go nie mogę. Teraz dopiero poznaję co to za wyższy człowiek, jakie szczęście być jego żoną... przykładac się do jego szczęścia...

A w każdym jéj wyrazie tyle jaśniało czucia i prawdy, taka chęć widoczna osłonięcia męża od wszelkich podejrzeń i zarzutów, że Cześnikowa sama niewiedziała co myśleć i sądzić; i przebiegło jéj przez głowę, słowo, „plotki!“ lubo z roztropnością sobie właściwą wstrzymała się z jego wyrzeczeniem.

Bo wiedzieć trzeba, iż jakkolwiek Cześnikowéj jako matce i kobiécie ujść nie mogły niektóre dla innych niedostrzeżone szczegóły, przecież sama z siebie nie byłaby może

doszła tak rychło prawdy; lecz właśnie dzisiejszego poranku, kiedy Cześnik wyszedł był pierwszy raz z Wojewodą, wierna jój Laskowska, która jeszcze przed urodzeniem Karoliny była w jój domu, i z kawiarki na pannę służącą wyszła, ubierając ją, zaczęła strasznie wdychać.

— Cóż ci to? moja Laskosiu, — spytała się Cześnikowa—czy już tęsknisz za Warszawą?

— O nie, proszę jejności; mnie tu bardzo dobrze.... ale....

— Cóż ale, mów wyraźnie; wiesz jak nie lubię tych ogródek,

— Ale, bo lękam się gadać. Jakże się jejności zdaje nasza panna?

— Kto, Wroczyńska?

— Gdzież tam, nasza panna Karolina?

— Nasza pani wojewodzicowa, mów zawsze Laskosiu. Niechnoby cię jegomość usłyszał, że jój nie oddajesz należytego honoru, złałaby cię dobrze.

— Tak, gdyby wiedział co ja wiem, nie mnieby złał.

— A ty co wiesz?—zapytała z żywością Cześnikowa.

— O! moja jejność kochana, nie wszystko złoto co się świeci; ktoby się tego był spodział! Biędna nasza panienka!

— Jak-to biędna; gadajże: truchleję cała.

— A jak powiem, nie będzie mnie jejność łajać za plotki? Oj! nie plotki, to nie plotki! prawda jak Bóg w niebie.

A tu na rozkaz i zaręczenie Cześnikowój opowiedziała jój szeroko i z dodatkami wszystko co jój Wroczyńska wczoraj do północy nagadała: Jako zaraz pierwszego wieczora wszystko dziwnie poszło; jako państwo młodzi się rozgniewali i rozeszli i słychać było chodzenie prędkie pana hrabiego i trzaskanie drzwiami; jako nazajutrz batystowa chustka panienki tak była mokra od łez, żeby ją wyżąć można; jak od tego czasu pan sobie zawsze w swoim pokoju, a pani

w swoim; jak u stołu najczęściej siedzą jak mruki kiedy, gości niéma, albo téż bąkają po francuzku, że ich nikt nie rozumie; jak jeszcze ani pies ani kot tego nie dostrzegł żeby pan hrabia choć na żart pocałował żonę, tylko zawsze zadumany pisze i pisze, a do Warszawy posyła i odbiera listy.

— Wszyscy tu naszój panienci żalują — powiedziała nareszcie Laskowska -- i mówią, że to owa nieszczęsna zagranica wszystkiego przyczyną. O! dalibóg! zgroza powtarzać co oni gadają. Bóg widzi, człowiek co z poczciwój Polski nie wyjrzał, to i nie słyszał nigdy o takich rzeczach; otóż powiadają, że pan hrabia ma gdzieś tam we Włoszech drugą żonę, księżnę, czy czarownicę: urzec go miała do szczętu. Jak to się stało, nikt o tém z pewnością wiedzieć nie może, i co teraz między niemi się dzieje, nikt nie wie; bo nikt nie ma przystępu do pana hrabiego, nawet pan Jacenty co go nosił i wyhodował; ledwie u stołu dozwolą mu stanąć za stołkiem pańskim, albo nakryć do kawy: gawieź przekłeta obca wszystko zagarnęła. Pan hrabia ma przy sobie jakiegoś łotra kamerdynera, Francuz, Włoch, Niemiec czy djabeł, Bóg go tam wie; on sam koło pana chodzi, ubiera go, pieniądze trzyma i do gabinetu pańskiego ani da zajrzeć komu; cały dawny dwór aż się trzęsie na niego ze złości; w łyżce wody radziby go utopić; Baptyst się zowie, ale bodaj tam przepadł taki baptyst, lepsze nasze zgrzebne płótno.

Cześnikowa słuchając tego całego opowiadania nie wiedziała sama czy żyje; czerwieniła się, bladła, nogi pod nią drżały, serce jój ścisnęło się, kostniała zupełnie. Zrazu chciała zamknąć usta Laskowskiéj; lecz ciekawość naturalna w takiém zdarzeniu, wszelkie względy i całą roztropność przemogła. W chwili kiedy na odpowiedź, i nie wiem czy na zbijanie zarzutów, czy na dalsze wypytywanie się zbierała, wszedł do pokoju Cześnik, wracający z pieszych opro-

wadzań Wojewody, na kawę; domyślny i przenikliwy a posądzający, doszedł odrazu z zaperzoną twarzą Laskowskiej, ze wzruszenia żony i z ich przełknięcia, na jego widok, że były jakieś plotki na warsztacie. Skłonny do gniewu, zwłaszcza ze swojemi, w mgnieniu oka łagodną i jaśniejącą twarz z jaką wszedł, zmienił w srogą i nadętą; wargi mu zadrżały, zgrzytnął zębami, tupnął nogą, pięść podniósł, a zakławszy straszliwie krzyknął wielkim głosem:

— Wara waszeci i tobie pociuchu przekłety, jedno słówko słuchać i donosić z tego, co tu ta psiarnia dworska szczekać może.

A kiedy Laskowska chcąc coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, szepnęła wyraz: „Biedna panienska!“ laskę z dużą złotą gałką, którą trzymał w ręku, podniósł w górę, zagroził nie żartem, zsiniał cały, z twarzy i z głowy łysej zdawało się, że czarna krew tryśnie, a co najgorsza, na obu skroniach widzieć się dały dwie nabiegłe żyły jak postronki. Trzeba zaś wiedzieć, że Cześnik był człowiek krwisty, szyi krótkiej, a od czasu jak utył trochę zbyt, miał skłonność do apoplektycznych ataków: podobny stan sprowadzał je łatwo. Skoro więc Cześnikowa to niebezpieczeństwo postrzegła, wszystko inne z oczu i z pamięci jój znikło.

— To nic, kochanku, to nic, doprawdy, — powtarzała mitygując go i całując w rękę, — zwyczajnie tak gadałyśmy sobie; ale i tego nie będziemy póki życia, niech się tylko jegomość uspokoi. Laskosiu, dajno wody, podaj proszek.

A Cześnik chłonąc stopniami, przechadzał się wielkim krokiem po pokoju i mrucał coś pod nosem. Gdy na usilne prośby żony wypił kufel zimnej wody z proszkiem od alteracyi, przyszedł prawie zupełnie do siebie; jednak zamiast zwykłych dwóch filiżanek kawy, ledwie pół jednej wypił, nie wypalił fajki, wyszedł spiesznie mówiąc, że na niego pan Wojewoda czeka, a wychodząc nie pożegnał żony.

Stroskana Cześnikowa wybiegła za nim pod pozorem, że nie wzięła rano białej chustki do nosa, i zaczęła go przepraszać. Przyjął nie źle jej wymawianie się, i już z zimną krwią ale przecież z powagą, zagroził odpędzeniem natychmiast Laskowskiej, mimo jej dwudziestu czterech lat służby, jeżeli najmniejsze plotki donosić będzie chciała.

— Moja jejmość—powiedział do żony—choćby też tu było co nam przeciwnego i naganego, przez szpary na to patrzeć wypada, pamiętając, że u wielkich panów wszystko inaczej jak u prostej szlachty: oni zawsze chcą jakieś dziwy płodzić. A zatém ani mru-mru, milczeć, Pana Boga chwalić i basta.

Cześnikowa kontenta z ochłonięcia i z lepszego humoru męża, ucałowawszy go jeszcze, przykazała surowo milczenie Laskowskiej; a powtórzywszy co do słowa zagrożenie jegomości, zapowiedziała, że jej słuchać nie będzie, choćby jej niewiem co donosiła. Laskowska przełęknięta przyrzekła milczeć przed państwem, a w duszy obiecała wynagrodzić sobie ten przymus, gwarząc bez miłosierdzia z Wrocławską; jakoż nie czekając poszła do niej.

Biędna matka zostawszy sama, zamyśliła się głęboko i mocno się zafrasowała.

— Juźcić tam jest jakieś licho—mówiła sobie—ludzie nigdy bez przyczyny nie gadają; i Bogiem a prawdą, jak sobie teraz przypominam, oni jakoś dziwnie są z sobą, i mnie to zastanawia, że jegomość tego nie widzi. Karolina pobladła, spoważniała, jakby lat przez kilka tygodni jej przybyło; wyraźnie stroni od rozmowy zemną sam na sam. Mój Boże! dawniej jak mnie godzinę nie widziała, już miała co gadać na drugą godzinę. Ale wypytam ja się jej zrzęcznie; tego jegomość nie zabronił. Oto widzę, wsiadł do kolaski z panem Wojewodą: korzystajmy z wolnego momentu.

I skutkiem tych namysłów, poszła do córki i nastąpiła rozmowa o której wspomnieliśmy.

Nie można powiedzieć, aby owa rozmowa dosyć przedłużona, zaspokoiła Cześnikową; owszem dostrzegła, że było wiele prawdy w słowach Laskowskiej, ale dostrzegła zarazem, że jeżeli był sekret, to taki, którego tajenie było cnotą. Na domysł podobny umilkła, a zwiększając w duszy uwielbienie dla córki, postanowiła dodać do paciérzy codziennych koronkę do Przemienienia Pańskiego, a tymczasem nim Bóg zmiłować się raczy, o ile tylko w mocy jéj będzie, słodzić jedynaczce jéj smutny los i szanować cnotliwą wstrzymałość. Tkliwa nie wykwinną ale rzetelną czułością, Cześnikowa nie siebie kochała w drugich, ale drugich w sobie; i tak w przywiązaniu do córki, do męża, nigdy własnego, zawsze ich dobra szukała, dopiero w ich szczęściu przez nią sprawioném znajdowała swoje.

Karolina odgadła matki przenikliwość i postanowienie. Widząc w tém obejściu się nowy, a może największy dowód jéj kochania, podwoiła pieśczęt i starań około niéj, uwagi na siebie; i trzy dni zeszło jako tako. Największa przykrość była ze strony Cześnika, który bardzo często wspominał krotofilnie o konsolacyi, albo téż prześladował Leona z powodu jego smutku, częstego zapominania się i zmienności humoru. W tych obudwóch razach wielkie bywało pomieszanie obecnych, i zdarzyło się, że kiedy jednego wieczora trochę sobie starym węgrzynem podochociwszy, wznioł zdrowie przyszłego Modrogóry dziedzica, Karolina tak się zmieszała, że on to postrzegł.

— Nie bądź-że dzieckiem — powiedział — i nie udawaj znowu niewinnéj; wszak nawet panną będąc, wiedziałas, iż kto idzie za mąż, może mieć bez grzechu, najdalej za rok chłopca albo dziewczynę: otóż ja tobie życzę chłopca; i kto wie czy już nie jest w drodze, i czyby nie wypadało wykrzyknąć: Wiwat podstolic! bo mi się jejmość coś mieni

jak obraz cudowny. Ale jeżeli te żarty szlacheckie jaśnie wielmożnej hrabinie przykre są,—dodał z przekąsem — już ich sobie najniższy jój sługa nigdy nie pozwoli.

Wstano w téj chwili od stołu, może prędkiej niż należało, nawet przed ust wypłukaniem; czego Cześnik nie żałował, bo mu się ta nowa moda bardzo obrzydliwą zdawała. Wojewoda podobno piérwszy serwetę położył i posunął stołkiem. Karolina chcąc zachmurzonego ojca rozweselić, usadowiwszy go na najwygodniejszém krześle, siadła spiesznie do klawikordu: wiedziała jak lubił jój granie.

— A Boguż dzięki! — zawołał udobruchany Cześnik — jużem się téż stęsknił do mojej nadwornój muzyczki. Zagrajże mi mojego mazurka faworyta i poloneza Ogińskiego.

Zagrała dobrze, z uczuciem, jak może nigdy jeszcze. Wszyscy zbliżyli się do klawikordu, a najpiérwszy Leon, który powiedział z zadziwieniem:

— Nie wiedziałem o pięknym talencie.

— Jakto — zawołał Cześnik — a jam tyle piénieędzy wydał na jój granie i śpiewanie. To nie śpiewałaś owych włoskich trelów, co to już przed dwoma laty uczyłaś się dla swego pana Leona? Wstydz się, mościa pani, takiego lenistwa. Ja się tam przyznam waćpaństwu, nie przepadam bynajmnieć za ową modną włoską muzyką; słuchając jój, siedzę gorzej niż na niemieckim kazaniu: spać mi się zachciewa, ani jój rozumiem, ani do serca mi idzie. Ot, jak mi moja Karusia mazura czy krakowiaka utnie, polskiego zagra, albo dumkę ukraińską zanuci, to mości dobrodzieju aż coś przejmie człowieka wskróś, gdyby elektryka, i widzi mu się że młody, że zdrow, że szczęśliwy jak niegdyś.

— Pozwolisz jednak pan dobrodziej na prześpiewanie choć jednéj z owych włoskich aryi? — zapytał się Leon stojąc za stołkiem żony.

— Pozwolę i na dziesięć, bylem potém miał mazura i dumkę.

Jeszcze nie domówił, kiedy już Karolina śpiewała jedną z pięknych arii Paera, wziętego wówczas w Paryżu kompozytora, o którym słyszała pochwały z ust męża; a zachęcona piękną muzyką, a więcej jeszcze nadzieją trafienia do serca, które pozyskać chciała, śpiewała dobrze, choć bardziej naturalnie niż uczenie; bo miała głos czysty i miły, ale wyrazu jeszcze nie wiele. Trudno to młodzieczonej i prawdziwie dobrze wychowanej osobie śpiewać miłosne arie z stosowną ekspresją, i podobno niezupełnie źle zrobił ów kawaler, co zaprzestał starać się o pannę, która popisując się przed nim, śpiew zapalonej kochanki wydała z zupełną prawdą. Nie wiem jakie było w tej mierze zdanie Leona, i jak mu się podobał śpiew Karoliny, to tylko pewna, że zaledwie usłyszał pierwsze akorda, zasłonił twarz rękami i zdawał się być zupełnie na innym świecie. Tę samą arię śpiewała Julia w wieczór ostatni, który z sobą sam na sam w Neapolu przebyli. Przez cały ciąg śpiewania stał nieporuszony; gdy już kończyło się, nie mogąc ukryć głębokiego wzruszenia, wyszedł spieszenie z pokoju, a po chwili wszedł Baptysta z przeproszeniem, jako pan hrabia wrócić nie może, ponieważ dostał gwałtownej migreny.

Już też było i dosyć późno, a na szczęście Cześnik w ciągu włoskiej arii zdrzymał się na krześle; rozeszli się więc wszyscy, a Karolina sama w swoim pokoju długo dumiała nad tym zdarzeniem. Rzecz oczywista, że jej myśl od samego wieczora ślubnego często się zajmowała odgadywaniem, kto to być może *owa inna*, którą Leon tak szalenie kocha? Pytać się o nią kogobądź miałaby za zbrodnią, za ubliżenie samej sobie; ale myśleć, tego jej nie zabroniono. Ułożyła więc w swojej głowie, że ta rywalk jest włoską i aktorką. Leon w opowiadaniach swoich najmniej o Włoszech wspominał, a oprócz tego słyszała kiedyś od matki jakąś podobną awanturę; ten wniosek pocieszał ją nawet, bo odległość miejsca i różnica stanu były

jój jakby rękojmiał, za już drugi raz się nie zejda, i że z czasem to obłąkanie przeminie. Nieboga ani się domyślała jak znakomitą co do rodu i imienia była owa rywalka, jak blisko niej, i jak ciągle wywierała despotyczną władzę nad ujarzmionym niewolnikiem! Już był w drodze list, w którym coraz niespokojniejsza Julia wręcz pisała Leonowi, że nie uwierzy jego stałości, chyba jeżeli do niej natychmiast na trzy dni przyjedzie. Miejsce ukryte i niezbyt dalekie od Warszawy już było gotowe. Inaczej nie ręczyła za siebie co zrobi: gotową była przyjechać sama do Modrogóry.

Nazajutrz, gdy około południa wszyscy się zeszli w sali na chleb z masłem, wódeczkę i inne w Polsce tylko znane przekąski i przysmaki, oddano listy i gazety z Warszawy. Cześnik przeczytawszy pakiet do niego zapisany, oświadczył, że zaraz po obiedzie będą musieli oba wyjechać z panem Wojewodą dla nagłego i arcy ważnego interesu. Leon, który na przepatrzenie korespondencji swojej schronił się był do okna, posłyszawszy ten wyrok zbliżył się do stolika z pośpiechem:

— Jakaż to szkoda — powiedział, a głos jego był drżący i twarz zmieniona — jam właśnie pochlebiał sobie, że państwo dobrodziejstwo raczycie tu jeszcze z jaki tydzień zabawić.. Mnie także na trzy dni koniecznie wypada z domu się oddalić—dodał z widoczną nieśmiałością—Karlina nie może zostać sama.

— Dobrze, wybornie robisz panie zięciu — wyrzekł z uśmiechem Cześnik — nigdy młodej żonki nie odjeżdżaj samój. Ale nie widzę, czemu byś ty, kochanko— obracając się do żony — zostać nie miała z naszą Karusią jakie dni parę, jak wróci wojewodzie, to przyjedziesz do domu: konie ci zostawię, bo wiem, żebyś cudzemi ani do mnie, ani do nieba jechać nie chciała, pan Wojewoda weźmie mię z sobą, a ja przecież w domu dam sobie przez trzy dni radę.

Leon i Karolina dołączyli swoje prośby i Cześnikowa dała się nakłonić. Była to jednak z jój strony ofiara; bo chociaż dziwnie mile jój się przedstawiały dni kilka spędzone samnasam z córką, przecież sądziła się być potrzebniejszą mężowi, który już w wieku i od lat dwudziestukilku do jój starań przyzwyczajony, nie łatwo bez nich się obchodził. Jakkolwiekbyż została, i zamiast trzech dni, dwanaście przebyła w Modrogórze, gdyż tak długo bawił za domem Leon; a to dziwne spóźnienie usprawiedliwiał listami, których Karolina pokazywać nawet matce nie śmiała; tak były krótkie, mało znaczące i zimne: w żadnym zaś dacie, ani dnia, ani miejsca nie było. O! jak nieraz uśmiechnęła się gorzko, kiedy jój Cześnikowa listy swego męża do głośnego czytania dawała, nawykłą będąc do jój gładkiej wymowy. Nie było tam wykrzykników i innych czułości, prócz na początku: „Najukochańsza Maryniu!“ a na końcu: „dozgonnie kochający i wierny przyjaciel i mąż,“ ale jakaż w słowie każdym tęsknota! jakie szczegóły drobne o zdrowiu, o zatrudnieniach, jaka troskliwość o nią! Młoda i długości czasu jeszcze nie znająca Karolina, mówiła sobie w duchu: „Możeć po dwudziestu kilku leciach i on tak do mnie napisał!“ A potem patrząc na bielące się włosy matki, na tuszę jój okazałą, uśmiechała się gorzko na ową myśl, iż dopiero wtedy obiecuje sobie być szczęśliwą w miłości, kiedy przestanie być młodą i ładną.

Czy taka przyszłość czekała Karolinę, czyli téż pomyslniejsza, tego wówczas trudno było przewidzieć, zwłaszcza, że o mil kilkanaście mąż tonął w miłości i w rozkoszach z inną, i napawał się nowém uprzedzeniem przeciw żonie; to atoli pewna, iż smutna jój terażniejszość i trudne obecne położenie, wiele zyskały na pobycie Cześnikowój.

Nikt na całym świecie, żaden najmędrszy filozof nie poradzi tak dobrze młoděj osobie jak roztropna matka, bo żaden nie może tak jój znać i życzyć. Cześnikowa znała

doskonale córkę; wiedziału jakie zdania i uczucia w nią wpoila; zmiarkowała zatem prędko, iż prócz męczarni serca, prócz zniszczenia uroczych snów i upokorzenia miłości własnej, Karolina cierpiała jeszcze na brak obowiązków i zatrudnień według serca swego. Matka jak wiemy uczyła ją z dzieciństwa, nie tyle słowy co przykładem: że kobieta dla dobra drugich żyć winna. Karolina cieszyła się iż rozpocznie ową chlubną pracę, skoro pójdzie za męża. Wszystko w Modrogórze miało być tak dobrze, tak składnie, tak pięknie, jak nigdzie na całym świecie, i to wszystko za jej kierunkiem i wpływem. A tu wszyscy bez niej się obchodzili, nikomu nie była potrzebna. Cześnikowa chciała koniecznie zaradzić choć w części tak przykrój omyłce córki ukochanej, i wskazać jej jakąś konieczną a zajmującą powinność. I przyznać trzeba, iż tak szczególne było położenie Karoliny, że jej to wynalezienie bez trudności nie przyszło.

Każda mężatka, każda pani domu, od królowej do prostej wieśniaczki, ma zdaje się obowiązków i zatrudnień dosyć, zajmując się domem własnym, bądź wielkim, bądź małym. Dla Karoliny te zachody i starania były niedostępne, i uznała to wnet Cześnikowa. Nie wypytując się Laszkowskiej, dowiedziała się przecież od niej dokładnie: jaki był dwór Modrogórski i jaki cały obchód wewnętrzny? Znajac tylko jeden dom pański z blizka, i z owych rzadkich co to jednoczyły wspaniałość z rządem, przyzwyczajona u siebie do uczciwej oszczędności, zdziwiła się i zadrżała na ten obraz, w najdrobniejszych szczegółach jej udzielony.

Modą, która za przykładem Jabłonny, coraz więcej szerzyła się w kraju naszym, połowa dworskich i służących w Modrogórze była cudzoziemców. Prócz faworyta Baptysty, i marszałka a raczej *maitre d'hôtel*, w samej kuchni było dwóch kucharzy francuzów, włoch do lodów i cukrów, niemka do ciast i legumin, a w stajni, w psiarni, w ogro-

dzie i w krowiarni, anglicy i szwajcary. Wszystko to opuściwszy ojczyznę, w nadziei gór złotych, czyhało na grosz pański, kłęło, kłóciło się, wydziwiało; każdemu według obyczaju kraju jego, ale dwa razy sucięj i wykwintnięj niż tam był nawykł, trzeba było dawać jeść i pić: anglikom w świątek i piątek pieczeń wołową i porter, francuzom chleb biały i wino, włochowi sałaty z najprzedniejszą oliwą, niemcom słoniny, wędzonki i piwa bez pamięci; dosyć, że biedna klucznica, stara Zaperkowska i Jacenty, przyrodzony stróż porządku, przejęci zgrozą, głowę tracili; a w godziny śniadania, obiadu i wieczery, piekło było w kuchni i żadna pomywaczka dłużej jeszcze nad tydzień nie wybyła, a dawnięj starzały się na tym chlebie. Kucharze francuzi nic sobie wydzielić nie dali, broń Boże; zaraz wyjeżdżali z krzywdą honoru swego, z dzikością polaków; masło brali faskami, a jak drwa były mokre, to go nie mało w ogień wrzucali dla podsycania; cukier, nigdy inaczęj tylko głową; korzenie, konfitury, arak, wino bez wagi, miary i liczby. Co tydzień, jeden z nich jeździł do Warszawy, i tam przepłacał rzeczy, które można było mieć darmo w domu, albo obejść się bez nich.

— Wystaw sobie, droga jejmość—mówiła tu trzęsąc ręką Laskowska—nie chcą ani na żart użyć do niczego naszych grzybów, tylko im trzeba sprowadzać koszami z miasta pieczarki. Na wszystko co polskie i najlepsze: ogórki, barszcz, chłodnik, pirogi, mówią: *koszonat—koszonat*. Wydatek pieniędzy i wiktuałów był szalony; obrazy Boskiej bez liku, a skarżyć się ani myśleć: już parę razy tak się zdarzyło, kto się poskarżył, to i odprawę dostał; a i tak dosyć już było dawnych dworskich bez służby i chleba. Pan Baptysta w zmowie z całą cudzoziemską gawiedzią, a w łaskach u młodego pana, szył buty każdemu śmiałkowi. Nawet stary Jacenty tego oberwał od starszego pana, kiedy korzystając z jego przyjazdu chciał prawdę o wszyst-

kich powiedziéć. Pan Wojewoda rozmiłowany w obcych, może wiécej niź syn; słowa nie dał na nich powiedziéć, ile że prawie wszyscy są tu z jego poręki.

Lubo tedy po takim obrazie, Cześnikowa uznała, iż w każdém inném położeniu rzeczy, nie mała byłaby, a konieczna dla pani Modrogóry robota, wnijsć w to wszystko, zapobiedz nadużyciom, i jeżeli nie drobne szczegóły, to przynajmniej główny zarząd domowy wziąć w własną rękę: dla Karoliny, było to zupełném niepodobieństwem. Młodej i nieświadomej gospodyni, nikt w jéj domu władzy i powagi nadać nie potrafi, prócz męża; jest ona jakby piérwszym ministrem, który całe znaczenie winien sankeyi królewskiej. Leon zaś jak dobrze wiemy, a jak wnet zmiarkowała Cześnikowa, żony do rządów domowych nie wzywał. Gdyby jeszcze Karolina posagu wcale nie przyniosła, a przynajmniej gdyby ich majątki były równe, mogłaby się zdobyć na śmiałość do ratowania spólnego mienia, do przedstawienia mężowi istotnego stanu rzeczy, i smutnych ich skutków; ale tak, byłaby to niedelikatność, któraby pogorszyła niezawodnie i tak już dziwne acz zgodne napozór pożycie.

Upadła więc i ta nadzieja zatrudnień dla Karoliny z wielkiém zmartwieniem jéj matki. Rządna i gospodarna, jak niestety! mało polek naszych; podobnie wychowawszy jedynaczkę, męką było dla niéj prawdziwą, wiedziéć o tym rabunku i nieładzie w domu zięcia, a nie módz nawet ich ostrzedz. Bez wątpienia, przy tych wszystkich myślach, nasuwały jéj się owe błogie obrazy matki, prowadzącej córkę nowo postanowioną, udzielającą jéj doświadczenia całego życia. Stawało w jéj pamięci szczęście równego małżeństwa, które tak łatwo można było zabezpieczyć córce, bo powiedziéć tu trzeba, o czém tylko nawiasem wspomniało się gdzieindziéj, że średni brat Cześnikowéj, Gabryel, co to z młodu stan wojskowy obrał, a dziś w dalekich strefach wojował chlubnie, miał syna jedynaka Tadeusza, któ-

rego choć młodzieniaszka, wziął z sobą kraj rzucając, w roku 1795, a w którym dawniej Cześnikowstwo oboje przyszłego zięcia widzieli. Wyższe widoki wybiły z głowy, naprzód ojcu, potem matce, owe familijne projekta, a Karolina wcale o nich nie wiedziała; lecz teraz zaczynała z boleścią powstawać w sercu siostry, jakby widmo jakie; wymawiała sobie że nie dotrzymali zacnemu bratu danej obietnicy, lubo on sam zwolnił ich listem, skoro się o innych planach dowiedział; a pisując do nich ciągle skoro mógł, choć parę razy do roku, powtarzał owszem, iż dobrze się stało: „gdyż Bóg sam wie, kiedy oba z synem wrócą a nawet czy wrócą; bo częsta im zdarza się pora być obok śmierci, a oni żadnej nie opuszczają.“

Ale jakkolwiek było wiele prawdy i słuszności w obrazach i wymówkach Cześnikowój, nie zgadzało się z jej rozsądkiem, ubolewać nad tém co się stało i odstąpić już się nie mogło, a nie radzić obecnemu złemu. Oddalając tedy z całych sił owe natrętne a próżne myśli, trwała w chęci znalezienia dla Karoliny użytecznego zajęcia.

Trafiła nareszcie.

Zrodzona i wychowana na wsi, skutkiem konneksyi rodzicielskich, córka chrzestna znanego dobroczyńcy wiejskiego ludu, księdza Pawła Brzostowskiego, przejęła się jego uczuciami; znała i lubiła chłopków naszych; widziała w nich braci ubogich, i miała to przekonanie: że nikt snadniej u nas, jak kapłani i kobiety sprawić nie mogą pożądanęj w wieśniakach odmiany. Nie tajemnym jej było przeto jak wiele dziedziczka, a nawet dzierżawczyni najmniejszej włości, znaleźć potrafi użytecznego około siebie zatrudnienia, skoro zechce, i skoro się przejmie tą prawdą tak mało w szlachecką młodzież naszą wpajaną: że nie na to Bóg daje wioski panom, żeby dochody z nich na własne wydawali uciechy, ale żeby przed wszystkiem zapewnili

szczęście i dobre mienie włościan, którzy im pracą ciężką zabezpieczają te dochody.

Klucz Modrogórski obejmował wsi i osad kilkanaście; oddawna były pozbawione ciągłej obecności dziedzica, a dawniej jeszcze, troskliwej opieki dziedziczki. Ileżto nędzdy, ile potrzeb między tym ludem być musiało! jakiem narzędziem Opatrzności stać się mogła dla nich pani miłosierna a pieniądze! Karoliny zaś w téj mierze przynajmniej los był pomyślny; miała własne, gotowe i regularnie ją dochodzące pieniądze. Stosownie do układów przedślubnych, o jakich Leon wspomniał był w liście, Cześnik zobowiązał się płacić córce, jak to mówili dawniej na *spilki* pięćdziesiąt czerwonych złotych miesięcznie, z warunkiem, żeby już temi pieniędzmi ubiór swój, datki i jałmużny opatrywała. Wspaniała dostawszy wyprawę, wyjechawszy na wieś w godzinę ślubu, mało co naruszyła pierwotnej kwoty, a tu już ojciec drugą jej przywiózł. Z téj okoliczności umiała korzystać Cześnikowa, i takie pole obowiązków i zajmującego zatrudnienia otworzyła przed córką. Jak prawie wszystkie dawne i terazniejsze dobre gospodynie, miała księgę pod powabnym tytułem: *Sekreta*, w której różne były kuchenne, gotowalniane, a osobliwie lekarskie przepisy; z tych wiele tradycyjnie od babek, prababek, przechowywało się w jej rodzie. Wszystkich udzieliła córce, jako różnych sposobów prostego a skutecznego leczenia, bo każda prawdziwa szlachcianka polska urodzoną jest lekarką. Urządziła jej przeto wybornie domową apteczkę; sama zaś także pieniądze i datna, na pamiątkę pierwszego pobytu swego w Modrogórze, rozdać kazała wszystkim tamecznym gospodarzom nowe czapki baranie, wszystkim gospodyniom rąbkowe czepki, każdemu parobkowi pas, a każdej dziewczce wstążkę. Temi darami zwabieni i ośmieleni wieśniacy, wnet do pałacu przychodzić zaczęli, a najwięcej matek z dziećmi.

Te najlepiej bywały przyjęte i najsuciej opatrzone.

Karolina, jak wszystkie kobiety godne tego imienia, niezmiernie lubiła dzieci. Owa miłość serc niewieścich, ku istotom słabym, niedołącznym, nie mogącym się niczém odwdzięczyć chyba uśmiechem, to macierzyństwo wrodzone odzywa się rychło w dziewczętach; już się objawia w troskliwém piastowaniu i ubieraniu lalek, i bez wątpienia, im która z nas czulsza jest i lepsza, tém mocniej tę miłość czuje, tém lepiej okazać ją umie. Karolina sama jeszcze dzieckiem będąc, już dzieci podawała do chrztu, już dziećmi się trudniła. W niewymuszonym a praktycznym jęj wychowaniu owa skłonność posłużyła Cześnikowej do zaszczepienia w nięj wielkiego niewieściego przymiotu: do zamiłowania igielki. Zamiast jak inne dziewczynki szyć dla lalek nieudatne stroje, na które prawdziwie „szkoda czasu i atlasu“ ona od „siódmego roku szyła dla dzieci ubogich istotne ubiory i zajmowała ją nierównie więcej ta praca dla żywych lalek. Kiedy żona jednego z domowych powiła dziecę, ledwie ozdrowiała, musiała je przynieść, pokazać panience, a ona pieściła się z niem i bawiła z rzetelną uciechą.

Może na miesiąc przed ślubem, żona kredencerza Cześnikowstwa przyniosła jęj dziecę swoje półroczne, które śliczne było. Karolina dosyć nacałować go nie mogła, a kiedy kobięta powiedziała jęj z uśmiechem: „Najdalej za rok panienka piękniejsze mieć będzie“—zarumieniła się mocno i wyrzekła niewinne i serdeczne: „Daj Boże!“ W ciągu dnia tego, zamyślała się często; a gdy matka to zamyślenie się postrzegła, i pytała o przyczynę, młode dziewczę kryjąc twarz spłonioną na jęj łonie, wyrzekła nieśmiało:

— Mamo, czy to prawda że każdy co za mąż idzie, za rok ma dziecę?

— Prawda, kochanie moje—odpowiedziała śmiejąc się Cześnikowa—najczęściej tak się zdarza, zwłaszcza kiedy małżeństwo się kocha, a pan Bóg pobłogosławi.

Od téj chwili do marzeń i snów o przyszłym szczęściu i doskonałości, przybył Karolinie wdzięk nowy, tém poważniejszy, że jakąś tajemnicą obleczony, której badać sama nie chciała; a skoro w dalszą przyszłość okiem myśli sięgnęła, mimowolnie widziała między sobą i Leonem, dziecię nadobne, którego postać, to do dziewczynki niedawno pieśczonej, to do aniołków Rafaela, które właśnie rysowała, podobną była. Kiedy zaś w piérwszy wieczór ślubny przeczytała list Leona, kiedy jój wyznał wręcz, że jój nie kocha tylko inną; kiedy mu odpisała: „Będę ci siostrą“ jakkolwiek czysta i niewinna, odgadła przecież że i z tego lubego marzenia obnażyć wypadnie smutną przeszłość.

Ale chociaż pozbawiona nadziei piastowania kiedyś własnego dziecięcia, Karolina nie pozbyła się przeto miłości ku cudzym dzieciom; owszem, zdawało się iż gotową była jeszcze tkliwiéj je kochać. Tak dwom wnuczkom staroego Jacentego kazała codzien przychodzić do siebie i uczyła je czytać; a ~~raz~~ zdarzyło się, że żona leśniczego z pobliskiej wioski przyniosła do pałacu dwuletnią córeczkę, chorą jak mówiła na duszność. Doświadczona Cześnikowa poznała odrazu, że to była owa okropna dziecinna choroba, krupem zwana; już nie dała dziewczynki odnosić do domu, ale ją zatrzymała w pałacu. Karolina we własnym pokoju usłała jój łóżeczko, pilnowała dzień i noc, leczyła według rozkazów matki, a po kilku dniach oddała ją zdrową rodzicom; przez ten czas, tak była mocno zajęta to niebezpieczeństwem, to polepszeniem stanu dziecięcia, że po raz piérwszy po całych godzinach nie myślała o własnym udręczeniu.

Sława wyleczenia córeczki leśniczego, nastreczyła wnet pani Modrogóry nie jedno podobne zatrudnienie; odważyła się nawet odwiedzać wraz z matką chorych po wsi, a widok nędzy chłopstwa, napełniając ją smutkiem, słodził przynajmniej przykrość jój losu; gdyż widziała naocznie jak wiele jój się nasuwało dobrego do spełnienia, a za tém jak

wiemy najwięcej młode i piękne dusze tęsknią. Do robót ręcznych, w których bardzo była biegła, przybyła też wielka i zabawna fabryka czapeczek, koszulek, gorsecików i innych ubiorów dzieciennych, któremi uszczęśliwiała dzieci i matki, a które podobno uszczęśliwiała najwięcej ją samą, bo jęj przypominały błogie dni w domu rodzicielskim spędzane. Tak dzięki matce, smutne jęj życie nabrało użyteczności a przeto wdzięku; pod dach jęj przyszło błogosławieństwo ubogiego, wdowy i sieroty, jakże za nięm wstąpić nie miało do serca zaspokojone uczucie? Cieszyła się także myślą podobania się tém nowęm zatrudnieniem Leonowi.

„Będziemy mieli cel do przechadzek naszych—mówiła sobie—będziemy mieli zatrudnienie spólne. Może i on się zna na lekarskięj sztuce, on tyle rzeczy umie. Oby tylko wrócił prędko i wrócił zdrów i swobodny, Nieznośne te interesa co go tak dłuęo zatrzymują.“

Wrócił nareszcie niewdzięcznik i nie raczył słówkiem jednęm wytłómaczyć dłuęiej nad zamiar niebytności, a na krótkość któręj, użalała się jeszcze Julia i miłość. Zaraz po przywitaniu, pocałowawszy ozięble w rękę tak Cześnikową jak żonę, oświadczył iż wielu przyjaciół i krewnych obecnych ślubowi, co już dawnięj obiecali zjechać do Modrogóry, zawitają prawie razem w następnym tygodniu, i zabawią czas jakiś.

— Będe miał wiele zatrudnienia—dodał—z wydawaniem rozkazów na przyjęcie ich jak się należy; muszę natychmiast tém się zająć.

I to powiedziawszy wnet wyszedł, i przez godzin kilka ani się pokazał.

To zimne przywitanie, to odejście tak prędkie po dwunastu dniach niewidzenia się, boleśnie zraniło serce Karoliny. Jakże mu ona zupełnie obojętną była... A prócz tego, jakkolwiek był krótkim moment widzenia się z nim, kochające jęj oczy dostrzegły wielką zmianę w jego twarzy. Przez

tamte tygodnie zaczął był znacznie przychodzić do cery i do tuszy, teraz prawie tak blado i nędznie wyglądał jak w dzień ślubu. Tęj dwojakięj boleści stłumić w sobie już nie mogła Karolina; pod lekkim pozorem uciekła do swego pokoju, a kiedy wyszła do matki, mimo całej usilności, znać było ślady łez na pobladłęj twarzy, był jeszcze płacz w jęj głosie, był ciężki smutek w leniwym uśmiechu.

Cześnikowa tymczasem, zapewne nie mniej zboleła od córki, ale stęskniona za mężem i domem, przyrzadziwszy się do wyjazdu, ruszyła w podróż do Warszawy. Żegnając z pośpiechem jedynaczkę, złożyła krzyżyk na jęj czole i ci-chą łzę na jagodach.

— Panu Bogu cię oddaję—powiedziała jęj tylko—niech ci tak błogosławić raczy, jak ja ci błogosławię.—

A pokłoniwszy się dosyć zimno panu hrabiemu, który przecież wyszedł na jęj pożegnanie, wsiadła co tchu do po-wozu z wierną swoją Laskowską. Czy w ciągu tęj dwunasto-milowęj podróży równie jak w ciągu upłynionych tygodni, nakaz milczenia wydany przez Cześnika zgwałcony nie był, za to ręczyć się nie poważę; to jednak pewna, że jeżeli ta tkliwa matka szukała jakowęjs ulgi w poufałęj rozmowie z doświadczoną od tylu lat służką, równie córka jak mąż zmiarkować tego nie mogli. Widząc, że jedna pragnie, dru-gi każe, aby milczała, tała przed obojgiem boleść swoją. Nie obesła się przecież ta cała wałka bez znacznego uszko-dzenia zdrowia, który to stan, troskliwy mąż przypisując jęj wiekowi, a więcj jeszcze używaniu potraw francuzkich w Modrogórze, skoro wróciła do domu radził się najbie-glejszych wówczas Warszawskich lekarzy: Gagatkiewicza, Bergonzoniego, Lafontena. Chociaż uczeni, nie pomogli wie-le; bo żaden z nich odgadnąć nie mógł, że tą chorobą jest nieszczęście córki.

Karolina po wyjeździe Cześnikowęj przebyła kilka dni okropnych. Troskliwość, pieśczozy matki roztkliwiły na

nowo zahartowane już cokolwiek serce; słodkie rozmowy, wspólne zatrudnienia i uciechy, drobne starania tak mile wypełniały każdą godzinę. Prócz dobroczynnych około wieśniaków zachodów, wznowiły były obie, dawne zwyczajne modlenia się, czytania, śpiewania razem. Po tém rozłączeniu się, Karolina ciężką sierotą i jakby opuszczoną od świata całego się ujrzała. Już kilka razy przywiedziona do gwałtownego żalu, chciała jechać za matką; chciała pisać do Leona; wykryć mu stan swój duszy, rozdzielić się z nim na czas, zamknąć się w jakim klasztorze, i tam czekać chwili odmiany męża, albo pewniejszjéj jeszcze chwili śmierci własnéj. Leon wrócił może więcéj jeszcze zmieniony na humorze i obejściu się, niżeli na twarzy. Widać było oczywiście na zawojowanej duszy wpływ zręcznéj Julii. Ponury, milczący, ciągle się oburzał na biédną Karolinę. Czy smutku nie tajiła, czyli téż udawała wesołość, wszystko jéj miał za złe.

Kiedy z żywością wieku swego i niewinności, ucieszyła się na widok jakiego domowego przepychu jeszcze sobie nieznanego, lub na wiadomość o nowjéj zabawie z powodu spodziewanych gości, patrzył na nią z litością pogardliwą; kiedy znowu opuściwszy ręce, jakby nie słuchała niczego, nie patrzyła na nic i nie chciała w niczém dać zdania, mówił z prynciskiem: „pani hrabina interesować się nie raczy, przecież to wszystko jéj jest, a jam tylko najniższy jéj sługa.“ Zamiast pochwalić dobre uczynki jakich ciągle dopełniała, ani wspomniał o niczém takowém, ani się spytał czém się trudniła przez czas jego niebytności, co robiła teraz, w godzinach kiedy on u siebie siedział, albo jeździł konno sam jeden; ani uważał robót jéj wiejskich, jaskrawych czapeczek, spódniczek, które ona z umysłu rozkładała przez kilka dni w sali. Zgoła, położenie jéj zamiast być coraz łatwiejsze jak dawniej miała nadzieję, stawało się codzién trudniejsze; zawód doznany codzién był więcéj wy-

rażny i dotkliwy; każdy dzień gorszym się wydawał od poprzedniego, i zawsze wypadało żałować minionych chwil. Podobnie, jak zwykliśmy czynić przy drogiéj nam osobie długą i niebezpieczną chorobą złożonéj; dziś, zdaje nam się już gorzej być nie może! a jak nadejdzie jutro, mówimy z boleścią: Wczoraj lepiej było.

O! gdyby nie przekonanie o świętej powinności żony, umocnione jeszcze uczuciem pierwszój i czystój miłości, bezwąt্পienia pamięć na gniew ojca, i na gadanie świata jużby ją nie była wstrzymała; ale jedna modlitwa, jedno słówko miłsze Leona, pół jego uśmiechu, krępowały ją silnie do miejsca, mimo jego wszelkich udręczeń.

Boć każdy przyzna, że los Karoliny, lubo w wielu oczach świetny a może i zazdroszczony, bardzo był przykry; a przykrość jego w tém jeszcze wydawała się dotkliwsza, że jak to zwykle się zdarza w kolejach tego życia, nie była do przewidzenia. Rodzice i ksiądz Onufry mówili jój wiele, jak wiemy, o pozorach szczęścia często mylnych, o nieoddzielnych od przeznaczenia ludzkiego cierpieniach, i tém podobnie. Karolina tedy powolna ich słowom, wierzyła im chociaż niechętnie, i przypuszczała z kolei w przyszłym losie różne przykrości; siliła się nawet na wymyślanie ich: były tam upokorzenia ze strony krewnych Leona i świata, z powodu niższego jój rodu; były przykrości ze strony służących, były dziwactwa, wymagania, porywczosć, nawet zazdrość ze strony męża; lecz obojętności, wstrętu, wzdargy, jakich doznawała, tych pomysł nie powstał w jój głowie. Nie być kochaną, nie być poznaną, nie mieć żadnego wpływu na szczęście tak drogiéj, tak blizkiej osoby, żadnego przystępu do jój duszy, téj boleści, ona która nawykła być jakby aniołem pokoju i pociechy w rodzicielskim domu; ona, która miała tak głęboki samój siebie szacunek, téj boleści, mówię, przypuścić nie mogła. Ten zawód dla rozpieszczonego jój serca, dla duszy marzącój o doskonałości był niecznośny.

W ciężkich téż i długich godzinach samotnego smutku, mówiła z rozpaczą, i z tém zarozumieniem młodości, która pewna jest, że w ośmnastu leciech już jéj wolno wyrokować o tajemnicy własnego życia i drugich:

„Nie było i nie będzie nieszczęśliwszej odemnie! Bóg na ciche męczeństwo mię wybrał. O! czemuż tak zwleka śmierć pożądaną!“

A zapominała że niedawno dziękowała Bogu za wysokie przeznaczenie, choć przykre, jakie jéj wydzielił; że sama naznaczała odległą metę spełnieniu swych życzeń. Bo młodość ma chęci piękne i cnotliwe, ale stałości woli, cierpliwości, słowem, samej cnoty jeszcze nie ma: największy ciężar porwie, w najdalszą drogą się puści, pod cios przykry się podda; i dźwigałaby gdyby nie ciążyło, szłaby gdyby to nie męczyło, cierpiałaby gdyby nie bolało, a przynajmniej gdyby nie bolało długo. W zupełnej nieznajomości miary czasu, wagi słów i mocy sił własnych, oszukuje i siebie i drugich; w szczerości ducha mówi *na zawsze*; a nie wie, że w tym wieku odmian i uniesień, pierwszy termin owego *na zawsze*, jest *trzy dni*.

ROZDZIAŁ VI.

Goście.

Goście, zapowiedzeni od Leona, zjeżdżać się z wolna zaczęli; właśnie Lipiec do połowy dążył, wieś miała wiele powabów: wreszcie wiadomo każdemu, że skoro para jaka się pobierze, a jest zamożna, winna zaprosić do siebie, na tak zwane przenosiny, tych wszystkich co jój do ołtarza towarzyszyli: zaproszeni dopuściliby niegrzeczności, gdyby się nie stawili na wezwanie. Lubo tedy na pozornych powodach do owego zjazdu nie brakowało, istotnym była chęć wielu dam i mężczyzn pierwszego towarzystwa Warszawy, poznania bliżej osoby, która zamęciem nad stan, uzyskała w nióm prawo obywatelstwa, a może téż i skryta ochota rychlejszego wysmiania jój i ogadania.

Kasztelanowa C. przyjechała najpierwsza. Wdowa, już w wieku, dobrze widziana pod *Blachą*, niegdyś grająca rolę na dworze Stanisława Augusta; lubiła otaczać się młodością i wdziękami, a tym sposobem wabić jeszcze koło siebie igraszki i śmiechy, i żyć choć nie na własny rachunek, owém życiem wesołym a próżnym, do jakiego nawykła. Tak gracz zrujnowany chodzi naokoło zielonego stołu i zaj-

mują go stawki drugich. Pani Kasztelanowa więc od lat już kilkunastu wprowadzała w świat nowe mężatki przybywające do Warszawy i opiekowała się nimi; a wyznać należy, iż tyle miała taktu czy szczęścia, że najwyższe towarzystwo jęj było winno celne ozdoby swoje. Daleka kuzyna a bliższa niegdyś przyjaciółka Wojewody, miała oczywiście obwieść Karolinę po znakomitych domach stolicy; niedziw zatem, iż pragnęła przypatrzeć się najpiérwsza przyszłej socyuszce, i ułożyć sobie wcześniej plan stosowny do tego, co zobaczy. W bojaźni bowiem utracenia nabytej z pracy sławy, już miała w zapasie reumatyzm ciężki, nogi zwichnienie lub coś podobnego, czémby zmuszoną była siedzieć w domu przez piérwsze miesiące zimowe, na przypadek gdyby nowotna hrabina okazała się, jak zwano wtedy nieokrzesane parafianki: *Koczkodanem* albo *ciupką*.

Prawda, że i kasztelanowa i inne osoby zjeżdżające się do Modrogóry już widziały Karolinę; lecz nie wiedziały o niej nic prócz tego, że ładna, i że modnie była do ślubu ubrana. „Jedno winna Boga, drugie Lazarowiczównie“ mówiły damy, a niektóre tém mocniój pragnęły znaleźć w niej co do zganienia. Wreszcie hrabia Leon, jedyny potomek świetnej i zamożnej rodziny, młody, dorodny, edukowany za granicą, o którego namiętnój i romansowój miłości we Włoszech wiedziano trochę (co nie zawadzi nigdy mężczyźnie w oczach wielu kobiet); hrabia Leon, mówię, żeniąc się tak rychło z panną Dyblewiczówną, zbyt wiele ściągnął za zdrości niewieściój na przedmiot swego wyboru. Parę tuzinów matek i ciotek, a drugie tyle różnego wieku panien, rozwódek, wdów świeżych i nieświeżych zapisało się w poczet nieprzyjaciółek niewinnój Karoliny.

— Proszę, co to mogą te bezecne piéniaǳze— mówiły i myślały—niewiedziéc z kąd się wzięła; kto ją rodzi, nigdzie nie była, i będziemy ją musiały przyjąć do naszego towarzystwa: a co gorsza, piérwszego z młodzieży nam porwała.

Nie miał on żadnej na nią ochoty, widoczném było przy ślubie, jak oburzała się krew jego szlachetna na związek tak niedobrany... wiedział dobrze gdzie mu szukać żony wypadło... I owa starożytna Modrogóra, dziś tak modnie przerobiona, ów dwór po zagranicznemu dobrany i urządzony, do córki kramarza należeć będą! Ciekawa rzecz, jak się wyda w owój galeryi portretowej pierwszych i odwiecznych inion panna Dyblewiczówna! po jakimu rozmówi się ze swémi ludźmi? Kawiarką jój tam należało być, ojcu podstarościm, a matce klucznicą: to właściwe były dla nich miejsca.

Przecież gdy głównejsze reprezentantki owego pocztu nieprzyjaciółek zajęchały do Modrogóry, ożywionej wesołością i galanterją Wojewody, który odmłodził w ulubionym żywiole zabaw, zbytków i elegancyi; gdy przypatrzyły się zbliżka pani młodéj i usłyszały gładką jój mowę francuzką; po kilku dniach w jednych ostygła, w drugich umilkła zawisnąć, i prócz drobnych rzeczy pochodzących z zupełnej jój niewinności i nieznamomości świata, z niemalym kłopotem prawie nic w niéj do wysmiania i obmowy nie upatrzyły.

Karolina była dobra, naturalna, roztropna i pełna chęci ujęcia sobie każdego bez wyjątku, a tę chęć, wbrew dosyć powszechnemu zwyczajowi płci niewieściej, więcéj jeszcze okazywała kobietom niż mężczyznom, starym niż młodym. Nie wiele mówiąca słuchała z uwagą, co wszystkim bardzo się podoba; a kiedy się odezwała, słowa jój były zawsze dorzeczy. Wychowana starannie i po polsku, nie znała wyjątków w swojej gościnności; może nie każdy z przybyłych gości równie ją bawił, równie jój się podobał, ale każdy był pod jój dachem, grzeczność jój zrobił tém samém że przyjechał, dla każdego więc była uprzejma, każdemu rada. Przytém, znając się na samej sobie, pełna godziwej i szlachetnej dumy, żadnej uniżoności ani zbytnej pokory nie miała. Wewnętrzne i serdeczne jój poniżenie,

zamiast zatarcia w niej owego rysu jej charakteru, posłużyło owszem do wydania go lepiej. Bo lękając się żeby świat nie zmiarkował, jak dalece maż postępowaniem i obojętnością sobie i jej ubliża, użyła wszelkich sił ku utrzymaniu siebie na przyzwoitym stopniu. I tak, dostrzegłszy zaraz na wstępie w kilku damach przybyłych wyraźną ochotę zawstydzenia jej, postawiła się na takiej z niemi stopie, że wnet zaczepić jej nie śmiały.

Nikt ani wie ani wiedzieć powinien, co jest między mną i Leonem — myślała sobie — w oczach świata jestem jego żoną, a ów zaszczyt zrównał mnie z niemi wszystkimi co do imienia; wychowaniem zacnością rodziców, nie powstydzę się przed nikim; majątek mam: czegożbym się niższą od kogobądź mieniła? Nie rodziłam się wielką panią, to prawda: tego ani zapomnę, ani wstydzić się będę.

Jak pomyślała tak postępowała; i właśnie tym dowodem niepospolitego rozsądku, najwięcej wraze rozbroiła obmowę, lubo na przyszłość rzuciła ziarno zaciętszej przeciw sobie nienawiści.

Tak przynajmniej się stało z szambelanową R. Owa dama, już trochę nam znana, powzięła do niej od dnia ślubu, to jest od pierwszego widzenia, żal wielki, a to nie z tych powodów co wspomniane panie, bo miała już drugiego męża, choć starego, ale z następujących:

Karolina była młoda i ładna, świat z uśmiechem otwierał się przed nią; Szambelanowa przed dwudziestą laty wcale kształtna i gładka, zupełnie już z pola schodziła; twarz jej pożółkła i marszczyła się, kibić traciła giętkość, a co najgorsza, sławne z koloru i długości włosy siwiały: napróżno wrywała codzien owych natrętnych gości, nowe bielaly do jutra; i widziała się w smutnej alternatywie łysiny albo siwizny. Karolina była bogata, a ona wysokiego dosyć rodu, ale miernego i zniszczonego majątku; przykreimi ofiarami w domu i za domem, czystą wojną z napół opano-

wanym mężem, ledwie wydołać mogła na przyczepienie się do elegancyi, modną i wyszukaną toaletą i różnemi nowościami z Paryża. Karolina była niewinną, dobrą, życzliwą dla wszystkich, szczęśliwą w samej sobie, bo wierzyła w doskonałość i w cnotę; a ona o złości i głupstwie ludzi tylko gadała i o nieznośnych życia goryczach i niedorzecznościach.

Tak wielka różnica musiała obudzić zaciętą niechęć w Szambelanowej, gdyż wiedzieć trzeba, że to był charakter osobliwszy. Rozumu niepospolitego i dosyć ocytana nie tylko w romansach, ale w filozofach francuzkich, miała w sobie wiele liberalizmu czy filantropii, jak wtedy mówiono; ale pod tém piękném uczuciem kryły się: głęboki egoizm i wyuzdana pycha. I tak, występując zawsze w obronie niższych i słabszych, powstawała z zapalem na wszystkie przywileje, które jój się nie dostały; broniła zaś i strzegła wszystkich korzyści losu, jakich używała sama. Nie byłaby naprzykład odstąpiła ani jednego herbu, ani jednego tytułu familijnego, ani jednéj wioski; ale piorunowała ciągle na mitry, korony i wielkie majątki. Pełna czynnej litości dla ubóstwa, dla nędzy, dla chorych, sprawiedliwa w obejściu się ze służącemi, pobłażająca wyraźnym głupim; słowem: prawie dobra dla zupełnie niższych od siebie, równych sobie nie lubiła, a wyższych w jakimbądź względzie nienawidziła. Zdawało się, jak gdyby poczytywała za największą niesprawiedliwość, żeby ktoś w czémkolwiek miał więcej od niej; jój należało się wszystko najpierwój, jako najgodniejszój i najrozumniejszój, a dopiéro reszta drugim. Układ jój umysłu był taki, że może byłaby rada wszystkich ludzi zrównać; jakoż bardzo często rozprawiała o tém szumnie i pięknie, ale owo zrównanie kończyło się w gruncie na tém, żeby wziąć tym co mieli więcej niż ona, a dać tym co mieli mniej od niej, ona zaś miała zawsze w myśli nie stracić ale zyskać i postawić się najwyżej.

Z taką żądzą piérwszeństwa, z takim zapasem za-

zdrości, rzecz oczywista, że nie mogły pójść w smak Szambelanowej widoczne wyższości Karoliny. Rozważając je z coraz większym żalem, upatrzyła jednakże jedną korzyść ze swojej strony: język obrotny, dowcipny i śmiały. Tą bronią umyśliła dokuczać wybranej ofercie; ale gdy razu jednego i w tej walce publicznie zwyciężoną została, poprzysięgła za to upokorzenie nietylko nienawiść, ale pomstę. Zdarzenie drobne napozór było następujące:

W kilka dni po zjechaniu się wszystkich gości do Modrogóry, przy obiedzie, Szambelanowa mówiąc głośniej od obecnych nawet mężczyzn, zaczęła rzucać ostre pociski w dowcipnych anegdotach i przymówkach, na ludzi spanoszonych, na fortuny nagłe. Karolina przygotowana, jak wiemy, na takowe zaczepki nie zmieszała się; a ponieważ szło tu nietylko o nią samą, ale o rodziców, zamiast zmilczeć lub odwrócić rozmowę, podniosła owszem wyzwanie, i tak się odezwała:

— Jest jednak zasługa i przyjemność w zrobieniu sobie majątku i w dojściu z niczego do jakiegoś znaczenia: mój ojciec mi to nieraz powtarzał.

Na te słowa z godnością a razem z prostotą wyrzeczone, wstyd dla niej ukartowany odkrył czoło tej, która ją zarumienić chciała i padł na zawistne serce; wszyscy obecni spojrzeli się po sobie z widocznym uśmiechem i umilkli na chwilę; sam Leon rzucił na żonę okiem pełnym zdziwienia i pochwały, a ów rzut oka osłodził jej całą przykróść tej walki.

Bo chociaż Karolina z tryumfem wyszła z tej rozprawy i z kilku podobnych, chociaż nie zgadywała bynajmniej, że szlachetną i otwartą obroną sporządza sobie skrytą nieprzyjaciółkę: chociaż przybycie tych gości i konieczność zajęcia się niemi przerwały czarny smutek, w jakim widzieliśmy ją niedawno; przecież ten nowy sposób życia, ta baczność na siebie i na drugich, ta niechęć ludzi, którym ona tak dobrze życzyła, dziwnie przykre jej się zdawały; był to

drugi kwiat oberwany z owego wieńca szczęścia i doskonałości, o jakim marzyła w niedoświadczeniu swojém: był to drugi zawód, jaki świat jój przynosił.

Jako — mówiła do siebie — są więc w towarzystwie osoby, których strzedz się trzeba, i którzy wśród zabawy dokuczać lubią. Czyż mnie już nigdy głośno myśleć nie będzie wolno? Niedosyć, że z rozkazu męża dźwigam w głębi duszy ciężką tajemnicę, że się ukrywam przed temi co kocham, jeszcze i w obojętnych rzeczach uważać muszę na siebie i zawsze być w obawie.

Myśląc podobnie, Karolina nieraz zapłakała, i to nie bez przyczyny.

Zaiste, dla niewinnój i prostomyślnój kobiety, przyzwyczajonój do życia między swojemi, poufale i bez trwogi, jedno ze srogich cierpień, skoro wejdzie wśród obce a często nieżyczliwe sobie osoby, jest owa konieczność uważania na siebie i na każde słowo. Tak jój jest w podobieństwie, jak kiedy kto z pewnej i szerokiej drogi, którą szedł bezpiecznie i przyjemności podróży używał, zejdzie nagle na wązką kładkę nad głęboką rzeką zarzuconą; każdy krok ważyć musi, a w tej nieustannój trwodze nie może patrzeć w okolo; dosyć mu, jeżeli przed sobą dostatecznie widzi i szkody nie poniesie. Mniej więcój, prawie każdą nową mężatkę podobna kolój spotyka, zwłaszcza jeżeli prosto z pod skrzydeł dobrej matki w objęcia męża przechodzi. Dotąd jedném, a raczej pół-życiem żyła, bo nie odpowiadała nawet za siebie, a co było trudnego w jój drodze, to matka usuwała; dziś żyje życiem dwojga, w najmniejszej, jak w największej rzeczy, własnej woli i możności, i drugiego radzić się musi; szczęśliwa jeszcze, jeżeli ten drugi otwarcie jój daje poznać czego chce po niój, i pochwalić ją, kiedy go posłucha lub odgadnie.

Biędna Karolina w tej nowej dla siebie próbie, tak słodkiej pociechy nie miała; rzadkie i nieme pochwały Leona

zdawały się wymuszone prawie gwałtem; nigdy jęj nie powiedział jaką być ma, nigdy nie podziękował że taką jest. Wyznać téż należy, że gdyby nie jęj wrodzony rozsądek, rozwinięty tak szczęśliwie wychowaniem; gdyby nie zwyczaj spędzenia codzięj chwil kilku w zupełnej samotności, zastanawiania się nad sobą, i nad tém co czynić należało, nigdyby przetrwać nie potrafiła przyzwoicie położenia swego. Ale godzina podobna stawała się dla nięj wychnieniem i nabraniem siły: zamknięta na dwa klucze w sypialnym pokoju, płakała często rzewnie i gorzko, a przecięj wychodziła ztamtąd swobodniejsza; nieraz nawet w ciągu dnia mogła się wydać wesołą, i była nią często w istocie. Gdzież znajdzie ośmnasto-letnią osobę, coby przy największych powodach do smutku, chwil wesołości a nawet pustoty nie miała? Karolina skora i łatwa do śmiechu, jak wszystkie młode kobiety, śmiała się nieraz serdecznie, ledwie w pół godziny po łzach obfitych i smutném dumaniu. Co więcj, rada była okazyom do żartów i do śmiechu, choć czasem szły jęj z przymusem; bo odgadła, że żartami i śmiechem najsnadniej zbyć i ukryć wszystko; i że między ludźmi jest to moneta, na której zmyślonej wartości najmniej się znają. Jakoż gdyby się dało zrobić statystykę łez i śmiechu, możnaby zdaje mi się pójść w zakład, że na stu łzach, ledwieby jedna fałszywą się znalazła, a na stu uśmiechach, może jeden szczery.

W tém mamieniu drugich i siebie, Wojewoda lubo nie otwarcię i bez żadnej znowy, przecięj dzielnie pomagał Karolinie. Najprzód, ona przyzwyczaiwszy się do niego z dzieciństwa, była z nim prawie tak śmiała jak z ojcem; a jęj ułożenie potrzebowało koniecznie zachęty i ośmielenia, żeby się wydać dobrze. On zaś ożeniwszy syna wbrew jego woli, dopuściwszy się z potrzeby *mezaljansu*, rad był pokazać światu, że jego synowa nie samym posagiem jaśniała, i nie szczędził jęj pochwał w oczy i za oczy.

— Proszę aśki—mówił raz do Kasztelanéj, która drugiego dnia po przyjeździe do Modrogóry zaniechała wszelkiej myśli choroby na tę zimę—proszę, cóż jest do zarzucenia naszej pani młodéj? Czy nie jest tak ułożoną jak owe damy, co w Wiedniu się chowały, a nawet jak te, co teraz z Paryża, od pani *Campan* wracają? Czy ma najmniejszy akcent w mowie, lub śmieszność w chodzie, w ukłonie?

— Przecudowna jest — odpowiedziała Kasztalanowa — i znajduję ją sto razy lepiej niż się spodziewałam.

— Słowem honoru ręczę — mówił dalej Wojewoda — przypomina mi bardzo nieboszkę królowę w jéj najświetniejszych czasach, kiedym z nią grywał w karty i bawił się w *Trjanon*. Te oczy, ta pleć biała i świeża... Gdyby jeszcze przejechać się mogła choć na rok do Paryża, gdzie jak mówią dobry ton i piękne maniery wracają z Cesarstwem, byłaby niezawodnie pierwszą naszą elegantką. Ale cóż, kiedy stary Cześnik ani chce słyszeć o zagranicy dla córki: nieznośnie uparty Sarmata!

— O! zapewne — potwierdziła światowa dama — koniecznie jéj potrzebny później, do dalszej karyery, Paryż, ów chrzest dobrego tonu. Ale na tę zimę, wierzaj mi, Wojewodo, obejdzie się bez wszystkiego. Mnie w niéj wcale nie to się podoba, coś dopióro chwalił: mowa, chód, ukłon, bo to rzeczy wspólne każdéj młodéj damie; ale to mnie zachwyca, czego w żadnéj niéma. Co wszystkie udają z pracą, to w niéj jest aktualne: jaka prostota! jaka naturalność! co za niepojęta i nieopłacona niewinność! zupełna Filis, albo Chloe, istna Alpejska pasterka. Czemuż jéj nie znał Floryan i Marmontel, dopióroby mieli wzór naiwności... Ręczę, że pod *Blachą* szaleć za nią będą... Zrobi efekt w świecie, i będzie miała niesłychane successa.

— Jednak chciałbym przed zimą zawieźć ją do Puław — przerwał teść troskliwy — skoroby ją tam piękną i grze-

czną ogłoszono, cały światby ten wyrok potwierdził. Ale na nieszczęście księżę generał u wód w Bardyowie, a księżna w Lubieniu. Może choć na św. Elżbietę zjazd będzie. A i mego syna w Puławach nie znają; radbym mu pokazał ostatni dwór polski, choćby dla historycznej pamiątki.

— Przesadzasz z temi swými Puławami—rzekła Kasztelanowa, nieco zachmurzona — już to wszystko się zestarzało; teraz nam innych obyczajów trzeba; przecież iść należy za postępem wieku, a z kuntuszami i żupanami zarzucić te sarmackie i barbarzyńskie cnoty. Kto dziś gdzie słyszał o takiej gościnności. Tam każdego przyjmują, każdemu radzi; brudny jaki Bernardyn przyjedzie po kweście, albo szlachcic zagonowy, i sadzają go do książęcego stołu. Żadnego doboru w towarzystwie, stary księżę się gniewa, kiedy mówić po francuzku. Już ja sto razy wołę w Jabłonie i pod *Blachą*; wszystko tam wytworne, osób mniej, służba zagraniczna, kuchnia wyborna, język panujący francuzki a nasz księżę, wybaczysz, onto prawdziwie coś królewskiego ma w sobie.

— Ani myślę zaprzeczać tych wysokich zalet—powiedział jeszcze Wojewoda—urządzenie Jabłonny naśladowałem tu ilem mógł; księcia Józefa kocham passyami, i pochlebiam sobie że mu się moja synowa spodoba; a jeżeli mam wyznać zupełną prawdę, dlaczegobym rad szczególnie zawiózł ją do Puław, to dla tego, żeby się przypatrzyła ideałowi niewieściemu, pani Zamoyskiej; żeby schwyciła cośkolwiek z tego doskonałego wzoru.

— Ach!—okrzyknęła ex elegantka—dajże sobie pokój z tą panią Zamoyską; już mi kością w gardle jój pochwały i naśladowanie.

— Nie Rafaela wina, jeżeli go źle kopiują—odpowiedział Wojewoda—a ja powiem bez ogródki: nic równego pani Zamoyskiej nie widziałem. Coto za wdzięk, jaka powaga, jaka gracia, co za urok w tych oczach! Ale—dodał

spuszczając z tonu, postrzegłszy wyraźne nieukontentowanie dawniej przyjaciółki—nie turbuję ja się bynajmniej o sukcesą mojej synowej. Przy takiej opiekunce, nie braknie jej ani na radzie, ani na wzorach—zakończył grzecznie, całując ją w rękę.

Udobruchała się stara kokietka, a Wojewoda spojrzawszy na zegarek zawołał:

— Co, już piąta! jak to zapomnieć się łatwo w przyjemnej rozmowie. Przed piątą zajechać kazałem powozom: już muszą być. Śliczne miejsce obrane na dzisiejszy podwieczorek: łączka pod lasem, niedaleko chaty leśniczego, ocieniona starami wierzby. Trzeba zawsze coś wymyślić żeby rozerwać biędne opuszczone kobiety, a młodzież od kart, bilardu, fajek i kieliszka odciągnąć. I my pili i grali gdy byliśmy młodzi, ale słowo daję, kiedy ładne kobiety były niedaleko, wszystko się dla nich rzucało; a jeżeli się piło i hulało, to z niemi. Krysiu! pamiętasz kolacye na Faworach?—szepnął z wyrazem.

— Cicho, cicho—wyrzekła Kasztelanowa kładąc mu rękę na ustach—nie wspominaj tych szaleństw.

Dawny seduktor chciał powiedzieć jeszcze coś bardzo krotofilnego, ale mocny kaszel, jakiemu od czasu ostatniej choroby ulegał, odebrał mu mowę na kilka minut, i wyjść musiał z pokoju.

Tymczasem, zajechały otwarte powozy ostatniej mody: koczki, karyolki, dorożki cztero i dwu konne; masztalerze i żokierze angielscy przyprowadzili kilkanaście dorodnych wierzchowców, gdyż to był ulubiony przepych Leona; i całe towarzystwo jak prawie w dniu każdym, od chwili zebrania się w Modrogórze, ruszyło na daleką przejażdżkę. Młodzież męzka jechała konno; z kobiet dwie tylko odważyło się na podobną jazdę, jeszcze nie tyle przyjętą wtedy u nas, ile nieco później. I tę odwagę przypisywały damy mniej śmiałe tej tajemnicy, że owe dwie panie, twarzy nie pięknej i nóg

krótkich, tylko na koniu nie źle się wydawały. Jakkolwiek-bądź, patrząc jak galopowały swobodnie i kierowały według upodobania szlachetnym zwierzem, Karolina, już teraz więcej oswojona z końmi i ruchawa z natury, wielkiej nabięrała ochoty do spróbowania takowej jazdy. Lecz nie wiedziała jakby to Leon znalazł, a spytać go nie śmiała.

— Kiedy, kiedy — mówiła sama do siebie — jak znowu da Bóg, zostaniemy sami, poproszę go, pozwoli mi tego konika gniadego i będziemy sobie jeździli we dwoje, żeby jak najprędzej ten moment przyszedł!

Bo Karolina choć napozór dosyć wesoła i gościom rada, zapomniawszy już zupełnie o tém co wycierpiała nim przyjechali, wdychała serdecznie za chwilą ich odjazdu, a raczej stęskniona za Leonem, pragnęła zbliżyć się do niego. Przedtem, kiedy byli sami, choćby najsmutniejszy, musiał przecież mówić z nią czasem, odpowiadać jęj, patrząc na nią; wtedy i ona drobnemi staraniami, częstém wzywaniem jego pomocy i rady, słówkiem łagodnym, mogła go ujmować, przynęcać zwolna, a przynajmniej być z nim, siedzieć blisko niego, albo wpatrywać się zdaleka i nieznacznie w tę twarz ukochaną, kiedy czytał lub rysował. Teraz nic z tego. Świat tak ich dzielił doskonale, jak gdyby o sto mil byli od siebie; względów nawet i grzeczności mężowskich, których w prostocie swojej, spodziewała się przy ludziach, także jęj ubyło. Owe żarciki napół prawdziwe w używaniu w towarzystwach wysokiego tonu: „Nie siadaj koło żony, nie podawaj ręki mężowi, nie rozmawiajcie z sobą,“ wykonywane rzetelnie przez Leona, odejmowały jęj jedyne złudzenie ich życia sam na sam, i największą jęj przyjemność. Prócz tego, byli też inni, co korzystając z eleganckiej obojętności pana hrabiego, bardzo chętnie go zastępowali w siadaniu koło żony, w podawaniu ręki w rozmaitych atencyach

I tego dnia, jeden z owych *innych*, kasztelaniec Ludwik F., któregośmy widzieli na ślubie Karoliny, majątkiem

inieniem, do piérwszej młodzieży należący, więcéj jeszcze niż kiedy nadskakiwał jéj i służył. Już bez rodziców, pan samego siebie, był bratem ciotecznym Leona; na pensyi uczyli się razem w Wiedniu, w Paryżu widywali się często; lecz wtedy kiedy Wojewodzie do Włoch pojechał, kasztelan starszy od niego parą laty, wrócił do kraju, a ładny chłopiec, ogłoszony za pierwszego eleganta, już od dwóch zim, ton dawał młodzieży męzkiej i głowę zawracał damom wielkiego świata. Każdy naśladował krój jego sukni, fałdy krawatek, formę lorynetki, układ włosów *á la Titus*; każdy chciał mieć takie buty, taką laseczkę, takie breloki u zegarka: każdy starał się nawet tak wymawiać jak on. Trudno by wyliczyć ile niesłyszanych dotąd śmieszności zaszczyił w naśladowcach swoich; onto podobno piérwszy, poważył się mimo wyboruego wzroku szkło nosić i przez szkło patrzeć; on piérwszy zaczął niewymawiać *r*, mówiąc po francuzku, i narobił odrazu ślepych i szepleniących bez liku; on nareszcie z zagranicy wszystkie ubiory sprowadzał, bieliznę pracze do Paryża posyłał, czem nie mało pieniędzy wyprowadził z biédnego kraju, bo wielu za tym przykładem poszło.

Same kobiety go psuły, ogłosiły go sędzią gustu, najbieglejszym znawcą urody, toalety, przyjemności niewieściej, i pochlebialy mu żeby zyskać jego pochwały, dozwalając różnych wolności, którychby zapewne w innym nie ścierpiały. Jedna Szambelanowa karciała go cokolwiek i sprzeciwiała mu się dosyć dowcipnie; on ją téż za to poważał i przysądzał jéj wiele mądrości i doświadczenia, do czego sam ani miał ani mógł mieć pretensyi. Ale pod tą oponą tak blachą, kryło się serce dobre, szlachetne i kochające. Szczéry, otwarty, delikatny, uczynny, kieszeń jego była kieszenią przyjaciół; powóz, konie, służący na ich usługi; tancerz zawołany, skory do zabaw i do miłostek, ale nie znający dotąd głębokiego uczucia, nigdy nie odmówił ani par-

tyi wesołej, ani sekundowania w pojedynku, ani dobroczynnej spółki, ani nawet cokolwiek nagannój wyprawy, byle śmiałej. Bo jak zgadnąć można, na śmiałości i dobrej opinii o sobie mu nie zbywało, a mała rzecz podsycić ją umiała. Tak i dziś właśnie przysłało mu sztafetą wraz z dziennikiem mód, najnowszy ubiór konny: frak szaraczkowy z połami krótkimi na jeden rząd złotych guzików spięty, kamizelkę ponsową kazimirkową z wypustką czarną, krawat biały, spodnie krótkie żółte ze skórki jeleniej, buty ze sztylpami przy ostrogach, kapelusz okrągły czarny i pajczyk prawdziwie angielski. Przywdział i wziął to wszystko, dobrze mu było; Karolina go pochwaliła, i śmielszy był niż dni innych.

Wiedzieć zaś nie zawadzi, że już w dzień ślubu Leona, kasztelanie zawyrokował: że nowa jego kuzynka jest wcale ładna i musi być niezmiernie dobra; lecz dopiero po kilku dniach pobytu w Modrogórze, zaczął jój sypać pochwały, jak jeszcze żadnej kobiecie. Jakoż dla człowieka znającego same elegantki, ich nieszczerłość i przesadę, zazdrość i nieżyczliwość między sobą, trudność i przesycenie w zabawach; dla młodzieńca znudzonego w duszy siłami, wabnością, nadstawianiem się wszelkiego wieku kokietek, taka osoba jak Karolina wydać się musiała zjawiskiem, wytchnieniem.

Zaczawszy od urody widział w niej samą naturę i prawdę, ubiór jój gustowny i staranny nie zdradzał ani przymusu ani straty czasu; włosy układały się jakby same z siebie w nadobne pierścienie, bo miękkie były i szklnięce; w czepeczku czy w kapeluszu odrazu włożonym, zawsze jój było do twarzy, bo twarz była śliczna i świeża; suknia leżała jak ulak, bo ona cała zdawała się jak na wzór greckiego posągu ulana, a wróg zdrowia i piękności, sznurówka ciasna i szablista, nie psuła przyrodzonego kształtu, nie przecinała jój jak osy, ani krępowała ramion. Równie rze-

telną i swobodną jak uroda była jej grzeszność, gdyż pochodziła z dobroci, i nie stawiała jej na przeszkodzie próżność. Nie mógł się też dosyć nadziwić kasztelanica, jak w tysiącnych zdarzeniach nie myślała o wydaniu się sama dobrze, ale zawsze najkorzystniejszego miejsca ustępowała drugim. Łatwość jej w zabawieniu się, także go ujęła. Kiedy drugie damy, zwłaszcza młode, wszystkiém się nudziły, wszystko już znały, wiedziały, ją najmniejsza rzecz zajmowała, lubo zawsze w miarę i przyzwoicie. A niewinność jej i wstydlivość tak wielka i nic nieudatna, jakże zachwycać nie miały inaczej nawykłego kasztelanica?

Z razu tój tajemnicy pojąć nie mógł, lubo uwierzył zupełnie; lecz wkrótce wytlómaczył ją sobie przywołując na pamięć co gdzieś czytał: że w tój mierze czystość myśli znaczy najwięcej, a niejedna żona i matka niewinniejszą jest od wielu panien. Zgoła z jakiegobądź względu zapartywał się na Karolinę, widział w niej zupełnie nową i godną uwielbienia istotę.- Mimo tego, a może dlatego, nie pokochał się w niej, jak już w tylu innych kobiétach się kochał; owszem ręczył i sobie i drugim że widzi w niej siostrę i przyjaciółkę, a raczej żonę brata i przyjaciela. Obejście Karoliny z nim, utwierdzić go mogło w tem mniemaniu: uprzejma i naturalna ze wszystkiemi mężczyznami, z nim najwięcej i najśmieliej mówiła; ale widoczném było, iż tak czyni jedynie dla dogodzenia Leonowi, który przedstawiając jej Ludwika, bratem go nazwał i czuliej niż innych polecił. Oboje tedy lubo z wielką dla siebie przychylnością, zupełnie byli bezpieczni.

Lecz nie zawsze i nie wszyscy w głębi serc czytają; a każdy młody mężczyzna kiedy nadskakuje ładnej i grzesznej kobiecie, choćby najmocniej był przekonany o jej wysokiej cności i niedostępności, przecież wydaje się drugim, a może i jest w gruncie nieco rozkochany. Przeto, i uprzejmość większa Karoliny dla kasztelanica, i jego uwielbienie

nie uszły kilku przenikliwszych osób, a najpierw Szambelanowej, która w tym razie więcej niż kiedy ściagała zawistnym okiem upatrzoną ofiarę, gdyż przed przyjazdem do Modrogóry zaczęła sobie pochlebiać, iż jej rozum, dowcipne żarciki, gust wytworny w toalecie, zjedną jej czasem coś czulszego niż poważanie od modnego kawalera. Na tej zaś przejażdżce o której mowa, całe towarzystwo a nawet Leon, coś między Karoliną i Ludwikiem upatrywać zaczął.

Jak to zwyczajnie się dzieje w takowych zabawach u nas, gdzie bez jedzenia obejść się nigdy nie można, suty podwieczerek już był zastawiony na łące, wśród wierzb rozłożystych, kiedy kompania nadjechała. Chociaż liczna i różnorodna służba przygotowała wszystko jak się zdawało, przecież zostawało trochę zachodu z nalewaniem zamrożonej kawy, z rozdawaniem owoców, ciast, konfitur, mléczywa. Karolina coraz lepiej odgrywająca rolę gospodyni, coraz śmielsza, wezwawszy pomocy dam młodszych, zajęła się ochoczo miłą pracą częstowania. Już w końcu podwieczorka, ktoś, Szambelanowa podobno, zakrywając wybrane i pocukrzone poziomki łyżką gęstą i świeższą śmietany, wspomniała o chlebie razowym. Chata leśniczego stała niedaleko, Karolina zawołała na liberyą, żeby który tam poszedł i poprosił o bochenek. Na ten jej rozkaz pędem wiatru pobiegł kasztelanik, i wkrótce przyniósł nietylko bochenek razowego chleba, ale dwuletnią dziewczynkę czysto umytą, w białej koszulce, krajką opasaną, która obaczywszy zdaleka Karolinę, wołała na nią: „Pani! pani!“ wyciągając obie rączki. Karolina poznała natychmiast ową dziewczynkę uleczoną z krupu; uradowana pobiegła ku niej, a biorąc ją z rąk kasztelanicy, serdecznie całowała. On zaś który w chacie dowiedział się wszystkich szczegółów tego uleczenia, i nasłuchał błogosławieństw rodziców dla młodej pani, powiedział z uczuciem i tak że tylko ona go dosłyszała:

„Jaki to widok rzadki, w pałacu być duszą zabaw, a w chatce życiem ubóstwa.“

To odkrycie dobrego jój uczynku, o którym mąż nawet nie wiedział, zmieszało niezmiernie Karolinę; cała scena ściągnęła uwagę obecnych, a co dziwnego, bardzo zachmurzyła czoło pana młodego: spojrział na żonę jakby z gniewem, wydrwiwać zaczął Ludwika, który opowiadał obszernie i z zapalem czego się w chatce dowiedział, i tyle sprawił, że Karolina nie poznając w tym momencie dobrego serca męża, w jakie tak mocno wbrew własnemu doświadczeniu wierzyła, zmartwiona do żywego, postawić musiała spiesznie dziewczynkę na ziemi, schylić się ku niej odwracając się od całego towarzystwa, a to, żeby otrzeć ukradkiem gorzkie łzy toczące się po jój licach. Potém, dla ukrycia wewnętrznej boleści i zapłakanych oczu, podała myśl wesołej gry, głośnej *ślepěj babki*, którą sama chciała być najpierw; a zawiązawszy na dobre chustkę, niewiedząc o tém, goniła za kasztelanicem i jego schwyciła, co on znowu jój oddał, gdy z kolei nie tyle sumiennie zasłonił sobie oczy.

Nigdy jeszcze Leon od czasu przybycia gości tak złym i dziwnym się nie okazał, wszystko mu wadziło i do zabawy należeć nie chciał. Widząc to, uważająca najwięcej na niego Karolina, wyszła z gry pod pozorem zmęczenia, i Szambelanowój która jeszcze nie gardziła ani bieganiem ani tańcami, zawiązała oczy; sama zaś przyłączyła się do poważnych osób, co spokojnie przechadzały się po łące.

Od tego dnia, ktokolwiek nieco uważał, dostrzedz mógł z łatwością, jak Leon chociaż zawsze równo zimny dla żony, baczny był na najmniejsze jój stosunki z kasztelanicem; i ta jego zazdrość mężowska, szczególna w człowieku nie dbającym o skarb jaki posiadał, ale naturalna sercu ludzkiemu, które prawo własności ceni choć go nie używa; ta zazdrość, mówię, na to przynajmniej się zdała, że mimowolnie i bez jój wiedzy obudziła usypiającą już nadzieję

w sercu Karoliny, i dodała jęj wesołości, i na to jeszcze, iż osobom co potajemnie dziwiły się przesadzonej obojętności pana hrabiego dla żony, oczy zamydliła.

— To mąż Anglik—mówili mężczyzni — napozór zimny lecz o honor swój dbały.

— Co pani Karolina—mówiły kobiety, (bo według dawnego przewidzenia Wojewody, tak przezwano jego synową)— pani Karolina przy swojej skromnej i niewinnej mince podobać się lubi, i już dobrze wie czém zagrzewać stygnącą miłość mężów.

— Zobaczycie—dodawala z szyderskim uśmiechem Szambelanowa—że to będzie zmyślane niewiniątko. Śmiałabym się szczerze, gdyby najdalej za rok zwiększyła liczbę owych rozwódek, którym tak się dziwuje, jak gdyby nie z Berdyczowa, ale z księżycy tu spadała. Gotowabym pójść z kim w zakład, że tak się stanie.

— Ze mną! ze mną! — zawołało ze śmiechem kilku mężczyzn wyciągając ręce.

— Ja nie żartuję: kto z panów na *seryo* tę rzecz bierze?

— Ja—powiedział zacy jeden i sędziwy generał. Znam wychowanie pani Leonowej i ręczę za nią.

— No! o co się założymy?—spytała, bo wiedziała że generał bogaty i słowny.

— O szal tywtykowy. Pani przegrasz, to mi dasz ten co na niej widzę; ja przegram, to pani kupię nowy i przepyszny u starego Paschalisa.

— Zgodal — krzyknęła Szambelanowa.

Obecni przecięli trzymające się ręce zakładaczy, i wnet zapomnieli o zakładzie; ale Szambelanowa postanowiła w duszy wygrać go, bądź co bądź.

Biędna Karolina jak prawdziwe niewiniątko nie domyślała się niczego; przejęta świętością małżeństwa, serce mając zapełnione Leonem, ani zgadywała prawdziwego znacze-

nia nieczyich grzeczności: nadskakiwania kasztelanica i innych zdawały ję się konieczną daniną, jaką wysoko edukowani mężczyźni składają płci słabszej. Jeżeli dostrzegła jednak że czasem więcej dla niej niż dla obecnych kobiet czynili, przypisywała to godności gospodyni domu, a więcej jeszcze godności żony Leona, o którym wystawiła sobie, jak myśleć zwykliśmy o tych co kochamy, że od wszystkich bardzo jest ceniony. Pamiętała to dobrze, lubo na ten raz ję zastosowanie nie miało wiele trafności, że kiedy kto chciał ję ojca ująć, matce więcej niż jemu oświadczał i robił grzeczności; mówiła przeto sobie:

„Oni jęgo we mnie chcą uczyć i uszanować.“

I cieszyły ją te atencye zamiast niepokoić, a czegoiby nikt nie odgadł, wznęgały ję miłość dla Leona.

Nareszcie po dwudziestu dniach rozmaitych zabaw, na jakie wieś zdobyć się może, ciągle wymyślanych przez Wojewodę, rozjechali się wszyscy goście, prawie jednego dnia. Ci którym te nieznośne i utrapione interesa, owa plaga polskich panów, nie pozwalały jechać za granicę, mianowicie do Paryża nową świetnością jaśniejącego, ci dali sobie słowo zjechania się przed świętami Bożęgo Narodzenia do Warszawy. Kasztelanie oświadczył na głos, że lubo miał dawniej zamiar jechania na rok za granicę, ruszy tylko do Berlina na parę miesięcy, a potem podda się śmieszności przepędzenia trzecię już zimy w Warszawie, skoro na ję horyzoncie tak świetna gwiazda ma zajaśnieć.

Karolina i ten komplement przyjęła jak inne z wdzięcznym uśmiechem, a kiedy już ostatnich gości odprowadziła przed sień pałacową, kiedy ostatni powóz zniknął za bramą, wróciwszy do pustych i głuchych pokojów, nie mogła się wstrzymać od jakiegoś smutnego wrażenia, zwłaszcza, że nagle zupełnie sama została, bo Wojewoda także odjechał, a Leon zamknął się natychmiast u siebie.

Jaka ja dziwna się zrobiłam — pomyślała — pragnęłam

żeby odjechali, a teraz mi smutno. Sama nie wiem czego chcę, co mi jest: już i siebie nie poznaję.

A tak myśląc usiadła w oknie, i nie postrzegłszy się dumiała więcej niż godzinę, popłakując gorzko. Zszedł ją w tym stanie Leon, i widać było że go zadziwił, a nawet rozgniewał jój smutek; wpatrywał się raz pierwszy w jój zapłakane oczy, i pierwszy raz ślady łez w nich dostrzegł.

— W wielkiej jestem obawie—wyrzekł po chwili milczenia z widocznym przyćmieniem—żebyś się pani nie stęskniła; zapewne czas długi będziemy bez gości.

— O! i owszem—odpowiedziała z żywością Karolina—ja gości niecierpię.

Ale on tych słów nie uważał, wyszedł, wsiadł na konia i nie przyjechał aż na wieczerzę.

ROZDZIAŁ VII.

Pierwsza podróż państwa młodych.

Łzy i dumanie, na których Leon zszedł Karolinę, miały przykrzejszą może gorycz od tych, na jakich schodziliśmy ją nieraz. Pobudką im była jakaś zupełnie nowa niespokojność, oburzenie i coś nakształt ciekawości; w podobieństwie do tego co dzieje się z nami, kiedy podsłuchamy słów kilku zajmującej a gorszącej tajemnicy, której wiedzieć nam się nie godziło, radzibyśmy i zapomnieć to cośmy usłyszeli i dowiedzieć się reszty. Bo Karolina już traciła nadobną i szczęśliwą niewinność umysłu; tchnienie choć przemijające zepsutych, przesyconych i niebacznych ludzi, zdmuchnęło pył świeży tego lubego kwiatu; już jak szkło na nagłą zmianę powietrza wystawione, lekką parą zachodziła czysta jój dusza: już w niej tak wyraźnie jak dotąd przejrzeć się nie mogła, i snuły się w jój myśli dziwaczne i nieznane obrazy.

Szkoda! powie to może nie jedna z czytelniczek: zapewne że szkoda; i mnie żal owój pierwotnej, przejrzystej Karoliny; żal mi skracać dla niej owe rajowe niedoświadczonej młodości chwile, żal zepchnąć ją na skażoną ziemię

i obrywać po listku ów kwiat ledwie rozwity. Lecz taka jest konieczna rzeczy stworzonych kolój: od człowieka do rośliny nie kwitnąć zawsze nie może; i nie byłoby nigdy owocu, gdyby pierwój ozdoby kwiatu nie znikły.

Karolina jak prawie każda młoda osoba, w zaciszu domowém bogobojnie wychowana i pilnie strzeżona, żyła dotąd początkowém, patryarchalném życiem. W domu rodzicielskim widziała jedynie cnotę i porządek; wszystko w niój i koło niój było zgodne, łatwe, godziwe, zbawienne. W staropolskich rodzinach panowała dawniej, a zapewne i dziś panuje wielka bacność na słowa i rzeczy, przed dziećmi i przed młodzieżą mówione. Owa bacność nie kończyła się na unikaniu lub obchodzeniu wyrazów i szczegółów nieskromnych, obejmowała złe wszelkie. Uznawali tam w prostój mądrości, że każda cnota ma wstyd swój, każdy występek swą zgrozę, i że czystość duszy nie zawisła na jednéj tylko skromności, jak stan pomyślny ciała nie zależy od zdrowia jednéj części. W owych rodzinach, w których dzieci i młodzi długo dziećmi i młodemu byli, książek złych i niebezpiecznych wcale nie dawano w niedojrzałe ręce; nowy to jest wynalazek i dla francuzkich romansów odkryty, pozwalać panience czytać całą książkę, prócz kilku założonych kartek; jak gdyby duch szkodliwy dzieła nie zaraził każdój stronnicy!

Cześnikowstwo oboje przejęci byli tą staroświecką bacnością, którą dziś wielu zbyteczną nazywa; nigdy słowo nieprzyzwoite w żadnym rodzaju nie obilo się o uszy ich córki; nigdy nie tknęła się książki, którejby całej przeczytać z pożytkiem nie mogła. Wzrosła téż niewinna, prosta, ufająca, taka jakaby w życiu cichém, w wiejskiej ustroni, wśród równych sobie, niemal na zawsze uchować się potrafiła, ale jaką na wielkim świecie zostać niepodobna.

Dotąd, w jój niedojrzałym przekonaniu, dobre postępowanie było nietylko powinnością religijną, warunkiem we-

wnętrznego szczęścia; ale nawet jedynym środkiem do nabycia przyzwoitego mienia i powszechnej wziętości: każda cnota, każdy piękny uczynek sprowadzał widoczną i rychłą cześć i nagrodę, każdy występki, każdy błąd wzgardę i karę. O złych ludziach wiedziała że są, ale prawie pewną była, iż nigdy nie napotka żadnego; a wreszcie spotkawszy, pozna odrazu; bo źli ludzie muszą wyglądać zupełnie inaczej niż inni: mają zapewne jakieś właściwe piętno; jak owi złoczyńcy, za którymi dozorca po ulicach chodzi, różnią się od uczciwego ludu. W wysokim poważaniu dla wielkich panów, którym przesiąkła z domowego przykładu, pewną była, że im kto znamienitszy rodem i znaczeniem, tém jest rozumniejszy i cnotliwszy; zgoła, wystawiała sobie świat jak zwykle młodzi, nie jak jest, ale jak być powinien.

List Leona mógł być otworzyć jęj cokolwiek czy jeżeli nie co do złości, to przynajmniej co do przewrotności ludzkiego umysłu. Przecież nie sprawił takiego skutku. Zdziwił ją, zmartwił, ale jęj nie zgorszył. Karolina słyszała ogólnie z ust starszych o gwałtownych namiętnościach młodego wieku, jak o burzach na morzu, o wulkanach w dalekich krajach; wiedziała, że się trafiają między ludźmi wielkie obląkania, przykłady ich czytała nawet w księgach świętych; lecz słyszała także, iż człowiek wychodzi lepszy z tęg wálki błędu z prawdą. Rozkochana w Leonie, jak się kocha w ósmnastu leciech, może i rada w duszy, iż gra rolę w nadzwyczajnej przygodzie, miała ciągle nadzieję, że czy później czy prędzej pomyslna zmiana w mężu nastąpi, a ona przyczyni się do znalezienia tęg owieczki zgubionęj, co więcéj radości sprawi na ziemi i w niebie, od dziewięćdziesiąt dziewięciu które nie zbłądziły nigdy. W nieznanomości zupełnéj miary czasu, sił własnych i ciężaru długiego nieszczęścia, widzieliśmy jak pełna cnotliwych chęci, to dziękowała Bogu, że jęj tak wzniosłe cierpienie wydzielił,

to upadała zniechęcona, kiedy owo cierpienie dłużej trwało nad trzy dni.

Lecz wszystko to dotąd, jeszcze że tak powiem na dziewiczość jej duszy się nie targnęło; jeszcze wewnętrzna jej harmonia rozstrojoną nie była, wiara w cnotę niczem nie zachwiana. Słowem, jak nowa Ewa, boć niemal wszystkie powtarzamy spólniej matki historią, szła ku drzewu wiadomości, ale ani widziała, ani pragnęła owoców jego; zły duch nie nasunął jej jeszcze zdradliwych podszeptów: jeszcze ani do Boga ani do ludzi przyznanego żalu nie miała; jeszcze nie wyszło z jej ust żadne: dlaczego?

Pobył gości w Modrogórze, lubo tylko dwudziestodniowy, poprowadził ją szybko ku tej zmianie. Byli oni próbą owego tak zwanego wielkiego świata, co zwykle w życiu kobiety do niego przeznaczonęj, węża kusiciela zastępuje; a jeżeli jej zupełnie do błędu nie namówi, napełni ją przynajmniej ciekawością, obudzi w niej próżność, ową pychę niewieścią; wznieci żal że patrzy a nie używa, kiedy drudzy używają; odejmie jej niewinność, zakłóci swobodę i sprawi, że po ciężkiej dopiero próbie dochodzi do cnoty i wraca do wewnętrznego pokoju.

Podobny zarzut znamienitym gościom Modrogórskim uczyniony, a w ich osobie wielkiemu światu, wymaga może raz na zawsze niejakiego wytłómaczenia; ile że w ciągu niniejszej powieści powtarzany jeszcze będzie.

Wiemy wszyscy bardzo dobrze, iż nie na samym tylko wielkim świecie źle mieszka; ściśle mówiąc, pod względem cnót publicznych i domowych, klasa najwyższa urodzeniem, majątkiem, polorem, nie jest gorszą od reszty ludzi; ale każdy na to się zgodzi, że można być względem niej surowszym, bo jest słuszne prawo wymagania od niej więcej. Najprzód, ci którzy ją składają, acz są w małej liczbie, mają w sobie to głębokie przekonanie, że są najpierwsi między ludźmi, że garstka ich większą ma wagę niż miliony

niższych; powtóre, oni są na świeczniku, a „im wyżej, tém widoczniej Najjaśniejszy panie“ *)! Nareszcie, oni są co do ziemskich darów wybranemi losu; mają wychowanie, imię, znaczenie, i mniej więcej ową mamonę, owo złoto, dla którego niemal wszelkie zło na świecie się dzieje. Jeżeli więc grzeszą, stokroć są winniejsi od tych, których lekceważą. Człowiek z niczego co się spodli dla chleba, dla wyniesienia się, mniej oburza od człowieka fortuny i imienia, który grzęźnie w kałuży jakby z nałogu albo dla uciechy; a dziewczyna uboga co za suknią lub powóz wstyd przeda, zaprawdę, mniej godna pogardy od wielkiej damy, która mając strojów, przyjemności życia do sytu, przecież cnoty niewieściej nie strzeże, nie dba o to, co ludzie o niej mówią, i pokątnych uciech, nieprzyzwoitych zabaw szuka. Tamtych wiele rzeczy uniewinnia, tych wszystko potępia.

Wracając do naszych gości Modrogórskich przyznać potrzeba, że i między niemi było zapewne kilka zacnych osób płci obojga, nie znalazłoby się żadnej bez jakowéjsz zalety i zasługi; ale zdania, rozmowy niemal wszystkich, samo zdrożne położenie niektórych tak było przeciwne temu w czém Karolina wzrosła, a przytém owi panowie starodawnych imion, wysokiej edukacyi, pięknego układu, tak mało mieli podobieństwa z jéj wyobrażeniem o złych ludziach, że razem była i zdziwiona i zgorazona, a co więcej niekontenta z saméj siebie: to wymawiała sobie, że posądza niesłusznie, to znowu, że ma upodobanie w złém, bo zdrożności ją raziły, a osoby i zabawy dziwnie jéj się podobały. Żałowała przeto, że ją los w tę otchłań popchnął, a obok tego cieszyła się, że do owych wybranych ziemskich już odtąd należy; a czy żal przemógł czy radość, zawsze brała ją ciekawość poznania lepiej owego wielkiego świata, i dowiedzenia się czy to ona, czy drudzy się mylą?

*) Krasicki w satyrze do króla.

Jakoż nie wchodząc w zgorszenia zakryte, nie otwierając tajemnych kronik owéj próbki klasy najwyższej, zebranej w Modrogórze, dosyć będzie napomknąć o tém, co z wierzchu razić w niéj mogło niewinny umysł; bo pamiętać i to należy, że kaziły ją zbytki po czasach największego zepsucia obyczajów u nas, po czasach Stanisława Augusta.

W gronie tych osób wysoko edukowanych i ubranych modnie, było tylko jedno małżeństwo zgodne i kochające się, i to nie dawne, bo od roku; mieli za to z sobą czteroletniego synka, który szczebiocąc zawsze po francuzku, mówił *ty* ojcu i matce. Dama celująca urodą i rozumem, obecnych mężów miała dwóch, a przyjaciółki wróżyły jéj trzeciego; bo z pierwszym się rozwiodła i ten ożenił się z jéj rodzoną siostrą; z drugim była źle, a grzeczności innych mężczyzn, zwłaszcza jednego, przyjmowała bardzo mile. Poważna matka z dwiema dorosłemi córkami, pewnie Cześnikowéj wieku, więcej się gorsowała, stroiła, wdzięczyła od córek; one téż śmiały się z niéj na boku. Duchowny wysokiego stopnia nadszkakiwał damom, całował je po rękach, a zamiast brewiarza czytywał Helwecjusza. Jeden ze znakomitszych mężczyzn, orderami kilku dworów okryty, majątek zrobił z kart, i dotąd go przysparzał tymże samym sposobem. Prócz tego, każda panna, wdowa, rozwódka, mężatka (wyjąwszy owę jedną z synkiem), miała obiekt swój, którym prześladowały się nawzajem, do którego wdychały głośno. Wszystkie wtedy były mówiące, wesołe, przyjemne, kiedy młodzi mężczyźni należeli do towarzystwa; w obec samych kobiet albo dojrzałych mężczyzn złego były humoru. Często także napadały je i mijały równie prędko, jakieś nagłe słabości, płacze nie łzawe, bojaźnie, wstręty, o jakich Karolina nigdy nie słyszała. Zwały to spazmami. Dwie z nich nawet mdlały niekiedy, ale wśród omdlenia nie traciły przytomności i umiały padać z wielką gracyą. Najszczerze napozór przyjaciółki obma-

wiały się bez litości; ledwie jedna z nich za drzwi wyszła, już wyśmiana była, często z tego samego co w niej dopiero w oczy chwalono. Młode panny naśladując stare, mówiły źle o wszystkich; wiele śmiechu, więcej złości: taka była treść i sól ich słów. A w ogólnych rozmowach najstarszych nawet osób, jakaż swawola, jakie skrzywienie w zdaniach! W zebraniu tak dobrego tonu nie pozwalano sobie zapewne wyrazów grubych, osobliwie po polsku; ale w zamian nie szczędzono dwuznacznych ucinków i anegdot: wszystko w śmiech obracano, nawet Religiją!

Jakże podobne rzeczy nie miały rzucać nowego i rażącego światła w duszę Karoliny? jak nie miały wprowadzać w odmęt jej myśli i targać się na jej przekonanie? Dumając o tém wszystkiém, zwróciła także mimowolnie uwagę na samą siebie i wnet zmiarkowała, że i jej położenie nie było w prostym porządku. Równie mimowolnie błyskać zaczęły w jej sercu jakieś żale do losu, bo nie śmiała wyrzec do Opatrzności: „ona kocha Leona, ona więcéj warta kochania a przynajmniej szacunku od nie jednej z tych dam: drudzy ten szacunek jej okazywali na wyścigi, a mąż nią pogardza! to niesprawiedliwie, dlaczego tak?“ A zaledwie dopuściła się podobnych myśli, już wyrzucała je sobie jako bluźnierstwo, jako szemranie przeciw Bogu, przeciw rodzicom, przeciw Leonowi, i przejmowała ją nieznaną dotąd boleść, wyrzuty sumienia. Dopóki ci wszyscy goście nie odjechali, dopóki, zajęta była to niemi, to zabawą, to bacnością nad własném postępowaniem, dopóty cząstkowo i z lekka to wszystko postrzegała; ale teraz, kiedy sama jedna została, wszystko razem jej się przedstawiło. I taka była treść, takie źródło jej dumań i łez, taka przyczyna owéj odpowiedzi z głębi duszy wtedy wyrzeczonéj: „Ja gości niecierpię.“

Ale jeżeli owo pierwsze otarcie się o świat popchnęło Karolinę nie bez jej szkody, w część najtrudniejszą kobié-

cego zawodu, nie zarobił i Leon na bliższém poznaniu się z równemi swemi, i na ścisłej zażyłości z niemi przez te dni dwadzieścia. Złota młodzież ówczesna nie była wzorowa, a raczej jak to podobno i dziś bywa, czoło jój prawdziwe; ci którzy kiedyś chlubą rodzin i kraju być mieli, ci byli użytecznie zajęci, bądź u siebie, bądź gdzie daleko; o tych w świecie eleganckim mało wiedziano; a za to majątni próżniacy i czepiający się majątnych, dla których życie jest tylko wielką zabawą, byli na widoku: oni mieli czas czytać najnowsze romanse i prowadzić żyjące; a owo jedyne zatrudnienie przeplatali kartami, polowaniem, bilar-dem, fajką i butelką.

Byli to przecież prawie wszyscy, jak u nas mówią, dobre chłopcy; niejeden z nich przy nadarzonej sposobności może się wzniość do szlachetnego poświęcenia, ale tymczasem byli to ludzie, dla których, żal się Boże, pieniędzy, imienia, zdolności i życia. Bo i cóż po tych darach temu, co w wieku zapału i szlachetnych chęci nie używa ich na dobro własne i braci; co sądzi, że dlatego Bóg postawił go wyżej od wielu, żeby więcej od wielu spał, jadł i próżnował. Towarzystwo takich paniczów nie mogło być z korzyścią dla Leona, ani też zwrócić się ku Karolinie. Nie powinna była zarobić na niém i Julia, gdyż Leon przez te wszystkie dni wciągnięty przykładem gości, bawiąc się i pijąc z niemi, mniej może myślał o niej niż kiedykolwiek; przecież gdy już ucichł ów gwar, Leon, w gruncie do wyższego życia sposobny, niekontent sam z siebie, rozbałamucony, znudzony, miejsca sobie znaleźć nie umiał; a do całej oziębłości dla żony dołączył żal, iż z jój przyczyny wtrącony został w ów zamęt, co tak przykre zostawił mu wrażenie, a za którym ona, jak się zdawało, tęskniła.

Rozpoczęły się tedy znowu przykre dni dla nich obojga. Leon uciekał od Karoliny ile mógł, ona sądząc że jój smutek i zamyślanie się przyczyną jest tego, chciał,

wydać się wesołą; ale bądź, że w samą rzecz z niewinnością umysłu wesołość traciła, bądź, że Leon źle uprzedzony ważył każdy jej postępek i słowo, odkrywane były nielitościwie jej zabiegi, i nastrojona odwaga coraz wolniała; wnet i zdrowie dotąd zupełne, zaczęło nieco szkodować na tém ciągłym trawieniu samej siebie: twarz jej pobladła, ciało osłabło. Cieszyła się tym widokiem. Zajęta jedynie Leonem i na niego zażalona, zapominając w tej chwili o rodzicach i o wszystkiem, mówiła jak mówią młodzi, którzy nic nie wiedząc, nie wiedzą i tego, że wszystko, nawet śmierć trudno na tym świecie przychodzi, mówiła prawie z radością:

— Otóż będę gasnąć i umrę, dopiero wtenczas się dowię, że to dla niego, i żałować będzie, ale już zapóźno.

Trudno zgadnąć do czego byłoby nareszcie doprowadziło podobne położenie owych dziwnych małżonków, gdyby jednego poranku nie zawitała sztafeta z Warszawy, z doniesieniem, jako ważny interes, wystawienie na eksdywizyą dóbr wielkich na Podolu, na których Cześnik miał znaczną sumę, wymagał koniecznie udania się co prędzej interesowanych na miejsce. Cześnik mimo odległości mil ośmiudziesiąt, ofiarował się jechać, tém bardziej, że świadomy oddawna wartości tych dóbr, miał wielką ochotę nabyć je dla córki za resztę jej posagu, a ułożywszy się z wierzyicielami, zapobiedz eksdywizyi. Lecz nie mogąc długo bawić za domem, chciał mieć pana zięcia z sobą i tam go na czas jakiś zostawić. Nie mając zaś ochoty nabywania już majątności żadnej inaczey, jak na rzecz i imię córki, (gdyż zdawało się, że od pobytu w Modrogórze jakieś niepokojności co do interesów brać go zaczynały), żądał, żeby i pani wojewodzicowa jechała dla podpisania kontraktu kupna.

Wszystko to było tak naglące, że w kilka godzin Leon i Karolina, radzi zapewne w duszy tej przerwie, sie-

dzieli oboje w owój angielskiej karecie, co trzy miesiące temu przywiozła ich do Modrogóry, i jechali równie prędko jak w ów dzień, i w takimże samém milczeniu. Pan młody oświadczył był wprawdzie chęć niezmyśloną jechania osobnym koczem, ale Wroczyńska, której w jednym z dwóch pańskich powozów należało się miejsce, nie mogła żadnym sposobem pospieszyć z upakowaniem wasz, waliz, tłumoków, pudeł, worków i koszyków; a stroskana i zaperzona, napół z płaczem, napół z gniewem, wyrobiła sobie spóźnienie o parę godzin odjazdu koczka i bryczki.

Lecz chociaż ta sama była kareta, też prędką jazda i też same osoby co pierwój, jakże się odmieniły Karoliny uczucia i myśli. Nie chciała wierzyć sobie, żeby to dopiero trzy miesiące upłynęło; a twarz jój zmieniona, może piękniejsza niż dawniej, lecz już nie tak dziecinno młoda, trzech lat zameęcia, nie trzech miesięcy nosiła ślady.

Przybywszy do Warszawy, ledwie miała czas ucałować rodziców, spocząć na chwil kilka, kiedy wypadło ruszyć w dalszą drogę.

Gdyby nie przykry a dziwny stan jój serca, pewno byłby dla niej wielce miły i uczący przejazd, przez tak znaczną, a w wielu miejscach wstawioną i malowniczą część Polski. Tu Czersk przypominał książąt mazowieckich, tam Puławy jaśniały nadobnym ogrodem i droższą nad wszystkie ozdoby Sybillą; dalej Lublin sterczał wieżami licznych kościołów. Tu starożytny Łuck wabił gościnnością swego pasterza, tam Dubno huczniemi kontraktami; tu Krzemieniec pyszny kwiatem młodzieży polskiej, sławą i zaletami opiekuna, który ją tam właśnie zbierał: nareszcie głośny w dziejach Kamieniec Podolski, niegdyś miasto drugiego rzędu w Polsce, dziś jeszcze odznaczające się wspaniałem położeniem, zamkiem, kościołami, i owym półksiężycem tureckim, którego depcze Boska Dziewica. Sama zmiana okolic i krajobrazów dla osoby, znającej tylko równiny

mazowieckie, różnica ubioru, mowy i śpiewów ludu, coraz bujniejsze zboża im więcéj ku południowi jechali, a to jeszcze w czasie żniwa, wszystko to mogło zająć mocno i przyjemnie; lecz umysł osobistemi i smutnemi myślami skłócony, jest jak woda mętna, nic nie odbija wyraźnie. Większém tedy i skuteczniejszém zajęciem od pamiątek i widoków stały się dla Karoliny starania około sędziwego ojca, który jak wiemy, pojechał z młodą parą.]

Chęć zastąpienia choć cokolwiek matki, wykonania jéj poleceń co do zdrowia i wygod jego, przyrządzanie mu ulubionych przysmaków na popasach i noclegach, bo w naszych karczmach, największym damom wolno fartuch przypasać bez wstydu: wszystko to rozrywało ją mile, gdyż jéj nastęrczało nieustanną sposobność przypodobania się osobie kochanej. Były wprawdzie i niejaki przykrości w stowarzyszeniu się ze starym Cześnikiem, ile że pan Leon, pod pozorem iż wygodniéj będzie teściowi w karecie, odstąpił mu w niéj miejsca na całą drogę, a sam usadowił się w jego kolasce, oddając Wroczyńskiéj na jéj graty, kocz swój własny. Karolina przeto cały dzień sam na sam z ojcem, mogła być łatwo narażona na różne trudne zapytania. Ale szczęściem Cześnik miał zwyczaj spólny często i tym ludziom co wiele myślą, i tym co nie myślą wcale: spał prawie ciągle w powozie; nie było przeto dużo czasu do poufałej i serdecznój rozmowy, a chwile wolne od snu zabierały szczegóły o dobrach przez jakie przejeżdżali, o majątkowój ich wartości, o nazwiskach przeszłych i aktualnych ich właścicieli, i koligacyi ich z panem zięciem, choćby najdalszych; bo Cześnika nazywać było można chodzącą księgą hipoteczną i genealogiczną Litwy i Korony; a wiadomo jak starzy rozmawiają radzi o tém co pamiętają dobrze, zwłaszcza kiedy im się ucho powolne nadarzy.

Nareszcie po ośmiu dniach jazdy spiesznój choć dosyć wygodnój, stanęli u kresu, w Miodoborcach, głównój wsi

znacznego klucza, pięknie rozłożonej na górze nad bystrym Smotryczem. Karolinie żal się zrobiło gdy już zajechali. W podróży są stosunki co koniecznie zbliżyć muszą naj-obojętniejsze osoby. Przedmioty widziane razem, niewygody, przypadki wspólnie doznawane, wszystko to jednoczy. Prócz tego, miłą jej była myśl że Leon tuż za nią jedzie, i że ile razy wychyli głowę przez drzwiczki, lub zajrzy przez okrągłe okienko w tyle karety będące, tyle razy go zobaczy. Nie żalowała też sobie tej przyjemności i wyglądała często; a pocziwy ojciec brał to za niespokojności i mdłości towarzyszące pewnemu stanowi; radował się nadzieją wnuka, prześladował zięcia i córkę, delikatniej jednak niż dawniej, pamiętny wydarzenia w Modrogórze. Gdy zaś stanęli na miejscu, cieszył się nieskończenie, iż tak długa podróż nie pani młodej nie zaszkodziła; a donosząc o tém żonie, przypisywał to swojemu czuwaniu.

Wnet i Cześnika i Leona, i samą nawet Karolinę zajął toczący się proces. Zjazd sędziów, patronów, pisarzy, geometrów, pretensorów i ich przyjaciół, zgoda jurystów i interesowanych wszelkiego stopnia i wieku; ich rozprawy czasem bardzo głośne i żwawe, ile że zakrapiane dobrém węgierskiem winem, a to wszystko w starożytnym i zrujnowanym zamku, w którym dawna wspaniałość z obecnym niedostatkiem walczyła, zjazd takowy przedstawił Karolinie świat znowu z inną wcale strony.

Lecz chociaż ojciec i mąż byli głównymi aktorami a rzecz szła o nią samą, przecież owa scena zajmując mocno jej uwagę nie dotknęła bynajmniej serca. Pewną będąc że Cześnik i Leon odegrają wybornie swoje role, żadnej trwogi o nich nie miała, o powiększenie zaś majątku nie dbała bynajmniej; i obojętną jej było: czy owe wspaniałe dobra należeć będą do niej, czy nie? Ona życie swoje założyła w Modrogórze, a skarbem do jakiego wzdychała

było serce męża. Dowody chciwości, podejścia, czasem do brodusznosci tak sądzących jak sądzonych, nad któremi Cześnik zżymał się nieraz to z gniewu, to ze śmiechu, lubo jęj okazywały świat ze strony, której wiek młody znać nie lubi, nie miały przecież na nią owego wpływu, jaki wywarł inny w tymże rodzaju widok w Modrogórze. Złe moralne ma podobieństwo z fizycznem; dla duszy i dla ciała te choroby są niebezpieczne, do których mamy usposobienie. Choć przykrém było dla Karoliny nowe przeświadczenie się, że ludzie dalecy są od owęj doskonałości o jakiej ona rada marzyła, przecież czuła instynktem: iż otarcie się z chciwością, z oszustwem, z całym wykrętarstwem obecnej rzeszy, nie zagraża w niczem jęj samęj, i była sobie obojętnym widzem tęj nowęj dla siebie komedyi.

Skończyła się w krótkim czasie; przy znanęj zręczności i wprawie Cześnika, przy gotówce jaką był opatrzony, a obok tego przy niezmyślonęj chęci wrócenia jak najprędzėj do żony i do domu, sprawa pomyślny obrót wziąć musiała. Po kilku tygodniowych kompromisach, konferencyach, naradach i zwadach, dobił stary prawnik targu, z nadspodziewanemi korzyściami i z tryumfem jak wódz po trudnej wojnie, podał córce ukończoną tranzakcyą do podpisu. Karolina z wyraźnego rozkazu Cześnika podpisała pierwsza, i jakby tylko w asystencyi męża i ojca, zastrzegając sobie w duszy: iż te dobra równie do Leona jak do nięj należec będą. Powiedziec przeciw tego wyraźnie mężowi nie śmiała, i on jęj tęż wcale nie odgadł, a nawet za złe to postępowanie poczytał.

Byle panią była rozległych włości—pomyślał sobie—i wielu jęj czapkowało, to i kontenta.

Cześnik zaś może nie bez intencji, tak głośno i poważnie powiedział:

— Karusiu moja jedyna, już teraz spokojnie mogę umierać; już dzięki Bogu, co bądź się stanie, masz własny

kawał pięknej fortuny; ale będzie robota z jego urządzeniem, weźcie się do niej oboje całym sercem; wyłożyłem w krótkości na piśmie jak tę rzecz prowadzić należy, upatrzyłem zdatnego rządcę (i tu wskazał pana Michała Konkiewicza, ekonomę wioski, gdzie najlepsze gospodarstwo zastał), jemu zaufajcie i szanujcie go; bo zna się i poczciwy, a tacy ludzie rzadcy. Co do mnie, dłużej służyć wam nie mogę; żona i inne interesa czekają mię w Warszawie. Muszę jechać. Dopomóż wam Boże, dziatki moje! i dałby nam Pan doczekać się szczęśliwie konsolacyi, toby Modrogora była dla syna, a Miodoborce dla dziewczyny.

Karolina ze łzami wdzięczności i żalu pożegnała ojca, opatrzywszy piérwój bierną jego kolaskę, i bryczkę którą mu przydać kazała, w to wszystko co i jemu w drodze, i matce w miejskiem gospodarstwie przyjemność zrobić mogło. Pudełka konfitur kijowskich, słoje miodu białego, garnki smacznych pardw masłem topioném zalanych, faszeczki wybornych powideł, baryłki żółtawej i szczypiącej bryndzy, parę ogromnych kawonów, wór śliwek suszonych, tuzin butelek starego maliniaku i dereniaku, setki płótna, moty przędzy z nici, zgoła, co tylko lepszego bogata ziemia Podolska dzieciom swoim daje, wszystkiego tego próbki nowa dziedziczka złożyła rodzicom w daninie, i wtedy piérwszy raz słodycze własności poczuła. Wnet dotknęły ją gorycze tego przywileju.

Jakkolwiek Leon pomagał jój z grzecznością w interesach, przecież wyraźném było, iż w owym starym zamku i w całym kluczu Miodoborskim za gościa się tylko uważa, za uproszonego do czasu doradcę. Widok ten ranił serce Karoliny; onaby mu z taką chęcią i siebie, i wszystko co do niej należało, oddała. Ale jakże mu to powiedzieć, jak wymówić jego sposób postępowania nie dotknąwszy tajemnicy? Napróżno za każdą sposobnością mówiła *my, nasze*, nie to rzeczy nie zmieniało. Prócz tego, wystawić sobie ła-

two, jaki nieład, jakie uciemiężenie ludu ubogiego, co za gwałty i nadużycia dźiać się musiały w dobrach od lat blisko dwudziestu zastawionych, i co tam było nędzy! Ciśnęli się téż hurmem poddani do młodej dziedziczki; serce jęj tak zdolne do kochania i do litości przyciągało ich; przy dobrej chęci swojej i przy pomocy Wroczyńskiej, która z tamtych stron była, nauczyła się wnet języka owych nowych dzieci swoich. Lecz nie wiele jęj pomogło rozumieć dosłownie przyczyny ich skarg i płaczu, bo kiedy roztkliwiona, wydała rozkaz ulgę przynoszący ich niedoli, kiedy chciała znieść odrazu jaki ohydny w jęj oczach obyczaj, jaką ciężką daninę, pan Michał Konkiewicz sprzeciwiał się przedstawiając z powagą acz z submisją: „że jak jaśnie pani poddaństwo rozpuści, i środki karania odbierze, on sobie potém rady nie da i będzie musiał być jeszcze surowszy.“

Karolina walczyła tedy między sercem a potrzebą, i widząc tyle nieszczęścia któremu zaradzić nie była w stanie, złorzeczyła swemu bezwładnemu panowaniu; albo téż leczyła złe choć chwilowo, pieniężnym datkiem; czując wszakże, iż dla tak szerokiej i zadawnionej nędzy, kilka złotych było kroplą w morzu; i że nie tego biędny lud tameczny potrzebował, ale ciągłego, rodzicielskiego czuwania dziedziców, za pomocą którego przemieniłby się z czasem w światły i szczęśliwy. Kreśliła więc w myśli różne wielkie i zbawienne plany na przyszłość, i o poprawie losu włóscian rozmawiała najchętniej. Dziwiło ją i martwiło oraz, że w Leonie, lubo także przystępnym i datnym, nie widziała ani téj litości, ani tych chęci szlachetnych. Wychowany w obczyźnie, rozmiłowany w rzeczach zagranicznych, nie mając ani wyobrażenia powinności pana względem kmiotków i dobroczynnych stosunków jakie ich zbliżać i równać mają, nie czuł tego wszystkiego; a wraz z większą połową szlachty nieoświeconej lub zczudzoziemczalęj, w chło-

pach widział bydłęta, które bić i poganiać nietylko można ale trzeba; bo stworzył je Bóg do niewoli i do pracy, a zatem oni ucisku swego i nędzy nie znają, i byliby sto razy nieszczęśliwsi gdyby zmienić ich stan. Na usprawiedliwienie tego zdania cytował włościan niemieckich, francuzkich, angielskich, wystawiając ich jako ludzi zupełnie innego rodzaju; niepomny że i w owych krajach, dopóki włościanin był tak traktowany jak dziś w niejednym jeszcze miejscu u nas, dopóty równie był ciemny i nędzny. Wyśmiewając nawet cokolwiek romansowe, jak je nazywał, Karoliny marzenia, sam chwalił najwięcej polowania Podolskie, wytrawne węgierskie wina, a rad temu wszystkiemu co go od żony i od kobiet oddalało, co zabijało czas jaki pędzić musiał daleko od Julii i nawet listów jęj pozbawiony, właściwie mówiąc u stołu, lub na koniu dnie trawił.

Łatwo pojąć, iż nie brakło mu na towarzyszach do uczt, jazdy i łowów, zwłaszcza w porze roku tyle im sprzyjającej. Do tego jeszcze w owym czasie, pierwsi tylko panowie polscy, ludzie ocierający się o stolicę jeździli do obcych krajów; szlachta z głębokich województw, choć mającna, pilnowała domu i wioski. Wtedy przyjechać z Warszawy na Podole, już było zaleceniem; cóż dopiero kiedy kto zwiedził świeżo Paryż, Londyn, Włochy, i jeszcze jakby pachniał zagranicą. Zbiegała się tedy młodzież męzka najznakomitsza o kilkanaście mil w około do Miodoborskiego zamku, w którym pan z panów, i elegant z elegantów przemieszkiwał czas jakiś z piękną żoną; przewodnikiem i towarzyszem mu była w ruchawych zabawach, a starszyzna i panie zapraszały na wyścigi zacząć parę do siebie częstując i racząc uprzejmie.

Chociaż huczne rozrywki, a zwłaszcza gęste kielichy, bardzo jeszcze wzięte w owym czasie w całej Polsce, niekoniecznie były w guście Karoliny, przecież ten rodzaj życia z wielu względów jęj się podobał. Najprzód w gościn-

ności naszój szlachty jest coś tak szczerego, tak otwartego, tak z serca, że do serca trafić musi; powtóre, te zebrania prawie jakby familijne, kilkudziesiąt czasem osób, gdzie nikogo obcego nie było, wszyscy starsi mężczyźni w narodowym ubiorze, a kobiety czysto mówiące po polsku, gospodarne, rządne, naturalne, wesołe, miały dla niej powab wielki, którego używała nie umiając nawet wytłómaczyć go sobie. Przyczyną zaś miłego wrażenia było podobieństwo tych osób i tych domów do jój rodziców i do ich domu i owa niewysłowiona zaleta, którą się stroi wszystko co swoje, co oryginalne, co narodowe. Panowie i panie wysokiego tonu z którymi przebyła czas jakiś w Modrogórze, już nie byli sami sobą; nie mieli ani zwyczajów, ani mowy, ani barwy sobie właściwej: wszystko w nich było tłómaczone lub naśladowane, wszystko wspólne z panami i paniami innych europejskich krajów; i można ich było przewozić z miasta do miasta, jak kwiat w doniczce, dając do zgadywania gdzie się rodzili? Lubo więc byli wykwintniejsi, nie przypadali tak do czysto-polskiego smaku, nie mieli téj jedności, tego życia, w jakie tylko na własnej ziemi i na miejscu wzrość można; jak na przykład zacne podolskie rodziny Dzieduszyckich, Gołyńskich, Gawrońskich, Starzyńskich, Korzeniowskich, Witosławskich, Dwernickich, Grocholskich, Sulatyckich, Żukowskich, i tyle innych, których wymienić wszystkich niepodobna.

Nareszcie — boć człowiek każdy choćby najlepszy, na własne dobro uważa — miłość Karoliny nigdzie jeszcze tyle dogodności nie miała. W życiu sztuczném wielkiego świata wszystko ją oddalało od męża; w życiu naturalném i wiejskiém wszystko ją do niego zbliżało: ośmielało codzien więcej do poufatego obejścia się. W domu sprawy gospodarskie załatwiali razem, gości przyjmowali wspólnie, rozmawiali często, a za domem jeździli nieraz w jednym powozie w sąsiedztwo i w ciekawsze okolice; imiona ich i tytu-

ły nieustannie były łączone w rozmowach i wiwatach; wyższość zaś widoczna pana wojewodzica co do ułożenia i co do tonu nad otaczającymi go, ztąd pochwały i chęć podobania mu się pięknych i wabnych Podolanek, wszystko to nader miłe było Karolinie, i zwiększało jój uwielbienie dla męża. Dodać jeszcze należy, iż zawsze mając to przekonanie: że owa kochanka Leona jest Włoszką i we Włoszech mieszka, rada [była temu wszystkiemu co ich oddala od siebie, a przynajmniej korrespondencye utrudnia. Leon był w głębi Podola, pod Kamieńcem, niedaleko Mołdawii; gdzieżby tam trafiła Włoszka, z listem lub z jaką posyłką? I w rzeczy saméj, zdawało się Karolinie, że Leon od czasu pobytu w Miodoborcach, zaledwie parę listów napisał, a żadnego nie odebrał; że nie jest tak zamyślony, lepiej wygląda, chętniej się bawi, ma często co jój powiedzieć, i obchodzi się z nią jak z przyjaciółką, jak z siostrą: zgoła coraz mocniejsza nadzieja wstępowała w jój serce, czyniąc ją samą miłszą i piękniejszą; luba jój wesołość i świeżość wróciła, i rozeszło się po całym Podolu, że niepodobnaby znaleźć nigdzie więcej dobranej i szczęśliwszej pary jak młodego wojewodzica z żoną.

Zeszło tak parę miesięcy; kończył się Październik, a z nim piękna jesień, nastaly śloty i śniegi, i zbliżał się dzień św. Marcina, dwojako drogi dla Karoliny: był to dzień imienin ojca, a razem rocznica ślubu rodziców. Cześnikowstwo jako staropolscy i kochający się małżonkowie, ten dzień od wielu prawie zapomniany, uroczyscie co rok święcili; i Karolina przyrzekła była kilkakrotnie w listach swoich, że na to święto zjadą oboje do Warszawy. Już parę razy wspominała o téj swojej chęci przed obcemi i przed mężem, ale on jakoś czy nie uważał czy zapominał. Dopóki jeszcze dosyć było czasu nie nalegała, jój saméj nie bardzo się chciało wyjeżdżać z Podola, przerywać węzły wiążące ją codzien mocniej z Leonem, wracać do tego War-

szawskiego świata, który jój tak przykre i dziwne wrażenie zostawił, rzucać tyle miłych znajomości, i tych biednych chłopców co ją błogosławili; lecz już nadszedł pierwszy Listopada: już zwłóczyć wyjazdu nie było podobna. Karolina tedy wstawszy tego poranku, jeszcze przy świecy ubrała się jakby niechęć z większém niż zwykle staraniem; śliczna była w atlasowój szubce z sobolami, i w śnieżystym czepeczku z różowemi wstążkami, a stojąc przed zwierciadłem rzekła sama do siebie:

Już téż dziś i to natychmiast muszę mu powiedzieć wyraźnie, bo w ciągu dnia znowu się nie zbiorę; jechać nam koniecznie trzeba najdalej pojutrze, interesa prawie ułożone, resztę Konkiewicz zrobi... Choć i Leonowi tu nie źle, nie odmówi przecież mojej prośbie... taki dobry zaczyna być teraz dla mnie, nawet czuły...

I tu rumieniać się z radości może i z innego uczucia, przypomniała sobie jak wczoraj wieczór, podochociwszy sobie trochę, wraz z kilkoma z sąsiedzkiej młodzieży, spełnił kielich wina klęcząc u nóg jój, i doprawdy czułe rzeczy jój mówił, aż ona się zmięszała i uciekła do swego pokoju, bo i tamci panowie klękali i także jakies komplementa prawili.

— To pewna—powiedziała na głos z radością—że już wstrętu do mnie niema: pójdę śmiało.

A słysząc od chwili wstania, chodzenie w męża pokoju, który był nad jój pokojem, nie odkładając dłużej, pobięła spiesznie na górę. Wpadłszy do przedpokoju, obaczyła jak zwykle kilku z liberyi leżących na ławach; zdawało jój się nawet, jakoby między nimi obcego człowieka postrzegła, ale nie zważając, spytała się tylko:

— Wstał pan?

A usłyszawszy stosowną odpowiedź, weszła.

Już to nie pierwszy raz jój było wejść do pokoju Leona. Po wyjeździe Cześnika u niego był skład papierów, tak zwana kancelarya; ledwie przeto nie codzień wypadło

jěj tam pobiedz, a czasem i parę godzin posiedzieć; ale jeszcze podobno nigdy nie była sama w tym pokoju z Leonem, a zwłaszcza nigdy tak rano: weszła więc cokolwiek nieśmiało, a zobaczywszy męża siedzącego przy biurze, wśród świec jarzących palących się, mimo tego że już dzień był jasny, chciała zejść go z tyłu cichuteńko. Przyszła jěj nawet myśli dziecinna, bo nadzwyczaj była wesoła tego poranku, zasłonienia mu oczu z nieznacka. Tak skradając się na palcach, z wyciągnionemi naprzód rękami, spojrzała mimowolnie na papiery leżące przed Leonem, rozumiejąc że to rachunki, kwity, raporta. Jakież było jěj zdziwienie, kiedy obaczyła wielki pakiet świeżo otwarty z czarnemi pieczęciami, a około niego rozrzucone mnóstwo listów, wierszy, pamiątek, wśród których był portret Leona, rysunki różne, pukiel włosów. Bolesć na widok takowy, bo snadno domyśliła się od kogo był ten pakiet, a razem bojaźń narażenia się mężowi, tak ją nagle przejęły, że słupem stanęła, krzyk wesoły uwiązł w jěj ustach, ręce wyciągnięte do niewiunój psoty, jakby martwe opadły z szelestem. Obejrzał się wtedy Leon, a niemniej zdziwiony obaczywszy żonę, niewiedząc wcale po co przyszła, jak dawno tak stała, porwał się z gniewem, i zawołał:

— Jakto? podchodzisz mnie, szpiegujesz? czyż i w moim pokoju panem tu nie jestem?

Niesłuszność tych słów krzywdzących, oburzając Karolinę wróciła jěj ruch i mowę, a jakkolwiek znała źle wybraną porę do jakiegobądź prośby, przecież dla samego usprawiedliwienia się wyrzekła dosyć dobitnie:

— Wcalem tu nie przyszła w złój intencji, chciałam cię prosić... chciałam ci przypomnieć rocznicę ślubu moich rodziców.

— Cóż mi tam do těj rocznicy?—przerwał sucho Leon opierając się plecami o biuro, jakby je chciał samym sobą zasłonić.

— Wszak wiesz—odpowiedziała Karolina łagodnie—że na ten dzień trzeba koniecznie być w Warszawie, a dziś już pierwszy.

— A więc jechać, i owszem, zaraz jutro—wydam natychmiast rozkazy.

Karolina już miała na ustach słowo: „Nie gniewajmy się!“ już dłoń jój była otwarta i gotowa do przyjęcia i do uściskania dłoni Leona, bo w jój sercu zazdrość, gniew, wszystko ustępowało bojaźni obrażenia męża, ale tak wyraźnie wskazał jój drzwi oczyma, obie ręce tak trzymał blisko siebie, że odeszła, nie wyrzekłszy ani wymówek ani przeprosin.

Wróciwszy do swego pokoju nie miała nawet pociechy wyłakania się w samotności, wieść o wyjeździe rozeszła się wnet po całym zamku, a Wroczyńska i inni służący dworscy wchodzili co moment pytać o rozkazy? Przyszedł też wnet czas jechania do kościoła, jako w uroczystość Wszystkich Świętych; zawitali po mszy bliżsi sąsiedzi z pożegnaniem, przyjechał tyle głośny na Podolu pan Marchocki z córką; przybyli dzierżawcy, ekonomowie, rządca, a ponieważ pan wojewodzie zamknął się u siebie pod pozorem słabości, Karolina mimo srogiego zmartwienia musiała sama radzić sobie we wszystkim, i potrafiła, bo kobieta w słabym ciele dzielną ma duszę, a kiedy trzeba, kiedy tkliwe uczucie, albo myśl powinności ją utrzymuje, niemal cudów mężstwa dokonać potrafi: może odchoruje to później, albo częstemi podobnemi walkami skróci sobie życie, ale w chwili obecnej wszystkiego czego chce dokaże. Nikt z przytomnych, nawet się nie domyślił co w Karolinie się działo; boleść była w jój sercu a uśmiech na twarzy; myślą była z Leonem a przecież zdobyła się na nie jedno słowo uprzejme, nie jedno zdanie rozsądne, nie jedno rozrządzenie pełne ludzkości, które w umyśle sąsiadów, oficyalistów, poddanych, zapewniło jój jak najlepszą opinią.

Biédna! jakże wyglądała niecierpliwie chwili wieczornej, chwili kiedy się ujrzy sama przed Bogiem! ileż wylała gorzkich łez, gdy ta pożądana chwila nadeszła. Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka, a ponieważ Konkiewicz oświadczył jój wczoraj, że z rozkazu pana, wszystko przed świtem gotowe będzie do podróży, wstała o szóstej, i skoro znać dano, wyszła przed sień zamkową.

Już otworzono drzwiczki od karetki i spuszczone stopień, a Leona jeszcze nie było. Zatrzymała się Karolina przed sienią, mimo gęsto padającego śniegu, chcąc wsiąść razem z mężem, ile że nie widząc kocza tylko bryczkę, pomyślała sobie: „dla niepogody musi jechać w karecie, nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło: jadąc razem, przecież się przeprosimy.“ Rządca, oficjaliści i dworscy stali z uszanowaniem nie śmiejąc skarżyć się na szarugę i przenikliwe zimno, kiedy Jaśnie pani nic nie mówiła; gdy jednak chwil parę tak minęło, Karolina się odezwała:

— Może pan nie wie, że już wszystko gotowe: trzeba mu powiedzieć.

Na te słowa pobiegł na górę mały kozak, Andruszek, którego młoda dziedziczka upodobawszy sobie zabierała do Warszawy; niebawem zsunął się ze schodów podskakując, i mówiąc:

— Pan idzie!

Karolina nie rada spotkać oczu męża przy tyłu oczach innych, wyrzekłszy do otaczających ją uprzejme i ogólne:

— Bywajcie zdrowi!—wsiadła do powozu nie oglądając się.

Zgarnawszy koło siebie tumakową salopę, żeby więcej zrobić miejsca mężowi, spojrzała nareszcie, i obaczyła sadowiacą się przy niej Wroczyńską, a Leona w rannym szlafroku, stojącego u podniesionego już stopnia karety. Pożegnał ją kilku słowami francuzkiemi bez znaczenia, i zim-

nym ukłonem, zatrzasnął sam drzwiczki, i zawołał głośno na woźnicę:

— Ruszaj!

Zdziwienie Karoliny, która ani na jeden moment nie wątpiła, że mąż z nią pojedzie, zrównało się w tój chwili ciężkiemu żalowi, i powiedźmy prawdę, obrażonej dumie. Już spuściła okno, chciała rozkazać woźnicy żeby zawrócił, i żądać natychmiast wytłómaczenia od Leona; ale jakże się tu przyznać w obec Wroczyńskięj, w obec dworskich, że mąż do tego stopnia jęj uchybia, iż ona jedna nie wie, co on zamysła robić? jakże narazić się na nowy gniew jego, kiedy on tak oczywiście żądał jęj odjazdu, z taką radością ją wyprowadził? jakże zawód uczynić rodzicom, do których właśnie wczoraj wysłała sztafetę z doniesieniem o przyjeździe w wigilię św. Marcina? Prostomyślnęj i kłamać nieumiejącej nie przyszedł tęż do głowy, żaden wybieg, ani fortel, któręymby pokryła i usprawiedliwiła swój powrót. Nie wyrzekła więc zamierzonego rozkazu, a z wielkiego wzruszenia prawie odeszła od siebie. Walczyło w nięj tyle uczuć: uraza, zazdrość, żal do Leona, żal nad sobą, a podobno więcej nad to wszystko owa boleść pełna trwogi, jaką sprawia w tkliwém sercu zagniewanie się na nas drogięj osoby. Lecz nikt prócz Boga tęj przykręj walki nie widział. Zimowe ubranie osłaniało zupełnie twarz Karoliny, i Wroczyńska wcale nie dostrzegła jęj stanu; nawykła zaś do milczenia pani, i na ten raz nie domyślając się niczego, milczała także. Karolina tęż przyszła pomału do siebie.

Córka rodziców silnych i zdrowych, wychowana rozsądnie bez pieaszczot i wykwentów, nie głódzona, nie krępowana, nie mając niczem niepotrzebném wzbudzanęj i marnowanęj czułości, niewczasami i tańcami sił i świeżości nie pozbawiona, wyrosła co do duszy i co do ciała nie jak owe rośliny musiem i sztukę trybowane, co przed czasem

rozkwitają i za lada niepomyślnym powiewem wędnieją, ale jak drzewo swobodne, stopniami rozwijane, które pełne je-
drności i życia jeszcze rośnie, a już burzom silny opór dać
umie. Tam więc gdzieby modna, przezroczyta i chwiejąca
się dama rozchorowała się na spazmy, a w krzykach i mdło-
ściach potrzebowała ratunku lekarza i pomocy służących,
ona nie sądząc, aby skutek żalu mógł być nazwany choro-
bą, przecierpiała w cichości pierwsze i bolesne wrażenie,
popłakała godzin kilka, pomodliła się, a bez octów, soli
i doktora znacznej doznała ulgi.

Przed końcem dnia już była w stanie zebrać myśli,
wydawać rozkazy, po jakie do niej się odnoszono, gdyż ni-
kogo starszego nie było, a co więcej, potrafiła napisać do
Leona. Zaczęła list swój od szlachetnych wymówek, kończyła
go na najczulszych wyrazach przywiązania siostry, żądając
na zgodę, żeby jeżeli mu wypadnie spóźnić wyjazd z Podola,
napisał do niej przez pocztę, te słów kilka: „Przepraszam
cię, zdrów jestem; nie gniewam się: tego a tego dnia będę
w Warszawie.“ List ten posłała umyślnym z pierwszego no-
clegu do Miodoborców, sądząc że mąż tam został na parę
dni dla jakiego polowania lub sąsiedzkiego zjazdu, albo też
po prostu dla tego, żeby z nią nie jechać.

O! jakże ta podróż samotna smutną dla niej była! jak
odmienną od ostatniej! Kobiętą będąc w całym pierwotnym
znaczeniu tego wyrazu, czuła potrzebę opieki i lubiła ją;
nie mieć kogo słuchać, było dla niej smutnym przywilejem,
a zbolące jej serce nie pominęło i tego, że się ujrzała pier-
wszy raz w życiu, samą, panią czynności swoich, w dzień
umarłych, w Dzień Zaduszny... Oddalając jednak wszelkiemi
siłami rozumu tę czarną wróżbę, i chcąc nadać jakikolwiek
wdzięk tyle smutnej drodze, tak dążyć kazała, żeby konie-
cznie w tych samych miejscach zatrzymywać się na popasy
i noclegi, gdzie tam jadąc stawali. W każdym z tych miejsc
przypominała sobie najmniejszą grzeczność, każde sło-

wo życzliwe Leona; a w téj chwili nie sięgając już dalej życzeniem, pragnęła jedynie, żeby podobne stosunki wróciły między niemi. Przebaczyć mężowi, usłyszeć jego przebaczenie a potem umrzeć, to jój się zdawało szczytem szczęścia.

Bo wiedzieć trzeba jeszcze, że w natłoku smutnych myśli, jakimi miała czas się zajmować przy dniach ponurych i długich nocach, ścigało ją ciągle przeczucie śmierci. Czasami kiedy była nieco swobodniejsza, przychodziło jój do głowy, że owa tajemnicza osoba, owa rywalka umarła, i ze śmiertelnój pościeli przysłała ów pakiet żałobny rozrzucony na biurku. O! wtedy tłómaczyła sobie gniew Leona, i pojmowała, że zranione jego serce mogło zapomnieć się w takim momencie, skrzywdzić ją i znienawidzić. Wtedy także wystawiała sobie rozpacz i truchlała, czy on tę boleść przeżyć potrafi! Z jakąż rozkoszą byłaby płakała wraz z nim nad tą stratą, gdyby jój był od siebie nie odepchnął, i jakby jój łzy były szczere, bez żadnego zwrotu na nią samą! Młode dusze tyle mają szlachetności!

Ale jakkolwiek duch nasz buja daleko, i myśli są w nieładzie, około nas rzeczy, gdy już raz są nakręcone idą prostym trybem. I tak Karoliny podróż, mimo jój smutku i niepokojów wewnętrznych szła prędko i pomyślnie: winna to była najwięcej staraniu służących.

Służący polscy dworu Modrogórskiego pogardzani, a przynajmniej zaniedbani od Wojewody i Leona, zebrali się byli około młodej pani od pierwszych dni jój przyjazdu i pokochali ją wnet serdecznie. Obejście jój z niemi było uprzejme i prawdziwie chrześcijańskie; przemawiała do nich jako do bliźnich, jako do ludzi takich samych jak ona, tylko mniej szczęśliwych; nie upokarzała ich nigdy, wołała połać po prostu jeśli zasłużyli; nie spuszczać się na ich domysł i pamięć, mówiła im wyraźnie czego od nich chce, co zrobić powinni: łatwa przeto była służba około niej, życzli-

wie przyjmowana, i szła dobrze. Prócz tego, któż nie wie, ile obok wad pomniejszych jest wierności i uszanowania w ludzkie naszym! któż z nas nie natrafił choć raz w życiu na polskiego sługę, który całą duszą przywiązał się do niego? Takiego ani zmiana okoliczności, ani nadzieja pomysłniejszego gdzieindziej losu, od pana już nie odłączy; zdaje się, że on przyrósł jak gałąź do drzewa, i że oderwany wyżyłby nie zdołał. Na wszystko co jest pańskie, na wsie, domy, rzeczy, dzieci nawet, mówi on, *to nasze*; ale ową spólność uważa w taki sposób: do niego należą prace i trudy, a do pana używanie. Tacy służący, kiedy Bóg długiego życia im dozwoli, przenoszą przywiązanie do drugiego i trzeciego pokolenia panów swoich, i przykładają się może najwięcej do przechowania w domach gdzie ich cenia, cnót staropolskich i tradycyi familijnych. Jakaż ślepotą tych, co i siebie i dzieci swoje od pieluch otaczają obcemi! a wielkim kosztem i kłopotem sprowadzają sobie o mil kilkaset, jeżeli nie osobistych nieprzyjaciół, to pewno nieprzyjaciół narodowości i domowych pamiątek. Kiedyż wszyscy ci, których Polska ziemia bogaci, rozumieją tę prostą prawdę, że ich dostatki uboższym Polakom się należą? Wreszcie, jeżeli przemysłu, wyższych umiejętności, sztuk pięknych potrzebujemy jeszcze od cudzoziemców; za prawdę, po domowe i rzetelne cnoty, po serdeczną grzeczność i obyczajność, niech oni raczej do nas na naukę przyjeżdżają.

Wzorem sług polskich był na dworze Modrogórskim stary Jacenty, a Wroczyńska szła widocznie w jego ślady. Miała ona wprawdzie niemal wszystkie wady tak zwanéj u nas panny, owéj ważnéj persony dworów pańskich i szlacheckich, która podobno tylko w Polsce jest znana; była wybredna, ciekawa, wymagająca, często nieznośna: sekret żaden pański przed nią się nie uchował. Wiedziała tedy wszystko doskonale o pani swojéj, lubo z jéj ust żadnego

zwierzenia się nie usłyszała; ale przytém wierna, poczciwa, dobrego serca, przywiązała się szczerze do Karoliny, a roztropna, po krótkim czasie osądziła sama w sobie, że nie wypada jój rozgadywać tego, o czém pani nie chce żeby kto wiedział. Prócz tego, tyle zręczna ile sumienna, poznała, że sama lepiej wyjdzie na milczeniu niżli na gadaniu. Od wyjazdu przeto Laskowskieój, z nikim, nawet ze starym Jacentym w żadne rozmowy się nie wdawała o pożyciu pańskiém, i nikt od niój słowa jednego nie usłyszał o tém co się działo w pokojach, do których we dnie i w nocy sama jedna miała przystęp.

Mimo tego stało się jak przewidywała: wzrosła w niezmierną powagę, cały dwór jój nadskakiwał i słuchał jak wyroczni, bo jój mina uroczysta i ministeryalna, oczy zamglone, a przecież dumnie patrzące, oznajmiały każdemu, że wszystko wie i może, ale nic nie mówi. Wiernością, zdaniem trafném w potocznych rzeczach, litością nad ubóstwem, szczerą a nie naprzykrzoną troskliwością o dobro Karoliny, pozyskała sobie jój szacunek i łaski; a w owój drodze postąpiła w nich jeszcze: bo ona to znosząc się z innemi słuźącemi, oszczędziła pani niesmaków i kłopotów nieoddzielnych od każdej podróży, zwłaszcza w takiej porze. Ona przyczyniła się najwięcej do utrzymania Karoliny przy zdrowiu, mimo smutku, a to zmuszając ją do brania przyzwoitych pokarmów, które jój gotowe podawała, do wywczasu w ciepłym i dobrze usłanym łóżku, do otulania się w powozie: słowem, zajmując się nią jakby dzieckiem, czego doznawać każdej z nas jest miło i wygodnie, zawsze i wszędzie, cóż dopiéro w drodze, w zimnie i w zmartwieniu.

Minęła więc owa podróż prędzej i lepiej niż się spodziewać było można, i Karolina zdziwiła się i zadrżała dostrzegłszy dziewiątego dnia przed południem, drzew i wieżyczek Mokotowa, a wnet za niemi dachów i kominów széroko rozłożonej Warszawy. Miała wprawdzie powitać uko-

chaną matkę po długim niewidzeniu się; lecz jakże wiele wdzięku ubywało temu powitaniu, kiedy otworzyć serca przed nią nie mogła! Być z drogą osobą, a nie móż wyłać przed nią duszy, to gorzej jeszcze jak widzieć w upał zdrój czysty, a nie móż się ochłodzić wodą jego. Już ona znajdowała się w podobnych stosunkach z Cześnikową, a przecież dobrze im było; ale w tej okoliczności, na najprostsze, na potoczne zapytanie rodziców, ani wiedziała co odpowieć: żadne z nich nie uwierzyłoby, w jaki ona sposób rozstała się z mężem, ona też przy dumie i miłości swojej, za wszystkie skarby świata nie wyznałaby jak się rzeczy miały. Prawda zbyt ubliżającą była i dla Leona i dla niej. Aliści kiedy wjeżdżała w rogatki, słońce południowe rozpędzając chmury, rzuciło promień na wieże Świętokrzyskie i na kopułę luterskiego kościoła, jakby razem zajaśniała w jej duszy myśl, że zastanie list od Leona, który ją oświeci. Pokrzepiona tą nadzieją, kazała pospieszyć, i niedługo wśród trzasku z bicza i odgłosu trąbek pocztarskich, kareta jej wjechała z grzmotem na Długą ulicę, a serce mocno kołatać zaczęło, jak to zawsze bywa, kiedy się do osób ukochanych dojeżdża. Wiedząc, że pokoje jej przeznaczone w męzowskim pałacu nie są gotowe, umyśliła nietylko zajechać prosto do rodziców, ale i u nich stanąć.

Trudno było trafić na myśl szczęśliwszą. Uradowani z córki przybycia, wdzięczni za pośpiech i za obrane u nich mieszkanie, poczciwi Cześnikowstwo sami jej ułatwili usprawiedliwienie męża, mówiąc pierwsi, że dobrze zrobił iż nie wyjechał przed zupełnym ukończeniem interesów, i że się bynajmniej nie rozgniewają, choćby i parę tygodni na Podolu zabawił, jeżeli córka z niemi przez ten czas zostanie. A tak choć Karolina nie zastała spodziewanego listu, pierwsze najtrudniejsze momenta zeszyły łatwiej niż sądziła, a dzień następujący był tak uroczystym, iż wszystko ustąpiło przed jego świętą radością.

Powiedziałam, że Cześnikowstwo obchodzili rocznicę ślubu swojego po staropolsku, a zatem nabożeństwem i ucztą. Najprzód, o szóstej z rana, jeszcze przy latarniach, ze stoczką w rękę, pojechali wraz z córką do kościoła Ojców Kapucynów. Tam ksiądz Onufry wysłuchawszy ich po starszemu spowiedzi przy wotywie, którą ofiarował z całą serdecznością na ich intencją, obdzielił wszystko troje chlebem żywota; a po mszy świętej zaprowadził do księdza Gwardyana, gdzie wyborną kawę, różne kordyałki i przysmaki zapijano i zajadano wesoło za zdrowie państwa już nie młodych lecz zawsze szczęśliwych, a szczególniejszych benefaktorów klasztoru.

Pocziwy ksiądz Onufry przyszedł na obiad, na którym było osób dwanaście, a potraw i butelek wina jeszcze więcej. Nie przepomniała Cześnikowa przy tucznych kapłonach i smacznej zwierzynie o gęsi powinnej. Cześnik wielki znawca, wróżył tęgą zimę z obnażonej a bielącej się kości piersiowej; sprzeciwiał mu się obecny Wojewoda, a za nim Stolnik wraz z Sędzią, przywodząc, iż święty Marcin w tym roku nie na białym koniu przyjechał, bo deszcz padał od rana, co bywało wróżbą lekkiej zimy, a z czego Cześnikowa w duszy nie była wcale kontenta, gdyż pamiętała, że ile razy była ślota na ś. Marcin, tyle razy mąż w ciągu roku ciężko chorował. Zachowała to jednak dla siebie.

Świętość i spokój obrzędów do których przystąpiła Karolina, uszczęśliwienie rodziców, wesołość powszechna, wszystko ją wzmocniło, ożywiło i zasłaniało chwilami owo przykre położenie, jakiemu w ciągu samotnej drogi ani ulgi ani przerwy nie przewidywała.

Wreszcie przy takiej matce jak Cześnikowa, która byłaby rada nieba przychylić jedynaczce; wśród domowych, co jeszcze prawie nie widzieli ukochanej panienki od dnia ślubu, i dosyć jej się napatrzeć nie mogli; obok ojca, któremu zdać musiała dokładną sprawę o obrocie interesów,

a który nie posiadał się z radości, widząc jak dobrze córka i zięć zrozumieli i wykonali jego polecenia, jak wybór Konkiewicza był trafny, nie mogło i w dniach dalszych brnąć Karolinie, ani na miłych wrażeniach, ani na obfitęj rozmowie. Nawieźla téż była matce różnych przepisów aptecznych i kuchennych od najzawołańszych gospodyń Podola; a między innemi z samego Kamieńca, od znakomitej ormiańskiej familii, prawdziwy sposób owych doskonałych bab koronkowemi zwanych, co to czasem wzrostu i objętości czteroletniego dziecka dochodzą, a zdaje się że nie nie ważą. Choć więc święty Marcin minął, było przecież zatrudnienie z przepisaniem owych recept do znajomęj nam już księgi sekretów; było większe jeszcze i poprzednie z ich próbowaniem, bo Cześnikowa nie umieściła żadnego przepisu w swojej książce, dopóki go nie doświadczyła.

— Sekreta, podobne są do przyjaciół—mawiała—ten prawdziwy, co doświadczony.

Ale jeżeli od rodziców, Karolina mniej doznała trudności niż się obawiała, z nieprzewidzianęj, jak to zwykle bywa strony, przyszedł na nią kłopot. Wojewoda wyglądał bardzo niecierpliwie powrotu syna i synowęj do Warszawy, miał bowiem zamiar powieźć ich oboje do Puław, gdzie na dzień świętęj Elżbiety, jako na imieniny księżnęj generałowęj, liczne zawsze bywały zjazdy i prześliczne tak zwane fety. W tym roku i pani Zamoyska, ów przedmiot uwielbienia męzczyzn, ów wzór, rozpacz i cel zazdrości dam ówczesnych, zjechać miała na święto zacnęj matki, i przedstawić z rodzeństwem i z przyjaciółmi obraz z dziejów polskich: „Zaślubiny Władysława IV z Maryą Ludwiką.“ Jakaż to była wyborna pora wprowadzenia Karoliny w świat największy, obeznania jęj z zabawami najwyższego rodzaju i pokazania jęj osoby, którą krajowcy i cudzoziemcy uwielbiali na wyścigi, i która w całej Polsce uważaną była, jako typ nadobnego ułożenia, gustu i piękności. Jęj wzrost,

oczy, głos, śmiech, kolor włosów, ubiór, były miarą wdzięków i smaku innych kobiet. Kiedy powiedziano o jednej: „wysoka jak pani Zamoyska,“ o drugiej: „uśmiech ma podobny,“ o trzeciej: „miała takąż suknią“ już dostawała patent urody i wziętości.

Słyszałam o jednej młodej mężatce, która pierwszy raz przedstawioną być miała księztwu generalstwu, właśnie w dzień świętej Elżbiety. Była urodziwa, lecz dotąd nie znano jój wcale na wielkim świecie, lękała się tedy bardzo jak się tam pokaże i wyda? Pomyślny traf zdarzył, iż włożyła na głowę toczek z piórami, taki sam jak miała tego dnia pani Zamoyska; skoro się ukazała na pokojach zwróciła wszystkich przychylnie wejrzenie: widząc to nabrała przyzwotiej śmiałości, znalazła się dobrze, i od tego momentu uważano ją wszędzie jak najlepiej. Prawda, że z powodu tójże samėj sławy tyle głośniej a zasłużonėj, pani Zamoyska miała przeciwników w płci swojej, widzieliśmy próbkę ich w kasztelanowej C. Tych nieprzyjaciołek liczono najwięcej w Warszawie; już to dlatego, że cała familia książąt Czartoryskich, mało się pokazywała w stolicy w owych czasach, już i dlatego, że stronnicy księcia Józefa zazdrościli świetności Puławskiej, i byliby ją chętniej widzieli w Jabłonny i pod Blachą. Ale Wojewoda należał właśnie do liczby tych, co skutkiem niepospolitėj zřeczności, w obu obozach dobre mieli przyjęcie; bardzo mu więc było pilno jechać do Puław, i szczerze się rozgniewał dowiedziawszy się, że synowa sama przyjechała. Wypytując jój się o męża, łatwo zmiarkował wszystko co ukryła i więcej jeszcze; wymawiał jój nawet dosyć żywo, ale przecież misternie, tak, że ona domyślić się nie mogła czy on wie co, czy nie, iż nie umie wcale radzić sobie z Leonem, zbyt jest niewinna, zamało ufająca sobie, żadnej zřeczności niéma; że druga na jój miejscu równie piękna i młoda, jużby oddawna panowała nad nim wyłącznie: że wreszcie odjeżdżać go nie

była powinna, bo dobra żona nigdy dobrowolnie z mężem się nie rozłącza. Zgoła naprawiwszy morałów bez liku, po kilku dniach prózno czekania na syna, pojechał sam do Puław w bardzo złym humorze.

Karolina z téj całej mowy teścia, to jedynie zrozumiała, co jój przystało do serca: że nienależało odjeżdżać męża, i zaczęła wymawiać sobie swoje postępowanie:

— Prawda, bądź co bądź, trzeba było przemódz dumę i nieśmiałość, wrócić się i rozmówić. Miałabym kilka chwil przykrych, ale nie byłoby owych tygodni, jakie teraz pędzę z taką trudnością.

Bo mimo słodczy rodzicielskiego domu, mimo tego, że błogo jój było być znowu jak dawniej na usługach ojca i matki, położenie Karoliny miało wiele goryczy, nie tylko nadal, lecz nawet w obecnej chwili. Któż nie wie co to jest wyglądać naprózno, kogoś drugiego? Ale przynajmniej w takowym razie jest myśl: nie przyjechał dziś, to przyjedzie jutro; jest nadzieja wiadomości, jest pociecha w wystawianiu słodkiego momentu powitania, momentu, co wszystko jednym uściskiem nagrodzi. Lecz kochać kogo sercem całym, kochać ze skłonności i cnoty, a odjechać go zagniewanym; nie wiedzieć wcale co się z nim dzieje, nie przewidywać końca jego niebytności, za każdym turkotem na ulicy za każdym hałasem w domu myśleć, to on, i wtedy znowu, zamiast z radości drżeć z obawy, zamiast biedz wesoło stać słupem na miejscu: to jest męczarnia prawdziwa, śmierć powolna.

Przecież cały taki miesiąc zszedł dla Karoliny, i trzeba było jój młodości i zdrowia, żeby go przetrwać bez rozpacy i bez choroby. Bładła jednak ciągle i ubywało jój wrodzonej żywości, piękność jój nie traciła na téj odmianie, owszem nabywała jakiejś ujmującej powłoki; widać, że owa błądź i powaga są wyrazem głębokiego a szlachetnego uczucia. Mało téż uważał ojciec z początku na te sympto-

mata, albo przypisywał je uwidzianej przez siebie przyczynie; Cześnikowa nie śmiała wywieść go z błędu, przedstawiła mu jednak rzecz jako bardzo wątpliwą. Cierpiąc, sama pocieszała się spokojnością męża. Po kilku tygodniach atoli zaczął i on się troskać a raczej niecierpliwić, zwłaszcza, że odebrał list od Konkiewicza, w którym tenże donosząc mu o coraz pomyślniejszym obrocie interesów i gospodarstwa, tak pisał, jakby oboje państwo młodzi byli w Warszawie. Skoro tedy Wojewoda wrócił z Puław, oczarowany na nowo blaskiem i doborem zabaw i widowisk, powabem księżęcej gościnności, a podobno najwięcej urokiem pani Zamoyskiej, Cześnik wziął go na bok, i oświadczył wręcz: że mu się postępowanie pana Leona wcale nie podoba, wymawianie go zaś interesami próżne jest, bo już go w Miodoborcach niéma.

— Nie na to pracowałem i oszczędzałem całe życie— powiedział nareszcie z przekąsem—i wydałem córkę zamąż nie bez ofiar i przykrości, żeby ona w samym kwiecie wieku zakonnicze życie pędziła, trzymając się matczynej spódnicy. Chcę, żeby moja Karusia jaśniała jak gwiazda na wielkim świecie, a wszyscy o niej gadali. Już państwo zjeżdżają na zimę, a ona jeszcze nie ma gdzie przyjąć kogo wedle fortuny i godności swojej.

Wojewoda spodziewał się podobnych wymówek a osłaniając syna jak zdołał, ganił go przecież.

— Nieszczęśliwa ta pasya do koni, polowania, jazdy Podolskie, wiejskie zabawy zbałamuciły go. Po sąsiedztwach jeździ: nowość to dla niego i wszędzie mu radzi, i oderwać się nie może.

— Aleć i z moją Karusią miła mu, spodziewam się, i nowa jeszcze zabawa—odpowiedział Cześnik—a takić łani jak ona, dalipan w żadnej kniei nie zdybie. Biędne dziewczę tęskni za mężem, chociaż tego po sobie ile możności nie pokazuje; bo to harda dusza, a jak wiadomo, panie

Wojewodo, nie w ubogiem ciele?... Nigdzie nie chce bywać, nikogo nie przyjmuje, nie rada nawet kiedy matka kogo z naszych przyjaciół zaprosi; najlepiej ję z nami i w kościele; nad książką albo nad krosienkami siedzi jak najęta: zgoła zdaje się jakby rekolekcyje czy pokutę odbywała; a dalibóg, ja nie wiem czy to dziewczę kiedy zgrzeszyło? To anioł żywy! Jak kiedy na nią przyjdzie ostatnia godzina, pójdzie jak świeczka prosto do nieba, a człowieka grzesznego cała w tém nadzieja, że go jako ojca płaszczem swoim osłoni... Czemuż przynajmniej pan Leon pisać nie raczy i nie doniesie po jakim to on sąsiedztwie jeździ?

— O! napisałem ja do niego—przerwał Wojewoda—i dobrze mu natarłem uszów. Ręczyć mogę panu dobrodziejowi słowem honoru, że po odebraniu mego listu pędem wiatru tu przyleci. A ja tymczasem zajmę się urządzeniem ostatecznym miejskiego pałacu dla naszych dzieci. Ich dom musi być pierwszym domem w Warszawie, a nasza pani Wojewodzicowa urodą i ostentacją wszystkie księżne zakasuje.

Udobruchał się cokolwiek Cześnik temi słowy i z większym jeszcze niż zwykle afektem poszedł uściskać swoją Karusię. Ona siedziała właśnie nad krosienkami, haftowała poduszkę bardzo pracowitą do Pana Jezusa do Fary, a haftowała pilnie, gdyż powiedziała sobie:

„Jak ją skończę, Leon przyjedzie.“

Kiedy ona tak modlitwą, książką i igiełką czas słodzi i skraca, obaczmy gdzie i jak wstrzymany jest niewdzięcznik, tyle od niej kochany. Już Wojewoda doszedł był mniej więcej całej tój przygody, i dla tego ostro napisał do syna, ale my wejdźmy w bliższe choć nie bardzo przykładowe szczegóły.

ROZDZIAŁ VIII.

Ustęp.

W starym i obszernym dworcu, otoczonym stuletniami lipami i wielkim w kwatery ogrodem, w wysokiéj bawialnej komnacie, adamaszkiem karmazynowym wybitéj, obok sutego ognia na kominie, siedziała w wygodném krześle poważna matrona; na włosach jéj białych od wieku i od pudru leży koronkowy kornecek z czarnemi atlasowemi fontaziami, wstążki od niego w górę podniesione i spięte; płaszczyk czarny bławatny, watowany, oszyty w około perewistkami, otwarty jest na przodzie i widać z pod niego batystowy kołnierzyk z frezą, i spódnice dymową fałdzistą z falbaną u dołu; na poduszce włosianéj oparte nogi, obute są w trzewiki futrzane z długim nosem i z korkami. Na ziemi, w budce adamaszkiem wybitéj mopek czarny spoczywa, drugi przed ogniem ząbki sobie grzeje. Tuż na okrągłym stolicku wśród świec jarzących stoi koszyk blaszany, w nim są okulary, tabakiera i duży kłębek nici, który obraca się pomału, ile razy pracowita choć już ośmdziesiąt-letnia ręka poważnej matrony skończy drut pończochy, z jaką dla ubogich kowieńskiego szpitala śpieszy. Z drugiéj strony sto-

liczka dwoje dzieci od lat dziesięciu do dwunastu, chłopczyk i dziewczynka, sanki z kart strzygą. Przy innym stoliku trzy panny respektowe, z których jedna już nie młoda, siatki poszywają do kościoła. W odległym nieco oknie ksiądz kapelan z dyrektorem grają w maryasza, w pulę, a przypatruje im się czekając kolei doktor nadworny. Pod główną ścianą pokoju, u klawikordu, siedzi kobieta mienego wzrostu, może już nie pierwszej młodości, ale dziwnie piękna; biała muślinowa suknia opinając się na niej zdradza nadobny i bogaty kształt ciała; krótkie rękawki okazują w całej świetności białe i pulchne ramiona; włosy czarne ucięte z tyłu, rozdzielone na boku głowy, układają się na czole w gęste pierścienie; oczy jej wzniesione w górę, usta koralowe napół otwarte: śpiewa, wtóruje jej stojący za nią młody i szlachetny mężczyzna, a choć w języku obcym dla słuchaczy śpiewają, łatwo domyślić się można, że śpiewają o miłości.

— Bardzo to śliczne i piękne, moja kochanko,— odezwała się za pierwszym przestankiem muzyki poważna matrona—głos kawalera Marlina przyjemnie się zgadza z twoim; ale przyznam ci się, że za moich czasów, tylko na teatrum i za pieniądze tak śpiewano. Białogłowa uczciwa nigdy nie wywodziła takich trelów, i podobnie oczów nie zawracała. Nie ucze tego twojej córki, moja kochana i nie śpiewaj tak przy gościach, bo cię sąsiady ogadają z kretesem.

— Ale, mościa dobrodziejko—odpowiedziała z lekkim uśmiechem piękna śpiewaczka—muzyka włoska inaczéj śpiewać się nie da; tyle ma sama z siebie ekspresyi, że chcąc nie chcąc dramatyczności i poezyi nabiera.

—Jabym téż daleko wołała—przerwała matrona—gdybyś śpiewała po polsku; przecieży każdy mógł wiedzieć co śpiewasz. Oto i dziś, panna sędzianka — a to mówiąc wskazała na najstarszą z panien respektowych — pytała mi

się: co ta młodsza księżna zawsze o tym *Wojtku* i o tój *okarze* śpiewa?“ A to były owe ulubione twoje arye, co to jedna „*Voi che*“ a druga „*O caro*“ się zaczyna. Nie każdemu dano umieć obce języki, i Panu Bogu dzięki, bo też swego się nie zapomina.

Tu Julia, bo to ona była, widząc zły humor osiadający na zmarszczoném czole staréj księżnéj, świekry swojéj, wstała jakby z niechcenia od klawikordu, zbliżyła się do kominka, pogłaskała pieski, pochwaliła równość i niepojęty pośpiech robiącej się pończochy, uściskała dzieci, a już nie wiedząc coby jeszcze uprzejmego i grzecznego wymyślić, unosić się zaczęła nad wyborym ogniem palącym się na kominie, i potężnemi szczapami suchej dębiny.

— A, spodziewam się—rzekła świekra z przyciskiem—nie zawadzi dobry ogień przy tak lekkim ubiorze jak waćpani!

I tu zmierzyła ją od głowy niczém nie nakrytą, do pięknej nóżki w pończoszcze w robótki i w atłasowym trzewiku.

— Doprawdy, że też zawsze jakieś błazeństwa z tąd zagranicy wywieźć musicie — dodała ruszając ramionami i dotykając się ze wstrętem gołych rąk synowój — mnie zimno się robi patrząc na taki ubiór w Grudniu i w Litwie.

— A ja nawykłam tak chodzić zimą i latem we Włoszech; i dom mamy dobrodziejki tak wybornie jest ogrzany i opatrzony, że słowo honoru daję, więcej cierpiałam na zimno w Neapolu niż tu.

— Słowo honoru? i to rzecz zupełnie nowa dla mnie staréj, w ustach białogłowy. Za moich czasów mężczyźni tylko o honorze mówili; a wiesz waćpani, co bywało honorem niewiasty? oto wstyd i cnota, a na te rzeczy święte, żadna w potocznej mowie zarzekać się nie ważyła, by ich nie sponiewierać. Ale teraz wszystko inaczej na świecie, a mnie starą wszystko dziwi. Prawda, już dziesięć lat

siedzę u siebie i noga moja nie powstała w Wilnie, mozem to ja zdziczała. Po chwalebnej lecz zawsze oplakanej śmierci ś. p. mego męża i innych równie dotkliwych stratach, już mi się z wiosek wyjechać nie chciało. Tu przynajmniej człowiek o wielu rzeczach choć na chwilę zapomina, żyje z kim chce żyć; tu chłopkom i wielu ubogim ludziom użytecznym jest, tu mu też najmiliej; i ja nigdy nadzieić się dosyć nie mogę, jak wy tam wysiedzieć potraficie za tą granicą, mnieby duszno było gdzieindziej niż w Litwie.

— I nam też to nie przychodzi bez niezmierniej przykrości—wyrzekła z głośnym westchnieniem Julia—jakiż kraj milszym być może nad ojczysty! — dodała wznosząc oczy w górę—ale robi się te ofiary jedynie dla tego nieszczęsnego zdrowia... Mnie, dla moich słabych płuc—a tu obie dłonie położywszy na śnieżnych i wypukłych piersiach, głos pełny do chorowitéj cichości spuściła—mnie koniecznie ciepłe klima było potrzebne; a tego lata najślawniejsi doktorowie księciu nakazali wody nadreńskie na jego osłabienie.

— I tego wcale nie rozumiem—powiedziała potrząsając głową sędziwa matrona — co się to w dzisiejszych czasach ze zdrowiem porobiło: im kto młodszy, tém słabszy. Mnie się widzi, że go szukacie zadaleko; gonicie za niem po obcych krajach, a każdy zdybałby je w domu. Kogo Pan Bóg w Litwie stworzył, toć zapewne nie na to, żeby w niej żyć nie mógł; a nie wiem tam na jakie osłabienie woda mojemu synowi pomoże? Kiedy jego ojciec niedomagał, to pił dobre, wytrawne wino; a gdyby nie był padł w obronie kraju, żyłby zapewne dotąd zdrów i silny jak ja, com nigdy, Bogu dzięka, z Polski nie wyjrzała.

— Ale bo takiego zdrowia, takiéj młodości, rozumu i pamięci jak mamy dobrodziejki, już teraz nigdzie nie wiadać — dodała z przymileniem synowa całując ją w rękę —

kawaler Marlini spierał się dziś ze mną, jakoby mama kochana nie miała więcęć nad lat sześćdziesiąt.

— Proszę uniżenie, jaki grzeczny pan Włoch!—odpowiedziała z wdzięcznym uśmiechem matrona;—i spojrzała mile na młodzieńca, który zdawało się że coś bardzo pilnie czy wybiera czy komponuje jednym palcem na klawikordzie. Dobry chłopiec się zdaje, i widać że mu się z nami podoba. Już z jakie sześć tygodni, bodaj czy nie w dzień św. Marcina tu zajechał, a nie znać jeszcze żeby mu się przykrzyło. Powiedz-no kochanko, jak miarkujesz—dodała pół głosem — bo znasz go zdawna, i wiesz jaki zacz z niego; czyby on tu nie chciał zostać na parę lat i uczyć muzyki moje wnuczęta? Kondusia twój głos mieć będzie; już *Święty Boże* i *Kto się w opiekę* pięknie wyciąga, aż się ksiądz kapelan nieraz dziwuje; a z przeproszeniem, jego sposób śpiewania lepiej mi się podoba od twego; przyzwolitszy, nie tyle teatralny: chętniebym mu ofiarowała sześćdziesiąt czerwonych złotych rocznie i wszelkie wygody.

— To być nie może, mamó dobrodziejko — odpowiedziała z przytłumionym śmiechem młoda księżna — a przynajmniej wątpię— dodała jakby poprawiając się. Ja kawalera Marlini znałam w najpiérwszych domach Neapolu i Rzymu... Zapytam się go jednak... może... nie wiem...

— Zapytaj się—dodała świekra — ale jak kiedy sama z nim będziesz; napomknij mu o moich intencjach zdaleka i zręcznie, nie chciałabym go obrazić, broń Boże: jam sobie myślała że to rodzaj emigranta, co przy urodzeniu i edukacyi chleba nie ma....

A tu postrzegłszy iż pan Włoch muzyki zaprzestał, bojąc się czy nie zmiarkował o kim mowa, z taktem i względnością dawnych pań polskich, przemówiła do niego uprzejmie po francuzku, zapraszając żeby się zbliżył do kominka. Kawaler odpowiadając płynną i elegancką francuzczyzną, bez najmniejszego akcentu, przyszedł, i wszczęła się roz-

mowa dosyć zajmująca; ożywiała ją przecież najwięcej Julia, to anegdotami o obcych dworach, to powiastkami o rozbójnikach włoskich, to szczegółami o różnych niebezpieczeństwach w jakich znajdowała się sama z mężem podróżując w tak wojennych czasach. Stara księżna chętniej słuchała niż mówiła, gdyż widać było, że lubo rozumie dobrze język obcy, nie używa go dosyć często, aby nim mówić z przyjemnością.

W ciągu tej rozmowy wybiła ósma; w tej samej chwili dzwonek dał się słyszeć na podwórku, i wnet otworzyły się podwoje komnaty, a marszałek w żupanie i w kontuszu z siwymi długimi włosami, wszedł i powiedział:

— Wieczera na stole.

U drzwi otwartych widać było dwóch pacholików ze świecami, dalej kilku rozstawionych hajduków. Stara księżna powstała z krzesła, a zapraszając synowę i Włocha, puściła ich naprzód; wnuki wzięły się za ręce i pospieszyły za matką, a sędziwa gospodyni zapędziwszy chustką pieski do budy, ruszyła poważnym ale pewnym jeszcze krokiem; za nią, nie bez wielkich ceremonii i drożenia się, która pierwsza para próg przejdzie (a działo się to codzień podwa razy od lat dziesięciu) poszedł ksiądz kapelan z sędzianką, doktor i dyrektor z dwiema młodszymi pannami.

Gdy przyszedli do sali jadalnej, gdzie już były dwie panny służące, kilku ofycjalistów i braciszek kwestarz przejeżdżający, każdy stanął przy miejscu swoim u podłużnego stołu, zastawionego ciężkiem srebrem, pani domu za krzesłem, goście i dzieci za stołkami, a reszta obecnych za długą ławą. Kapelan pobłogosławił jedzenie krótką modlitwą; wszyscy się przeżegnali, siedli i zajadali z apetytem krupnik z dróbkami, zrazy z kaszą, cietrzewie z bu-raczkami i gęś tłustą jabłkami nadzianą; a na wety kisiel żurawinowy ze śmietanką. Jedna tylko młoda księżna nie wtórowała szczerze powszechnemu apetytowi, daleko mniej

jadła od Włocha; nawykła do zielenin i lekkich potrawek, bojąc się utyc, ciężły jej te pożywne półmiski: nasycił ją sam ich widok i zapach. Lecz zawsze zręczna i przebiegła, udawała doskonale że jej: brała każdej potrawy, chwaliła ją bez miary, krajała mięso, kładła często grabki do ust, a kiedy jeszcze nic nie ubyło z talerza, w chwili dobrze upatrzonej oddawała go stojącemu nieodstępnie za jej stołkiem Wasylowi. Był to kozak zaufany od kilku już lat w jej służbie; młody, wysoki, barczysty, silny a zawsze jeść gotowy, zmiatał z talerza pani do własnej gęby zostawione jedzenie; i tak to robił spieszenie, że nikt, nawet chłopcy kredensowi stojący z wiechciami do umywania farfur nad miedzianą wanienką, i dobrze czatujący na pełne, ani razu go nie dopatrzyli. Ale tego wieczora napróżno piękna Julia nabrawszy buraków z cietrzewiem, stuknęła od kilku minut grabką i nożem w talerz: nikt go nie sprzątał, i stał pełny przed nią z wielką jej męką.

— Cóż to nic dziś nie jiesz, kochanko?—zapytała troskliwie stara księżna—czyś chora, czy nie smakuje?

— Już wiele jadłam — odpowiedziała synowa nieco zmieszana, a obróciwszy się i przekonawszy że Wasyla niema, dodała powłócząc oczami i głosem:—Nie wiem zkąd głowa mię zabolęła, boję się jeść więcej, a żal mi; takie doskonale buraczki—i oddała z pośpiechem nietknięty talerz pierwszemu słudze co się nawinął.

Odtąd odmawiała już wyraźnie wszystkie półmiski powtarzając zawsze: że kiedy faworytalnych buraczków nie zjadła, dowodem jest oczywistym jako nic przełknąć nie może; a zdobywając się na różne koncepta i żarciki, to po polsku, to po francuzku, nagradzała żywością mowy swoje niejedzenie.

Nareszcie skończyła się wieczerza z wielką Julii radością, skończyła się jak zaczęła modlitwą i przeżegnaniem. Kiedy wracali takim samym porządkiem jak przyszli, młoda

księżna szepnęła do prowadzącego ją kawalera: „Dowiedz się téż o Wasylu.“

Kawaler wyszedł z bawialnej komnaty skoro przyzwitość dozwoliła, a Julia podając rękę świekrze, rozpoczęła z nią zwykłą wieczorną przechadzkę po roztwartych pokojach; i zajmujący był widok tych dwóch kobiet tak odmiennych: można było w nich upatrzeć niemal cały wiek ośmnasty. Sędziwa matrona co w dostatnich nad potrzebę bławatach, sztucznie utrefiona, prosto i sztywnie stąpająca, pierwsze jego lata wystawiała; młoda kobiéta w lekkiej szacie, napół odziana, posuwisto a niedbale idąca, ostatnich czasów była obrazem. Lecz już według codziennego zwyczaju przeszły tam i sam sto razy, nadeptawszy wielokrotnie na pięty nawijających się przed ich nogami dzieci; już dochodziła dziesiąta, nigdy nie chybiona godzina spoczynku w starym dworcu, a kawaler Marlini jeszcze nie wracał. Niespokojna Julia ledwie ukryć stan swój zdołała. Wybiła dziesiąta. Poważna gospodyni idąc do sypialni swojej właśnie mówiła:

— Wybacz pan Włoch że nie czekam na niego — kiedy wszedł do pokoju.

Już we drzwiach będąca stara księżna dostrzedz dobrze jego twarzy nie mogła; zdaleka tylko ukłoniła mu się uprzejmie i pokłon jego przyjęła. I dobrze się stało, gdyż bez wątpienia widząc młodzieńca bladym i zmienionym, byłaby mu nadwornego doktora przysłała; a z dobroci serca niespokojna o gościa, nie byłaby zmrużyła oka przez całą noc. Tak, jedna tylko Julia spostrzegła co się z kawalerem działo; mówić do niego otwarcie nie mogąc, bo jeszcze kompania się nie rozeszła, włożyła mu misternie klucz w rękę, powiedziała dobra noc wszystkim i wyszła spiesźnie, chwytając się za głowę, która teraz już może na prawdę ją zabolala.

Nie ubiegła godzina, kiedy już wszystko spało we

dworcu. Szanowna jego pani na łożu wysoko usłanem, oparta o stos poduszek różnej wielkości, prawie siedząca za zieloną kotarą z paciorkami w rękę; panny na łózkach żelaznych z białymi frankami, każda pod pikowaną w pirożki karmazynową kołdrą i lekką na nogach pierzyną; mężczyźni dworscy na tapczanach, kilimkami, skórąmi przykryci; a służba jak Bóg dał, choćby za piecem, albo na trzonie kuchennego komina. Wszystko spało prócz Julii i kogoś jeszcze, bo jej chód niespokojny po sypialnym pokoju, ustawne podsłuchiwanie u drzwi głębokiej alkowy, wreszcie spojrzenia częste w zwierciadło, poprawianie zaniedbanego a zachwycającego ubrania, widocznie okazywały że na kogós czeka.

— Nie przychodzi—zawoła po chwili—wszystko gotowe; od sześciu tygodni pierwszy raz ja czekam..... czyby mu się już przykrzyło!... Może chory? taki był blady!..... Dotąd zawsze czas wyprzedzał, a za pokutę za drzwiami stać musiał... Ale otóż i on.....

I w tej chwili obrócił się z lekka klucz w zamku alkowy, i stanął we drzwiach młodzieniec, któremu niedawno ów klucz w rękę wsunęła; był w podróżnym ubiorze, i zdawało się, jakby nawet zejść z progu nie chciał.

— Co to jest?—krzyknęła przerażona przybiegając do niego—jedziesz?

— Jadę—rzekł przytłumionym głosem.

— Nie, nie—wołała chwytając go za suknie i prawie odchodząc od siebie—nie, ty nie pojedziesz!

— Muszę, ojciec przysłał: przedłużać tego udawania nie godzi się. Idzie tu o ciebie, o sławę twoją!

— Co mi po sławie, co mi po wszystkiem: ja chcę ciebie.

— Alem ja zawsze twój, Julio, twój na wieki!—i przycisnął ją do serca.

— Nie! nie!—wołała coraz głośniej—ja cię nie puszcę, ja nie chcę, ja nie pozwalam!... Poczekaj, odłóż do jutra... ja proszę!

I tu z objąć jego zsunęła się na ziemię, klękała, wyciągnęła błagalne ręce, a z oczu miłością błyszczących, łzy jak perły się puściły.

— Nie — powtórzył młodzieniec — trzeba raz być mężnym. — Bądź zdrowal zobaczymy się, i wtedy na długo: na zawsze.

A to mówiąc oderwał prawie gwałtem ręce ściskające mu kolana, uciekał od leżącój u nóg jego kochanki, a raczej uciekł od samego siebie. Wychodząc równie cicho jak przyszedł, zdybał wnet dwie wysokie figury przytulające się do ściany, które idąc przed nim milczkiem, sprowadziły go do sieni, ztamtąd do ogrodu, a nareszcie przez boczną furtkę na gościniec gdzie stała bryczka trzykonna, a żyd furman chuchając w palce mówił:

— Nu, już myślałem, nigdy Jaśnie Wielmożne Państwo nie przyjdzie. Pulnoc bila. Musi Jegomość Francuz parę rubli dać więcój nad ugodę, bo moja Rywka rozchoruje mi się w domu z kłopotu, a szkapy padną z głodu.

Zdaje mi się, że domyślił się już każdy, kto był owym mniemanym kawalerem Marlini i owym młodzieńcem w podróznym ubiorze; wypada tylko wytłómaczyć, jakim sposobem szlachetny Leon mógł przyjść do takowego podstępu i do przybrania obcego imienia.

Wiemy, że Julia po ślubie kochanka, kryła się czas jakiś w Warszawie i w jój okolicach, a to tak szczęśliwie że nikt jój nie wyśledził. Po owych dwunastu dniach tajennych rokoszy spędzonych z Leonem, wyrwała się nareszcie z objąć jego, i pojechała dopełnić pozornego celu podróży swojój do Polski, to jest urządzić interesa, obaczyć świekrę i dzieci w dobrach pod Kownem, i z niemi zimę spędzić. Tam, z listów pisanych do starój księżnój z Podola, od bliskich jój krewnych dowiedziała się o przybyciu w owe strony młoděj pary, tyle ją zajmującěj; a ponieważ na Po-

dolu wszyscy sądząc z pozorów, jak najlepiej trzymali o pozyciu Karoliny z Leonem, toż samo donosili, i napisaném było wyraźnie w jednym liście: „jakoby pan wojewodzie wzorem był mężów, a młoda wojewodzicowa, szczęśliwa jak królowa i zupełnie godna swego szczęścia.“

Rozkochana i podejrzliwa Julia uwierzyła tym plotkom, które podobno pierwszy raz na tym świecie, lepsze rzeczy głosiły o ludziach od czystej prawdy. Kochała Leona namiętnie; on napełnił jój serce, on ją wyleczył z nudów, on nadał cel jój życiu, on jój objawił rozkosze i uczucia dotąd zupełnie jój nieznanne. Ciągłe nim zajęta, bo jeżeli z nim nie była, to myślała o nim, pisała do niego, jego listy czytała, nie tęskniła dotąd przynajmniej za hołdami świata. Już trzy lata tak minęły, a namiętność trwała w całej sile. Była to jak wiemy pierwsza miłość dwudziestoletniego młodzieńca i pierwsza miłość trzydziestoletniej kobiety, a zdaniem znawców, są to najsilniejsze uczucia... Już nawet w owym litewskim dworcu, gdzie tyle czasu do dumania było, gdzie wreszcie sam widok porządku mógł skłaniać umysł do upamiętania się, myśl o rozwodzie przychodzić zaczynała Julii do głowy, a w jój położeniu owo podwójne i ohydne świętokradztwo już było krokiem do poprawy. Prawda że Leon i ona rozwiązawszy obecne węzły, i złączywszy się małżeństwem, ledwieby zachowali czwartą część dzisiejszego majątku, ale zostałyby im się miłość, mogliby się kochać, być zawsze razem bez obawy i wstydu; byłiby szczęśliwsi jeszcze jak przez owe dni dwanaście spędzone sam na sam w ukrytym wiejskim domku, na których wspomnienie serce jój biło radośnie.

Wśród takich marzeń i zamiarów, takiego zwycięstwa miłości nad próżnością, łatwo pojąć rozpacz Julii, kiedy ją doszły niespodziane wieści podolskie; uwierzyła im tém łatwiej, iż od Września nie miała listu od Leona. Ostatni pisany był na wyjeździe z Modrogóry; w drugim obiecywał

jéj donieść obszernie, jak i gdzie ma do niego pisywać, a ten drugi nie nadchodził. Równie gwałtowna w miłości jak w gniewie, w pierwszym momencie jechać chciała dniem i nocą na Podole; lecz trzeba było chyba skompromitować się zupełnie, wydać się przed czasem ze skrytym zamiarem rozvodu; boć najmniejszym pozorem usprawiedliwiłby się nie dało nagle opuszczenie świekry, dzieci, i podróż przeszło stumiłowa w zimowój porze, i w okolice, gdzie nikogo nie znała. Nawykła do udawania, uczyniła gwałt téj pierwszój woli rozgniewanej miłości; ale zebrawszy wszelkie jakie miała kiedybądź pisma i pamiątki od Leona, portret jego, włosy, dary rozmaite, opieczętowała je czarnym lakiem, jak na znak śmiertelnój żałoby i posłała umyślnym do Miodoborców, wraz z listem ognistym. W owym liście wyrzucała mu w najdotkliwszych wyrazach, niewiarę, niestałość, podłość i podawała mu jedyny sposób usprawiedliwienia się i przebłagania jéj w podobnych słowach:

„Leonie, jeżeli żyję jeszcze, to zapewne dla tego, że w głębi serca mego jest jakiś głos ożywiający co mi szepce: „To nie prawda.“ Jeżeli ten głos mię nie omyła, jeżeliś zawsze moim Leonem, za dni dwanaście tu będziesz, w domku wiejskim, w ogrodzie. Wasyl cię przeprowadzi, Wasyl dobrze ci znany, wierny jak bywają wierni ludzie nieoświeceni, których świat nie zepsuł. On mi nie przysiągł, ale mi powiedział, że szóstego dnia będzie u ciebie, a jemu to wierzę.“

I biedna Karolina właśnie przyszła do pokoju męża ledwie w pół godziny od chwili, kiedy wierny Wasyl potém złany, mimo zimna, wręczył ów pakiet Leonowi; kiedy on czytając list Julii, przebiegając oczyma dowody i świadki tyłu miłości i przysiąg, już nie myślał o tém czy się stawi na wezwanie kochanki, ale tylko jak ukryje wyjazd swój przed ludźmi i zawadzającą mu żoną? I ona właśnie

na to przysła. Czyż dziwić się można, że źle przyjętą została, że mąż z nią nie pojechał i rad był jój wyjazdowi?

Ledwie posłuszny jego rozkazom woźnica zaciął konie i ruszył pędem z Karoliną ku Warszawie, on natychmiast wrócił do swego pokoju; wszystkie papiery Konkiewiczowi oddał, wziął od niego paręset dukatów, a nie mówiąc wcale gdzie jedzie, wybrał się, i spieszniej jeszcze stare zamczy-sko opuścił, w towarzystwie jednego tylko Wasyla. Ukraiński koń kozaka padł był bez życia, wkrótce po przyjeździe; dwóch jeszcze cięższych siwoszów dobrał i przepłacił Leon z pięknego stada byłego administratora dóbr Miodoborskich, a zostawując już na ten raz nieodstępного dotąd Baptystę, ruszył, i jeszcze przed upływem dni naznaczonych, stanął w domku wiejskim, w nocy. Już go tam czekała Julia, i jak łatwo domyślić się można, wnet przebaczyła; a raczej przekonała się, że nic do przebaczenia nie było, bo nawet pisał do niej Leon dwa razy, tylko listy gdzieś zginęły czy zaległy.

Ale wśród Listopada nie można było żadnym sposobem uczęszczać do domku w ogrodzie, bez zwrócenia wszystkich oczów na siebie. Mimo fortelów Julii i pomocy jaką miała z Wasyla i z garderobiany francuzkićj, Lizety, którą jadąc do Polski przyjęła, rzeczą było równie niepodobną, ukrywać w nim długo obcego mężczyznę. Szczęśliwi zaś i stęsknieni do siebie kochankowie, rozdzielać się po kilku dniach ukradkowego widzenia się, żadnej nie mieli ochoty. Cóż więc wymyśliła Julia, zaprawiona do intryg miłosnych w czasie długiego pobytu we Włoszech, i czytana w romansach? Oto namówiła Leona dobrze mówiącego po włosku, aby się udał za znanego jój niegdyś kawalera Marlini; który niby jadąc do Rossyi, dowiedział się w Kownie, iż dawna jego znajoma bawi w sąsiedztwie, i nie chciał ominiąć sposobności odwiedzenia jój, a zarazem poznania szano-

wnę jej świekry, której pochwał tyle się nasłuchał. W innym razie, prawość wrodzona Leonowi byłaby go od podobnego postępku wstrzymała; lecz czegoż nie zrobi rozkochany mężczyzna dla przedłużenia szczęścia swego? Przyjął tedy rolę włocha; zajechał jednego wieczora żydem furmanem przed starym dworcem, gdzie go zacna gospodyni na rekomendacyą synowej z wszelką gościnnością przyjęła, ani się domyślając jakiegobądź podejścia.

Jakże Julia umiała tysiącznemi sposobami nagrodzić, ułatwić kochankowi jego ofiarę! z jakąż zręcznością korzystała z pory ukazania mu się w świetle w jakim jeszcze jej nie widział! jako niewyczerpana w względach i wyrozumieniu dla sędziwej świekry, która wyznajmy prawdę, często zrzędziła; jako najczulsza matka dla dwojga dość niemiłych dzieci; jako pełna prostoty, wesołości, dobroci dla domowych i dworskich, tyle niższych od siebie. Codziennie więcej rozkochany Leon, codziennie nowe przymioty i wdzięki w niej odkrywał; pod ponurym litewskim niebem ujrzał powtórzenie wszystkich włoskich słodczy, na nowo oczarowany, zapominał o Karolinie, o ojcu, o Warszawie, o całym świecie: rad był już tak zostać na zawsze; pragnął żeby na całej ziemi nic nie było tylko on i Julia, i przyjmował z zapalem obraz pomyślniej przyszłości, jaką mogli zapewnić sobie oboje, idąc za przykładem tyle pospolitym unieważnienia małżeństw. Już różne układali plany jakby dojść do owego dwojakiego rozwodu, gdzie osiąść po ślubie? Postanowili sobie nie mówiąc nic nikomu pracować nad tém zwolna i zręcznie; a zamiarem godziwego związku usprawiedliwiając we własnych oczach wszelkie dawne i obecne grzechy, trwali w złem nawet bez wyrzutów sumienia.

I znowu list wyciągnął Leona z téj toni, list Wojewody. Wiemy, że Baptysta został był w Miodoborcach; sam jeden wiedział dokąd pan na czas niejaki pojechał, gdzie i którędy w razie ważnym szukać go ma. Jemu Leon wy-

jeżdżając rozkazał oddawać listy do siebie nadsyłane. Baptysta nabierał ich kilka, zacząwszy od owego listu Karoliny, który posłała z pierwszego noclegu, ale dopiero odezwa Wojewody przywieziona sztafetą z Warszawy, zdała mu się godną, aby ją nie tylko posłał panu, ale nawet sam z nią pojechał. Zręczny i znający ludzi Wojewoda, dowiedziawszy się że księżna Julia jest u świekry, odgadł snadno gdzie się podział Leon; a wiedząc z pewnością że Baptysta został na Podolu, napisał do niego, obiecując mu znaczną summę pieniężną, jeżeli w przeciągu danego czasu stawi się w Warszawie wraz z panem. ale za każdy dzień zwłoki tak sute było potrącenie, że gdyby termin o tydzień się przedłużył, nicby prawie nie zostało. Chciwy Francuz poprzysiągł sobie grosza nie uronić z téj niespodzianej gratki; przyleciał prawie równie prędko do pana, jak pan przyleciał był do kochanki. Porozumiewszy się na wszelki przypadek jeszcze w Miodoborcach z Wasylem, którego znał oddawna, skoro przed dworzec zajechał, choć w czasie wieczery, kozaka wywołać kazał, i za jego pomocą wnet do Leona się dostał. Znając pana jak własną kieszeń, przyjechał z gotową rzeczą, tak, że tylko wsiąść do powozu trzeba było; zaklął go na imię ojca, nie popuścił ani na chwilę, dopóki nie zmusił do nagłej determinacyi, a lubo z innych powodów i w innych widokach, wyrwał Leona prawie tak gwałtownie z owego siedliska roskoszy, jak niegdyś Mentor Telemaka z wyspy Kalypso.

Bo jak z różnych przykładów dostrzedz tego było można, Leon obok uporczywości czy stałości, miał giętkość w charakterze i lenistwo; ktoś drugi, co miał nad nim władzę, bądź powagi, bądź miłości, bądź przyzwyczajenia, namówić go mógł do wszystkiego, tylko należało postępować z nim szybko, i wiele rzeczy za niego zrobić. Pochodziło to ztąd najwięcej, że czynność w nim wcale w dzieciństwie rozwijaną nie była, i że nie miał zasad pewnych; jego moralność

będąc własną jego robotą, nagiął ją według tego jak wymagało obecne najmocniejsze uczucie. Zresztą na imię powinności synowskiej i opinii, na wszystko był gotów; owe dwie poszany wpoił w niego Wojewoda i te utkwiły: tych dotknął w liście swoim, i słowa jego wywarły skutek.

Matki i ojcowie! dzieci wasze są tém, czém je mieć chcecie.

ROZDZIAŁ IX.

Powrót do swoich.

Goniec który z Warszawy ma się dostać pod Kamieniec Podolski, z Kamieńca w okolice Kowna, i ztamtąd wrócić do Warszawy, ogromny trójkąt zrobić musi, i lekko rachując ujedzie mil naszych dwieście siedmdziesiąt, co uczyni francuzkich z pięćset, a angielskich z jakie półtora tysiąca. Nic tedy dziwnego, że już za dni kilka następowały święta Bożego Narodzenia, tyle u nas uroczyste i wesołe, a Karolina jeszcze wyglądała swego niewdzięcznika.

Wojewoda niecierpliwy i niespokojny, wykręcając się z niemałą trudnością od mnogich zapytań o syna i synową, a przecież prawie pewny rychłego zjawienia się Leona, umyślił przynajmniej wszystko tak urządzić, żeby nazajutrz po przyjeździe męża, nowa hrabina dom otworzyć mogła, a nimby oddała wizyty powinne, przyjmowała u siebie chciwą bywania u nię młodzież mężką pierwszego tonu. Już przez całe lato rzemieślnicy rozmaici pracowali w obszernym pałacu dawniej Wojewody i ojców jego, dziś własności państwa młodych; już wyrzucono wspaniałe ale niemodne obicia adamaszkowe, wygodne krzesła i kanapy z poduszkami,

a zastąpiły je pstre ścienne malowania, zamorskie mahonie, szerokie i twarde sofy, lekkie kitajki i persy. W miejscu dostatnich firanek, to bławatnych, to kartonowych (stosownie do przeznaczenia pokoju), co w lecie osłaniały od zbytniego światła, w zimie od wiatru chroniły, a które przez lat kilkanaście burgrabia pałacowy zakładał: tapicer francuz rozwiesił w górze okien wszystkich, drzwi i ścian niektórych, wążkie, przezroczyste draperye, a festonów, kokard, końców, róż, przypinał tyle, na tak wiele sztuczek kilkaset łokci cienkiego muślinu pokrajał, że niepodobna było, aby ktokolwiek, nawet on sam trafił drugi raz do takowego upięcia.

Ale mimo tych zachodów, przemian i wydatków, jeszcze pokoje do przyjmowania nie były dosyć modne, dosyć pełne. Pod ścianami już stały meble, lecz nie zawadzało nic jeszcze na drodze; trzeba zaś było koniecznie tu sofy okrągłej na środku salonu, tam szezłąga coby nie opierał się nigdzie, tu znowu fortepianu wiedeńskiego, któryby tylko samym końcem z lekka dotykał się ściany; trzeba było nadewszystko porcelan, kryształów, bronzów i mnóstwa gracików do pozastawiania kilku serwantek, bo wtedy moda nakazywała przeistaczać salony w składy mebli i w kredense. W pokojach zaś codziennych nic prawie nie było, zwłaszcza u Leona: ani łóżka, ani stolika do pisania. Na te wszystkie wydatki brakowało zupełnie pieniędzy. Jakkolwiek majątek państwa młodych był piękny i oczyszczony, a z dwóch milionów posagu Karoliny już teraz zupełnie wypłaconych, zrobiło się w dobrach więcej niż drugie tyle wartości, wiemy, jak trudno u nas najmożniejszym właścicielom ziemskim o gotowiznę, zwłaszcza kiedy niepomi na zasady ekonomiki, dochodów swoich nie trawią w naturze na własnym gruncie, ale chcą żyć z grosza, gdzieindziej. Wszak wyrachowaną jest rzeczą, że dziedzic małej wioski, który siedząc na niej i sam gospodarując zjada tłuste kapłony, ma chleb

i nabiął smaczny, a w zimie suty ogień na kominie; kiedy z teje samėj fortunki chce żyć w stolicy, i wszystko nająć lub kupić, ledwie na sztukę mięsa i na kartofle w chłodnej izdebce zdobyć się może. Zważywszy bezrząd jakiśmy widzieli w Modrogórze, wydatki na pałac warszawski, dosyć znaczną pensją pana Wojewody, niedziw, że i w kasie młodego hrabiego obawiano się pustek, i że kasyer, którego Cześnik dał z poręki swojej i często słuchał rachunków, już do przyjazdu pana żadnych wypłat i awansów robić nie chciał.

Był tedy pan Wojewoda w kłopotach, które acz nie nowe dla niego, niemniej mu się zdawały przykre; tysiąc miał wybornych conceptów, a ani grosza do ich wypełnienia; od Karoliny wyludził już jej dwumiesięczną pensją pod tytułem pożyczki: ale cóż to znaczy sto dukatów? kupił zegar brązowy paryzki, zwierciadło okrągłe, tuzin filizanek sewrskich i nic nie zostało. Parę razy przymawiał się Cześnikowi dosyć wyraźnie, uważając go za niewyczerpanego Krezusa; ale stary, który od czasu wyposażenia córki, wielkie oszczędności w dom swój zaprowadził, i w istocie nie miał już wiele więcej nad potrzeby, zupełnie głuchym się okazał na to ucho: musiał tedy pan Wojewoda ruszyć po rozum do głowy.

— Pałac Modrogórski już wiele osób widziało i chwaliło; tak rychło nikt go powtórnie oglądać nie będzie: cóż w zimie robić na wsi? A na wiosnę pani Karolina musi koniecznie wyjechać, jeżeli nie do Paryża, to przynajmniej do wód; zawsze zdrową być nie może, ani też siedzieć zawsze w kraju: nigdyby na elegantkę nie wyszła, każdyby ją wytykał palcem i mówił: „Ot znać parafiankę!“ Można przeto śmiało obnażyć Modrogórskie pokoje z wielu ozdób, i nic nie mówiąc nikomu zastawić niemi Warszawskie. Ludzie nie wiedzieliby jak i co zabrać, trzeba zatém, żeby ktoś mądry tam pojechał; jemu nie wypada; wszyscyby się

zaraz dowiedzieli: niechby go dwa dni nie widziano pod *Blachą*, cóżby to było gadania! Ale synowa może jechać bezpiecznie, tego nikt nie wypatrzy, bo każdy wie, że w niebytności męża siedzi zamknięta u rodziców i nigdzie się nie pokazuje.

Tak sobie to wszystko myślał i ułożył pan Wojewoda, w ostatnią Niedzielę adwentową w nocy, spać nie mogąc, co mu się często zdarzało, i zaraz nazajutrz rano jeszcze przed kawą, założyć kazał konie do karety i ruszył do Cześniakowstwa.

— Stęskniłem się do dobrej kawy — powiedział wchodząc zdziwionej tak ranną wizytą Cześniakowej — i przyjechałem do aśki, wypić filiżankę.

— O! z całego serca! nieoszacowany pan Wojewodo! — zawołała rada gospodyni dziękując mu jakby za łaskę. Choć już piłam przed dwiema godzinami z Jegomością, chętnie powtórzę z panem dobrodziejem, i nasza Wojewodzicowa jeszcze nie po kawie; nie daję jej wstawać przy świecy, bo zda mi się że chudnie, a wczora właśnie późno w noc siedziała nad swoją poduszką i przecie skończyła. Ale otóż i ona bieży.

I wbiegła Karolina w ślicznym rannym ubiorze, rumiana z radości i trwogi. Obaczywszy z okna powóz Wojewody, pewną była że Leon przyjechał, tem pewniejszą, iż właśnie w tej chwili wyparała z krosien ślubowaną robotę. Stała w progu i zasmuciła się widząc teścia samego.

— Patrz, dziecię moje, jaki łaskaw pan Wojewodo — powiedziała matka — na kawę się zaprosił: będziesz miała kompanię. Pójdę, powiem Laskowskiej, a państwo chciejcie tu sobie zasiąść wygodnie na kanapie, koło pieca.

Jakoż zasiedli. Wojewoda wiedząc aż nadto przyczynę smutku synowej a chcąc ją nakłonić do rychłego spełnienia zamiaru swego, skłamał gładko, mówiąc, że ma list od Leona, w którym mu donosi, iż może zjedzie na święty Szczę-

pan, a jako prawdziwy wygodniś, co lubi żeby mu pieczone gołąbki szły same do gąbki, daje do zrozumienia „izby rad zastał wszystko urządzone i gotowe w warszawskim pałacu i w swoich pokojach, zdając się w tém zupełnie na troskliwość i na gust ojca i żony.“

Skoro to powiedział i dalsze swoje widoki odkrył, natychmiast od uszczęśliwionój Karoliny otrzymał obietnicę jechania dziś jeszcze do Modrogóry, mimo ośmnastu stopni zimna, i zabrania ztamtąd wszystkiego co będzie potrzeba. Nie było bowiem czasu do stracenia, we Czwartek przypadała wigilia, a w Sobotę święty Szczepan.

W trakcie tego układu wróciła Cześnikowa, za nią wszedł pacholek z białą jak śnieg i gładką jak atlas serwetą, i Laskowska z ogromną tacą. Stał na niej cały przyrząd do kawy: trzy piękne filiżanki koreckie w kształcie dużych gruszek, dwa koszyczki sucharków, paluszków, bułeczek, masielniczka z świeżem masłem, cukierniczka srebrna zamknięta na klucz, trzy garnuszki śmietanki w smaczne kożuszki ubrane, a w środku tego wszystkiego imbryk kamienny krakowski, z dzióbka którego wychodziła para roznosząc po całym pokoju woń aromatyczną napoju.

Wśród pochwał Wojewody na ten raz szczérych i zasłużonych, przy smaczném zapijaniu i zajadaniu, Karolina widząc rozjaśnioną twarz matki, powiedziała z wdzięcznym uśmiechem:

— A mama nic nie wie, że ja dziś z państwem obiadu nie jem.

— Gdzież i z kim?—spytała zdziwiona matka.

— Najpewniej w karcie, albo gdzie w karczmie. Pan Wojewoda życzy sobie żebym do Modrogóry pojechała. We Środę wieczór wrócę.

I tu wyłożyła słuszne powody do téj przejażdżki i nadzieję rychłego przybycia Leona.

— Dobrze, aniołku mój—odpowiedziała Cześnikowa—

jedź, sprawuj dom, pilnuj czeladkę, gotuj wszystko na przybycie męża. I jegomość to pochwali. Tylko musisz ubrać się ciepło, wiaść Wroczyńską z sobą, i pospieszać, żeby w wigilią nie być w drodze, bo to nie dobrze.

I stało się tak wszystko. Cześnik pochwalił zamiar, a nie wyszło trzech godzin kiedy Karolina otulona futrami od stóp do głowy, opatrzona w różne jedzenie przez troskliwą matkę, jechała z wierną swoją panną, w znajomej nam karecie, osadzonej tym razem na saniach. Z piérwszej stacyi odesłała woźnicę z końmi, wzięła pocztę, a suto płacąc *na piwo*, przed jedenastą stanęła w Modrogórze, z wielkiém zadziwieniem dworskich. Stary Jacenty, który nie spał jeszcze, bo właśnie domawiał różańca, najpiérwszy usłyszał trąbkę pocztarską, i wyszedł przed sięń.

— Prawdziwie dobry sługa z ciebie—powiedziała mu Karolina ściskając go za rękę, którą on do jój kolan przytykał:—Pan zastaje cię czuwającym... A jak zdrowie i kaszel? Wnuczki jak się mają?

— Po Panu Eogu—odpowiedział stary dziękując i prowadząc ją na tymczasem do własnej izdebki, żeby się trochę ogrzała z drogi—a nasi panowie młody i starszy?

— Zdrowi oba—Leon spodziewany wkrótce z Podola.

— Boguż dzięki!—zawołał starzec składając ręce. Co jaśnie pani, to zawsze nam piękna i hoża—dodał przysuwając jój najlepsze krzesło do pieca i zapalając drugą lojówkę w blaszonym lichtarzu. Jaka to radość będzie jutro jak się o przyjeździe jaśnie pani ludziska dowiedzą! Teskniliśmy tu wszyscy nie pomału, biédne chłopstwo z płaczem nieraz ztąd odchodziło, słysząc, że niewiadomy powrót jaśnie pani. Już apteczka się wypróżniła, a trwały długo na jesiń krwawe biegunki i ciężkie trzęsionki; teraz na kaszel i duszność ludzie chorują. Jaśnie pani wnetby w to poraziła.

— Dałby Bóg!—przerwała rozczulona Karolina.

— Ale ja tu gadu, gadu, a nie wiem czy tam ogień nałożyli—mówił dalej Jacenty, jakby chcąc pójść zobaczyć. Każeć ja tu przepalać wszędzie, i dziś właśnie paliło się w pańskich pokojach, chociaż te Francuziska śmieją się ze mnie, żem głupi, i mówią, żebym powinien raczej im dawać to drzewo. A już i tak furami codzien go u siebie palą, żaden pieca nie zatka, broń Boże! okien nie dali zalepić, tylko otwierają na rozcież; fornale nie mogą nadążyć ze zwózką, a stróże z rąbaniem. Bogiem a prawdą, po tém przerobieniu, pałacysko zrobiło się okrutnie zimne i wilgotne, ani się dopalić; w białej sali i w galeryach gorzej jak na dworze, ściany szklanne, posadzki kamienne i same kominki: gdyby to jeszcze na południe, ale cała ta połać na wschód obrócona: w zimie słonka jak na lekarstwo. Przypominałem ja starszemu i młodszemu panu, że to u nas nie Włochy... ale takie czasy nastały, że starym nie wierzą, a człowieka co w Paryżu nie był mają za głupiego. Wiele jest nawet szkody w meblach: paczą się, pękają aż strach...

— Ja też tu przyjechałam zabrać znaczną część—przerwała Karolina, a opowiedziawszy rzecz całą pytała się doświadczonego sługi, jakby te przenosiny odbyć prędko i dobrze?

— Niech jaśnie pani spokojną będzie, a my wszystko ułożymy jak najlepiej z panną Zaperkowską i z panem komisarzem... Żeby tylko o wieczery jakiej takiej nie zapomnieli. Jaśnie pani pewnie głodna. Muszę iść, bez człeka sobie w niczem nie dadzą rady.

A to powiedziawszy, mrużąc jeszcze coś pod nosem wyszedł.

— Poczciwy!—mówiła Karolina przechadzając się po nagięj prawie ale schludnej izdebce—jakbym chętnie rzuciła Warszawę i spodziewane w niej zabawy, gdyby tylko Leon chciał i przyjechał tu ze mną. Ileby przez ciąg zimy chorób i cierpień oszczędzić można tym biednym ludziom.

Bóg wie co mnie czeka na tym wielkim świecie... coraz więcej go się boję, a tu wiem, żebym użyteczną i pożądaną była.

Przerwało jej rozmyślanie kilku dworskich i służących, co witać ją przychodzili i pytać o rozkazy; wrócił wkrótce i Jacenty oświadczając, że pokój sypialny gotowy i poszedł naprzód ze świecą. Karolina ruszyła za nim, a za nią wszyscy. Izdebka Jacentego była blisko kredensu, na drugim końcu pałacu; kilka korytarzy, pokój jadalny, obie galerie i białą salę przejść musiała Karolina, zanim się dostała do siebie. To przejście tylu osób ze świecami w rękę, naprędce ubranych wśród zimnej nocy grudniowej, miało coś okropnego; wielkie portrety naddziadów Leona w rodzinnej galerii rozwieszono, zdawało się że wyglądają z ram, dziwić się kto ich ciszę przerywa? meble zakryte szaremi pokrowcami, a zwłaszcza wystawiony na środek sali klawikord, osłonięty prześcieradłem, przedstawiały istne grobowce i trumny. Zgoła, Karolinę dreszcz zimny przeszedł, ozwały się znowu w jej duszy dawniejsze przecucia śmierci; na próżno koła trwogę swoją, dobrymi wieściami jakie miała o Leonie z ust Wojewody: przemagało smutne wrażenie, i ściagało ją dopóty, dopóki po sporządzonej naprędce wieczerzy i po rzewnej modlitwie, nie położyła się w łóżko dobrze wygrzane staraniem Wroczyńskiej, a w śnie smacznym nie zapomniała o wszystkiém.

Cały dzień następujący zszedł Karolinie na doglądaniu służących, w wyborze i pakowaniu eleganckich a drogień dla niej sprzętów, bo na każdym oko Leona spoczęło. Przy świetle jasnego mrozu, pałac choć zawsze smutny i zimny, wydał jej się mniej okropny niż w nocy, przecież w jednej stronie jego przykrą godzinę przebyła.

Domyślić się łatwo, że o pokojach Leona tu mowa. Karolina wcale ich nie знаła, jeszcze nigdy nie była w owym gabinecie, gdzie on tak przesiadywał; jeszcze nie widziała

tego biurka na którym list do niej napisał, a potem tyle innych listów, i już nie do niej. Wiemy zaś wszyscy, co to jest za miejsce ważne dla serca, że nie powiem święte, pokój ukochanej osoby. Wszystko w nim zajmuje, rzecz każda nosi jakby cechę tego do kogo należy, jest jakby częścią jego samego. Tu on żył, oddychał, patrzył na to wszystko, dotykał się tego wszystkiego. A kiedy jeszcze radzibyśmy odgadnąć z tego co widzimy, uczucia, zatrudnienia, gusta osoby ukochanej w celu poznania jej lepiej, przypodobania jej się: wtedy pozeramy oczyma przedmiot każdy i chciałoby nam się żeby przemówił.

Myśl Karoliny już w drodze zajęta była temi pokojami Leona, stary Jacenty nawet zgadując, że tam najpierw pójdzie i najdłużej zabawi, przed świtem suty ogień nałożył wszędzie. On ją tam zaprowadził, a stojącej na progu pierwszych drzwi powiedział:

— Niechże mnie jaśnie pani zaświadczyć raczy przed panem hrabią, jako tu według jego przykazu nic nie ruszono przez czas pańskiej niebytności, i żywa dusza prócz mnie w tych pokojach nie powstała: jam tu sam wszystko okurzał, zamiatał. W gabinecie, na biurku i wszędzie wszystko leży jak zostawił, książki pootwierane, listy, żaden papierek nie zginął..

— Dobrze, dobrze—przerwała cichym głosem Karolina—powiem jak chcesz. Ale teraz proszę, zostaw mnie tu samą, po chwili wrócisz.

Uśluchał stary sługa; Karolina przecież długo jeszcze stała w progu, oparta o drzwi otwarte. To słowo „listy“ zastanowiło ją. Może jej tam wchodzić nie wypada? może to będzie złamanie obietnicy uczynionej Leonowi? Już chciała wołać za Jacentym, żeby dokończył jak zaczął, i sam wszystko panu zapakował, przewiózł i ustawił w Warszawie, kiedy przypomniała sobie słowa Wojewody: „jako pan Leon chce wszystko zastać urządzone w swoich pokojach,

i zdaje to na żonę.“ Rada temu zaspokojeniu sumienia, wyjęła coprędzj klucz z zamku, przełożyła go na drugą stronę, weszła i zamknęła drzwi na dwa razy.

Piérwszy pokój był rodzajem niby męzkiego salonu; bo niech się tu nikt nie spodziewa obaczyć przyzwoitego mężczyznie i Polakowi mieszkania. Dawni panowie Modrogóry, którzy dzielną i szacowną bronią, zdobyczami wojenami i świętościami komnaty swoje zdobili, zapewne w tym eleganckim apartamencie nie byliby poznali rodzzonego wnuka. Inszy wiek, inшы obyczaj. Lepiej jednak działo się w kraju, kiedy z jednéj strony wężkiego i twardego łoża, wisiała karabela, a z drugiej Matka Boska. Ale wróćmy do owego salonu.

Wygodne sofy i krzesła stały w około, w środku stół duży okrągły; na nim w nieładzie romanse i dzienniki mód francuzkie, sztychy rozmaite, worki z tytuniem, karty, a po kątach serwantki z cybuchami różnej długości, pajczyki, laski, florety. Karolina krótko się zatrzymała w tym salonie:

Tu—pomyślała—Leon bawił się z drugimi, tu go nie znajdę.

Poszła dalej. Drugi pokój był sypialny; stało w nim łóżko miękkie i szerokie, duże zwierciadło, szeszłag, gotowalnia strojna całym wykwintem angielskim i elegancyą paryzką. Nie zajął jój dłużej od piérwszego, ale w nim będąc dostrzegła drzwi mało widoczne dla innego oka, i z nieśmiałością zbliżyła się do nich. Tam już być musiał ów tajemny i ulubiony gabinet Leona, owo biurko jego. Serce zakolało w niej tak mocno, jak gdyby jego samego ujrzeć miała. Weszła przecież, i tam już została. Tu dopiero wszystko tchnęło samym Leonem, wszystko miało życie jak gdyby tylko wyszedł na chwilę: na małym stolczku leżał rysunek zaczęty, woda stała w szklance, sepia roztartą była na miseczcze; u gitary rzuconej na sofę, zdawało się że struny

jeszcze brzęczą; krzesło samotne rozpięrało się około okna; na wybitój safianem poręczy wytłoczony był ślad ręki, jakby dopiero co zadumaną głowę wspierała. Na kominku stał amerek nakazujący milczenie i Wenus w różnych postaciach. Karolina odwróciła oczy i spojrzała na ściany. Zdobiły je widoki sztychowane najpiękniejszych okolic Włoch i Szwajcaryi, dwa tylko odmiennie oprawne, od ręki były zrobione, i miały podpisy we włoskim języku. Jeden wystawiał brzegi jeziora Genewskiego, drugi okolice Neapolu; oba krasiała pełna wdzięku postać kobięca; w pierwszym spostrzegął ją zdziwiony młodzieniec, zupełnie do Leona podobny; w drugim, już klęczał u nóg jęj. Karolina nie mogła oczu odebrać od tych rysunków, a przecież tak przykrym był ich widok...

Ale zostawało jęj jeszcze biurko Leona, ów powiernik najskrytszych myśli; tam być mogły ulubione jego książki, pisma: tam nareszcie owe listy których bała się a razem ciekawą była. Zbliżyła się do niego, a wśród mnóstwa nieznanym jęj gracików, z jakich każdy wydawał się pamiątką, obok pęcška nieśmiertelek, zastała otwartą Heloizę, Petrarcha, Tassa, i sztambuch prawie cały wierszami zapisany. Wzięła go do ręki, a przerzucając naprędcę, bo czytać nie śmiała, dostrzegła mimowolnie imię Julii powtarzane z zapalem na każdęj kartce. Kiedy wskroś przejęta tém odkryciem kładła sztambuch na biurku, ujrzała między papierami list, jakby jeszcze zapieczętowany; pismo było eleganckie, kobiecęj ręki, podpis francuzki do Leona, pieczętka z godłem: *Tout ou rien*.

Ale była to tylko koperta, listu już w nięj nie było. Przecież to imię Julii, ten podpis, to godło, rozdarły jakby zasłonę z przed oczów; doznała takiego uczucia, jak kiedy komu przykry sen zmienia się na prawdę; bo dotąd, i któż temu nie uwierzy kto zna młodość niewinną i dobrą, dotąd mówię, owa rywalka chwilami tylko była dla nięj ży-

jąca, rzeczywistą kobietą; częściej daleko wydawała jęć się jak cień, jak urojona istota, a niemogąc jęć uchwycić, nie miała mocy nienawidzić. Lecz teraz zdało jęć się że ją zobaczyła; jakoż widziała jęć postać, dowiedziała się imienia, poznała pismo, wyczytała chęć, i co jeszcze, przekonała się iż ona jest gdzieś blisko, a kto wie czy nie Polką? Pęczek nieśmiertelek tego roku, około Warszawy rwany być musiał na parę dni przed wyjazdem Cześniów z Modrógory, bo ona wtedy nad obrazem Matki Boskiej wieniec z takichże kwiatów zawiesiła, i nie więć od tych się zeschy. Koperta stępla zagranicznego nie miała, a nazwisko Leona i dóbr jego zbyt dobrze na cudzoziemkę napisane było. Kiedy tak gubiła się w domysłach, a każdy przenikał ją nową boleścią, mocne stukanie do pierwszych drzwi słyść się dało. Karolina przypomniała sobie wtedy, że je zamknęła na klucz; pobiegła i zastała Jacentego. Gdęrał stary, że „dawno już stuka, a Jaśnie Pani nie przychodzi rozkazywać ludziskom, których nie mało komisarz zebrał, a nie wiedzą co robić.“

Karolina jakby z innego świata zrzucona, patrzyła na Jacentego, nie widząc go; słuchała, nie rozumiejąc co on mówi; lecz po krótkiej chwili otrząsnąwszy się z boleści swojej, z ową mocą duszy jaką daje rezygnacya i konieczność, poszła za nim, i zajęła się szczerze tēm co było do roboty. Do pokojów Leona wróciła jak mogła najprędzej, ale już z Jacentym i Wroczyńską; zapakowała własną ręką, rysunek, gracik, książkę każdą, nauczyła się na pamięć układu całego apartamentu, żeby tak samo urządzić wszystko mężowi w Warszawie: ową kopertę spaliła.

Wątpię, żeby pamiętał że ją zostawił — pomyślała — i tym sposobem będzie mógł sądzić, że tu nic nie znalazła. Bo wreszcie, te wiersze, te kwiatki, to imię nawet, może nic nie znaczą? kto wie i owa koperta, czy nie od Szam-

belanowój? pismo podobne do jój ręki. Nauczyłam się posądzać, to nie dobrze.

A cokolwiek uspokojona, jeszcze chętniej i przytomniej wzięła się do pracy; na osobne sanie sprzęty z pokojów męża ułożyć kazała, rozstawić konie do nich, i przed wieczorem wyprawiła z niemi swego kamerdynera Marendowskiego.

Przed nocą zaś ukończywszy wszystko, o siódmój rano już była w drodze do Warszawy; wieczерę po tylu trudach i zmartwieniach jadła u rodziców, którzy oboje radości swojej utaić nie mogli, że i pani Wojewodzicowój przydała się skrętność nabyta w szlacheckim domku.

— Już ja mam to głębokie przekonanie—mówiła Cześnikowa—że i królowa francuzka, a jak dziś cesarzowa, w niektórych ważnych zdarzeniach sama dopatrzeć musi swoich interesów, nie spuszczać się na nikogo.

— A jak nie dopatrzy okiem, to dołoży workiem—dodał Cześnik, i chciał przy tój sposobności dać nauczkę co do rządu i zganić nierozsądne wydatki pana Wojewody; lecz żona spojrzała na niego i na córkę tak wymownie, iż na ten raz umilkł.

Wnet tóż po wieczery udali się wszyscy na spoczynek, bo dzień następujący, wigilia, wymagał wiele zachodów i rannego wstania.

Wypocząwszy zupełnie ciało, ale serce mając jeszcze bardzo zbolące, Karolina pojechała raniuteńko do pałacu na Krakowskie Przedmieście, naradzać się wraz z Wojewodą, gdzie jakie meble postawić wypadnie, żeby służącym podwójnej nie zadawać pracy. A tém bardziej spieszyć się wypadało, że jak wiadomo, w dniu takim jak wigilia, każdy więcej ma roboty niż kiedykolwiek, a wydażyć z nią musi póki słońce na niebie, żeby z gwiazdką zasiąść do stołu, i już do nocy weselić się ze swojemi.

Cześnikowstwo według zwyczaju zaprosili krewnych i bliższych przyjaciół do siebie, na tyle uroczystą w każdym staropolskim domu ucztę. Księdza Onufrego je dnak brakowało; wyjechał był właśnie przed tygodniem za sprawami klasztoru na całe trzy miesiące. Pocziwa Cześnikowa, która wszystkich sercem swoim ogarnąć była rada, dalej jeszcze gościnność zwykłą posunęła. Wiedząc, że w pałacu zięcia nie urządzono niema, wezwała cały dwór Karoliny na wieczerzę a nawet wszystkich Modrogórskich ludzi, którzy z rzeczami przyjadą.

— Niebożęta—mówiła—kiedy już z żonami i z dziećmi kolendować nie będą, niechże przynajmniej podjedzą sobie porządnie, w cieple i bez wydatku.

A nie mogąc utaić ile jój w dniu takowym brakować będzie zięcia u stołu, szepnęła do Wojewody, tak że córka dosłyszeć nie mogła:

— O! gdyby to nasz pan Leon zjechał na jutro!

— Nie mam téj nadziei—odpowiedział ojciec—według mojej rachuby nie może tu być jak najprędzej w drugie święto.

I Karolina sama na ten dzień dopiero spodziewała się Leona; nie małym było i dla niój zmartwieniem pomyśleć sobie, że pierwszej wigilii po ślubie jeść z mężem nie będzie, opłatkami się nie podzieli; ale odsuwając te myśli ile możności, oddała się obecnej robocie. I tu najpierw jej i najwięcej ją zajęły pokoje Leona. Udało jej się rozłożyć je bardzo podobnie do Modrogórskich; gabinet zwłaszcza był na samym końcu, o jednych drzwiach, z kominkiem i z oknem na ogród. Jeszcze przed świtem przyjechał sprawny Marendowski z wozami; przy gładkiej sannie i dozozie nic się nie popsuło. Karolina zabrała się skwapliwie do ustawienia mebli; lubo w drobnój i potocznej rzeczy, przejęła się ową rozkoszą dusz pięknych: chęcią wypłacenia dobrem za złe. Pragnąc zasłużyć na męża pochwałę a przy-

najmniej w jego myśl trafić, sama dokładała ręki do wszystkiego. Z dziecinną prawie radością cieszyła się, kiedy któremu sprzętowi odpowiednie i takie samo jak w Modrogórze znalazła miejsce; wtedy postawiwszy go, przybliżała się, odsuwała, przyglądając się z upodobaniem, jak malarz kiedy upatruje i widzi podobieństwo i wydatność swego obrazu.

Już wybiła dwunasta; gabinet Leona był prawie urządzony, chociaż napozór zdawał się jeszcze w nieładzie; brakowało mu bowiem ostatecznego porządku, owego wykończenia, które pokojowi najlepiej uprzątnionemu udziela w jednej minucie gust i ręka wprawna; właśnie Marendowski wbijał ostatni ćwieczek w ścianę, a Karolina stojąc obok biurka podawała mu jeden z owych rysunków do zawieszenia, kiedy usłyszeli głośnie mowę i stąpanie prędkie.

— To pan! — zawołał kamerdyner; i w tym momencie drzwi się otworzyły: wszedł Wojewoda radosny, a za nim Leon.

— Otóż i zbieg nasz—powiedział ojciec—dwoma dniami prędzej przyjechał, niżlim się spodziewałem. Już też teraz ptaszka nie wypuścimy. Patrz, jaką masz nicoszacowaną żonę; sama urządziła ci wszystko. Dziękujże, ucałuj te piękne rączki co się tyle fatygują.

Leon, który dotąd stał nieporuszony, tylko patrzył w około i na twarzy którego malowało się najwyższe nieukontentowanie, zbliżył się wtedy niechętnie do Karoliny, jak student co z musu dyrektora słucha, i pocałował ją w rękę; lecz w tymże czasie poznawszy rysunek jaki jeszcze trzymała, odebrał go z żywością, i wymówił słów kilka cicho, z których ona: „niedelikatność, złamanie obietnicy, chęć szpiegowania“ usłyszała. Padły jak kamień te słowa na znękaną jej duszę; pamiętna jednak na niewinność i na godność swoją, na obecność teścia i służącego, stłumiła w sobie boleść i urazę, a skłoniwszy z lekka głowę, odeszła zwolna w milczeniu. Już wychodząc spojrziała na zachmurzonego męża z wyrazem świętej i wyższej uległości,

i gdyby był śmiał spojrzeć jęj w oczy, wejrzenie to anielskie, a jeżeli wolno się tak wyrazić— Chrystusowe — byłoby mu gorzej zaciężyło na duszy.

Jaka potém rozmowa zaszła między synem a ojcem zgadnąć nie trudno. Wojewoda łąał żywo i ostro; Leon go rozbroił wyznając z nadzwyczajnym ogniem wszystko co miał na sercu i w myśli, wszystko prócz zamiaru rozvodu: i przyjazd Julii do Warszawy, i przysięgę w dzień ślubu, i list do Karoliny, i odpis jęj, i korespondencyą ciągłą z kochanką, i dwanaście dni spędzonych z nią w domku samotnym w Młocinach, i przysłanie Wasyla do zamczyska, i sześć tygodni rozkoszy tajemnych w dworcu pod Kownem, tak okrutnie przerwanych naglęm zjawieniem się Baptysta.

— Ten człowiek zbrzydł mi w tęg nieszczęsnej drodze—powiedział Leon w końcu—naglił mnie, popędzał jak bydlę jakie, bez względu nawet na moje zdrowie. Słowo honoru, myślałem czasem, że to zły duch chyba, któremu bez mojęj wiedzy, ktoś mię z duszą i z ciałem zaprzedał; nie dał mi ani pożegnać się z Julią, ani wczasu i wygody w drodze użyć, litery napisać; słowo honoru, taka mię pasya brała na niego, na siebie, na wszystkich, że gdybym miał pistolety pod ręką, byłbym naprzód jemu, potém sobie w łeb strzelił. Przyjeżdżam tu zły, przeziębły, chory, zmęczony, i zastaję w moim gabinecie... szpiega. I jeszcze całować mi każą rękę co mię tak srodze obraża, pod pozorem względów i troskliwości. O! wszystko co Julia mówi świętą jest prawdą: kłękać przed rozumem tęg kobiety! ona ją dobrze zowie obłudnicą, prawnikiem w spódnicy.. Był czas kiedym myślał o nięj, że to sobie niewiniątko, dobre a głupie; teraz znam ją lepiej: niecierpię... i słowo honoru, nie wytrzymam... tu jedno z nas ustąpić musi..

Wojewoda słuchał z zadziwieniem i bardzo pilnie zważęj i obfitęj nadzwyczaj mowy Leona, i dotąd nie przerywał jęj ani słówkiem. Wiedział on dobrze, że nie prędko

mu się zdarzy druga taka sposobność poznania do dna serca synowskiego. Leon był dosyć skryty, zwłaszcza z ojcem i bardzo rzadkie miał chwile zapału i otwartości, w których uczucia jego wrząc silnie, wylewały się. Wojewoda słuchał tedy pilnie i chwycił wyraz i szczegół każdy. Dawny seduktor, dzisiejszy inwalid Cytery, nie bez uśmiechu zadowolenia i westchnień zazdrosnych, dowiadywał się o miłosnych awanturach syna; zmarszczył trochę czoło, i uczuł występujący rumieniec wstydu na porównanie Baptysta ze złym duchem, ale nie nie mówił. Lecz gdy przyszło do obelg na Karolinę — którą on mimowolnie szanować zaczynał, a w której, w téj chwili z samego opowiadania Leona nowe wykrywał przymioty — już wytrzymać nie mógł, i z żywością wziął jęj obronę.

Przedstawił kolejno jaki to anioł w ludzkiem ciele, jaka delikatna, dyskretna, cierpliwa, pełna cnót niewieścich, jak skrzętna, pracowita, cicha; opowiadał jak nigdzie bywać nie chciała w czasie jego niebytności, jak na jego prośby jeździła sama do Modrogóry, pakowała, układała i t. d. Te wszystkie pochwały acz szczére i zasłużone, najmniejszego wrażenia nie robiły na Leonie; owszem padały na obojętne jego serce, jakby krople zimnej wody i studziły je lepiej jeszcze. Młodzieńcowi napojonemu romansami, rozkochanemu w takiej kobiecie jak Julia, co prawie zawsze w gwałtownym była stanie; żywości, imaginacyi, dowcipu, kokieteryi miała tyle; co wreszcie kochała go więcej zmysłami i głową niż sercem, i więcej jeszcze okazywała niż czuła: jakże poziomym i gminnym wydać się musiał prosty obraz niemych uczuć, skromnych cnót domowych! Słuchał więc Leon słów ojca z uszanowaniem, ale niemal z litością, a za pierwszą przerwą powiedział:

— Wierzę, ślepo wierzę; i na mój gust pokorna i gospodarna panna Dyblewiczówna miałaby do śmierci miejsce klucznicy w moim dworze. Ale jęj moje imię nosić, być

moją żoną, drugą mną, tak jak ja małżeństwo, to spojenie dusz rozumiem? o nie! nie! nigdy! to haniebną omyłką losu, jakiś koszmar co minąć musi! Ach! wielki Boże! czemuż się z nią nie ożenił jaki szlachcic kontuszowy, byłbym im zapewnił moją protekcją... Ale to obrzydłe złoto!...

Podobne żarciki ostro i szybko mówione, a zwłaszcza ostatni wykrzyknik, znowu obraziły do żywego Wojewodę.

— Panie Leonie!—zawołał już z gniewem—ubliżasz asan i mnie i sobie tak złęgo tonu konceptami. Niema już panny Dyblewiczówny, jest Wojewodzicowa, hrabina; niema spanoszonej drobniej szlachty i mieszczan: są rodzice mojej synowej. A owém obrzydłym złotem, panicz w rzeczy się nie brzydzi; przeszło go dosyć przez twoje ręce w ciągu tych kilku miesięcy, i bardzo proszę owięcej rządu.

Tu pan Wojewoda wsiadł znowu z góry na syna, prawd i morałów nie szczędził, i nareszcie otrzymał: że Leon dla miłości ojca, dla ludzkiej opinii będzie z Karoliną grzecznie i przyzwoicie, napozór przynajmniej, jak był w Modrogórze i na Podolu; Cześnikowstwu względów należnych nie odmówi, zaraz na wstępie powie im: że z umysłu dążył do nich na wigilię, będzie jadł i pił a chwalił przy tej uczcie co się zmieści; intrygę z Julią jak najstarszanniej ukryje, i dom tak poprowadzi, jak tego wymaga jego imię, znaczenie w świecie i ambicya Cześnika.

— O kilka miesięcy przymusu cię proszę—powiedział Wojewoda w końcu ściskając syna za rękę—a wszystko dawne daruję, na wiosnę zaś pomówimy: do tej pory wiele rzeczy zmienić się może.

Leon upatrując w tych ostatnich słowach wcale co innego jak to co ojciec chciał wyrazić, przystał na ten układ i oba rozeszli się w zgodzie.

A z biędną i tak znowu gorzko zawiedzioną i obrażoną Karoliną, cóż się działo? Smutny był stan jej a i tym razem nawet zapłakać nad nim nie było gdzie i kiedy.

W całym pałacu panował ruch i nieład; wszystkie drzwi stały otworem, zajeżdżały co chwila nowe sanie z rzeczami; jedni ludzie składali meble i paki w sieniach, drudzy wnosili je do pokoiów dźwigając ciężko, a każdy pytał się pani co i jak robić? każdy się spieszył, żeby coprędzej skończyć robotę.

Leon wyrzął raz ze swego apartamentu; postrzegła go Karolina, przebiegło jej przez głowę:

Może idzie przywitać się inaczéj? przeprosić?

Ale on zawołał tylko na Baptysta, a spojrzawszy na panujący nieład, ruszył ramionami i coprędzej wrócił do siebie.

Już trzeba mego nieszczęścia—pomyślała—żeby ktoś oczekiwany przez siedm tygodni, każdego dnia, każdéj minuty pragniony, wrócił właśnie w jedyny moment kiedy żądany nie był... Tak się cieszyłam że usunę przed nim te wszystkie nieprzyjemności, że powitanie złagodzi gorycz pożegnania... a tu wszystko na opak poszło... przynajmniej wigilią będziemy jeść razem... a nie dalej jak jutro musi nastąpić między nami wytłómaczenie; mój list zapewne go nie doszedł, napiszę drugi i oddam sama... tak żyć niepodobna!... to śmierci się równa!..

I układała sobie w myśli treść tego listu; ale nieustanne służących pytania, nadejście Wojewody, który pomagać jej przyszedł i po swojemu zręcznie usprawiedliwiał syna, nie dozwoliły jej dłużej rozmyślać. Wreszcie, nie modném, nie romansowém ale skuteczném lekarstwem we wszelkiém zmartwieniu, jest domowe, ręczne, gospodarskie zatrudnienie. Zapewne w lepszym jest tonie, w smutku nie robić; niejedna nawet z czytelniczek moich nazwie Karolinę szlachcianeczką, dobrą kobiéciną, lecz bynajmniej nie dystygowaną osobą; cóż jednak począc, kiedy i ja tak kobietę rozumiem, i ona taką była: nie dążyła do wydania się, tylko do użyteczności; nie popisywała się z czułością, owszem

rada była sama zapomnieć o strapieniu swoim i nie nudzić niem drugich. Znalazły się tedy i w tym dniu bolesnym a czynnym chwile, w których wydać się mogła spokojna. A kiedy o zmroku, ubrawszy się pięknie, pojechała do rodziców, których z umysłu nie uwiadomiła o przybyciu Leona, żeby większą radość mieli, ojciec nie zmiarkował nawet żadnego przybytku trosk w jej sercu, owszem, myślał że wraz z nim uszczęśliwiona jest niespodzianą a trafną atencją pana zięcia; matka zaś na ten raz zbyt wiele rzeczy miała na głowie, aby wpatrywać się w córkę ze zwykłą sobie troskliwością.

Jakoż, kto nie wie, co za rozliczne i trudne są zachody polskiej gospodyni, mianowicie dwa razy do roku: na święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia? Jeżeli w wielki tydzień ważną jest nader rzeczą udanie się ciast rozmaitych, utrafienie szynek i kielbas, ugotowanie w miarę jaj, dopieczenie baranka i prosięcia, i t. d. i t. d., nie mniejsze ma znaczenie na wigilią: wyrośnięcie strucli, zawiesistość polewek, dobór i przyprawa ryb, smak przyzwoity kapusty postnej i tysiączne inne szczegóły, o jakichby arkusze zapisać się dały, a z jakich na cały rok ciągnie się wróżba. Bo jako dwanaście dni ostatnich przed Bożem Narodzeniem są próbką pogody dwunastu miesięcy następujących, tak równie jest niezawodne: że taką będzie pomyślność roku całego, jaką się objawi wigilia.

Nasza Cześnikowa zawsze w tym dniu niezmiernie zajęta, bo wszystko w domu przez nią się działo, na niniejszą wigilią jeszcze miała więcej niż zwykle zatrudnienia; gdyż jak wiemy, dwa razy tyle wezwwała gości do izby kuchennej, ile ich było w pokojach. Nie mniej o nich troskliwa, lubo wiedziała iż więcej tam znaczyć będzie ilość niż jakość, wszystko urządziwszy suto i ucziwie, częstowanie zdała na świadomą tych rzeczy Laskowską. Sama tylko, skoro pierwsza gwiazda ukazała się na jasnym niebie,

podzieliwszy się najprzód z mężem, potem z gośćmi, z zięciem i z córką, białym i poświęcanym opłatkiem, mówiąc do każdego z uprzejmością przyjęte słowa: „*Dosiego roku,*“ zeszła na dół. Tam, z każdym stróżem, z każdą dziewczką łała także dar Boży; każdemu nalala kieliszek wódki, syjąc błogosławieństwo, które oni jej sownie oddawali. Zadosyć uczyniwszy temu staropolskiemu obyczajowi, który w prostocie swojej tyle mówi, wróciła co tchu na górę; raz jeszcze rzuciła okiem na przygotowania, ostateczne wydała rozkazy służbie, a potem otwierając podwoje jadalnej sali zaprosiła gości do wesołej uczy, podała rękę Wojewodzie, i weszli parami.

Stół był rzesisto oświecony światłem jarzącem, ale na pamiętkę Betleemskiej stajenki ubogo nakryty i zastawiony; w kącie stał snop pszenicy jeszcze nie wymłóconej, pod nogami w miejscu kobierca, leżała słoma grubo rozesłana, a z pod wazkiego obrusa wyglądało w około siano. Jabłka, orzechy, pierniki, wielka strucla i flaszka wódki gdańskiej, całą były zastawą. Obok miejsca przed którym stała flaszka zatrzymał się Cześnik. Właśnie kiedy ją wznosił w górę, skłócił, i napełniał złoconym płynem kieliszek, wykrzykując z radością: „*Dzieciątko Jezus nam się narodziło!*“ a goście sadowili się według swojej godności—Cześnikową naprzeciw męża stojącą, nagle ognie przeszły, a potem zbladła jak chusta. Toż samo uczucie jakby iskra elektryczna dotknęło opodal będącą Wroczyńską, która lubo zaproszona, czekała z uszanowaniem aż państwo zasiądzie—i ona także zaczerwieniła się i zbladła. Ale bo obie, rachując osoby oczyma dorachowały się razem liczby, jak mówią zawsze fatalnej, ale najfatalniejszej u stołu i w dniu uroczyste. Owym zaś nieszczęsnym trzynastym był Leon, który niespodzianie przyjechał, i dla którego nie położono nawet nakrycia. Tym razem Wroczyńska więcej okazała przytomności od samej Cześnikowej; prawda, że jej to łatwiej w jej położeniu

przyjść mogło; na końcu palców zbliżyła się do ucha starszej pani, szepnęła cichuteńko dwa słowa:

— Zjem z Laskowską—i wymknęła się z sali jak mara.

Cześnikowa ochłodziła i zaczęła mówić na wszystkie strony:

— Niechże państwo siadają: bardzo proszę!

A ta cała przygoda tak szybko się odbyła, że nikt prócz Karoliny jej nie dostrzegł; ile, że prócz zamieszania jakie bywa zwykle przed usadowieniem się u stołu, zajmował jeszcze uwagę krążący kieliszek z wódką. Cześnik podał go był Wojewodzie, Wojewoda podkomorzemu; podkomorzy spełnił haustem jednym w ręce chorążego, chorąży pił do stolnika, stolnik do podstolego, a podstoli do pana wojewodzica. Szanowne zaś małżonki trzech tych czciogodnych panów, pani podkomorzyna, chorążyna i stolnikowa, przejęte już miejskimi ceremoniami, mimo przykładu Cześnikowej, która na kuraż trochę wódeczki wypila, maczały tylko usta w wybornym trunku.

Ale niestety! owa wigilia około której szanowna gospodyni tyle się nachodziła i napracowała, owa wigilia, którą przyjaciółki chwaliły tak szczerze, nie skończyła się na ową jedną przygodzie, raczej urojoną niż rzetelną i tak gładko pokrytą; gorsza, istotna się gotowała: a szkoda, bo prawie do samego końca zdawało się, że nie było i nie będzie nigdy wigilii pomyślniejszej, a zatem i roku. Służba szła jak z płatka, a wszelkie jedzenie udało się doskonale. Między wyborań polewką migdałową a pachnącym barszczem wybór był tak trudny, że wiele osób jadło obie zupy jedna po drugiej; szczupaki potężne, jeden z szafranem, drugi po żydowski, trzeci lwowski do chrzanu, łupkie były i dosolone; tłustych karpia na szaro ze stawów Nieborowskich nikt odjeść się nie mógł; kapusta jedna z linem, druga z grzybkami lepiej smakowała niż innych dni z wędzonką; kutia, owa narodowa Korony i Litwy potrawa, co

w wielu miejscach inię całej ucztie dnia tego nadaje, doszła przewybornie; maku i miodu dodano w miarę, a owies otłuczony wyglądał jak ryż najlepszy; gruszki, jabłka, śliwki nie gotowane, ale uduszone w syropie, smak miały kijowskich konfitur; karasie w lukierskiej oliwie smażone, chrupiącą zieloną pietruszką potrząśnięte, rozpływały się w ustach. Cóż dopiero mówić o wytrawném węgierskiém winie, o starój maładze, które Cześnik hojnie nalewał, zachwalając słowem i czynem, i powtarzając znane przysłowie: *Post pisces, vinum misces*. Jeszcze przyjsé miały rozmaite rzeczy z pieca i z patelni, [pirogi ruskie, placki z makiem i z migdałami, krążki, racuszki. Cześnik ostawił się już opleśniałemi butelkami, kiedy Karolina spojrzawszy nie piérwszy raz na męża, który od początku wieczery wydawał jéj się cierpiący, spostrzegła na twarzy jego wyraz gwałtownego bólu i zawołała:

— Leonie! co ci jest?

Cześnikowa i wszyscy obecni zwrócili także na niego troskliwe oczy.

— To nic, to z drogi, to minie,—mówił przerywanie— od kilku dni pokaszluję i mam ból w boku; teraz po jedzeniu i po winie mocniejsza kolka. Aj!—krzyknął mimowolnie—na wylot mię przeszywał— i czoło marszczyło mu się od bólu a tchu niestawało.

W takich razach, kiedy tak oczywiście zapalenie płuc grozi, najlepiej nie zwlekać środków zaradczych. Cześnikowa pełna wiadomości w téj mierze, choć Bóg sam wiedział jaką boleścią dla niéj było, i na chwilę obecną i na rok cały przerwanie wigilii, namówiła zięcia żeby wstał od stołu i trochę się położył w sypialnym pokoju.

— Zziąłb w drodze—mówiła—teraz nagle się rozgrzał, ztąd opressya i boleść, ale to minie po chwili spoczynku.

Usłuchał Leon dosyć chętnie, gdyż widoczném było, e cierpił gwałtownie. Karolina wybiegła za nim, odprawił

ją ręką, dziękując i mówiąc półgłosem, że wnet wróci do stołu. Odeszła tedy, a Cześnikowa, która wiedziała że byłoby najbezpieczniej zatrzymać chorego u siebie, położyć go zaraz w łóżko, krew puścić, ale która się bała usłyszeć zimnej od zięcia odmowy, a co więcej przerazić bardzo córkę, kazała potajemnie założyć konie do karety, obiecując stangretowi wynagrodzić go sowicie, jeżeli nie dojadł. A gdy nareszcie skończyła się wigilia, poradziła żeby Leon pojechał do domu i położył się. Lubo zrazu sam jeden chciał jechać, gdy go mocniejsza jeszcze kolka napadła, nie opierał się już wcale, choć nietylko żona, ale i Wroczyńska wsiadła z nim do powozu. Poczciwa Cześnikowa żegnając się z niemi, powiedziała prawie wesoło:

-- W pałacu wszystko jeszcze w nieładzie, skoro się w domu uwolnię, przyjadę do was i będę leczyć pana zięcia po babsku.

Nie bawiąc zaś i chwili wyprawiła posłańca z listem do Gagadkiewicza, któremu ze wszystkich ówczasowych lekarzy najwięcej ufała, a zasadziwszy gości do kart, pojechała do córki opatrzona w to wszystko co choremu może być potrzebne.

Z jakimże serdeczném uczuciem przyjęła ją Karolina! z ziemskimi i bardzo niskimi atrybucyami wydała jęj się jak z nieba zesłana. Bo cóż to za ulga, samą, niedoświadczoną będąc, w srogięj niespokojności o zdrowie ukochanej osoby, w takiem dziwném przejściu z hucznej biesiady do ciemnego i pustego domu, ujrzeć matkę. Leon przez czas przejazdu z Długiej ulicy na Krakowskie-Przedmieście, cierpiał jeszcze gwałtowniej; dreszcz mocny porwał go z bólu i ledwie zdołał wysiąść z powozu. Karolina zapomniawszy zupełnie o rannęj przygodzie, nawet o trwodze swojej obecnej, myślała jedynie jakby mu ulżyć i pomódz. Usadowiła go tymczasem w gabinecie, gdzie było najciepliej, najciszej; potem zabrała się wraz z Wroczyńską do urządzenia jak

najprędzej łóżka. I do tego nie jednej rzeczy brakowało; a prócz pocziwego Marendowskiego, który nie gorsząc się wsiadł był za karete, nikogo do posyłania nie było. Cześnikowa ze wszystkiém przybyła i wszystko się ułatwiło. Wnet téż i Gagadkiewicz przyjechał; sam natychmiast krew puścił, różne leki przepisywał; a chociaż zapowiedział że choroeba kilka dni potrwa, ręczył za ozdrowienie, jeżeli chory poleży spokojnie w jednostajnym cieple, a zamiast jeść ciężkie potrawy i pić stare wino, miksturką i kleikiem żyć będzie.

Łatwo zgadnąć jak każde słowo biegłego lekarza brała na uwagę Karolina; jak nie dała odjechać spieszącą się do domu matce, dopóki się od niéj nie nauczyła, jak na każdy wypadek postąpić należy. Nie chcąc narażać się mężowi częstém pokazywaniem się, ile że lekarz uznawszy gwałtowną gorączkę, jaknajwiększą spokojność przykazał, usadowiła się na resztę wieczoru i na całą noc w saloniku; drzwi otwarte od sypialnego pokoju osłoniła parawanem, a tak nie będąc od męża widzianą, słyszała go zawsze i widziała czasami. Szczęściem dla niéj, pan Baptysta strudzony spieszną drogą i srogiém zimnem, najadłszy się dobrze u Cześnikowstwa, a napiwszy jeszcze lepiej, lubo kłął strasznie że mięsa nie było, nie pytając się o nic i nie czekając nocy, położył się w swojej izdebce. Tam zasnął tak głęboko, iż gdy mu powiedziano że pan hrabia bardzo chory i potrzebuje go, otworzył pół oka, sypnął milionem szatanów, a dławet nie przewróciwszy się na drugi bok, chrapanął na głos. Marendowski przeto zastąpił go i téj nocy i dni następnych przy Leonie z wielką pociechą Karoliny. Przez niego dawała mężowi przepisane lekarstwa i napoje, a Leon z początku niezupełnie przytomny, potém osłabiony i zły, zażywał i pił wszystko nie pytając ani o Baptysta ani o nikogo.

Z przeproszeniem panów mężczyzn (jeżeli któremu ta

powieść czysto kobięca dostanie się w rękę) powiem tu, iż przynajmniej im z serca i z przekonania wyższość wszelką, w sztuce chorowania (przecież nie bez wyjątków) mam ich za niższych od nas. Często słabość, któraby dla kobiety była prawie niczem, ich z nóg a raczej z rezonu zbija zupełnie, i najlepszych w dziwaków zmienia. Skoro słabi, już wcale zając się nie umieją; odwiedzin nie lubią, rzadko kto jest im miły, i zdaje się, żeby im najlepiej dogodziła jakaś machinka, coby im usłużyła zręcznie i prędko, pić dała a nie gadała. Niespokojni o siebie i nie umiejący ukryć cierpienia, nie lubią żeby im kto niespokojność okazywał, i często troskliwe wypytywanie się, milczeniem albo cierpkiem słowem płacą. Kobięty niemal w ogólności kryją póki mogą swoje dolegliwości, i nie przerywają z ich przyczyny zatrudnień domowych, nawet zabaw, póki sił stają; odwiedzających lubią, i prędzej się użalą na brak niż na zbytek troskliwości. Wyższą wolą przeznaczone do cierpienia, znoszą długie i dotkliwe, prawie bez zmiany umysłu; i dlatego każda z nas woli chorować sama, niż patrzeć na chorobę drogięj osoby.

Czegóżby nie była dała Karolina, zwłaszcza w pierwszych dniach mocnej a nawet niebezpiecznej choroby Leona, gdyby ją była mogła wziąć na siebie. Jakże każdy krok jego, każde stęknienie przeszywało ją wskroś; jak tłoczył jęj piersi ciężki i krótki oddech jego! Leon zaś narzekał, niecierpliwił się, nudził, ledwie na konieczne zapytania odpowiadał, i wyraźnie zalecił Marendowskiemu, żeby nikogo do jego pokoju nie wpuszczał.

— Nikomu zawadzać nie chcę — powtarzał — niczego nie potrzebuję.

Przecież wszelakie usługi przyjmował we dnie i w nocy, i rad był w duszy, że się wszystko odbywa cicho, prędko i jakby czarami. Bo też w drugim pokoju była wróżka,

a raczej anioł, który to wszystko sprawiał; była nieodstępna Karolina, używająca tylko chwilowego spoczynku na wyraźny rozkaz matki, a za to wszystko nie domagała się żadnej wdzięczności. Całą jej nagrodą było, kiedy Leon nie odrzucił napoju jaki mu zaprawiła, kiedy zjadł trochę dopilnowanego przez nią przysmaczku, a nadewszystko kiedy usłyszała z ust jego to pożądane słowo: „Lepiej mi.“ Wszystkie żale nikły wtedy, i zdawało jej się, że jest najszczęśliwszą z kobiet; lubo i tych pociech jakby tylko ukradkiem i zaocznie używała. Jednak kilka razy na dzień pozwalała sobie widywać męża otwarcie, a to w czasie odwiedzin lekarza i rodziców, albo w obecności Wojewody, który przypisując sobie i słusznie chorobę syna, często przychodził dowiadywać się o niego! Przeczula więc więcej niż osądziła, że powinna była tak postępować w interesie samego nawet Leona. Jakoż tak przyzwotém obejściem, sama nie wiedząc o tém, zbiła wszystkie wnioski jakie łaskawi znajomi cheieli już ciągnąć z długiej niebytności pana młodego; i rozeszła się w wielkim świecie Warszawy, podobnie jak na Podolu, z niemałym żalem Szambelanowej, sława dobranego i przykładnego stadła, sława tém więcej podziwienia godna, że się to działo w pół roku, a nie „w tydzień po weselu,“ jak w bajce Krasickiego.

Przecież to postępowanie naturalne i szlachetne Leon mylnie wytlómaczył. Nie pytając się o nic i nic nie mówiąc, wiedział jednak dobrze, jak żona czuwała nad nim przez dziewięć dni i nocy; ale sam osądził, i w ciągu choroby, i wróciwszy do zdrowia, że ona to wszystko dla oka ludzkiego robi, z zimnej i wyrachowanej cnoty. Do tego sądu dopomogły wiele zręczne podżegania Julii, które mu jeszcze nie wyszły z pamięci, dopomogła i następująca okoliczność.

Właśnie w drodze zaczął był czytać pożyczony mu przez Julię głośny wówczas pierwszy romans pani Staël, gdzie w osobie czarującej Delfiny uniesienie jest uwielbiane,

a powinność pod imieniem zimnej Matyldy zupełnie poniżona. Zawsze skłonny do przejęcia zdań osób z jakimi przestawał, książek jakie czytał, témbardziej przystał do wybujałych zasad objawionych w Delfinie, bo sam czytając ją, był w gorączce, bo choroba jego jeszcze w podróży się zaczęła i już w nienaturalnym stanie przyjechał. Ciężkie zapadnięcie przerwało mu czytanie w chwili najwięcej zajmującej i zupełnie stosownej do jego położenia. Ktokolwiek zaś miał kiedybądź mocną gorączkę, wie dobrze co się dzieć zwykło wtedy z najspokojniejszym umysłem: wszystko się miesza w głowie, kołuje; dziwactwo i zmyślenie zamienia się w prawdę, osoby urojone w żyjące. Skojarzył tedy Leon romans z życiem własnym; przeistoczył się sam bez najmniejszego skrupułu w pięknego Leonsa, Julię i zachwycającą Delfinę zjednoczył, a w Karolinie ujrzał szacowną ale nieznośną Matyldę. Skończyła się choroba i gorączkowe bujanie myśli, a te wyobrażenia zostały; wzmagaly je pochwały dawane powszechnie jego żonie, jakie dochodziły go, lubo jeszcze z domu nie wyjeżdżał: wzmagaly je nierównie więcej listy Julii, która dobrze wiedziała co robi, kiedy mu pożyczyła ów romans, a z którą korespondencya szła teraz regularniej i bezpieczniej niż kiedybądź, bo pod kopertą pana Baptysta i panny Lizety. Dawszy jednak słowo ojcu, i od niego napominany i prowadzony, żyjąc nadzieją wiosny i odmiany, wróciwszy do zdrowia, wrócił także i do owego pozornie zgodnego pożycia z żoną, co to w nie jednem małżeństwie wystarcza światu, lubo nie wystarcza sercu.

Takowem postępowaniem Leon odjął Karolinie potrzebę a raczej sposobność żądania owego wytłómaczenia, które zaraz po jego przyjeździe sądziła być koniecznym. Teraz, kiedy rzeczy wróciły do dawnego trybu, jakże go żądać ni ztąd ni zowąd? lepiej już było żyć z dnia na dzień, czekając jakiegoś pomyślnego trafu. I jakże często podobnie

między ludźmi się dzieje, i w stosunkach naszych z najbliższymi osobami, i co do zdrowia i co do majątku! Byle rzeczy szły jako tako, idzie się dalej, nic nie gruntując. Przecież najczęściej owo ślizganie się po życiu na złe wychodzi, ile że podobny stan trwać ciągle nie może; musi koniecznie później czy prędzej przyjść chwila stanowcza, zwykle tém boleśniejsza, im dłużej zwlekana!

Ależ Karolinie, która tak mało знаła sztukę życia, a wchodząc w świat jakby w las, drogi najlepszej odrazu upatrzeć nie mogła, Karolinie związanej słowem daném Leonowi, mniej niż komubądź dziwić się należy, iż nie zdobyła się wówczas na krok tyle trudny, a odkładając go także do wiosny, do powrotu na wieś, zimę postanowiła jak jeszcze przeżyć. Zaczął się téż czas głośnych zabaw, szalonych uciech, czas zapust, kiedy stroje, tańce, biesiady samowładnie panują; kiedy eleganci i elegantki nic nie robią, a przecież na nic nie mają czasu; a każdy i każda o tyle w domu siedzi, o ile tego trzeba żeby odpocząć, ustroić się, nowe zabawy i stroje obmyślić. Karolina pierwszy raz w życiu miała należeć do téj świetnej pańszczyzny, i wcale się tém nie martwiła. Od dnia jak mąż zdrowieć zaczął, jak do dawnéj grzeczności względem niéj powrócił, świat znowu jéj się uśmiechnął. Kilku ze złotéj młodzieży, którzy uczęszczali codzien do ich domu, skoro Leon zaczął się mieć lepiej, zachęcali ją téż nie pomału do rychłego ukazania się w świecie; rodzice pragnęli tego niezmiernie, a Cześnik pod pozorem urodzin córki, które 2 Stycznia przypadały, sypnął nawet suto na stroje. Wreszcie, poco owijać w bawełnę, jéj saméj chciało się poznać lepiej i użyć cokolwiek świata, zwłaszcza po tylu tygodniach smutku i trwogi; tego roku nawet świąt nie użyła, nowego roku nie winszowała nikomu, urodzin swoich nie obchodziła, migdała nie ciągnęła; litowała się więc sama nad sobą, a kiedy kasztelaniec przegrywał na piko-

linie modne walce i mazurki, nogi same drgały jój do skoków. Jeżeli kto zna dziewiętnasto-letnią kobietę ładną, majątną, żadaną w towarzystwie, nie przesyconą niczém, któraby lubo niezupełnie szczęśliwa stroniła od zabaw i ludzi, a tańcząc ślicznie, nie lubiła tańca, niech mi ją z łaski swojej pokaże. Nie uwierzę aż zobaczę. Tymczasem proszę pań zbyt wykwintnych, ażeby mojej Karolinie za złe nie miały téj niewinnój ochoty.

ROZDZIAŁ X.

Z i m a w W a r s z a w i e.

Próżną byłoby, a co więcej niekoniecznie miłą robotą, silić się na dokładny opis wielkiego świata Warszawy, w porze, kiedy Karolina, gwiazda od tak dawna obiecywana ukazała się nareszcie na owym jasnym horyzoncie. Była to epoka, którą Warszawa, w innych czasach tyle zasłużona, tak dalece chlubić się nie może: nadto się bawiła i zbyt-kowała. Mówią starsi, iż był to sposób odurzenia się, zapomnienia o tém co zaszło, łatwiejszego doczekania tego co stać się mogło; przecież nam dziś, na ową porę patrzącym, nam przejętym szacunkiem dla dzisiejszój młodzieży, która niemal w ogóle zupełnie inaczej postępuje, robi ona bardzo przykre wrażenie. Jakoś się zdaje, iż prawie wszyscy co wówczas byli młodzi, bogaci, co błyszczeli i szumieli, nic innego nie mieli na myśli jak zabawy i miłostki, a z poważniejszych spraw: cenę pszenicy w Gdańsku, summy banku rządowego, a dla tonu i popisu, podróż do Paryża. Czasem, jak słońce w adwencie, zajrzała zapewne i do ich duszy myśl piękna, zazdrość i żądza szlachetna; ale wnet wybijała wszystko z głowy, herbata tańczująca pod Blachą,

szlichtada do Willanowa, r duta, kassyno u Ledout, teatr francuzki, pi kna kawiarka na Szulcu, lub inna tym podobnie wa na okoliczno c.

Kiedy tak si  dzia o z m dziez  m zk  dobrego tonu, o damach nie lepszego powiedziec si  nie da. Kilka dojrzałych niewiast zasługiwa o na pochwa e, i r wnie jak na wielkim  wiecie znalaz e dojrzałych i s dziwych m czyzn, kt rzy wspomnieniem i nadziej  żyli, tak i nie jedn  wymieni by mo na polsk  matron , co dalej patrzyła ni  na to co j  otacza o; ale o m dziej elegancie warszawskiej podobnie mysl cej, nie zdarzy o mi si  slyszec.

Łatwo pojac, ze Karolina inaczej wychowana, nale aca do owego  redniego stanu, kt ry jest podstaw  ka dego narodu, miala wyobrazenie i zamiłowanie przymiot w i zamysl w o jakich tu m wić chcemy; lecz wchodzac sama w wielki  wiat, i sama siebie nie pewna, od apostołowania zacz c nie mogła: wreszcie j j sam j brakowa o wiele, i nie była to wcale osoba dokończona i doskonała, bo takich ni ma w dziewiętnastu leciech. Znajdowała si  za  w najtrudniejszej mo e epoce życia kobiety, w epoce moralnej przemiany: niewinno c duszy,  lepe posłusze stwo słowom drugich traciła, a jeszcze nie miala czasu i sposobno ci zamienić je w cnot  i w doświadczenie. Pełna zbawiennych zdań i szlachetnych ch ci, skarbu tego nie posiadała na własno c: był w ni j jakby po yczany i m gł jeszcze si  wyśliznac.

Zacz ła si  przeto dla ni j daleko niebezpieczniejsza przeprawa i pr ba jak w owych dwudziestu dniach na wsi, t m bardziej, ze według przepowiedze  Kasztelanowej, zrobiła odrazu „efekt niepojęty“ i otrzymała „nieslychane sukcesy.“

Wszystko coby my teraz powiedzieli o t m co si  wtedy w ni j i z ni  dzia o, byłoby niewczesne i bardzo niedostateczne, zwłascza nie maj c żadnej ochoty opisywania obszernie miejsca sceny, nie mog c nawet wydać go

dokładnie własnymi słowy. Bo prócz innych trudności, które każdy odgadnie, zachodzi i ta: iż chciawszy być dziś wiernym malarzem ówczesnego wielkiego świata Warszawy, należałoby pożegnać się z polszczyzną, i prawie ciągle Francuzów, francuzkie dzieła, obyczaje, koncepta i rozmowy powtarzać. I kto wie czy nie w téj przyczynie jest źródło tego co wiele wykwintnych osób z przyciskiem powtarza: że „polscy pisarze nie mają wyobrażenia salonów i dobrego tonu; że ich opisy towarzyskie są przedpokojowe, i dla tego wolą czytać obcych autorów.“

Jakże chcecie, moi panowie i panie, żeby kto malował wiernie to czego niema; mówicie zawsze po francuzku w salonach waszych, we wszelkich stosunkach serdecznych: jakże się poznać macie w polskiej powieści? Polska rozmowa zawsze trącić musi dla was karczmą i przedpokojem, bo tam ją tylko słyszycie. Możecie być patriotami w sercu, wierzymy wam kiedy tak mówicie, ile że nawet nieraz dajecie tego dowody; ale wybaczcie, zupełnymi Polakami nazwać was niepodobna, i nasi statystycy klasyfikując na języki ludność Polski, popełniają błąd wielki nie kładąc po Niemcach, Rusinach i Żydach *Francuzów z Mokolowa* *), boć takich, co w Polsce urodzeni i polskim wykarmieni chlebem, od kolebki do grobu mówią, czytają i piszą jedynie po francuzku, takich mówię, żadnym sposobem do kategorii języka polskiego zapisać się nie godzi, a Francuzami z Francyi nazywać ich także nie można.

Ale wracając do Karoliny, lepiej podobno będzie a przynajmniej dla mnie dogodniej, kiedy zamiast iść za nią krok w krok jak dotąd, dopiero po kilku miesiącach zimy w Warszawie, zajrzemy jęj znowu w serce, a teraz przebiegniemy książeczkę jęj ręką zapisaną, właśnie w tym przeciagu czasu.

*) Tak nazywał Polaków, co lepiej po francuzku niż po polsku umieli, książę generał Czartoryski.

Atoli udzielenie téj książeczki wypada krótkiém objaśnieniem poprzedzić.

Była wtedy między młodemi kobietami wykwiłtnie edukowanemi, moda pisania dzienników; każda, panna czy mężatka musiała mieć swój *journal*, ale wszystkie oczywiście pisały po francuzku, i nie o wypadkach krajowych, o osobach w dziełach znakomitych; tylko o wrażeniach i uczuciach własnych nikogo obchodzić nie mogących, nawet tę co je nakreśliła, kiedy jój w parę tygodni później tę ramiętę odczytać przyszło. Karolina takiego dziennika pisać nie mogła, tajemnicy Leona, tego co w jój sercu się działo, powierzać papierowi nie było w jój oczach rzeczą godziwą; przedsięwzięła zatem pisać notatki czyli wspomnienia, to jest zapisywać dla siebie samój, ile możności codzien, co robi, gdzie była, co nowego widziała lub słyszała, kogo poznała znakomitego. Tę pracę, do którój myśl pierwszą dała jój pani *Genlis* w swoich *Souvenirs de Félice* zadała sobie prawie najwięcej dla matki, a to żeby w odwiedzinach swoich u niój, nie zapomnieć o niczem, czego jój udzielić chciała, i umieć jój wszystko opowiedzieć porządnie i dokładnie jak Cześnikowa lubiła i jak opowiadała sama. A rzecz jest wiadoma, że to co z głowy napiszemy, lepiej nam zostaje w umyśle, od tego nawet czego się nauczymy na pamięć, bo do pisania czegoś, koniecznie myśleć potrzeba, a pamięć; gotowa machinalnie przyjąć słowa i równie machinalnie je wypuścić.

Lecz może tu niejedna z czytelniczek, nie uważając na te nie nowe uwagi nad pamięcią, pomyśli sobie: zkąd Karolinie przyszło do pisania notatek, a co więcej do naśladowania pani *Genlis*? Ale bo nie odkryłam dotąd jednéj okoliczności, która może w jednych oczach podniesie moje heroine, w drugich ujmie jój wartości, a o którój wspomnieć wypada.

Od czasu powrotu z Podola, Karolina zrobiła drugi

krok w świat, powtórnie się naraziła na zgorszenie, na dziwne, nowe i niezgodne z jej dawnymi wyobrażeniami zdania; słowem weszła w niebezpieczniejsze może niż z ludźmi przestawanie: wdała się w czytanie lekkich książek, a mianowicie romansów.

Nie tajno nikomu, niestety! jak się to działo w owych czasach u nas w eleganckim świecie, a ktoby przypadkiem nie wiedział, niech i dziś wejrzy w niektóre domy, a dowie się. Ledwie wyjdzie byle jaka nowość literacka francuzka, już o niej wiedzą, już ją mają i wyrwywają sobie; już o niej jedynie na wieczorach mowa, a ktoby jej nie znał, nie czytał, za prostaka uchodzi. Dzieło polskie równie dobre a często i lepsze, nigdy podobnego rozgłosu się nie doczeka; żaden wstyd nie wiedzieć w Warszawie, co wychodzi w Wilnie, w Krakowie, w Poznaniu, we Lwowie, nie znać nazwiska polskich żyjących pisarzy, nie trzymać krajowych naukowych dzienników: ale niemieć ostatniego romansu francuzkiego, ostatniej *Revue*, nie wiedzieć jacy autorowie mają wziętość w świecie paryzkim, to zgroza! Wojewoda zapalony wielbiciel literatury francuzkiej, który sam, jak przyznać należy ludziom Stanisławowskim umiał po polsku, lecz w którego przekonaniu godziło się tylko mówić ojczystym językiem o interesach i do służących; Wojewoda mówię, pragnął oddawna w duszy, żeby Karolina pozbyła się swojej polskości, a nabyła więcej obcego poloru. Umiała ona wprawdzie dobrze po francuzku, ale za dobrze, bo z regułą, po staroświecku; wymawiała: *parole* nie *paole*, *Madame* nie *Maame*, jakby na przykład dziś, kto mówił *pas encore* zamiast *pa encore*, *pas d'idée*, zamiast *pa idée*; nie znała wcale modnej literatury francuzkiej, a co gorsza wyjeżdżała z odwieczną polską. W Modrogórze już jej to kilka razy się trafiło.

Jednego niedzielnego poranku, między innemi, wyliczano sławnych mówców kościelnych; kiedy wychwalano Ma-

sylicja i Bosueta, ona się wyrwała ze Skargą i z Birko-wskim, przywodząc ze daleko dawniejsi a równie piękni. Wszystkie obecne damy i młodzi mężczyźni, wielkie oczy na nią otworzyli i większe niż gdyby o jakim perskim Sa-dym, albo o chińskim Fo-hi wspomniała. Drugi raz znowu, bo gry rozumne były wtedy w modzie, zabrano się do *jeu des questions* (po naszymu sekretarz albo karteczki); Karolinie ktoś powiedział: „Napisz cztery zapytania“ i ona w prostocie swojej napisała po polsku. Kiedy przyszło do gło-snego odczytania wszystkich, znalazło się, że te cztery je-dyne zapytania były w krajowym języku a i na te cztery dano odpowiedź po francuzku. Innego dnia kazano Karolinie raz wiersze jakie powiedzieć, a drugi raz zaśpiewać przy klawikordzie; ona bez żadnego drożenia się i namysłu wy-powiedziała siedm strof pięknej Sobótki Jana Kochano-wskiego:

Wsi spokojna, wsi wesola,
Który głos twój chwale zdoła i t. d.

a siadłszy do klawikordu zaśpiewała ochoczo parę zwrotek krakowskich. Spojrzały się znowu dziwnie damy po sobie. Niejedna z nich nie wiedziała co Sobótką, i co Jan Ko-chanowski? i myślała że krakowiaka tylko w karczmie śpie-wać się godzi. Wojewoda zaś za każdym razem mocno się zawstydził. Nie dla tego, żeby to bardzo źle i niezgrabnie się wydawało, owszem te wiersze, ten śpiew miały coś wdzięcznego, coś zgodnego z urodą, z układem Karoliny; lecz bał się czy modne damy nie nazwą gminnymi takich obyczajów, czy jego synowej parafianką nie ogłoszą. Prze-cież nieśmiał jój wprost w tém przestrzegać, i mówił sobie: „Pozbędzie się téj śmieszności między naszymi paniami, a zwłaszcza pod *Blachą*.“ Tymczasem, gdy Karolina wróciła z Podola, Wojewoda z rzetelnym kłopotem jeszcze w niej wię-ciej owéj utrapionéj polskości dopatrył.

Zginałem—pomyślał—Podolanką ją ochrzczą.

W domu Cześnikowstwa stracić téj barwy nie mogła, obawa nawet była wielka czy nie zapomni po francuzku? Jakże tedy sobie poradził. Oto pod pozorem rozrywania synowój, zwoził ile się zmieściło książek francuzkich, oczywiście błachych i nie dobrych lecz modnych.

Do téj liczby należeli głównie w owych latach zalotny *Demoutier*, romansowa *Genlis* i zapalona *Cottin*. Pani *Staël* zaczynała wchodzić w sławę u mężczyzn; od kobiet w ogólności jeszcze źle była widziana. Ceniony był także bardzo *Delille* i *Laharpe*, ale oba stanowili już poważniejszą część literatury; zobaczył ich każdy na biurku salonowych literatów pracujących na wyścigi nad ich przekładem lub naśladowaniem, ale nie na wszystkich damskich stolickach. Prócz tego, manją było ówczesną, znać jak najdokładniej wiek Ludwika IV nie co do wielkich zmian politycznych, jakie owo długie panowanie przysposobiło, ale co do dzieł zwłaszcza dramatycznych, a nadewszystko co do awantur miłosnych i gorszących. Niezawodnie, każda dama wyżej edukowana, nawet panna byłaby gładziej wyliczyła jedna po drugiej przyjaciółki Ludwika XIV, niż z kolei królów polskich, a przygody zalotnej Ninony znała nierównie lepiej od historii Jadwigi albo Barbary. Zręczny Wojewoda dał naprzód Karolinie *Cours de morale Demoutiego*, *les Petits émigrés* pani *Genlis*, i *Matyldę* pani *Cottin*. Podobały się dziwnie te książki nawet Cześnikowój, którój Karolina opowiadała je wieczorami.

Trafiło się nieraz pocziwój mamuni, dokończyć z pospiechem Godzinek do Opatrzności, które odmawiała codziennie o szarój godzinie chodząc po pokojach, ażeby przyspieszyć danie świec, i dowiedzieć się prędkój, czy otrzymał *Lord Selby* rękę pięknej *Adelajdy*, albo czy jest nadzieja dla zakonnicy *Matyldy* zaślubienia kiedy bisurmana *Malek-Adhela*? Nieraz i sam Cześnik przysiadłszy się do żony

i do córki, zaprzestał czytać gazetę Korrespondenta a w okularach na nosie nadstawiał ucha opowiadaniu; nieraz fajkę oddawna zgasłą trzymał jeszcze w ustach, pykał bez dymu a słuchał; jeżeli go wtedy kto wywołał dla interesu, mówił z gniewem stoczek zapalając: „Czy go lichy nadało?“ Kiedy spać się położyli, prosił żony żeby mu dopowiedziała czego nie dosłuchał; Cześnikowa zaś bardzo była temu rada, iż ma nowe bajki do usypiania męża.

Taki zapewniwszy paszport modnym pisarzom, Wojewoda przeprowadził potem z kolei *Matki rywalki* i *Waleryę* i panią *de Montespan* pani *Genlis*, *Amelię* pani *Cottin*, a nawet *Listy do Emilii o mitologii* Demoutiego.

— Nie zrozumie *le Scabreur*—pomyślał—więc się nie zgorszy, wreszcie nie źle byłoby, gdyby choć z książek się dowiedziała o niektórych rzeczach. Bo i do czegożby to było przypiąć, jakby się gdzie, broń Boże, odezwała, że nie zna listów do Emilii? Już i tak czekam tylko chwili kiedy ją okrzyczą *Prudą*, o Bożym świecie nie wiem, nic nie rozumiem! A tegoby też nam brakowało! *Pruda* i *Podolanka* O! niechby to Szambelanowa złapała, mielibyśmy się wszyscy zpyszna!

Jeżeli ocieranie się z zepsutemi, przesyconemi i niebaczniemi ludźmi, niedobry ma wpływ na młode i niewinne istoty, jeżeli od niego świeżość duszy więdnije, i czystość myśli się mieni; nie wiem czy książki czytane bez wyboru, jeszcze większej szkody nie przynoszą, zwłaszcza, kiedy przy oprawie moralnej i przy pozorze prawdy, w gruncie są złe i zmyślone. Ocieranie się o ludzi, chociaż jedną dobrą ma stronę, wprowadza w świat rzeczywisty, budujące i gorszące podaje myśli i wzory, ale przynajmniej prawdziwe; tracąc wiele nabywa się skarb jeden, natrętny lecz potrzebny: doświadczenie. Ale cóż przyjąć może nieświadomej życia kobięcie z czytania romansów, choć niby moralnych, skoro są przesadzane i wybujałe? Nic—mniej jak nic. Oto tyle w podobień-

stwie. jak gdyby puszczając się w kraj nieznaną, wziąć z sobą kartę zupełnie mylną; zamiast pomocy byłaby ci przeszkodą, przygotowałaś się jak na górę, a tu dół; wybrałaś się jak na równinę a tu góra; tam spodziewałaś się miasta, i dążyłaś na wytechnienie, przybywasz i zastajesz pustkę.

Jeszcze jedną szkodą, jaką książki snadniej przynoszą od ludzi, jest ta: że robią młodą osobę nieszczęśliwą w jej własnem mniemaniu, nie zaspokojoną losem swoim i obecną chwilą. Żywe osoby, pomyślność żyjąca, nigdy nie sprawiają tego skutku. Na świecie, w najpożądańszym kawalerze upatrzysz wadę, w najdobrańszem stadle niezgodność, najszczęśliwszej matki troski, na samym tronie kłopoty, zgola we wszystkich i we wszystkim jakieś *ale*, i zastanowiwszy się dobrze, nie chciałbyś pewno być na miejscu żadnej z osób jakie znasz, jakim zazdrościsz, zupełnie bez wyjątku, jak to mówią, od *a* do *z*. Lecz w świecie romansów rzecz jest całkiem inna, mianowicie w świecie pani *Genlis* i *Cottin*, które tak przesadzały w cnotach i czułości, jak dzisiejsi autorowie francuzcy przesadzają w zbrodniach i egoizmie.

Gdzież jest kobieta, któraby nie miała swego zapasu omansowego w duszy? żadna nie wątpi, że takby kochać potrafiła i tak godna szalonego kochania jak heroina. Każda rada układa sobie rzeczy i ludzi według tego co czyta, każda nareszcie oswoi się daleko prędziej z szkodliwymi zasadami w książce niż na świecie. Nieporządek moralny żyjący, zawsze razi duszę szlachetną, bo go się widzi na oko, ale opisany z powabnej tylko strony wzięty, może łatwo ująć. I na Karolinie pokazała się ta prawda, ona, co świętością małżeństwa tak przejęta była, przecież nad Waleryą, która pod oczyma zacnej żony bałamuciła męża i rodziła nieprawie dzieci, rozczulała się jak nad cnotą najwyższą. Podobnie wrażenie robiły na niej inne romanse, i te kilkanaście co przeczytała u rodziców

i potem u siebie podczas choroby Leona, więcej ją pokłóciły z własnym losem, więcej oswoiły ze złem, więcej pobłażającą dla siebie, a wymagającą od drugich ją uczyniły, niż byłyby sprawił rok cały w największym świecie spędzony. Czytanie jednę tylko szkody jej nie przyniosło, wbrew oczekiwaniom Wojewody; nie skaziło skromności jej myśli, w udzielonych sobie romansach jakby instynktem przerzucała karty, na jakichby nieprzystojne opisy spotkać mogła, a do anakreontycznych listów o Mitologii uczuła wstręt wyraźny. Przejrzała je tylko z wierzchu, nauczyła się na pamięć kilku ładnych wierszyków, i postanowiła udawać w potrzebie, że je czytała.

Tak tedy coraz płowiała, wędniała, nasza świeża i rzetelna Karolina; ale za to nabywała eleganckiej ogłady, śmiałości, kształciła się na przyjęte wzory, jaśniała blaskiem więcej bijącym w oczy. Mając z natury wiele przenikliwości, skoro zaczęła czytać Demoutiego i romanse, wnet doszła, z kąd damy jej znane brały po części rozum swój, czyli tak zwany *jargon* i styl, nad którymi wprzód nieraz się dziwiła. Obdarzona wyborną pamięcią, i ona wkrótce nauczyła się z tychże książek mówić i pisać po francuzku z elegancką łatwością, choćby o niczem. Tego jeszcze wtedy żadnym sposobem dokazać nie było można po polsku. Zrobiły się w niej przeto w krótkim czasie bez żadnego namysłu i mimo jej wiedzy, jakby dwie mowy oddzielne, nie tylko co do słów, ale co do rzeczy. Z niewymowną pociechą Wojewody, w świecie rozmawiając z kobietami, żartując z mężczyznami, mówiła ciągle po francuzku; bileciki czułe do wczorajszych przyjaciółek, których nie kochała ani trochę, pisała po francuzku: zgoła wszędzie, gdzie przyjęte zmyślenie, obojęcie zręczne, pokrycie ambasasu było potrzebne, wszędzie używała modnego języka. Polski został językiem duszy, językiem prawdy; w nim się modliła, w nim mówiła z rodzicami, w nim swoje notatki

piśla. Tak w grze na żart używamy liczmanów, w grze na dobre stawiamy pieniądze; ale bywają zdarzenia, że i liczmany prawdziwemi pieniędzmi wykupić trzeba. Czy tylko na Karolinę taki los nie przypadnie? Lecz nie zmi-
jajmy się z porządkiem, teraz na obiecane notatki kolej. Lubo po większej części są drobiazgowe i zbyt kubiée, zdało mi się nie odrzeczy przepisać je tu dosłownie; zawierają bowiem niektóre szczegóły o ówczesnej Warszawie, o znanych osobach, które im nadają barwę jakby pamiętników. Takich pism mamy tak mało, że ogłaszać wypada, choć mierne i niedokładne. Zresztą kogoby nudziły, może je przeskoczyć, ciąg powieści nie wiele na tém straci.

ROZDZIAŁ XI.

NOTATKI KAROLINY.

Dalszy ciąg zimy w Warszawie.

Warszawa, 13 Stycznia 1805 r. „Zabieram się pierwszy raz w życiu do pisania z głowy, do samej siebie; nie wiem jak mi się uda, ale cóż to szkodzi: nikt tego pewnie czytać nie będzie. Żałuję, że mi ta myśl dawniej nie przyszła. Na Podolu można było zebrać bardzo wiele ciekawych rzeczy, tyle pięknych i sławnych miejsc widziałam, tyle poznałam znakomitych i miłych osób, i tyle oryginałów. Sam pan Marchocki ze swoim państwem Minkowieckim byłby zapełnił tę książeczkę. Żałuję—ale już stało się. Nietylko Polak, ale i Polka mądra po szkodzie. Ani wątpić jednak, że i w Warszawie dużo rzeczy do zapisania się znajdzie, byłem potrafiła.

Nie mam żadnego planu do tych wspomnień czy notatek. Jak będzie czas i ochota, siądę i napiszę co mi najpierw na myśl przyjdzie. Możeby najlepiej było przyzwyczaić się do pisania co wieczór, przed spaniem; tak robi niespracowana pani Genlis; ale ja wcale nie ręcę za siebie, czy mi się zawsze będzie chciało pisać, a zadawać sobie

dobrowolnie przykrość i przymuszać się, tego nie zrobię: dosyć już przykrości i przymusów na tym świecie.

Dziś po obiedzie wybieramy się z pierwszemi wizytami, będzie jutro co pisać. Cokolwiek strach mnie bierze, chociaż od wyzdrowienia Leona wielką mam ochotę bawienia się téż trochę; wszyscy balują, tańczą, ja jedna siedzę jak zakłeta, a nie można być nigdzie, póki się wizyt nie odda.

Wielkie były sprzeczki o te wizyty. Pan Wojewoda chciał żebym się prezentowała u saméj elegancyi, Kasztelanowa, moja socyuszka, stała przy zdaniu wraz z Szambelanową, żeby pojechać do wszystkich co w świecie bywają; ja trzymała ich stronę, ile że się to zgadza z życzeniem kochanych rodziców. I na tém stanęło. Pan Wojewoda tyle wytargował, że od elegancyi zaczniemy.⁴

14 *Stycznia*. „Objechaliśmy wczoraj z dziesięć domów, ale nas nigdzie nie przyjęto. Nie jest w dobrym tonie pierwszą wizytę przyjmować. Gdyby nie *Blacha*—gdzie już pani Vauban i pani Tyszkiewiczowa były uprzedzone o naszym przybyciu, i gdzie nietylko nas przyjęto ale zatrzymano na wieczór, nie byłabym widziała żywego ducha; a moja śliczna suknia różowa atlasowa i toczek biały z piórami, byłyby wróciły do szafy, z wielką rozpaczą Wroczyńskiej, nie pochwalone od nikogo. Ale inaczéj się stało. I ubiór i pani odebrały komplementów do woli, nad zasługi. Jak te piękne słowa płyną w tym języku francuzkim, rzecz zadziwiająca!

Choć wieczór pod *Blachą* nie był proszony, zastaliśmy dużo osób, i nie wiem czy to dla tego żem się naczytała romansów terażniejszych, czy dla innéj jakiej przyczyny, ale

mi się zdało zupełnie będąc tam, że jestem we Francyi, w dawnym Wersalu. Książę, który przechodzi com tylko słyszała z dzieciństwa o jego urodzie, uprzejmości, pańskiem ułożeniu, wydał mi się istnym Ludwikiem XIV-ym. Wielki ów monarcha nie mógł być piękniejszy, więcej królewski i rycerski od naszego księcia. Cóż to za postawa szlachetna! jaki chód wspaniały! Chociaż tam było wielu męczyzn słuszniejszych i młodszych od niego, on mi się zdawał najwyższy i najdorodniejszy. Pani Tyszkiewiczowa siostra księcia, tyle grzeczna i dowcipna; szambelanowa, p. Aleksandra Potocka, bardzo jeszcze młoda, ale już słynąca rozumem i gustem; p. Stasiowa Potocka, p. Monika Grabowska, księżna Ludwikowa Radziwiłłowa, panie Sobolewskie, pani Cichocka i Bronikowska i kilka innych, bardzo mogły figurować jako światłe i urodziwe damy dworu Wersalskiego. *Duc de Fleury*, nasz pan Wojewoda, pp. *Beaumont*, *Fonbrune*, Leon, Kuzynek, Staś Potocki, Michał Brzostowski, Stanisław Miączyński, Adam Walewski, pp. Grabowscy, zgola cała tak zwana Pepiada, to ministrowie i dworzanie. A pani *Vauban*, która choć niby nie u siebie, przecież honory salonu robi, i której wszyscy nadskakują—to pani *Maintenon*. Bo jeźlić już wierzyć koniecznie trzeba temu co mówią o związkach téj damy z księciem, to ja w taki sposób je tylko przypuszczam.

Kasztelanowa śmiała się ze mnie na głos w karecie, kiedy wracając z nią o północy, zrobiłam jéj tę uwagę; ja przecież trwam przy swoim. Dla jakiejżeby innéj przyczyny książę dotąd się nie ożenił? kiedy książę Antoni Radziwiłł dostał księżniczkę Pruską, to jemuby jaką królownę dali, gdyby chciał szczerze. A wreszcie, jeźli niéma sekretnego związku między niemi (bo na nieszczęście pan *Vauban* żyje) to jest tylko czysta przyjaźń; i temu jak się teraz zastanawiam, jeszcze łatwiej mi uwierzyć. Pani *Vauban* wcale nie piękna i prawie stara, a przynajmniej daleko starsza od

Księcia; figurę ma dosyć składną, nóżkę dziwnie maleńką, i jak powiadają prześliczną kiedy nie obuta. Ale na tém się kończą wszystkie jęj wdzięki: twarz ma chudą, płeć żółtą, a zdrowie tak słabe, że prawie chodzić nie może, i wtedy jedynie wyjeżdża i to w zamkniętej karecie, kiedy kilkanaście stopni ciepła na dworze.

Jeżeli mam prawdę wyznać, teraz co mi już zniknąć zaczyna z myśli urok Wersalu, i pamięć wieku Ludwika XIV, to ona mi więcęj przypomina moją madamę, moją pocziwą baronową. Bo i pani Vauban jest emigrantką, i przysięgłabym w tęg chwili, że w delikatności i w wspańności Księcia, cała jest tajemnica wielkiej roli, jaką jęj pozwala grać w swoim domu. Jest u niego, na jego łasce; on rad temu iż jęj się wydaje że jest u siebie, i utrzymuje ją w tęg złudzeniu. Kochana matka tak była szczęśliwa, kiedy baronowa znalazła u nas co tak dobrego jak we Francyi. Pani Vauban jest wielkiego imienia i z męża i z ojca *de Barbantane* z domu, majątek i znaczenie w rewolucyi francuzkiej straciła. Niegdyś w Paryżu, kiedy była bogatą, zaprzyjaźniła się z panią Tyszkiewiczową. W początkach emigracyi zjechały się obie w Wiedniu, i mimo już niejednakowej fortuny, dawną przyjaźń odnowiły. W domu siostry poznał ją Książę, a ich zażyłość wkrótce i jęgo do uprzejmęj poufałości przywiodła. W parę lat później, książę i pani Tyszkiewiczowa przyjechali na mieszkanie do Warszawy, a wnet za niemi i pani Vauban. W niedostatku będąc, pod pozorem przyjaźni dla siostry, przyjęła u brata mieszkanie i wszelkie wygody, a ponieważ dla słabości zdrowia dalej jeździć nie może jak do Jabłonny, i Książę polubił jęj towarzystwo, mieszka u niego, choć pani Tyszkiewiczowej nięma, rządzi i gospodaruje. Nie jest to może, na piérwszy rzut oka zupełnie jasno i przyzwoicie, ale się przecięż trafi: czytałam sama kilka takich przykładów. Pamiętam jednak, że u nas w domu, mało i niechętnie o pa-

ni Vauban mówiono; kochany ojciec nazywał ją zawsze „Babanowa:“ ja nie wiedziałam wtenczas dlaczego? Z daleka wszystko gorzej się wydaje, zbliżka wiele rzeczy wytłómaczyć sobie można.

Pani Vauban bardzo piękne ma ułożenie i była dla mnie tak grzeczna jak mało dla kogo, według zdania pana Wojewody, bo jój wcale nie każdy się podoba, choć każdy się o to stara. Posadziła mnie koło siebie, i do końca wieczoru ani puściła. Kasztelanowa mi powiadała, że umyślnie tak robi, lubi słyszeć na własne uszy co Księżę mówi młodym kobiétom, zwłaszcza póki mają powab nowości. Jeżeli tak jest, to się nasłuchiwała, bo Księżę co usta otworzył, to komplement, albo żarcik dwuznacznym. Siedziało nas kilkanaście koło wielkiego okrągłego stolika, on z nami, i każdój się coś dostało. Widać jednak, że on się bawi i żartuje z damami najwięcej dla jakiejś takiej rozrywki, ze zwyczaju, a często i bez myśli. Rozmawiając z nami, prawie ciągle rysował piórkiem, i często zadumał się głęboko. Patrzyłam co on też rysuje? Nie były to piękne damy ani modne rebuzy, tylko żołnierze, konie, wojenne ryszunki; takimi rzeczami umysł jego jest istotnie zajęty, i inaczej być nie może u wodza, który tak chlubnie wojny odbywał, który grał już wielką rolę, i grałby zapewne jeszcze większą, gdyby okoliczności sprzyjały. Poranki całe ma spędzać na czytaniu dzieł znakomych wojowników, a od czasu jak zjawił się generał Bonaparte, dziś cesarz Napoleon, ściga go myślą we wszystkich jego dziwnych obrotach; gazety francuzkie i wszelkie pisma zbiera o nim starannie, i w największym jest uwielbieniu dla tego bohatera dzisiejszego wieku. Towarzystwo dam i żarty z niemi są jego wieczorną rozrywką. Dla mnie był uprzejmy nad wszelki wyraz.

Widać było oczywiście, że w dobroci swojej chciał ośmielić młodą kobiécinę występującą w świat poraz pierwszy.

Bo w Modrogórze, choć wiele znakomitych osób gościło, byłam u siebie, byłam na wsi, to wcale co innego, a tu znalazłam się nagle jakby u dworu. A jeszcze pan Wojewoda powiedział Księżciu, że z całego pięknego świata Warszawy jego, byłam najciekawsza. To prawda, przecież nie należało tego powtarzać, bo pani Vauban i inne damy jakoś dziwnie na mnie spojrzały, i jam się bardzo zarumieniła. Szczęściem Szambelanowa z ręcznie zagadła moje pomieszczenie, i reszta wieczoru zeszła przedziwnie. Miałam już kilka znajomych sobie osób tak z Modrogóry, jak tu w Warszawie; rozmowa nie ustawała, panowie przysiadali się do dam albo stali za ich stołkami; dobry kuzynek bardzo mnie ratował, nie odstąpił mnie: już go też teraz nigdy nie nazywam kasztelanicem. Leon grał sobie w karty, w drugim pokoju z panią Tyszkiewiczową. Jeszcze nigdy w życiu nie spędziłam tylu godzin bez usłyszenia i wymówienia słowa po polsku: pani Vauban od tylu lat jednej litery się nie nauczyła. Francuzów emigrantów jest kilku, służący wszyscy cudzoziemcy; panuje zatem wyłącznie pod *Blachą* mowa francuzka, i nawet za niegrzeczność jest poczytano odezwać się po polsku, o czém mnie ostrzegła Kasztelanowa.

Pan Rautenstrauch, przyboczny sekretarz Księcia, w czasie kolacyi na zimno, którą jedliśmy stojący, przyniósł wiadomość o wielkiej pace z książkami z Paryża dla pani Tyszkiewiczowej; bardzo często takowe przychodzą, wyliczył kilka nowych romansów i komedyi. Wszystkie damy bardzo się ucieszyły, może też i mnie się dostanie co z tych skarbów! a pasyami lubię czytać.

Po kolacyi pani Vauban pokazywała mi pełno ślicznych a nawet kosztownych rzeczy, które na ten nowy rok na *etreny* dostała, od tych, co częściej bywają pod *Blachą*. Zwyczaj to zupełnie francuzki, bo u nas kolenda daje się tylko dzieciom i służącym. Powiedziała mi przytém, że

bardzo żałuje iż mnie dawniej nie poznała. I ja żałuję, teraz nie będzie tak prędko okazyi ofiarowania jęj podarunku a widać że je lubi; gust to znać francuzki: nasza baronowa przepadała za prezentami. W nagrodę wzięłam dziesięć biletów na loteryą, na jakąś lornetkę; ciągnąc ją mają wkrótce u pani Vauban, na dochód ubogich. Bardzo była ze mnie kontenta, dziś odesłałam jęj pieniądze.

Szambelanowa, której ranna wizyta przerwała mi pisanie, między różnemi zabawnemi rzeczami powiedziała mi pod wielkim sekretem, że owa lornetka puszczone na loteryą, jest z resztek przeszłorocznych *etren*, i że tegoroczne takż sam koniec czeka. „Jeżeli dla ubogich, to nic w tém złego,“ przerwałam. Ale Szambelanowa powiedziała mi pod jeszcze większym sekretem, że pani Vauban siebie rachuje do ubogich. Miły, czarujący, zabawny ten wielki świat, szkoda że czasem trochę złośliwy; choć co dobre z jednéj strony, jak zaczną przeglądać, nicować, wnet się złe pokaże. Bodaj to u rodziców, a jeszcze lepij w romansach.“

15 *Stycznia w wieczór*. „Z kilkunastu dzisiejszych wizyt muszę opisać nim się spać położę, najpierwszą, która mi zostawiła najmilsze wrażenie, i zatrzcć go nie potrafiły wszystkie następujące, lubo niektóre miały także wiele dla mnie przyjemności. Było to na Nowym Świecie, w Missyjonarskiej kamienicy; po lekkim zadzwonieniu otworzono drzwi i weszliśmy po szerokich schodach, bez poprzedniego jak gdzieindziej anonsowania. W przedpokoju lokaje w amarantowj liberyi z żółtem, grali sobie w warcaby w stołowj sali ozdobionj sztychami Smuglewicza z historyi polskij i biustem Kościuszki; marszałek w kontuszu czytał Gazetę Warszawską. Drzwi do bawialnego pokoju były otwarte na

rozcień, osłaniał je od wiatru parawan szklanny; w środkowym oknie, na wygodnym krześle, przed okrągłym stolikiem siedziała szanowna gospodyni domu, już blisko siedmdziesiątletnia, ale miłej jeszcze i czerstwój twarzy; haft na kanwie miała w ręku i szyła bez okularów: kilka pań ją otaczało, a każda z robotą. Używałam tego widoku, ile że moja socyszka zatrzymała się, żeby powiedzieć słów kilka marszałkowi, panu Olszewskiemu. Lecz wnet wydały przybycie obcych osób czujne pieski, faworyty domowe; jeden poważny i biały, *Wierny*, mrużyć zaczął w koszyku; drugi, czerwony i zwinny porwał się i nie żartem szczeakał i warczał, aż głośne krzyki: „*Milutka!* leżeć! cicho!” i zagrożenie różgą uspokoiły go nieco.

Z rzetelnym uczuciem czci i uwielbienia stanęłam przed szanowną gospodynią. i kłaniałam jej się jak najniżej, wielką mając ochotę ucałować jej ręce dobroczynne; wstrzymałam się jednak, gdyż mię ostrzeżono piérwój, że teraz już nie trzeba nikogo całować w rękę. Przecież z przykrością mi to przyszło. Jak siebie i Warszawę zapamiętam, zawsze słyszę o kasztelanowej Połanieckiej; dom jej gościnny i otwarty, ucziwie ale bez żadnych zbytków utrzymywany, w którym od lat dziesięciu tańce i huczne zabawy ani powstały, przejmował mię z dawną uszanowaniem i chęcią, żebym kiedyś winną atencją oddać jej mogła. Liczne jej jałmużny po całym mieście, nawet między żydów sypane, dobrodziejstwa świadczone szpitalom i klasztorom, dziwnej piękności roboty po tylu kościołach, podawały mi nieraz myśl, że chyba kilka być musi osób tego nazwiska, gdyby rodzice nie zaręczyli mi jak najsolennie, iż tylko jedną taką polską panią ma dziś Warszawa. Stałam tedy przed nią z uszanowaniem: szczęśliwa że ją widzę, nie śmiałam słowa przemówić. Ośmieliła mnie sama i ujęła mocno wspominając z szacunkiem o moim ojcu: „Zawsze o nim z wdzięcznością pamiętam; powiedz mu to, Kochanko, i po-

kłóń się mu odemnie; nie mało się przyczynił do zgodnych układów z sukcesorami ś. p. mego męża, a przeto do spokojności życia, które Pan Bóg z łaski swojej przedłużać mi raczy.“

Tak mię ująwszy i pogadawszy ze mną uprzejmie, zajęła się starszemi gośćmi, polecając mnie staraniu bratanek i wnuczek, których jest zawsze kilka przy niej i z których mi prezentowała panny starościanki Świdzińskie i pannę Bonę Szymanowską, młodą i ładną osobę. Rozmowa była zupełnie inna jak te co dotąd w świecie słyszałam; ani słowa po francuzku, ani jednego gorszącego wyrazu; a i tam były księżne, senatorowe i znakomici mężczyźni różnego wieku. O piątój dano kawę; wypłam chętnie ofiarowaną filiżankę: taka dobra jak naszój Laskosi. Zjeżdżać się potém zaczęły coraz liczniejsze wizyty, gdyż dom pani kasztelanowej Połanieckiej lubo nie wesoły i nie elegancki, bardzo jest poważany. Ktokolwiek do Warszawy przyjedzie, tam się prezentuje, a potém bywa choć parę razy w miesiącu. Około szóstój, kiedy już szanowna gospodyni zasiadła w drugim końcu pokoju na wygodniejszém krześle, a przed nią rozstawiono stolik do liczbowej loteryi, moja Kasztelanowa spojrziała na mnie i nieznacznie zbliżyłyśmy się ku drzwiom. Ona zatrzymała się przy kominku żartując z dowcipnym p. Ignacym Zapolskim, mężem jednéj z domowych bratanek, a mnie przez ten czas zajęła bardzo dziewczynka może siedmioletnia. Siedziała sobie w oknie na gradusie, trzymała w ręku pończochę mała co mniejszą od siebie i płakała rzewnemi łzami. Napróżno starsza starościanka, panna Joanna, przyniosła jěj na pociechę pół bułki montowój, którój ośródek był wykrojony a natomiast pełno cukru: nic ją utulić nie mogło. „Zgubi-a dłucik od pończochy“ i dla tego tak płakała. To mi wyznała sama, gdym się do niěj zbliżyła i taką wymową, bo szepleni. Słyszałam jak wołano na nią: „Klemensiu!“ a gdym się spytała o nazwisko,

powiedziano mi, że zowie się Tańska; rodzice jój bardzo zacni, stracili znaczne mienie w ostatnich krajowych nieszczęściach; ona się chowa u jednej z bratanek kasztelanowej Połanieckiej, pani starościny Wyszogrodzkiej, wielkich zalet damy. Żartowali tam z niej wszyscy, że płacze rzewnie nad tak małą zgubą. Nie wie jeszcze biédaczka, iż na większe straty schować łzy potrzeba.“

18 Słycznia. „Już téż wczoraj skończyliśmy naszą pańszczyznę: przeszło pięćdziesiąt wizyt narachowałam. W liczbie osób cośmy w domu zastali, a raczej co nas przyjęły, zapisać muszę pana marszałka Małachowskiego, owego patriarchy prawych Polaków. Lubo wdowiec i bezdzietny, dom trzyma otwarty i otoczony jest familią. Honory robi córka ś. p. żony jego z piérwszego męża, księżniczka Maryanna Radziwiłłówna; osoba nie ładna ale młoda, bardzo do rzeczy i majątna. Ma konkurentów wielu, a między innymi p. Wincentego Krasieńskiego, który uchodzi za najpiękniejszego mężczyznę po księciu Józefie; podobno on jój rękę otrzyma, lubo mówią że to będzie para arcy nie dobrana. Alboż to jedna taka na wielkim świecie! i kogo to tam obchodzi!... Przy księżniczce bawi dla przyzwoitości, jak we wszystkich większych domach gdzie są młode panny, guwernantka francuzka, panna Ballet, wysokiej i prawie męzkiej umiętności. Pisze książki bardzo głębokie; jedną z nich tytuł: *Essai d'une volatile*.

Pana Marszałka twarz i cała postawa jest wizerunkiem jego duszy: szlachetna, wspaniała, wyniosła. Byliśmy tam w Piątek, w dzień kiedy wiele osób na obiad sprasza, żeby radzi nieradzi przepisy kościoła zachowali i mięsa nie jedli. Stół u niego codzień jest otwarty, lecz trzeba przyje-

chać o pierwszej godzinie. Skoro pierwsza wybije, klamka zapada, i nawet proszonych nie wpuszczają. I on wspomnieć mi raczył z wielkim szacunkiem o moim ojcu, o jego zdatości i rozsądku: miłe słowa pochwały z ust godnych. Pan Marszałek jest sam biegłym prawnikiem; długo był marszałkiem trybunału koronnego, i nieraz słyszałam od mojej matki ów czyn jego, kiedy podpisawszy wyrok, jak mu się później wydało, niesłuszny, własnym majątkiem nagrodził uczynioną mimowolnie krzywdę. Wdowa, której tym czynem sposób do życia powrócił, była nawet krewną daleką mojej matki. Miałam wielką ochotę wspomnieć mu o tém, alem nie śmiała. Kiedy o kogo dbam najwięcej, najmniej mu powiedzieć umiem; i dopiero po czasie przypominam sobie jak być i co mówić należało. Z temi o których mniej stoję, daleko łatwiej mi idzie; pan Wojewoda i Szambelanowa już mi nawet tego winszują; z całą młodą elegancją, tak z mężczyznami jak z kobietami, jestem sobie bez żadnego przymusu, jakbym ich od niewiem wielu lat znała: gadam śmiało co mi przez myśl przejdzie. Prawda, język francuzki doskonały do tego; nie znając kogo wcale, nie wiedząc ani jego nazwiska, ani tytułu, można z nim godzinę rozmawiać, choćby o niczem; i idzie to jakoś gładko, choć może nie zawsze dorzeczy. Gdyby chcieć przetłómaczyć na polskie wszystkie komplementa co mężczyźni prawią kobietom, na każdego gniewałyby się na śmierć trzeba; ale tak, odpowie im się także po francuzku żart jaki, często niegrzeczność, rozśmiej się, i koniec. I uważałam, że tak wszystkie damy robią, te nawet co za najrozumniejsze uchodzą.

Ale zapominam o kilku wizytach godnych wspomnienia. Między niemi zapisać należy dom pani Wielopolskiej starościny krakowskiej, na Elektorálnej ulicy; bardzo wspaśniały i wydał mi się najwięcej elegancki z domów starszych. Bo zebrawszy to com słyszała i widziała, przyznaję zupełną prawdę panu Wojewodzie, który zawsze mówi: że świat

Warszawski dzieli się jak świat prawdziwy, na dwa: na stary i na nowy. W starym, na którego czele stawiają kasztelanową Połaniecką, marszałka Małachowskiego, kancle-rza Chreptowicza, i po części panią Wielopolską (gdyż ona jest jakby środkiem między dwoma, do którego należy cały Marywil i kilkanaście starościn i innych dawnych dygnita-rek: Oboźnych, Podskarbach, Podkomorzyn i t. p.), jest po-waga, gościnność, jakaś prawda, i wiele podobieństwa do tego co moi rodzice o dworach pańskich rozpowiadają. W nowym świecie, któremu wodzem i wzorem *Blacha*, a głównymi filarami: Potoccy, Radziwiłłowie, Grabowscy, nasz pan Wojewoda i inni, jest elegancya, wystawność, da-leko więcej zbytków i komplementów, i zupełnie jakby za granicą. Jeżeli się nawinie co po polsku, to zdaje się że z francuzkiego przetłómaczone; kobiety i mężczyźni, układ ich, rozmowy, uczucia, zdania, wszystko przypomina mi to co czytam w romansach, i przyznać trzeba że w owym no-wym świecie ładniej i weseliej niż w starym; tamci jakby już żyli, i przypominają sobie przeszłość: ci żyją i używają. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, ani do tamtych zupełnie, ani do tych nie przystaję; chciałoby mi się jeszcze jakiegoś trzeciego świata, i ze wszech względów pisałabym się do tych co będą żyli.

Wracając do pani starościny krakowskiej, bardzo to jest uprzejma, rozsądna i znakomita dama; jój kuchnia sły-nie na całą Warszawę, lubo ma kucharzy samych polaków; wysyłała ich tóż na naukę w obce kraje. Jeden w Paryżu uczył się potrawek, pasztetów i sosów; drugi we Włoszech cukrów i lodów; trzeci w Wiedniu, ciast i legumin; czwarty w Anglii, nie wiem już czego. Codziennie jest u niej stół otwarty a co Czwartek paradne na pięćdziesiąt osób obiady; a zabawa równie miła jak półmiski smaczne. Do pani Po-łanieckiej i do niej zaproszeni jesteście na obiad.“

20 *Stycznia*. „Otóż nareszcie wczoraj a raczej dziś, bo tańcowałam do białego dnia, byłam pierwszy raz w życiu na wielkim balu. Jest to coś odurzającego, coś dziwnie miłego, pierwszy bal. Nigdy jeszcze tak się nie bawiłam, a nawet nie miałam wyobrażenia podobnej zabawy. Do téj pory tańcowałam z dziećmi, z panienkami, po klawikordzie, przy dwóch świecach, w codziennych sukniach, a przecież lubiłam tańczyć. Cóż to za różnica taniec z wybornymi i grzecznymi tancerzami, przy dobrej i hucznej muzyce, w sali rześnisto oświetlonej, pełnej osób, na posadzce gładkiej iak szkło, i w gustownym stroju! Miałam suknię bardzo wyciętą, do gorsu, krótką, z krótkimi rękawkami, jak wszyscy noszą do tańca, białą krepową; na włosach spadających z przodu w pierścienie i loki, a z tyłu zebranych nisko w warkocz, wieniec z zielonych liści z dyamentowemi łożami, takich gałązek kilka u boku i sznur brylantów na szyi. Strój ten tak się podobał, że kiedym weszła z Kasztelanową, już dosyć późno, szmer powstał w sali, a choć bardzo pomieszana i ze spuszczonej oczami, widziałam przecież, jak niektórzy aż wstępowali na ławki, żeby mi się lepiej przypatrzeć. Dziwne to jest uczucie wiedzieć, że się wszyscy patrzą—a powiedzmy prawdę—że chwalą. Przybywa odwagi, jest się wdzięczną za tyle życzliwości, i jakoś bardzo wesoło i miło. Siedziałam jedynie przy kolacyi, nie opuściłam ani jednego tańca; zdarłam na nic dwie pary trzewików: jednak nie czuję się tak bardzo zmęczoną, i z niezmysłoną radością myślę o jutrzejszym balu pod *Blachą*.

Jużem zamówiona do trzech mazurków, do pięciu walców i do angleza. Prosiłam tych panów żeby pamiętali swoją kolej, bo ja zapomnieć mogę; a za to gniewają się bardzo i nawet do pojedynków czasem przychodzi, jak mię ostrzegła Kasztelanowa. Wiem tylko że pierwszy walc z kuzynkiem, z którym tańczyć doskonale; zupełnie się piywa czy lata jakby we śnie; a pierwszy mazurek z Michałem

Brzostowskim, najzawołanyszczym tancerzem mazurka. Będę i jutro dobrze ubrana, ale nie wiem czy mi tak będzie do twarzy jak wczoraj. Szambelanowa wymyśliła oba ubiory: będę miała inną suknię białą, bo w jednej być dwa razy się niegodzi, podpinaną w około włoskimi różami, różę we włosach i różę u boku, różowe trzewiki atlasowe, rękawiczki białe, moje perły prawdziwe na szyi.

Wczorajszy bal dawał hrabia Szodrski, Wielkopolanin; który jedynie dla tego przyjechał do Warszawy, żeby ją bawić, karmić i poić: jużto nie pierwszy jego bal, obiadów już wydawał kilkanaście, a prócz tego codziennie od samego rana zastawione jest u niego paradne śniadanie: młodzież zajada ostrygi, poledwice, zapija porter i szampańskie wino, choćby pana w domu nie było; nieznanym nawet osoby sprowadzają do niego jakby do oberży, i zapraszają do jego stołu jakby do własnego. Musi być niezmiernie bogaty i mieć nadzwyczaj dobre serce. Nie wiem czemu, wiele osób, a nawet mój ojciec mówi o niedoli, o biędzie krajowej, o ubóstwie i upadku Warszawy; mnie się zdaje że się mylą: owszem wesołość, dostatek wszędzie, jak za najlepszych czasów. Hrabia Szodrski wyda znowu wkrótce bal. Nasze młode panie krzywiły się na niedobraną kompanią, ganiły to i owo; ja nie miałam czasu na żadne krytyki, bom się bawiła precudownie i mało co widziałam.

Uważałam jednak kilka ślicznych panien, osobliwie panny Kickie, pannę Ludwikę Ostrowską i pannę Konstancją Ossolińską. Wszystkie jak boginie, albo jak królowe jakie. Bardzo też były otoczone, ile że każda z nich ma po kilku konkurentów. Przecież jak widzę młodym mężatkom jeszcze daleko więcej nadskakują mężczyźni, niż pannom. Szambelanowa mi mówiła że taka moda, i że w tém nic niema ani złego, ani dziwnego. Na bal pojechałam z Kasztelanową, która uspokoić się nie może nad mojami sukcesami i—nie wiem czemu—sobie je przypisuje w znacznej czę-

ści: wracałam sama. Leon jak zwykle późno przyjechał, wcześniej odjechał. Taki i w tym szczególny, że niecierpi balów i nie tańczy: kiedy nie gra, to się nudzi. Dziwno mi było wracając. Już słońce weszło, przekupki pod królem Zygmuntem rozkładały swoje kramy, tracze z piłami szli na robotę, a ja dopiero jechałam z zabawy. Zawstydziłam się, sama teraz nie zgaduję dlaczego, i zakryłam się futrem, jak gdybym się bała, żeby mię kto nie zobaczył. Nie musi to być przecie żaden grzech, kiedy wszyscy tak robią.

Spałam do pierwszej, ledwie sześć godzin, pewno mniej od tych traczów i przekupek. Ciągłe mi się śniły mazurki i walce, ciągle kręciłam się po sali, latałam, bujałam, pływałam. Wtém budzę się i jeszcze słyszę walca, tego samego cośmy tańcowali wczoraj. Zdziwiona, dzwonię na Wroczyńską, a ona mi powiada, że muzyka gra pod memi oknami. Nie wiem czyja to psota. Przypominam sobie tylko, że się spierała z kuzynkiem, że nie potrafię spać w dzień, a on chciał się zakładać, że o pierwszej będę jeszcze *dans les bras de Morphée*. Dziś jestem na wielkiej herbacie u pani Pocijowój, to się dowiem. Mam strój bardzo ładny. Suknię paryzką białą krepową, wyklejaną u dołu w gałązki koralowe, z liśćmi winnymi i z kłosami srebrnymi; na głowie takąż prawdziwa gierlanda, i stosowny garnitur z koralu na szyi i w uszach. W całej Warszawie jedna taka suknia, ale też za to okropnie droga.“

27 *Stycznia*. „Ani podobieństwa zapisywać każdą zabawę, każdy ubiór, wszystkie zdarzenia i znajomości; nie mam jednej wolnej chwili ani rano, ani w wieczór: obejrzeć się nie mam czasu, jak to mówią. Od herbaty pani Pocijowój i od balu pod *Blachą*, który mię zupełnie oczarował, było parę mniejszych wieczorów i bal dziecienny u księżnej

Ludwikowej Radziwiłłowej, gdzie wszystkich zachwycała dwunastoletnia Teofila Morawska, tańcząca kozaka; było obiadów paradnych bez liku, a nareszcie wczoraj wielki obiad u nas. Ten nie był podobno z najzabawniejszych. Pan Wojewoda chciał go koniecznie. Przyjechało jakichciś dwóch znakomitych urzędników z Berlina; oni byli, gubernator Warszawy, Köller, wcale miły staruszek Hoim, prezes kamery, Mayer, prezes regencyi, jeszcze kilku innych Niemców. Pierwszy raz w życiu widziałam Niemców z tak blizka; trudno mi z niemi szła rozmowa, a jeszcze trudniejsze mi było wstrzymanie się od śmiechu z ich francuzczyzny; ale ratowała mię dobra Szambelanowa, która prawdziwie, poznawszy ją bliżej jest nieoszacowana.

Pojutrze będzie u nas herbata tańcząca. Pan Wojewoda chce spróbować naszych salonów, a podobno raczój mojej umiejętności; bo w ciągu zapust musimy koniecznie dać choć jeden wielki bal. Trzeba więc się dowiedzieć, wiele osób nasze pokoje pomieszczą, i czy gospodyni da sobie radę? Trochę się boję tego wieczoru: zaproszona sama tylko elegancya; kobiet nie wiele, mężczyzn daleko więcej: to sposób bawienia się najlepij. Możeć się uda. Od jakiegoś czasu wszystko mi się udaje i wiedzie; szczególne mam szczęście; i należało mi się za wszelkie moje dawne niezasłużone upokorzenia i niesmaki. Już też o nich zapomniałam kompletnie. Teraz co powiem, co zrobię, wszystko doskonale; gdziekolwiek się pokażę, zaraz mam pełno około siebie. A jakie wymówki, kiedy gdzie nie pojedę: cała zabawa za nic. Nawet mój ubiór niektóre damy naśladowają, osobliwie sposób układania włosów; loki długie, naturalnie spadające jak ja noszę, zowią się *à la Caroline*. Zupełnie jakbym na innym, na idealnym świecie żyła. Wielki świat wcale nie taki jak się wydaje z początku; śmiać mi się chce z siebie, kiedy sobie przypomnę jak go zupełnie inaczej widziałam w Modrogórze.

Tu wszyscy dla mnie grzeczni, dobrzy, kochają mię, nadskakują; na wielu osobach wcalem się nie poznała, aż żałuję i wymawiam sobie. I połowy, gdzie tam, i jednęj części nie widzę tego złego com wtenczas upatrywała. Straszne dziecko było wtenczas ze mnie: na wiele już rzeczy zupełnie innemi oczami patrzę. Szambelanowa bardzo mię oświeca, codziennie się widujemy: pokochała mię prawdziwie. Teraz wypadnie mi z nią najczęściej bywać, sama jeszcze się nie odważam, a Kasztelanowa, moja socyuszka zasłała i wcale nie wyjeżdża. Przybył obowiązek bywania u niej. Nie wiem zkąd będzie wziąć czasu. Szkoda, że tój choroby nie odłożyła do postu: nudna rzecz bywać u chorych, kiedy tyle jest za baw.

30 Stycznia. „Herbata tańczująca udała się doskonale tańcowaliśmy do trzeciój. Pan Wojewoda tak był kontent ze mnie, i ze wszystkiego, że już zadecydował bał za tydzień. W samój rzeczy składnie było i elegancko, a mój salon okrągły, gdzie zastawić kazałam herbatę, nietylko się podobał, ale zachwycił wszystkich: zrobiło się to samo z siebie. W wigilią byłam pod *Blachą*. Pani Vauban ciągle na mnie łaskawa i zawsze wiele mówiąca ze mną; spytała mi się: czy mam wszystko do mego wieczoru?

— Wszystko—odpowiedziałam—prócz kwiatów; trudno dostać ich dużo u ogrodników warszawskich, a radabym mieć ich jak najwięcej.

Kto uchwycił te słowa, dotychczas nie wiem z pewnością; bo już to zapisać raz na zawsze trzeba, że jest Sylf jakiś, jak w powieści pani Genlis, co zgaduje moje myśli: czy nowego romansu ciekawam, czy muzyki nowych tańców

lub piosnek, czy inną jaką drobną rzecz mieć zażądam? wszystko jakby czarami znajduję pod ręką, to w powozie, to na gotowalni, to w salonie.

Otóż i onegdaj powiedziałam o tych kwiatach bez żadnej myśli, nazajutrz w południe pojechałam na godzinę do rodziców; wracam—i zastaję ogród u siebie. Już ludzie co to wszystko przywieźli, odeszli; Leon jak zwykle rano pojechał konno, Wroczyńska i inni służący myśląc, że te kwiaty obstalowane, przyjeśli. Nie sposób było odsyłać nie wiedząc komu, chociaż miałam niezmyśloną ochotę, bo mi się zdawała surpryza za droga. Szambelanowa też przyjechała, wyśmiała mię, i jakoś mię przekonała, że to pan Wojewoda tę grzeczność mi zrobił. Tak wiele było kwiatów w doniczkach i rwanych, iż ubrawszy salon, przyszło mi na myśl powiązać tyle pęczków, ile dam przyjechać miało, i każdą witałam bukietem. Przypadkiem się zdarzyło, że wszystkie młode byłyśmy w bieli i we włosach, każda włożyła parę kwiatów na głowę, resztę przypięła do boku i zrobił się ogród chodzący.

• Ludwik, który nie wiem czemu bardzo późno przyjechał, aż się turbowałam czy nie chory, zdumiał gdy wszedł. Sam Książę chwalił bardzo układ całego wieczoru, i tańczył, co mu się rzadko trafia. Bawiliśmy się tak dobrze, iż damy umyśliły schować po kwiatku ze swoich bukietów na pamiątkę, i każda zaczęła dobiierać sobie stosowny. Panowie to posłyszawszy dopominać się także choć o listek zaczęli, i wiele było z tego powodu komplementów, żartów, alluzyj delikatnych, a nawet chwilowych gniewów. Owe kwiaty tymczasem powiędły jak każde inne. Dziś, posadzka była zasłana kiściami tych samych, których wczoraj listek był upragniony, wrywany. Pani *Genlis* albo pani *Cottin* ślicznieby opisała owe „nazajutrz kwiatu.“ Ani pojmuję dlaczego moja baronowa nie dawała mi czytać romansów,

tyle w nich jest prawdy, naturalności, tyle pięknych myśli: tam można wytłómaczenie samej siebie znaleźć; a tak często o Bogu, o religii, o cnocie... już i medytacyi nie potrzeba.“

8 Lutego. „Przeszło tydzień słowa nie dopisałam do tych notatek. Ale rzeczą jest niepodobną wystarczyć wszystkiemu; wreszcie choćbym upatrzyła wolny moment, nie mogę odrazu zebrać myśli: nie takie mi przychodzą, którebym zapisać rada; i nim zacznę, czas minie. Na tyle obowiązków, zatrudnień, interesów, zabaw, dzień powinienby mieć z jakie czterdzieści godzin; często razem jest kilka rzeczy: obiad, teatr, bal, nie rachując jeszcze wizyt koniecznych: aż się w głowie przewraca. Gdyby nie Szambelanova, nie wydołałabym połowie tego, co mam codziennie do ułatwienia; ale ona poczciwa, czasem dwa razy dniem przyjeżdża, pomaga mi, przypomina, wyręcza, a co najważniejsze, myśli wraz ze mną o mojej toalecie, i sama głowę mi ubiera. Już nie wiem z kąd konceptów bierze, ale zawsze coś takiego wynajdzie, żem ślicznie ubrana. Na drugim balu pod *Blachą*, mogę śmiało powiedzieć żem była najpiękniej i co się zowie do twarzy. Cała suknia w blaszki szyci, a na głowie lekki zawój seledynowy; przy świetle wydawało się wybornie, nie poznawałam sama siebie, kiedym się spotykała w zwierciadle: przezwano mię Roxolaną. Miłe to jednak uczucie widzieć, że się jest dobrze; zwłaszcza kiedy są tacy co przecie mają oczy, i kiedy są poczciwe serca, co szczerze z tego się cieszą. Prawda, stroje kosztują, zwłaszcza paryzkie; czasem coś mi szeptem, że sprawiam zawiele, że możnaby parę razy być jednako ubraną; ale z drugiej strony, wiele osób starszych i więcej doświadczonych odemnie, utrzymuje: jako jest koniecznym obowiązkiem bo-

gatyh, stroić się, skupować, choćby téż to kto zbytkiem nazwał. Tego obowiązku dopełniam wiernie, wydałam od dawna com tylko miała i zadłużyłam się po uszy.

Korcą mię czasem te piérwsze w życiu długi; nieraz jak się obudzę, niewiedziéć zkąd stają mi na myśli; Szambelanowa mię uspakaja, mówiąc słusznie o blizkim końcu zapust i przytaczając własne mego ojca przysłowie: „kiedy wejdiesz między wrony, krakajże jak i ony.“ A wszystkie damy długi robią. Szambelanowa mówi, iż inaczej być nie może, bo świat na kredycie stoi, i wiele innych tym podobnych rzeczy, których ja zupełnie nie pojmuję, ale im wierzę chętnie. Przykro mi jednak bez piénieędzy, zwłaszcza, iż na okazjach do wydatku nie brak. Kiedy już kto ma tę nieszczęśliwą sławę, że bogaty, chwili mu nie dają spokoju. Ze wszech stron, kwesty, składki, loterye, pożyczki, dziwne często pretensye: nieraz już mi się przykrzy. A oprócz tego po jałmużnie tylu przychodzi! Kiedy nawet z klucza Modrogórskiego trafiają; któraś wioska zgorzała i przychodzą tu do mnie po prośbie; odesłałam ich do komisarza: miałam napisać do niego polecając ich, i jakoś wyszło mi z pamięci. A w mieście co żebraków! nietylko około pałacu, ale gdzie się ruszyć: w kościele, w sklepach, po ulicach, wszędzie piszczą i przeszkadzają.

Z początku dawałam choć po dydku każdemu co mię prosił, ale mię Szambelanowa ostrzegła jakoby to była rzecz bardzo szkodliwa: zachęca się tym sposobem próżniactwo, i Bóg wié jakie występki. A ponieważ ona jest bardzo miłosierna, bo zawsze broni niższe klasy, i niéma prawie dnia, żeby odemnie, albo od Ludwika, czego dla jakiejś biédnej familii nie wyprosiła, więc jęj zupełnie wierzę. W dobry czas mi to powiedziała, bo nie miałabym co dawać; i teraz kiedy mi przykro jak odmawiam, przypominam sobie jęj słowa na pociechę. Dziś jednak bolesno mi było odprawić bez niczego ubogą kobiétę z dzieckiem napół zmarznietém;

przysięgała mi się, że na te tęgie mrozy nie pali wcale w swojej izdebce, gdzieś na Starém Mieście; a dwoje ma dzieci, prócz tego co karmiła, i na które patrząc, serce się ścisnęło. Mąż jój Jan lokaj, umarł; dawniej trudniła się praniem dla kawalerów; ale na jego chorobę wszystkie statki sprzedała i teraz jest bez sposobu. Pożyczyłam parę złotych od Wroczyńskiej, kazałam jój dać jeść i starzyzny, i może na lato wezmę ją na wieś. Dobry Ludwik przyszedł właśnie jak prawie codzień, kiedy biedna Janowa odchodziła; widziałam zdaleka jak wsunął jój coś w rękę, i rozmawiał z nią. Przy pozorach lekkich i małych śmiesznościach, serce ma anielskie. Wreszcie wszyscy znajdują, i on to sam z zupełną szczerością przyznaje, że się odmienił nie do poznania od jakiegoś czasu...

Miałabym wielką ochotę być u tój biednej kobiety; wreszcie ciekawam, co on téż z nią mówił, bo powiedzieć mi nie chciał; ale pocóż pojedę, jak się zamówię? jeżeli jój nic nie zawiozę... Przykro bez pieniędzy. Podobno usłucham Szambelanowej, i poślę po prostu do kasyera po jakie sto dukatów; powiadała mi że pan Leon sobie czasem na jeden wieczór więcej przegra; czegoż ja mam biédować? Poślę jeszcze dziś. Rodzicom tego teraz nie powiem; oni sobie siedząc w kąciku, jak u Pana Boga za piecem, wielu rzeczy nie rozumieją; a tak mało teraz ich widuję, tak się zawsze spieszyć muszę, żebym nie mogła im tego jasno i dobrze wytłómaczyć; nie chciałabym ich zaś ani rozgniewanych, ani zasmuconych odjechać. Uszczęśliwieni oboje z moich powodzeń, choć czasem boją się, żeby mi zabawy i niewczasy na zdrowiu nie szkodziły. Schudłam, prawda, ale ktoś powiada że mi z tém bardzo dobrze. Rodzice wiedzą teraz jeszcze więcej o mnie niż z początku: nie sposób samój wszystko mówić o sobie. Ale Szambelanowa koniecznie mię prosiła żeby ją zawieźć do nich; bywa często, i ciągle o mnie

rozpowiada takie nawet rzeczy, których ja czasem i nie uważałam. Lubo kochana matka, dawnych przyjaciół trzymać się lubi, i zapowiedziała z góry, że jej wizyty nawzajem nie odda; przecież przyjmuje ją chętnie, równie jak i Ludwika, którego tam znowu Szambelanowa wprowadziła...

Ale ja zapominam się, bazgrzę Bóg wie co, a to już jutro mój bal: mam jeszcze z dziesięć liścików napisać, i różne wydać rozkazy. Jeszcze nie wiem jak się ubiorę, nie nié mam; aż głowa pęka. Szambelanowa śmieje się z moich kłopotów i powiada, że mi ich wszyscy zazdroszczą. Mam moje chwile bardzo przyjemne, rzecz pewna; ale téż są i drugie takie, że sobie rady dać nie mogę; sama nie wiem co mi jest: czasem zaczynam myśleć, czy to nie spazmy? Zabawa na wszystko pomaga; bawiąc się o wszystkiém człowiek zapomina: doskonałe lekarstwo. Ach! onegdaj jakże się zabawiłam wybornie! Byłam piérwszy raz na francuzkim teatrze. W nieszczęśliwój mężatce kochał się szalenie piękny młodzieniec; i dobrze się sztuka skończyła, bo mąż zginął w pojedynku, a kochankowie się pobrali. Aktorowie wyborni: miejsca takie czułe i prawdziwe.

Zdawało mi się że jestem w eleganckim salonie; zapominałam zupełnie że to nieprawda, i zapewne szczerém uniesieniem mojm ściągnęłam najwięcej uwagę parteru. Patrzano się bardzo do naszej łoży; już to gdzie się ruszę, zaraz się patrzą, czasem do znudzenia. Byłam z panią Tyszkiewiczową, która przepada za francuzkim teatrem, i jak mówią, gra lepiej od najslawniejszych paryzkich, Mars, Raucourt. W post będzie teatr towarzyski czy przyjacielski (*de Sociéte*), jak zwykle co rok bywa; już i mnie przeznaczają rolę. Tegobym się trochę bała; dotąd od wszelkiego występowania bronię się: jeszcze żadnego tańca solo nie tańczyłam, choć mi o to ciągle męczą, osobliwie o *szala*. Szambelanowa powiada, że jestem już na takiój stopie, że mi

wszystko ujdzie, wszystko dobrze znajdą. Podobna pewność wiele odwagi dodaje. Wczoraj wysłuchałam przypadkiem jak ktoś mówił o mnie: *Elle fait fureur*. Dziwny ten sposób mówienia francuzki, ale to największa pochwała.“

14 Lutego. „Wracam z teatru i w nowém jestem zachwyceniu. Miałam być na balu u pana Szodrskiego, ale zrobił się spisek, i zamiast na bal, całe nasze ścisłe towarzystwo pojechało do teatru, a ztamtąd na kolacyą do pani Moniki Grabowskiej. U pana Szodrskiego musi być tłok okropny, bo zaprosił wszystko co żyje w Warszawie; kiedy nawet moi rodzice, których nikt nie zna, dostali bilet inwitacyjny. Nieborak! jeszcze po moim balu, wszyscy mówią, że się źle wybrał. Mnie się powiodło nad podziw; prawda, zadałam sobie nie mało pracy. Jeżeli mam wierzyć powszechnym pochwałam, a czemużby nie wierzyć? rolę gospodyni odegrałam bardzo dobrze; ubrałam się nawet poważniej niż zwykle: w suknię białą atłasową z puszką łąbędzim w około, u gorsu i u rękawków, a na głowie takż puszek i perły.

Prócz polonezów, nie tańczyłam do samėj kolacyi, a to żeby nikomu nie uchybić, żeby uważać aby wszyscy wszystko mieli, i żeby te biédne panny, co zwykle siedzą, choć raz się wytańcowały. Dopiero téż po kolacyi, bal był prawdziwie ożywiony. Ludwik dowodził, pan Wojewoda zachęcał i szaleliśmy jak jeszcze nigdzie. Leon spać sobie poszedł, nie wiem nawet kiedy; ja kazałam okiennice pozamykać i dopiero o dziewiątej się rozjechali po doskonałym drabancie. Po tym balu byłam bardzo zmęczona, leżałam w łózk do trzeciej. Wroczyńskiej przyśniło się żem chora; z całą swoją poczciwością czasem jest nieznośna: kazali szwajcarowi nie przyjmować, i cały dzień wczoraj nie widziałam nikogo. Nie pamiętam w życiu dnia tak nudnego. Ja-

dłamał obiad o piątą sam na sam z Leonem, który jak zwykle był czy smutny czy też co pewniejsze, w złym humorze; zaczynał coś gadać, ale nie kończył: ja się nie bardzo wypytywałam. Pan Wojewoda i Szambelanowa wyprawili mię spać o dziesiątą; położyłam się, oka zmrużyć nie mogłam; przeczytałam za to od deski do deski *Adele de Senange*, nowy romans pani *Flahaut*: prześliczna historia! Mąż stary i nieoszacowany, niema wcale za złe młodej żonie, choć ona się kocha w pięknym lordzie; umiera sobie szczęśliwie, a im błogosławi. Dziś wracając z teatru turbowałam się, że położywszy się, nie będę miała co czytać; przyjeżdżam i zastaję na gotowalni najmodniejszy romans pani *Cottin*: „*Amelie Mansfield*.“ Odeszłam Wroczyńską i będę czytać choćby całą noc: w dzień tak mało czasu.“

We Środę, w dzień Popielca. „Dwa tygodnie nic tu nie zapisałam; to rzecz niepojęta! kiedyż one minęły? Dziś Popielec. Wczoraj karnawał już się skończył: szkoda. Jak teraz myślę, nie mogę sobie doprawdy przypomnieć com robiła, com widziała przez ten czas? przecież jednej chwili nie miałam dla siebie, jedno za drugim szło bez przestanku. Obiadów, balów, herbat tańczących ani rachuję, ani pamiętam. To wiem, że byłam kilka razy w teatrze, zawsze z równem zajęciem, i że przez te cztery dni ostatnie bawiliśmy się wybornie. W Sobotę było kassyno u Ledoux, na Długiej ulicy, w pałacu Prota Potockiego. Są to bale za pieniądze, ale bardzo przyzwoite. Mało tańcowałam, wolałam rozmawiać i przypatrywać się. Ludwik mnie ostrzegł że tak zrobić wypada; zabawiłam się jednak przedziwnie, gadaliśmy sobie, i zajmował mię widok tyłu nowych osób. Myślałam, że już znam całą Warszawę, a tam mnóstwo

było pięknych kobiet dobrze ułożonych i modnie ubranych, których nigdy nie widziałam. W Niedzielę mieliśmy bal przebrany pod *Blachą*; żadnej damie nie pozwolono przyjechać we własnym ubiorze. Ja byłam za pasterkę alpejską. Kasztelanowa, która ciągle jest chora i podobno na nieuleczoną chorobę, koniecznie mnie o to prosiła, a mimo cierpienia zajęła się sama moim strojem. Miałam duży kapelusz słomiany, włosy założone gładko na czole, dwa warkocze spuszczone z tyłu, spódniczka krótka ponsowa, gorsecik czarny, złotym łańcuszkiem szeroko sznurowany, koszulę muślinową białą, rękawki do łokcia krótkie fałdziste, mitenki siatkowe czarne.

Było mi dobrze, i szczególna rzecz! daleko się jest śmielszym w stroju przybranym! możebym nie powtórzyła w zwyczajnym ubiorze, tego, com mówiła pod owym ogromnym kapeluszem. Pani Tyszkiewiczowa chciała, żeby się każdy przeistoczył w osobę, której wziął ubiór; i mnie to bawiło udawać dziewczeczkę, która prosto z gór samotnych przybyła i dziwi się wielkiemu światu. Jakżeż chwytała i chwaliła wszystko com powiedziała! Sam pan Leon zbliżył się kilka razy i parę słów grzecznych przez zęby przepuścił. Może mu przypomniałam kogoś miłego; szwajcarskie i włoskie wspomnienia zawsze lubił.. Szambelanowa była za wróżkę; niepojęty ma rozum; na cały wieczór starczyło jej konceptów: nie jednemu przypięła łątkę, czasem złośliwie, ale zawsze dowcipnie. Mnie także wiele rzeczy nagała i obiecała szczęście najwyższe, szczęście wybranych, jeżeli będą chciała. A któżby nie chciał! Księżna Radziwiłłowa z Nieborowa była za sławną *Ninon de l'Enclos*; miała suknię białą, na siwych włosach wieniec z róż, a na odkrytej szyi i zupełnie gołych rękach pyszne perły. Moja matka nie chciała mi wierzyć jakem jej ten strój opisywała; księżna Radziwiłłowa z piętnaście lat od niej starsza. Wszyscy przecież unosili się nad trafnością tego stroju.

Lecz jeszcze daleko więcej od balu pod *Blachą* zachwycił i mnie i wszystkich, wieczór w ostatni Wtorek u pani Aleksandrowej Potockiej. Sam wybór elegancyi został wezwany. Była to surpryza dla Księcia, a więcej jeszcze dla pani Tyszkiewiczowej, która przepadała tak za dawnym dworem i za czasami Ludwika XIV, jak za teatrem francuzkim. Już od kilku tygodni pani Aleksandrowa układała ten wieczór i wyznaczyła każdemu z nas rolę i ubiór. Działo się to niby w Wersalu, w pokojach *Madame Henriette d'Angleterre*, która zebrawszy około siebie wszystko co miał najświetniejszego dwór ówczesny, czeka odwiedzin królowej i króla.

O godzinie ósmej stawiliśmy się wszyscy. Pokoje były przybrane ile możności w guście owego wieku, a stroje naśladowane ze sztychów francuzkich, a więcej jeszcze z romansów pani Genlis. Jam była Walierą: włosy rozpuszczone i kręjące się, sznur pereł z trzema gruszkami na czole, suknia fijałkowa atłasowa z mnóstwem koronek spadająca z ramion, ogromnie szeroka i fałdowana w spódnicy, wcięta i długa w stanie. W domu się to robiło, pod dyktando Szambelanowej, i udało się doskonale. Nigdy nie myślała żem taka cienka, dwanaście cali mnie obejmie; bardzo korzystne dla figury długie stany, choć przyzwyczajaiwszy się do krótkich, dziwnie wyglądają. Szambelanowa była *la grande Mademoiselle*, pysznie ubrana: dałam jej moje brylanty. Pani Bronikowska była panią *Montespan*, księżna Ludwikowa panną *Fontange*, pani Stasiowa Potocka panią *Sevigné* i t. d. i t. d. Mężczyznom także dano role: Ludwik był *Lauzun* i było mu bardzo dobrze, Leon *Monsieur*, i t. d. Mieliśmy nawet *Rasyna* i *Moliera*, a byli niemi panowie *Baumont* i *Fonbrune* w ogromnych perukach. Pani Aleksandrowa, a raczej *Madame Henriette*, cała jaśniejąca świeżością i klejnotami, usadowiła nas zupełnie jakby na prawdę. Jedne damy złoto wykręcały, drugie siedziały

około kominka; niektóre rozmawiały z mężczyznami. Biędnój Walierze kazano dumać samotnie i spoglądać ukradkiem na wielki portret Ludwika XIV. Stół do gry nągotowano i dwa wyższe krzesła z podnózkami dla obojga królestwa. Słowem, wszystko było w porządku i mówiliśmy właśnie o zdziwieniu Księcia i pani Tyszkiewiczowej, kiedy otworzyły się podwoje i szambelan pani *Henriette*, którym był pan Adam Walewski, zawołał wielkim głosem: *Le Roi!* Wszyscy wstajemy, patrzymy; ale jakież zadziwienie nasze, kiedy w samej rzeczy wchodzi Ludwik XIV, tak zupełnie ubrany jak na portrecie, z królową i z dworzanami.

W pierwszym momencie zdurzałam, podobno i drudzy tego wrażenia doznali, choć się nie przyznają. A to pani Tyszkiewiczowa i pani Vauban dowiedziały się przez panny służące o projekcie pani Aleksandrowej; przypuściły do sekretu pana Wojewodę, ubiory sporządzić kazały, i namówiły Księcia żeby zrobić figiel na figiel. Łatwo pojąć jakie ztąd wynikły śmiechy, żarty, rozmowy; co Waliera komplementów się nasłuchiwała. Prawdziwie nie wiem sama dobrze dlaczego, ale byłam pomieszana jak nigdy jeszcze; oczu nie śmiałam podnieść na nikogo, ciągle byłam w płomieniach, wiele osób myślało że taką jestem umyślnie i wynosiły pod niebiosa mój talent aktorski. Książę, to jest Ludwik XIV, prawdziwie po królewsku się znalazł. W ciągu wieczoru zapowiedział loteryą, kazał rozstawić stoły i wniesiono dwa staroświeckie kosze: w jednym było tyle nazwisk ile dam obecnych, w drugim tyleż fantów. *Louvois* (pan Wojewoda) ciągnął nazwiska i czytał je na głos: król brał fanty i rozdawał je kolejno. Pierwszy i najpiękniejszy ofiarowano oczywiście pani Henryecie; ale i Walierze aż nadto piękny się dostał: śpilka z motylem z pereł i szafirów; nie mogłam sama jedna odmówić, kiedy wszystkie damy przyjmowały; wpięłam go więc w stanik i Książę powiedział grzecznie i żartobliwie: *Vous l'avez fixé*. Ale potem miałam

wielką ochotę rzucić gdzie w kąć owego motyla; bo mię gniewało powtarzanie na różne tony, i przez różne osoby tego królewskiego komplementu. Trwała zabawa do północy; tańczyliśmy tylko menueta; przydały mi się pierwszy raz nauki starego Kurczyńskiego: mój taniec miał sukces zupełny.

O północy była kolacya w gabinecie pani Aleksandrowej, ale tylko dla kilku wybranych osób; reszta kompanii pojechała na redutę; ja nie chciałam ani kolacyi, ani reduty. Kochana mama, która trochę skrupulatka, przypomniała mi rano, że w ostatni Wtorek o północy to już post, i nie należy jeść mięsa i bawić się. Nikt mi nie chciał wierzyć kiedym to mówiła, i nawet kilka osób śmiało się ze mnie; ja też nie wiele myśląc, wymknęłam się nieznacznie, i choć mi bardzo żal było, pojechałam do siebie. Szambelanowa, której jednę tylko się zwierzyłam, włożyła moje domino na swoje, a że zupełnie mego jest wzrostu, może ją tam kto wziął za mnie; chociaż pewna tego jestem, byli tacy co się nie pomylili. Ja tymczasem spałam, a raczej marzyłam. Kiedy mi się zdarzy chwilka do jakiegoś zastanowienia, tyle obrazów i myśli powstaje w głowie, że aż czasem strach mię bierze, żeby się to wszystko nie pomieszało... Tyle wypadków, wrażeń na każdy dzień.... A i to co się czyta, co się na teatrze widzi, także jakby za prawdę i rzeczywistość uchodzi! Cóż dopiero mówić o tém co się widzi i słyszy, a widzieć i słyszećby się nie chciało.... Ale temu dajmy pokój.... Kiedy sobie wspomnę, jakie spokojne i jednostajne życie prowadziłam rok temu o te czasy, nie chce mi się wierzyć, żeby to ta sama była Warszawa, i ja ta sama. Kto wie, czybym już chciała wracać do owych czasów.... Lubo wtedy byłam szczęśliwsza, to jest spokojniejsza. Jakaż cicha, długa mi się dziś wydaje przeszłoroczna zima... Na wielkim świecie żyjemy zaprędko, i szkoda; zrobiliśmy razem tę uwagę one-

gdaj na balu; on dobrze mówił: „Kiedy się zdarzą chwile przyjemne, wartoby z każdej minuty godzinę zrobić, a to przeciwnie się dzieje: godziny zbiegają jak minuty.“ Zapomniałam powiedzieć w swoim miejscu, że onegdaj w ostatni Poniedziałek, kawalerowie dawali piknik, bal składkowy dla dam. Ludwik był pierwszym gospodarzem. Bardzo było suto i wesoło, a ci panowie tak byli grzeczni, iż każdy z nas wydawać się mogło, że ten bal dla niej jedynie. Ja przynajmniej mimowolnie miałam i mam takie przekonanie. Wszystko było co lubię i jak lubię. Sala w niebieskie kolory przybrana, pełno kwiatów, muzyka wyborna, posadzka jak szkło, lody ananasowe. Szambelanowa była gospodynią.

Teraz kolój na teatru, na koncerta, na małe wieczory, na gry pisane, na szlichtady. Już dziś wszyscy jadą do Willanowa gonić karnawał, według dawnego warszawskiego zwyczaju. Sanna wyborna. Leon, nie wiem z kąd, chciał mię powieźć w swoich nowych sankach, ale podziękowałam. Postanowiłam sobie dziś, jako w wstępną Środę, nie być nigdzie, nie widzieć nikogo. Byłam w kościele, teraz pojedę do rodziców, a o dziesiątej pójdę spać. Kiedym to mówiła Leonowi, zapytał z dziwną jakąś miną: „czy reduca mię tak zmęczyła?“ Zaczął mi gadać jakieś morały i jakby nie chciał wierzyć, że moja noga na reducie nie powstała. Mniejsza o to. Widać Szambelanowa dobrze mię udawała. Wreszcie w duchu wcale się o tę pomyłkę nie gniewam; niech myślą żem była: Szambelanowa straszyla mię już, że mię bigotką przezwą za to, że się chcę odróżniać od innych.“

3 Marca. „Wszyscy są dotąd przekonani, żem intrygowała doskonale na reducie; każdy cytuje moje dowcipne słówka, prześladuje mię, tłómaczy się; nikt ani chce wierzyć, że to Szambelanowa. Ale bo ona zmieniała domina:

raz była sobą, drugi raz mnie udawała, czém wszystkich wyprowadziła w pole i całą redutę zajęła. Już mnie znużili temi żartami i wymówkami; już się nie spieram, zwłaszcza że przecie jest ktoś, co wierzy, że to nie ja byłam. Wczoraj w południe mieliśmy szlichtadę, żeby mi nagrozić środową. W drodze zimno mi dokuczalo. Jechałam z księciem Walentym, ale za powrotem zabawiliśmy się przedziwnie. Dla rozgrzania zatrzymała się cała kompania przed Wiejską kawą, i tam zastaliśmy paradne śniadanie; ostryg było bez liku; mówią że staniały: sto kosztuje pięć dukatów; nawet nie po złotemu sztuka; niektórzy też panowie zjadali po kilka tuzinów; szampana, porter pili jak wodę, ale potem byli weselsi: ledwie o piątą wróciliśmy do domu. Dziś jadę na teatr francuzki, na jutro układa się znowu szlichtada; sanna ciągle się trzyma, trzeba korzystać: nie wiem komu znowu losem się dostanę, bo na losy ciągniemy z kim każda z nas ma jechać. Ludwika i sanki i konie najpiękniejsze. Śliczny mam ubiór do sanek: szubkę atlasową różową z sobolami i różowy kapelusz z welonem tiulowym. Pojutrze wielki wieczór u pani Sobolewskiej, będzie koncert amatorów; obiecują że się da słyszeć panna Maryanna Wołowska, młoda osoba, która ma grać wybornie na klawikordzie. Pan Husarzewski, znany z muzycznego talentu, wtorować jej będzie na skrzypcach. Śpiewać będzie pani Dydyńska, pan Bystry, który układa sam śliczne piosnki, i księżę Ludwik Radziwiłł.

O teatrze przyjacielskim nie żartem myśli pani Tyszkiewiczowa. Mamy grać sztuczkę Pikarda; bo rada nie rada musiałam obiecać że grać będę. Słowem zabaw i zatrudnień zawsze pełno. Z postem ta jedna różnica, że nogi wypoczywają, i że już regularnie codziennie bywam w kościele. Chętnie zachowuję ten pobożny zwyczaj, bom się przekonała jak wiele może dobry przykład: ktoś co nigdy w kościele nie bywał, teraz codziennie jeszcze pierwój odemnie

przychodzi. To pociecha i zasługa. I tak mi przyjemnie, że w jałmużnach mię wyłącza... Ja znowu jestem bez pieniędzy. Ojciec dał mi zwykłą miesięczną pensyą; wzięłam drugie sto dukatów od kasyera, ale zaledwie tém opłaciłam pilniejsze długi. Szambelanowa radziła żeby wszelkie opłaty zatrzymać do lata; tymczasem jak się zaczęli schodzić kupcy, jubilerzy, modniarki, szewcy, krawcy, płaciłam dopóki starczyło: samych trzewików atlasowych zdarłam do czterdziestu par, a każda po ośm złotych, bo od Szmulskiego. Tego wydatku mi nie żal, bom się wytańcowała, i moja nóżka zrobiła się sławna. Wyratowałam jednego dukata dla owęj biednej Janowej ze Starego-Miasta; pojechałam któregoś Piątku, do Fary, a potem do nięj z Wroczyńską; jakież było moje zadziwienie, a raczję jaka radość, kiedym ją zastała w ciepłej izdebce wcale porządnej, opatrzoną we wszystko co potrzebne do jęj rzemiosła i właśnie przy robocie. Nie trudno było odgadnąć dobroczyńcę. Jak go tęd błogosławiła! a jeszcze jęj powiedział, że to wszystko w polowie odemnie. Kiedym mu wymawiała owc zmyślenie, wyznał tak szczerze i serdecznie, iż dawnięj dopóki mię nie poznał, ani mu się śniło o podobnych uczynkach, a zatęm cała ich zasługa mnie się należy, że nie sposób było się gniewać.“

6 Marca. „Wieczór u pani Sobolewskiej bardzo był przyjemny, koncert udał się doskonale. Panna Wołowska gra wprawnie i z wielkim gustem, aż mię zazdrość brała a przytęm piękna i ślicznie ułożona. Głos pani Dydyńskiej podobał mi się niezmiernie, prosto do serca idzie; kiedy śpiewała *Skowronka*, wszyscy byli rozczuleni. Muszę koniecznie nauczyć się tęj piosnki, i *Te brzoza kilka*, pana Bystrego. Ale chyba znowu metra sobie przyjmę, bo samęj strasznie mi się pracować nie chce. Ksiązę Ludwik śpiewał jak zawsze,

uczenie i wesoło. Wiele mówiono wczoraj o jednej roman-sowej przygodzie, której początek już słyszałam po kilka razy, teraz koniec jój się gotuje. Pani Genlis zrobiłaby z tego interesującą powieść. W początku téj zimy, dwie nasze panie, nie wiem po co i dlaczego jechały przez Szulec, i zatrzymały się przed jedną kawiarnią, prosząc żeby im szklankę wody do powozu podano. Wyniosła ją wnet dziewczyna piękna jak anioł, czarnych oczów, włosów ciemnych, rysów twarzy malarskich, białości śniegu, świeżości róży, giętka, wysmukła, słowem żywa heroina. Gdy przemówiły do niój, odpowiedziała im głosem miłym, skromnie i przyzwoicie. Tego samego dnia, gdzieś na wieczorze opowiedziały swoją przygodę. Zaraz nazajutrz, nie jeden z młodzieży poleciał na Szulec, a każdy znajdował ją cudniejszą niż sobie wystawiał; tém bardziej że piękna Ignatowska (bo tak się nazywa) uczciwa i niewinna, żadnych ofiar przyjąć nie chce, i wszystkich paniczów zbywa. Sam Książę do niój zajeżdżał, chciał ją wynieść z jój stanu, łożyć na jój edukacyą; ona to wszystko odrzucała, powtarzając, że chce zostać przy swoim ubóstwie i przy cnoście. Ale co w tych dniach najlepszego się stało? Przyjechał tu młody, zacyjny, i wcale majętny syn obywatelski, pan Trz.....; wraz z inną młodzieżą pojechał zobaczyć piękną kawiarkę, a jój wdzięki i skromność wzbudziły w nim rzetelną miłość. Oświadczył się o jój rękę, i żeni się.

Wiele osób ganiło ten krok jako nieprzyzwoity, Ludwik go chwalił i powiedział mi cicho, że na miejscu pana Trz....., zrobiłby to samo, bo nie ma na świecie szczęścia jak w cnotliwej i wzajemnej miłości. Jakże łatwo temu uwierzyć!.. Szlichtada wczorajsza niekoniecznie się udała; jechałam w sankach pana Adama Walewskiego, mamy zrobić wielką za trzy dni: może będzie pomyslniejsza.“

Tego samego dnia w wieczór. „Co ja też nasłuchiłam się dziś o Paryżu, to aż mię jakaś niecierpliwość, jakaś chęć niepojęta wzięła żeby tam jechać; i muszę jechać jeszcze w tym roku: to nic nie pomoże. Tyle osób tam jedzie, dlaczegoż ja jedna mam być taka nieszczęśliwa? Prawdziwie, kto Paryża nie zna, nic nie zna. Przyjechało ztamtąd właśnie wczoraj trzech z pierwszej naszej młodzieży, byli pod *Blachą*, i cały wieczór nam gadali o tych cudach. Jakie to teatra, jakie zabawy, jakie bale, co za stroje! jakie ulice! co za sklepy! jaki ruch! jakie życie! Doprawdy, nas kilka cośmy jeszcze Paryża nie widziały, jakby wstyd ogarnął, i dałyśmy sobie słowo że go poznamy. Ludwik obiecał być przewodnikiem: już tam jeździł dwa razy. Trzeba będzie niebawem pomyśleć, jakby to wszystko najlepiej ułożyć. Leon pojechałby chętnie, przynajmniej dawniej wspominał że na wiosnę jechać chce za granicę; ale sami, we dwoje tylko, nie mielibyśmy wiele przyjemności... Najgorsza będzie bięda z moim ojcem: strasznie się rzuca i gniewa, kiedy o Paryżu mowa, i już końca niema jak zacząć wyliczać ile to szkody przynosi krajowi, że panowie nabierawszy w ubogiej Polsce pieniędzy, za granicą je trwonią. Z przeproszeniem kochanego papy, mnie się zdaje, że ma swoje przesady jak zwykle osoby w wieku. Najprzód, Polska wcale nie uboga, przekonałam się o tém téj zimy na tyłu balach i wieczorach; potém, doprawdy, że od tych biednych panów, to znowu chcą Bóg wie czego: wszyscy na nich. Czyż panom nie ma być wolno robić ze swoim majątkiem co im się podoba? czyż to nie jest ich własność? czyż tego po rodzicach nie dostali? Otóż ja muszę w tym roku jechać do Paryża, to darmo; i dla większej pewności zapisuję tu, że dziś, 6 Marca dałam sobie takie słowo. Pszenica popłaca w Gdańsku: będą pieniądze. A wreszcie z dzisiejszym rządem taka jest łatwość pożyczania na do-

bra, po dwa i pół od sta; to rzecz doskonała: korzystają też niepomału nasi panowie z tego dobrodziejstwa.“

14 Marca. „Tydzień cały nie pisałam notatek. Pamięci tych dni odnawiać nie myślę. Oby je zapomnieć jak najprędzej wraz z całą tą zimą, a lepiej jeszcze nagrodzić, gdyby można... Jakież ja wieczór, jaką noc przeżyłam... Dziwię się, że żyję... O! ciężko mi bardzo... nigdy jeszcze takiej boleści nie znałam... A przecież prawdę mówiąc, wczoraj, onegdaj, tydzień temu, przez całą tę zimę smutną i nieszczęśliwą być należało, a dziś cieszyć się i dziękować Bogu. Dziś, prawdę widzę koło siebie, dziś więc, lepszą jestem niż byłam wczoraj, a przynajmniej; pragnę gorąco być lepszą. Ale to tak okropnie tyle złego o sobie się dowiedzieć... wstydzić się przed sobą i przed kim drugim... Mnie jeszcze, co tak ufałam sobie, tak byłam siebie pewną. Pan Bóg mię skarał. A jak na moje nieszczęście, nie mogę iść zaraz do Spowiedzi. Ksiądz Onufrego nie ma w Warszawie; zapewne nie przyjedzie aż na Święty Gabryel: samój tymczasem radzić sobie trzeba, i z całych sił wracać na dobrą drogę, być taką jaką byłam dawniej... Ponieważ najlepszy sposób poprawy wzięść w kluby nie tylko uczucia i myśli, ale i momenta swoje, postanowiłam czas pędzić użytecznie i regularnie; próżnowanie, nieład najwięcej mię zgubiły... Będę tedy wstawiała koniecznie przed ósmą i zaraz po kawie pojedę do najbliższego kościoła z Wroczyńskiej; tak rano to przecież nikt się nie dowie. Tam będę się modlić z uwagą, bo pacierze ustami tylko odmawiane na nic się nie przydadzą; będę Boga prosić gorąco o pomoc i światło.

Wróciwszy, zamknę się u siebie do samego obiadu, i dla nikogo drzwi otworzyć nie dam, chyba dla pana Wo-

jewody, albo dla biédnego Leona. Przeczytam rozdział z „Drogi do życia pobożnego“ urządzę domowe interesa, pozapisuję swoje wydatki, rozdám robotę moim kobiétom; od jakiegoś czasu ani wiem co wydaję i na co, ani wiem co słu¿ące robią: codzién napiszę coś w tych notatkach, a będę się starała żeby przecie¿ coś ciekawszego jak o balach i strojach; będę grać i śpiewać, obejdę się i bez me- tra jak przypracuję; wszak w Modrogórze tak mi dobrze szła muzyka: będę się uczyć roli do téj utrapionéj komedyi francuzkiéj, którą mamy grać niezawodnie za piętnaście dni, jak wczoraj zadecydowano na owym nieszczęsnym wieczorze pod *Blachą*. Bilecików chcę pisać jak najmniej: to strata czasu i próżna ramota. Po obiedzie, jeżeli w domu, zostanę parę godzin w salonie, i będę robiła robotę; od nowego roku igły nie miałam w ręku. Po obiedzie zaraz, wizyt niéma, może Leon posiedzi jak dawniej przy moich krosnach i co mi poczyta. Nałożyłam kapciuch dla wujaszka Gabryela, nadchodzą jego imieniny; co rok coś pięknego dla niego robię i posyłam z podarunkiem kochanéj matki; tego roku o wszystkiém zapomniałam: przysiedzę i skończę muszę, choćby w nocy. Około wieczora, nim się wizyty zacząną, ubrawszy się pojedę do rodziców z robotą, powóz odeślę i zabawię u nich jak najdłużej. W rozmowie, w przedstawianiu z niemi, umysł skrzywiony mi się naprostuje. O Boże! Boże! już i im zaczęłam uchybiać... prawdziwie, aż się brzydę sobą!... Ale wracajmy do rozkładu mego dnia.

Gdziekolwiek wypadnie być koniecznie, czy z wizytą czy na wieczór, będę się przysiadac do powa¿nych osób, będę jak dawniej więcéj słu¿ać niż mówić; a czy w polskiej czy w francuzkiéj rozmowie, będę ważyła każde słowo. Praca, porządek, milczenie, to trzy skarby kobiety. O ile przyzwoitość dozwoli, będę wracała do domu jak najwcześniej; powiem żem słaba... nie, nie powiem tego, poco kłamać: powiem że tak robię dla postu; przecie¿ przepisów ko-

ściola słuchać należy. Zechcą się śmiać ze mnie, niech się śmieją; lżejsze wszystkie śmiechy ludzkie od jednej wymówki sumienia. Romansu żadnego ani otworzę; pójdę zaraz spać pomodliwszy się: czytanie i pisanie wieczorne ze snu wybija i nie dobre myśli napędza. Dziś przedziwnie mi się dzień układa; jesteśmy na obiedzie z Leonem i z panem Wojewodą u kasztelanowej Połanieckiej. Staropolska ta pani zawsze żony z mężami prosi; niech jój Bóg da za to i za wszystko jak najdłuższe zdrowie!⁴

15 Marca. „Wczorajszy dzień zszedł mi prawie tak jak zamierzałam a nawet daleko przyjemniej niż się mogłam spodziewać, niż zasłużyłam. Około południa był Kasztelanic, bo już tak znowu zwać go będę; nie przyjąłam go, pod pozorem uczenia się roli, równie jak i kilku innych osób. Przyjechała potem Szambelanowa i prawie gwałtem weszła; nie chciałam z nią jechać do kupców jak miała ochotę: już nie sprawiać nie chcę, wolałam dać jój powóz. A jaka mi się nieznośna wydawała, to jakby inna kobiéta. Obiad był co się zowie przyjemny; nie sądziłam żeby mię tak rychło coś do tego stopnia zajęło. Była tam pani referendarzowa Małachowska z mężem; prosto jadą z Paryża oboje; ale nie o modach i teatrach nam gadali, o daleko ważniejszych rzeczach: zdawało mi się że jakąś naukową, historyczną książkę czytam. Napatrzyli się Napoleona, byli na koronacyi. Miał to być widok przepyszny, a co najpiękniejszego, sam Papież namaszczał oboje cesarstwo.

W ogromnym kościele Panny Maryi, który ma być daleko większy od naszej Fary, ciżba była książąt, marszałków, generałów, dygnitarzy, znakomitych kobiêt; oczy bolały od blasku złota i klejnotów. Papież niechętnie przyje-

chał do Paryża, gdzie tyle niedawno bezbożności się działo; tymczasem lud przyjmował go z uszanowaniem, i Ojciec Święty mógł się przekonać, że religia mimo tylu bezbożności nie zginęła we Francyi, tylko osłabła i wnet się podniesie. Napoleon przy wszystkich swoich olbrzymich widokach i tego nie zaniedbuje; dawne kościoły otwiera, nowe zakłada, księży przywraca. Niezmierniem się tém ucieszyła; już teraz śmiało kochać go będę, a z dawna miałam do tego niezmyśloną ochotę i z listów wujaszka Gabryela i z opowiadań Leona i z admiracyi Księcia. Jeżeli się jeszcze sprawdzi to o czém państwo Małachowscy cicho ale z zapalem mówili—o! wtedy każdy Polak będzie go uwielbiał i uzna w nim prawdziwie człowieka nadzwyczajnego, człowieka zesłanego od Boga. Byłabym ich słuchała do późnej nocy; a przecież nie przewróciła mi się głowa, i nie zapaliła tak do Paryża jak wtenczas pod *Blachą*: może też głowa już lepsza... Opowiadali bardzo wiele rzeczy o polityce, o rządzie, o handlu, o całej Europie; nie mogę tego wszystkiego powtórzyć, bom nie dosyć zrozumiała. Muszę znowu czytać gazety; od czasu tych nieszczęsnych zapust, zupełnie ich zaniechałam; podobno i niema gazety polskiej w domu: zaabonować się trzeba. U kasztelanowej Połanieckiej była także pani Sołtykowa, księżniczka Sapieżanka z domu, bardzo znakomita dama z cnót i z rozumu.

Oddawszy jęj piérwszą wizytę i rewizytę, później ani zajrzałam; wymawiała mi to grzecznie, i zaprosiła nas wszystko troje na dziś, na wieczór do siebie. Leon mię odwiózł do rodziców i wstąpił; przed dziewiątą przyjechała Szambelanowa i pojechaliśmy pod *Blachę*. Wmawiali we mnie wszyscy żem zamyślona i smutna; jam to zmawiała na Napoleona i na post. Kontenta byłam jak się zabrano do karteczek. Pani Cichockiej, zwyczajnej i bardzo biegłej lektorki nie było, kazano mi czytać; od czasu jak czytaliśmy w kilka osób, ową francuzką komedya, którą grać bę-

dziemy, została mi się sława dobrego czytania. Teraz mi z tém bardzo dogodnie. Wolę sto razy czytać niż gadać. Niektóre karteczki były śliczne, oczywiście po francuzku; ale co mię zastanowiło: prawie wszystkie miały błędy ortografii. Już ja to dawniej postrzegałam w liścikach dam co do mnie pisują i nie wiem czemu nie dziwiłam się, przecież jest się czemu dziwić, bo kto pisze po francuzku, umieć powinien: ja może stylu nie mam eleganckiego, ale język znam z reguł, tak mnie uczyli poczciwy *Potier* i moja baronowa: nie umiejąc, anibym się odważyła pisać. I pod *Blachą* mówiono o Napoleonie, koronę Włoską mają mu ofiarować w tych czasach: on świat zagarnie. Zdaje mi się że pani *Vauban* nie lubi tego dyskursu, już téż dla jój Ludwika XVIII-go ani nadziei żadnej, ale Księciu zaraz oczy się iskrzą kiedy o Napoleonie mowa, i słyszałam właśnie wczoraj jak z dawnymi wojskowemi o kampaniach jego rozprawił z uniesieniem. Cała młodzież rzuciła stół okrągły żeby go lepiej słuchać, i ja miałam wielką ochotę. Gdyby mnie Bóg był stworzył mężczyzną, jużbym dawno wojowała obok wujaszka Gabryela, i byłabym przynajmniej porucznikiem jak Tadeuszek. A dziś z poruczników—cesarze.“

16 Marca. „Jakże miłe i uczące wieczory państwa Sołtyków, serdecznie żałuję, że nie wiedziałam o nich dawniej. Już teraz żadnego nie opuszczę, podobna zabawa wcale nie szkodliwa, owszem pożyteczna nad wszelki wyraz. Pani Sołtykowa była dla mnie z macierzyńską dobrocią, i chwaliła mnie z nowój rzeczy, z tego: że mówię po polsku. Już to zbytek łaski, bo zdaje się iż niéma nic dziwnego, mówiąc własnym językiem. Prawdę powiedziawszy, dziwić się tym trzeba, co nim nie mówią; boć nie wiem czy jest

naród jaki w świecie od najdzikszych do najoświecieńszych, gdzieby każde dziecko rodowitej mowy nie umiało. Ale i to prawda, u nas są dorosłe i wysoko edukowane osoby, które ani mówią, ani piszą nigdy po polsku. Pierwszy raz wczoraj przyszło mi się nad tém zastanowić. W wielu rzeczach zupełnie się budzę od dni kilku, i otwieram oczy, jakbym się na nowo urodziła; może taniec zbyteczny tak mi głowę zawracał i ćmił wzrok?... Otóż dotąd myślałam że nasi młodzi panowie i panie dla tego zawsze mówią i piszą po francuzku, że to jest język modny, więcej salonowy, wygodniejszy; wcale tego inna przyczyna: nie mówią i nie piszą po polsku, bo nie umieją, a nie umieją, bo pogardzają tém wszystkiem co polskie, w duszy jednak wielu z nich kocha Polskę, i nie jeden dałby się za nią zabić. Proszę to pogodzić. U państwa Sołtyków mówiono obszernie o téj dziwnej i wstydzącej nas chorobie czy manii, którą zasiały nasze królowe, Francuzki rodem, ale która za panowania Stanisława Augusta potężnie wzrosła, i ogarnęła prawie cały wielki ton. Państwo Sołtykowie są z małej liczby panów, co się opierają téj zarazie i pracują nad zaradzeniem jéj.

U nich po polsku mówią, po polsku czytają, przyjmują polskich uczonych i autorów nie pytając kto ich rodzi; co tydzień dają obiady i wieczory literackie, i ktokolwiek się odznacza nauką i talentem, bywa u nich, nawet aktorowie. U nich, jak sami mówią, powstała myśl założenia publicznego Towarzystwa przyjaciół nauk, które od roku 1800 zawiązało się w Warszawie, do ktorego należą wszyscy znakomici uczeni polscy, a którego głównym jest celem przechowanie i doskonalenie polskiego języka. Po domu starego kanclerza Chreptowicza, który także bardzo słynie z opieki dawanéj krajowym naukom, ich dom jest najpiérwszy w tym względzie. Jeżeli kiedy Bóg miłosierny spełni moje tajemne życzenia, nasz dom musi zaraz drugie zająć miejsce; młodzi na młodych moglibyśmy wpływ mieć zbawien-

ny... O! gdybyć to kiedy nastąpiło! Jużbym się Paryża na całe życie wyrzekła. Lecz kto wie czy ja godna takiego i jakiegobądź szczęścia!... Teraz wydaje mi się niepodobniejsze niż kiedy, zrobiłam się taka nieśmiała do Leona, zupełnie tak jak w pierwszych dniach w Modrogórze, albo gorzej jeszcze; spojrzeć na niego nie śmiem, a choć on do mnie zagada, odpowiedzi znaleźć nie umiem, albo całkiem przeciwnie odpowiem. Ale wróćmy do państwa Sołtyków.

Widziałam u nich ludzi, książki, pisma, o jakich w elegancyi wcale nie słyszałam. Doprawdy, od jakiegoś czasu same tylko francuzkie dzieła czytając, na myśl mi nawet nie przyszło, że i w Warszawie teraz piszą pięknie i drukują; z zupełném zadziwieniem zobaczyłam śliczną edycyą „Wyboru pisarzy polskich“ przez pana Mostowskiego wydawaną, poezye Książnina, Pamiętnik Warszawski, i pełno innych książek, które kupię za najpiérwsze piéniądze. Odtąd postanawiam sobie każde nowe dzieło polskie wychodzące, bądź w Warszawie, bądź gdzieindziej, kupić i przeczytać, wezmę to sobie za święty obowiązek.

Lecz ja widzę nigdy do porządnego opisu tego wieczoru nie przystąpię. Zacznę od znakomitych ludzi co tam byli, wymienię główniejszych, reszta na drugi raz.

Był najprzód książdz biskup Albertrandi, już bardzo stary, prezes Towarzystwa przyjaciół nauk, jeden z najuczcieńszych i najpracowitszych ludzi w świecie. Umié ośm języków; dzieje świata, osobliwie polskie zupełnie posiadał, prócz kilku dzieł historycznych jakie wydał, w bibliotekach włoskich i szwedzkich, przepisał własną ręką przeszło sto tomów w materyach polskich. Po księdzu biskupie zajął mnie najwięcej starosta nowogrodzki, Czacki; już ja od mego ojca nieraz słyszałam, że nikt dotąd nie zgłębił w taki sposób jak on rzeczy krajowych, zwłaszcza praw i skarbu, a na Podolu nasłuchałam się najwyższych pochwał jego, z powodu szkół jakie zakłada w Krzemieńcu i biblioteki

własnej, którą dla wszystkich otwiera; bardzo więc mi było miło widzieć go zblizka. Jest to już człowiek nie młody, twarzy znaczącej, czoła wysokiego, na którym zdaje się widać myśl; zupełnie odmiennego ułożenia jak wszyscy, i taki dobry, że nawet pozwala śmiać się z siebie.

Powodem do tych śmiechów są niezliczone jego dystrakcje: wczoraj byłam świadkiem kilku bardzo zabawnych, i pomimo całego poszanowania dla jego zasług i wysokości nauki, śmiałam się na głos wraz z drugimi. Pani staroscina Czacka, żona jego, rzadkiej piękności osoba, była także na tym wieczorze; miała zawój biały na głowie i suknię jedwabną fijałkową. Ksiądz z białymi włosami był w swoich fioletach; starosta więcej niż trzy razy przychodził do biskupa, brał go poufale za rękę i gadał do niego jak do żony, a do żony przystępował z ukłonami i ceremoniami jakby do biskupa. Tysiączne powstawały z tych omyłek żarciki, zwłaszcza z ust pana Sołtyka, któremu na dowcipie i facecyach nie zbywa; przypominał mi razem wesołością i układem mego ojca i pana Wojewodę. Ale zabawniej jeszcze starosta się zapomniał przy kolacyi. Nigdy nie siada do jedzenia, niezmiernie jest żywy, kręcący się, nawet nad księgami dosiedzieć nie może; leży na podłodze czytając i pisząc, jak tam wczoraj z niego żartowano a księgi i foliały rozrzucone są na ziemi. Otóż tedy i wczoraj nie siedział, tylko chodził około stołu, ale dla tego nie mniej jadł od drugich; na końcu, wzięwszy sobie skrzydło tłustego kapłona i sałaty, upatrywał miejsca gdzieby talerz postawić do wygodnego pokrajania: wpada mu w oczy zawój żony, biały i okrągły, myśli że to stoliczek nakryty serwetą, i stawia kapłona na jój głowie. Łatwo pojąć jakie było zadziwienie i jego i pani starosciny, co za śmiech całej kompanii.

Ale i śmiechy ustały przed [wyższém uczuciem. Po kolacyi pani Sołtykowa (która jak zważałam i tam i napo-

wrót Pijarowi księdzu Kopczyńskiemu rękę podawała, zowie go swoim polskim nauczycielem) wezwała obecnych do czytania. Zasiadliśmy wszyscy w milczeniu. Najprzód, sama ze swego sztambucha przeczytała nową i nieznaną jeszcze powieść aż z Nowego świata przysłaną, bo Julian Niemcewicz, którego dumy już nad kolóbką śpiewała mi matka, i w Ameryce gdzie teraz gości, o niczém myśleć i pisać nie może, tylko o ojczyźnie. Oczy wszystkie, nawet mężczyzn cicha łąza zrosiła. Po tém przeczytaniu, szanowna gospodyni zaczęła usilnie prosić i namawiać jakiegoś księdza proboszcza, żeby nam pracy swojej udzielił. Mało zważałam dotąd na niego, gdyż siedział mało mówiący, jakby smutny czy słaby. Dał się nareszcie ubłagać ale pod warunkiem, że pan Osiński jego Klehdę przeczyta. Na to wezwanie wystąpił rażno młody człowiek miernego wzrostu, nieco dziobaty, który jest jakby domowym u państwa Sołtyków, i którego wyborne koncepta już uważałam w ciągu wieczoru. Wziął papier z rąk księdza i zaczął czytać: „Błogosławieństwo Patryarchy Sarmatów.“ Nic podobnego w życiu mojem nie słyszałam, byłam w zachwyceniu; zdawało się że dusza uleci mi gdzieś wysoko i radam była polecieć za nią: wszyscy byli mocno wzruszeni i po skończonóm czytaniu każdy wyrażał jak mógł i miał uniesienie swoje.

Skromny poeta rad był zdawało się, schować się pod ziemię przed temi pochwałami, bronił się od nich jak od napaści jakiej: „JPanu Osińskiemu nie mnie — powtarzał płaczącym głosem — całą chlubę odnieść trzeba; jego czytanie łudzi wasze uszy: jam tych oklasków nie godzien.“ I sądzić było można, że na dobre gniewać się zacznie, bo proboszcz powsiński, Woronicz, ma być trochę dziwak. Zowią go prawie powszechnie Smętoszem, gdyż przy wielkich cnotach, poetycznym geniuszu i rzadkiéj kaznodziejskiéj wymowie, nieszczęśliwy jest i wszystko czarno widzi. Słuszniejszy mi się przecież wydaje przydomek Jeremiasza, którym

go czci pani Sołtykowa: słodycz jego mowy i całego ułożenia, smutek twarzy, słowa wieszczce jakimi się odzywa, godne są proroka Pańskiego. Przejął mnie téż religijném uszanowaniem, i poznawszy jego wiersze, wydał mi się innym jak dotąd człowiekiem.

Po błogosławieństwie Patryarchy, trzeba było odwagi żeby z czém wystąpić, przecież słuchaliśmy z wielkiém upodobaniem wyjątku z Iliady, tłumaczenia pana Dmochowskiego, jednego ze znakomitych pisarzy naszych; kształcił się pod okiem nieboszczyka biskupa warmińskiego: to dosyć powiedzieć. Pan Osiński także czytał, ale pan Dmochowski nie bronił się tak przed pochwałami jak ksiądz Woroniec. Jeżeli cała Iliada tak piękna jak to pożegnanie Hektora z Andromaką, nie dziwię się sławie starego Homera. Ale czemuż mi tylko kawałki dawano do czytania i to po francuzku, kiedy jest w tak przyzwoitym polskim kroju. Brzmi mi jeszcze w uszach ta modlitwa Hektora nad synkiem:

...Gdy wróci z boju pełen zwyciężkiej zdobyczy,
Niechaj kto wówczas powie: „on ojca przechodzi;“
Niech się tém słowem matce uradować godzi.

I tak je czytał Osiński! takiego sposobu czarowania uszów jeszcze nie znałam; zdaje się że to muzyka, tyle jest harmonii.

Po czytaniu pani Sołtykowa wzięła mnie na bok i spytała się, czy bywam na polskim teatrze? Odpowiedziałam: Nie.—A na francuzkim? Bywam bardzo często.—Czybyś się już zapisała do nieprzyjaciół sceny narodowej? Ja, a to by za co?—Ale bo może nie wiesz, kochanko, mówiła dalej pani Sołtykowa, że są dwie partye w Warszawie: jedna za francuzkim, druga za polskim teatrem. Cała tak zwana elegancya jest w pierwszój, żaden kawaler dobrego tonu, że damy pominę, ani postanie na polskim teatrze, chyba na to żeby przeszkadzać, gwizdać i hałasować do tego sto-

pnia, iż nieraz łagodna policja dzisiejsza, musi się wmieścić i wyprowadzić jegomości za drzwi. Już i pojedynki bywały z téj przyczyny między młodzieżą; bo do partyzantów polskiego teatru także ludzie należą. Ja z moim mężem piszemy się do nich z chlubą, i nawet wkrótce odważę się na rzecz wielką: wystąpię publicznie w Atalii, tłumaczenia Niemcewicza, i będę grała za pieniądze na dochód ubogich, z aktorami, żeby podnieść przecież w opinii scenę narodową. Zacznij i ty bywać, kochanko, na polskim teatrze, dodała całując mnie w czoło: przykład modnej i pięknej damy wiele robi. Obowiązkiem jest naszym wspierać wszystko co ojcyste. Pojutrze pierwsza reprezentacya Horacyuszów, tłumaczenia pana Osińskiego. Wierzaj mi kochanko, równie piękne wiersze jeszcze się nie obily o scenę warszawską. Chcesz, wezmę cię do mojej łoży, a przez te dwa dni namawiaj kogo spotkasz, żeby jak najwięcej osób było.

Z wdzięcznością przyjąłm ofiarę, a wstydząc się dotychczasowej obojętności dla sceny narodowej, obiecałam zrobić wszystko z siebie. Dziś umyślnie będę przyjmować rano; po obiedzie pojadę z wizytami, żeby wszystkich namawiać. Można być i w wielkim świecie czynną i użyteczną, ale trzeba wiedzieć sposoby, trzeba dobrze być prowadzoną. Jeżeli Bóg pozwoli, na drugą zimę poprawię się zupełnie, a jeszcze i teraz nie opuszczę żadnej sposobności do zrobienia czego dobrego. Już mnie zapisała kasztelanowa Połaniecka do kwestarek, co w wielki tydzień na szpitalu zbierają. Będę chodziła na najwyższe piętra, będę siedziała w najodleglejszym kościółku, choćby na Tamce. Pan Wojewoda nie był bardzo kontent, żem przyjęła miejsce w łoży pani Sołtykowej; wcale nie mówił czy będzie, ale za to Leon powiedział że pójdzie. Od lat siedmiu nie był na polskim teatrze; od tego czasu widział najslawniej-

sze. On da sąd najrzetelniejszy, zna się doskonale: wszyscy mu to przyznają. Pani Tyszkiewiczowa powiada, że najwięcej się boi grać przed nim. Cóż dopiero ja? Coraz z większym strachem myślę o tój naszej komedyi, chociaż nie gniewam się że mam w niej rolę. Leon interesuje się naszym teatrem, bywa regularnie na próbach, i parę razy mnie poprawiał. O! czemuż dawniej on tak mało, a drudzy tak wiele mną się zajmowali! Ale poco tu obwiniać jego albo drugich, jam sama winna. Nawet i Szambelanowej trudno całe złe przypisać, chociaż jak sobie przypominam wiele rzeczy, to mi różne posądzenia do głowy przychodzą. Mogę się mylić, daj Boże; wiem przecie, że nie mogę być z nią tak, jak byłam dawniej.“

17 *Marca.* „Pani Sołtykowa będzie ze mnie kontenta, namówiłam dużo osób na dzisiejszy teatr; ale prawie samych mężczyzn: nasze panie, do których umyślnie jeździłam, ani słuchać chciały. Sprzeczałam się nawet z niektórymi, a najtrudniejszą przeprawę miałam... nie powiem gdzie, bo się wstydzę za ten dom. „Kornel po polsku, okrzykiwała się młoda i piękna gospodyni, do czegoż to będzie podobne?“ „Może do Horacyusza będą mówili: Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju, a do Kamilii asińćka?“ przycinała dama znana z dowcipu. Naprózno im opowiadałam o wieczorze państwa Sołtyków, o cudownych wierszach i czarującym czytaniu: nic nie pomagało. „Nikt nie bywa na polskim teatrze, nie w dobrym tonie, nudno, brudno“ to mi powtarzały wszystkie, zaczawszy od Szambelanowej. Ja przecież obstawałam przy swoim, może nawet zbyt żywo, ale bo mnie do ostatniej niecierpliwości przyprowadził jeden z niedawno przybyłych paryżaninów, pan P.... B....; i kiedy

go kasztelanie namawiał na Horacyusza, powiedział z pogardą: „Dajcież mi święty pokój, cóż może być dobrego po polsku?“ Wielu z tych, z którymi teraz żyję, może tak myślał jak pan B., a przynajmniej stosownie do tego postępują; ale nikt jeszcze tak wyraźnie słów tyle obelżywych nie mówił. Straszniem się tedy oburzyła. On na to nie zważając, żartować sobie zaczął z pani Sołtykówój, z jej wieczorów i polsko-manii, a kiedy się ktoś odezwał, że wkrótce wystąpi na teatrze i grać będzie Atalią. „A-talia?“ zapytał ze śmiechem spoglądając z tryumfem w około siebie, szczęśliwy że tak dowcipny kalembur wynalazł. I w samej rzeczy, talia pani Sołtykówój nie jest do popisu, chociaż może i królowa judzka piękniejszej figury nie miała, i żałuję teraz, żem mu téj uwagi nie zrobiła. Wszyscy się rozśmieli prócz mnie jednéj, bom była zła, ile że pewno już ten koncept biega dziś po całej Warszawie i rzuci śmieszność na tę szanowną panią.

Oj! świat! świat! najszcześniejszy kto może żyć zdaleka od niego, kto go nie znał nigdy! Teraz znowu pełno złych rzeczy w nim widzę i radabym ptakiem wylecieć z téj niebezpiecznej Warszawy, i wrócić do mojej lubej Modrogóry; tam dobrze było... tam, mam przecucie, dobrze będzie... Nie wiem jednak wcale kiedy i gdzie pojedziemy. Dawniej Leon z utęsknieniem wspominał o wiośnie, o zagranicy: od jakiegoś czasu nic nie mówi. Ja nie więcej jak dziesięć dni temu dałam sobie słowo, że muszę być tego roku w Paryżu; teraz wyrzekam się jak najsolennie, aby spokojność uzyskać, gdziebądź to bądź!... Zgoła nic stałego, nic pewnego w mojej przyszłości; to jedno wiem doskonale, że bardzo trudno dnie mi schodzą, jak jeszcze nigdy; że pracować nad sobą muszę, żeby nie dać poznać, zwłaszcza Szambelanowój, jaka odmiana zrobiła się ze mną; że wszyscy jednak ją postrzegają, prócz tego, któryby ją widzieć i uznawać powinien, i sam zastosować się do niej!... Ciężko mi na świecie!“

Tego samego dnia w wieczór. „Wracam z teatru; nigdy, nigdy tego rodzaju wzruszenia i przyjemności nie użyłam, ani nie mogłam sobie wystawić. To jakby zachwyconie! jakże to było porywające! nietylko ja, wszyscy byli w uniesieniu, a były chwile, kiedy się zdawało że teatr runie od oklasków i okrzyków. Osińskiego noszono na rękach w tryumfie po całym parterze. Ale bo cóż-to za wiersze! prawdziwie szlachetnym i wzniosłym myśлом Kornela lepiej przystoi język polski niż francuzki. Jaka szkoda że moich pań elegantek nie było i paryżanina; byliby się wstydziły słów wczorajszych, a raczej zapomniawszy o wszystkim, byliby wraz z nami klaskali i unosili się. Gra była prawie równie doskonała jak tłumaczenie. Bogusławski, nestor naszych aktorów, który tyle zasług dla sceny narodowej położył, grał starego Horacego, syna Szymanowski; Kamillę Truskolawska matka, a córka Sabinę. Już i w Paryżu nie mogą grać lepiej, osobliwie stary Horacy i Kamilla. Sławne *qu'il mourut!* francuzkie, które daleko lepiej brzmi po polsku, w jedném słowie: *Umrzec!* Bogusławski powiedział tak doskonale, że cały teatr aż zdumiał; albo w téjże samej scenie owe przejmujące wiersze:

Niechby choć chwilę jedną bój krwawy przedłużył,
Przynajmniejby Rzym Albie nieco później służył!

i wiele miejsc podobnych, którychbym ani zrachować potrafiła. Talma nie jest doskonalszy w téj roli; sam Leon tak powiedział, i nie robi takiego wrażenia na słuchaczach. Przekleństwo Kamilli także niewidziane zrobiło wrażenie, sama jego pamięć jeszcze mię w téj chwili wskroś przejmuje. Trudno uwierzyć nie widząc, żeby kobiéta i już nie młoda tyle miała mocy i ognia, żeby tak czarowała. Wielka szkoda, że Truskolawska matka już chce opuścić scenę; dobrze przynajmniej, iż nam zostawia prawie równą sobie

aktorke w córce. Jakaż-to piękna figura! co za głos wdzięczny, jaka szlachetność w ułożeniu! Młody Horacy może nie był tyle doskonały co ojciec i siostra, ale za to bardzo piękną ma twarz i wymowę.

Pani Sołtykowa uszczęśliwiona była z nadzwyczajnego sukcesu Horacyuszów; odwiozła mię do domu i bardzo dziękowała mówiąc, że się nie mało przyczyniła do tego powodzenia. Nie będzie miała żadnej trudności w namawianiu mię do polskiego teatru, zaraz jutro posyłam zaabonować łożę. Ale na dziś kończyć trzeba, i tak piszę przeciw przyjętym zasadom, a jeszcze jutro idę do Spowiedzi. Muszę zebrać całego ducha i zwrócić go daleko wyżej... nie powinniśmy mi to przyjść z trudnością, poezya i ojczyzna są jakby skrzydłami duszy, unoszą ją; a im wyżej, tém bliżej Boga. To tylko nieszczęście, że mię grzechy ciągną do ziemi. Uspokoił mię już trochę ksiądz Onufry, przyjechał dziś i był u nas. Mówiłam z nim chwilkę sam na sam, wyznałam mu że wiele zgrzeszyłam, że mię nie pozna; on mię pocieszał, obiecywał przebaczenie, byle żał był prawdziwy. O! ten jest... i jutro spodziewam się ulgi, spodziewam się dawnego szczęścia... Bóg taki miłosierny.“

Dnia 19 Marca o siódmej z rana. „Przerwałam sobie sen najmilszy i najśłodczy, wstałam umyślnie przed wschodem słońca, żeby opisać dzień wczorajszy, nim świat i różne zatrudnienia zatrą błogie wrażenie jakie mi zostawił. Jużto zeszłej nocy mało spałam: najprzód, modliłam się i rozmyślałam bardzo długo; powtóre, od najmłodszych lat spać nie mogę kiedy idę do Spowiedzi, cóż dopiero wczoraj. Przed szóstą już byłam u Kapucynów, nawet pierwiej niż kochani rodzice. O! jakże ich przepraszałam serdecz-

nie! oni sami nie wiedzieli za co, tak mię ściskali, błogosławili, ale mi ciążyły na sumieniu wielokrotne im uchybienia, jeśli nie uczynkiem, to myślą. Czyż to nie grzech wielki przeciw takim rodzicom.... Zwyczajem naszym, na wszystkie rodzinne uroczystości, byliśmy wszystko troje u Spowiedzi i odprawiła się wotywa za powodzenie wujaszka Gabryela, jako solenizanta dnia wczorajszego. Już przeszło od ośmiu lat niéma go w kraju, przecież dzień jego imienin obchodzimy zawsze jakby tu był; nawet zdaje mi się, coraz serdeczniej i paradniej. Kochanej matce miło coś uczynić jeszcze dla brata, którego nietylko że kocha, ale szacuje jaknajwyżej i chlubi się nim. Co rok tedy na święty Gabryel, jest prócz nabożeństwa wielki obiad. Wszyscy przyjaciele i bliżsi znajomi są zaproszeni, domowi mają sutą ucztę, podarki różne dla wujaszka składają się na komodzie pod jego portretem, u stołu wszystkie potrawy co on lubił najwięcej i rześiste wiwaty na cześć jego. Wczorajszy obiad tak był wyborny, huczny i przyjemny, jak ani razu nie pamiętam. Prawda, że przeszłoroczny trafił się nadzwyczaj snutny, bo pan Wojewoda chorował, i Leon nie mógł być z nami; prawda i to, że po odbytej Spowiedzi jestem jakby odrodzona, jakby zupełnie inna, a raczej taka jak byłam dawniej; „łzy mię obmyły, powiedział kochany ksiądz Onufry, wróciłam do straconej niewinności.“ Wszystko około mnie odrycha jakimś pokojem, jakąś lubą nadzieją, jakimś szczęściem: tak wszystkim dobrze życzę; tak gotowam kochać wszystkich... O! gdyby to wszyscy do Spowiedzi chodzili!...

Kochany ojciec był także w wybornym humorze; od tygodnia, jak zwykle w czasie porównania wiosennego, skarżył się trochę na swoje bicia krwi; ale wczoraj, Bogu dzięki, ani znaku nie było żadnego cierpienia: jadł i pił dużo, a doskonale dykteryjki i koncepta sypały mu się z ust.

Leon tak się uśmieł i ubawił jak jeszcze nie widziałam. Ojciec mówił nam także wiele o wujaszku, jak wypadło z samej uroczystości; opowiadał różne jego dziwne przygody, i jak dosłużył się krwawo swojej dzisiejszej rangi. Wszedł do wojska jako kanonier, właśnie tego roku kiedym się rodziła, 1786; przechodząc przez wszystkie stopnie, w 1792 został porucznikiem, a we dwa lata później kapitanem. W tym stopniu znalazł pomieszczenie we Włoszech 1797 roku, w pierwszym legionie polsko-włoskim, a dziś jest podpułkownikiem. Odbył już sześć kampanii; był ranny trzy razy: raz pod Szczekocinami, drugi raz przy wzięciu fortecy San Leo we Włoszech, a trzeci na wyspie San Domingo od murzynów: z różnych i dalekich stron prawdziwie, kule go szukały. Tadeuszek zawsze jest z ojcem, wstępuje zupełnie w jego ślady; pamiętam dobrze jak wyjeżdżali oba, ile że to był wielki sekret gdzie jadą; zupełnie uważałam Tadeuszka jak brata starszego, ale on mię nigdy nie chciał nazywać siostrą. O! żebyć ich jaknajprędzej zobaczyć!

Kiedy kochany ojciec opowiadał o waleczności i poświęceniu wujaszka i jego syna, a Leon słuchał uważnie, chlubiłam się w duszy, jak jeszcze nigdy takimi krewnemi; i da Bóg, to i ja w drugiej galeryi w Modrogórze zaczę wieszac portrety mojej parenteli. Wieczorem musiałam śpiewać wszystkie dawne piosnki i dumki, faworyta mazura powtarzałam kilka razy. Leon bardzo się przysłuchiwał ale nic nie mówił: musiało mu się jednak podobać wczoraj moje śpiewanie, bom widziałam, że pan Wojewoda z trudnością go namówił do odjazdu, a musieli jechać winszować księciu Józefowi. Jam została do późnej nocy; kochany ojciec był uszczęśliwiony; uściskał mnie serdecznie przy pożegnaniu: przez cały dzień nazywał mię aniołkiem, bom była w bieli, we włosach i śpiewałam. Niéma życia miłszego jak ze swemi, w małym gronie szczerych przyjaciół; nie tak wspaniale, nie tak elegancko jak na wielkim świe-

cie, ależ jaka różnica nazajutrz. Dziś, przypominam sobie z największą pociechą każdą chwilę wczorajszego dnia, zastanawiam się nad nim, jestem swobodna, spokojna, kontenta z siebie, sposobna do pracy; a po zabawach światowych to człowiek odurzony, do niczego, i znowu rad się bawić, żeby jak najprędzej o wszystkim i o sobie zapomniał. A dziś znowu puszczam się w największy światowy zamęt.

Nie wspomniałam tu podobno o wielkim pikniku, który daje dziś dla księcia Józefa, jako w dzień jego imienin młodzież najpiękniejsza, w pałacu Tyszkiewiczów; nietylko będę na nim, ale nawet jestem jedną ze czterech wice-gospodyń: gospodynią oczywiście pani Tyszkiewiczowa. Wyrzekłabym się była tego honoru i całego balu jaknajchętniej: ksiądz Onufry nie pozwolił. „Przeznaczenie twoje, powiedział mi, jest żyć w świecie; żyj w nim, ale bacznie i przykładnie; pracuj, módl się i czuwaj nad sobą: za pomocą tych trzech przepisów, Kościół i na tronach miewał wielkie święte.“ O! gdybym tylko jednej osoby widywać nie musiała, reszta poszłaby łatwo... chociaż ksiądz Onufry mówi, że i to zwolna samo z siebie się zmieni; bo podobne uczucia skoro wzajemności i nadziei nie mają, wnet gasną. Trzeba wierzyć, chociaż jeszcze w nim nie znajduję zmiany jaką widzę w sobie. Jutro jak najdokładniej cały bal opiszę, będę uważała na wszystko, a najwięcej na samą siebie, na każde słowo, będę ostrożna; zyskałam to smutne doświadczenie, już nie ufam sobie: boję się wszystkiego. Będę tańcować jak najmniej, osobiwie walca. Możeć minie ten bal lepij niż dawne.“

KONIEC NOTATEK KAROLINY.

ROZDZIAŁ XII.

Uzupełnienie notatek.

Może się mylę, ale zdaje mi się, że nie jedna z czytelniczek weźmie ten rozdział do czytania z pewną niecierpliwością, chcąc się dowiedzieć, czemu na poprzedniej stronie wydrukowano: „Koniec notatek“ kiedy Karolina zabierała się w najlepsze do dalszego pisania. Musiał więc zajść nareszcie jakiś stanowczy wypadek, który jęj przeszkodził? I już rozmaite przygody, może więcęj zajmujące od istotnych, przez bujnę myśl im przechodzą.

Jakkolwiek pochlebia mi ta ciekawość, przecię muszę jęj zaspokojenie do dalszych rozdziałów odłożyć; a teraz dotrzymując dawniejszję obietnicy, nie iść naprzód, ale wstecz, zajrzeć w serce Karoliny, a razem uzupełnić, objaśnić owe notatki, w tém zwłaszcza, co się jęj samęj dotyczy. Bo to pisemko jest tylko jak zarys, w wielu miejscach niewyraźny, który koniecznie wykończyć trzeba, żeby sprawił pożądane wrażenie. Kiedy Karolina go kreśliła, osobliwie przed 13 Marca, nie znała, nie rozumiała samęj siebie; nie mogła przeto dać się poznać drugim; a mnie bardzo o to idzie, żeby ją czytelnicy moi dobrze i dokładnie znali.

Wreszcie w młodości, a nieraz i później, drudzy mają klucz naszego serca, my czytać w niem nie umiemy. My jesteśmy ciągle z sobą, i najwięcej zważamy na szczegóły; drudzy, rzadziej nas widząc, biorą ogół i trafniej sądzą. Tak niejedna z nas, przeglądając się codzień w zwierciadle, myśli że się nie starzeje; a każdy za pierwszym rzutem oka wiek jej odgadnie, czasem i przyda.

Napomknęliśmy dawniej, i łatwo sobie każdy wyobrazi, jakie różne niebezpieczeństwa czekały Karolinę na wielkim świecie. Same zabawy warszawskie, wtedy tak huczne, wesołe, zapamiętałe, dla osoby mało z niemi obeznanej miały grożącą stronę. Polakom w ogólności przyznać należy, że bądź co bądź, bawić się umieją. Nie wiem, gdzie szukać źródła tego daru: czy w hojności i gościnności wrodzonej, czy też w owóm uczuciu studenta, który w krótkiej chwili rekreacji, pustuje i używa co się zmieści? to przecież pewna, że niejedyn szczęśliwszy i bogatszy od nas naród, nie posiada do tego stopnia owę sztukę wesołości. Niejedyn cudzoziemiec powtarza: „Nigdzie tak się nie bawiłem jak w Polsce;“ niejedyn mąż twierdzi z westchnieniem: „W polskiem towarzystwie najsmadniej głowy się zawracają.“

Karolina z położenia i wychowania swego, prócz tych wspólnych niebezpieczeństw, wystawioną jeszcze była na właściwe sobie, które zgłębić musimy z kolei.

Niech co chcą mówią filozofki, a raczej te kobiety, które nigdy w świecie żadnego rodzaju powodzenia nie miały, jest w pochwałach głośnych, w hołdzie niejako publicznym, urok bardzo ponętny. Nektar pochlebstw najmocniejsze głowy upaja; a co dziwnego, pochwały urodzie dawane, najrozsądniejszą najłatwiej omamia. Jest w płci niewieściej taka próżność, takie zamiłowanie tego znikomego ciała, że niejedną kobietę pochwał z urody, a przytém powiedz na nią co chcesz, gotowa ci przebaczyć. Żeby ów zawrót pochwał rychło minął, a młoda i uwielbiana osoba

w niczem z drogi prawej nie zesła, trzeba jej obok pewnych zasad, szczęścia domowego i cnotliwej miłości.

Karolina pierwszego nie miała, druga zbyt ją ubezpieczyła. Wiemy z jaką niewinną serdecznością kochała się w Leonie; jak całym jej pragnieniem na przyszłość stało się, być kiedyś od niego wzajemnie kochaną. A jakikolwiek bądź skutek, te jej widoki i życzenia wzięść miały, w jej przekonaniu historia jej serca była zupełnie skończona. I bez wątpienia, w tém się nie myliła; kobieta najmłodsza i najpiękniejsza, skoro raz zamąż pójdzie, już swój romans kończy. Ale nie idzie za tém, żeby czuwać nad sercem swoim przestała. Człowiek skłonny jest do złego od początku; stałość w uczuciach, w powinności, w pracach, słowem cnota, niczém więcej nie jest, tylko ciągłym czuwaniem. Niejednej, osobiwie póki młoda, serceby wyskoczyło, noga zboczyła, ręka omdlała, gdyby mocna i ciągła wola nie rządziła niemi. Dla mężatki szczęśliwej lub nieszczęśliwej, wszelkie widoki zajęcia innych mężczyzn mają być zamknięte; jednego męża kochać miłością powinna i nie dać się kochać nikomu, choćby na żart: takie są dwa główne artykuły kodeksu małżeńskiego, i oczywiście *vice versa*. Lecz czyż to co dziać się powinno, może się dziać samo z siebie? Karolina tak sądziła i myślała, że kiedy kto raz już dobry i kocha z przekonania, na zawsze takim zostanie. Jeżeli co do innych widziała, że wielu nie robi tego coby powinno, o sobie miała to mniemanie pierwszej i niedoświadczonej młodości, że zbłądzić nie może, bo zbłądzić nie chce. Prócz tego z romansów, które tak chciwie i niebacznie czytała, czerpnęła nie jedną pięknie brzmiącą a przewrotną maksymę:

„Głęboka miłość rękojmą jest niezawodną cnoty kobiety.“

„Wzbudzić zazdrość nieomylnym jest sposobem obudzenia miłości.“

„Pięknie jest zyskać pochwały i serca wszystkich, żeby je złożyć u stóp jednego.“

Oto naprędce kilka z tych, które najlepiej jój się podobały i według jakich prowadzić się umyśliła.

Obronna tedy w mniemaniu własném, miłością dla męża, wierząc że świetném powodzeniem obojętność jego pokona, przytém pragnąca już zabaw dla samej siebie, rzuciła się w świat chętnie, bezpiecznie, a nawet śmiało; i niktby w niej nie był poznał na pierwszym zaraz balu, owęj milczącej Karoliny, co z samym i źle uprzedzonym Leonem często trzech zliczyć nie umiała. Kobięta, to zmienna a raczej dotkliwa istota: układ jój zależy po części od tego co ją otacza. Tak w krzaku róży okrytym kwiatami w Czerwcu, nie poznasz suchój i smutnej marcowej rośliny; bo przez ten czas wionął wiatr przyjazny, zaświeciło jasne słońce.

Czystość jój chęci, a przytém brak zupełny zwyczajnych pretensyi, sprawiły: że wdzięcznie i wesoło przyjmowała nadślugiwania młodzieży i często dwuznaczne słówka; czém odrazu ośmieliła mężczyzn, a kobiętom nasunęła większą jeszcze ochotę do mówienia źle o niej. Bo jakże rzadko między ludźmi kto uwierzy, aby człowiek cały był na zewnątrz, aby takim się okazywał jak jest. Tam, niemal każdy rolę przyjętą odgrywa, każdy siebie kryje; i kiedy mimo tylu starań z czemciś naganném się zdradzi, wszyscy wiedzą, że to tylko próbka tego co tai, ucho wilcze co z pod skóry owczój wyjrzało.

Wreszcie Karolinę złudził jeszcze, jak już wiemy, język francuzki; nie rozumiejąc prawdziwego znaczenia wielu wyrazów, nie przywiązywała przynależnej wartości do tego co w nim słyszała i mówiła; myśl jój ślizgała się tylko po wyrazach, i uważała go ciągle jako układową monetę, co za obrębem salonowym kursu mieć nie będzie.

Tém całém postępowaniem ściągnęła więcęj oczu na siebie, podobała się zapewne daleko lepiej, niż gdyby w zu-

pełnie właściwej trzymała się mierze. Któż nie wie, jak łatwo uwielbianą bywa mężatka ładna, młoda, przyjemna, kiedy mile przyjmuje grzeczności mężczyzn? każdy spodziewa się być szczęśliwym, a żaden nic nie rezykuje. Na wyszyci przeto złota młodzież warszawska, na czele której świecił już nie młody ale jeszcze powabny i niebezpieczny książę Józef, nadszkarbić ją zaczęła, chwalić ją, wynosić pod niebiosa, i kochać się w niej na zabój. Bo jeszcze do wszystkich swoich powabów, potrafiła sama niewiedząc jak, za co i kiedy, uzyskać ów talizman cudowny, który zastępuje nieraz w ludziach rozum, urodę, wszelkie przymioty, dziełom i artystom bez talentu, strojom cudacznym i nie do twarzy wziętość zapewnia: *weszła w modę*. Czy powodem do tego się stało spóźniane a wyglądane jej ukazanie się w świecie, czy znane nam uwielbienie Kasztelanica, czy zręczne pochwały Wojewody i Kasztelanowej, czy inne jeszcze jakie intrygi, tego odgadnąć trudno, dosyć że: *weszła w modę*, podobno jeszcze nim się ukazała. Już w czasie pierwszej wizyty pod *Blachą* nazwano ją *délicieuse*, a na pierwszym balu, okrzyczano *incomparable*. Piękne damy nawet, jakkolwiek między sobą różnie o niej szeptały, w oczy mówiły jej pełno grzeczności i czułości; w wielu rzeczach naśladowały ją nawet zręcznie, myśląc że jej szczęście do podobania się, zawisło od układu włosów albo od kroju sukni. Mężczyźni zaś wszyscy bez wyjątku chwalili ją, choćby dla tego, żeby broń Boże kto nie pomyślał, że źle są od niej widziani.

— Pani Karolina obiecała mi dwa tańce na bal jutrzejszy—mówił jeden.

— Mam na dziś bilet do jej łoży—powiadał drugi.

— Galopowałem godzinę obok jej powozu, aż bała się o mnie—zapewniał trzeci.

— Posłałem jej w tej chwili bukiet przepyszny, *anonyme*—zwierzał się czwarty—ona odgadnie dorazu kto?

Takie i tym podobne były przechwałki elegantów; a skoro się gdzie pokazała, każdy chciał dowieść ich prawdy, uczynkiem. Gdziekolwiek się ruszyła, latano za nią; na balach trudno było docisnąć się do jej ręki: jeźli w piérwszej parze polskiego tańczyła, nadażyć nie mogła z wita-niem tych co się cisnęli do jej odbicia; jeźli w mazurku rzuciła chustkę w górę, las rąk się wznosił do jej schwy-tania; jeźli zmęczona chciała się ochłodzić, jeden drugiego prześcigał, kto szklanke napoju choćby na klęczkach jej poda? Jeźli wyjechała w ulicę Ujazdowską albo na Fawory, jeźdźcy najpiérwszego tonu otaczali jej powóz jakby monarchini, narażając się nieraz na szwank, byle na ich pląsy i skoki łaskawie spojrzeć raczyła; w teatrze cały parter więcej pa-trzył na nią niż na sztukę; między aktami łoża pełna była kawalerów: kwiaty, pomarańcze, cukierki, książki, zgoła te drobne rzeczy, które weszło w zwyczaj ofiarować bezkarnie kobietom, sypały się jej co dzień; a ona w niedoświadczeniu swoim, myślała: że tak wszystkim się dzieje na wielkim świecie, a jej dziwić się i gniewać nie wypada, gdyż ją pa-rafianką nazwą; to znowu zwłaszcza z początku sądziła, że te grzeczności nie są zdrożne, i że im naturalniej przyjmo-wać je będzie, tém więcej okaże, jak mało je ceni; nako-niec, że lada dzień otworzą, oczy Leonowi i pokażą mu, że i ona podobać się może.

Gdyby Karolina jednego szczerego i rozsądnego przy-jaciela miała, byłby ją jak najłatwiej oświecił i poprowa-dził, ale nieboga nie miała nikogo.

Któż na wielkim świecie przyjaźń znajdzie? szczęśliwy traf, kiedy się dawna nie przerwie, a przynajmniej nie ozię-bi: gdzieżby myśleć o zawieraniu nowój? Tam są prawie same chwilowe i interesowane związki; każdy z każdego cią-gnie korzyść i zabawę; każdy z każdym chce być dobrze, choćby tylko napozór. W oczy mówią ci żeś śliczna, że się ubierasza przedziwnie i prowadzisz doskonale; w niczém

cię po przyjacielsku nie ostrzegą, a zaocznie złośliwych lecz prawie zawsze trafnych postrzeżeń nie szczędzą. Rozważając tę ostatnią okoliczność, nieraz sobie myślałam z jakąby to było korzyścią dla osób w świat wchodzących i dobrze w nim przyjmowanych, gdyby wyszedłszy z licznój kompanii, wrócić mogły niebawem cichuteńko pod drzwi salonu, i posłuchały tego co o nich na świeżym razie mówią. Obaczyłyby odwrotną stronę medalu ukazywanego im przez pochlebstwo i fałsz, i dowiedziałyby się wielu prawd o urodzie, o ubiorze, o rozumie, o talentach, o postępowaniu swoim, któreby im użyteczniejsze były od wszelkich zapalonych komplementów mężczyzn i cukrowanych słówek kobiet.

Córki pod pieczę doświadczonych matek w świat wchodzące, żony rozsądnych mężów, potrafią się obejść bez podobnego fortelu; ale dla Karoliny byłby się bardzo przydał, gdyż ona, powtarzam, nie miała nikogo.

Matka w tym jedynym razie na nic jęj się przydać nie mogła. Cześnikowa znała ludzi, ale nie znała wielkich panów i elegantów: nadto jęj imponowali. Wybornie wychowała córkę do życia domowego, do miernego stanu jaki Opatrzność jęj przeznaczała; ale nie do modnego świata, i do okazałego losu, który ambicya rodzicielska ukartowała dla nięj.

Kasztelanowa jakkolwiek obeznana z tą sferą a z urzędu socyuszki wszelką mająca sposobność do przestrzegania Karoliny, nie pocztywała sobie wcale za obowiązek, czuwanie nad jęj postępowaniem; nadto, nie była do tego bynajmniej nsposobiona. Jęj szło o to wyłącznie, żeby osoba przez nią wprowadzona podobała się powszechnie, żeby ją każdy znalazł dobrze ułożoną, nikt jęj nie wysmiał, nie przedrzyżnił, i wołałaby niezawodnie żeby kto Karolinie miłosną intrygę zarzucił, niż gdyby zły akcent francuzki jęj przyznał, lub innęj podobnej dostrzegł śmieszności. Uprzedziwszy ją tedy, że kobiety już nikogo w ręce nie całują,

że wychodząc z wizyty żegnać się z nikim nie trzeba, że w elegancyi mówi się zawsze po francuzku, i t. p., zostawiła ją z resztą własnemu domysłowi, a uszczęśliwiona z jęj wziętości, dziękowała jęj serdecznie wracając z nią z wizyt i z zabaw, a potem widując ją u siebie; gdyż jak wiadomo, na oczywistą karę za projektowane w Modrogórze kłamstwa, rozchorowała się na prawdę, i musiała resztę zimy przemeńczyć w domu.

Wojewoda jeszcze oczywiście szczęśliwszy od Kasztelanowej z powodzenia synowej, i że tak gładko mowę i ułożenie dobrego tonu przyjęła, podwajał komplementów i czułości, i zdawało się jakby się w nięj rozkochał; mimo jęj włosów jasnych i oczu niebieskich znajdował, że się robi zupełnie podobną do pani Zamoyskiej.

Leon, ów przewodnik naturalny i najlepszy, nie miał długo najmniejszej ochoty użycia swego prawa. Miłość jego wznowiona ostatnim u Julii pobytem, czytaniem Delfiny, częstemi zapalonemi listami, zajmowała go jeszcze mocno. Żył najwięcej obrazami marzonego nadal szczęścia, nadzieją wiosny, przewidywaniem owego terminu, który, sam ojciec jego pańszczyźnie naznaczył; jak więzień pewny uwolnienia rachuje dni niewoli, i żyje chętniej w przyszłości niż w obecnej chwili: tak on pędził z trudnością i z roztargnieniem dzień za dniem, mało patrząc na około siebie. Niebezpieczna choroba niedawno przebyta, posłużyła mu w pierwszych dniach za wymówkę od szalonych zabaw; nie tańcował, wcześniej do domu wracał; a kiedy odzyskał zdrowie i śmiać się zaczęto z jego filozofii, wolał już rano jeść pić, konno jeździć z mężczyznami, w wieczór przysiądać się do poważniejszych osób, albo grać w faraona z panią Tysskiewiczową, niż wraz z młodzieżą nadługiwać damom. Tęm postępowaniem uzyskał bardzo dobre imię. Młode i piękne kobiety gniewały się wprawdzie na jego nieczu-

łość, i przycinały mu jak mogły; lecz wszystkie stare i brzydkie miał za sobą. Ileżto przyjaciółek! Choć tedy prawie powszechnie wiedziano o miłośkach jego we Włoszech, o obojętném pożyciu z żoną, nikt mu tego nie brał za złe, nie przypominał, i wszyscy, i on sam, przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy. W pierwszych tygodniach zapust, zdarzyło się też nieraz, że na tój samėj zabawie co Karolina, nie wiedział jak była ubraną, co robiła przez cały wieczór; i wracali czasem w jednym powozie do domu, ledwie parę słów nieznaczących powiedziawszy sobie. A owa piękność modna przed chwilą otoczona, uwielbiana, której uśmiech, słówko, listek z bukietu, tak były cenione, wrywane, ledwo drzwiczki od karety zatrzaśnięto, widziała się jakby pod wiekiem grobowym; bo albo samą, albo co boleśniej jak samą, z milczącym Leonem.

O, panowie mężowie! przypisujcie waszėj oziębłości i niebacznosci zbroczenia żon waszych. Niéma zda mi się kobiety, któraby na krok zbłądziła, gdyby każdy mąż był jak być powinien: rozsądnym przewodnikiem, doradcą trafnym, przyjacielem wyrozumiałym. Powtarzam wyrozumiałym, bo dla kobiety wielkie powodzenie w świecie mającej, pan mąż który się na to niebezpieczeństwo naraził, biorąc ją ładną i wabną, powinien mieć wiele wyrozumienia. Trzeba z nią być przez ten czas jak matki są z dziećmi choremi: nie spuszcza ją z oka, dogadzają im, pobłazają, wiedząc, że ten czas minie, i że później odrobiają i poprawiają co z musu zepsuły.

Ale wracając do Karoliny, z osób bliższych, coby radzić jój mogły, zostawało więc tylko dwie: Kasztelanica i Szambelanowa. Lecz niestety! oboje lubo wcale z innych powodów, nad jój zgubą, nie nad jój dobrém pracowali.

Kasztelanica już do tego gotowy w Modrogórze, cały czas w Karlsbadzie i w Berlinie zajęty w myśli piękną ku-

zynką, ledwie z Nowym rokiem wrócił do Warszawy, zaraz jako cioteczny brat Leona codziennym stał się gościem w ich domu, i wnet rozkochał się na dobre w pani Karolinie. Pół roku czasu, podróż Podolska, to co widziała, co wycierpiała, co przeczytała, wszystko to ozdobiło ją nowym urokiem, któremu oprzeć się nie mogło serce jeszcze nigdy nie zajęte prawdziwą miłością. On na tém uczuciu zarobił wiele. Korzystnie ukształca młodego człowieka miłość dla kobiety, większej niż on wartości. Dotąd Kasztelaniec przy najlepszym sercu i wrodzonej szlachetności, był nieznośnym elegantem i fanfaronem pierwszego rzędu; przecież podobał się, i był szczęśliwy aż do znudzenia: większa więc może a przynajmniej równa była wina tych co go takim chwaliły i kochały. Nieznacznie i mimowolnie rozkochawszy się w Karolinie, dorzeczniejszym, podobniejszym do niej się zrobił. Miłość, z jój wielkiem przeproszeniem—ma coś małpiego w sobie: naśladowuje to co polubi. Zwolna zaczął wymawiać *r*, nie tak często przez szkło patrzył, mniej dbał o swój ubiór, rzadziej się przeglądał w zwierciadle, bo Karolina kilka razy to wszystko wyśmiała; bieliznę przestał posyłać do Paryża od czasu jak biedną Janowę mianował nadworną praczką, i inne jeszcze większe, jak widzieliśmy, uczynił postępy.

Lecz miłość Kasztelanica im korzystniejszą dla niego, tém zdradliwszą była dla Karoliny. Przez to samo że prawdziwa, wydawała jój się odmienną od uczuć, które jój ukazywali inni mężczyźni; była więc nieśmiała, delikatna; ona biorąc ją za czystą przyjaźń, ile że Kasztelaniec przestrzegał ją czasem w drobnych rzeczach, czego drudzy nie robili, nie bała jój się bynajmniej. Zwali się nawet z francuzka *kuzyn* i *kuzynka*, co miało znaczyć na polskie brat i siostra. Wiemy jednak dobrze, do czego to nieraz między kuzynami, owo braterstwo prowadzi. Kasztelaniec mimo lekkości i próżności swo-

jój, nadto był honorowy, aby nawet przy rozwiązłości ówczesnej obyczajów przyznawał sam sobie, iż celem jego jest uwieść po prostu i zbałamucić Karolinę. On sam nie wiedząc o tém, więcej w niej uwielbiał niewinność i cnoty, niż powaby ciała. Kochał ją tedy, jak zwykle młody człowiek kocha namiętnie uczciwą kobietę, kochał bez dalszej myśli jak na dzień dzisiejszy. Pragnął tylko dziś jak najprędzej ją zobaczyć i być z nią jak najdłużej, dziś życzenie jój odgadnąć, słowo miłsze niż drudzy usłyszeć, spotkać jój wejście, dojrzeć łagodnego uśmiechu, dotknąć się ręki, kwiatek z przysłanego bukietu widzieć w jój włosach albo u boku, giętką kibić objąć w walcu lub w mazurku i t. p.

I te ograniczone, że nie powiem niewinne chęci, byłyby może na trzy miesiące zimowe wystarczyły, gdyby nie Szambelanowa.

Znamy jój charakter, wiemy jak i dlaczego niecierpiała Karoliny; nie zapomnieliśmy jój zakładu z szanownym generałem w Modrogórze. „Zmyśłone niewiniątko za rok do rozwodu pójdzie, a ona szal przepyszny wygra, w przeciwnym zaś razie odda swój własny.“ Dobrze byłoby pomóc się na osobie bogatjej i szczęśliwej nad miarę; potwierdzić przenikliwość swego rozumu i wielką znajomość ludzi; dobrze byłoby nietylko łączyć się z jedynym szalu, ale mieć jeszcze drugi piękniejszy; zwłaszcza w owych czasach, kiedy damy tak szalały za szalami, że ktoś słusznie utrzymywał, iż nie powinno się mówić *szal* ale *szal prawdziwy*; i kiedy nie jedna elegantka, za taką turecką płachtę, poświęciła samą siebie, nietylko niechętnie przybraną i zardroszczoną kuzynę.

Tyle mając powodów do zawrócenia głowy, powiedzmy otwarcie, do zepsucia Karoliny, Szambelanowej nie zostawało tylko ukartować plan stosowny do wykonania go jak najzręczniejsz. Już w Modrogórze myśleć nad tém zaczęła.

Tak mądrzej głowie braknąć na konceptach nie mogło; ależ najbieglejszy kuglarz nie wiele bez kmotra dokaże, i ona musiała mieć pomocnika.

Prawie dorazu rzuciła oczy na panią *Vauban*.

Niemamy tu ani potrzeby, ani ochoty zgłębiać jakiego były rodzaju jeszcze wówczas stosunki téj damy z księciem Józefem; to jednak pewna że była jakby małą królową pięknego świata Warszawy. Przez to samo, że francuzka i *Comtessa*, już u wielu wziętość zyskała. Bynajmniej nie zważając na to, co mogło być nieprzyzwoitego w dziwnéj jéj posadzie pod *Blachą*, najpiérwsza elegancya starała się o jéj przychylność, hołd jéj niosła; jak niegdyś pani G..... za Stanisława Augusta i innym podobnie wysoko a nisko położonym damom. Pani *Vauban* miała wykwinzione ułożenie, wielką trafność w poznawaniu ludzkich słabości, dużo taktu i salonowego rozumu, mianowicie tego, co w jéj języku zowie się rozumem intrygi; lubiła plotki, a choć nie bywała nigdzie, wiedziała wszystko co się wszędzie działo, gdyż jéj nie brakowało na adjutantach płci obojéj, którzy codzién o pewnych godzinach wszystkie nowiny brukowe jéj znosili.

Podobnie będąc owych szczegółów świadomą, własném téż doświadczeniem zamożna, nieraz pięknym paniom wzywającym jéj rady w trudnych okolicznościach pomagała dzielnie. Mężowie owych pań nie wiem czy mogli jéj być zawsze wdzięczni za tę pomoc; lecz ona tym sposobem utrzymywała swoje znaczenie, a dając sobie niepospolite acz cierpliwie znoszone tony, miała nawet faworytki swoje. W tych liczbie była już oddawna Szambelanowa. Może w duszy nie lubiła jéj wcale, wraz ze wszystkiemi (bo Szambelanowéj nikt niecierpiał, a jeżeli kto był grzeczny, to jedynie z bojaźni), lecz mówiła głośno że ją bardzo *afekcyonuje* i wysoko ceni. Faworytka, na wzór odwieczny wszelkich kolegów i koleżanek swoich, znała doskonale sła-

bości pani, i umyślił na ten raz użyć najgłówniej do własnych interesów. Tą główną słabością pani *Vauban*, była zazdrość łask Księcia. Każdej ładnej a nowiej kobiety w świat warszawski wchodzącej bała się jak śmierci. Szambelanowa tedy prosto z Modrogóry pojechała do Jabłony, gdzie jak zwykle w letniej porze Księżę bawił z całym dworem; tam, pod płaszczykiem gorliwej przychylności, nastraszyła francuzkę Karoliną gorzej niż upiorem. Opisała ją równie ładną, ale daleko niebezpieczniejszą niż była, a zupełnie taką jakie Księżę lubił najlepiej: „biała i gładka jak alabaster, świeża gdyby pączek róży, ząbki jak perły, oczy niebieskie, nóżka i ręka śliczna; w miarę wysoka, bardzo hoża, zgrabna, wesoła, naiwna, a przytém wcale nie głupia, już kokietka, i tak uprzedzona o Księżciu jak *La Vallière* o Ludwiku XIV.

Przelekniona *Comtessa* naradzała się nie żartem z faworytą, jakby tego przyjaciela odwrócić? Po długich naradach, do jakich było czasu podostatkiem na wsi, Szambelanowa jakby z nienacka padła na tę myśl: że jedynym sposobem zapobieżenia niechybnym zapałom Księcia, było zawrócić kobiecie głowę coprędzej, i wzbudzić w niej miłość do innego.

— Bo co mąż—powiedziała zaraz z góry—to ją wcale nie obroni; jest z nią obojętny, a jeżeli mu się czasem przysni honor mężowski, względem Księcia, kto wie czyby i o tém nie zapomniał.

Gdy ten sposób podobał się pani *Vauban*, i gdy zaczęto upatrywać owego *innego*, Szambelanowa wymieniła Kasztelanica. I na tém stanęło. Obie intrygantki wzięwszy się za ręce, podzieliły swoje role. Starsza miała użyć całej władzy nad światem, nad którym panowała, żeby przyspobić Karolinie jak najlepsze w nim przyjęcie, i odrazu ją otoczyć pochwałami, pochlebstwem, względami, któreby ją odurzyły. Młodsza wzięła na siebie bliższe i serdeczne lu-

dzenie; a jak na złość, skoro pora nadeszła, zastała gotowe pole do spełnienia swojej niecnój roboty.

Cóż bowiem mogło być łatwiejszego Szambelanowej, jak zawojować w krótkim czasie Karolinę i stać się jej potrzebną.

Pod pozorem troskliwości o Leona i skłonności swojej do chorych i do nieszczęśliwych, pierwsza u niej była kiedy on jeszcze z domu nie wyjeżdżał; i odtąd pokochawszy niby czule piękną kuzynę, ów wzór żon, codziennie bywać u niej zaczęła. Gdy zawitała oczekiwana chwila wizyt i balów, interesowała się jej powodzeniem, prawie jakby rodzona siostra. Sam ubiór dostarczył jej tysiącznych okazji do wydania życzliwości swojej. Słyszała słusznie z gustu i z biegłości w tej ważnej niewieściej sztuce, zajęła się tedy zupełnie strojem Karoliny; własną ręką zdobiła ofiarę swoją i trzeba przyznać, że się tém nie mało przyczyniła do jej wziętości: któż nie wie, ile pomaga osobie w świat wchodzącej ubiór zawsze trafny i gustowny.

Zapewne w owych latach blizkich rewolucyi francuzkiej, kiedy kobiety na wzór greckich posągów napół nagie chodziły, w koszulach bez rękawów, w sukniach prawie bez stanu, oblepiających się na ciele, ich strój nie miał dziesiątej części wymysłów i drobnostek dzisiejszego; lecz może trzeba było jeszcze więcej gustu, rzetelnych wdzięków a tajemnej sztuki, żeby się wydać dobrze w tej wązkiej, gładkiej i przejrzystej sukience, ozdobić ją i odznaczyć od innych. Szambelanowa zawsze coś ładnego Karolinie wymyśliła, coś nowego u kupców znalazła, z gracyą i fantazyą głowę ubrała. Nie traciła na tém sama, gdyż zawsze jakoś tak się zdarzyło, że i materyi i kwiatów i wszelkich ozdób okazało się za wiele; a dla Karoliny prawdziwą było przyjemnością, kiedy grzeczna kuzynka co od niej przyjęła. Prócz tego, nie źle było i powozem się posłużyć, i smaczny

obiad zjeść darmo: wszystko to oszczędzało wydatków, których Szambelanowa z potrzeby i ze skłonności bardzo się wystrzegała. Podobno drobne lecz codzienne stosunki między dwiema kobietami, tworzą wnet ścisłą zażyłość. Karolina w sercu nie lubiła Szambelanowej, owszem czuła do niej wyraźny wstręt; jest w rzetelnych osobach coś takiego, co je od fałszywych odpycha, ale wymawiała sobie ten wstręt jak grzech. Delikatnego sumienia nie mogła zapomnieć, iż w swoim domu, u swego stołu, acz w słusznej sprawie, uchybiła w niej prawom gościnności, zawstydzając ją publicznie. Zawiniwszy we własnem przekonaniu, rada była sposobności wynagrodzenia jęj tęj krzywdy, a w pokornej prostocie nieraz mówiła sobie:

— Ja do tęj Szambelanowej przekonać się nie mogę, a ona lepsza odemnie, ani pamięta żem ją obraziła.

I równie jak kuzynka, nie strzegła się nic kuzynki, i codzien więcej wierzyła w jęj rozum i przyjaźń.

Jeden mąż zazdrosny powiedział, że nigdy tyle się nie bał dla młodęj żony przyjaciół, ile przyjaciółek. W samęj rzeczy, nigdy męzczyzna najśmielszy nie przyjdzie do takięj poufałości z uczciwą męzatką, aby ją przerobił i zepsuł w krótkim czasie; lecz dwie kobiety już we dni kilka są dobrze z sobą, o wszystkiem mówią i rozumują. Karolina oczywiście nie wynurzyła się przed Szambelanową, ale jęj serce czyste i bezpieczne stało otworem, a osoba tak doświadczona czytać w niem mogła jak w książce. Do lepszej jednak gry udawała że nie wie o niczem; różne wybiegi często niekoniecznie zręczne, któremi Karolina wymawiała z początku widoczną obojętność męza, przyjmowała za gotową monetę. Nigdy w ich rozmowach sam na sam nie powstawała wyraźnie przeciw świętości małżeństwa, ani tęż nie litowała się wręcz nad losem kuzynki; ale niemal od pierwszych odwiedzin, kołując z daleka, rozpływała się nad czułością kobiet, najczęściej ani poznaną ani cenioną; ubo-

lewała nad losem niewinnych panien, co zawiązują świat przed sobą nie znając go; unosila się nad wolnością innych narodów, gdzie córki wybierają same mężów z pomiędzy kilku; opisywała zrećnie, jak to w pierwszej młodości człowiek sam siebie nie zna, myli się na własnych uczuciach: zapalała się wreszcie nad szczęściem spotkania serca drugiego, cò pragnie zjednoczyć się z twojém.

— Żeby użyć tego szczęścia wybranych — mówiła z ogniem—wiele poświęcić można i trzeba; złączenie takich dwóch serc jest dopiéro małżeństwem prawdziwém, sakramentem duszy, i t. d., i t. d. A to wszystko po francuzku i nierównie wymowniej, niżli ja opisać chcę i mogę.

Owe dowodzenia wspierała romansami, w dostarczaniu których i w podstępny wyborze wnet przeszła Wojewodę; a co jeszcze skuteczniejszém bywa do zawrócenia głowy niewieściej od romansów drukowanych, sposobila Karolinie romans żyjący, wchodząc z równaż zrećnością w afekta Kasztelanica i ośmielając jego widoki.

Kasztelanic miał jakieś względy dla Szambelanowój; cenił jój rozum, słuchał chętnie jój słów, ile że mu pochlebiały.

— Napróžno się nie kryj przedemną — mawiała mu — mego oka nic nie ujdzie; widziałam ja jeszcze w Modrogórze, żeście jedno dla drugiego stworzeni, a ja nie myłę się nigdy. Wreszcie, còż jest złego w twojój miłości; owszem interesująca nad wszelki wyraz i wszystkim dogadza: Leonowi, który, wierz mi, nie zapomniał o swojej księżnic i bardzoby rad żeby kto ulżył jego sumieniu, bałamucąc mu żonę, i jój samój niebodze, co przymusza się do cnoty jak do lekarstwa, w duszy zaś lgnie do ciebie. A gdybyś miał jakie skrupuły, i twój dawny wstręt do małżeństwa minął, nie widzę czemu by jój nie namówić do rozwodu.... Pamiętam ja dobrze ich intercyzę, już tam była o tém wzmianka; słyszałam na własne uszy te słowa: „Na przy-

padek ustania małżeństwa, pan młody dostanie czwartą część majątku.“ W tych słowach *ustania małżeństwa*, proste dusze widzą śmierć i jeszcze słyszę westchnienie Cześnikowej na ich czytanie, ale my bez żadnego smutku widzimy rozwód. Zostanie tedy zawsze pani Karolinie z parę milionów; i tobie już wcale będzie co innego żenić się z rozwódką, z elegantką, jak było Leonowi z panną Dyblewiczówną, o której nikt nie wiedział zkąd się wzięła.

Kasztelaniec ledwie nie był gotów pokochać, uściskać samą Szambelanową, kiedy mu takie rzeczy prawiła. On uwielbiając Karolinę i wierząc w jej cnotę jak w Boga, nie widział szczęścia, tylko w posiadaniu jej ręki.

— Ale — dodawała przyjaciółka patrząc na radość jego i zapędy — nie wydawajże się przed nią z miłością twoją i nie mów nikomu o naszych projektach; niech to będzie jak najdłużej w jej przekonaniu, niby przyjaźń braterska, a w oczach świata fantazyja, jakich miewałeś już tyle. Jeszcze nie czas, już spuść się na mnie, ja ci stosowną porę upatrzę; broń Boże przed Wielkanocą: trzeba czekać aż się porozjeżdżają. Ja mam doświadczenie, wszelką taką scenę należy odłożyć do lata, po Bielanych, i połowy tyle nie gadają, bo nie ma komu.

A kiedy Kasztelaniec jej przerywał powątpiewaniem, czy kiedybądź Karolina zechce słyszeć o rozwodzie, ona mówiła:

— Zapewne teraz spłoszyłby ją można, ale trochę cierpliwości, a sama ptaszyna uwikła się w nasze sieci i wdzięczną nam będzie. Znam ja kobiety!

Kasztelaniec tak nauczony i pocieszony milczał, lecz co mógł to robił żeby się wkradać do serca Karoliny i przychodziło mu to bez trudności, bo kochał.

Zdawać się mogło, że jakby duchem prorockim przeczuwa, gdzie ona będzie, czego sobie życzy? Prawda, że i Szambelanowa nieraz podobne przeczucia mu dmuchnęła.

Czy więc Karolina poszła do kościoła, czy zupełnie bez poprzedniego projektu pojechała na spacer albo do kupców, już on tam był. Na wiatr słówka rzucić przed nim nie mogła; każde chwycił i jakby cudem w skutek zamieniał. Nieraz myśl jój odgadł, cierpienie przewidział, domowemu kłopotowi zaradził nim ona wynalazła sposób, dobry uczynek spełnił, kiedy dopiero polecić mu go chciała. Zgoła usnuł zwolna koło niej jakiś idealny, uroczy, własnej roboty świat, a tak misterne i delikatne było to osnucie, że ją nie raziło.

W owych latach politycznej u nas bezczynności, złota młodzież nasza, w której głowie przemysł, gospodarstwo i inne tysiączne sposoby służenia w każdej porze krajowi, ani powstały, miała czas do podobnych robót, i byłaby się wstydzila lenistwa i bez-żeny niektórych dzisiejszych paniczów, jako dowodów gminnego wychowania. Prócz tego ekliwe i niewieście romanse ówczesne uczyły galanteryi, surpriz, fet, atencyi, gdyż nie były niczém więcej tylko „dokładnemi kursami salonowej miłości dla użytku próżniaków płci obojój.“ Warto bowiem powiedzieć tu nawiasem, że jakkolwiek chwalić nie można opieszałości i prostactwa wielu dzisiejszych kawalerów, przecież źródło zmiany ogólnej, jaka zaszła w tym wieku w sposobie starania się o miłość i łaski kobiety, było piękne i szlachetne. Po latach gnuśnej bezczynności nastąpiły czasy chlubnej pracy, a trudy wojenne, gabinetowe czynności, nie dozwoliły najlepiej wychowanym mężczyznom, „przająć miłości doskonałej.“ Same kobiety zaczęły miliej patrzeć na rubasznego żołnierza z krzyżem u guzika, niż na wysmukanego próżniaka z kwiateczkiem; każda dobrze myśląca przystała chętnie na to, aby w myślach i w sercu kochanka drugie zajęła miejsce po ojczyźnie i sławie.

Wyszły tedy wnet z mody wielkie atencye i nadsluchowanie, a ponieważ często skutki zostają choć przyczyna

zniknie, nie jeden dzisiejszy modniś, lubo nie wojuje i nie pracuje, tak sobie wygodnie i rubasznie się kocha i stara o żonę, jak za czasów Napoleona. Widząc którego z naszych elegantów rozpartego w tatusiowém krześle i o tyle mówiącego do swej luběj o ile ona rozmowę podsyca, mógłby kto sądzić, że przyszedł zmęczony trudami obozu lub sprawami państwa. Nie! On grał w karty całą noc, wstał o południu, potém czytał, leżąc na kanapie „Pamiętniki dyabła“ lub coś podobnego; przeciąga się jeszcze, i ma sobie za wielką grzeczność jeśli nie drzémie, albo jeśli nie powtarza tego, co przeczytał na kobiety.

Przy takich zalecankach wyznać należy, że młode głowy i serca niewieście w wielkiem muszą być bezpieczeństwie, i że taki kawaler jak Kasztelaniec, mógł łatwiej swego dokazać. Biędna Karolina u rodziców nawet nie miała przed nim uciezki, bo jak czytaliśmy w notatkach, i on i Szambelanowa bywali u Cześnikowstwa. Przecież nie jednakowo byli tam widziani. Kuzynka nie podobała się wcale Cześnikowėj, ale za to skonkietowała Cześnika, pochlebiała mu, a wiadomo że próżność była starego chorobą; kuzynek zaś ujął sobie matronę grzecznością, otwartością i pochwałami jakich nie szczędził rozlicznym przysmakom jēj apteczki. Stary mianował go fircykiem, młokosem, i kręcił głową nad szczególnym instynktem, co go zawsze do nich przyprowadzał wtenczas, kiedy Karolina już była, albo kiedy miała przybyć.

Już drugi miesiąc tak mijał, a jak wiemy, zabawy szły po zabawach. Choć bale wraz z zapustami się skończyły, nastaly szlichtady, śniadania, teatru, koncerta, wieczory różnego gatunku. Dnia nie było wolnego, co mówię, godziny. Karolina od czasu bywania w świecie odstąpiła zwolna od wczesnego a przynajmniej od regularnego wstawania, od pewnego rozkładu godzin, od ręcznej roboty, od czytania codziennego religijnėj książki, od modlenia się

z uwagą, od zastanawiania się nad sobą, zgoła, od wszelkiej użytecznej pracy, owego warunku dobrego postępowania człowieka. Kiedy w dzień powszedni czy świąteczny w kościele być chciała, aż do Augustyanów na Piwną ulicę musiała jeździć, szukać jedynę w Warszawie mszy o dwunastęj, na którą pobożny Czempiński zapis robiąc, pewno się ani domyślał, że ją dla zaspanych oczków po balach i redutach funduje. Po mszy najczęściej ledwie od połowy słuchanej i bez uwagi, bo tyle innych rzeczy było w myśli, trzeba było co koń wyskoczył wracać do domu; już tam czekało kilka damskich piżmowanych liścików, a zawierały ważne interesa o nowym stroiku, o kwiatku obiecany, o bilecie do łoży, o romansie pożyczonym i t. p. Na to wszystko należało natychmiast odpisać. Następowaly potem wielkie narady z Wroczyńską i z Szambelanową o ubiór, narady przerywane licznymi przysyłkami od jubilera, od modniarki, od kupców, od szewca, i zwykle niedokończone, gdyż wszystko trzeba było rzucić i ubierać się na gwałt na obiad, zwłaszcza jeśli tego dnia wypadł proszony, bądź w domu, bądź za domem. Druga a najpóźniej trzecia była godziną obiadową Warszawy.

Po obiedzie trzeba było zajrzeć do rodziców, dowiedzieć się o ich zdrowiu, zdać sprawę z zabaw. Ale te odwiedziny odbywały się bardzo naprędce, zawsze karetka czekała, stangret i konie marzyły, a Karolina, momentami, robiła się bardzo czuła dla stangreta w ciepłej czapce i w wilczurze, i dla koni dekami futrzanemi okrytych, daleko czulsza niż dla nagich prawie żebraków i dla zniszczonych pogorzela włościan. Ledwie téż nie codzień wyjechawszy od rodziców, wypadało parę wizyt oddać, choć bilety wyrzucić; rzadki także trafił się dzień, żeby się nie obiecało kilku osobom być u siebie o téj a o téj godzinie, albo gdzie się zjechać dla jakiego ważnego na jutro układu. Uchybić zaś tym obietnicom nie można było przez sumienie,

Karolina wiedziała, bo młodzież przysięgała jęj się na to tyle razy, że jak jęj gdzie nięma, nic się nie udaje. Koło ósmęj już nagła zachodziła potrzeba zasiąść do gotowalni i ubierać się na gwałt. Wtedy dopięro nastawał rejwach, rozgardyas, zamieszanie, rwetes gdyby na Zarwańskieję ulicy; wszystkie garderobiane i dziewczęta latały jedna za drugą jak oparzone po całym domu, szukając niewiedzieć czego i trzaskając drzwiami, które przecięz zostawały otwarte; lokai, choćby ich było sześciu, rozsyłano w różne strony miasta, to po suknią, to po ozdoby do nięj, to z biletami, a Wroczyńska głowę traciła, wszystko z rąk jęj leciało: Karolina drżała jak liść, plamy występowały jęj na twarz, i niezawodnie gdyby nie Szambelanowa, trudno byłoby wydażyć na czas i wystąpić pięknie. Ale jak raz, na balu czy na wieczorze zapominało się o wszystkięm, i już było zajęcica do późnęj nocy, czasem do jutra rana. Jeźli jaki dzień trafił się nieco wolniejszy i można było posiedzieć parę godzin u siebie, to znowu wypadało przeczytać piorunem nowy romans, bo już go jedni znali, drudzy nań czekali, albo tęż zapisać duchem choć kartkę w coraz bardzięj zalegających a mnięj znaczących notatkach.

I tak dzień za dnięm nie schodził ale zlatał, i sama Cześnikowa mówiła nieraz do męza:

— Daj Panie Boże tę wiosnę jaknajprędzję, bo nasza wojewodzcicowa nam się zaspieszycy.

Lecz właśnie takie życie zajęcica a puste, próźniaczcę a męczące, najdzielnięj sprzyja wszelkim zmianom na złę, wszelkięj nięstałości serca. Karolina tak cnotliwie wychowana, tak niedawno pewna siebie, spiesznie ku zepsuciu swemu dążyła i już oczywiścice szła nie swoję drogą. Kto-kolwiek miał cierpliwość przeczytania z uwagą. Notatki, mógł w nich dostrzedz zarodów wielu wad i błędów, które z czasem, przy wpływie okoliczności i fałszywęj przyjaźni, byłyby snadno wyrosły w występki. Wielki świat, jęgo

zdrożności i zdania niedawno tyle gorszące niewinną Karolinę, od czasu jak sama w nim była i znaczyła, już coraz naturalniejsze jój się wydawały. Bo złe przykłady w świecie przyrównać się dadzą do złego powietrza w pokoju: kto świeżo z dworu przyjdzie, tego uderza i przeciwnie mu jest, ale kto się zasiedzi, oswaja się i już nic nie czuje, nie mniej jednak szkody na zdrowiu ponosi. Tak i z naszą Karoliną się stało, a ze zdrożną zmianą charakteru, przysłała nawet i zmiana serca.

I proszę, jakże inaczej być mogło? Gdzież w tym odmęcie zabaw, w tym dymie pochwał była pora i miejsce do rozmyślenia według początkowego zamiaru nad miłością dla męża, nad położeniem ich wzajemném, nad nadzieją i sposobami zmiękczenia jego serca. Miłość, jak wszystkie uczucia i wszystkie cnoty, jest niby ogniem, który nie go-reje sobą samym ale żywiołów mu trzeba. Odejmij je, przy-gaśnie; dodaj, znowu powstanie. Z owych pokarmów miło-ści, zwłaszcza dla niewinnej kobiety, może najdzielniejszym jest czas wolny. Jeżeli możesz myśleć ciągle o tym co kochasz, albo co ci się zdaje że kochasz, coraz bardziej zaj-mować cię będzie, nawet więcej niż gdybyś go ciągle wi-działa, gdyż wystawiasz go sobie czulszym, doskonalszym niżli on jest. I dla tego wiele osób utrzymuje, jakoby listy pomiędzy kochankami utrzymywały lepiej miłość w ko-bietach niż rozmowy ustne. I kto wie czy w tém zdaniu wiele prawdy niema, list można mieć zawsze przy sobie, czytać, odczytywać, rozważać, a list same piękne i miłosne słówka zawiera. Jakkolwiekby, miłość Karoliny dla Leona najwięcej wolnym czasem się urodziła i wzrosła. Od chwili dzieciennych ich zaręczyn do momentu wejścia w świat, pod-syciała ją myślami, i uczucie trwało; skoro nagle owój pod-niety zabrakło, wnet przygasło.

Możnaby na to przysiądz, Karolina długo ani wie-działa o niestałości swego serca, ani miarkowała swojej

odmiany we wszystkiem na złe. Z góry ubezpieczona o sobie, tak była pewna moralnego zdrowia, a raczej tak mało niem zajęta, jak ów, co mając przy sobie zachwalony antydot, wśród zarażonych idzie i nawet o niebezpieczeństwie nie myśli. Z całą nowością umysłu, z dziecinną prawie uciechą, a z niewieścią próżnością tak zdradliwie obudzoną, używała zabaw, tańców, strojów, pochwał. Czasem postrzegła sama że jest weselszą, że się częściej śmieje, że nie płacze chyba nad romansem, a jeżeli tego nie zapisywała w Notatkach, mówiła sobie:

Należała mi się przecież jaka przyjemność w życiu, napłakałam się dosyć.

Kiedy czasem kilka godzin minęło, a Leon ani jój postać w głowie, i potem czy zobaczyła go nagle, czy go kto wspomniał, sama się dziwiła i jakby lękała. Lecz wnet uspokoiła się temi słowy:

Wiem gdzie jest, zdrow, nie gniewa się, nie mam przyczyny turbować się i myśleć o nim jak dawniej. A on czy o mnie myśli? dodawał głos zdradliwy, wzbudzany podseptami Szambelanowej i czytaniem romansów.

Kiedy na licznem zgromadzeniu zdawało jój się że niema nikogo dopóki Kasztelanie nie przyjechał, tak sobie to wrazenie tłómaczyła:

Ale bo on jeden prawdę mi powie, czy dobrze dziś jestem, co wczoraj o mnie mówiono; tyle rzeczy mam mu powiedzieć, za tyle dziękować i wyklócić się. On taki dobry, tak się mną interesuje. To kuzyn, to brat. Szkoda, że nie brat prawdziwy.

A ze szkody w szkodę, jeżeli długo nie przychodził, przebiegła jój czasem przez głowę myśl jak ptak lotna:

Szkoda że Leon nie tak się zna na mnie; bo jednak nie śmiała jeszcze powiedzieć: Szkoda że to nie Leon.

A co prawie najwięcej ciągnęło ją do Kasztelanica i osłaniało nieprzyzwoitości takowej przyjaźni, to owo przekona-

nie, że ma nad nim wielką władzę, że on dla niej odmienił się, poprawił.

Dawniej nigdy w kościele nie powstał, jedynie modłą i fraszkami był zajęty, o ubogich ani pomyślał, grał, pił, dowodził, tyle miał dziwactw i śmieszności; teraz zupełnie inny się zrobił, i jeszcze obiecuje że coraz lepszym będzie, a nawet na Wielkanoc do Spowiedzi pójdzie.

Chęć nawracania, acz sama w sobie i w innych stosunkach bardzo zbawienm, w młodej mężatce względem nadługującego kawalera jest prawie zawsze szatańskim sidłem, i niejedna przy tej nabożnej pracy sama się zgubiła nie zbawiwszy nikogo.

Lecz zkądże podobne rzeczy mogła wiedzieć niedoświadczona Karolina? Za każdym więc dniem wzmagają się w niej uczucie dla Kasztelanica, a powiedzmy otwarcie, choć z niechęcią, skłonność miłosna.

Już-to nie darmo od tylu wieków uznano, że wielki świat szkopułem jest cnoty kobiet, i że ta co go bardzo polubi, którą nie nudzą, nie męczą te wieczne zabawy, niewczasy, ten zgiełk i nieład, tój serce musi być w to wszystko wmieszane. Człowieka wyższa natura objawia się nawet w drobnych i nagannych sprawach. W rzeczy co go mocno zajmuje, choć błahą wydaje się napozór, jest pewno jakiś ukryty pokarm dla ducha. I tak: bale, maskarady, wieczory, wizyty, mogą podobać się i zająć młodą osobę; ale ktokolwiek uczęszcza na nie codzien z polubieniem i z zapalem, z zupełnym zapomnieniem o ważnej stronie życia, ten ma w tém niezawodnie serdeczną przyczynę. Bo czemuż nie powiedzieć tego bez ogródki: celem i sprężyną zabaw towarzyskich młodzieży, jest wzajemna skłonność płci obojga, czyli miłość we wszystkich stopniach i odcieniach swoich; gdyby tego nie było, wszystkie grajki i entreprenery mogliby śmiało zaprzestać rzemiosła. Niech kto ułoży bal z samych mężczyzn albo z samych kobiet,

i powieć mi, czy się tam bawiono. Albo niech znajdzie jednego młodego kawalera i jedną piękną damę, coby trzy dni z rzędu na takich balach jednopłciowych wytrwali? Niech jeszcze mi kto pokaże kochającą i dobrą żonę, albo rozsądnego i wiernego męża, którzyby bawili się i tańczyli do upadłego przez całe zapusty. Albo to będą ludzie bardzo próżnego serca i miałkiego rozumu, albo też zaprawdę, nie będą się tak kochali w wstępną Środę, jak się kochali pa Trzy króle. Domowe szczęście ma powagę, pełność, użyteczność i cichość swoją, obok których wszelkie światowe uciechy płocze, próżne, głuszające się wydają; można ich użyć czasem dla rozrywki i przyzwoitości, ale tak w podobieństwie jak się kosztuje łakoci po dobrym i pożywnym obiedzie, na wety w dodatku.

Otóż i nasza Karolina skoro zasmakowała tak bardzo w hucznych zabawach, i już całe dwa miesiące żyła tańcem, strojami, nieładem, niespaniem, i żyła chętnie i wesoło, musiała mieć w tém przyczynę serdeczną, a nieprzyjazną mężowi, chociaż jój długo sama sobie nie przyznawała. To przynajmniej szczęście, że sekret w miłosnych tajemnicach bardzo jest nie trwały: lada co go pobudzi i wyjdzie na jaw w chwili najmniej spodziewanej; Karolinie zaś dosyć było poznać złe, aby je pokonać: ona tylko niewiadomością i łudzeniem się grzeszyć mogła.

Ale o tém w następującym rozdziale, ten już podobno zadługi.

ROZDZIAŁ XIII.

Wyznanie.

Karolina tedy nie wiedziała a podobno dowiadywać się bardzo nie chciała, co się w jój sercu dzieje? Przysługi jakie drudzy zwykli oddawać w takowych razach młodym kobiétom, ostrzegając je często nielitościwie, to wprost, to z boku, to żartem, to na prawdę, ją mijały. Bo chociaż od samego początku mówiono w świecie o miłości Kasztelanica i o jój kokieteryi czy wzajemności, mówiono półgębkiem, jako o rzeczy niepewnej, a co większa mówiono bez zgorzienia. Królowa plotek i pierwszy jój minister osłaniali ich oboje jak wiadomo swemi skrzydłami, a komuż tajno, jak wiele złego zrobić i odwrócić umieją dwa wprawne języki niewieście. Tak więc zręcznie rzecz całą prowadzono, że na Karolinie mimo całej jój wziętości i dworu młodzieży jaki ją otaczał, żaden znaczny i oczywisty zarzut nie ciężył, same tylko były domysły i to codzieln inne. Raz utrzymywano przy szeszłagu Kasztelanowej (która przywilejem chorych wielko-światowych z pierwszej ręki miewała wszystkie komeraże): że Księżę już nie żartem kocha się w pani Karolinie, a pan *Vauban* krzywo na nią patrzeć zaczyna; drugi

raz przysięgano się, iż drugi ksiązę znany także z szczęścia swojego do kobiet lub inny podobnie niebezpieczny panicz, bierze się do niej i dobrze jest widziany. Przytaczano ku temu różne dowody. Przychodziło nawet do tego, iż niektóre damy litowały się nad biędnym Kasztelanicem że kocha się w niewdzięcznej, i już sobie za obowiązek miały pocieszać go.

Tymczasem nikt nie wiedział prawdy. Tak się rzecz miała.

Wstąpiwszy w post, jak czytaliśmy w Notatkach, zaniechano balów, ale dla wynagrodzenia bawiącego się świata, nastąpiła wyborna sanna a z nią weszły w modę szlichtady. W dzień obrany, około południa, zjeżdżano się do Kasztelanowój, która lubo ciągle i ciężko chora, wolała taić srogie bole, tysiączne znosić niewygody, pogorszać niemi stan zdrowia, a nie zrywać ze światem i z zabawami jego. Przed jej pałac zajeżdżało kilka sań poszóstnych, przez prawdziwych furmanów powożonych, i kilkanaście sanek lekkich, ozdobnych, z parą dzielnych koni z dzwonkami, któremi już sami Jaśnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni właściciele jak wiatr pędzili, a chłopca stojącego w tyle, całym było staraniem utrzymywać równowagę, tego trzaskać z bicia, i wołać z całych sił, „hau! hau!“

Miejsca do tych sań i sanek były rozpisane starannie na kartkach pod dozorem Kasztelanowój i wrzucone do dwóch koszów. Gdy się cała kompania zebrała, z jednego kosza ciągnęła starsza, a przeto ostrożniejsza część towarzystwa: gdyż w nim były miejsca do sań dużych po dwie damy i po dwóch mężczyzn do każdego; do drugiego sięgały same rączki kobiece, młode a przynajmniej chcące ujść za młode, bo w sankach jedna tylko osoba sięść mogła obok szlachetnego woźnicy, a trzeba było pewnej śmiałości żeby się puścić w ową lotną łódkę, ze sternikiem, który nie zawsze bywał doświadczony.

Już kilka takowych partyi z wielką radością Kasztelanowej zebrało się i udało. Jeżdżono na wszystkie strony Warszawy: do Królikarni i do Marymontu, do Bielan i do Willanowa, do Czerniakowa i do Woli. Już przed wyjazdem było tysiąc pociech, pełno śmiechu: z par na los ciągniętych, a przeto raz wcale nie, drugi raz zanadto dobrych, z trwogi niektórych dam to udanej, to rzetelnej. Cóż dopiero w drodze i na miejscu, gdzie zwykle kawaler jaki występował niby niespodzianie z sutem śniadaniem, a na rozgrzanie się, nietylko mężczyźni ale i damy spełnić musiały szklaneczkę angielskiego piwa, albo kieliszek szampana? Nic obchodziło się też bez przypadków: te lub owe sanki się zatoczyły, niejednej damie się zdarzyło że nos albo twarz odmroziła, chłopiec upadł w śnieg, albo woźnicy-amatorowi wiatr kapelusz porwał.

Nareszcie jednego poranku, właśnie na dziesięć dni przed świętym Józefem, kiedy do Willanowa jechano, los zrzucił po raz pierwszy, że do eleganckich sanek Kasztelanica rysiami wyłożonych, Karolinie wsiąść wypadło. Nie małą to ma być przyjemnością, jak mi się słyszeć i widzieć zdarzyło, dla młodego i rozkochanego mężczyzny, wieźć ukochaną kobietę w swoim własnym powozie. Ta, którejby rad być panem, jest nietylko obok niego, sam na sam z nim, ale nawet w jego władzy, odłączoną od reszty ludzi; mógłby ją zda się uwieźć na kraj ziemi, i nie wątpię że każdemu mężczyźnie w podobnym położeniu, nasuwa się mniej lub więcej wyraźnie myśl podobna: „Ej! co tam, puszcze cugle, zatnę konie i ruszymy w świat.“ I kto wie czy nie jedno uwieszenie nie zrobiło się bez większego namysłu. Jakkolwiekby, w Kasztelanicy musiała zagrać silnie takowa ochota, bo na czele szlichtady będąc, ledwie wyjechał za Mokotowskie rogatki, kiedy bez żadnej uwagi cmoknął na konie, i ruszyły pędem strzały po gładkiej drodze. Karolina nieco zmieszana spółką jaka przypadła na nią losem

a której podobno pragnęła oddawna, nie mogła wstrzymać krzyku przełknięcia i żywej wymówki. Ludwik tak się zmartwił jęj trwogą, i gniewem, że zapominając zupełnie gdzie jest, chciał ją przeproszać, wziąć jęj rękę, a zamiast schwycić cugle, puścił je lepięj, i konie już — już rozbiedz się miały.

Wtenczas dopiero obaczył nieostrożność swoję i grożące niebezpieczeństwo. Błagając Karoliny żeby się nie gniewała i nie bała, zrzucił płaszcz, stanął mocno, i z całą siłą i zręcznością wstrzymywał konie, bacząc żeby wążle saneczki gdzie nie uderzyły. To całe wysilenie przy mrozie dziesięciu stopni i ostrym wietrze marcowym musiało być szkodliwe. Lubo tedy bez żadnego szwanku dowiózł Karolinę na miejsce i wszyscy wszystko na bystre rumaki złożyli, tęg samęj nocy zapadł ciężko i przez parę dni nie wychodził. Ale trzeciego dnia już wyżyć dłużej z tęsknoty nie mogąc, mimo zakazu doktora, pojechał do kuzynki. Zastał ją samą, niedbale ubraną, w jęj kwiecistym salonie, nad książką; zobaczył na jęj wymownęj twarzy radość i pomieszanie jakie sprawił niespodziewany jego widok, a szczęśliwy i ośmielony, zapomniał w tęg chwili o wszelkich przestrogach i obietnicach, zapomniał o świecie całym: wziął jęj obie ręce, ścisnął, ucałował, i gdy zdziwiona wyrwać je chciała, wypowiedział w słowach ognistych całą miłość swoję, wieki według niego tajoną obojętność Leona, małżeństwo ich tylko z układu, łatwość rozvodu, srogie męki jakie wytrzymał milcząc tak długo, nareszcie lubą nadzieję wzajemności. A to wszystko tak nagle i tak wymownie, że Karolina słupem stanęła, jakby oczarowana tym wyziewem zapalu i uczucia.

Lecz owo osłupienie krótko trwało. Wnet przyszła do siebie, i naprzód, według tego jak nauczyła kobiety nie pierwotna ale jakaś sztuczna natura, wszystko w żart chciała obrócić zbyt głośnym śmiechem. Te żarty, ten śmiech ubo-

dły Ludwika do żywego: łzami zapłakał. Karolina od czasu jak żyła, nie widziała jeszcze nigdy płaczącego mężczyzny; skruszała na ten widok, a łza tak snadnie łzę wywołuje, że i w jej oczach nagle dwie perły zabłysły i spłynęły po zbladłej twarzy. Kasztelaniec widząc to, pewny zwycięstwa, ponowił z większą daleko śmiałością swoje wynurzenia miłosne. Wtedy Karolina, choć niedoświadczona, w mgnieniu oka przenikła w jakim jest niebezpieczeństwie; w słowach dzielnych, jakie w takowym razie obrażona godność kobiecie podaje, zgromiła śmiałka, kazała mu wyjść w tej chwili i już nigdy jej się nie pokazać. Z oczu dopiero co łąz zroszonych, skry gniewu się sypnęły, a wyraz litości zmienił się w wyraz pogardy. Na ten widok rozpacz ogarnęła rozkochanego: porwał za kapelusz, zmiął go w obu rękach, i wyrzekł, że idzie odebrać sobie życie. Lubo w tej chwili mówił zupełnie szczerze, przecież można było wątpić czy tak zrobi, ile że nie wychodził. Karolina jednak uwierzyła co do słowa: kiedy Ludwik wchodził, właśnie czytała Wetera; przed myślą śmierci człowieka, losu nieszczęśliwej Lototy, samobójstwa z jej przyczyny, zwolniła duma: wyrzekła słowo łagodniejsze, kazała mu usiąść o kilka kroków od siebie, przysiądz na Bogą że się nie zabije, i weszli w układy.

Ona równie szczerze, choć może nie tak wymownie, bo bardzo była zmieszana, zapewniła go, że „jakąbądź wydać się mogła jej życzliwość dla niego, niebaczna, niedoświadczona, zbyt ufna, widziała w niej jedynie stosunki siostry z bratem, nie przewidując nigdy iż on tak mylnie jej postępowanie zrozumieć, do tego stopnia ją obrazi.“ Skończyła na tém: „iż jeżeli dba cokolwiek o jej przyjaźń, o jej szczęście, powinien zapomnieć na wieki o tém co dziś wyznać się poważył, uważać ją zupełnie jak siostrę, jak żonę brata, a ona pod tym jednym warunkiem nie ucieknie gdzie daleko, i nie zerwie z nim na zawsze.“

I na tém stanęło. Ludwik przyrzekł wszystko i przyrzekł z duszy. Byłby chętnie obiecał w téj chwili szanować ją nietylko jak siostrę, ale jak prababkę, byle widywać się pozwoliła, byle przestała się gniewać i pogardzać nim.

Inne wizyty, gdyż to była poobiednia godzina, przerwały dalszą rozmowę. Kasztelanic się wymknął i wrócił do siebie szczęśliwszy niż pojechał; ulżył sercu, powiedział co tak długo tait; a zastanowiwszy się, i znając Karolinę, nie mógł na piérwszy raz spodziewać się niczego więcéj nad to, co otrzymał; znając zaś kobiety w ogólności jeszcze lepićj niż Karolinę, i pochlebając sobie w duszy że ma jój wzajemność, nie mógł być bez nadziei. Jednak choć w własném przekonaniu bynajmniéj sprawy nie popsuł, umyślił zataić przed Szambelanową co zaszło, a z Karoliną obchodzić się przez tydzień przynajmniéj tak jak przykazała, a to żeby znowu wróciła do dawnego bezpieczeństwa.

Ona nie taka jak inne — mówił do siebie chodząc żywo po pokoju, gdyż już ozdrowiał zupełnie — ją trzeba rozkochać mimo jój wiedzy i woli. To nie kobiéta, to anioł. Jakże jój było pięknie z temi łzami! Słowo honoru, już nie byłem panem siebie... Co to będzie, jak kiedy przyzna że kocha i kochać się pozwoli...

A na tę myśl zatapiał się w marzeniach szczęścia.

Z Karoliną wcale inaczej się działo. Jeszcze nigdy w życiu podobnie zmieszaną nie była; nigdy taki szczególny ból nie ścisnął jój serca: nigdy tak dziwnie nie szumiało jój w głowie. A do tego głos jakiś szeptał w niéj ciągle: „Winnaś, winnaś!“ i to słowo przeszywało ją wskroś. O! jakże byłaby rada pozbyć się tych wszystkich gości wypytujących się o jój zdrowie i składających stan cierpienia którego ukryć nie mogła, to na migrenę, to na mróz na dworze, to na gorąco w pokoju. Jakże byłaby rada zostać sama jedna, choć na godzinę, rozważyć co zaszło: słowem zobaczyć sie-

bie, lubo ją dreszcz przechodził gdy wspomniała na to przejrzanie się wewnętrzne tak długo zwlekane, a teraz już konieczne!

Ale jak na przekorę, wizyt coraz przybywało; gdy nareszcie rozjechali się koło ósmej, zaledwie jój została chwilka do ubrania się z pośpiechem. Tego dnia bowiem wypadł właśnie mały wieczór pod *Blachą*, ułożony już od trzech dni: nie można było go opuścić żadnym sposobem. Zbierano się dla odczytania w dobranym komitecie komedii francuzkiój, którą grać miały osoby z towarzystwa. Była to pierwsza a stanowcza próba, gdyż niejedna osoba i nie z jednéj książki głośno czytała; ale tyle było czytelników i egzemplarzy ile aktorów, i każdy miał wydzieloną stosowną rolę. Trybunał złożony z kilku znawców, jako to książę Józef, *le duc de Fleury*, Leon, Wojewoda, pani Vauban i t. p. słuchał i wyrokował. Pani Tyszkiewiczowa, promotorka téj całej zabawy, jakąkolwiek wzięła rolę, zawsze zbierała niezawodne a zasłużone oklaski, ale inne nie dały się łatwo zapełnić, zwłaszcza kochanki. Grywała je oddawna Szambelanowa i dobrze, ale w tém właśnie było złe, że je grywała oddawna. Nie zbywało wprawdzie na młodych i pięknych kobiétach, gdyż téj ozdoby nigdy naszéj Warszawie nie brakuje; ale nie dla każdéj można było odebrać Szambelanowéj jój rolę, nie każda téż miała talent, głos, wymowę, pamięć, naturalność, konieczne przymioty do wystąpienia na salonowym teatrze.

I księciu Józefowi i jego siostrze zdało się, że Karolina to wszystko łączy w sobie: pasterka Alpejska a więcéj jeszcze Waliera, którój rolę odegrała dobrze, bo czuła instynktem że jój nie przystoi, utwierdziła ich oboje w tém mniemaniu. Właśnie w obranéj sztuce była szesnastoletnia dziewczyna, naiwna, czuła, dowcipna, i nikomu innemu prócz niéj, dać téj roli nie chcieli, a kiedy pani Vauban czasem jeszcze niezupełnie ubezpieczona zaręczeniem fa-

worytki, jakoby już niewiniątko na dobre wpadło w sidła, sprzeciwiała się temu i mówiła:

— Nie potrafi; zbyt młoda: czasu trzeba chcąc dobrą być aktorką.

Książę kończył sprzeczkę temi słowy:

— Ona też nie potrzebuje grać, niech będzie sobą, a będzie dobrze.

I wbrew zdaniu przeciwnemu, Karolina wezwaną została, a mimo niewielkiej chęci i skrytej bojaźni, przyjęła. Raz przyjąwszy, w godzinę próby cofać się nie mogła, ile że Wojewoda uszczęśliwiony z tego dopełnienia wziętości synowej, przyjechał sam po nią, naglił żeby coprędzej wsiadała, a przez niedługi przejazd z Krakowskiego Przedmieścia pod *Blachę*, nie zważając bynajmniej na jej pomieszanie, cieszył się jak dziecko, i zapewniał zacierając ręce: że „jej się doskonale uda, gdyż ona ma wiele w sobie królowej francuzkiej, która cudownie grała komedya.“

Biędna Karolina, cóż robić miała? Może i rada cokolwiek w duszy, że ciężki rachunek z sumieniem się zwleka, pojechała, przyjęła daną sobie książkę, a z samego strachu żeby ktokolwiek, mianowicie Szambelanowa, nie dostrzegł jakiej w niej zmiany, przyłożyła całą uwagę, i w istocie odczytała przedziwnie wybraną rolę. Płonących rumieńców, początkowego zmieszania, głosu drżącego, pewnego zająknienia się kiedy o miłości mówić przychodziło, właśnie było potrzeba, i stało się według przepowiedni Księcia: Karolina była sobą, i była wyborną. Rzęsiste oklaski zagłuszyły ją zanim się skończyło czytanie, pani Tyszkiewiczowa ją uściskała, Wojewoda miał ochotę ukleknąć; Leon zdumiał się, Szambelanowa nowy talent pod niebiosa wynosiła (czy szczerze, niewiadomo) i sama pani Vauban nie mogąc pochwał odmówić, wolała już wtórować tym, które Książę sypał hojnie nadobnej aktorce. Role już na wszelki przypadek

przepisane, rozdane ostatecznie zostały; i ułożono żeby grać komedią za dwa tygodnie w oktawę św. Józefa.

— Już nie będzie surpryzy dla ciebie, bracie—powiedziała pani Tyszkiewiczowa.

— Ale nie mniej przyjemności!—dokończył Księżę dziękując uprzejmie wszystkim co do téj rozrywki przyłożył się mieli.

Karolina z zeszytem w ręku, z zamyślnym Leonem obok siebie, już po północy wróciła do domu i nareszcie ujrzała się samą.

Odwykła już od jakiegoś czasu czytać w sercu swoim, a nadewszystko czytać wyraźnie i odrazu, w pierwszej chwili rozeznać prawie nie mogła, co w tym dniu szczególnym było prawdą, a co zmyśleniem? Scena namiętna i niespodziewana z Kasztelanem łączyła się niemal z ową komedią: i tam i tu słyszała po raz pierwszy wyraźne oświadczenia miłości, i tam i tu po francuzku. Przez kilka chwil była nieboraczką, jak czasem bywamy we śnie: po przykrém marzeniu śni nam się niby naprawdę, ale znowu rzeczy takie same, i my choć wiemy że to już na jawie, przecież spodziewamy się, że i to snem się okaże. Jakżeby Karolina była rada, wyznanie Ludwika i stan duszy swojej snem nazwać. Połowę życia poświęciłaby chętnie, byle się ocknąć i ujrzeć taką, jaką była przed parą miesiącami. Lecz brzmiały w niej coraz wyraźniej przytłumione przez kilka godzin wymówki, boleść coraz się wzmagala, trudno było nie uznać że rzecz na jawie się dzieje. Karolina przejrzała się sama w sobie, obaczyła się jaką jest i spłonęła wstydem. Odrazu stanęły przed nią wszystkie jój błędy i winy od chwili wejścia w wielki świat, wszelkie opuszczenia dobrego, wszelkie zmiany na złe od najważniejszej do najmniejszej rzeczy; ujrzała gasnący obraz męża w sercu a na tém miejscu inny... Na ten okropny i prawie nie do wiary widok padła na kolana, twarz rozogunioną zakryła

obiema rękami; byłaby chciała schować się pod ziemię, dwa strumienie gorących łez potoczyło się z jęć oczów; i tak, długo, długo, nie śmiejąc się ruszyć i jakby ciężarem jakim przygnębiona, z coraz większą goryczą płakała.

Może tu nie jeden głos się odezwie i powie: „Ale bo też doprawdy dziecinna ta Karolina, czegoż tak znowu wstydzić się i rozpaczać? Cóż takiego strasznego zrobiła?”

To panie łaskawe chciały, żeby owa osoba tak przykładnie i skromnie wychowana, taka pobożna, taki wstręt mająca do wszelkiego złego, tak przekonana o świętości małżeństwa, w dwóch miesiącach czasu już była doszła do zupełnego zapomnienia się?

Czyż dopiéro w ostatecznym kresie grzechu, którego tu nawet nazwać nie śmiem, ma być początek wstydu i żalu, i wtedy dopiéro obejrzyć i ratować się wolno, kiedy już kto wpadł w przepaść? Nie, panie moje, inne surowsze, czystsze należałoby nam mieć w tych rzeczach wyobrażenie; nic sobie nie pozwalając, nawet tych wolności które świat pozwala, a godność cnoty, szczęście kobiet wieleby na tęp zyskały. Gdyby niejedna grzesznica wielko światowa przypomniała sobie w duszy, jak stopniami doszła do zgwałcenia najświętszych powinności, do prawdziwej niewieścięj hańby (lubo nie wszyscy tak ją mianują), zapewneby przyznała: że nieinaczęj się z nią zaczęło, tylko tak jak z Karoliną, a całym stało się jęć nieszczęściem, że póki czas był, nie miała tego co ona wstydu i żalu.

A potem, nie trzeba myśleć, że jedynym nagannym skutkiem zawrotu głowy niewieścięj jest zalotność, i że tęp kobiecie co jawnej intrygi miłosnej nie prowadzi, już nic zarzucić nie można, i ona sama sobie nic do wyrzucenia nie ma. Przewinienia tego rodzaju są często niepodobne z razu, a przynajmniej utrudnione; udaje się nawet niektórym wabnym damom otoczonym dworem rozkochanych mężczyzn, unikać ich do końca. Wtedy świat im daje przydo-

mek tylko *kokietek*, i one go przyjmują z uśmiechem, lubo prawdę mówiąc: lekki odcień, krok jeden, często jedynie od okoliczności zależący, dzieli mężatkę kokietkę od zalotnej, a oba te przydomki są szpetne, bezecne, zupełnie przeciwne godności niewiasty i chrześcijanki. Co więcj; są téż prócz zalotności i kokieteryi inne światowe owoce, które na szali przestępstw może kiedyś równie zacięją. Czyż na przykład, dnie w nieładzie i próżniactwie spędzane, upodobanie w znikomém ciełe, zwracanie całego wysilenia czynności i myśli do zabaw i uciech, marnowanie pieniędzy, zaciąganie długów na stroje i zbytki, wtedy kiedy chłopek, co na ten przepych pracował, kiedy ubogi, brat w Chrystusie, jednéj ciepłej nie ma siermięgi: czyż samolubstwo, chęć życia bez żadnych ofiar i przykrości; przekonanie że wszystko nam się należy od losu i od wszystkich, a my nic nie winni nikomu: przekładanie obowiązków błahych, uwidzianych nad najświętsze powinności, wstyd fałszywy, nie są także występkami?

Zresztą, odwołuję się tu do dusz jeszcze młodych a długo czystych i zaufanych w sobie, niech one powiedzą: co to jest za boleść, jakie zdziwienie, poznać że się zbłądziło! Człowiek w piérwszėj młodości nietylko o drugich, ale i o sobie dobrze trzyma. Jeżeli za otarciem się ze światem, traci opinią o ludziach, o sobie dłużej nierównie jest przekonany, piérwszy własny błąd więcj go dziwi, niż daleko większe drugich błędy; a ten zawód na samym sobie jest mu przykrzejszy od dawniej doznanych zawodów na losie i na ludziach. Delikatnego i tak długo prawie nieskażonego sumienia, Karolina polegała zupełnie na stałości zasad swoich, na wieczności uczuć, we wszystkich próbach, ofiarach, jakie dawniej marzyła nim dojdzie do szczęścia, wszelkiego złego spodziewała się od losu i od ludzi, ale nigdy nie przyszło jój do głowy, aby kiedy mogła braknąć samėj sobie. O téj nowėj niedoli się dowiedziawszy, potrzegłszy tak oczywiście słabość i ułomność swoją, musiała

być zgnębiałą, upokorzoną, i zalewać się obfitemi i gorzkiemi łzami.

Ale jak zawsze, tak i wtedy pobożność prawdziwa, przytłumiona tylko na chwilę w jej sercu rozerwanem światłością, przyszła jej w pomoc i dźwignęła ją litościwą a dzielną ręką. Karolina zwróciła zapłakane oczy w górę, złożyła ręce, a w pokornej serdecznej modlitwie, wyraziła żal, obiecała szczerą i zupełną poprawę. Właśnie ksiądz Onufry spodziewany był za dni kilka „jemu więc na Spowiedzi serce otworzy, najlepszą radę usłyszy. Tymczasem zupełną zmianę w życiu swoim zaprowadzi, to jest wróci ile możności do dawnego trybu, a ostrzeżona o ułomności swojej, czuwać będzie pilnie nad sobą.“

Widzieliśmy w notatkach od trzynastego Marca, jak dopełniła tej zamierzonej poprawy. Od dnia tego zaszła i w tém piśmie znaczna zmiana: powaga, użyteczność, którą samęj sobie i postępowaniu swemu nadać chciała, wydała się i pod piórem. Mało co téż dodać mamy do opisu tych dni, przystąpimy więc nareszcie do owego balu na święty Józef i dowiemy się raz przecie, dlaczego Karolina go nie opisała.

R O Z D Z I A Ł X I V .

Święty Józef.

Cała Warszawa od dwóch tygodni mówiła o owym pikniku na Ś. Józef, o którym sam tylko solenizant nie wiedział; a lubo przez całe zapusty bale bywały świetne i wesołe, przecież o tym wrószono, że wszystkie przejdzie. Starła się o to usilnie młodzież, nie żałując ni zachodu ni kosztu, bo uwielbiała księcia Józefa. Piękny, zalotny, szlachetny, w domowém pożyciu łagodny, przystępny, dobroczynny; żołnierz pełen zimnej odwagi i waleczności, wódz zdatny a skromny, słowem rycerz prawdziwy, był jój bożyszczem, wzorem i nadzieją; i zdawało się, że tak mu hołdując z serca, już przeczuwa czem niedługo będzie dla niej, i jaką nową sławą okryje własne i wojska polskiego imię.

Kasztelanic jeden z gospodarzy i może z najgorliwszych wielbicieli Księcia, nie pomału był także owym piknikiem zajęty. Złorzecząc czasem zatrudnieniom, które mu przeszkadzały szukać tak wszędzie Karoliny i nią żyć jak był nawykł od dwóch miesięcy, cieszył się tém bardziej na wieczór balowy. „Tam zbliży się do niej po dawnemu, i użyje wszelkich drobnych wolności, jakie jedynie przy podobnej

zabawie uchodzą. Tam rozpocznie choć zdaleka owe serdeczne rozmowy i układy, do których przez ten cały tydzień przystąpić nie było można, gdyż i ona uczeniu się roli i próbom oddać się musiała zupełnie, choć także niechętnie, bo ile razy ją widział, zawsze bardzo smutną mu się wydawała.“

Karolinie, jak wiemy wcale nie w smak był ten bal; nie mogła przecież odmówić pani Tyszkiewiczowej, kiedy z zazdrością wielu dam roszczących sobie do tego zaszczytu prawo, ofiarowała jej wicegospodarstwo; nie mogła także zostać w domu, kiedy sam ksiądz Onufry tego nie dozwalał. Pocieszała się cokolwiek nadzieją, że Kasztelanic zajęty urzędem swoim i Księciem, nie będzie miał wiele czasu do tańca; bo jak dawniej z nim najchętniej lubiła tańcować, tak teraz sama ta myśl dziwnie przykrą jej była. Prócz tego, zajrzawszy na chwilkę przed obiadem do rodziców, zastała Cześnika trochę cierpiącego; a lubo zaręczał że to nic, zapewne skutki wczorajszej uczy, albo wpływ zwyczajny *ekwinoxium*, przecież wydał jej się zmieniony, i mimowolnie ciężko jej się zrobiło na sercu. Miała szczerą intencją ubrawszy się wcześniej pojechać jeszcze raz przed balem do rodziców, żeby się naocznie zaspokoić o ojca, ale nie udał jej się ten zamiar.

Wszystkie cztery wicegospodynie ułożyły sobie żeby być zupełnie jednakowo ubrane. Jak się to czasem zdarza między damami, do ostatniej godziny nie mogły się namyślić i zgodzić na kolory i na ozdoby; ztąd, posyłki, bilety, odmiany, kłopoty, zawody bez końca, a nareszcie takie w ubraniu opóźnienie, że gdyby usłużna Szambelanowa nie była i na ten raz pomogła, nigdyby Karolina nie wydażyła na czas. I tak, już dziewiąta była, kiedy wsiadły obie do karety; o dziewiątej zaś pani Tyszkiewiczowa powiedziała, że przywiezie Księcia; a wicegospodynie przyjmować go miały u schodów przy odgłosie poloneza Elsnera i kantaty Molskiego, z umysłu *skomponowanych* na tę uroczystość.

Nie było więc chwili do stracenia, i jedynie zręcznością woźnicy i ręcznością koni zdążyły zajechać i wysiąść na minutę przed solenizantem.

Owe obecne obawy i kłopoty nie nie znaczące, skoro miną, ale bardzo ważne i dręczące kiedy się dzieją, przytłumiły serdeczniejsze; a bal tak się okazał świetny i wesoły, że każdy już raz tam będąc, musiał podzielić zabawę całą duszą. Jakoż pięknie to było, kiedy cała kompania i starzy i młodzi, w galowych strojach, puścili się parami w poważny taniec polski, i suwali to wkoło, to w węża, po rześisto oświeconych salach, wśród kwiatów, zwierciadeł, draperyi białych i ponsowych, przy odgłosie dobranej muzyki i szczerych za każdą zwrotką okrzykach: „Niech żyje nasz Książę,“ Wesoło to było, kiedy poważniejsza część towarzystwa zasiadła krzesła pod ścianami, a młodzież podzieliwszy się na małe koła, wyskakiwała hożo i wybijała głośno rzczykiego mazura. Jedno zwłaszcza koło wabiło wszystkie oczy. Cztery wicegospodynie bogato i gustownie ubrane, w białych i ponsowych kolorach, ze srebrem i diamentami, wszystkie ładne, świeże i młode, w niem tańczyły, a przewodził sam Książę. Losem ciągnął z którą z czterech miał tańczyć i dostała mu się Karolina. Nie zdawał się gniewać na los; i tak im pięknie było razem: jemu, takiej prawdziwie mężczyej urody i śmiałej postawy, jēj, tak pełnej niewieścich wdzięków i nadobnej prostoty, iż każdy w duchu przyznawał: że jeźli Książę królem jest balu, piękna jego tancerka winna być królową.

I w tēj świetnej kolei toczyła się już dla Karoliny dalsza zabawa. Może nigdy tak zupełnego powodzenia, takiego natłoku najpierwszych i najlepszych tancerzy nie miała: może nigdy tak piękną nie była. Kasztelanie mimo wszelkich usilności, zaledwie do jednego angleza się docisnął. Nareszcie po wieczery, kiedy właśnie ubiegając wszystkich, prowadził ją z tryumfem do upragnionego walca, i ka-

zał muzyce grać prędko: szmer jakiś zrobił się w sali, muzykantom nakazano milczenie, a pani Tyszkiewiczowa prowadząc Księcia pod rękę, stanęła przed Karoliną i uśmiechając się mile, tak powiedziała:

— Dziś, memu bratu nic odmówić nie można; bardzo by rad widzieć cię tańczącą *szala*; już dawno nam go obiecujesz; dotrzyмайże dziś: bądź tak grzeczną jak jesteś ładną.

W innym razie możeby Karolina była odmówiła, jak się jój to dotąd na innych balach udawało; ale w téj chwili, kiedy Ludwik już ją trzymał do walca, przyjęła chętnie, powtarzając nawet bez myśli:

— Prawda, dziś Księciu nic odmówić nie można.

A raz przyjąwszy wypełniła żądanie ochoczo, naturalnie, bez drożenia się i wzdragania, bo inaczej nie umiała. Wreszcie, w owych latach takowe występowania nic szczególnego nie miały; prawie żaden bal nie obszedł się bez tańca *solo* czyli popisowego; szal, tamburino, fandango, kozak, matelot i gawot miały w najpierwszém towarzystwie wyłącznych artystów płci obojój. Do niedawnych czasów dochował się jeszcze taniec ostatni: ale zdaje się jakby powodzenie i doskonałość talentu téj co się w nim popisowała, zniechęciły inne tancerki. Od pełnej wdzięku Joanny Grudzińskiej, jużesmy na balach w Warszawie ani gawota ani żadnych tańców *solo* nie widzieli.

Karolina wszystkie tańczyła dobrze, *szal* jednak najlepiej, gdyż będąc w miarę wysoką, miała wiele w sobie powagi i gracyi, a *szal* jak wiadomo nie jest tańcem skoczny, tańcem nóg, raczej rąk i figury. Udał się jój przeWybornie, jako godnej uczennicy Kurczyńskiego; a tańczyła go tém lepiej, że zaraz z początku dostrzegła Leona, przypatrującego jój się dziś z taką samą życzliwością, z jaką wczoraj u rodziców słuchoł jój śpiewu; spotkała nawet takie jego wejrzenie, że wskrósł ją przejęło i daleko jój myśl zanosło..

Skończywszy, okryta oklaskami i podziękowaniami Księcia i pani Tyszkiewiczowej, Karolina korzystając z rozpoczynającego się mazura, uciekła zręcznie przed resztą komplementów do przybocznego pokoju i siadła w głębokiej framudze okna. W tym pokoju w jednym rogu rozstawiony był stół zielony, i właśnie pani Tyszkiewiczowa talią kart trzymając w ręku zapraszała do niego, a Leon żywszy niż zwykle w ruszeniu i w mowie, i który zdawało się jakoby sam jeden dostrzegł, gdzie Karolina się skryła, ofiarował bank ciągnąć. Wnet zeszło się około stołu amatorów wielu: jedni zasiedli, drudzy stali, jedni grali, drudzy patrzyli; przyszła i Szambelanowa i usiadła obok Leona, mającego niezwykle powodzenie: dukaty i talary sypały się przed nim jak grad.

Karolina przez kilka minut siedziała samotnie i rada była że trochę wypocznie; ale wnet, bądź skutkiem owego uczucia jakie zwykle obudza samotność obok wrzawy i tłoku, bądź z innéj jakiej przyczyny, nagły smutek ją ogarnął, i nie potrafiła go utaić przed Ludwikiem, który obszukawszy jęj po wszystkich salach, przybiegał szczęśliwy prosić ją znowu do walca.

— Ach!—powiedziała—już mi się nie chce tańczyć; niewiem zkąd, bardzo mi smutno.

Tu, kiedy młodzieniec rozkochany usiadłszy obok niéj, chciał dosyć wyraźnie ów smutek na swoją korzyść tłómaczyć, i przyznawał się do większego jeszcze; Karolina przerwała mu opowiadając z żywością niespokojność swoją o ojca, i jak jęj przykro, że od obiadu wiadomości o nim niema. Na te jęj słowa Ludwik zerwał się i zawołał:

— Za kwadrans jestem tu z dobrą nowiną; ale będę miał walca—dodał ciszej całując jęj rękę, i zniknął jak błyskawica.

— Cóż Karolina odpowiedzieć mogła! nie było nawet

komu, Kasztelanie już był daleko. Lecz bądź niekontenta z takiego układu rzeczy, bądź niespokojna jakich wieści o ojcu się dowięd, nie mogła już usiedzieć na miejscu; wróciła do głównej sali, odmówiła kilku tancerzom, a gdy kwadrans minął i goniec nie wracał, wymknęła się cichaczem do drugiej sali, gdzie wszyscy tańcowali do upadłego i stanęła przy drzwiach najbliższych sieni, chcąc parę minut przędzėj usłyszeć nowinę.

Nareszcie usłyszała turkot powozu i prędkie stąpanie; serce w nięd mocno zadrżało: wpadł Ludwik zadyszany, zmieszał się bardzo jak ją tak nagle zobaczył; snadź, nie był sobie jeszcze ułożył co jęd powie: a prędki, nieuważny i nie znający natury Cześnika, powiedział nie domyślając się bynajmnięd, co mówi:

— Był słaby, bo upadł na środku pokoju; ale daleko mu lepięd po krwi puszczeniu.

Karolinie dosyęd było na tych słowach: już zobaczyła ojca konającego, a nie pytając się o nic i o nikogo, córka w tęd chwili przed wszystkięd, wybiegła z sali jak była, z odsłoniętą szyją, bez niczego, i w tłumie lokai leżących w przedpokoju i na schodach, chciała znaleźć swoich. Kasztelanie zdziwiony i prawie równie zmieszany jak ona, biegł za nią; służących ani powozu nie było można się dowołać; wiatr wiał przejmujący, śnieg padał płachtami, ona nieboraczka oparłszy się o ścianę w sieni, drżała jak listek z zimna, z trwogi, z niecierpliwości. Ludwik osłaniając ją choć z daleka własnym płaszczem, zaproponował nieśmiało karete swoją, którą dopiero co przyjechał. Przyjęła bez żadnego namysłu i wsiadła z pośpiechem. On swój płaszcz rzucił na jęd nogi, a zafrasowany, że ona w takięd zmartwieniu, sama, z obcemi ludźmi, w nocy jedzie, powiedział:

— Możeby i ja się tam na co przydał... może po doktora...

— Ach! prawda!— wyrzekła prawie bez przytomności Karolina—wsiadaj, proszę, i owszem: tylko jedźmy, jedźmy prędko!

Wsiadł tedy, krzyknął głośno do stangreta:

— Tam, zkąd wracamy: co koń wyskoczy!—I ruszyli.

Kto zna niespokojność o życie drogiej osoby, niech sam powie czy mogła w tym razie przyjść Karolinie pamięć przyzwoitości, obmowy ludzkiej? czy mogła nawet myśleć o czém inném jak o ojcu? Przecie w pół drogi przypomniała sobie bal, męża i powiedziała Kasztelanicowi:

— Jak téż dziękuję i przepraszam... Proszę koniecznie skoro będzie można wrócić i powiedzieć pani Tyszkiewiczowej i Leonowi co się stało. Niech Leon ani Szambelanowa na mnie nie czeka: ja zostanę u rodziców.

Lecz czyż się to nie zdarza, że najniewinniejszy postępek za zły poczytany bywa, zwłaszcza kiedy się zbiegną ku temu okoliczności, i kiedy jest żmija, co rada wszystko swym jadem zatruwa.

Szambelanowa tego wieczora, może przez przecucie ile złośliwością swoją nieszczęść gotuje, w gwałtownym była stanie, i zagniewana wielce na Karolinę, aż wszystko wewnątrz nięj się trzęsło, i twarz gorzêj niż zwykle zapadła i zczerniała. Już od tygodnia widziała ona w kuzynce odmianę i daleko mniej owęj uległości i wiary, jakimi dotychczas cokolwiek ją rozbierała; przytém, pominawszy wyższość urody, młodości, nowości, na którą już się zrezygnowała choć z przymusem, Karolina coraz wyraźniej jęj miejsce właściwe zabierała; na jęj ubiór teraz nikt nie zważał; odebrano jęj rolę *kochanki*, którą byłaby jeszcze kilka lat z powodzeniem grała; i dziś jęj się należało być jedną z czterech wice-gospodyń, nie zaś parafiance z końca świata, co żadnych zasług pod *Blachą* nie miała. A co od tego wszystkiego było gorsze i czego pycha Szambelanowej nie przyznawała jeszcze wyraźnie: podobno ani z zemsty,

ani z wygranąj nic nie będzie... z niej pierwszy raz w życiu zażartują, a mniemana jej ofiara za pomocą jej intryg i zachodów, na sam szczyt niewieściego szczęścia się wznieście. Bo z tego wszystkiego co widzi i czego się domyśla, co od tygodnia i na tym balu się dzieje, i z Księciem, i z Kasztelanicem, a nawet z Leonem, rzecz oczywista: iż niby niewinna pani Karolina, idąc torem dam najbieglejszych i do rozwodu nie pójdzie, i męża zawojuje i amanatów mieć będzie, i jeszcze przy dobrej sławie zostanie.

Takiego widoku, takiej obawy Szambelanowa strawić bezkarnie nie mogła; trzeba jej było koniecznie, dziś, zaraz, na kogoś zółć poruszoną wylać, bo inaczej zachorowałyby, i w tym celu siadła przy Leonie.

Niecierpiała go, tém mocniej, że wzbudzał w niej jakiś szacunek. Leon jak wiemy, był z rodzaju tych ludzi, co podobają się prawie mimo woli, i którym wiele dziwactw nietylko uchodzi, ale nawet za wyższość jest poczytanych. Mało mówił, nigdy o sobie, ganił ostrożnie, ostrożniej jeszcze chwalił; i nikt go ani na plotce, ani na kłamstwie nie schwytał. Wszystko to gniewało Szambelanowę, ile że choć codziennym gościem bywała u jego żony, i tak jej nadślugiwała, nie zdarzyło jej się nigdy słówko pochlebne od niego usłyszeć.

„Poczekaj, muszę ci choć raz dokuczyć i nauczyć cię, pomyślała sobie: pocóżeś i niestały i łatwowierny, jak wy wszyscy, przekłete mężczyźniska.“

Bo czas tu powiedzieć, czego to Szambelanowa domyślać się i obawiać zaczynała? Karolina sama nie wiedząc o tém, bardzo bliska już była zupełnego nad mężem zwycięstwa. Igraszki i koleje miłości przypominają często grę w piłkę: kiedy ty ją odrzucisz, drugi ją chwyta. Karoliny miłość dla Leona zwolniała, myśl owiej rywalki dawniej tak obecna i przykra, prawie znikła, a on już od jakiegoś czasu cierpiał srogi odwet za wszelkie męczarnie zadawane jej

niegdyś; lubo nie dawniej jak wczoraj ośmielił się przyznać sam sobie tę niespodzianą zmianę swego serca.

Karoliny piękność, ułożenie, charakter były zupełnie zgodne z rzetelnym gustem i sposobem myślenia Leona; taką, jaką dziś była, odpowiadała nawet nierównie lepiej od Julii, owemu ideałowi kobiety, który on sobie stwarzał w pierwszej młodości. Gwałtowna i występna namiętność zaślepiała go; dla wszystkich kobiet stał się nieczułym, niesprawiedliwym, a szczególnie dla żony. Przecież od pierwszych miesięcy ich pobrania się, skoro był z nią czas jakiś, słabło uprzedzenie i przebijała owa dawna, jakby wrodzona, na dnie serca leżąca skłonność. Takim widzieliśmy go po kilka razy; lecz zręczna Julia zawsze owe budzące się iskry w samą porę przytłumić umiała; litewskie zaś rozkosze, zamiar rozwodu, już na zawsze jak się zdawało, Karolinę z serca męża wyrugowały. Ale jeżeli skromnym i nieco romansowym kobietom wolny czas i korespondencya, w miłości dobrze służą, i na lat kilka wystarczyć mogą: młodym mężczyznom dumania i listy nie na długo są dostateczne, i dla utrzymania ich wierności widywać się niekiedy potrzeba. Zaczynał tedy obraz Julii gasnąć pomału w sercu Leona, a nieznacznie wciskała się do niego łagodna, nadobna Karolina. Może być, że jej powodzenie, pochwały i nadszkiewania innych mężczyzn, piękność wydatniejsza w gustownym stroju, nie mało do tego się przyczyniły; jednak więcej jeszcze posłużyły tej zmianie, słowa i zdania słyszane tu i owdzie przypadkiem, nawiasem, z ust najpoważniejszych, a przeto tém więcej uderzające. Kto wie, czy zręcznym ich nasuwaniem nie kierował Wojewoda? i na ten raz trudnoby jego fortelom przyganiać.

Te słowa i zdania tyczyły się księżnej P.

Leon dotąd to wiedział o niej, co ona sama mu powiedziała o sobie, i znał ją najdłużej we Włoszech, w owęj

krainie miłości, sztuk i obyczajów wyzwolonych, gdzie byle kobieta miała piękne oczy, gust do muzyki i dom otwarty, o resztę się nie pytają, a uwielbiają. W dworcu litewskim także prawdy dowiedzieć się nie mógł: był pod urokiem; w Warszawie zaś z rzetelnej strony znano wabną Julię. Najprzód więc, ubodł Leona przymiotnik *nie młoda*, który jej dawano powszechnie. Ktoś co ją widział zeszlęj wiosny w przejeździe przez Wiedeń powiedział:

— Jak się ubierze, jeszcze ujdzie; ale rano, bez różu, bardzo znać latka.

— Cóż dziwnego—przerywał drugi—za wielkiego sejm juź to była panna dojrzała; córce niedługo ustąpić miejsca wypadnie.

— Dobrze i tak się utrzymuje, ona jednego wieku z Szambelanową—dodawał trzeci.

Powtóre, bardzo lekko o niej mówiono: „że kokietka, fałszywa, męża dobrodusznego za nos wodzi, a z wiekiem zamiast statkować, coraz więcej dokazuje; szeptano nawet, iż w przejeździe swoim z Wiednia do świekry, gdzieś się podzielała na sześć tygodni, gdyż była tego gwałtowna potrzeba.

Dla miłości dwudziesto czteroletniego młodzieńca zabójczy ten wyraz *jeszcze piękna*, i porównanie kochanki z kobietą juź zupełnie przeszła; a dla człowieka dbałego o opinią, lekceważenie przyszłej żony bardzo zamysły ostudza. Wszystko to jednak możeby nie było zaszkodziło Julii obecnej, ale na oddaloną o mil ośmdziesiąt, strach był wielki. To niebezpieczeństwo objawiło się piérwszy raz na balu, który Karolina *swoim balem* zwała. Z serca gościnną, z ułożenia pełną szlachetnej grzeczności, wybornie przyjmowała u siebie, a przytém w owych łabędzich puskach była prześliczna. Młodym i świeżym kobietom, dzieciom pulchnym i białym, w tym stroju bardzo jest ładnie. Leon zbliżony więcj w tym dniu do żony jako do gospodyni, jakoś dostrzegł tój

nadzwyczajnej urody, i mimowolnie częściej i dłużej patrzeć na nią zaczął; a widząc ją zupełnie zajętą innemi, jakby się uraził, i zaraz po wieczerzy uciekł do swego pokoju, uprzedziwszy tylko ojca, że dla słabości odchodzi do siebie. Raz z balu wyszedłszy, już wrócić nie wypadało; zły na drugich i na siebie położył się, spać nie mógł; wstał, jakby na lekarstwo zaczął odczytywać list od Julii rano odebrany: nie podobał mu się; chciał jęj odpisać, nie szło mu pisanie; i tak przemęczył godzin kilka, aż do dziewiątej z rana, gdyż dopiero o tej godzinie weseli goście się rozjechali, i wszystko ucichło w pałacu.

Od tego dnia postępowała owa tajemna skłonność do żony, chociaż rozmaitym przybięrała postać. To się gniewał na nią, że taka dziewczyna z niczego wszystkich zajmuje, i dobrze sobie radzi w wielkim świecie, nawet bez jego pomocy; i przez dni kilka nigdzie nie był gdzie ona, a przynajmniej choć był, niby na nią nie zważał. To znowu widząc ją tak ładną, wesołą, powabną, otoczoną, czuł w duszy mocną zazdrość, którą sobie tłómaczył troskliwością o honor mężowski. Za zazdrością przychodziła niespokojność, chęć przekonania się na własne oczy o tém co się działo; jeździł więc wszędzie za żoną, uważał ją z daleka, i wracał do domu coraz mocniej nią zajęty, a coraz więcej zagniewany na siebie. Wieczór ostatniego Wtorku znacznie zwiększył jego uczucie. Waljera, jęj skromność przyzwoita, zajęła go niezmiernie i co mu jeszcze w Warszawie się nie zdarzyło, wziął domino i pojechał na redutę. Pewny, patrząc na Szambelanową że to żona, chodził za nią, i podsłuchiwał. Nie ucieszyły go owe zaczepne maniere ze wszystkiemi, słówka dwuznaczne i ironiczne, które Szambelanowa poznawszy go odrazu zęcnie mu rzucała, ale zawróciły, mu głowę jeszcze lepiej. Miłość jest najdziwniejszém uczuciem ze wszystkich, i dla tego tak mało rachować na nią można, skoro nie jest na szacunku oparta;

nieraz to coby zastraszyć i zniechęcić powinno, ją wabi i wiąże.

Wrócił tedy Leon z reduty, jak mówił sam sobie, *zaintrygowany*, a jak było w istocie rozkochany w żonie, i w niezmyślonój chęci zbliżenia się do nięj, zawsze w intencji czuwania. Ztąd propozycja przejażdżki sankami, której ona odmówiła, i kilka uwag które ona moralami nazwała. Ztąd znowu na cały tydzień, gniew, dąsy, mniemana obojętność, i znowu z kolei zazdrość, zajęcie się żywe, owę znane od wieków paroksyzmy sercowej gorączki, a tém mocniejsze im więcej tłumione. Nareszcie owego trzynastego Marca, dnia przejrzenia Karoliny, dowiedział się przypadkiem a z pewnością przez służących, że ona na reducie nie była. Kamień mu spadł z serca, i razem powstał niesłychany żal do samego siebie, jakiego nigdy nie miał kiedy ją zdradzał i obmawiał, że niewinną, rzetelną Karolinę posądził o intrygi i kłamstwo jęj zadał.

Postanowił przeto nagrodzić uchybienie, i zdarzyło się, że ją zobaczył piérwszy raz potém, pod *Blachą*, czytającą ową naiwną rolę. Zaczarowany jęj czytaniem, ile że cenił wysoko podobny talent, zbliżył się do żony, i ona także jak wiemy, od tego dnia zbliżać się zaczęła do niego; ale przewiniwszy sama, nie mogła zaraz dojrzeć pomyślnęj w mężu zmiany, gdyż na nowo lękliwa i nieufna w sobie, patrzeć mu nawet w oczy nieśmiała; on tę lękliwość brał za skutek wstępu wręzonego, za słuszny żal, wreszcie może za skłonność do kogo innego, i dręczył się; a lubo jeszcze nie przemógł tyle na uporze swoim, żeby przyznać czarne na białém, że się kocha w tak długo wzgardzonój żonie, że owa wieczna miłość dla Julii znikła; przecież już żadnym sposobem przemódz nie mógł na wrodzonój prawości swojój, żeby pisać do ex-kochanki tego co nie czuł; i ów list dziewiętego Lutego odebrany, leżał dotąd bez odpowiedzi.

To może jakaś choroba, jakaś uluda — mówił czasem do siebie — zapewne minie; poczekajmy jeszcze. Gdzieżbym ja się mógł zmienić i być niestałym!

Dzień św. Gabryela otworzył mu nareszcie oczy i przełamał w części ową pychę, która go tak odwozдить chciała od dobrego, jak właśnie jego żonę pokora odwozдила od złego. Karolina w owym dniu domowego święta, ukazała mu się we właściwem sobie świetle, i już go ujęła na zawsze. Wśród rodziców i dawnych przyjaciół, w tój białej gładkiej sukni, w owych włosach rozpuszczonych, po odbytem nabożeństwie, była prawdziwie sobą, dziecięciem, kobietą, aniołem na przemiany. Kiedy wieczorem przy klawikordzie śpiewać zaczęła piosnki narodowe i tkliwe, Leon opodal siedzący w najciemniejszym kącie pokoju, do jakiegoś nieba nieznanego sobie zachwycony został. Była to miłość żywa i silna, ale miłość godziwa, która szczęście prawdziwe daje, bo z enotą skojarzyć się może. Pięrszwy raz przyznał sam sobie wyraźnie z radością, że on ma prawo do tój anielskiej istoty, i że byłby własnym nieprzyjacielem odpychając dłużej taki skarb od siebie.

Choćby wreszcie upokorzyć się, wycierpieć, czyż nie warto? — pomyślał.

I gdyby Wojewoda nie był przerwał owych słodkich uniesień wywołując go prawie gwałtem pod *Blachę*, kto wie czyby jeszcze tego wieczora wyznanie nie nastąpiło. To pewna, że wróciwszy do domu w godzinę po Karolinie, oka nie zmrużył do białego ranka. Kiedy ona wstała z miłego spoczynku, żeby zapisać co prędzej błogie wrażenia dnia wczorajszego, on w śnie przerywanym okropne miał widzenia, tórn okropniejsze, że osnute na prawdzie. Śniło mu się że uciekał, a ścigała go Julia w rozpacz i w gniewie jak zajadła furja, miotając na niego obelgi i przekleństwa; doganiała go nareszcie, jakby szpony rozpalone

wcisnęła mu w samo serce i tak go w mocy swojej trzymała. To znowu on gonił, a Karolina uciekała przed nim; czasami zwracała ku niemu twarz cudownej piękności, i mówiła z uśmiechem półzartobliwym, półlitosnym: „Zapóźno! zapóźno!“ i znikała gdzieś w obłokach, w tańcu z Księciem, czy z Ludwikiem.

Pod wpływem takowych widzeń, Leon smutny i zamyślony przepędził połowę dnia na konnej samotnej przejażdżce i wczesnie udał się na bal. Tam skoro przyjechała Karolina, wszelka przykrość znikła; bo któż nie wie że osoba ukochana jakby raj z sobą przynosi. Ów *szal* z takim wdziękiem tańczony, owo spotkane wejrzenie, wszystko to dobiło go do reszty. Bojąc się samego siebie, gdyż oczywiście nie chciał się wydać przed światem ze swoją miłością, na pierwsze wezwanie pani Tyszkiewiczowej siadł żywo do faraona, bank założył i w duszy gniewał się że wygrywa: „kto w grze zwyciężca, w miłości sługa“ niesie przysłowie.

Przebiegła i zawistna Szambelanowa domyślała się tego wszystkiego co się w Leonie działo. Im więcej dostrzegała jak oczy jego chętniej patrzą w stronę gdzie Karolina siedzi, niż przed siebie na rosnący stos srebra i złota, tém więcej w niej rosła chęć dokuczania mu. Zaczęła więc naprzód rzucać słowa, niby przyjaznej przestrogi.

— Mięj się na ostrożności—szepiała mu—dołki tu pod tobą kopią. I to nadzwyczajne szczęście w karty nic dobrego nie wróży...

Leon zadrżał i zbladł, żartem jednak chciał zbyć żart; ale wtém dostrzegł Ludwika całującego w rękę żonę, a ją naprzód w zamyśleniu, potem idącą za nim.¹ Szambelanowa wiedziała dobrze co to wszystko znaczy, zasłyszała coś nawet o słabości Cześnika, lecz z umysłu nie chciała się dopytywać, żeby nie popsuć sobie szyków, a w razie wymówić

się tém wygodném słowem: *nie wiedziałam*. Nie idąc tedy za kuzynką, jakby tego wymagała ich zażyłość, siedziała ciągle przy Leonie i szeptała mu:

— Ot, sam widziałeś: nie dowierzaj, nie pozwalaj: co nadto, to nadto. Wierzę bardzo, że ci jest zupełnie a zupełnie obojętna, ale jednak to żona. A kto wie nawet czy kuzynek nie jest tylko płaszczykiem... jest tam podobno ktoś trzeci, daleko znakomitszy... Nie bardzo będzie smaczno, jak pana do wygodnych mężów policzą..

Leon brał każde to słowo podstępne do serca, jak spragniony połyka napój chociażby zatruty. Przecież niewolnik przyzwoitości nie zerwał się natychmiast od stołu, jak miał niezmyśloną ochotę; owszem niby obojętnie słuchając Szambelanowej, kładł ciągle karty na prawą i na lewą, i ciągle wygrywał. Nareszcie po dobrym kwadransie skończywszy talią, wstał bez pośpiechu i powiedział do sąsiadki:

— Ciągnij pani za mnie, proszę; to szczęście mię nudzi. pójdziemy do połowy.

Szambelanowa siadła z radością; widok złota, owego jak mówią pewnego lekarstwa na żółtaczkę, uśmierzył nieco żółć jej wzburzoną. On postawszy trochę, widząc że Karolina nie wraca, poszedł zwolna wypatrywać co się z nią stało? Muzyka grzmiała w obudwóch salach; jak zwykle bywa po wieczery osób było mniej, ale wszyscy tańczyli kilka tylko matek i ciotek zmęczonych ciągłym patrzaniem przymało na stołkach. W żadnym kole ani nigdzie nie dostrzegł żony i kuzyna. Wyszedł więc już spieszniej na schody, i właśnie trafił na ową chwilę, kiedy Kasztelaniec; wychylając głowę z karety, wołał na woźnicę:

— Tam, zkąd wracamy: co koń wyskoczy!

Nim się zastanowił, już był na dole i pytał się stojącój we drzwiach liberyi:

— Kto to pojechał?

— Jakieś państwo—odpowiedział jakiś niby Maciek—pan i pani.

— Pani, czy młoda i piękna?

— A juścić starój i brzydkiejby tak sobie nie wywoził i nie otulał taki pan śliczny.

— A gdzie pojechali?

— Zda się że ku zamkowi.

Leonowi w téj chwili szatańska myśl przychodzi a raczej skutkują słowa Szambelanowej. Przyznać jój sobie sam nie śmie, przecież musi rzecz wyświecić. Nie szukając już swego powozu, nie zważając na śmiechy i żarty drwiące lokai, wpada do piérwszój dorożki i każe jechać do kamienicy Rezlera. Tam mieszkał Ludwik. Dojeżdża. Niéma karety przed domem. To go jeszcze więćej pobudza; juźby ich wolał tam zastać, bo tak, stokroć większą hańbę i boleść przeczuwa; a jeszcze jakby na domiar, przypomina sobie, że i Księcia w żadnój sali nie widział. Wysiada i mówi:

— Juźcić wrócić musi do siebie i zdać mi sprawę.

Stuka pięściami do drzwi; zaspany stróż, kocem odziany, wstaje z siennika i otwiera mu klnąc co się zmieści. Biegnie prosto do mieszkania Ludwika, woła na służących po imieniu: ci wpuszczają go z uszanowaniem do pańskich pokoi. Sam przy jednój świecy, dopiéro co z ludnój i oświeconój sali, pod nawalem tyłu uczuć i myśli, przechadza się czas jakiś wielkim krokiem; nie wie prawie co się z nim dzieje, wie tylko że męki cierpi. Nareszcie jakby się budzi, a bijąc się w czoło mówi na głos:

— Szaleństwo zrobiłem, należało pędzić za niemi; czegoż tu będę czekał jak głupi, i czego się doczekam? Trzeba jechać... Ale gdzież się każę zawieźć? gdzie ich znajdę?..

Kiedy tak się waha, i to wychodzi, to zostaje, powóz zajężdża przed kamienicę i wnet słychać głos Kasztelanica.

Wierny słowu danemu Karolinie, zastawszy u Cześnikowstwa aż trzech doktorów, wracał na bal, ale wstępował

do siebie, żeby poprawić trochę ubioru, i ze schodów wołał na kamerdynera.

W Leonie, na głos jego, z nową siłą powstaje myśl piekielna:

— Kiedy wrócił tak prędko i sam, odwoził ją tylko! O hańbo! o zgrozo!.. Dziś Księżciu nie odmówić nie można, ona sama tak powiedziała.

A uniesiony gniewem, wzgardą, zazdrością, wstydem, zabiega drogę wchodzącemu Ludwikowi, miota na niego wyrazy najobelżywsze w obec służących, i o mało co że go ręką nie znieważa. Biedny Kasztelaniec, który przez całą drogę tam i napowrót marzył tylko jak kiedyś będzie szczęśliwy, kiedy z prawa a nie z przypadku będzie się tak opiekował Karoliną; który wieszował sobie jakby bohater-skiego czynu, że w czasie téj nocnej podróży nawet jęj ręki się nie dotknął, słówka dwuznacznego nie powiedział, i on trafia we własnym domu na takie wyrzuty, podejrzenia i obelgi, i Leon zamyka mu gwałtem usta, kiedy chce się usprawiedliwić, opowiedzieć chorobę Cześnika. Dziwić się nie można, iż i w nim krew silnie zawrzała. Od słowa do słowa przyszło wnet z obojój strony do takich, które według kodeksu honoru, pojedynku wymagają koniecznie.

— Jutro w Marymonckim lasku, o pierwszej z południa—to sobie powiedzieli nareszcie, z pozorną zimną krwią,— resztę sekundanci ułożą.

— Moimi, Staś Potocki i Michał Grabowski—powiedział Leon.

— Moimi, książe Walenty i Brzostowski—powiedział Ludwik, i tak się rozeszli.

Kasztelaniec jakkolwiek zdziwiony i odurzony po wyjściu Leona, nie zapomniał jednakże o rozkazie Karoliny. Przeszło mu nawet przez głowę, jemu, który nie był zbyt przewidujący, że kiedy mąż obojętny w taki sposób wziął ową niewinną przygodę, świat będzie mógł także źle o niej

sądzić. Poprawiwszy więc czuba i ubioru tém staranniej, iż nie chciał żeby kto poznał co zaszło między nim i Leonem, ułożywszy sobie minę, wsiadł do powozu i na bal jechać kazał. Zaledwie ruszył, spotykać się zaczął z wracającymi karetami. Blisko półtorej godziny przez ten czas upłynęło: już było około czwartej po północy. Książę, który nigdy późno w noc nigdzie nie bawił, gdyż lubił wstać rano do wertowania dzieł historycznych i wojskowych wyjechał cichaczem: głównego gospodarza i królowej balu, nie było, jakieś nawet szepty powstały; a Szambelanowa rada temu, że się coś z jej słówek kluje, i że nie będzie czasu przegrać do reszty stosu zostawionego sobie złota, zgarnęła zostające pieniądze do batystowej chusteczki i szepnęła pani Tyszkiewiczowej:

— Jedźmy.

Wnet ruszyli wszyscy. Kasztelanic przyjechawszy, już tylko kilkanaście mniej znaczących osób zastał prawie na wsiadaniu. Wrócił do siebie, przejęty może więcej tém że Karoliny usprawiedliwić nie mógł, niż jutrzejszym pojedynkiem. Już to mu było nie pierwszy raz igrać podobnie z życiem własnym i cudzym, i dotychczas udawało mu się szczęśliwie, „czemużby i teraz los mię miał omylić“ myślał sobie. Przecież mimowolnie więcej wagi do tego czynu przywiązując dziś niż dawniej, bo miłość prawdziwa zawsze zbogaca serce i życie, wróciwszy do siebie napisał list, dłuższy niż kiedykolwiek do księcia Józefa, którego wielce szacował i nawykł nawet uważać jako opiekuna; jemu gdyby miał zginąć, przekazywał obronę sławy, niewinnej anielskiej Karoliny; majątek zaś cały zapisywał na Dzieciątko Jezus. Ten list ukończywszy napisał jeszcze dwa do wymienionych przyjaciół; kazał je odnieść skoro świt, przebudzić ich gdyby spali. To wszystko zrobiwszy i dziwiąc się sam sobie że tyle dokazał, położył się na dobre, a strudzony, młody,

i na ten raz silny prawością, zasnął smaczno na kilka godzin. Przyjaciele go nie zawiedli.

Spotkanie miało miejsce w Marymonckim lasku o pierwszej z południa, według wszelkich pojedynkowych przepisów. Ciotecznie rodzeni bracia, tak długo przyjaciele strzelali do siebie o piętnaście kroków. Strzelili razem. Leon draśnięty został w kolano: Ludwik padł na miejscu!

ROZDZIAŁ XV.

Śmierć i list.

Dwa miesiące minęło od owego nieszczęsnego dnia świętego Józefa. Maj był w drugiej połowie; już nietylko skore łąki i ogrody, ale i leniwe bory i lasy okryły się liściem i kwiatem; ciepłe a ożywcze powietrze tchnęło lubością i życiem, słońce rzucało na ziemię połysk wesela, ptaszki śpiewały radośnie, wszystko w całej naturze zdawało się wołać na człowieka, zwłaszcza na mieszkańca miast: „Niewola twoja się skończyła; wstań, ubierz się bialo i lekko i idź, używaj coprędzej tych błogich a krótkich uciech.“ Przecież w domu dobrze nam znanym, na Długiej ulicy w Warszawie, w zamkniętym i prawie ciemnym pokoju, w ciężkiej żałobie, w cięższym jeszcze smutku, Karolina nie myśląc ani o wiosnie, ani o słońcu, klęczała u nóg matki, której twarz blada i ściągnięta, oczy zapadłe, więcej jeszcze od czarnej wełnianej odzieży, od głębokiego czepca ukazywały wdowę.

Cześnik umarł. Zabiegi całego życia doprowadziły go

do rychlejszej śmierci; chciał żeby jego jedynaczka wielką panią była, na wielkim świecie jaśniała; stało się jego życzeniom zadosyć, ale to spełnienie zabiło go przed czasem; bo jakkolwiek dożył lat siedmiudziesiąt, przecież prawdziwy król zdrowia, zdawał się stworzony na wzór owych dawnych ludzi, co wiek żyli z okładem.

Już on od czasu spóźnionego powrotu Leona z Podola, miarkować był zaczął, że jego Karusia nie jest szczęśliwa; jednakże nie domyślał się całej prawdy; a to czego się domyślał, krył nawet przed żoną: człowiek, co rozumem słynie i skutecznie drugim radzi, pomylić się nie lubi, zwłaszcza na sobie i w najdroższym interesie, ani też przyznać się do błędu. Im tedy więcej Cześnik się przekonywał, że uniosłszy się ambicyą, smutny los zapewnił córce im więcej martwił się w duszy: tém więcej prawił o jej szczęściu, o zaletach zięcia, o przyszłych wnukach, o zaszczytach takięj parenteli; a jeżeli w kim dostrzegł powątpiewania w téj mierze, podwajał dozę okazywanęj satysfakcyi.

Taką szczególnie rolę przybrał w obec Szambelanowej. Korciła ją niezmiernie ta jego ślepotą. Są osoby a ona na ich czele stać mogła, które się uważają z powołania jakby za okulistów moralnych: ni proszone, ni dziękowane, zdejmują bez litości dobroczynne nieraz bielmo z cudzych oczu, i zupełnie w tém upodobanie znajdują. Takowy nałóg nie sądzę, aby miał zawsze swe źródło w chęci dokuczania, albo w zazdrości; rodzi się pospolicie z jakięjs przesadzonęj miłości prawdy, a raczej z zarozumienia, żeby mózdz każdemu powiedzieć: „A widzisz, jakiś ty głupi, jak ciebie oszukać łatwo: a czy nie mówiłem? bo ja to mam rozum i znam świat.“

Kilkakrotnie tedy chciała Szambelanova oświecić Cześnika, ale stary, szpakami karmiony zbywał ją zawsze zrę-

cznie. Jednego więc dnia, w nowym zapale szerzenia prawdy, a podobno w nowym napadzie zazdrości i gniewu (gdyż było to właśnie po owęj reducie, gdzie udając Karolinę, zrobiła wrażenie jak nigdy, w własnej osobie) wzięła się do używanego w podobnych razach sposobu: napisała haniebnie list bezimienny.

Bezwątpienia, ze wszystkich środków otworzenia komu oczów, zmieszania cudzego pokoju, szkodenia bliźniemu, niema nikczemniejszego nad ten. Bo jeśli sądzisz, że masz prawo lub powód użyteczny do wykrycia choćby przykrój prawdy, czemuż jój wręcz nie powiesz, albo nazwiskiem własnem nie podpisiesz? Pisać i nasyłać paszkwile bezimienne, jest to samo, co z za krzaku do bezbronnego strzelić, albo śpiącego napaść i obedrzeć.

Szambelanowa inaczéj tę rzecz uważała i nawet lubiła owę podstępłą wojnę; napisawszy więc list do Cześnika własną ręką, ale zmienionym charakterem, talent, w którym bardzo biegłą była, posłała go, dla niepoznaki, zaufanój osobie do Lublina, żeby na tameczną pocztę mógł być oddany. W tym liście dzielnego stylu, naigrawała sobie gorzko z rozumu biegłego prawnika, i dowodziła mu, że zawołany birbant i niedoświadczony młokos wywiedli go w pole jak dudka. „Pan Wojewodzie, mówiła w końcu, ożenił się nie z twoją córką, ale z twemi dusiami; kochał się i kocha w księżnie; żoną niedobraną pogardzają; jój talarci tyle z potem, a może ze wstydem czoła zebrane, puszcza w świat na asy i króle, aż miło. Córeczka także na dobrej jest drodze; szaleje za strojem i zabawami, piędździe trwoni, długi robi, o amantach myśleć zaczyna, i nie żałuje sobie, bo teraz ma dwóch na widoku: Księcia i Kasztelanica. Trzeba ją w porę powściągnąć żeby wstydu nie zrobiła, bo takie rzeczy tylko magnatkom uchodzą; a dopóki pan Wojewodzie posagu nie przegra, radzę rozwieść ich,

i zastanowić się lepiej nad powtórnyim wydaniem jedynaczki;
nadewszystko nie stawiać

Niegodnej nogi
Na senatorskie progi.

Tak życzy ze szczeręj przyjaźni
duwny łokciowy kolega."

Gdyby Szambelanowa była zgadła w jaką chwilę list jej przyjdzie, jakie pociągnie skutki, zapewne mimo całej wrodzonej nienawiści do szczęśliwych i bogatych, i całego zamilowania prawdy, nie byłaby go napisała.

Cześnik, jak zwykle na wiosnę, czuł od tygodnia znaczne zburzenie krwi i bicia do głowy. W wigilią Spowiedzi, obyczajem staropolskim suszył; za to w sam dzień świętego Gabryela lekki i wesół, pozwolił sobie jeść i pić trochę więcej niż zwyczajnie; nazajutrz było mu nie dobrze; lecz mimo tego, a może dla tego, gdyż miał rzadki przymiot wielkiego porządku, nie odłożył wcale interesów, jakie mu na ten dzień przypadły; po wieczery nawet, nie zważając na przestrogi troskliwej Cześnikowej, przeglądał rachunki z kasyerem pana zięcia; a na ten wykaz oczywisty nierządu i przeholowania o kilkanaście tysięcy na bieżący kwartał, wyznaczonęj na wydatki kwoty, na dowody, że i córka dwieście dukatów nie wiedzieć na co wzięła, nie żartem się rzucał i gniewał. Po odejściu kasyera, czując wszystko zburzone w sobie, przechodzić się zaczął żywo po swojej kancelaryi, i chodząc postrzegł na kominie listy z poczty; zabrał się do ich czytania, lubo mu się w oczach emiło, myśląc że go to rozerwie.

Nieszczęście chciało, iż pierwszy co mu padł w rękę, był ów list bezimienny; zdało mu się pismo znajome: zaczął czytać i ledwie doczytał, kiedy zburzona już krew zawrzała w nim silniej; miał jeszcze tyle przytomności, że zrobił kilka kroków i otworzył okienko, chcąc ochłonać. Zimne powietrze objęło go nagle, i stało się czém już od kilkunastu lat był zagrożony: uderzyła weń jak piorun

apopleksya—padł na środku pokoju.... Nieszczęśliwa żona czuwając w pobliskiej sali, wbiegła na ten okropny łoskot. Ratunek, na jaki tylko zdobyć się mogła, mimo przestradchu i żalu, krwi puszczenie, przywróciły go do życia; ale okazał się paraliż w całej połowie ciała i brak niemal zupełny mowy i przytomności. Okienko otworzone na przestrzał drzwiom źle domkniętym, ogłoszone zostało za przyczynę jedyną nieszczęścia, któremu przecież spodziewano się zapobiedz, ile że coraz zdawał się lepiej, i kilku doktorów było koło niego. Kiedy Karolina przyjechała z balu, poznał ją ojciec, ale z pierwszego razu jakby odepchnął od siebie. Na ten widok zdziwione i nową boleścią przejęte, matka i córka osądziły oboje, że razi go zapewne jej strój jaskrawy i świetny; i w samej rzeczy skoro się przebrała jeszcze w paniczkie sukienki, uśmiechnął się do niej jak dawniej, i przez resztę nocy wszelkie starania z jej ręki, zarówno jak od żony przyjmował.

Nazajutrz rano po powtórnem krwi puszczeniu uczuł się znacznie lepiej, mowę odzyskał, chociaż zmienioną i prawie całą przytomność. Już w strwożone i przeszyte boleścią serca wstępowała coraz pewniejsza nadzieja; sami doktorowie mówili, że przy tak silnej kompleksyi przyjdzie całkiem do zdrowia. Cześnik jednak nie zdawało się aby im wierzył. Nie chcąc martwić żony i córki, zażywał co mu podały; dał się okładać, nacierać jak kazano, ale prosił o księdza, i mówił a raczej bełgotał:

— Teraz o duszy więcej, niż o ciele myśleć należy.

Ksiądz Onufry już był od nocy w drugim pokoju. Cześnikowa jednocześnie po doktorów i po niego posłała. Chory obaczywszy go, dał znak żeby ich zostawić samych. Krótka była Spowiedź, gdyż przed dwoma dniami ją był odbył; ale dłuższe opowiadanie o bezimiennym liście, ile że go odrazu spowiednik zrozumieć nie mógł. Cześnik chciał go mieć koniecznie w ręku i zniszczyć, żeby się ani żonie

ani córce nie dostał. Udało się szanownemu kapłanowi znaleźć ów papier w przyzwoitóm dlań miejscu, w śmieciach, a kiedy Cześnik obaczył jak podarty w ogniu spłonął, kiedy słabym głosem ale sercem całym zdobył się na przebaczenie ręce, która go napisała, a nawet uznał, iż poniekąd na podobną karę zasłużył, zdało mu się, że przebłagał sprawiedliwego Boga, i że odpuszczone mu będą jego winy jak on odpuścił. Potém zapragnął przyjąć ostatnie Sakramenta.

Pospieszył ksiądz Onufry do kościoła. Cześnikowa i córka jój tymczasem w głębokiém milczeniu i drżącą ręką przyrzadziły wszystko do owój pełnej tajemnic uroczystości. Ustawily ołtarz, przystroily pokój światłem jarzęcém. Zeszła się w milczeniu cała czeladka i wszysey domowi, przybyło kilku przyjaciół, a najpiérwszy Stolnik; i wnet odgłos dzwonka dał znać, że Bóg opuścił dom swój, dom chwały, i idzie w dom człowieka, w dom nieszczęścia. Weszło za Chrystusem kilkoro owych najmilszych dzieci jego, kilku ubogich. Wśród gorących modłów i łez chrześcijańskiego zgromadzenia, chory przyjął pobożnie z rąk brata ostatnie świętości; żona, córka, przyjaciel, podpierali mu głowę, służyli mu przy téj pobożnej uczcie. Dźwigał jak mógł sparaliżowane ręce, chcąc im błogosławić, dobywał głosu, wysilał język, żeby błagać miłosierdzia Boskiego nad niemi i nad sobą, korzył się, przeproszał wszystkich. Gdy już wszystko się skończyło, wspomniął o testamencie, powiedział że jest w regencyi, wskazał na Stolnika i na żonę, jako na wykonawców ostatniój jego woli, a nareszcie z wielką trudnością zapytał o Leona, jak gdyby miał mu coś ważnego do powiedzenia. W téj chwili właśnie o trzeciój z południa, Wojewoda blady i wylekły uchylił drzwi od pokoju i wszedł sam; chory spojrział na niego okropnie, i bądź ze wzruszenia, bądź że tak już być miało, w jednym momencie rzucił się na łóżku, zawołał jeszcze na głos: „Jezus, Marya, Józef!“ ścisnął mocno rękę żony i córki na-

chylonych nad nim, oczy kołem mu stanęły, jęknął, i nagle wszystko ucichło, i już go na tej ziemi nie było.

— Nie męczył się przynajmniej długo, kochane panisko — mówiła osłupiałej Cześnikowej i zanoszącej się od płaczu Karolinie, poczciwa Laskowska, kiedy już wszelkie starania około martwego ciała okazały się nadaremne. — Lekko skonał, święte słowa ostatnie mu były w ustach; Sakramenta przyjął, ksiądz był przy nim, przyjaciel oczy mu zamknął—powtarzali domowi płacząc,—Panie Boże! daj tak każdemu z nas!

Ale pocóż mamy wchodzić w te smutne pośmiertne szczegóły.

Wszystko odbyło się po chrześcijańsku, przyzwoicie, tkliwie, a lubo tak niespodziewanie, bez rozpaczy i nieładu. Ksiądz Onufry i Stolnik przyjaciel Cześnika od lat czterdziestu, zajęli się wszystkiém za domem i opatrzyli nieboszczykowi ostatnie mieszkanie w kościele OO. Kapucynów, jak sam z dawna pragnął: wdowa i córka wszystkiego dopełniły w domu. Jaką tylko cześć i usługę oddać było można zwłokom tego, którego przez lat tyle czcić i pielęgnować nawykły, w takiej nie dały zastąpić się nikomu; jedna drugiej dodawała męztwa, a opierały się obie na religii i na uczuciu powinności, owych dwóch potężnych siłach człowieka. Widziała je nawet Warszawa idące z wolna, w cichym płaczu za trumną męża i ojca; świat elegancki dziwił się i prawie gorszył: świat prosty płakał i chwalił.]

Ale zapominam, że nie miało być mowy o żałobnych szczegółach. Opowiedzmy lepiej pokrótce inne skutki tego pamiętnego dnia św. Józefa.

A najprzód: Kasztelanic żyje. Prawda, kula trafiła go w bok prawy, i uwięzła; padł, i przez obecnego chirurga anglika, z razu na niezawodną śmierć osądzony został. Sekundanci Leona obawiając się dla niego skutków czynu zakazanego ostro pruskiemi prawami i karanego surowo,

zwłaszcza jeżeli śmierć sprawił; przymusili go prawie gwałtem żeby wsiadł z Baptystem do podróznego powozu czterema końmi zaprzęzonego, który tam stał na wszelki przypadek; a objeżdżając Warszawę, ruszył jak najprędzej do Mszczonowa, ztamtąd zaś wzięwszy pocztę dążył do Krakowa. Co mieli obadwa pieniędzy przy sobie, wszystko mu oddali, nawet nie rachując, i Leon prawie bez przytomności, a przynajmniej nie mając w tej chwili nic w myśli, na sercu, w ustach, tylko ten wyrok straszliwy: „Zabiłem człowieka,“ dał z sobą wszystko zrobić: pędził dniem i nocą w milczeniu, posłuszny kamerdynerowi jak dziecko piastunce.

Tak zajechał do Krakowa i stanął na dni kilka w mniej znanej gospodzie, spodziewając się, że tam według umowy z przyjaciółmi dojdzie go wnet pod kopertą Baptysta wiadomość jaka o Ludwiku, i skazówka co ma dalej robić, czy wracać czy kryć się? Myśl o śmierci Cześnika ani mu postąpiła w głowie; właśnie, w ów błogi dzień Ś. Gabryela, widział go zdrowym, krotofilnym; przypadł mu nawet niezmiernie do gustu, podobno po raz pierwszy, dowcip i cały układ teścia; i robił projekta, jak wielu rzeczy od niego uczyć się będzie, kiedy już raz odważy się być szczęśliwym i rozpocząć czynne życie. Słów Ludwika tłómaczących mu niespokojności o ojca, nagły wyjazd Karoliny z balu nie dosłyszał, czy nie zrozumiał. Wróciwszy do siebie, wiedział to jedno, że nazajutrz o pierwszej ma się pojedynkować, z czém bynajmniej ani obeznanym ani oswojonym nie był, bo ani sam dotąd nie miał pojedynku ani nie sekundował nikomu. Napisał do dwóch wspomnianych przyjaciół, Baptystowi listy oddał; kazał mu się wybrać w największym sekrecie, jakby do podróży, na jutro, na dwunastą; do tej godziny nie puszczać nikogo pod żadnym pozorem, a zamknąwszy drzwi na klucz, rzucił się w ubiorze na łóżko, i tak w zupełnej nieczynności, napół we śnie, napół na jawie, dręczony naprzemiany Karoliną, Julią, ojcem, świa-

tem, a najwięcej samą sobą, przetrwał godzin ośm, które mogły być dla niego ostatnimi.

Bo Leon, jak wiemy aż nadto, przy całym wyższym usposobieniu, nie miał dzielności, samoistności w duszy. Uczucia jego były żywe, popędy szlachetne, ale nie umiał ich ani utrzymać ani skierować; umysł jego bez hartu i oświeconej woli nie mógł wydołać więcej obdarzonemu sercu: w każdym trudnym razie nie był w stanie dać sobie rady; chętnie przeto szedł za tym co go wziął za rękę i wyprowadził, a kiedy nikogo nie było, czekał.

Tak i tego pamiętnego ranku nic nie przedsięwziąwszy i nie przewidziawszy, doczekał się przybycia zamówionych sekundantów, i tylko o zgodzie nie chcąc słyszeć, zresztą dał im mówić i robić co chcieli; a gdy przyjechali na miejsce i powiedziano mu że już czas, z zimną krwią, jakby nie szło o życie własne i cudze, stanął, mierzył i trafił.

Lecz szczęściem strzał nie był śmiertelny. Ludwik po kilku godzinach omdlenia, przewieziony do Warszawy zaczął przychodzić do zmysłów; kulę choć głęboko wciśnioną między żebra i mięso, dobył z niepospolitą zręcznością, sławny już wówczas i ukochany od młodzieży, sam młody i piękny Czekierski; i okazało się, że szczęśliwym trafem nie uszkodziła żadnej żywotnej części. Jednakże gwałtowność strzału, ból srogi w czasie operacji, sprawiły, iż Ludwik przez całe dni dziewięć był w niebezpieczeństwie życia, a przez sześć tygodni Czekierski, surowy dla chorych swoich, zakazał mu mówić i przyjmować wszelkich gości.

Łatwo sobie wystawić, jakie za to było gadanie, jaki ruch w Warszawskich *buduarach* i salonach, osobiście przez pierwsze trzy dni po owym Ś. Józefie; jakie zdziwienie, co za westchnienia, jaka ciekawość, wypytywania się, i wnioski miłosierne a raczej niemiłosierne! Wszystko jednak wyjaśniło się łatwiej i prędzej jak zwykle w takowych razach, lubo wyskok zazdrości Leona, i taka porywczosć obok zna-

nęj zimnej krwi jego, zostały dla wszystkich zagadką, prócz dla jednej Szambelanowej. A choćby wreszcie kto miał ochotę posądzać, iż powóz Kasztelanica zawiózł ich oboje gdzieindziej jak na Długą ulicę, śmierć Cześnika, świadectwo sekundantów Ludwika, którym on obszernie przed pojedynkiem rzecz całą opowiedział, milczenie sekundantów Leona, którzy nie wiele myśląc na wieś się schronili, a nadewszystko widok owej Karoliny przed trzema dniami królowej balu najświetniejszego, jaki był téj zimy w Warszawie, otoczonej tłumem wielbicieli, tańczującej ochoczo w jasnych kolorach: dziś, bladę, we łzach, w grubej żałobie za trumną ojca idącą, rozbroił wszystkich. Zawisać samej nawet Szambelanowej przygasła na czas, tém bardziej, że głos jakiś szeptał jej w duszy, sen i pokój w nocy i we dnie od niej oddalając; jakoby ona nie tylko do pojedynku dwóch ciotecznych braci, ale i do nagłego zgonu Cześnika znacznie się przyczyniła.

Chcąc tedy ukołysać nieco sumienie okazywaniem wielkiej litości ofierze swojej, durzyć wszystkich, a może i bawić, zawożąc pod *Blachę*, do Kasztelanowej, i w inne domy, różne szczegóły, których prócz niej i Wojewody nikt wiedzieć nie mógł, Szambelanowa bywała niemal codzień u Karoliny: a lubo niechętnie przyjmowana, starała się pocieszać ją i rozrywać Cześnikową, powtarzając im same na ten raz pochlebne ze świata wieści. Według niej „Książę zapłakał dowiedziawszy się o ich nieszczęściu; pani Vauban dwa dni leżała w łóżku; kilka dam dostało spazmów; z projektowanej komedyi nic nie będzie; cała młodzież przywdziała rodzaj żałoby, pączek róży u guzika czarną krepą osłonięny; nikt bawić i stroić się nie śmie: wszystko głucho, posępne, smutne; i niema się czemu dziwić, bo towarzystwo odrazu trzy filary swoje straciło.“

Karolina nadto była zgnębiona, nieprzytomna, żeby jakąbądź wagę przywiązywać do słów Szambelanowej a na-

wet słuchać ich i rozumieć; ją nawet w pierwszych chwilach nieszczęścia, ów cały pojedynek ze wszystkimi swemi okolicznościami dotknął słabo.

Często, obojętni kiedy się dowiedzą, że kilka nieszczęść uderzyło odrazu w jedną głowę, gorszą się, i mają chęć złorzeczyć Opatrzności. Bywa to owszem niekiedy dowodem Jój troskliwej opieki; bo jeżeli już te nieszczęścia stać się miały, to lepiej że razem; mało szkodzi drzewu którego pień goreje od piorunowego ognia, choć wiatr łamie mu gałęzie. I Karolinie w gwałtowności pierwszego żalu, obok tak nagłej śmierci ojca, wszystko co powetować było można, gdzie została nadzieja, zdawało się małoważne. Śmierć drogiej osoby jest jedyném prawdziwém nieszczęściem, jakie z ręki Boga tu na nas spada, bo temu jednemu, już na ziemi zaradzić nie możemy. A dla niej jeszcze, co pierwszy raz śmierć widziała z blizka, pierwszy raz ukochaną osobę traciła; a tę okropną naukę zaczęła od ojca, i tak gwałtownie! O! zapewne, gdyby nie wzgląd na matkę, byłaby się oddała czarnej rozpacy; ale dla niej tłumiała jak mogła żal swój, przeczuwała, że matki nieszczęście było jeszcze większe od jój nieszczęścia; bo zaiste, w całym słowniku niedoli niéma wyrazu, któryby więcej obejmował boleści, smutku i sieroctwa, nad ten wyraz: *wdowa*.

Nieszczęśliwą Cześnikową, prócz religii i córki ratowała najwięcej czynność. Mąż na śmiertelném łożu powtórzył był co nieraz mawiał za zdrowia, iż mając w żonie najwyższe zaufanie, jój wszystko zostawia, i chce: żeby ona wraz ze Stolnikiem wszystkiém sama po jego śmierci się zajęła, wszystkiemu była obecna. Pierwsze tedy a najokropniejsze chwile po oddaniu ostatniej posługi, prawdziwie *dozgonnemu przyjacielowi*, owe straszliwe pośmiertne pustki w domu, Cześnikowa jako-tako znosiła, czyniąc zadosyć ostatniej woli mężowskiej.

Wszystko w papierach znalazło się w zupełnym porządku.

Cześnik jak ludzie dawniejsi, prostsi od dzisiejszych a pobożni, myślał zdawna o śmierci; tém bardziej, iż znając kompleksyą swoją, przeczuwał zgon nagły. Od lat kilku zaniechał był wszelkich cudzych interesów, nie sądząc, aby przystało na ojca pani Wojewodzicowej być sługą mniejszych nieraz panów; wreszcie pragnął téż użyć spoczynku; pokończył tedy dawne sprawy i nie zostawało mu prawie żadnych stosunków z obcemi, prócz kilkunastu pewnych rewersów.

Miał on staroświecki i ogromny kantorek, jeszcze z czasów Jana III; wykładany w różne kwiaty z kolorowego drzewa, pełny był subtelných kryjówek: zwał go *niemym przyjacielem*. W tym kantorku był skład gotowych pieniędzy, papierów ważnych; był i zbiór kalendarzy, a nie innych tylko berdyczewskich, które staropolskim obyczajem zapisywał corocznie. Zaczawszy piérwszy w Imię Boże, roku 1770, jako w rok ożenienia swego, od dokładnego spisu tego co posiadali oboje z żoną biorąc się, dopisywał wierne wszystko co przybywało, jako i ważniejsze familijne i krajowe przygody, a z każdym *nowem latem* kreślił stan majątku, jak było można najdokładniejszy. Prócz tego od dawnego już czasu napisał testament. Wiedział on jak wielką i potrzebną jest rzeczą, zwłaszcza dla człowieka mającego żonę, dzieci i majątek, zostawić po sobie porządnie i formalnie wypisaną ostatnią wolę; wiedział także, iż testament nie umarza nikogo, owszem przedłuża życie, bo spokojniejszym czyni, a gdy śmierć zaskoczy, umarły jakoby żył jeszcze, tak przemawia w nim do pozostałych i rozkazuje im.

Testament Cześnika, w którym egzekutorów uwalniał od wszelkiego wpływu zwierzchności sądowej, zaczynał się na wzór dawnych testamentów, od znaku krzyża świętego, od wyznania wiary katolickiej i pragnienia ostatnich Sakramentów przy śmierci; a zawierał w krótkich a jasnych sło-

wach stan majątku, którego za łaską Boga z niczego się dorobił, i rozporządzenie nim. Ów akt zmieniał, poprawiał, mianowicie przez lat ośm od rozpoczęcia interesów z Wojewodą aż do pożądanego ślubu córki; które to lata pićrwszy szwanek jego zdrowiu przyniosły, nabawiając go ciągłych niepokojności. Dokończył zaś testament ostatecznie, i złożył go we dwóch językach, według ówczesnego prawa, po polsku i po niemiecku w regencyi departamentowój, w parę tygodni po powrocie z Podola. I dobrze się stało, bo nadzwyczajnie kontent wtedy z córki, a nawet i z zięcia, pełen nadziei iż wkrótce wnuka mieć będzie, okazał się nie tylko czuły dla jedynaczki, ale życzliwy dla Leona; co Karolinie obecnej otwarciu testamentu przez delegowanego od sądu konsyliarza, stało się niewymowną pociechą. Bo jeśli nie masz sroższej boleści nad czytanie wyrazów gniewu i żalu dla nas, lub dla tych których kochamy, napisanych rodzicielską ręką, co już w grobie zastygła i cofnąć tych wyrazów nie może: tak niema ulgi w podobnym smutku nad odczytywanie zagrobowych błogosławieństw ojca lub matki. Słowa takie mają cudowną, wszechmocną, latami niespożytą władzę, i życzę z serca wszystkim, ażeby na takową spuściznę po rodzicach zasłużyli.

Cześnik w testamencie swoim nie wiele już córce mógł zapisać majątku, gdyż wtedy wypłacił jej był co do grosza na kupno Miodoborców obiecany posag, sam zaś nie zostawił sobie więcej nad ósmkroć sto tysięcy. Jednakże ją mianował ogólną dziedziczką tego wszystkiego co miał i mieć mógł kiedykolwiek, po najdłuższem atoli życiu najukochańszej żony, której cały obecny majątek pod dożywocie zapisywał, aż nadto pewny, że go w niczem nie uroni. Żadnych własnych krewnych! nie mając, bratu Gabryelowi przeznaczył trzy tysiące czerwonych złotych, „ażeby wróciwszy, da Bóg z wojaczki, mógł sobie kupić choć kawałek ojczystej ziemi.“ Każdemu ze służących przeznaczył sumkę

przyzwoitą, stosownie do kwoty jego zasług i do czasu służby. Wszystkim szpitalom warszawskim, klasztorowi OO. Kapucynów, Karmelitom w Berdyczewie, Bazylianom w Lubarzu, gdzie chłopcem będąc uczył się, znaczne czynił dary; każdemu z przyjaciół i z bliższych znajomych ofiarował upominek stosowny do gustów jego i zwyczajów. Temu tabakierę złotą, owemu puchar szacowny, tamtemu broń rzadką, innemu dawne pieniądze. Panu Wojewodzie zostawił szkatułkę zamkniętą z portretem znakomitego pędzla, pięknej damy w stroju bogini Wenus; gdy ją Wojewoda otworzyć kazał, znalazł z niepojętą satysfakcją wszelkie obliży, listy, prośby, obietnice, zgłębił wszystkie dowody i ślady niezupełnie miłych a pieniędzy stosunków z Cześnikiem. Zobaczywszy je wszystkie, porządkiem dat ułożone, Wojewoda, który od chwili dowiedzenia się o nagłej chorobie starego Sarmaty, ciągle się frasował o te dokumenta, zawołał prawie rozczulony:

— Dalipan! to pięknie i delikatnie na poczciwego Cześnika.

Pieniądze gotowe jakie znaleziono w kantorku, były wszystkie w workach opieczętowane, i miały napisane przeznaczenie swoje na uwiązanych kartkach. Jeden był: „na obchód domowy na rok bieżący.“ Drugi: wiązanie dla jejmości na ósmy Września.“ Trzeci: „na pogrzeb mój,“ a w nim trzysta dukatów w zlocie, wszystkie pod znakiem Matki Boskiej, Kremnickimi zwane. Czwarty: „na powiaki dla pierwszego wnuka, sto dukatów.“ Piąty: „dla przyjaciół i nieszczęśliwych w nagłym razie, pięćset.“ Szósty nosił napis: „Oszczędność“ i pełnym był do połowy; a w ostatnim było dziewięć rulonów, każdy po pięćdziesiąt dukatów, na worku zaś te słowa: „Karusi na śpilki.“

W odczytywaniu, w dopełnianiu ostatniej woli męża znajdowała tedy Cześnikowa największą ulgę. Z trudnością

oderwać ją było można od jego kantorka, wyprowadzić z jego pokoju. Póki tam siedziała, póty była spokojniejsza, raźniejsza. Tam zdawało jej się, że jeszcze jak dawniej pomaga mężowi, jest mu miłą i potrzebną; a po stracie drogiej i blizkiej osoby, któż nie wie jak i to boli, że już nic dla niej zrobić nie można!...

Smutném roztargnieniem stała się także dla Cześnikowej dziwna przygoda córki. Oczywiście, pierwszego zaraz dnia dowiedziały się obie o przyczynie, dla której nie było Leona, przy łóżku teścia, a nawet o powodzie pojedynku. Wspomnianém już było, że Karolina w pierwszych chwilach żalu po ojcu mało uczuła nieszczęście, które mimowolnie sama zrządziła; w parę tygodni dopiero zrozumiała ów cały wypadek, a i to niezupełnie. Jakoż wtedy, kiedy ona najmniej godną się czuła miłości Leona, wzbudzić w nim zazdrość do tego stopnia, żeby własne i cudze naraził życie, było zagadką, której przy umyśle osłabionym pierwszym w życiu a tak niespodzianym ciosem, aż bała się zgłębiać; ale tymczasem wyjazd nagły męża, milczenie zupełne, ciężka choroba Kasztelanica, smutne skutki jakie jeszcze mogły z tego wszystkiego wyniknąć, wszystko to dręczyło ją codzień więcej, w miarę tego jak wolniało okropne wrażenie i żal gwałtowny po stracie ojca.

Bo nie chcąc bynajmniej ubliżać Karolinie, wyznać przecież trzeba, że przyszła niedługo dla niej ta chwila: była młodą, a w młodości wszystko zwykle jest silne a nie trwałe. I tak pierwszych dni po śmierci Cześnika, każdy mógł powiedzieć, a nawet nie jeden mówił: „Córka daleko więcej go żałuje niż żona,“ ale nim minęło dwa miesiące, córki żalność straciła połowę swój siły, boleść żony została ta sama, kto wie nawet czy nie silniejsza, czy nie głębiej wrosła w duszę.

Wszystko skończyło się dla Cześnikowej śmiercią męża

i nie zostawało jój na ziemi, tylko patrzeć jak córce powodzić się będzie, i jeżeli można dokładać się do jój szczęścia.

Karolina, w smutku, w niepewności, w tym całym zamęciu tylu nieprzewidzianych przygód, wreszcie w owój serdecznej litości jaką w niej wzbudzała owdowiała matka, nie mogła zamykać dłużej przed nią swego serca. Wreszcie zdawało jój się, iż tyle wypadków zmieniło zupełnie wszelkie stosunki, i że nie grzeszyła bynajmniej przeciw mężowi przypuszczając matkę do chowanej blisko przez rok tajemnicy. Otworzyła jój więc zupełnie duszę, przeczytała list Leona, udzieliła domysłów swoich o owój rywalce, a kto pamięta jakie były od lat tylu ścisłe węzły między niemi obiema, kto znał lub zna takowe, ten pojmie ile znalazły smutnej ale zajmującej rozrywki w owém wynurzaniu się wzajemném, tak długo wstrzymywaném, i jakim stało się dla nich źródłem niewyczerpanej rozmowy. Karolina nie już nie zataiła, od dnia ślubu do ostatniego balu; a o tych kilkunastu miesiącach tyle miała rzeczy do powiedzenia, tyle błędów do wyznania, iż nieraz północ wybiła, a ona jeszcze gadała, jeszcze słuchała pożałowań i uwag matki.

— A co teraz będzie? jak się to wszystko skończy?— pytały się wzajemnie siebie, skoro w ciągu dnia zostały same—gdzie Leon? czy zawsze w Krakowie? czemu nie pisze? czemu nie wraca, kiedy już i pan Wojewoda mu pisał, że wracać może? kto jest i gdzie ta osoba, którą on tak kochał, czy kocha ją jeszcze? Jaki mógł mieć rzetelny powód do tego pojedynku? Jeżeli zazdrość, to zaczynał lubić żonę; a jeżeli tak, czemuż nie przyjeżdża, zwłaszcza wiedząc o naszym nieszczęściu? Może chory? Może ta rana o której mówiono że lekka, okazała się bardzo ciężka? Może też jeszcze walczy z dawną miłością? może mu wstyd zerwać owe wieczne przysięgi? A może też już w drodze, a przynajmniej list od niego wnet przyjdzie i wszystko wyjaśni, najlepszą pociechę przyniesie?

Takie były od kilku tygodni, i jeszcze w dniu, o którym wspomnieliśmy na początku tego rozdziału, matki i córki myśli i wzajemne pytania. Kiedy wszyscy używali pięknej pory za domem, one siedziały obie w pokoju nad robotą; a to więcej dla tego, żeby mieć nad czém siedzieć, co w rękę trzymać, jak żeby co robić. Zwolna przybywały ściegi do żałobnego ornata, który Karolina szyla w krośnach; pomału rosły oczka w włóczkowym kaftaniku, który Cześnikowa niegdyś dla męża zaczęła, a teraz dla szpitala Dzieciątka Jezus kończyła, bo umysł ich nie był wcale w porządku: to zatapiał się w smutnych wspomnieniach, to bujał w niepewnej nadziei. Wtém weszła wierna Laskowska, zawsze i o każdej godzinie mająca przystęp do pań swoich, i powiedziała:

— Oto list, zda się do pani Wojewodzicowej, z pałacu go przynieśli, i wyraźnie na nim stoi *nie Dyblewicz* a zatem nie do jejmości, ani też do nieboszczyka pana, jak ich jeszcze tyle Bóg wie zkąd przychodzi.

Ledwie Laskowska weszła, już Karolina zerwawszy się od krosien, była przy niej; jeszcze mówić nie skończyła, kiedy list był w jej drżącym rękę. Przecież nie śmiała go otworzyć, stanęła na środku pokoju, obracała go na wszystkie strony. Znak był pocztowy z Wiednia, podpis *à Madame, Madame la Comtesse Caroline*** née Dyblewicz*, lecz pismo nie było ręki Leona; przecież zdało się Karolinie, że już gdzieś takie pismo widziała, i na samo to wspomnienie serce jej się ścisnęło. Dała znak słudze żeby wyszła, a przeczuwając że to list stanowczy, oddała go matce, sama klękła u nóg jej, jakby wyrazić chciała tą niemą mową, że z jej rąk, na jej łonie wszystko znieść gotowa.

List był od Leona, zawierał te krótkie słowa:

„Nie byliśmy przeznaczeni sobie, nie mogę sprzeciwić się dłużej losowi: mocniejszy on od nas. Jesteś wolną, Karolino; zdaje mi się że dziś przystaniesz na rozwód bez

oporu, z radością nawet; ja na wszelkie majątkowe układy się zgodzę, byle jak najprędzej to wszystko raz się skończyło. Bywaj zdrowa i szczęśliwa.“

P. S. „Wszelkie kroki używane w takim razie już są zrobione. Niemasz potrzeby w nic się mieszać, tylko czekać cierpliwie parę miesięcy.“

ROZDZIAŁ XVI.

Kochanka.

List męża, lubo równie bolesny i niespodziewany dla Karoliny, jak ów pierwszy list jego odebrany właśnie rok temu w wieczór ślubny, dla nas, co wiemy jak się rzeczy obracały, dziwnym się wydać nie powinien. Był on skutkiem bardzo naturalnym własnej roboty Leona.

Kiedy kto z prostej drogi zejdzie, puści się dobrowolnie krętym manowcem i idzie nim ciągle, brnąc coraz głębiej; niech nie myśli, że za pierwszym uznaniem błędu a raczej za pierwszą do tego ochotą, wróci się zład przyszedł, jakby cudem, i trafi odrazu do miejsca, od którego dotąd oddalał się wszelkimi siłami. W młodych i niedoświadczonych głowach takie dziwy się roją, w komedjach takie rzeczy się dzieją; ale w istotnym życiu inaczej bywa, i na każdym, czy na panu, czy na słudze, spełnia się proste przysłowie: „Jak sobie pościesz, tak się i wypisz.“ W zdrowiu, w majątku, w postępowaniu, w sławie, co się straciło niebacznie, przy późnej, choćby najmocniejszej chęci, odzyskuje się z trudnością, a często nie odzyskuje się wcale.

Leon pokonawszy w sobie pychę, na gadanie świata

zrezygnowany, sądził że już zrobił wszystko, że teraz idzie tylko o pozyskanie serca, którem tak długo gardził, i że mu to przyjdzie z łatwością, bo chce tego i kocha, a Karolina dobra i tkliwa. Co do Julii przeczuwał on niejakię trudności, wystawiał sobie parę scen gwałtownych, a raczej parę listów piorunujących, mówił jednak mimowolnie: „Ej! przecież się to jakoś ułoży!“ Kto wie, może w duszy i na odmianę kochanki rachował, bo człowiek mierzy zwyczajnie drugich uczucia na własne, może téż i na to, że niepodobna, aby ona nie znała zupełnie do siebie tego, co drudzy w niej widzieli i co było prawdą: wieku Szambelauowej, córki dwunastoletniej i t. d., i t. d., i żeby ceniąc opinią, lubiąc świat i przyzwyczajoną będąc do znacznego majątku, trwać miała w myśli rozvodu i kontentować się na całe życie bardzo miernym dochodem.

To wszystko było romansowem uniesieniem, dzieciństwem—myślał sobie—w tym starym dworcu litewskim nie mieliśmy co gadać, i bawiliśmy się tym sposobem; były to prawdziwe zamki na lodzie: stopniały z wiosną.

Ale tak wnosząc, pan Leon mylił się mocno. W uczuciach i zamysłach Julii nie zaszło przez ten czas żadnej zmiany chyba ta jedna, iż raz zacząwszy marzyć o szczęśliwej i godziwej miłości, coraz silniej tego szczęścia pragnęła, coraz więcej weń wierzyła. Owe kilka tygodni spędzone z Leonem w tak romansowy sposób, gorąca miłość jego, listy ich wzajemne, potrzeba ukrywania przed ludźmi uczuć i wspomnień swoich, wreszcie nudy obecne, wszystko żywiło i podżęgało w niej pożar. A kiedy w chwilach zimniejszej rozwagi, na przykład w godzinach narady przed zwierciadłem, zastanowiła się sama nad sobą, a raczej nad urodą swoją, (bo piękność to jest *ja* podobnych kobiet) jeszcze i wtedy rosła w chęci spełnienia powziętego zamiaru i spełnienia go jak najprędzej. Prócz tego, jakkolwiek Julia religii nie miała, był

przecież cień Wiary w jój sercu; dotąd ów cień wiódł ją do czczych zabobonów, do jakich była usposobiona w młodości, a w które wprawiała się we Włoszech; atoli budził w niej niekiedy wyrzuty sumienia, trwogę śmierci i sądu Boskiego. Owe przerażające myśli, w dzień, między ludźmi, oddalała jako tako; ale skoro nadeszła noc ciemna i długa, skoro wszystko w starym dworcu się uciszyło, zaledwie kiedy niekiedy pies szczeknął albo zawył, i ona została sama z sobą, wtedy straszliwe rzeczy się z nią działy: to dręczyła się i wiła na łóżku jak wąż zraniony, to chodziła wielkim krokiem po pokoju, z obłąkanemi oczyma; to nareszcie cała we łzach klękała przed obrazkami, jakich mnóstwo miała zawsze około siebie, dziwne im czyniąc obietnice i śluby, byle chwile spokojności, godzinę snu otrzymać mogła.

Takięj jednéj bezsennéj i okropnéj nocy, kiedy wiatr silny i przeraźliwy jęczał na dworze jak dusza w strapieniu, poruszał obicia ścian, drzwiami i oknami szarpał tak, że się zdawało iż wnet się otworzą i wleci éma złych duchów i nieboszczyków. Julia prawie szalona, chcąc już raz rozpocząć koniec owych mąk, udzielić jakiegóś ciała marzonemu dotąd zamiarowi, słowem, dać jakby zadatek na ową pożądaną robotę, siadła, i jednym tchem napisała list arkuszowy do męża, wykryła mu wszystkie uczucia swoje i męczarnie, wyznała wszystko co było, co jest, i oświadczyła, że niéma dla niéj ani w tém, ani w tamtém życiu ratunku, tylko w najspieszniejszym rozwodzie, w zaślubieniu Leona, i że do tego niebawem kroki rozpocznie. Posławszy ów list, zaledwie parę dni miała cokolwiek spokojniejszych; stopniami zaczęła znowu wzmagać się w niej niecierpliwość, z widoczną nawet szkodą na zdrowiu; a gdy do tego, posłaniec wysłany do Kowna po listy z poczty, dwa razy wrócił bez niczego, postanowiła wyjechać. Różnemi fortelami, udanym listem od męża, potrzebą ratowania zdrowia, omamiła starą księżnę; chcąc jak naj-

więcej mieć pieniędzy, prócz dawniej wymienionych sposobów zbierania gotówki, użyła jeszcze nowego. Las odwieczny kazala w pień wyciąć, a na ten rachunek od żydów handlarzy kilka tysięcy dukatów dostawszy, puściła się ku Warszawie w pierwszych dniach Marca. Ogromne śniegi i zasy w początku drogi, nagły roztop w dalszej podróży, przejazd trudny przez puszczone rzeki, sprawiły znaczne opóźnienie, a mimo tego że sypała pieniędzmi, nie stanęła w Warszawie aż trzeciego dnia po ucieczce Leona.

Dojeżdżając już do miasta, jeszcze wcale nie wiedziała co z sobą zrobi, czy pokaże się eleganckiemu światu, a wzywając świadomej sztuki kobięcej, jeszcze go zadziwi pięknością, strojem i talentami? czy też samemu kochankowi się ukaże? czy długo zabawi, czy dalej wraz z nim pojedzie? Wszystko to miało się stosować do okoliczności i do woli Leona, o radości którego z jęj niespodzianego przybycia ani wątpiła na chwilę, gdyż zaufana więcej niż kiedy w miłości jego, owo opóźnienie listów jedynie na pocztę i na złe drogi składała.

Jakież było jęj zdziwienie, jaka rozpacz, kiedy stanąwszy pod cudzelnym imieniem w hotelu Wileńskim na Tłomackim, dowiedziała się za pomocą wiernego Wasyla o wszystkim co zaszło, i co z tego powodu mówiono o nagłym rozkochaniu się pana Wojewodzica w żonie. Nie tracąc chwili, na całą noc pojechała do Wrocławia. W Wrocławiu Julia dopytała się w krótkim czasie o Leona, który się ukrywał pod imieniem kamerdynera, i zupełnie się rzuciła na niego z owym uczuciem własności, z ową pewnością, jak pan na zbiegłego niewolnika albo szatan na duszę co mu się zapisała.

Niebaczny Leon właśnie się cieszył odebranymi listami z Warszawy od ojca i od przyjaciół. Podwójny ciężar spadł mu z serca: nie zabił człowieka, i Karolina „choć może w skrytości przychylna Ludwikowi, który, jak mu pisano,

kochał się w niej namiętnie, i ciągle w gorączce wspominał jój imie, owego wieczora była zupełnie niewinna i wolna od wszelakich zarzutów, a dziś jest przedmiotem czci i pożałowania wszystkich.“ Obok tych wiadomości, zgon nagły Cześnika, jakkolwiek go przeraził, nie wydał mu się przecież tak wielkiem nieszczęściem, a lubo odmówić nie mógł żalu nad śmiercią ojca Karoliny, przecież nie gniewał się, że będzie miał powód wrócenia natychmiast do domu. Już tedy marzył mile o tym powrocie; już widział Karolinę nowym wdziękiem otoczoną, wdziękiem łez i żałoby, potrzebującą opiekuna w sieroctwie, stroniącą z obowiązku od ludzi i od zabaw, zgoła, w położeniu prawdziwie sprzyjającym tkliwym, domowym, cnotliwym uczuciom. Pycha nawet jego i hołdowanie opinii na mniejsze ofiary narażone zostaną, bo któż mu nie wybaczy, że się zajmie żoną w nieszczęściu; a wreszcie pewno oboje natychmiast na wieś wyjadą. I wie to tylko Bóstwo rozkochanych, jakie już obmyślał sposoby do zmiękczenia serca żony, i z jaką rozkoszą przewidywał chwilę tryumfu.

Takie sny przedwczesne przerwało nagłe zjawienie się Julii, Julii, którą on o sto mil oddaloną sądził, a raczej o której już zapominał sądzić i myśleć. Ukazała mu się tak pełna miłości, co więcej, tak ślepo w nim zaufana, tak polegająca na stałości jego uczuć i na daném słowie; z taką zręcznością i dobroduszością, wytlómaczyła sama zajście jego z Ludwikiem, że częścią gwałtem, częścią sztuką uwikłała go znowu w swoje sidła, choć już jego serce było gdzieindziej.

Powiedział ktoś dawno, lecz słusznie: „Miłość namiętna jest okrutną.“ Julia przeczuła jeszcze w Warszawie zmianę Leona; za piérwszém spojrzeniem przekonała się, że już on nie ten co dawniej, że chce jój się wysunąć, że inna w jego duszy panować zaczyna. Ale ani ostygła na ten widok, ani się téż nie unosiła żadnym szlachetnym pope-

dem. U niej miłość była namiętnością, burzą, piorunem; jeśli Karolinę liczyć należy do owych kobiet, co gotowe są kochać i umrzeć w milczeniu: ona ledwie że nie była z tych co kochać i zabić są zdolne. Gwałtowność tedy jój gniewu i żalu wyrównała sile miłości, a zazdrość i obrażona próżność napełniły ją żądzą zemsty. Od téj chwili postanowiła żadnej nie znać miary, ani względności w postępowaniu z Leonem. „Czy chcesz, czy nie chcesz, a tém bardziej jeśli nie chcesz, musisz być moim,“ powiedziała sobie, i zamiast ukrywać jak dotąd ściśle związki, jój, kobiety zamężnej i matki dzieciom, z człowiekiem żonatym, zapragnęła owszem, żeby świat cały o nich się dowiedział. Jak zapasnicy co mierzając się zrzucają suknie, żeby ruchy mieć wolniejsze i pewniejsze, tak ona obnażyła się ze wszelkiego wstydu, aby snadniej i silniej Leona i siebie skompromitować i związać. Uważając Kraków za pole zbyt małe do podobnej roboty, nakłoniła wnet Leona, żeby z nią jechał do Wiednia, strasząc go jeszcze zawsze niepewnym ozdrowieniem Ludwika, a ztąd niebezpieczeństwem goszczenia dłużej w mieście polskiem. W Wiedniu, gdzie ją wszyscy znali, pokazywała się wszędzie z amantem; co więcej, wiedząc, że był bez grosza, a nawet zadłużył się znacznie Baptistowi, oddała mu wszystkie swoje pieniądze, błagając go na klęczkach, żeby i nią samą i tém co do niej należało rządził jak pan, jak mąż, żeby wszystko między niemi było wspólne. Niechcąc żeby ktobądź dzielił ją od Leona, zastępował w najdrobniejszych, w codziennych stosunkach, dowcipnym wybiegiem oddaliła Baptysta, wynajdując mu lepszą służbę i płacąc gotowizną wszelkie a ogromne pretensye, jakie założył do pana. W duszy sroga i zajadła jak lwica, w rzeczy tyranka, napozór rozkochana jak gołąbek, słodka jak baranek, okazywała się nawet niezmiernie czuła na drugich cierpienia miłosne, i tym najwięcej sposobem zmusiła Leona do napisania owego listu do Karoliny,

bo go przekonała, że ona kocha się zapamiętale w Ludwiku, a zatem rozwód zapewni jej szczęście.

— Jak mnie dla ciebie—mówiła mu składając piękną głowę swoją na jego ramieniu — tak ją dla niego niebo stworzyło; poprawmy niesprawiedliwość losu, umiejmy wznieść się nad gmin, bądźmy szczęśliwi i pomagajmy drugim do szczęścia.

A wyprawiwszy ów list i wszelkie inne, których uznała potrzebę w takowym razie, bojąc się, aby dłuższy pobyt w Wiedniu nie stał im się obojgu przyczyną do jakich przykrości, bo w owym roku 1805, co bitwą austerlicką miał się zakończyć, całe Niemcy były niespokojne, wystawiła Leonowi konieczną potrzebę jechania do Paryża, do owego miasta, świata, gdzie wszystko tonie, i gdzie dla tego samego że ciżba, nikt nikogo nie widzi.

A Leon co? Słuchał. Pojechał do Wiednia, list do żony napisał. listy o rozwód do konsystorza podpisał, i nareszcie ruszył do Paryża. Robił to wszystko z największym przymusem: gdyby go kto był wykradł jego księżnie, jak młode panny tyranom opiekunom wykradają, byłyby najszczęśliwszy; lecz sam, bez własnych pieniędzy, dzień i noc strzeżony, pewny, że oddalenie jego sprawiłoby śmierć albo pomieszanie zmysłów rozkochanej więcej niż kiedy Julii, cóż mógł innego począć? a jakkolwiek takowa słabość charakteru oburza i dziwi mnie, przecież w pamiętnikach miłośtek panów mężczyzn nie o nim pierwszym i nie o nim ostatnim napisano i napiszą: „Dał się powodować już nie kochanej kobięcie, jak słoń murzynkowi.“

Ale jeżeli kiedykolwiek był przyczyną gorzkich łez Karoliny, jeśli i teraz cierpiała z jego przyczyny, o! jakże była pomszczoną, jakże on cierpiał stokroć więcej. Bo może być sroższa męka dla człowieka czułego i prawego z natury, jak być zapamiętale kochanym, a już nie kochać i przymuszać się do miłości? może być większa katusza

dla człowieka rozumnego, jak zrobić źle, iść błędnie, bez żadnego omamienia, bez żadnego popędu; owszem z tém głębokiém i zimném przekonaniem: „źle, bezecnie, głupio postępuję: jestem i będę najnieszczęśliwszy z ludzi.“

A jakby na dopełnienie udręczeń Leona, zniknął mu z oczu, gdyby sen zwodniczy, cały urok Julii. Jak dawniej jój obraz czarujący był mu przeszkodą do uznania wdzięków i zalet Karoliny, tak dziś, bezustanku obok namiętnej, gwałtownej i tyle ziemskiej Julii, widział ową postać dziewczęcą, łagodną, anielską, i był prawdziwie jak jeden z owych duchów strąconych, co znał i widzi rozkosze nieba, a wie, że własną winą utracił je na wieki. Jakby na dowód ślepoty miłości, teraz dopiero, kiedy już nie kochał, postrzegał rzetelne lata księżnej i wiele niedoskonałości w jój urodzie; a co jeszcze gorsza, w jój mowie i obejściu dochodził nieszczeroci i obłudy: zszedł ją nawet kilka razy na kłamstwie!... I on dla takiej kobiety, dla której nie miał ani miłości, ani szacunku, z którą wiązały go jedynie litość, wdzięczność i punkt honoru, miał opuszczać Karolinę... okryć się śmiesznością przed ludźmi, biorąc żonę starszą od siebie o lat dziesięć, ze zszarzaną sławą, zawiązać świat przed sobą na zawsze!... I nie widział sposobu wycofania się z téj niedoli, a był czas, kiedy sam jój żądał jako najwyższego szczęścia, kiedy miał za nieprzyjaciół tych wszystkich, co mu na przeszkodzie stawali!...

Biędny Leon znieść nie mógł tylu udręczeń: w kilka tygodni po przyjeździe do Paryża zachorował śmiertelnie.

ROZDZIAŁ XVII.

Sprawa rozwodowa.

W liczbie listów wyprawionych do Warszawy na wyjeździe z Wiednia, był jeden, dawniej przyjaciółki, który Julia zataiła przed Leonem.

Choć może parę lat młodsza od Szambelanowej, (bo któż z pewnością wiek damski wiedzieć może), Julia uważała ją przecież jako rówiennicę, a nawet jako przyjaciółkę. Obie wychowane w Warszawie, w jednej światowej szkole, od jednych metrów lekcye brały, od jednych kokietek i intrygantek wzory, razem wchodziły w świat, w tym samym roku za mąż poszły; a lubo od tego czasu ustały wszelkie między nimi bliższe stosunki, gdyż jedna prawie ciągle przebywała za granicą, drugiej ledwie parę razy udało się jechać do Wiednia i do wód czeskich, przecież został im ów silny węzeł młodego wieku, co sprawia: że można nie-wiedzieć się przez lat kilkanaście, a przecież w potrzebie, więcej rachować wzajemnie na siebie, jak na przyjaciela, którego widziało się wczoraj, ale z którym zażyłość zaczęła się w latach późniejszych.

Julia przeto z wszelką pewnością napisała do Szam-

belanowój, zowiąc ją nawet dawnym zwyczajem, jój chrześniem i zdrobniałem imieniem *Kamilki*; zwierzała jój się ze wszystkiego, zasięgała jój doświadczonej rady co do podwójnego rozwodu; prosiła o pomoc czynną; a tak pisząc ani zgadywała jak trafia w chęci dawniej przyjaciołki, i jak gorliwie usłużoną będzie.

Szambelanowa odebrawszy ten list, ledwie śmiała wieżyć własnemu szczęściu. Przychodził właśnie w porę, kiedy ona przytłumiwszy dawne wyrzuty sumienia, i ustawszy zupełnie w swojej nawiasowej litości, bardzo przemyśliwała na nowo, jakby doprowadzić do skutku zamiary swoje nad Karoliną? bo chociaż widywała ją często i starała się budzić jój próżność i tkliwość „opowiadając jak tęsknią po niej w świecie, jak jój wszędzie brakuje, jak Ludwik za nią szaleje, jak usycha więć jeszcze z miłości niż z choroby i t. d. i t. d.“ przecież jój słowa i zabiegi nie miały tego powodzenia co niegdyś. Karolina silna była przeciw wszelkim podszeptom złego. Nieszczęście w nią uderzyło; a człowiek zawsze wtedy lepszy, bo więć żyje w duszy, w Bogu, mniej dba o świat i jego próżności; prócz tego, nabyła też już nieco doświadczenia, wiele ufności w sobie, i miała rozsądną a nieodstępną matkę. Dotąd tedy Szambelanowa mimo najusilniejszego starania nie otrzymała wstępu dla Kasztelanica. Właśnie od tygodnia zaczął wyjeżdżać, był nad wszelki wyraz interesujący, schudł, pobladł, spoważniał, pragnął jak zbawienia widzieć choć raz Karolinę; sam o to pisał z największą delikatnością, list godny *Sejmurów* i *Mortimerów*, oczywiście pod dyktacyą Szambelanowój: nic nie pomagało; i dwa dni temu Cześnikowa osądziła za rzecz przyzwoitą oświadczyć mu formalnie przez Wojewodę: „że do powrotu męża, córka postanowiła u niej mieszkać i nie przyjmować nikogo, a kiedy tego postanowienia nie przełamała dla księcia Józefa, dla pani Tyszkiewiczowój, i dla tyłu innych znakomitych osób, nie mogłaby bez uchybienia

im i sobie przełamać go dla Kasztelanica, mimo całego dlań szacunku.“

W takim stanie rzeczy, jakże list Julii nie miał być z radością przyjęty! Uszczęśliwiona Kamilka pojechała co tchu do Ludwika, który przywilejem faworytów płci pięknej i bohaterów romansowych przygód, przyjmował u siebie młodsze i ładniejsze damy.

— Szczególna jakaś gwiazda ci sprzyja—zawołała wchodząc,—słowo daję, gdybym sama tę rzecz układała, nie wymyśliłabym nic rozumniejszego.

I tu opowiedziała mu wszystko i list Julii przeczytała.

— Wystaw sobie, w tej chwili nasza pani Karolina list rozwodowy od męża odbiera: spodziewam się że teraz staniecie. Przez samą złość pójdzie za ciebie; życie dam: ja znam kobiety... Doskonale że Leon sam chce rozwodu: z nią trudniejsza byłaby sprawa. Takie to jeszcze we wszystkim nowe, skrupulatne. Zaczęła się trochę formować między nami, teraz u mamuni znowu zgłupiała.

— To nic nie szkodzi, i owszem—przerwał Ludwik,—ale powiedzże mi pani, jak się ten rozwód zrobi, boć to przecie rzecz ważna?

— Jak? już mnie to zostaw; gotowam iść w powtórny zakład, że wyrobię rozwód we trzy miesiące, notabene, jeżeli kto sypnie dobrze: inaczéj, nie podejmuję się niczego.

— O to się pani nie turbuj—zawołał Kasztelaniec,—co tylko będzie potrzeba, dołożę: ostatni frak przedałbym z radością.

Jeżeli tak, uważaj rzecz za skończoną; już ja wszystko ułożyłam tu jadąc: mnie do najzawilszych planów ledwie chwilki jednej potrzeba. Słowo honoru, wielkie nieszczęście żem kobietą! Dwaj najobrotniejsi adwokaci rozwodowi: Górski i Sapalski są zawsze na moje rozkazy, bo im napędzam często klientów; w konsystorzu mam ogromne wpływy, a tam wszystko się rozstrzyga. Znam ja przecie jak się dzieje

między ludźmi: prawo kanoniczne, czy uwierzysz, umiem na palcach.

— I w tém poważném prawie, znajdzie się powód do rozwodu Karoliny?—zapytał Ludwik—skarż mnie Boże, pragnę go więcej jak życia, lecz nie zgaduję.

— Boś jeszcze dzieciuch, nie nie znasz, jakbyś się wczoraj urodził; ale powód znajdę i wykażę. Przecież sama brałam rozwód z piérwszym mężem, a rozwodziłam drugiego; nie było wprawdzie za czem karku łamać, ale cóż chcesz, chciałam zrobić na złość Kasztelanowej, która śmiała publicznie utrzymywać, że już męża nie dostanę...

— Dobrze to wszystko—przerwał kawaler nie ciekawy starych przygód przyjaciółki—ale jakież on będzie ten powód? powiedz pani, proszę koniecznie, niech wiem przynajmniej... bo w rozwodowych sprawach zdarzyło mi się słyseć o takich, żebym wołał, dalibóg, sto razy się strzelać, jak dopuścić żeby o niej coś podobnego mówiono.

— Jaki mi bohater doskonały i wstydlivy: lilię z fiołkiem weź sobie za dewizę. Żarty na stronę, bądź zupełnie w tój mierze spokojny. Wszak wiesz jak rzeczy były między niemi, i jaki rzadki skarb cię czeka. Żadne tedy tego rodzaju powody zastosowaćby się tu nie dały; można będzie wrazie o tём szczególném zdarzeniu wspomnieć, co owszem będzie z wielkim jój honorem i ułatwi rozwód. Lecz i bez tego zapewne się obejdzie. Pokrewieństwo między niemi, *errora in persona* takżebym się dowieść nie podjęła...

— No, to tedy niema powodu, ja dobrze mówię—wyrzekł żywo i ze smutkiem Kasztelanic.

— Jest, jest, jeden wyborny, przyzwoity, dostateczny, o którym dawno już myślę.

— Powiedzże pani raz, bo dalibóg, gorączki dostanę.

— Powiem, powiem, tylko nie wygadajże się przed

nikim: nie właściwy proboszcz ślub im dawał. Wszak sam pamiętasz wujaszka z brodą?.. Ten jeden zarzut będzie dostateczny, zwłaszcza obok innych ważnych argumentów.

— A jak ona nie zechce żadnym sposobem?

— Jakiż ty jeszcze ciemny, aż mi wstyd! to i owszem. Rozwód nastąpić może skoro jedno chce, i w takim razie nawet daleko prędzej go dają; jak władze duchowne i świeckie zmiarkują, że obie strony piérwój się porozumiały, sprawa dłużej nierównie się ciągnie, czasem parę lat, i daleko więcéj kosztuje. Prawda, że strona co nie zezwala, zwyczajnie w powtórne związki nie wchodzi; ale to już, panie kawalerze, twoja będzie rzecz przerobić w tém, gdy czas nadejdzie, cnotliwą panią Karolinę, i nie wątpię że wygrasz. Stracisz w moich oczach i w oczach całego świata całą sławę damskiego zwycięzcy, jeżeli nie rozkochasz na śmierć téj kobiéciny. Ja ci w tém obiecuję pomoc, ale wszystkiego zrobić nie mogę. O! gdybym ja była mężczyzną! dopiérobyście wszyscy w kął poszli, wy baby prawdziwe!

A pełna pychy i złośliwój radości, układając już sobie, że zamówi się dziś jeszcze do starego Paschalisa i przejrzysz najpiękniejsze szale, w takim samym duchu jak gadała Kasztelanicowi, tak napisała długi list do księżnój. Dziękując jój za okazaną ufność, ciesząc się, że przecie znalazła się jedna kobiéta co umiê kochać, co nie dba o opinią głupiego świata, i przesądów niema, udzielała jój jak najlepszych nadziei co do rozerwania związków Leona; względem rozwodu jój samój, podawała myśli i powody, którychby żadna uczciwa kobiéta we cztery oczy nie wymówiła przed rodzonym ojcem, a któremi przecieź zająć się miały sądy Warszawskie, roztrząsać, rozpisywać po polsku, po niemiecku, po łacinie, do Berlina, do Rzymu posyłać owe najwstydliwsze i najskrytsze tajemnice... Ach!

prawdziwie! choćby kto żadnej religii nie miał, o świętości małżeństwa przekonany nie był, sam prosty wstyd, sama przyzwoitość winnyby sprawę rozwodowe obrzydzić.

Lecz niestety! w owym czasie owa plaga rodzin, owo zabójstwo moralności tak było powszechne i ułatwione, że ręczę iż każdy co owe czasy pamięta, naliczyłby potrafił jednym tchem kilkanaście par, najpiérwszych imion, z których albo jedno albo drugie się rozwiodło, a często bardzo oboje. Ohydny przydomek *rozwódka* stał się nawet przydomkiem dobrego tonu, rekomendacją w wielkim świecie, synonimem *elegantki*. Taka zgroza, która i dziś jeszcze w naszej Polsce zdarza się częściej niżli w innych krajach; kto wie czy nie jest także jednym z powodów kary niebios nad nami? Za nieporządkiem domowym, tyle innych nieporządków idzie!..

Ale jak dziś tak i dawniej są i były pańskie, szlacheckie i miejskie rodziny, które nigdy nie skałały się tą plamą, i pojąć łatwo, że cnotliwie wychowaną Karolinę, ów zamiar Leona nietylko zadziwił, ale zranił boleśnie, i że postanowiła silnie odrzucić go.

W jój skromnym rodzie od babki, prababki, mąż choćby nie miły i nie kochany, był uważany jako jedyny i dogonny towarzysz żony; cóż dopiero mąż miły i kochany? A niema i potrzeby tego mówić, skłonność jój miłosna do Kasztelanica, wczas rozpoznana i przecięta, minęła jak odgłos muzyki wesołych tańców, które z nim tańczyła; wzbudzona i utrzymywana nienaturalną sferą w jakiej żyła, podsykana niegodziwą sztuką fałszywej przyjaciołki, znikła w poważnym życiu, jak znikają ogniki na rozgrzanych bagnach, skoro dzień z chłodną rosą zawita; przywiązanie jój zaś dla Leona, na cnotcie, na powinności oparte, może nigdy jeszcze równie silne, równie tkliwe nie było. Wzmagała je dotąd nadzieja wzajemności, i myśl tyle władzy mająca nad piękną duszą:

„Obraziłam go, a przynajmniej byłam na téj drodze, a zatem winnam mu wiele nagrodzić i wiele przebaczyć.“

O zgodzie i porozumieniu się z mężem już teraz dniem i nocą marzyła, o tém mówiła najwięcej z matką i jeszcze owego poranku takie były jój słowa:

„Niech tylko przyjedzie, będę ja z nim wcale inna; będę śmiała, czuła, otwarta; jam nie sobie radzić nie umiała, pan Wojewoda słusznie mię łajał; już sobie ułożyłam co mu powiem, jak z nim będę: musi mię pokochać.“

I wśród takich myśli i rozmów wpadł jak piorun ów list rozwodowy. Karoliną zupełnie pokonana tym nowym ciosem, zalana łzami klęczała w milczeniu u nóg matki, jakby już nie miała siły ani podnieść się, ani wymówić słowa; głowa jój zwisała, ręce opadły, usta się zawarły...

Wtém uchyliły się zwolna drzwi, i wszedł ksiądz Onufry ze zwykłym sobie powitaniem: „Pokój temu domowi.“ On, jak prawdziwy sługa Boga miłosierdzia, zawsze przeczuwał chwilę, kiedy jego obecność i rada była najpotrzebniejsza. Obaczywszy go Karolina podniosła głowę i zawołała:

— Wujaszku! wszak rozwodu niéma i być nie może?

— Niéma, dziecię moje; wszak ci to jeszcze przed twoim ślubem tłómaczyłem. Ale dlaczegoż mię o to dziś pytasz, i czemu was widzę więcej strapione niż wczoraj?

Tu Cześnikowa opowiedziała bratu nowy cios jaki Bóg na nich dopuścił. Przekonana zarówno z córką o świętości i nieodwołalności małżeństwa, żyjąc już długo na świecie, wiedziała przecież, że są tacy co po dwie i po trzy żony żywe mają; pytała się więc takż troskliwie okiem i słowem powtarzając za córką:

— Bracie! wszak rozwodu niéma?

— Małżeństwo jest Sakramentem—odpowiedział kapłan poważnie—znaczy złączenie Chrystusa z kościołem, i raz dobrze i porządnie zawarte, nigdy się rozerwać i rozdzielić

nie może. Póki żywa żona, innéj mieć mąż niéma prawa; póki żyw mąż, innego żona brać nie powinna...

— Ach! oddycham!—przerwała Karolina zrywając się z ziemi i jakby zrzucając z siebie gnębiący ją ciężar—Leon nie może wyrzec się mnie. Jak ja nie mogę przestać być córką kochanéj matki, drogiego ojca, tak i żoną Leona przestać być nie mogę. Wszak prawda? wujaszku—powtarzała, a całując ręce jego oblewała je łzami.

— Prawda, prawda—mówił rozczulony kapłan głaszcząc dłońmi gorącą jéj głowę i jakby ją błogosławiąc.

— Przecież zdarzają się rozwody, jakże się to dzieje?—wtrąciła nieśmiało Cześnikowa, gdyż nie chciała ani martwić córki, ani téż ubezpieczać ją zupełnie.

— To nie rozwody—odpowiedział ksiądz Onufry—Kościół włożenia i rozdziałów albo rozwodów niecierpi ani dopuścić może; jak sama rzecz nieprawa, tak i nazwanie mylne. Nadużycia jakie w téj mierze na karb Kościoła kładą, pochodzą ze zléj wiary i bezbożności rozwiązłych małżonków: oszukują władze duchowne i świeckie.

— Być może że oszukują—powiedziała jeszcze Cześnikowa—dosyć, że się to zdarza, i ja znam sama nie jednego pana, co ma dwie żony żyjące, nie jedną panią o dwóch mężach; jakże się to zrobiło? Bracie, oświeć nas.

— A!—wymówił ciszej ksiądz Onufry—otrzymali unieważnienie małżeństwa...

— O, Boże! Boże!—krzyknęła Karolina i całe jéj chwilowe uspokojenie znikło—więc Leon ma racją, więc można...—a nie domawiając już myśli swojej oparła się o ścianę i stanęła znowu jakby słupem; łzy jéj oschły, twarz zbladła, oczy patrzyły nie widząc.

— Nie rozpaczaj przed czasem, dziecię moje!—rzekł sługa Boży. Ażeby Kościół unieważnił małżeństwo, to jest uznał, że małżeństwa nie było, albo że być nie mogło, trzeba: żeby zachodziło między małżonkami blizkie a nie-

wiadome lub zatajone pokrewieństwo; albo żeby był fałsz w osobie: *error in persona*, albo nareszcie, żeby ślub był dany pokątnie bez wiedzy proboszcza. Między wami pokrewieństwa nie było, nie kto inny tylko ty i Leon złączeniście zostali pod własnymi waszemi imionami przed ołtarzem, a wszak Zbawiciel sam wyrzekł: „Co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza;“ ślub wasz zaś był publiczny i błogosławiłem go za indultem naszego Biskupa; przeto w waszym związku wszelkie warunki jakich Kościół do ważności małżeństwa wymaga, zachowane były, i tylko śmierć jednego z was może je rozerwać.“

— O! wujaszku! święty wujaszku!—zawołała znowu Karolina rumieniąc się z radości i składając dłonie—mów tak jeszcze, mów długo, mów zawsze; życie we mnie wstępuje za każdym słowem twojém. Siadaj tu, proszę, obok mnie; nie odchodź: ja w tój chwili napiszę do Leona, to wszystko coś mówił. Jego ktoś omamił, uwiódł — dodała przebiegając oczyma list męża—on wierzy ślepo w ten obrzydły rozwód; i wyraźnic, chce go otrzymać dla mnie nie dla siebie... O mojem szczęściu wspomina, o swojem wcale... Niewdzięczny!... a raczej zaślepiony. My jeszcze nigdy nie byliśmy otwarciem z sobą. On pewno myśli że ja go niecierpię... że kocham innego... Aleć da Bóg przekona się inaczej. Może ten krok gwałtowny i tak bolesny przyspieszy pożądane wytlómaczenie... a zawsze słuszną jest dla mnie karą...

I tak mówiąc szybko a raczej myśląc głośno, nierównie już swobodniejsza, siadła i napisała do Leona.

W krótkich i pełnych godności słowach, boć i mężowi narzucać się kobiéta nie powinna; powiedziała mu jako rozwodu nie chciała nigdy i nie chce, jako się nim brzydzi, wreszcie jako rozwodu niéma; unieważnić zaś ich małżeństwa nikt nie może, gdyż wszystkie warunki żądane od Kościoła, które wypisała według słów księdza Onufrego, dochowane były. Donosiła mu potém o nagłej śmierci ojca,

o ich ciężkim smutku; żaliła się, że go w tym razie nie było, że teraz bez potrzeby tak daleko odjechał. Kończyła temi wyrazami: „Nie mieszkam w pałacu, jestem u kochanej matki, ale skoro wrócisz, zrobię jak zechcesz; może pojedziemy wszyscy razem do Modrogóry, tylko wracaj do nas, wracaj jak najprędzej. Pan Wojewoda nam powiadał że Kasztelanic już zdrów, a my same, nieszczęśliwe, osierocone, potrzebujemy ciebie koniecznie.“

List ten wyprawiła natychmiast na pocztę; nie śmiejąc wspomnieć w nim o pieniądzach, ile że miarkowała, iż ich Leon potrzebować musi: znaczną summę posłała wprost do jednego z bankierów wiedeńskich, z poleceniem, aby wezwał hrabiego Leona*** i wypłacił mu ją natychmiast Ani list ani weksel nie zastały już Leona w Wiedniu; poczta odesłała list pod adresem księżnej P. do Paryża: wypłatę pieniędzy bankier zatrzymał.

Lecz oczywiście nie przecięła się tém owa rozwodowa prawa, lubo Karolina i Cześnikowa pochlebially sobie czasem, iż się na próżnych pogrózkach skończy, i nikt dowieść nie potrafi nieważności małżeństwa.

— Już tam nieboszczyk Jegomość—mówiła Cześnikowa—pewno niczego ani zapomniał, ani zaniedbał. Gdybyć on żył, nie troskałabym się ani minuty; nie byłoby nawet do tego kroku nigdy przyszło; ale wdowie i sierocie ciężko na świecie: lada kto myśli, że na nich swoje przewidzie.

Wnet okazała się słuszność téj obawy i wniosków Szambelanowej. Są niestety! we wszelkich stanach podli i chciwi ludzie, i od wieków, nie ma prawie tego nadużycia, téj zbrodni, jakichby za pieniądze nie dostał. Mimo głośnych oświadczeń księdza Onufrego, który przysięgał że ślub dany był jak należy, i odgrażał się że sam uda się do Rzymu i wykryje tę zgrozę; mimo wszelkich przedstawień, próśb, wizyt do władz duchownych i świeckich Wojewody, który jak zgadnąć łatwo, całą duszą był przeciwny

rozwodowi syna: ledwie sześć tygodni upłynęło, kiedy dzięki niezmeńczonemu jeżdzeniu i dreptaniu gorliwej Kamilki, sutemu i zręcznemu sypaniu pieniędzy nie z jej kieszeni, prawnicy dowiedli w konsystorzu nieważności małżeństwa. „Koncylium Trydenckie—takie były ich słowa—nietylko zakazuje aby pokątne śluby i małżeństwa bez wiadomości właściwego parocha zawierane były, ale obwieszcza, że coby się w tej mierze bez wiedzy proboszcza albo jego wikarego działo, niema żadnej wagi. Ślub jejmość panny Cześnikowej Dyblewiczówniej i Jaśnie Wielmożnego hrabi Leona*** odbył się w pokoju, dawał go obcy zakonnik; przeto pomimo indultu jest nieważny.“ Już do ukończenia całej sprawy brakowało jedynie głównemu adwokatowi uzyskać kilka stanowczych podpisów w Regencyi i otrzymać potwierdzenie aktu unieważnienia z Rzymu. Ręczył że za drugie sześć tygodni wszystko mieć będzie; jeden tylko kładł warunek: drugie sto tysięcy na stole. Księżna czwartą część tego w gotowiznie i piękne bardzo perły przysłała. Kasztelaniec już potajemnie kilkadziesiąt tysięcy złotych w ręce Szambelanowej był złożył, lecz znowu sto wypłacić, to mu się zdawało zawiele; nie żeby sądził iż Karolina tego nie warta, ale już był znudzony i nie miał ani pieniędzy, ani kredytu: chybaby parę wiosek sprzedał, a właśnie było po Świętym Janie, to i kupiec nie łatwo się mógł trafić.

Kiedy więc Szambelanowa, która już dla dopilnowania powierzonej sobie sprawy nie ruszyła się nigdzie tego lata z Warszawy, usłyszała nicodwołałny wyrok adwokata, a wybrawszy się raniutko do Ludwika przedstawiała mu obszernie i dobitnie konieczną potrzebę tej ostatniej ofiary; on jakkolwiek rozkochany i rozrzutny, ciągle się krzywił i głową trząsał a nareszcie powiedział prawie z gniewem:

— Grosza nie dam, póki jej nie zobaczę. Co nadto, to nadto. Trzymacie mię tu jak na uwięzi, skubiecie jak dudka. Od kiedy żyję, jeszcze się podobnie nie nudził; nikogo nie ma,

zupełny wstyd siedzieć w mieście; wszyscy się ze mnie śmieją; sam Czekierski mi każe koniecznie jechać do wód, a przynajmniej na wieś. Ja tu, dalibóg, skonam; patrz pani jakem się zmienił, jakem schudł.

A tu przeglądał się ze smutkiem w zwierciadle i pokazywał jak suknie na nim wiszą.

— Wszystko muszę kazać przerabiać; fraki paryzkie co leżały jak ulał, teraz jak worki. Włosy tracę. Słowo honoru, wyłysięję zupełnie—dodał z przestachem czesząc palcami czub znacznie przerzedzony i widząc że kilka włosów zostało mu się w ręku. Niechże przynajmniej ją widzę póki nie zbrzydnę do reszty, niech się przekonam na własne oczy, że ją dla siebie, nie dla kogo rozwodzę. Pani mi powiadasz, że ona mię wspomina mile, że się rumieni na moje imię, że mię kocha, chociaż mię widzieć nie chce. Otóż ja temu nie wierzę, i kończę na tém od czego zacząłem: nie dam grosza, póki jój nie zobaczę.

Szambelanowa niekoniecznie była rada temu postanowieniu pana Ludwika, lubo z innój strony mówiła sobie, że jego widok, pamięć tego co dla niój wycierpiał, rozczuli Karolinę, a tym sposobem nadzieje jego się utwierdzą i chętnie nową ofiarę poniesie. Prócz tego, obyczajem swoim mówienia wszystkim prawd niemiłych, opowiedziała była potrochu Karolinie wszelkie stosunki Leona z Julią, zacząwszy od Włoch aż do dzisiejszych Wrocławskich i Wiedeńskich: opisała ją piękną i niebezpieczną, pojedynek z Ludwikiem wystawiła jako dziwactwo, jako skutek *spleenu*, a czego nie wiedziała, boć list Księżnój, jakkolwiek poufały, nie mógł objąć wszystkiego, zdradliwie pozmyślała. Co jój to szkodziło, że każde jój słowo przeszywało serce Karoliny, rozdzierało lubą z jój oczów zasłonę? powiedzieć i zrobić komu nieprzyjemność było dla Szambelanowój uciechą.

Nie byłaby chyba kobietą—myślała sobie wracając od

Kasztelanica — gdyby wiedząc co wie z mojej łaski, nie chciała przecież się zemścić.

W to więc ufając, tyle tego samego dnia nagała Cześnikowej i jej córce, tak im wystawiła, że kuzynek gotów sądzić że Karolina w nim się szalenie kocha, kiedy boi się go widzieć: że przystały obie na jego przyjęcie nazajutrz rano; umówiły się nawet, że Karolina zostanie sama z nim, żeby mu odrazu, jeśli będzie tego trzeba prawdę powiedzieć. Ludwik przybiegł o naznaczonej godzinie, wyświeżony, wyperfumowany, w modnym rannym ubiorze, w nankinach, w kamlotowym surduciku, w białej z wielkim fontaziem chustce, w paryzkich rękawiczkach. Cześnikowa według umowy wnet wyszła z pokoju. Został sam z Karoliną, a wzruszony jej upragnionym widokiem, żalobą, smutkiem, bladością, które tyle wdzięku mają w rozkochanych oczach, podobnie zrobił jak w ów 13 Marca: nie mógł się przewyciężyć i wszystkie swoje uczucia, widoki, nadzieje, wynurzył odrazu. Już dziś słowa jego, acz może jeszcze wymowniejsze, nie zrobiły na Karolinie tego wrażenia co niegdyś: ani się rozśmiała, ani rozgniewała. Poważnie, łagodnie, ze smutkiem, lecz z suchemi oczyma, powiedziała mu: że on bardzo źle robi, że jest w zupełnym błędzie; że ona żałuje go z duszy, wymawia sobie gorzko jeśli płochością i niedoświadczeniem stała mu się przyczyną do tylu cierpień; lecz że zawsze w głębi serca jednego tylko prawdziwie kochała i kocha, Leona, i w nim jedynie całe swe szczęście zakłada.

— Gdyby nawet — powiedziała w końcu — niepojętemi intrygami i podłym przekupstwem unieważniono nasze małżeństwo; gdyby Leon ożenił się z inną — a te wyrazy zaledwie wymówić zdołała — ja zawsze będę się uważała jako jego żona; zamknę się na wsi z matką i będziemy płakać razem, póki Bóg miłosierny śmierci nie ześle.

Taka była rzetelność i spokojność, taka głęboka i silna

wola w mowie i w postawie Karoliny, taka w niej całej odmiana od tego czém była dawniej, w obejściu się z Kasztelanice, że on nagle jakby przejrzał i innym człowiekiem został. Popędliwy w uczuciach i w czynnościach, nieco romansowy i rycerski, porwał się, wziął z uszanowaniem rękę Karoliny, pocałował, i wyrzekł te dwa słowa: „Będziesz szczęśliwą“ i zniknął. Wróciwszy do siebie napisał do Szambelanowej oświadczając, że sprawy rozwodowej dalej popierać nie myśli, prosi nawet żeby jej zaniechać, a zwierzywszy się jednemu tylko księciu Józefowi, wziął pocztę i ruszył do Wiednia.

ROZDZIAŁ XVIII.

Ż o n a.

„Odmienić się może czas od poranku do wieczora“ tak mówi święte przysłowie; bywają przecież epoki, kiedy spełnienie téj prawdy bardzo się zwleka, i kiedy się wydawać może iż czas skamieniał, bo wcale nie postępuje, i wszystko w około nas takie same.

Tak i Karolina od dnia widzenia się z Kasztelanicem, całe dni czterdzieści przebyła zupełnie jednostajnych, równo przykrych, równo długich, dziwując się ciągle, czemu żadnej wiadomości niéma od Leona? i gubiąc się ciągle w różnych domniemaniach i o nim i o Ludwiku, wraz z matką i z Wojewodą. Już nawet nie przerywały smutnej ciszy żałobnego ich domu, ani napaści prawników co do rozwodu, ani natrętne i zdradzieckie odwiedziny Szambelanowej. Sprawa uwięzła kompletnie w połowie drogi. W tych razach znowu, jak wiadomo, sprawdza się zawsze świeckie przysłowie: „ten jedzie, kto smaruje,“ a tu nietylko już nikt piędzmi nie sypał, ale usłużna i skrzętna Kamilka, płonąć gniewem i wstydem, pod lekkim pozorem ujechała do wioski, którą gdzieś miała w Płockiem, zostawując sta-

rego męża samym, i tam klnąc w pień cały rodzaj ludzki, rozchorowała się na okropną żółciową gorączkę.

Lecz wszystko na świecie koniec swój mieć musi: przyszedł nareszcie i dla Karoliny ów wyglądzany dzień, kiedy odmienił się czas od poranku do wieczora; odebrała list następujący:

Z Paryża, 8 Stycznia 1805 r.

Rue de la loi (Richelieu) hôtel des Ministres.

„Pani może ledwie wiész, żem ja z Warszawy wyjechał, a przynajmniej nie zgadujesz gdzie i po co? Otóż pojechałem szukać Leona, a kiedy Pani inaczej szczęśliwą być nie możesz, by przymusić go do szczęścia. Nie zastawszy go w Wiedniu, po wielu nieznośnych przeszkodach, gdyż nie żartem na ogromną wojnę się zanosi, przyjechałem nareszcie tu wczoraj i zaraz go znalazłem. Bardzo chorował, teraz już zdrowszy, *sam* i bardzo nieszczęśliwy. Jeśli zawinił, ileż wycierpiał i jak cierpi jeszcze! Otworzył mi zupełnie serce swoje i ja wzajemnie. Jesteśmy z sobą jak rodzeni bracia. Mieszkam z nim, pocieszam go jak mogę, przysięgam mu się na różne rzeczy; ale on mi wcale a wcale wierzyć nie chce, chociaż powinienby wierzyć, bo takich rzeczy prawdziwiebym nie komponował. Jeszczem ani Paryża, ani nikogo nie widział, nawet u mego krawca nie byłem, a odkrywa się, że my w Warszawie mało co wiemy, i że zupełnie po parafiańsku wyglądam. Namawiałem Leona żeby sam pisał, ręczyłem, że list jego będzie dobrze przyjęty; on nie śmieć, wolałby sam jechać do Warszawy, ale doktor powiada że go i za miesiąc nie puści. Miałbym wiele rzeczy do powiedzenia—o nim (bo co o sobie, to jużem przysięgał nie mówić nigdy) wiele rzeczy, których Pani ani zgadujesz, a które przecie tak łatwo zgadnąć; ale ten Leon taki dzi-

wny: nie chce żebym cokolwiekbaż pisał. Kończę więc, tém bardziej, że rozmawiając z Panią, łatwoby się zapomnieć.

Prawdziwy brat *Ludwik*.

W kwadrans po odebraniu tego listu, Karolina tak pisała do Leona:

„Jutro wyjeżdżam z Warszawy; w parę dni po tym liście spodziewam się stanąć w Paryżu. Nie pytam się o nic; wiem tylko żeś słaby, nieszczęśliwy, sam, i zem twoją żoną.“

„Pozdrawiam uprzejmie dobrego naszego brata.“

Dla Karoliny dosyć było wiedzieć że mąż słaby, nieszczęśliwy i *sam*; lecz nam obojętnym, niech wolno będzie pokrótce tę ostatnią okoliczność wyjaśnić.

Leon i Julia przyjechali, jak wiemy do Paryża. Julia lękała się trochę czy nie zastanie tam księcia, męża swego, od którego już przez kilka miesięcy wiadomości nie miała. W owym czasie wielu znakomitych Polaków, będących za granicą, zjeżdżało się do Paryża w dalekich widokach, ale męża Julii między niemi nie było. Rodził on się tego roku co Kościuszko, pamiętał dobrze konfederacyą Barską; ojciec jego zginął w ostatniej rewolucyi: już tedy utrzymywał, że dosyć zrobił, i że teraz na drugich kolój. Korzystając przeto z nakazu doktorów, od wód Nadreńskich pojechał przepędzić zimę w południowej Francyi, a teraz brał kąpiele w Pyreneach, wyglądając niecierpliwiej niż gazet i buletynów, listów zaległych zdawna od komisarza litewskiego i od żony, o której projektach i wybrykach nic nie wiedział, i był pewny, że ona sobie spokojnie z matką i z dziećmi pod Kownem siedzi i pieniądze zbiera.

Skoro tedy ta obawa Julii znikła, zaczęła tak samo postępować w Paryżu jak w Wiedniu, i wnet Leona do życia prawie szalonego wciągnęła.

Gdzież łatwiej było jak w Paryżu, osobliwie za cesar-

stwa wieść życie takowe? Julia prezentowała się u dworu, gdzie już cała dawna etykieta i świetność wróciły, i bywała wszędzie, a zawsze piękna, zwłaszcza dla tych co jęj młodszą nie znali, bogato i gustownie ubrana, wabna, w położeniu podejrzaném, wnet nanowo jak w najświetniejszych swoich czasach rój wielbicieli koło siebie zebrała, a w ich liczbie byli i królowie i księżęta udzielni, a przynajmniej tacy, na których korony i mitry czekały.

Z początku Julia rzuciła się w światowy odmet, w myśli, że owo powodzenie obudzi zastygłą miłość Leona, i przekona go, że nie takie wielkie nieszczęście rozwieść się z parafianką, co w Warszawie miała jakieś tam sukcesy, a ożenić się z księżną, przed którą monarchowie i Paryż czołem biją; ale wnet, jak się to zwykle dzieje, wciągnęła się zupełnie, już nie na jego, lecz na swój własny rachunek. „Czém skorupka napoi się z młodu, tém na zawsze trąci.“ Julia przeszło trzy lata miłością jednego zadowolniona, i jeszcze niedawno w odludnym dworcu litewskim hołdy całego świata poświęcić mu gotowa; gdy się ujrzała w ulubionym żywiole swoim, inaczéj myśleć zaczęła. A jeszcze jakby na prędszą zgubę, w piérwszych dniach po przybyciu do Paryża, odnowiła przyjaźń z piękną Pauliną Borghese, siostrą najmłodszą Napoleona, którą dawniej u wód, jako panią *Leclerc* widywała, a której przykład nie był do skorzystania. Ówczesna Wenus, jak ją zwano w całym znaczeniu tego wyrazu, bo nawet jako Wenus obraży i posągi swoje z natury robić kazała, pokochała wnet na nowo księżnę polską, a podobno więcéj jeszcze dorodnego jęj towarzysza. Zapraszała ich oboje nieustannie do siebie, obmyślała zabawy, namawiała braci i szwagrów, żeby się zajmowali Julią, bo ona pięknego adonisa zwabić sobie chciała. Co żartem mówiła, to się ziściło; czego pragnęła gorąco, tego nie dopięła. Młody Hieronim Bonaparte, późniejszy król Westfalski, właśnie z rozkazu cesarskiego w rozwodzie

z żoną swoją Elżbietą Paterson, którą zostawił w Ameryce, rozkochał się w Julii, a jej towarzysz został nie czuły na wszystkie wdzięki i zaczepki zalotnej Pauliny. Co więcej, wnet przestała go widywać, bo Leon jak wspomnieliśmy, dręczony w duszy najboleśniejszemi uczuciami, dręczony życiem hucznym którego nie lubił, zapadł ciężko na taką samą chorobę, jak już raz za powrotem z Litwy, ale w wyższym daleko stopniu.

Pierwsze dni śmiertelnego niebezpieczeństwa Julia przebyła przy nim w spazmach i w rozpaczach; doktor, służący, więcej mieli do roboty z nią niż z chorym, a biedny Leon chory, więcej miał hałasu, trwogi, niż pociechy. Lecz skoro doktor oświadczył, że już niema obawy o życie, tylko czasu i wypoczynku potrzeba, aby hrabia wrócił do zdrowia, żal i niespokojność znikły; a ponieważ Leon skazany został na długie siedzenie w domu, nie można było opierać się dalej naleganiom księżnej Pauliny, jej brata, nie bywać u nich, nie bawić się z niemi. Nadszedł też właśnie koniec Lipca. Napoleon z Józefiną i z całym dworem wybierał się do owego sławnego obozu pod Boulogne, gdzie, jak mówiono, ucztę świetną miały poprzedzić czyn śmiały i oddawna niesłychany: wylądowanie do Anglii. Hrabia polski, prawie ubogi, ciągle był słaby i codzien zimniejszy; brat bohatera wieku, król przyszły, codzien więcej rozkochany: walka stawała się bardzo trudna. Nareszcie d. 2 Sierpnia, w dzień wyjazdu cesarskiej rodziny do Boulogne, przyszło ostatecznie wybierać między dwoma. Hieronim coś szepnął, że żony jego braci i sama cesarzowa, nawet księżnemi nie były: bo czegoż mężczyźni w takowych razach nie szepczą!... Krótko mówiąc, gdyż nie warto wchodzić w tak pospolite szczegóły, Julia pojechała z Hieronimem do Boulogne; Leona pożegnała listem, na który on odpisał natychmiast zrywając z nią na zawsze.

Nie kochał jej już wcale; wjeżdżając do Paryża, byłby

odstąpił dziesięć lat życia, może i więcej, temu, coby mu zaręczył, że w tém mieście bez niebezpieczeństwa jój zdrowia, bez szkody na własnym honorze, te obrzydłe związki zerwie; przecież w piérszój chwili list jój niespodziewanym i bolesnym mu się wydał, i pogorszył na dni kilka stan jego zdrowia. Mężczyzni mało trzymają o stałości kobiet, jednak więcej niż o własnej. Niejeden już dawno się odkochał i innej swoje zapały niesie, a wymyśla na płochość kobiet i dziwi się, kiedy zdradzona kochanka serce mu odbierze i znowu da innemu. Ale podobno gruntem tego postępowania jest próżność: ci panowie wystawić sobie nie umieją, jakto można przestać ich kochać? Otóż i w Leonie było to zadziwienie, było przytém i upokorzenia wiele. Przez lat kilka mienił być wzorem uczucia i wierności, kobietę, która rzuciła się w objęcia piérszego lepszego. Bo i to jeszcze wiedzieć należy o panach mężczyznach: zapomnienie się kobiety dla nich nie jest żadnym złem; ale dla drugiego to zbrodnia! Jak gdyby rozsądek nie uczył, że złe jest zawsze złém. Córka co oszukuje matkę dla kochanka, czemu nie ma oszukać męża dla amanta? Wszak dowiodła że umie.

Ale chociaż Leon w piérszój chwili po odebraniu listu Julii zdziwił się i zmartwił, wnet znikły owe uczucia przed myślą lubą, że jest wolnym, że już ów okropny dług na jego honorze nie ciąży. Przecież za ową myślą nie przychodziły jeszcze ani nadzieja, ani zdrowie.

Piérwszy list żony przysłany z Wiednia pod adresem księżnej P., nie doszedł go; o sprawie rozwodowej wiedział tylko to, co Szambelanowa donosiła przyjaciółce z radością, że jest na najlepszej drodze. Pewnym był przeto, iż ten zamiar dogadza skłonności Karoliny; kochając ją i ceniąc prawdziwie, cieszył się myślą jój szczęścia; sam zaś dla siebie już nic nie pragnął. Miał głębokie wyobrażenie rychłej śmierci i zupełny niesmak do życia. Powracał téz

do sił bardzo pomału; nie było około niego owego anioła, owój wróżki, co to niegdyś w Warszawie uleczyła go, choć zaoczném staraniem. Po ciężkiej chorobie trzeba koniecznie jakby po jakimś strąceniu dźwigać się z całej mocy, pragnąc coprędzej powstać zupełnie na nogi; zwyczajnie zachęca nas do tego troskliwość otaczających osób: często chory dla ich przyjemności udaje że zdrow, i to udawanie wnet w prawdę się zmienia. Leona stan lepszy lub gorszy mało obchodził cudzego doktora i ludzi hotelu, co mu na kredyt służyli; przeto ani dla siebie samego, ani dla drugich nie starał się o zdrowie: i nie przychodziło, a smutek coraz się zwiększał.

W takim opłakaném położeniu zastał go Ludwik, i piękny to był, godny serc polskich przykład, kiedy ci, którzy przed kilkoma miesiącami na życie swoje zobopólnie godzili, teraz ściskali się jak bracia: jeden przepraszał, drugi przebaczał, a raczej nie przebaczył, bo dobry Ludwik gniewać się nie umiał.

Starania jego a więcéj jeszcze wszystko co opowiadał Leonowi o Karolinie, w kilka dni pomyślną zrobiły w nim zmianę; a gdy téż przyszedł ów krótki, a tyle mówiący list od niej, zdało się, że ozdrowiał jakby cudem, że jest najszcześliwszym z ludzi. Były wprawdzie chwile, w których truchłał mimowolnie na myśl obaczenia żony: tak ją obraził... ale wtedy ufał tkliwości jéj serca, jéj cnocie, jak grzesznik ufa miłosierdziu Boga. I zobaczymy czy się zawiódł.

ROZDZIAŁ XIX.

Pięć listów Karoliny do matki.

I.

Z Paryża, 8 Września 1805 r. „Otóż najlepsze wiązanie składam dziś kochanej Mamie: szczęście moje. O! czemuż takiego podarku drogi Ojciec nie doczekał! Stałam tu przed godziną, mszy słuchałam w Liwry, na ostatniej stacyi. Kazałam jechać prosto do hotelu Leona: jechali wieki przez brudne, brzydkie ulice; aż się pytałam kilka razy czy nie zbłądzili, czy to Paryż? Nareszcie przed bramą wielkiego domu zobaczyłam Leona. Co to była za radość, jakie wzruszenie, ani mówić będę! Na pierwsze wejście zdało mi się że bardzo schudł i zmienił się; zdrów jednak zupełnie, piękną ma cerę, nawet rumieńce. Wsiadł zaraz do mojej karety i kazał jechać dalej; nie mogliśmy wiele mówić przy pocziwój Wroczyńskiej, ale serca nasze już się zrozumiały, patrzyliśmy na siebie, a jego oczy tak wiele mówią. Dopiero z Leonem zaczął się Paryż prawdziwy, ulice piękne, szerokie: zawiózł mnie jakby do raju. Pałac wspaniały, ubrany kwiatami, zwierciadłami, na przed-

mieściu św. Honorego, ze ślicznym ogrodem, który na Pola Elizejskie wychodzi. Dobry Kasztelanic czekał nas u drzwi; miałam wielką ochotę uściskać go jak brata, i powiedzieć mu pełno rzeczy, ale nie mogłam wymówić tylko jedno: *dziękuję!* które on wdzięcznie przyjął. Powiadają, że się mnie nie spodziewali aż za tydzień; jednak wyglądali mnie od wczoraj: trzy dni temu mój list tu doszedł. Teraz obadwa są przy rozpakowaniu rzeczy, lokują Wroczyńską, Marendowskiego, a ja prosiłam żeby mi wolno było napisać słówko... Ale otóż i Leon; mówi że bardzo długie słówko. Kończę więc całując ręce i nogi kochanej Mamy i polecając jego i siebie jej modlitwom i błogosławieństwom. Za parę dni napiszę obszernie, tak jak Mama lubi. Zdrowa jestem zupełnie, nawet nie bardzo zmęczona tą nagłą podróżą. Od Strassburga, z kąd do Mamy pisałam, aż do samego Paryża, najmniejszego nie miałam przypadku i czas piękny. Kareta warta orderu: nie zepsuła się ani razu. Wroczyńska i Marendowski zawsze nieoszacowani.

Przywiązana i szczęśliwa córka.“

Przypisek Leona. „Nie wiem czym godzien tego, ale ośmiela mnie nasza droga, nasza wspólnie kochana Karolina; dołączam więc wyrazy najgłębszego uszanowania i najżywszej wdzięczności jako

Prawdziwy sługa i syn.“

Przypisek Karoliny. „Wszak Mama się nie rozgniewa o ten dodatek? Do pana Wojewody napiszemy wnet oboje; teraz mu przesyłamy winną atencją.“

II.

Z Paryża, 29 Września 1805 r. „Odbieram w tój chwili list kochanej Mamy z dnia jėj imienin, i jak najserdeczniej rączki za niego całuję. Kiedyż odbiorę odpowiedź na list com w ten dzień pisała, i na dwa następujące, tak obszerne i zaufałe, a które, broń Boże, żeby kto inny czytał prócz Mamy*). Przykra to rzecz to oddalenie! kiedym ja tu zupełnie jak na innym świecie, tak kochana i szczęśliwa jak nawet marzyć nie umiałam, i codziem szczęśliwsza; Mama się tam jeszcze o mnie troska, i jeszcze o mężu nic nie wie, przypisku jego i późniejszego listu nie odebrała! Możeć dał Bóg, iż w tój chwili, już i kochana Mama radością swoich dzieci się cieszy, i Opatrzności dziękuje za nas. O! moja Mamo jedyna, cóż to za szczęście kochać, być kochaną, i nie tylko nie taić się ze swoją miłością, nie wstydzic się tój którą się wzbudza, ale owszem myśleć sobie, że owo wzajemne uczucie, owo szczęście jest świętą powinnością, jest cnotą. Dobroć Boska mogła jedynie już na tój ziemi takim dobrem obdarzyć człowieka. Mówiliśmy to właśnie dziś z mężem, i skończyło się na tém, że łyzy nappełniły nietylko moje oczy... Ale bo on tak czuje głęboko dawne błędy swoje, z taką pokorą uznaje się niegodnym szczęścia swego, niegodnym mnie... Naprózno mu wystawiam, jak mogę najwymowniej, różnicę panienki wychowanej cnotliwie i niewinnie a panicza puszczonego w świat; naprózno mu przypominam tegoroczną zimę i jaką być zaczęnałam: on temu wierzyć nie chce; a jeżeli przyzna że było może coś podobnego, mówi że i w tém jego wina nie moja. Straszę go że mnie popsuje; bo doprawdy, to coś więcej jak

*) Te dwa listy się nie znalazły.

miłość: w nieustanném jest zdziwieniu, zachwyceniu. . O! kochana Mamo, nie wszyscy rodzice zapewne tak córki chowają, jak mnie państwo wychowali. Mąż uspokoić się nad tćm nie może; jak gdyby za jakąś istotę oddzielną, wyższą mnie uważa; a to jego uczucie, i wszystko co sobie ztąd nadal dla jego prawdziwego dobra wrózę, komuż to winnam? Zdaje mi się tćż teraz, że drogą Mamę dziesięć razy więcej niż dawniej kocham i poważam, a kochanego Ojca jeszcze bardziej żałuję.

Dwudziestego tego miesiąca, jako w pół roku, kazałam tu odprawić żałobne nabożeństwo w kościele św. Filipa: byliśmy oboje z mężem. Od tego dnia lżejszą włożyłam żałobę. U siebie rano chodzę nawet w biele, mąż mnie o to bardzo prosił; choć powiada że mi do twarzy w czarném: ten kolor go zasmuca. Wszak Mama nie weźmie mi tego za złe, ani za ubliżenie pamięci Ojca? Mężowi nietylko można ale potrzeba się podobać, nawet ubiorem; Mama sama tego mnie uczyła, ja słuhać muszę; a on taki wdzięczny, tak się nie posiada z radości, kiedy ja w najmniejszej rzeczy dogodzę jego życzeniu... Jak tćż nam ciągle schodzą prędko i mile godziny na przypominaniu sobie dzień po dniu chwil upłynionych. „*A czy pamiętasz?*“ jest słówko, które bardzo często każde z nas wymawia, choć czasem, te przypomnienia nie są bez przykrości. Wczoraj na przykład rano, chodząc po naszym ogrodzie, wspomniałam niebacznie, że już szesnaście miesięcy minęło od dnia naszego ślubu; mąż porwał się za głowę i zawołał prawie z rozpaczą: „I ja zmarnowałem te szesnaście miesięcy przeznaczonych najwyższemu szczęściu, a kto wie...“ Nie dokończył swojej myśli: mnie aż dreszcz jakiś przeszedł. Największe moje staranie teraz tulić, łagodzić wymówki jego sumienia; i zdaje mi się, że najlepszy sposób uleczenia go, jest pozwolić mu się wygadać i mówić wszystko o sobie, choćby najgorsze. Już tćż wzajemnie nic w naszych sercach zakrytego nie ma; jestem

z nim śmiała jak z Mamą, ja wiem wszystko o nim i on wie wszystko o mnie. Jednych tylko moich notatek co nie zna, nie wzięłam ich z sobą; korci mnie to czasem, bo mnie ma za doskonałą a ja tak blizką byłam zupełnego upadku. Niech je tam Mama schowa do naszego drogiego kantorka. Mąż czytać je musi, niech mnie zna nietylko jaką jestem, ale jaką byłam. Bez tego zaufania zupełnego, nie rozumiem małżeństwa; mieć sekret przed mężem, przed tą istotą zupełnie od innych oddzielną i jedyną na całym świecie, przed drugim *mną*, anibym już teraz potrafiła; a co rozvodu, to ani pojmuję..

O! moja Mamo! cóżto za kobiéta, ta księżna Julia! Wszak teraz jest amantką publiczną księcia Hieronima i pojechała za nim do wojska; bo i cesarz wyjechał z Paryża, cztery dni temu i wojna z Austryą już pewna. Prawdziwa Opatrzność, żem przeleciała przez Niemcy przed deklaracją: byliby mnie gdzie zatrzymali. Kasztelanic pisał do nas drugi raz. Jest jako ochotnik przy marszałku Lannes. Już Mama wie zapewne z dawnych listów moich, żem raz jeden go widziała, w dzień mego przyjazdu do Paryża. Nazajutrz odebraliśmy od niego karteczkę, w której obok wyrazów życzliwych donosił nam, że idzie do wojska i natychmiast wyjeżdża. Ujął nas bardzo, a mnie tém więcej, iż tego dnia i następnych, jak Mama dobrze wie, nie miałam żadnej ochoty widzenia kogobądź, a tém bardziej jego. W zupełnej téż samotności czas nasz pędzimy i wybornie nam z tém obojgu. Paryż w tém dogodny, że choć natłok ludzi wszędzie, i jak gdyby ciągły jarmark czy odpust na każdej ulicy, można przecież nie widzieć nikogo. Zwiedziliśmy ogrody, jeździmy po okolicach które wcale piękne, chociaż ziemia i natura nie taka jak nasza, ani po dobieństwa; tu wsi nie ma, cała Francya, przynajmniej ta co ja widziałam, brukowana i murowana. Samego miasta

mało jeszcze znam: ogromne, wielkie, jak cztery Warszawy. Cesarza widziałam dwa razy od mego ostatniego listu: raz na paradzie, drugi raz kiedy jechał do senatu, gdzie oświadczył wojnę z Austryą. Zawsze mnie przejmuje widok jego: to człowiek nadzwyczajny. Paryż jakiś inny się wydaje od czasu jego wyjazdu. Wkrótce zaczniemy zwiedzać porządkiem wszelkie piękności i ciekawości, bo sam mąż powiada, że tu długo beczynnienie nie wysiedzi.

Chociaż był moment kiedym pragnęła Paryża jak zbawienia, i chociaż wcale się nie gniewam że go jeszcze w tym roku poznała, przecież ani mówić kochanej Mamie trzeba, z jaką radością wrócę do kraju. Pewna jestem, że mąż będzie zaraz zdrowszy i swobodniejszy; ma uparty kaszel, nie mocny, ale częsty który go męczy, a żadnego doktora radzić się nie chce; Mamaby go wnet uleczyła jakim kordyałkiem ze swojej apteki: wreszcie będąc u siebie, będzie czynny, będzie użyteczny, a tak sobie gorzko wymawia, iż dotąd marnował życie. Z jakim on też rozczuleniem mówi o Mamie i o kochanym Ojcu! prawdziwie, równie delikatnej duszy jeszcze nie widziałam; prawie nadto, bo się dręczy zbyt i szkodzi zdrowiu. Najmniejszego uchybienia swego czy mnie czy państwu nie zapomniał. Ile to on już razy odczytywał ów list pisany w dzień ślubu, wstydził się i przeproszał za każdy wyraz. Za list ostatni nie przeprosza; powiada że przykrzej jemu było pisać go niż mnie czytać: on mnie już kochał wtedy, on mnie kochał oddawna, i gdyby nie moje zajęcie się światem, bylibyśmy się porozumieli jeszcze w zapusty, i wszystko byłoby się inaczej obróciło... Ów pierścioneczek z niezapominajką, tak długo zapomniany gdzieś w szkatułce, teraz na szyi nosi, i powiada żeby go za żadne skarby świata nie oddał. Obrączki dopióro teraz zamieniliśmy jak się należy, bo dotąd on miał ze swoim imieniem a ja z moim, tak jak

nam je włożył kochany ksiądz Onufry. A czy nie wrócił jeszcze dobry wujaszek? wierzę, iż smutniej jeszcze Mamie bez niego.

Jak ja téż sobie darować tego nie mogę, że mi dotąd na myśl nie przyszło pytać się tu o wujaszka Gabryela i o Tadeuszka; ale w tych piérwszych chwilach nie widziałam doprawdy co się ze mną dzieje; do tego, jakoś zawsze nawykłam szukać ich myślą we Włoszech, a nie w Paryżu. Przecież sam mąż powiada, że tu wiadomość o nich powziąć można. Przeczytawszy list kochanej Mamy, zaraz chciał pisać do ministryum wojny; dowiadując się o korpus do którego należą: potém się namyślił i sam pojechał. Skoro się czego dowiemy, natychmiast doniosę, lubo to zapewne nie prędko nastąpi. Takie krocie tego francuzkiego wojska i tak rozstrzelone po wszystkich krajach! Ależ jakie piękne, jakie wesołe, jakie dzielne; wierzyć łatwo, że świat zawojuje, zwłaszcza pod takim wodzem. Męża nie ma na parę godzin, zabiorę się z Wroczyńską i z Marendowskim, i w sekrecie przed kucharzem francuzem przyrządzimy mu polskie śniadanie. Jak wróci będzie kontent, wczoraj mówił, że tęskni do polskich potraw. Czemuż tu drogiéj Mamy nie ma! dopiérobymy się krzątały razem i przypatrywały wielu rzeczom! Nie pojmuje jak można z Paryża same tylko mody, stroje i romanse wywozić, a wróciwszy do kraju, o samych tylko teatrach, kawach wiedzieć i gadać? Ileżto jest tu ciekawych, użytecznych, dobroczynnych zakładów; jak wszystko można widzieć z łatwością i bez kosztu, jak szpitale utrzymane, jak mało żebraków i pijanych po ulicach, co szkółek i domów dla ubóstwa, co w codzienném życiu wygódek, jaka w obchodzie domowym oszczędność, jak żadnej pracy się nie wstydzą. Ręczę Mamie, że tu u największych panów tyle na miesiąc nie wyjdzie opału, co u nas na dzień; taka osoba coby u nas

ze trzy sługi trzymała i do niczego by się nie ruszyła, tu sama gotuje, zamiata i jeszcze drugim usłuży; a jak pracę skończy, to i książkę weźmie do ręki, i ubierze się pięknie jak pani jaka. Przekonywam się coraz bardziej o prawdzie tego com już tu z ust bardzo rozsądnych słyszała: że ani o Francuzach sądzić nie można po tych co do nas przyjeżdżają dla chleba, ani też decydować o Paryżu po naszych elegantach i elegantkach, co tu jadą dla tonu.

My z mężem zakładamy sobie prawdziwie skorzystać z tutejszego pobytu: nie wiem czy jedno pudełko przywiozę strojów, ale wiem że różnych gospodarskich wynalazków, konceptów, tak do wsi jak do miasta nawieziemy całe furry. Najpiękniejsze mamy projekta i co do gospodarstwa wiejskiego, i co do ulepszenia losu włościan, i co do rządu domowego: to jest także przedmiot niewyczerpanej rozmowy. Raj prawdziwy będzie w Modrogórze, jak to ja dawniej sobie marzyłam... i lepiej jeszcze, bo takiego męża jak Leon, takiego kochania, takiego rozumienia się we wszystkim, nawet w snach moich wymarzyć nie mogłam. Niech tam kochana Mama poleca nas codziennie Bogu, bo mnie czasem aż strach bierze, żem nadto szczęśliwa.“

III.

Dnia 2 Października 1805. „Kochana Mamo! Wujaszek jest podobno w Paryżu. Mąż tyle się starał, tyle jeździł, że mu przysłano dziś na piśmie z ministerjum wiadomość: jako oficer polski podobnego, ale zdaje się przekreconego nazwiska, major z pierwszej pół brygady polskowłoskiej, która już trzeci rok temu jak weszła w etat armii francuskiej, przyjechał tu parę miesięcy temu, wysłany dla

obrachunków z rządem, i że jeszcze nie wyjechał. Mąż ruszył natychmiast dopytać się lepiej. Cóżby to było za szczególne i pomyślne zdarzenie! Nie uwierzę jednak aż zobaczę.“

Nazajutrz. „Prawda, zupełna prawda; nietylko wujaszek Gabryel tu jest ale i Tadeuszek. Mąż był u nich, nie zastał, zostawił swój bilet i adres, a ja jeszcze wczoraj wieczór napisałam słów kilka z usilną prośbą żeby do nas jak najprędzej przyjechali. To się dopiero zadziwią! Powiadano mężowi w tym hotelu: że wujaszek miał już dawno wracać do armii, lecz chorował: teraz zdrowy zupełnie i wnet wyjedzie. Prawdziwa Opatrzność żeśmy się nie zminęli.. mogliśmy się byli i spotkać i nie poznać. Jak też ciekawam ich widzieć, aż mi serce bije. Takbym chciała, żeby się podobali Leonowi. O! czemuż drogiej Mamy tu niema! Hezazy te słowa są mi w ustach i na myśli!“

4 Października. „Widziałam ich, zdrowi, przecudowni oba i prawdziwie chlubić się można takimi krewnemi! Jakżeśmy wiele o kochanej Mamie, o droгим Ojcu mówili! Wujaszek o niczem nie wiedział, aż zapłakał; i tak dziwne było widzieć łzy ciekące po tych ogromnych wąsach i bakenbardach: otarł je co żywo. Odmienił się bardzo, schudł jeszcze, opalił się, osiwił cokolwiek; przecież byłabym go zawsze poznała; co Tadeusza to nigdy, bo to już nie Tadeuszek. Wystaw sobie Mama: żołnierz zupełny, tego wzrostu co mąż ale mężniejszy, bardzo przystojny, twarz szlachetną, i doprawdy że uśmiechem drogą Mamę przypomina, tylko że smutny i mało mówiący, tak jak Mama teraz.. Jeszcze nie mogę pojąć że to oni, żem ich widziała. Mężowi niezmiernie się podobali, osobliwie wujaszek. Był u nas na obiedzie, potem siedzieliśmy do późnej nocy przy ponczyku, i nie ustała ani na moment rozmowa. Wujaszek bardzo mocno chorował na zgnilą gorączkę i powiada że to jeszcze zabytki z San-Domingo; ale też teraz kiedy takie dwie cho-

roby przebył szczęśliwie, obiecuje być zdrów na drugie lat pięćdziesiąt. Przyjechali tu byli oba, wysłaui od generała Dąbrowskiego jeszcze dla dawnych obrachunków legii. Są ile możności nierozdzielni, kochają się zupełnie tak, jak ja z Mamą. Już to widać familijne. Jutro mieli wyjeżdżać; dla naszej miłości parę dni zabawią, choć to wielka z ich strony ofiara. Pilno im do wojska, osobliwie Tadeuszowi, który jakiś niespokojny i radby widać ptakiem z Paryża wyleciał. Prześladowałam go, że to dla nas nie wieiki komplement; zarumienił się biedny chłopiec, aż mi go żal było. Wujaszek już nie jest szefem, ale majorem od czasu wzięcia Kapui, i ma krzyż honorowy oficerski.

Tadeusza taka historia: jeszcze w bitwie pod Kalwi, gdzie dowodził jenerał Kniaziewicz, został oficerem, potem pod Weroną, gdzie nasi cudów waleczności dokazywali i gdzie ich wielu zginęło, broniąc siedmdziesiątletniego Dąbrowskiego pułkownika, dostał pałaszem przez twarz. Dano mu téż za to stopień porucznika i krzyż; i doprawdy, że mu pięknie z tą krésą; zaraz poznać dzielnego żołnierza, co śmiało patrzy w oczy nieprzyjacielowi. Przy oblężeniu Peschier, obok szefa Chłopickiego, kapitaństwa się dosłużył; od tego czasu już nie postąpił wyżej, bo jak wujaszek sam mówił—nie wiem dla czego—wszystkiego mu się odecheiało. Chorował; potem téż wszystkim naszym źle iść zaczęło; legie rozwiązano; ich oddział popłynął do San-Domingo, oni z nim; a ztamtąd tylko cudem żywo uszli. Włosy na głowie powstają słuchając co oni wycierpieli; ci legioniści, tak źle nagrodzeni. Tadeusz uspokoić się nad tém nie może, aż mu się oczy iskrzą z gniewu; wujaszek z większą rezygnacją te rzeczy przyjmuje, i powiada: będzie wszystko dobrze, kiedy jest Napoleon. Uwielbia go i nie pozwala aby był i mógł być człowiek podobny jemu. Jakie nadzieje w nim pokładał... Dowiedziawszy się iż dziś wysyłam list do kochanej Mamy, powiedział: „Proszę napisać, że naj-

dalej w przyszłym roku powitamy panią siostrę w Warszawie.“ Przed wyjazdem z Paryża ma sam do Mamy napisać, lubo wyznaje że woli się spotkać z nieprzyjacielem jak z piórem. Tadeusz piśmienniejszy, bardzo dobrze ułożony i do rzeczy; głos ma śliczny: śpiewał nam ulubionego mazurka i różne bojowe pioski, których mnie nauczył. Po francuzku mówi wcale dobrze; co wujaszek to się wprawił dosyć gładko ale zupełnie źle, sam wie o tém; nie dba o to i dobrze robi: „Byle mnie żołnierz rozumiał, byle mi na kwaterze dano czego chcę, dosyć mi na tém“ — powiada. Poczciwy Tadeusz ma jeszcze ów medalik z Matką Boską, który kochana Mama mu dała na wyjezdne; włożył go w woreczek, z jakąś pamiątką której pokazać nie chciał, z ziemią polską, i zawsze na piersiach nosi. Wielu bardzo legionistów nosi takie woreczki; a jak który umiera, to prosi żeby mu w grobie powieki przykryć ojczystą ziemią... Ale jabym do wczoraj nie skończyła, gdybym chciała spisać choć połowę tego co oni nam nagadali... a jakie wszystko ciekawe rzeczy... zostawić to trzeba do szczęśliwej chwili widzenia się; a teraz co tchu list skończyć, żeby Mama kochana jak najprędzej się ucieszyła.“

IV.

Dnia 8 Października. „Pojechali onegdaj nasi rycerze, strasznie nam żal; i oni choć się tak spieszyli, przecież zamrucili się przy pożegnaniu; sam pan kapitan o mało co nie zapłakał, bo też Bóg jeden tylko wie, kiedy, jak i gdzie się obaczymy. Mąż aż prawie zdrowszy od tych kilku dni; obudzili w nim jakiegoś rycerskiego ducha i chwalebna zdrowość; i nie zakładałabym się o wiele, że go Mama lada dzień w mundurze zobaczy. Ale bo też mundur, krzyż, to coś

uroczego mają w sobie i mężowi byłoby ślicznie po woj-skowemu... Serce mi bije dziwnie na tę myśl: jest w niej i radość i trwoga. Prawda, na wojnie kule padają, aleć przecie nie wszyscy giną... w ilużto bitwach był Tadeusz, a zdrów jak ryba... Kocham męża więcej nad życie, jednak zdaje mi się, gdyby był żołnierzem, gdyby się okrył sławą, kochałabym go jeszcze lepiej... Bóg tém wszystkiém roz-rządzi według swojej woli. To pewna, że mąż zechce ko-niecznie być czynnym; jakże on ubolewa nad pierwszym a tak długim pobytem swoim za granicą, z którego nic ani jemu, ani nikomu nie przyszło. Ja go pocieszam, boć przecie nic jeszcze straconego niéma, a w dwudziestym piątym roku, świat spodziewam się, stoi otworem, i jest czasu dosyć. Ale on niecierpliwy, radby już dziś co użyte-cznego rozpoczął, każdej chwili mu żal. A jeszcze wujaszek przed wyjazdem zapoznał go z różnemi osobami znakomi-temi.

Mąż teraz codziennie u nich bywa, i dowiaduje się tych rzeczy, jakich w żadnych książkach nie znajdzie. A i książek nie zaniedbuje, już mamy nie mały zbiór, pol-skich jest kilka, ale więcej daleko francuzkich o Polsce. Układając je dziś w swoim pokoju mówił mi właśnie z ża-lem: „Teraz dopiero widzę, że mnie uczono wszystkiego, prócz tego co potrzebne i że w istocie nic nie umiem.“ Zaczęliśmy wczoraj czytać dzieło o ostatnich czasach bar-dzo zajmujące, przez Francuza Ruliera napisane; szkoda że nie po polsku, byłaby korzyść dwojaka. Nie uwierzy jednak Mama, jak już mężowi zaczyna być łatwo mówić po polsku, wnet za niecha zupełnie francuzczyzny; i sam przyznaje że to pocieszenie używać między sobą obcego języka. Ja mu zawsze mówię, że każde jego czułe słówko, dwa razy mi miłsze, kiedy po polsku. Jeszcze przy wujaszku odebrałam list kochanej Mamy z 18 Września. Musiało tam być nie dobrze ze zdrowiem, kiedy w nim są te słowa: „Pomy-

ślne wiadomości o was, dzieci moje, uzdrowiły mnie.“ Jeżeli mam cokolwiek łaski, niech Mama zawsze szczerze o sobie pisze; inaczej, zawsze będę niespokojna. Pan Wojewoda miałby tedy wielką ochotę przyjechać tu do nas? niech próżno się nie wybiera, bo nas nie zastanie; my już bardzo zamyślamy o wyjeździe, tylko mąż chce żebym wszystko poznała co jest ciekawego, bo mi wcześniej zapowiada, że z jakie dziesięć lat nie ruszy się z Polski. Biedna Szambelanowa! osobliwa, niepojęta osoba! i co ona cierpiała do mnie, co jej przyszło z tych wszystkich intryg? Kasztelanie dziwnych rzeczy nagadał o niej mężowi; trudno uwierzyć wszystkiemu a nawet zrozumieć. Była tam złość, zazdrość, był nawet jakiś zakład, jakiś szal. Niech jej Bóg nie pamięta i tak odpuści jak ja odpuszczam. Już ona dosyć nie-szczęśliwa kiedy zła; co to musi być za męka, mieć piekło w sobie!

Nasz ksiądz Onufry przecie wrócił i zdrów; cieszę się dla kochanej Mamy. Niech nas też nie zapomina przy Mszy Świętej; przywieziemy mu piękny obraz do jego ołtarza. Są tu dwaj młodzi malarze Polacy, mąż kazał im kopjować kilka rzeczy w galeryach tutejszych; jest w tej liczbie jeden obraz kochanej Mamie przeznaczony a reszta do Modrogórskiego kościoła. Każde z nas będzie miało swego świętego, jest oczywiście i Ś. Marcin. Malowania na płótnie przewieźć bardzo łatwo, łatwiej daleko jak stroik damski: kopie nie kosztują drogo; a prawdziwie nie godzi się, żeby panowie mieli w pałacach swoich pyszne i przepłacane obrazy a w domu Bożym takie były bohomy, jak prawie wszędzie po kościołach naszych. Jednakże mąż nabył dla mnie maleńką Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, z Rafaela, przesliczną; ta już na zawsze przy moim łóżku zostanie; modłę się przed Nią codziennie, i wstyd mi powiedzieć nawet Mamie o co Ją proszę... Mama pewno zgadnie.“

V.

Dnia 22 Października 1805 r. „Chociaż przed pięciami dniami pisałam do kochanej Mamy *) , piszę dziś niespodzianie, bo też i z niespodzianą nowiną. Czy Mama uwierzy memu szczęściu, zdaje się po wszystkiém żem przy nadziei. Matka Boska wysłuchała prośb moich, uprosiła mi dziecię u Dzieciątka swego... Wroczyńska mi to już od dwóch tygodni mówi, ale ja wierzyć nie chciałam; dopiero wczoraj wieczór zapewnił nas o tém pan Markowski, doktor cesarzowej Józefiny, bardzo zacny i poważny człowiek, którego mąż wezwał, bo niespokojny był o jakieś dziwne mdłości co mnie czasami napadają. Doprawdy, aż mnie radość dusi, jak sobie pomyślę, że dziecię moje własne mieć będę. Mąż uszczęśliwiony nadzieją syna, przecież nie tyle co ja; turbuje się że cierpię, i jeszcze więcej cierpieć będę: turbuje się, że jak będę miała małego Leonka, dużego kochać przestane. Ja mu powiadam że owszem miłość nasza się powiększy, bo jakież może być silniejszy węzeł między małżeństwem jak dziecię, dziecię które będzie razem i jego i moje, i nim i mną, które jest dowodem błogosławieństwa Boskiego nad nami! O! gdyby tylko Bóg pozwolił szczęśliwie go donosić i urodzić!... Jakżeby rada więcej niż kiedy być teraz z kochaną Mamą, radzić jój się w każdój rzeczy; to taka wielka odpowiedzialność być matką: kobiéta w tym stanie tyle szanowna, a tak się ochraniać powinna... O! kochana, droga Mamo, jakże mi żal w téj chwili, tych kobiet, dla których takie niepojęte szczęście jest wstydem i hańbą... Może jeszcze przed złemi drogami wyjedziemy z Paryża, a około Nowego roku będziemy w Warszawie. Żeby tylko mężowi ten kaszel ustał, to mój kłopot jedyny; gdyby też nie to, byłabym nadto szczęśliwa... O Boże! jakżeby drogi Ojciec kontent był z wnuka?“

*) Ten list także zaginął.

ROZDZIAŁ XX.

Zakończenie.

I nie wiem, doprawdy, po co już ten rozdział? podobno-
by najlepiej było na tych kilku listach Karoliny zakończyć
jój historiją, ile że wszystkie, jakie później do matki pisała,
gdzieś się zarzuciły. Ktoby nawet zaspokojony był temi
listami, kto lubi zwykle zakończenie dawnych romansów:
„Pobrawszy się nareszcie, żyli w długie lata w doskonałym
szczęściu“ ten niech tego rozdziału nie czyta, bo w mojej
powieści jak na świecie, szczęście rzadkim jest gościem, i nie
bawi długo: jedna kartka, jeden dzień dalej i już go niema.

Karoliny pomyślność wkrótce się zmieniła i w kilku
słowach dalsze jój życie opowiemy. Od podróży litewskiej
a może jeszcze od dwóch lat we Włoszech przebytych,
Leon nosił w sobie zaród owój okropnej choroby, w której
młodość zamiast być nadzieją, wyleczenia, jest zadatkiem
rychlejszej śmierci. Szczęście już go uleczyć nie potrafiło.
Owszem, kto wie, czy ów nawał uczuć nowych, owo upoko-
rzenie jakiego doznawał widząc się szczęśliwym i kochanym
nad zasługi, wreszcie wyrzuty sumienia coraz silniejsze im
więcej dusza jego się rozwijała, kto wie mówię, czy to

wszystko złączone, nie rozwinęło w nim prędkiej płucowej choroby. Czas jakiś tał swoje cierpienia, a raczej jak bywa w tej słabości, nie znał ich niebezpieczeństwa i myślał że to minie, jak dawniej mijało. Ale jego cierpienia nie mogły długo ująć oka żony, dostrzegła ich i przymusiła go, żeby się leczył wzywając prócz doktora Markowskiego, innych najslawniejszych lekarzy paryzkich. Bóg oszczędzając jęj, nie dopuścił do razu ostatecznej trwogi do jęj serca; długo i ona choć bardzo niespokojna łudziła się przecież, i myślała, że niebawem mąż zdrowie odzyska. Przecież o powrocie do kraju wśród zimy wnet myśleć zaprzestali, i odłożyli go wraz z powrotem Leona do zdrowia, do wiosny.

Tymczasem wiosna przysła i śmierć przyniosła.

W środku Marca stan Leona zaczął się nagle pogorszać, kaszel prawie ciągły, brak tchu, gorączka nieustająca, wszystko zwiastowało pewny a nawet blizki koniec. Doktor Markowski, człowiek znany z rzadkiej dobroci serca, miał sobie za obowiązek powiedzieć to jaknajostroźniej Karolinie, ile że nikogo z krewnych, ani z bliższych przyjaciół nie było. Już od jakiegoś czasu ściagała niebogę myśl okropna niebezpieczeństwa męża, za każdym obudzeniem się w nocy, za najmniejszą rzeczą w dzień, napadała na nią; ale ona w duszy jęj nie wierzyła, a raczej wierzyć nie chciała; modliła się żarliwie o jęj odwrócenie, wymawiała ją sobie prawie jak grzech, bo wiedziała ile trwogą podobną szkodzić może dziecięciu, które już od dwóch miesięcy dawało znaki życia w jęj łonie. Któż wypowie co się w niej działo, kiedy usłyszała nieodwołalny wyrok. Doktor a raczej przyjaciel, przypomniał jęj powinności matki, święty obowiązek czuwania już nie nad swoim zdrowiem i życiem, ale nad zdrowiem i życiem dziecięcia. Karolina uznała rzetelność tych słów, świętość tego obowiązku, sama jednak przez siebie wypełnićby ich nie mogła; wzywała pomocy Boga,

i On ją wsparł łaską swoją. Nie tylko zniosła myśl śmierci Leona, myśl śmierci szczęścia swego, ale nawet jako żona Chrześcijanka potrafiła zwolna oswoić, pogodzić męża z tą myślą, męża, któremu religijne uczucia były prawie obce, który całą mocą człowieka nie chciał umierać od niej, od syna, od sławy, który dopiero chciał zacząć żyć....

Leon zgasł na rękę Karoliny w pierwszych dniach Kwietnia, pełen pokory i poddania się woli Najwyższego, i zupełnie na tę wielką podróż przygotowany. W świątobliwym zgonie męża, żona znalazła moc życia. Od téj chwili jedyném stało się jój pragnieniem, matkę, kraj obaczyć; tam pogrzebać ciało męża, tam dziecię urodzić. Jakkolwiek w jój stanie długa podróż niebezpieczną być mogła, przecież sam lekarz osądził, że sprzeciwiać jój się byłoby jeszcze gorzej; gdyż w tak ciężkiem znartwieniu rozrywka z musu, jedynie może przerywać chwilami ciąg zawsze jednéj a straszliwéj myśli, i chronić od wielkiéj szkody na zdrowiu. W téj saméj karecie, co już w tyłu odmienionych razach jój służyła, odbyła zwolna tę smutną podróż z poczciwą Wroczyńską, która w całym tym przeciągu czasu największe przywiązania swego dawały dowody. Marendowski pojechał był pierwój z zabalsamowaném ciałem Leona, i zawiózł je prosto do Modrogóry. Karolina pojechała najpierwój do Warszawy, do matki. Któżby się odważył chcieć opisać w słowach ich żałobne powitanie! i między niemi słów prawie nie było: łzy, uściski, westchnienia, taka była ich rozmowa.

Nad wszelkie spodziewanie, Karolina w połowie Czerwca powiła szczęśliwie zdrowego syna i nazwała go imieniem męża. Mały Leonek powiększył może jeszcze, jeśli to być mogło, żal jój głęboki; bo jeśli ma być szczęściem niepojętém urodzić dziecię, jakaż to musi być boleść urodzić sierotę! lecz syn udzielił jój sercu nowéj, niewysłowionéj radości i nappełnił jój życie. Karmiła go sama. Dzięki

tęj świętej a tak zaniedbanej powinności, w której dokładnym wypełnieniu doktorowie założyli nawet sposób jedyny ocalenia dziecięcia od wszelkiego wpływu ojcowskiej choroby, dzięki tej koniecznej potrzebie czuwania nad własnym zdrowiem, zachowania miary w zmartwieniu, Karolina przetrwała pierwsze półtora roku swego nieszczęścia, a czując go zawsze z równą mocą, oswoiła się z niem i zgodziła. Jęj boleść przeszła w powinność, w cnotę, zamieniła się w smutek głęboki, trwały a łagodny. Nie znieawidziła życia, nie znieawidziła ludzi; owszem żyła chętnie i spokojnie; czułość dla drugich wzmogła się w jęj sercu i każda niedola bliźniego stała się jakby siostrą ukochaną jęj niedoli: każde cudze szczęście było balsamem na jej cierpienie. Wszelkie cnoty, jakich miała zarody, rozwinęły się dzielnie w jęj duszy. Nie robiła żadnych uroczystych ślubów zachowania wiary mężowi, nie wyrzekała się świata żadną przysięgą, do myśli jęj to nawet nie przyszło; ale poznać mógł każdy z jęj obejścia i całego postępowania, że z światem i z zabawami jego rozbrat uczyniła, że nigdy drugiego męża mieć nie będzie, że pójdzie śladem wdów świętych. Bóg powołał pierwój do siebie tego co jęj dał za towarzysza, na tęj ziemi chwil tylko kilka przeżyć im z sobą dozwolił, ale ona później czy prędzej złączy się z nim, i wieczność ich będzie! Osiadła na zawsze w Modrogórze wraz z matką, i zagarnęły obiedwie sercem całym liczne obowiązki, jakie Bóg im poruczył.

Już Cześnikowa przez czas pobytu córki i zięcia za granicą, z pomocą Stolnika zaprowadziła była różne zbawienne odmiany w ich domu i majątku, ale zostawało jeszcze wiele do roboty. Bolejąc ciągle nad wspólném wdowieństwem, matka i córka urządziły przecieź dobrze wszystko, lubo nie bez pracy i kłopotów. Zaniechano budowania nowego skrzydła pałacu, który aż nadto obejmował pokoi, a przyrządzonym materiałem przerobiono go w sposób

że znowu wygodny i mieszkalny zimą i latem się zrobił. Dwór złożony został z samych Polaków. Dawni dworscy zdadni do służby wrócili, starzy poszli na łaskawy chleb. Jacenty i Zaperkowska pomarli wkrótce jedno po drugim; Wroczyńska, a raczej pani Marendowska objęła ich miejsce wraz z mężem. Pałac warszawski wynajęto, ale sprzęty wszystkie wróciły do Modrogóry, i ustawiła je Karolina ile możności tak jak stały dawniej; swoje pokoje zachowała, Leona został jak był niegdyś; ozdoby tylko ścian, komina i buirka w gabinecie znikły, a zastąpiły je inne rysunki męża i pamiątki krótkiego ich pożycia. Po urządzeniu domu i gospodarstwa, lud wiejski klucza Modrogórskiego zwrócił uwagę dziedziczki i jej matki. Wiedziały one obie, że pierwszym a najłatwiejszym dobrodziejstwem dla chłopków naszych jest poprawa ich moralności; wiedziały także, iż do tej pracy najdzielniejszym narzędziem jest oświata, a pomoc najlepsza w pasterzu. Probstwo Modrogórskie bardzo znaczne, należało do wysokiego prałata, który dwa lub trzy razy do roku ze stolicy tam zjeżdżał, a zresztą trzymał Wikarego, i odmieniał go skoro się okazało, że źle gospodaruje. Odbierać prebendy nie było można; ale stanął układ. Prałat puścił niby w dzierżawę probstwo dziedzicze; ona obowiązała się płacić mu parę tysięcy więcej niż miewał za rządów najlepszego Wikarego, ale za to już ona sama takowego dobierać miała prawo, i był nim ksiądz Onufry, za pozwoleniem starszych swoich. Wnet szkoły zaprowadzone zostały po wszystkich wioskach, Szare Siostry do pilnowania chorych i do uczenia dziewcząt, nagrody za porządne płoty, za każde drzewo posadzone koło chaty i inne użyteczne zakłady i zwyczaje. Wnet w samym pałacu owa piękna biała sala przeistoczyła się w szkołę dla chłopców, i mały Leon pod okiem nauczyciela Polaka, którego wcześniej dobrała mu matka, tam na jednej ławce, z synami dworskich i chłopów, brał początki pierwszych

nauk i uczył się poznawać z blizka tych, którym w późniejszym wieku miał być i ojcem i bratem.

Zaszły też w kraju wielkie zmiany i wypadki. Karolinę cieszyło żywo każde pomyślne zdarzenie; ale oraz za każdym powstawał w jej sercu nowy żal, że mąż nie jest w liczbie walecznych obrońców, żal który koła jedynie myślą, że syn kiedyś wypłaci się za ojca. Przybył też bratanek Tadeusz z wujem Gabryelem; weszli oba w wyższych stopniach w szeregi wojska polskiego. W krótkich chwilach wypoczynku, jakich wtedy Napoleon dopuszczał Europie, przebywali w Modrogórze i Tadeusz okazał wkrótce niezmyśloną ochotę dopomnieć się o dawne prawa swoje. Cześnikowa nie zachęcała go, ani namawiała córki; a chociaż była zawsze przeciw powtórnym małżeństwom, przecież na ten raz wstrzymać się nie mogła od życzenia dobrze synowi ukochanego brata, od chęci spełnienia dawnego zamiaru, którego odstąpieniu przypisywała słusznie tyle nieszczęść.

Ale Karolina odrazu wszelką nadzieję mu odjęła; już rokiem piérwój to samo spotkało było Kasztelanica, któremu i piękny mundur i czapka ze słońcem nic nie pomogły. Dwa lata z górą Tadeusz nie postał w Modrogórze. On kochał szczerze siostrę cioteczną. Ona miała lat dziesięć, kiedy on szesnastoletni z ojcem za granicę się wykradł; ona nie wiedziała o niczém, ale jemu ojciec i ciotka nie taili, że jeżeli dobrze sprawić się będzie i wyższego stopnia się dosłuży, Karolina będzie jego żoną. Od najpiérwszój tedy młodości ona była celem jego myśli, bodźcem do cnoty i do sławy; promień to jej złotych włosów nosił na pierśsiach z świętym obrazkiem i z ziemią ojczystą; a kiedy w roku 1801 doszła go wiadomość o ułożoném zameżciu Karoliny z Leonem i ojciec uwolnił pana szwagra i panią siostrę od danój synowi obietnicy, on ten zawód mocno odchorował, i od téj pory sława nawet, i wszelkie i inne

nadzieje przestały być mu tak drogie i pożądane jak piérwéj.

W Paryżu nie było mu wcale miło, kiedy zobaczył Karolinę tak piękną i nadobną, a żoną innego; i jakkolwiek dobre miał serce i Leon mu się podobał, nie można powiedzieć, żeby bardzo żałował przybranego kuzyna; wychodząc zawsze zdrowo z częstych bitew w których siebie nie ochraniał, mimowolnie powtarzał sobie: „Śmierć i żona od Boga przeznaczona.“ Bolesnie tedy uczuł owo powtórne zniszczenie tyle ulubionéj nadziei. Ależ mało jest takich żalów, którychby czas nie leczył. Kiedy więc wrócił z ostatniéj Saskiéj kampanii, i razem z ojcem bronió swoję złożył na trumnie księcia Józefa, pojechał do Modrogóry; a po serdeczném przywitaniu, po uściskaniu kilkakrotném ośmioletniego Leonka, mógł już rozmawiać z Karoliną jak z siostrą, i nie rozgniewał się ani na nią, ani na ciotkę, kiedy się oświadczyły z chęcią swatania go. Jakoż w niedługim czasie wyswatały go z zadaną panną z sąsiedztwa, a ponieważ poddani dóbr Podolskich nie wyszli wcale Karolinie z pamięci, i Konkiewicz lubo poczciwy i zdatny, w téj mierze nie dogadzał jéj chęciom, bratu wypuściła Miodoborce, poprawę losu chłopstwa za piérszy warunek mu dając. W lat szesnaście potém, w ostatnich dniach Listopada, właśnie zebrane były obie rodziny w Modrogórze, na zaręczyny młodego dziedzica, który doszedł szczęśliwie lat meżkich, chlubą był i pociechą matki, z miłą Marynią, córką Tadeusza; już sędziwa ale zawsze żwawa Cześnikowa cieszyła się, że przynajmniej wnukom pobłogosławi. We dwa lata późniéj, nastąpił ślub.

Chciałam na tém skończyć, kiedy mi przyszło na myśl iż o kilku jeszcze osobach wspomnieć wypada.

Pan Wojewoda już od lat dwudziestu nie żyje. Kiedy Leon śmiertelnie chorował, on bądź z niespokojności o niego, bądź téż przeczuwając że na gwałtowne a nietrwałe

zmiany w kraju się zanosi, wybrał się do Paryża, i trafił właśnie na sam zgon syna. Opisaćby niepodobna męczarni jakie wycierpiał przez trzy dni dogorywania Leona, i ciężkich wyrzutów jakie sobie czynił. Otrzymałszy od synowej zaręczenie, że gdziekolwiek mieszkanie obierze, ona mu wypłacać będzie umówioną jeszcze za życia Cześnika kwotę, wkrótce po jej odjeździe, pod pozorem zdrowia pojechał do Włoch, i już go nigdy Polska nie ujrzała. Nie wiele na tém straciła. Szkoda tylko było pieniędzy polskich, które mu Karolina przysyłała zawsze z góry, a które mu nigdy nie wystarczały. Zakończył życie we Florencyi, w przykrój i przedwczesnej starości. Opanowała go jakaś kobieta, oszukiwała go i dokuczała mu pewno sowiec za te wszystkie co on niegdyś uwiódł, i za wszystko złe co zrobił.

Piękna Julia przez różne przeszła koleje. Puściwszy raz cugle namiętnościom, przez lat dziesięć czyniła co jej się podobało, wszystkiego sobie pozwalając. Po księciu Hieronimie który ją wnet porzucił, nastąpił jakiś generał, po generale adjutant; a tak z latami coraz niżej zstępując, mówiono iż skończyła—wstyd mi powiedzieć na kim—lecz podobno nie jeden odgadnie. Krążyła nawet wieść po Litwie, że gdy mąż umarł (który ani rozwodzić się, ani widzieć jej nie chciał, tylko wiosek parę w dożywocie jej wypuścił), poszła za wiernego sługę. Lubo o tém mówiono ze zgrozą, przecież ze wszystkich grzechów jakich się dopuściła, ten byłby zapewne najmniejszy. Atoli zdaje się że ślubu nie zaszło, bo razu jednego Julia będąc w kościołku Najświętszej Panny Ostobramskiej w Wilnie, nagle łaską nieba oświeconą została; jakby kto zasłonę zrzucił z jej oczów, postrzegła nikczemność swoich postępów: serce jej zmieniło się; przejęta gorliwą skruchą, zaraz nazajutrz wstąpiła do mniszek surowej bardzo reguły, i tam w ostrój pokucie i w wielkiem nabożeństwie żyje podobno dotąd. Szanowną jej świekrę nie doszły szczęściem żadne przykre wieści o sy-

nowej; kiedy Julia w najlepsze szalała w Paryżu, sędziwa matrona po krótkiej słabości oddała spokojnie ducha Bogu, błogosławiąc ję i nieobecnemu synowi. Wnukami zajęła się ciotka niezamężna.

Szambelanowa zaś, umarła nie doczekawszy starości. Okropne miała lata ostatnie. Owa choroba żółciowa zdjęła z niej całą pozłotę, za pomocą której uchodziły dotychczas jako-tako w świecie i uroda ję i charakter. Wywiędła, cierpiąca, rozjątrzona, już żadną sztuką nie potrafiła zasłonić szpetności ciała swego i duszy, i mamie ludzi. Zrobiła się straszną i nieznośną. Stronili od niej wszyscy, a ją nicnawisć i zazdrość toczyły i gryzły jak robak; łza nigdy nie zwilżyła ję zapadłych oczów, i chyba wieść o nieszczęściu lub o upadku wyższych od niej, i dotąd szczęśliwych sprowadzała leniwy uśmiech na ję blade usta.

Dobry Kasztelanie żyje zdrów; dziś wysokim tytułem wojskowym go mianują, na który zasłużył jeźli nie talentem, to odwagą i walecznością. Nie ożenił się, i zawsze wspomina anielską panią Karolinę. Może nawet ję podobieństwa ciągle upatruje, bo ubiega się jeszcze za pięknymi twarzyczkami. Trzy rzeczy go cieszą: kiedy mu ładna kobięta powie, że nie wydaje lat czterdziestu; kiedy zasłysz o wojnie, i kiedy ma się częm podzielić z rodakiem w potrzebie.

PRZYPISY.

Str. 14. *Spadać z ambony.* Jest to sposób mówienia używany powszechnie, przynajmniej w Warszawie; stosuje się do tego, że ksiądz zwykle z ambony czyta zapowiedzi.

Str. 23. *Proszek od alteracyi.* Nasze babki i matki miały w apteczkach domowych lekarstwa na różne przypadki. Pamiętam sama szanowną Kasztelanową, która zawsze nosiła w kieszeni proszki nie tylko od alteracyi, ale od podźwigania się, i karmiła niemi wnuka, co się przy niej chował.

Str. 29. *Jeżeli nie książę, to hrabia.* Nie chcę ja tu bynajmniej ubliżać tym panom polskim, którzy jeszcze od czasów Rzeczypospolitej mają prawo do tego tytułu, ale wyznaję że nie wzbudzają we mnie uszanowania później nabyte; a w dowód jak przywłaszczanie sobie tego tytułu jest od zeszłego wieku słabością narodową, odsyłam do kalendarzyka francuzkiego na rok 1784, gdzie autor Polak dowodzi: iż każdy starosta jest hrabią, grafem; gdyż graf pochodzi od *grau*, stary, toż i starosta; a w końcu tak mówi: „*Ce point justifie un peu les Polonais du reproche que leur font les étrangers de se donner tous le titre de Comtes.*“

Str. 29. *Może i zalotna.* Ostrzegam, *zalotna* biorę zawsze za to co po francuzku *galante*, i zdaje mi się że takie jest rzetelne znaczenie tego wyrazu, choć niektórzy widzą w nim to samo co *wabna*, jak np. szanowny autor Pamiętników o królowej Barbarze.

Str. 30. *Handle i opifcicia mechanica.* Słowa wyjęte z Konstytucyi naszych o dowodzeniu szlachectwa z roku 1633 i 1677.

Str. 37. *Gdy naród swój reprezentowali.* Któż nie czytał w historii *de Thou* w pamiętnikach pani *de Motteville*, podziwienia jakie polscy panowie wzbudzali na dworze Karola IX i Ludwika XIII. Któż nie wie jak uważani byli Ossolińscy w Rzymie, Działyńscy w Londynie i t. p.

Str. 37. *Skoro je mitra zdobiła.* Julia z Chodkiewiczów, księżna Lubomirska, słynna z urody, gilotynowaną była w Paryżu. Zażyłość

z królową Maryą Antoniną i korespondencye zagraniczne stały się powodem do oskarżenia jęj i skazania na śmierć.

Str. 44. *Szarmantek Warszawskich*. Za panowania Stanisława Augusta, wielki świat Warszawski, może nad wszystkie ówczesne jaśniał pięknnością i wabnością kobiet. Dzielono je przecież na klasy; najurodziwsze i najbieglejsze a zatem najwięcej wielbicieli mające zwały się *szarmantki*; mniej piękne i mniej szczęśliwe: *elegantki*, a jeszcze mniej *aspirantki*. Mężczyzn kwalifikujących się do odpowiednich kategorii zwano *seduktorami*, *szarmantami*, *elegantami*. Można wymienić imiona i nazwiska niemal wszystkich osób płci obojż, noszących niegdys te obce językowi naszemu i obyczajom przydomki, ale może lepiej przemilczć.

Str. 105. *Księża Pawła Brzostowskiego*. Ten prawdziwie chrześciański i praktyczny filantrop urodził się w Mosarzu, w Województwie Wileńskim 1736 r. Idąc w ślady stryja swego, wileńskiego biskupa, w młodym wieku został księdzem i wkrótce proboszczem w własnym majątku, w Pawłowie, w powiecie Oszmiańskim. Los włościan szczególnym był myśli jego i zatrudnień celem. Zaczął od ustanowienia dla nich szkółki, za pomocą której starał się zaszczerpić i rozkrzewiać w ich umysłach bogobojność, cnotę i miłość ojczyzny. Zabezpieczywszy im oświecenie, nadał im wolność, rozdał dworskie grunta, gospodarstwo ich wzorowo urządził, lekarzy w gminach osadził, a ze zdolnych do dźwigania broni, milicyą uorganizował. Dla rozsądzenia spraw włościańskich ustanowił sądownictwo. Nie zaniechał i zabaw. W Niedzielę, po nabożeństwie i po odbytem wojskowym ćwiczeniu, przyzwyczał chłopków do uczciwej wesołości, do tańców przyzwoitych. Znani byli Pawłowianie ze zręcznego robienia bronią i z składnie wykonanych mazurów i krakowiaków. W roku 1795 ksiądz Brzostowski sprzedał Pawłów pod warunkami los włościan zapewniającemi, i udał się do Drezna, ztamtąd do Włoch lecz niedługo tęsknota zniewoliła go do powrotu: pozbawiony prawie wszelkich dochodów swoich, skutkiem różnych przygód, lat kilka mieszkał w domu pani Krakowskiej, to w Warszawie, to w Białym-Stoku. Po jej śmierci, chcąc jeszcze ze swemi Pawłowianami się połączyć, wyjednał sobie plebanją w samym Pawłowie; ze skromnego domku patrzył na pałac, dawniejsze swoje mieszkanie, ale go nie żałował, bo jeszcze był ukochanym włościanom użyteczny. Ku schyłkowi życia, na usilne żądanie duchowieństwa przeniósł się do Wilna, gdzie opatrzony kanonią i wygodnem mieszkaniem niedaleko miasta, zgasł w roku 1827, 94 lat wieku doczekawszy.

Str. 111. *Fod Blachą*. Wiadomo, że tak zwano mieszkanie księcia Józefa Poniatowskiego, obok zamku królewskiego.

Str. 122. *Pani Campan*. Dawna lektorka Maryi Antoniny, po rewolucyi założyła pensyą pańien, naprzód w St. Germain, potem w Paryżu, która wkrótce bardzo się wstawiła; pasierbica i siostry Napoleona tam się chowały, mieszała też i z Polski wychowanki.

Str. 123. *Pani Zamoyskiej*. Zofia z książąt Czartoryskich, Ordynatowa Zamoyska, której zgon niedawny długo jeszcze będzie bolesny i niepowetowany. W czasie o jakim tu mowa, w samym kwiecie wieku będąc, słynęła w kraju i za granicą z nadzwyczajnej urody i wdzięków, ale wnet dowiodła, że u niej, rzadkiem zjawiskiem, piękność duszy przechodziła piękność ciała; a dziś odgłos jej cnót niewieścich i chrześcijańskich, jej dobroczynności, zasług obywatelskich przeszedł daleko odgłos uroczych powabów, i został jej obraz we wszystkich sercach, już nie jak *dogini* ale jak anioła. Ci wszyscy, którzy przy jej śmierci byli, mówią o niej z uwielbieniem. Z nadludzkiem mężstwem znosiła długie i srogie bóle, a w ostatnich dniach tak widocznie dążyła do nieba, że osoby najwięcej ją kochające nie śmiały życzyć przedłużenia jej życia, nie chcąc spóźnić jej szczęścia.

Str. 124. *Kolacye na Faworach*. Inaczej zwane rajskie: opisywać ich nie godzi się.

Str. 143. *Którego depcze Boska Dziewica*. „Gdy za czasów Augusta II-go przez traktat Karłowiecki, Turcy wracali Kamieniec Polakom, warowano iżby księżyc z meczetu nie zrzucić; pobożny wymysł dogodził ich żądaniu stawiając na księżycu wyrobioną z miedzi figurę Najświętszej Panny.“ Świątki II, 96.

Str. 148. *Nauczyla się wnet języka owych dzieci*. Zdarzyło mi się słyszeć nieraz, jak dziedziczki ze stron gdzie chłopstwo nasze mówi po rusku, liczyły do nieprzyjemności krajowych i do przyczyn dla których niepodobna coś dobrego zrobić dla włościan, niezrozumiały język ich. Dziwiło mię to a nawet gorszyło; bo dla Polek, co po kilka obcych i trudnych języków umieją, dyalekt słowiański powinien być bardzo łatwy, byle tylko chęć była. Nie wiem zaś co przed ojczyzną, a nawet kiedyś przed Bogiem poczytano będzie za większą zasługę: czy rozumieć i czytać Byrona, Aryosta, Götego, Lamartina w ich rodowitej mowie; czy nieść ulgę i oświatę chłopkom oddanym nam przez Opatrzność w opiekę, być matką tylu opuszczonych sierot.

Str. 154 *Pan Marchocki z córka*. Do liczby oryginałów, jakich w naszej szlacheckiej Polsce jest Bogu dzięki jeszcze dosyć, policzyć należy p. Marchockiego, zmarłego niezbyt dawno. Posiadał on pod Kamieńcem Podolskim znaczne dobra, Mińkowce, odgraniczył je od sąsiednich, a na słupach czytałeś napis: „Granica Państwa Mińkowieckiego“ bo Marchockiemu zdawało się zupełnie, że jest jakby królem z patryarchalnych cza-

sów. Nosił siwą brodę długą po pas, szeroką karmazynową lub jasno szaraczkową sutannę, wysoką laskę, obszerny kapelusz. Wystawił kościół słomą pokryty, i tam co Niedziela przemawiał do ludu z ambony w środku stojącej i śpiewał z nim hymny do Boga przez siebie napisane. Ustanowił święta które w sąsiedztwie przezwano świętami Cerery i Bachusa. Na wiosnę kiedy się zbliżał czas orania, po odbytem w kościele nabożeństwie, wychodził z całą gromadą na pole i pierwszy pługiem zao-rywał ziemię; poczem następowała stosowna głośna modlitwa, mowa do ludu i uczta. Na jesień kiedy już zbiór był skończony, Marchocki znowu wychodził z całą gromadą w pole, gdzie były umyślnie na to porozstawiane ołtarze i znowu się modlił, przemawiał i częstował. Na to święto spraszał sąsiedztwo, a w wieczór wydawał bal. W sali gdzie się goście zbierali, był wystawiony tron, na którym zasiadał Marchocki, a obok niego córka. On każdemu parobkowi dawał rubla, a córka każdej dziewczce wstążkę. Pasyą miał do stawiania świątyń, altan, chatek, mostów, a nade wszystko do kładzenia wszędzie napisów w różnych językach. Znaczna część jego państwa była zamieniona w romantyczny ogród, a sprzyjało temu bardzo piękne położenie. Marchocki zostawił syna i majątek zniszczony.

Str. 163. *Zaślubiny Władysława IV*. Dziwna rzecz, że literaci nasi, w historii sztuki dramatycznej w Polsce, przepominają Puławy. Kilka-nastcie tomów utworzyłyby można z widowisk scenicznych tam dawanych; a gdyby chcieć opisać wiernie ubiory, powtórzyć muzykę zawsze z umy-słu komponowaną, wymienić osoby grające, utworzyłby się szacowny zbiór co do historii sztuki, i skarb dla piszących powieści i romanse. Gdyby Francuzi podobne źródło posiadali, ileżby to już księżeń *d'Abrantes*, pań *de Crèqui* i innych w niem czerpało, a mybyśmy czytali, i ad mirowali. Obraz wspomniany, zdaniem świadków naocznych, należał do prawdziwie pięknych, tém bardziej, że był narodowy, a stroje wierne i wspaniałe. Wszystkich osób grających nie wiem, ale oto są znaczniejsze: księżę generał przedstawiał króla Władysława, pani Zamoyska Maryą Ludwikę, pani Sewerynowa Potocka marszałkową *de Guëbriant*, Zofia Matuszewiczówna ośmioletniego królewicza. Orszak królowej i dwór króla składał się z pięknych kobiet i z dorodnych mężczyzn, między ostatniemi odznaczał się słynny z wzrostu i męskiej piękności, Stanisław Pieniążek. Całe to widowisko było układu znanęj z gustu, z dowcipu a co lepsza, z cnót Księżnej Wirtembergskiej.

Str. 180. *Ukraiński koń kozaka padł bez życia*. Musiał być z tych, o których Michał Czajkowski tak pięknie w jednej powieści napisał: „Ochoczo biegną, bo to stepowe, kozacze konie, co na śmiało idą w prze-gony z siremi wilkami, z siremi orłami, co o popas, o spoczynek nie stoją, byle zanieść brata kozaka tam gdzie on chce, tam gdzie on zamysli, a po-

tém choćby i łapnąć — byle nad zwłokami brat kozak myślą zatęsknił, łzą zapłakał i powiedział: „Bracie koniu, bywaj mi zdrów: zobaczymy się kiedyś!”

Str. 219. ...*Dano odpowiedź po francuzku*. Osmnaście lat później, autorce niniejszej powieści, w jednym eleganckim domu w Warszawie zdarzyła się podobna przygoda. Śmielsza od Karoliny, za drugą koleją karteczek, na francuzkie zapytania odpowiedziała po polsku. Ale u nas wtedy tak mieszano francuzczyznę z polszczyzną, że podobno nikt się nie poznał na tym odwiecie.

Str. 220. *Podolanką ją ochrzczą*. „Podolanka czyli wychowanica natury“ romans przez Ks. Michała Krajewskiego, wydany w r. 1784.

Str. 227. ...*Wielu młodszych*. Książę Józef urodził się 7 Maja 1763 r., miał więc w r. 1805 lat 42; a jak to wiele osób pamięta, był piękny i młodo wyglądał.

Str. 227. *Pepiada*. Tak nazywano wszystkich mężczyzn co bliżej otaczali księcia Poniatowskiego, a to od jego imienia Józef, po angielsku Pepi. Pani Tyszkiewiczowa wielbicielka obczyzny, tak zwykła była nazywać brata; Józef było imię zbyt pospolite.—Młodsza część Pepiady odznaczała się *mundurem przyjacielskim*: był on zielony, a na złotych guzikach konik—noszono go wyłącznie w Jabłonny.

Str. 229. ...*Rysował piórkciem*. Książę Józef do końca życia miał ten zwyczaj; na referatach rady stanu i ministrów Księztwa Warszawskiego, możnaby jeszcze znaleźć żołnierzy i konie jego ręki.—Ten sam zwyczaj miał i król Ludwik Filip, ale rysował najczęściej ptaki.

Str. 295. *Jedynęj Mszy o dwunastęj*. Metrykant koronny Czemiński, otrzymując dyspensę z samego Rzymu na tę Mszę, i zapis czyniąc, miał jedynie na względzie osoby zatrudnione urzędem w godzinach przedpołudniowych, a przeto narażone na uchybienie Mszy św. W kaplicy kks. Augustyanów w Warszawie, gdzie owa Msza dotąd się odprawia, jest popiersie jego z napisem.

Str. 307, *Każdy miał wydzieloną rolę*. Niemasz lepszego sposobu czytania komedyi, choćby też nie w intencji odegrania jej na prawdę.—Może kto z przerzucających tę powieść, przypomni sobie skromny salonik na Żabięj ulicy, gdzie w podobny sposób czytowane były dowcipne komedye Fredry. Odnawiam tę pamięć, żeby zachęcić do tej miłej i łatwej zabawy, która jest nawet z wielką korzyścią dla języka. W Paryżu i w Londynie na wielu pensjach, panienki wieczorami tak komedye odczytują.

Str. 345. *Dukaty Kremnickie*. Noszą to nazwisko od miasta Kremnicy w Węgrzech, które ma własną mennicę i wybija pieniądze z własnego złota znajduwanego w okolicy. Te dukaty były cenione u nas i dla

tęgo że węgierskie, i że pod znakiem patronki Węgier, a Królowej Pol-
 ski, Najświętszej Panny. Mam w tej chwili w ręku stuletni taki dukat
 z popiersiem Karola cesarza po jednej stronie i z napisem: *Car. VI. D.*
G. R. I. S. A. G. Hi. H. B. Rex., a po drugiej Matka Boska z Dzie-
 ciątkiem Jezus i napis: *S. Maria patrona Hungariae 1739.* Dają zazwy-
 czaj u nas takowe dukaty pannom młodym do ślubu.

Str. 363. *Ohydny przydomek rozwódka.* W paryżkiem wyższem to-
 warzystwie—lubo tyle na niemoralność Francuzów gadają—rozwódki bar-
 dzo źle są widziane, a nawet w wielu znakomitych domach nieprzyjmo-
 wane wcale. Lecz my, co dobrego w Paryżu, o tém ani wspominamy,
 i tego nie naśladowujemy.

Str. 388. *Już nie jest Szefem ale Majorem.* W wojsku francuz-
 kiem za czasów Cesarstwa, stopień Majora był wyższy od Podpułkownika.

Str. 392. *Pan Markowski doktor.* Wyślany jeszcze za czasów Rze-
 czypospolitėj do Paryża dla nauki fizyki i chemii, przetrwał w tém mie-
 ście różne zmiany i doszedł nareszcie do tego, że był doktorem Józefiny,
 o czém rad wspominał. Po jej śmierci był professorem przy Akademii
 Krakowskiej, umarł w późnym wieku, powszechnie lubiony.

KONIEC TOMU DZIESIĄTEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE DZIESIĄTYM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>
Do Czytelnika	7
ROZDZIAŁ I. Dzień i wieczór ślubny	9
„ II. Obaj ojcowie, syn, i jeszcze ktoś czwarty	29
„ III. Matka i córka	54
„ IV. Pierwsze dwa tygodnie	70
„ V. Rodzice u dzieci	85
„ VI. Goście	114
„ VII. Pierwsza podróż państwa młodych	134
„ VIII. Ustęp	168
„ IX. Powrót do swoich	184
„ X. Zima w Warszawie	214
„ XI. Dalszy ciąg zimy w Warszawie. Notatki Karoliny	225
„ XII. Uzupełnienie notatek	276
„ XIII. Wyznanie	301
„ XIV. Święty Józef	313
„ XV. Śmierć i list	334
„ XVI. Kochanka	350
„ XVII. Sprawa rozwodowa	358
„ XVIII. Żona	372
„ XIX. Pięć listów Karoliny do matki.	379
„ XX. Zakończenie	393



**INSTYTUT
BADAŃ BIBLIOTECZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-830 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1085

40